

**Artur Baniewicz**

**Dobry powód, by zabijać**

## Rozdział 1

– Czołem, plutonowy.

Choć słońce chowało się już za horyzont, była w kamaszach, zakurzonych jak na porządnego żołnierza przystało, i w łaciatych spodniach od munduru polowego. Za butami nie ciągnęły się ogony puszczonej samopas sznurówek, a spodnie, choć mogły, nie zwisały na zewnątrz cholewek. Jednym słowem: trudno ją było rozpoznać bez podnoszenia głowy. Dopóki się nie odezwała, brałem ją za zaliczającego kolejną rundę wartownika. Chłopak był tak śmiertelnie znudzony, że co jakiś czas skręcał pod mój daszek i bez słowa gapił się, jak czyszczę glauberyta.

– Czołem, plutonowa. – Zacząłem podnosić ciężki od upału oraz piwa wzrok, ale nie udało mi się dotrzeć do twarzy i posłać Patrycji zdawkowego uśmiechu. Moje nieświadome zagrożenie spojrzenie najpierw wpadło w wilczy dół odsłoniętego pępka, a potem, wygramoliwszy się jakoś, grzmotnęło łbem o potężną jak Himalaje zaporę biustu.

W charakterze dodatku do militarnego dołu dziewczyna nosiła nawet dość przyzwoity, ale beżowy stanik, który tylko z bliska dał się odróżnić od opalonego tła. Abstrahując od koloru, był to typowy przedstawiciel bielizny nieplażowej i trzeba było mieć sporo dobrej woli, by po znokautowaniu widokiem kobiety paradującej w czymś takim poza własną sypialnią zwracać jeszcze uwagę na fakt, iż nie jest to także model robiący furorę w sex-shopach.

Miałem sporo dobrej woli – piwo w połączeniu z upałem łagodzi obyczaje – toteż szybko znalazłem aż trzy argumenty w obronie Patrycji i góry jej munduru. Stanik nie miał mianowicie prześwitujących wstawek, do uszycia go użyto budująco wiele tkaniny, a nim został włożony i zademonstrowany światu, w robocie był ręcznik. Patrycja nieraz już zadawała szyku, paradując po składnicy w lekkim podkoszulku lepiącym się do mokrego ciała i trzeba przyznać, że te przemarsze zrobiły chyba nie gorszą reklamę jej biustowi. Co nie znaczy, że spudłowała. Na mokre podkoszulki zdążyłem się uodpornić. Na to jeszcze nie.

– Mogę usiąść? – Odczekała, aż przebiję się przez przełęcz jej Himalajów, i posłała w dół przyjazny uśmiech. Po czym trąciła taboret czubkiem buta. – Na tym?

– Na tym rozbieram automat. – Trochę przesadziłem: glauberyt był już czysty i niemal złożony, a na stołku pozostały głównie brudne szmaty.

– No to najwyżej mnie też – wzruszyła ramionami. Zagarnęła cały zatłuszczony śmietnik i ostrożnie, by niczego nie wysypać, położyła na piasku. Lejący się z nieba żar i jej musiał dać się we znaki, bo klapnęła pośladkami o taboret bez silenia się na kocio-kobiecą elegancję.

– Też? – Z winy piwa nie błyszczałem intelektem.

– Rozbierzesz – wyjaśniła. I dopiero wtedy, po opanowaniu mocnego, stołkowego przyczółka, zmieniła uśmiech na bardziej profesjonalny. – I tak dalej.

Nie wypilem aż tyle, by nie zrozumieć. Po prostu piw było za mało jak na taki temat.

Chyba błędnie odczytała moje nijakie spojrzenie, bo wyjęła mi automat z rąk. Uniosła go do ust, dmuchnęła w lufę jak rewolwerowiec z kreskówki. Nie miałem pewności, czy wargi musnęły metal, odnotowałem za to, że całkiem niedawno musiały mieć kontakt ze szminką.

– Bo wystrzeli – ostrzegłem. – Albo ktoś pomyśli, że cię rzuciłem i urządzasz scenę.

Wykonała kolejny skłon, podnosząc leżący na szmatach wycior. Miałem okazję zajrzeć jej w dekolt i przekonać się, że od tej strony Himalaje robią jeszcze większe wrażenie.

– Boisz się plotek? – Dorzuciła nieco kpiny do prowokującego z natury uśmiechu. – Taki duży chłopiec?

Złe słowo. W trakcie biurowego flirtu jej uwaga brzmiałaby inaczej, ale nie siedzieliśmy przy kawie, otoczeni monitorami i segregatorami, jak para poważnych ludzi. Dookoła ciągnęły się rzędy zasieków z żyletkopodobnego drutu ostrzowego, a dalej był tylko piach, kurz i drżąca z gorąca beznadzieja turkmeńskiej pustyni.

Nie odpowiedziałem. Zabrała mi automat, lecz na szczęście w butelce zostało jeszcze trochę Zemsty Allacha. Mogłem siedzieć, sączyć ciepławy napój i brać Patrycję na przeczekanie.

Piwo, najtańsze po tej stronie Amudarii, zasłużenie cieszyło się sławą paskudnego, więc mogłem też krzywić się bezkarnie. Cierpiąc w towarzystwie najzgrabniejszej dziewczyny polskiego kontyngentu, traciłem twarz. Cierpiąc w towarzystwie tutejszego piwa, jedynie zyskiwałem jako koneser w oczach świadków. A nie licząc wartownika, gapiącego się na nas zza worków północno-zachodniego bunkra, uzbierało się ich jeszcze ze trzech. Plutonowa Górka niby zdążyła się wszystkim opatrzyć jak lew pracownikom zoo, ale teraz lew wyszedł, by pożreć porcję świeżego mięsa, co stanowiło już jakąś atrakcję.

– Dziś piątek – odezwała się po długiej przerwie. – Masz plany na wieczór?

– A dlaczego pytasz?

– Ja nie mam – przywołała na usta profesjonalny uśmiech. – Moglibyśmy coś z tym zrobić.

Nie musiałem pytać, co konkretnie. Do tej pory siedziała z peemem opartym o jedno z szeroko, po męsku rozchylonych ud. Teraz w końcu skorzystała z broni: bez pośpiechu wetknęła wycior do skierowanej w niebo lufy i wolno poruszyła nim parę razy w dół i w górę.

– Nie ma płótna – mruknąłem, odrywając butelkę od ust. – Zdrapiesz mi gwint.

Znieruchomiała na kilka sekund. Musiała to przemyśleć. W końcu zrozumiała żart. Po swojemu.

– To o to chodzi? – roześmiała się. – Spoko, jestem solidna firma. Czysto i bezpiecznie. A płócien – lekko zaakcentowała to słowo – mam do wyboru, koloru i smaku.

Była jak napalony licealista: myślała tylko o jednym.

– Chyba tracisz czas – posłałem jej smętny uśmiech. – Jestem tu uwiązany.

– No to co? – wzruszyła ramionami. Siedziała na tyle blisko, że niemal dotykaliśmy się

kolanami, ale po zawietrznej, i dopiero teraz przebił się do mnie jej zapach. A dokładniej: jej dezodorantu i kremu do depilacji. Nie umiałem przyporządkować aromatów do żadnych konkretnych kwiatów, ziół czy owoców, ale łącznie mieliśmy jedną i już na całe życie ten rodzaj kremu miał mi się kojarzyć z fantazyjną, niebieską maszynką, której pani plutonowa zadziwiająco często zapomniała zabrać z półeczki brodzika.

Podejrzywałem, że na ten haczyk złowiła nie mniej klientów niż na mokry podkoszulek.

– No... – W porę wstrzymałem się z uwagą, że w składnicy nie ma kin, kawiarenek ani żadnych tego rodzaju elementów harlequinowego świata. Nie w takim świecie żyła i chyba nawet nie o takim marzyła. – Nie, nic.

– Nawet lepiej. – Jej szczupła, nieco zbyt pociągła twarz wyrażała teraz życzliwą rzeczowość dobrego handlowca, którego trudno oskarżyć o wciskanie klientowi niechcianego towaru, mimo iż właśnie to robi. – Taniej. Wyjazd kosztuje. Nie mówiąc o ryzyku. Jak nie kaszaniarz, to żandarm albo jakiś kapuś... A tu sami swoi.

– O co ci właściwie chodzi? – wziąłem byka za rogi.

– Jakbyś nie wiedział... Koniec miesiąca, chłopcy są spłukani. A ty jesteś sam. Mógłbyś się raz zabawić, nie?

– Z tobą? – Z bykiem raz chwyconym za rogi nie ma już sensu uprawiać podchodów.

– Nie jestem w twoim typie? – Figlarnie przekrzywiła osadzoną na smukłej szyi głowę.

Kandydatki na miss takiej czy innej okolicy robią to na serio i efekt bywa z reguły żaloszny, ale ona żartowała i nieoczekiwanie, przynajmniej na chwilę, zrobiła się naprawdę śliczna. – Wolisz brunetki?

– Nie w tym rzecz. – Piwo się skończyło, ale pustą butelkę też można obracać w dłoniach.

– Po prostu...

– Nie płacisz za to? – odpowiedziała łaskawie. Zdobyłem się na nijaki uśmiech. – Nie bój się, nie zedrę z kolegi plutonowego. Wiem, ile zarabiamy.

– To nie o to...

– Daj spokój, Adam. W życiu zawsze chodzi o forszę. Trochę mniej, trochę bardziej – ale zawsze.

– Nie mów tego głośno – wskazałem szyjką butelki ku środkowi bazy, celując z grubsza w pomalowany do połowy maszt, z którego zwisała już pełnobarwna, białoczerwona flaga. – Zawodowy podoficer powinien powiedzieć, że nam chodzi wyłącznie o demokrację i prawa człowieka.

– Widać, że piłeś – pochwaliła się spostrzegawczością. – Zawsze schodzisz na politykę, jak popijesz. – Podłubała w ziemi obcasem, po czym uniosła głowę i spojrzała mi w oczy. – Mam dla ciebie abonament. Jedna pensja i do końca służby jestem twoja na pierwsze pstryknięcie. – Próbowała strzelić palcami, ale spoconym dłoniom nie zawsze to wychodzi.

– Pensja? – powtórzyłem z niedowierzaniem. – Mam ci oddać całą pensję?

– Nie chodzisz po burdelach. – Słowo „burdel” przeszło jej przez gardło równie gładko, jak porządnej kobiecie „przedszkole” czy „sklep”. – Masz prawo nie znać cenników. To gówniany kraj, ale za te rzeczy płaci się niewiele mniej niż u nas. Mają droższych alfonsów, a bezpieczeństwo słono kosztuje. Pewnie: można skrócić w jakąś szemraną dzielnicę i poszukać panienki za wagon fajek. Tyle że tacy ryzykanci już lądowali w chłodni. Najpierw trzeba im było wyjąć z buzi własne jądra. Chcesz tak skończyć?

– Najlepszy sposób to nie zaczynać. – Wyjąłem delikatnie automat z jej ręki, założyłem pokrywę na komorę zamkową. – Dzięki, ale nie skorzystam. Na hotele mnie nie stać, a nad kanał z tobą nie pójdę. Mam fobię kanałową.

– Nie jestem syrena; nie musimy się bzykać nad wodą – powiedziała nieco zdziwiona. – Mało tu miejsca?

– Miejsca sporo – przyznałem, ślizgając się spojrzeniem po linii spiralnych zasieków.

Biegła daleko za bastion z wypchanych ziemią worków, łącząc się na północy z poradzieckim jeszcze rzędem betonowych słupów, dźwigających klasyczny drut kolczasty. Ze swego miejsca za magazynem numer 4 widziałem jedynie sto metrów odziedziczonego po imperium zła ogrodzenia, ale z zachodu na wschód było go dobre pół kilometra. – Tyle że gapiów jeszcze więcej. Gdzie niby chcesz...? W transzei?

– Jaja sobie robisz? – Po raz pierwszy tak naprawdę ją zaskoczyłem i od razu zrobiła się trochę zła. – Ślepy jesteś? Myślisz, że tylko na wyjeździe...?

– Nie – wszedłem jej łagodnie w słowo. – Właśnie w tym sęk. Tu od razu każdy wie, co się dzieje. Zero dyskrecji. A ja i tak jadę na resztkach autorytetu.

– Puknij się w głowę. – Chyba nie wierzyła, że skorzystam z rady, bo sama trąciła mnie wyciorem. Był to niezły pretekst, by go jej odebrać. – Przeleciałam całą tę twoją zakichaną drużynę. Wszystkich, słyszysz?

– No to tym bardziej. Coś musi odróżniać dowódcę.

Zrobiła ruch, jakby chciała poderwać się z urazą, lecz tym razem jeszcze się powstrzymała.

– Słuchaj, Adam – powiedziała cicho, pochylając ku mnie spoconą twarz. Do zapachu kosmetyków doszedł aromat mięty. Chyba przyszła tu z zamiarem niezwłocznego wcielenia w życie swych kuszących propozycji. – Potrzebuję tej forsy. A ty potrzebujesz baby. Tylko nie mów, że nie. Mam oczy, widzę, jak na mnie... To nic złego, człowieku! Normalna rzecz. Przecież nie mówię, że masz się żenić. Trochę gimnastyki, wszystko. Ja cię lubię, ty mnie, nikomu w szkodę nie leziemy... To naprawdę okazja. Za te pieniądze miałbyś tu blondynkę ze trzy razy. I to wcale nie lepszą.

Powinienem powiedzieć coś w rodzaju „no nie wiem” i zamknąć temat, może raz na zawsze. Wybrałem bardziej ryzykowną metodę. Może tak naprawdę nie chciałem, by zrezygnowała.

A może jeszcze raz wylazł ze mnie mięczak.

– To nie o ciebie chodzi – mruknąłem, unikając jej wzroku. – Po prostu... no, w ogóle nie planuję teraz...

Zlitowała się wreszcie i uniosła biodra ze stołka.

– Zastanów się – rzuciła chłodno. – Jeszcze nie wiem, co zrobię z wieczorem.

Odeszła, kołysząc tym, co uniosła. Fajnie się poruszała. Nie aż tak jak Ilona, ale fajnie.

Patrzyłem za nią, póki nie znikła za narożnikiem murowanego baraku. Chyba intensywnie, bo kiedy się odwróciłem, przy szlabanie stał już zakurzony samochód. Honker, eksperymentalna wersja opancerzona. Albo ślepek, jak go nieoficjalnie ochrzczono w armii ze względu na wielkie stalowe płyty przesłaniające szyby. Zamiast wyrafinowanej optyki rodem z drugiej wojny światowej, czyli peryskopu, względnie drogiego szkła kuloodpornego, sięgnięto głębiej w historię broni pancernej i zastosowano genialnie prosty wynalazek znany już rycerzom: wyciętą w blasze szczelinę. W sumie cała konstrukcja tchnęła biedą i prowizorką. Silnik też do cichych nie należał. Musiało mnie mocno wziąć, skoro przegapiłem pojawienie się tej blaszanki. Co prawda za magazynem łomotało stereo, ale do szlabanu miałem jednak bliżej, no i nie oddzielało mnie od niego nic poza odcinkiem tranzei.

Siedziałem z glauberytem na kolanach i patrzyłem, jak wartownik głowi się nad przeciwwagą, zerkając to w anonimowe, wąskie ślepie samochodu, to na mnie. Był nowy i najwyraźniej nikt mu nie powiedział, co się robi w takiej sytuacji. Albo wręcz przeciwnie: powiedzieli mu i teraz pocił się trzy razy intensywniej pod kevlarową kamizelką, próbując zepchnąć w niepamięć wszystkie upiorne opowieści o podstępnych atakach kaszaniarzy.

Nie poruszyłem się. Byłem tu dłużej i trochę lepiej potrafiłem ocenić, kiedy należy się bać – ale właśnie dlatego nie zamierzałem pokazywać mu na migi, by podniósł szlaban.

Prawdopodobieństwo prawdopodobieństwem, a islam islamem. Szansa na to, że jakiś fanatyk zmawia właśnie ostatnią modlitwę i przypala lont półtonowej bomby, była nieduża, jednak realna. Jak na uczciwy, polski wóz honker trochę za długo sterczał przed bramą z zamkniętymi drzwiami.

W końcu te po stronie pasażera otworzyły się z gwałtownością tłumaczącą poprzedni bezruch i z wozu bardziej wypadła, niż wysunęła się goła od kostki w górę noga.

– Ruchy, kocie! – Kierowca też musiał otworzyć drzwi, bo słyszałem go całkiem wyraźnie. – Nie będę tu nocował. Gościa macie, chwycić się za bagaż.

Póki co, z bagażem zmagął się gość. Nie wiedziałem, czy tylne drzwi też wypaczyły się od ciężaru blach, jak te z przodu, ale od razu zrozumiałem, dlaczego oglądam najgorszy desant w historii polskiej misji w Turkmenistanie.

Dało się to ująć w trzech punktach. Pierwszy: kobieta. Drugi: z nadwagą. Trzeci: i z wielkim plecakiem. Nie wiedziałem, co to za jedna, ale oglądając jej walkę z drzwiami, a potem tobołami,

nie miałem cienia wątpliwości, kto splonąłby w honkerze, gdyby po drodze trafiła się zasadzka.

Zostawiłem automat i ruszyłem w stronę bramy. Po miesiącach wegetacji w głuszy człowiek tęskni do widoku obcej twarzy, dźwięku nieznanego głosu. No i byłem ostatecznie podoficerem, a ten nieszczęśnik przy szlabanie wyraźnie nie wiedział, czy oddalając się ku kwaterom z damskim plecakiem na grzbiecie, nie popełniłaby dezercji.

Pokazałem mu ręką, że biorę kłopot na siebie. Akurat przeskakiwałem nad transzeją – gdybym źle wymierzył, spadł i złamał tę durną łapę, lepiej bym na tym wyszedł.

Kobieta wytaszczyła w końcu przeraźliwie wielki plecak, lecz nadal pochylała się nad nim, demonstrując jedynie wypięte pośladki. Nie patrzyłem więc tam, gdzie należy. Nogi, oglądane niemal w całości, od brzegu tenisówek poczynając, a na wystrzępionych džinsach-obrzynkach kończąc, okazały się dużo lepsze, niż w pierwszej chwili sądziłem. Wina drzwi: odsłoniły jedynie łydki, a te były faktycznie szerokie i za mało zdecydowanie zwężyły się w kostkach. Mój umysł błyskawicznie dokonał ekstrapolacji i dorobił do nich jeszcze masywniejszą resztę.

Niestety, popełnił błąd. Za mało danych, fałszywy wniosek. Nikt uczciwy nie nazwałby dziewczyny szczupłą, ale gruba też nie była.

Oprócz tenisówek i szortów ze spranego dzinsu nosiła koszulkę trykotową w barwie banana oraz czerwoną czapkę z daszkiem i reklamą czegoś tam. Cienia rzucanego przez daszek było jej mało, więc uzupełniła strój ciemnymi okularami. Zachodzące ku skroniom szkła, no i fakt, że oglądałem ją ni to z tyłu, ni z profilu, nie pozwoliły mi przy pierwszym podejściu umieścić jej w odpowiedniej grupie wiekowej. Strój miała raczej młodzieżowy, nie przyklepiłbym jej jednak z marszu etykiety „przebojowa smarkula”, gdyby nie włosy. Były czarne, grube, proste jak u Indianki i – co najważniejsze – związane w sploty w kształcie kłosa. Może jestem zacofany, ale taka fryzura kojarzy mi się raczej ze słowem „dziewczyna” niż „kobieta”.

– Pani do nas? – Dopiero teraz jej figura ostatecznie wysunęła się zza parawanu opancerzonych drzwi, ukazując niewysoką wypukłość biustu i pudło aparatu fotograficznego. – Chyba nie z prasy?

Oparła plecak o biodro, wyprostowała się i zastygła.

– Może pani zamknąć drzwi? – upomniał się kierowca.

Wyglądało na to, że nie mogła. Stała, gapiała się na mnie, a otaczająca ją czerwona poświata w połączeniu z czarnymi okularami upodabniały ją do zwiadowcy Obcych, który spłynął właśnie na Ziemię, zwinął hiperprzestrzenny spadochron i kombinuje, którym z podręcznych środków bojowych anihilować spotkanego nieoczekiwanie tubylca. Trwało to na tyle długo, że mamroczący coś niepoehlebnego szofer wyciągnął się w poprzek siedzeń i sam zatrzasnął drzwi, a ja dojrzałem do postanowienia, by nigdy nie witać nienormalnych nieznajomych schowanych za ciemnymi okularami i oglądanych na tle zachodzącego słońca.

Do nienormalnych zaliczyłem ją gładko z racji pobytu tu i teraz. Niby też tu byłem – tyle że

nie z własnej woli.

– Wezmę ten plecak. – Gniewny trzask drzwi odblokował jakąś klapkę w moim mózgu. – Chyba że...

– Adam?! – W jej głosie było tyle niewiary, że nawet nagłe ryknięcie silnika nie było w stanie tego zagłuszyć.

Honker zaczął zawracać. Opancerzenie z epoki bitwy nad Sommą nie ułatwiało kierowcy sprawy; musiał otworzyć drzwi i wychylić się. Co z kolei mnie bardzo ułatwiło decyzję.

– Czekaj! – Kiedy się postarałem, potrafiłem szczerząc rozkazem nie gorzej od Bruszcza. Kierowca natychmiast przerzucił stopę na pedał hamulca, wyrżał pytająco zza kanciastej sylwetki wozu. – Zabierzesz panią z powrotem!

– Ale numer... – Póki co, reagowała śmiechem. Nie byłem pewien, czy to efekt rozbawienia moim żartem, czy radości. – To naprawdę ty? Czy może macie tu fatamorgany?

Twarz miała ciemniejszą od nóg, a usta chyba zawsze pasowały kolorystycznie do brunetki, więc nawet słońce w tle nie mogło zaćmić radosnego błysku zębów.

– Mamy tu dużo gorszych rzeczy – powiedziałem, utrzymując się w nieco złagodzonej, lecz nadal surowo-dowódczej tonacji. – Dlatego cześć i do widzenia. Będzie lepiej dla wszystkich, jeżeli od razu wrócisz.

– Słucham? – Czarne brwi powędrowały ku grzywce. Tę też nosiła jak Indianka i musiałem przyznać, że dorosłej Kaśce było w tym uczesaniu równie dobrze, jak tamtej dawnej.

– Mówię, że powinnaś zrobić w tył zwrot i wracać do Bajram-Ali. Czy skąd tam przyjechaliście. Póki widno.

Uśmiech przygasł. Jeszcze nie do końca, jeszcze nie miała pewności, czy to nie ciąg dalszy dziwnego żartu.

– Już wiem – zaryzykowała. – Nie chce ci się taszczyć mojego plecaka, a jesteś nadal dżentelmenem i nie pozwolisz, żebym sama. Więc mówisz: „Won, dziecko”.

Powinienem pamiętać, przed kim stoję. Wszystkiego oczekiwałem po tej rozmowie, tylko nie własnego śmiechu.

Opanowałem się po kilku sekundach. Gdybym stał jak ona, ze słońcem za plecami, może nawet nie byłoby niczego widać.

Kierowca uporał się z zawracaniem; wychylił się, demonstrując gotowość do dalszej jazdy. Skinąłem na Kaśkę.

– No, zmykaj. Nocą naprawdę bywa tu niebezpiecznie.

Już rozumiała. Ale pogodzić się z faktami nie zdążyła.

– To ja – ściągnęła okulary i nieco błazeńskim ruchem rozłożyła ręce, jak ktoś mówiący:

„Proszę, obejrzyjcie mnie sobie”. – Sosnowska Katarzyna, klasa C. Nie poznajesz?

Chciałbym nie poznawać. Chciałbym, by ważyła sto kilo, malowała włosy na fioletowo



i skręcała w dumne loczki. Albo przynajmniej przyjechała tu trochę wcześniej, względnie dużo później. Nie w chwili, gdy zmagalem się z ochotą wykrzyczenia „wróć, Patrycj!”.

– Poznaję – rzuciłem drętwo. – Zostaw mi swoje zamiary; niedługo będę w brygadzie...

Możemy pogadać.

Byłem szczery i spontaniczny jak zawodowy dyplomata. Nic dziwnego, że jej twarz zastygła w sztucznie beznamiętnym grymasie.

– Mam tu przepustkę od waszego szefa sztabu – zwróciła się do wartownika, rozpinając plecak. – Pokazać?

– Nnnie... – zmieszał się. Zerknął na mnie, potem machnął w kierunku budynków. – Jak już, to porucznikowi. Powinien być w dyżurce. Pan plutonowy... yyy... zaprowadzi?

Zdołałem zaskoczyć oboje.

– Ani mi się śni. – Wyzywająco skrzyżowałem ręce na piersi, przegradzając sobą środek drogi. – A ty stąd zaraz wyjedziesz, Kaśka. Dla dobra wszystkich, z własnym na czele.

Nigdy nie widziałem jej rozszoszczonej, zdenerwowanej czy po prostu w marnym humorze. Nasza znajomość nie sięgała tak głęboko. Nie mogłem przewidzieć, jak zareaguje.

Zresztą minęło wiele lat i nawet gdybyśmy znali się wtedy jak łyse konie, niewiele by to dało: byliśmy prawie dwa razy starsi i pewnie całkiem inni.

– Spadaj – mruknęła, robiąc skłon i przechodząc pod belką szlabanu. – I wróć, jak otrzeźwiejesz.

Zarzucała plecak na ramiona trzy razy. Chyba chciała pokazać, do jakiego stopnia jestem jej zbędny. Oczywiście bagażu miała zbyt wiele jak na demonstracyjnie niedbałe gesty i gdyby nie wartownik, pewnie przy czwartym podejściu potężny garb przewróciłby ją w końcu.

Nie kiwnąłem palcem, by jej pomóc. Była to najbardziej męska decyzja w moim życiu.

Potem wyprostowana od dumy albo nadmiaru balastu Kaśka odeszła w kierunku baraków, a ja raz jeszcze zachowałem się jak facet z krwi i kości. Zostawiłem automat tam, gdzie leżał, i poszedłem szukać wody.

## Rozdział 2

Izba żołnierska była w bazie tylko jedna, za to duża: stanowił ją cały barak numer 5.

Wzdłuż lewej ściany ciągnęły się stojaki z karabinami i oporządzeniem, wzdłuż prawej łóżka i stoły. Poszczególne drużyny poodgradzały się parawanami z brezentu, tworząc namiastki koszarowych sal. Pierwsza ścianka wydzielala wartownię. Jej wyposażenie ograniczało się do stołu z gromadką taboretów i telefonu. Leżanek dla zmiany odpoczywającej nie było: spała we własnych łóżkach. Przy stole czekało na swą kolejkę czterech chłopaków ze zmiany czuwającej.

Grali w karty i nie zwrócili na mnie uwagi.

Była pora kolacji, co tłumaczyło panującą w ogromnym pomieszczeniu pustkę. Minąłem kilka żelaznych łóżek, zasłanych nieco mniej starannie niż w prawdziwych koszarach, lecz i tak uderzająco porządnym na tle ścian z surowych bloczków betonowych, dotarłem do brezentowego parawanu oddzielającego trzecią drużynę od drugiej. Dalej kwaterowali moi saperzy, a jeszcze dalej, na samym końcu budynku, ulokowano regał z podręczną artylerią: w uchwytach stały trzy rury granatników RPG-7, a na dole, niczym buty w szafce, czekały torby z amunicją.

Za parawanem siedział szeregowy Grześkowiak. Zwolniłem, zaskoczony jego widokiem.

Głupia reakcja: ostatecznie to właśnie do niego miałem interes.

Siedział z nogami na sąsiednim taborecie i bazgrał w zeszycie. Nie przebywaliśmy w koszarach, ale obaj byliśmy mniej więcej w mundurach i tak swobodna poza nie bardzo pasowała do kontaktów na linii plutonowy-szeregowy. W pierwszym odruchu omal nie zabrał nóg, przemyślał jednak sprawę i zrezygnował z tego.

– Jest Sławek? – skinąłem ku dalszym rejonom baraku. Moją prywatną receptą na takich bezczelnych młodzieńców było odgrywanie zabieganego i pochłoniętego własnymi sprawami.

Ktoś taki zwykle nie zwraca uwagi na daleką od regulaminowej postawę szeregowych. Żalotne, ale przynajmniej nie stosowałem tej metody w kontaktach z podwładnymi. On moim podwładnym nie był. Bogu dzięki.

– A który to? – Nie wykopałem mu taboretu spod kopyt, no i proszę: od razu poczuł się dwa razy bardziej pewny siebie. Wyciągnąłby się może nawet do granic leżenia, dając mi odczuć, jak dalece nie przejmuję się takim ni to trepem, ni cywilem, ale kiedy się siedzi na standardowym taborecie koszarowym i w charakterze oparcia wykorzystuje goły mur, nie bardzo da się to zrobić.

– A ilu znasz?

– W naszym plutonie?

– Nie, na łodziach podwodnych. – Zirytował mnie i pewnie dlatego podjąłem nietatwą

inicjatywę. – A zresztą mniejsza... Ciebie szukam. Sławek mówi, że miewasz alkohol.

– Ja?! Fornalskiemu się chyba przyśniło!

– Nie rozumiemy się – powiedziałem polubownym tonem. – Chcę kupić, nie konfiskować.

Od nalotów jest porucznik.

Zainteresowałem go na tyle, że zestawiał nogi na zastępujące posadzkę klepisko i odłożył pełen rachunków zeszyt. Nie lubiliśmy się raczej, ale biznes to biznes.

– Powiedział, że sprzedaję wódkę? – zdziwił się fałszywie. – Fakt: raz czy dwa podrzuciłem chłopakom zakupy z miasta; może i jakaś flaszczyka się trafiła, ale żeby zaraz sprzedawanie... Za ich kupowałem.

– To teraz kup za moje. Połówkę. Dorzucę na piwo.

– Na piwo? – skrzywił się, ni to kpiąco, ni boleśnie. – Chyba że plutonowy o zgrzewce mówi.

– Drogi jesteś. – Nie skomentował, jak na zahartowanego kapitalistę przystało. – Dam dychę.

– Za dychę to Radosna pierś pokazuje.

– Radosna? – Wiedziałem, o kim mówi, trudno było nie zgadnąć, ale tego przezwiska jeszcze nie słyszałem.

– No wie plutonowy – posłał mi poufały, samczy uśmiezek, jeden z tych, za które kobiety powinny mieć prawo walić tasakiem w łeb i wychodzić uniewinnione z sądu zaraz po pogrzebie durnego ćwoka. – Kumpela po stopniu. Właściwie miało być Półradosna, bo nie od ucha do ucha, tylko z jednej strony, ale jakoś...

Pomyślałem, że gdyby powiedział coś takiego o Kaście, dostałby taboret. Potem pewnie poszedłbym siedzieć, ale byłem dziwnie mocno przekonany, że tak by się skończyło.

Za Patrycję też mu się coś należało, przynajmniej porządne ustawienie w pionie, lecz właśnie dlatego, że gotów byłem zaryzykować sąd polowy, zrobiłem dobrą minę do złej gry – Skoro sprawy zaszły tak daleko, chyba naprawdę na gwałt potrzebowałem jego usług.

– Niech będzie zgrzewka. Ale towaru potrzebuję na już.

Skinął łaskawie głową.

– Po kolacji. Dostawa do domu.

Wyszedłem przed barak. Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem. W południowej części Kara-Kum, nawet wiosną, trudno mówić o czymś takim jak świeże powietrze, dopóki słońce widać nad horyzontem, ale krótka rozmowa z Grześkowiakiem pozwoliła mi inaczej spojrzeć na tę kwestię.

Stałem więc przed barakiem numer 5, gapiąc się bezmyślnie na drzwi swej kwatery, czyli na południową, szczytową ścianę baraku numer 2. Było to wyjątkowo głupie, i to bynajmniej nie dlatego, że oba budynki stały naprzeciw siebie oddzielone końcem drogi z delty, przez co nie było tu teraz ani skrawka cienia. Pot sływał ze mnie i tak, niewielka różnica. Problem w tym, że

był to sam środek bazy i stercząc tu, natychmiast rzucałem się w oczy.

– Panie plutonowy! – W bocznych drzwiach Szóstki pojawił się dyżurny z opaską na rękawie. – Dowódca prosi!

Barak numer 6 był ofiarą nagłego zgonu ZSRR. Dach niedoszłej owczarni dociągnięto tylko do połowy planowanej długości budynku, obniżające się stopniowo ściany niewiele dalej.

W miejscu brakującego kawałka budynku urządziliśmy parking. Szedłem właśnie w kierunku dyżurnego, gdy za jednym ze stojących tu bojowych wozów piechoty mignęła mi głowa Sławka.

Gdybym przed wejściem do baraku żołnierskiego rozejrzał się uważniej, zaoszczędziłbym ze trzy puszki piwa. Grześkowiak, wytrawny kupiec, umiał dostosowywać ceny do możliwości nabywcy.

Cóż, przepadło. Ale pozostawała jeszcze jedna sprawa.

– Sławek! – Był sam, lecz wolałem nie kusić losu. Odezwałem się półgłosem, dopiero gdy byliśmy całkiem blisko. – Nie wiesz, kiedy to będzie?

Bрудna chustka, którą przecierał czoło, znieruchomiła.

– Chodzi ci...? No przecież mówiłem: żadnych szczegółów. Mamy być gotowi i czekać.

Jakieś problemy? – Ruchem kciuka w tył, ku wschodnim peryferiom bazy i kanałowi dał do zrozumienia, o jakich problemach myśli.

– Nie, nie; wszystko gra – westchnąłem. – To na razie. A ty nie idziesz jeść?

– Ta krowa znów nie chciała odpalić. Muszę dłużyć.

Pokiwałem współczująco głową i ruszyłem wzdłuż ściany. Z góry, przez powybijane szyby umieszczonych tuż pod dachem okien, wylewał się gwar młodych, męskich głosów, stukot sztućców i zapach smażonej cebuli.

Przed samymi drzwiami przypomniałem sobie, że moja bluza została wraz z automatem pod wiatą. Pomyślałem, że powinienem po nią wrócić, a potem wszedłem do budynku.

Podobnie jak przydzielona szeregowym Piątka, został podzielony na mniejsze pomieszczenia, ale zrobiono to porządniej. Na prawo od wejścia ściana z desek odgradzała od stołówki pomieszczenie dyżurnych, centrum dowodzenia, kwatery oficerskie i areszt. Na wprost stała kontenerowa chłodnia, a w północnym końcu, oddzielona murem od parkingu, na którym tyrał Sławek, rozlokowała się kuchnia. Cała reszta pomieszczenia pełniła funkcję jadalni i świetlicy, wobec czego zgromadzono tu kilkanaście kwadratowych stolików w asyście odpowiedniej liczby taboretów, półkę z gazetami, komputer i wieżę multimedialną. Wieża składała się z piramidy skrzyń dźwigających telewizor, magnetowid i radiomagnetofon.

Niewielkie okna ulokowane wysoko pod dachem nawet w południe wpuszczały znikomą ilość światła i pomieszczenie bardziej przypominało stylizowaną na garaż dyskotekę niż fragment koszar. Ale to były koszary. Kiwający na mnie Bruszcak nie omieszkał o tym przypomnieć.

– W bieliźnie do stołu? – zapytał, ledwie podeszedłem do wskazanego krzesła. – Co sobie

o nas goście pomyślą?

Sam byłem ciekaw. Goście, sztuk jedna, nie raczyli obejrzyć się i przywitać uprzejmym uśmiechem kolejnego stołownika. Przyjaznym machnięciem widelca pozdrowił mnie jedynie siedzący obok porucznika Czarek Szamocki alias Watman. Też porucznik, choć nie było tego chwilowo widać. Był z mojego rocznika i może dlatego podobnie jak ja nie połyskiwał przy stole pagonami. Trzy gwiazdki to więcej niż cztery belki, ale też ciut za mało, by zadawać szyku w trzydziestym czwartym roku życia. Tak się składało, że był także z rocznika Kaśki – ich z kolei łączyło zamiłowanie do szortów i barwnych koszulek. Na szczęście jako szarooki blondyn preferował błękit i przynajmniej pod tym względem nie pasowali do siebie. Na szczęście – właśnie tak. Chciałem się jej pozbyć, ale póki tu była, czułem się uprawniony do bezinteresownej zazdrości. I pomyśleć, że to kobiecej logiki wszyscy się czepiają.

– Goście już nas widzieli w bieliźnie. – Zazwyczaj unikałem tego typu odzywek przy Bruszczaku, tym razem jednak trochę za mocno szumiało mi w głowie. Od piwa i pytań bez dobrych odpowiedzi. No i od niej. Głównie od niej.

– Zdążyliście się poznać? – zainteresował się Szamocki. – Ależ szybki z ciebie zawodnik.

Na taborecie leżała czerwona czapka Kaśki, a obok ona sama, symulując głuchotę i ślepotę, dłubała widelcem w jakimś ochłapie. Zawahałem się, ale alternatywą było miejsce obok siedzącej naprzeciwko Patrycji, przrzuciłem więc czapkę na taboret po lewej i zacząłem siadać.

– Wyjątkowo szybki – rzuciła w przestrzeń Patrycja. Trzeba jej oddać sprawiedliwość: ta wygłoszona z wyraźnym przekąsem uwaga nie miała wpływu na marną koordynację moich ruchów. Zwyczajnie nie trafiłem. Czapka poleciała za daleko, ześliznęła się z siedziska i wylądowała na ziemi.

Przez chwilę byłem jak ona: zdołowany i czerwony. Oczywiście dźwignąłem się i poszedłem ją podnieść, ale raczej nie zrehabilitowało mnie to w niczyich oczach.

– No to po nas – wyszczerzył zęby Szamocki. – Moda jak w Sajgonie, tradycje rycerskie na kołku, dama sama taszczy plecak, a teraz wycierają klepisko jej czapką. Dobrze, że się stąd zrywam. Całą noc świeciłbym oczami ze wstydu i jakiś patałach pewnie by mnie ustrzelił.

– Strzelają tutaj? – zainteresowała się Kaśka.

– A skąd – machnął lekceważąco dłonią. Miał większą niż ja klasę, więc baranina nie spadła mu przy tym z widelca. – Przykro mówić, ale jesteśmy pani wielką pomyłką. Tu się umiera wyłącznie z nudów. Zero sensacji.

Kucharz postawił przede mną talerz z mięsem, cebulą i parą ogórków. Chleb i deser w postaci ciasta już czekały na stole. Wbiłem widelec w mięso i natychmiast zrozumiałem, dlaczego raptem trzydziestu ludzi potrafi napęłnić tak duże pomieszczenie takim hałasem.

Baranina miała odporność kevlaru i tnąc ją, mocno nadpiłowywało się talerz.

– Jedziesz do delty? – Szamocki gryzł właśnie to, co udało mu się odciąć, więc tylko kiwnął

głową. Przeniosłem spojrzenie na okolice twarzy mojej sąsiadki, pilnując się jednak, by nie zahaczyć o samą twarz. – Mogłaby pa... mogłabyś – poprawiłem się, tchórząc w ostatniej chwili – zabrać się z porucznikiem. Niedługo powinien być...

– Mogłabyś? – Patrycja uniosła brwi i chyba po raz pierwszy posłała ciemnowłosej proste spojrzenie. Zjedliśmy już razem niejednego barana, więc zdążyła przywyknąć do zestawu współbiedniaków i zapanować nad odruchem ustawiania się do nas lewym profilem. Teraz jednak, przy Kaście, jej spojrzenie znów zdawało się błądzić po okolicy drzewi.

– Chodziliśmy z Adamem do ogólniaka – wyjaśniła Kaśka z uprzejmym uśmiechem, który do mnie miał szansę dotrzeć co najwyżej na zasadzie rykoszetu. – Znamy się z widzenia.

– To pani też ze Stargardu? I dziennikarka? – ucieszył się Szamocki. – Ile tam macie gazet? Jedną pewnie? To musi pani znać Ilonę... jak jej tam... – zaczął kręcić palcem, wspomagając pamięć. – Coś z Bałkanami...

– Trzy gazety – burknąłem. – Plus dwie kablówki i...

– No, taka ekstralaska. – Nie dał się zepchnąć z tematu. – Węgier... nie, zaraz... Roman!

Redaktor Ilona...

– Nie pracuję w Stargardzie – przerwała mu łagodnie, ale i bez uśmiechu. – Kobięce tygodniki tam nie wychodzą.

– To nie złapie pani za komórkę i nie zakabluje go przed śliczną Iloną, że jedzie do Bajram na panienki? – upewnił się z żalną miną. – A już miałem nadzieję. Wystraszyłby się i oddał mi niedzielę.

– Nasze komórki tu działają? – zainteresowała się.

– Niestety – uśmiechnął się przepaszająco Bruszczak. – Z sieci cywilnej łączności niewiele zostało.

– Podobno NATO blokuje odbudowę nadajników – rzuciła niby od niechcenia.

– Mielibyśmy sami sobie...? – Urwał. Uśmiech ciut mu skwaśniał. – No tak. Zapomniałem, z kim rozmawiam. Ładnie to tak ciągnąć biednego porucznika za język?

– To tajemnica? – Znała odpowiedź i w jej wzroku nie było podniecenia myśliwego, który zwęszył obiecujący trop.

– A od kiedy to pisma dla kobiet odsłaniają tajemnice? – wyręczyłem porucznika. – Skoro nawet wy wiecie...

Trzy pary oczu posłały mi zdziwione spojrzenia. Nawet Patrycja, mało subtelna z natury, wydawała się zaskoczona moim chamstwem. Bo zabrzmiało to trochę chamsko.

Przez jakiś czas po prostu jedliśmy.

– Ale swoją drogą to nietypowe – ocknął się w pewnym momencie Szamocki. – Damskie pisma chyba rzadko tu kogoś przysyłają. To znaczy do Turkmenii w ogóle, bo do nas to nawet szkoda gadać.

– „Jagienka” ma być inna – mruknęła Kaśka bez zapału. – Dopiero startuje, więc naczelną ma apetyt na poszerzony krąg czytelniczek. Na te myślące też poluje.

– Jagienka, hoże dziewczę – mruknałem. – I faceta sprawi, i niedźwiedzia. Ideał współczesnej dziewczyny.

– Ale przepisy drukujecie – na poły stwierdził, na poły zapytał przeżuwający z wysiłkiem Bruszcak. – Dobra rada: niech pani omija z daleka naszego kucharza.

– To mało tematów ci zostanie – bąknąłem. Miałem ochotę kolejny cios widelcem zadać któremuś ze swych pośladeków. Zachowywałem się jak ostatni palant: Grześkowiak do pięt mi nie dorósł. Ale z drugiej strony byłem z siebie dumny. Nie myślałem, że stać mnie na tak ostrą grę.

– Zawsze można się skupić na modzie. – Nie raczyła spojrzeć w moją stronę. – Do twarzy ci w tym podkoszulku. Gdyby tak jeszcze apaszka, opaska na czole... Polski Rambo. Mogę go sfotografować na tle tych czołgów, panie poruczniku? Z jakimś dużym karabinem?

Bruszcak dyplomatycznie wepchnął kolejny kęs do ust, co na jakąś minutę wyłączało go z rozmowy.

– To bewupy, nie czołgi – przybiłem kolejną deskę do swej szubienicy. – Pewnie dla czytelniczek „Jagienki” takie subtelne...

– Właściwie to dobry pomysł – wszedł mi w słowo Szamocki. – Z tym wyjazdem. U nas naprawdę nie ma o czym pisać, a z fotografowaniem też nie bardzo, bo to obiekt strategiczny, chociaż zadupie. Lepiej niech się pani ochlapie pod prysznicem, a potem jedzie z nami do delty.

Dużo ludzi, dużo tematów, zabytki... Mogę panią przedstawić paru osobom, na początek będzie jak znalazł.

Trudno powiedzieć, czy ją przekonał. Wieczór był pechowy i właśnie w tym momencie przy stole zjawił się Młynarczyk. Myślałem, że usiądzie i nawet nie otwierając ust, samą swoją aurą, zniechęci ostatecznie Kaśkę do pozostawiania tu na noc. Ale rozczarowałem się.

– Przepraszam, panie poruczniku – zwrócił się do Bruszczaka. – Telefon. Mamy alarm. I chyba wyjeżdżamy.

\*

– Dwa wozy – oznajmił Bruszcak po powrocie. – Chcieli wziąć całą trójkę, ale jeden wytargowałem. – Skierował wzrok na Szamockiego. – Pojedziesz?

– Ale co się dzieje? – uprzedziła Czarka Patrycja.

– Jakiś kierowca zauważył ślady na drodze. Nie wiem, czy czasem nie ten pani – zerknął na Kaśkę. – Posłali patrol, BRDM-a w wersji Rudy. To taki z psem – wyjaśnił łaskawie przedstawicielce prasy kolorowej. – Wie pani, od „Czterech pancernych”. Pies podjął ślad, pojechali za nim kawałek, a potem ktoś ich ostrzelał z wielkokalibrowego. – Szamocki zagwizdał cichutko. – Kilku ludzi, z grubsza czterech. Są pieszo, ale to było niedaleko tego kołchozu z nowym meczetem, wiecie... Więc mogli zdobyć jakiś pojazd albo parę wielbłądów i odskoczyć

spory kawałek. Trzeba szeroko zarzucić sieci, no to włączają, kogo się da.

– Lotników by włączyli – mruknęła Patrycja.

– W sztabie przypuszczają, że to jakaś grupa specjalna, fachowcy. A tacy miewają wyrzutnie przeciwlotnicze. I potrafią się maskować. W końcu pewnie śmigłowce się zjawią, ale na razie planują, jak je uchronić przed zestrzeleniem.

– Nie mamy opancerzonych? – zapytała trochę nieśmiało Kaśka. Zaryzykowałem spojrzenie w bok. Brązowe oczy błyszczały od źle maskowanego podniecenia.

– Mamy – zapewnił lakonicznie Bruszcak. I od razu o niej zapomniał, koncentrując uwagę na Szamockim. – To co, Czarek, wzięłbyś paru chłopaków? Dali nam jakiś trzeciorzędny kierunek; zero szans, żeby tamci akurat na was wpadli. A tu mało kto zostanie; wołałbym sam przypilnować. Nie podobają mi się ci czterej. Jeśli taszcą dwanaście siedem, to mogą mieć porządne wyposażenie, a my tu siedzimy jak na beczce prochu. Z wyjazdu – uprzedził otwierającego usta Czarka – i tak na razie nici. Droga zamknięta. Prawdopodobnie ta czwórka przysła ją minować, a nawet jak nie, to w każdej chwili mogą się na niej pojawić. Autobus nie jeździ. Jak chcesz, oddam ci moją...

– W porządku – przebił się w końcu Szamocki. Brwi Bruszczaka powędrowały do góry, uznał więc za stosowne wyjaśnić: – Może się trafi okazja wypróbować szwedę.

Bruszcak był mile zaskoczony. A ktoś inny dostatecznie bystry, by to natychmiast wykorzystać.

– Jak rozumiem, niebezpiecznie jest i tu, i tam. – Kaśka posłała porucznikowi chyba najlepszy ze swych uśmiechów. – A ja i tak nie mogę wyjechać. To może zabrałabym się z panem Czarkiem? Co? Słowo, że nie będę przeszkadzać.



## Rozdział 3

– Wybierasz się z nami?

Ta baza była po prostu za mała. Niby piętnaście hektarów, a kiedy człowiek próbował na kogoś nie wpaść, wpadał trzy kroki dalej. Cóż, ogrodzonego zasiekami terenu było dużo więcej niż przestrzeni przylegającej do budynków. A poza dwuszereg baraków nie było po co chodzić.

Inna sprawa, że i tutaj nie miała czego szukać. Oba zachodnie budynki były magazynami, a dalej znajdowała się tylko wiata, pod którą czyściłem broń, brama i narożne punkty ogniowe.

Może pomyliła kierunki. Może. Tyle że to była bystra dziewczyna, a ja najpierw zaopiekowałem się flaszka od Grześkowiaka, a dopiero potem poszedłem po automat. Trochę czasu upłynęło i Kaśka nie powinna już gubić się w labiryncie aż sześciu regularnie ustawionych baraków.

– Z tobą i Watmanem do Bajram-Ali? – uśmiechnąłem się uprzejmie. – Dzięki. Zresztą wolne mam dopiero...

– Na akcję – mruknęła. – Watman to Szamocki?

– Jest z Wojskowej Akademii Technicznej. – Nie chciałem być dla niej uprzejmy, lecz trudno sprawiać przykrość komuś, kto raz po raz wyciąga dłoń do zgody. A ona to właśnie robiła.

Słońce schowało się już za horyzontem, ale tyle jeszcze widziałem. Była smutna i niczego nie rozumiała. – Jajogłowy. Nie daj się zwieść pozorom: to mózg, że strach mówić. Przysłali go z partią nowej amunicji do bewupów. Ambitny projekt, a on ma w nim ze trzydzieści procent udziałów. Paliwa rakietowe, prochy itede.

– I siedzi tutaj? – zdziwiła się.

– Mamy niedaleko dyskretną strzelnicę. No i duże zapasy amunicji do armat 73 mm.

Przyjechał tu i przerabia stare pociski na nowe. Wiesz: wyścig o złotówki. Gdyby udowodnił, że to proste i tanie, nawet w połowych warunkach, miałby dodatkową kartę przetargową. A chyba jej potrzebuje, bo...

– Co się dzieje, Adam? – przerwała mi łagodnie, z zakłopotaniem. W stołówce byliśmy bliżej siebie, jednak dopiero teraz poczułem bijący od niej zapach. – Ktoś ci czegoś nagadał na mój temat? U nas, w Stargardzie?

– Co?

– Obraziłeś się?

– Za co? Nawet nie pamiętam, kiedy się ostatnio widzieliśmy. Chyba jeszcze w czasie studiów... Nie, czekaj: pchałaś wózek, czyli już po. Ale to i tak...

– No to dlaczego jesteś taki? – zapytała cicho.

Sześćdziesiąt metrów od nas ryknął pierwszy silnik. Znad jej ramienia widziałem

ustawiający się szereg. Wątlutki. Ktoś zgięty z wysiłku taszczył skrzynie z amunicją.

– Przepraszam – wymruczałem. Czułem, że jedna dodatkowa szpila wbita jej w tej chwili załatwi sprawę, rozwieje wątpliwości, sprawi, że nie odezwiemy się więcej do siebie. I stchórzyłem. Na usprawiedliwienie natychmiast wyciągnąłem argument mówiący, że Kaśka, która się nie odzywa, to nie to samo, co Kaśka, której już nic nie grozi. – Tak jakoś... A tu naprawdę nie powinno cię być. To trochę skomplikowane.

Obejrzała się, a ja, Sokole Oko, dopiero w tym momencie zauważyłem, że znów ma przy sobie aparat.

– Muszę lecieć – posłała mi uśmiech. – Jak się uda nie wrócić za późno... Mieszkasz tam, gdzie to okno? – Kiwnąłem głową. – Gdybyś nie spał, moglibyśmy pogadać. To znaczy – dodała szybko – jeśli nie musisz rano za wcześnie...

– Pogadamy na pustyni. – Moje usta same to powiedziały, słowo honoru. – No chodź, bo wyjadą bez nas.

\*

Po drodze też była pustynia, ale jakoś nie pogadaliśmy. Kaśka, jedyny cywil i jedyna kobieta w gromadzie umundurowanych facetów, musiała mieć sporą tremę i chyba z tej tremy zgubiła mi się przy wsiadaniu do wozu trzeciej drużyny. Zanim się zorientowałem, została uprzejmie przepuszczona przez dźwigającego kaem Grześkowiaka i zablokowana w przedniej części przedziału desantowego. Ja jako reprezentant saperów miałem jechać przy drzwiach, gdzie była końcówka telefonu wewnętrznego i skąd najłatwiej się wysiadało w celu sprawdzenia podejrzanego odcinka drogi. Wielkiego sensu to nie miało, przynajmniej w trakcie tej akcji – podejrzanym miejscom mieliśmy po prostu omijać – ale rutyna robi swoje. Inna sprawa, że taki układ był mi trochę na rękę. Piwo parowało ze mnie, a zwolniona przez nie przestrzeń od razu nasiąkała obawami.

Przez chwilę nawet zanosilo się na to, że jednak nie pojedziemy. Młynarczyk pojawił się wprawdzie na samym końcu, ale jego czujne oko strzelca wyborowego natychmiast wychwyciło nietypowy dodatek do mrocznego wnętrza bewupa.

– Chce ją pan zabrać? – posłał posępne spojrzenie stojącemu przy drzwiach Szamockiemu.

– Prasa, czwarta władza. Nie odmawia się władzy.

Pomyślałem, że to przez skłonność do takich niefrasobliwych odzywek Czarek wciąż pozostaje porucznikiem.

– A jak coś się stanie?

– Nie wypuszczę władzy z wozu. A w środku może sobie co najwyżej nabić guza.

– Mają półcalówkę – Młynarczyk nie podchwycił ani odrobiny oficcerskiego uśmiechu. Też nie wróżyłem mu szybkiej ścieżki awansu: brak poczucia humoru, zwłaszcza w towarzystwie starszych stopniem, jest równie szkodliwy jak jego nadmiar.

– A my bewupa – Szamocki postukał w pancerz.

– Snajper z półcalówką i jajami starczy na bewupa.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie. Obaj popisali się tym razem taktem i solidarnie nie patrzyli w moją stronę. W końcu Czarek wzruszył ramionami.

– Mamy drugiego w rezerwie. Wsiadaj, bo nam zwieją.

Kapral już bez słowa wgramolił się do środka.

Przejechaliśmy gruntową drogą raptem pół kilometra; potem usłyszałem w słuchawkach, jak Szamocki wydaje Sławkowi rozkaz skrętu w lewo.

– Tu lepiej nie – zaprotestował nieśmiało Sławek. – Można zerwać gąsienicę. No i wytrzęsie nas.

– Miny też wytrząsają – przypomniał porucznik.

Prawda: po okolicy kręcili się terroryści.

Zjechaliśmy z wyboistej gruntówki. Dopiero teraz miałem okazję przekonać się, jak komfortową podróż zapewniała. Sławek jechał powoli i nie rzucało nami o nisko zawieszony strop – ale na tym kończyły się zalety trasy.

Na szczęście Szamockiemu szybko znudziło się badanie odporności wozu i ludzi.

Skręciliśmy na zachód w pierwszym nadającym się do tego miejscu i już po uczciwym piasku dojechaliśmy do wyznaczonego rejonu. Wóz pierwszej drużyny odbił w lewo i przepadł w ciemności, a my znaleźliśmy ładny, płaski barchan, zza którego wystawała jedynie wieża bewupa. Wiatry uformowały rogalokształtną wydmnę trochę za daleko od skraju takyru, ale był to zbyt dobry naturalny okop, by rezygnować z niego dla poszerzenia sektora widoczności.

Szamocki rozłożył mapę, przestudiowaliśmy ją wspólnie i doszliśmy do wniosku, że uciekający przez solnisko pojazd tak czy inaczej powinien wjechać nam przed lufę. Piesi, trzymający się skraju płaskiej niecki – już nie. Ale piesi nie mieli prawa dotrzeć tu wystarczająco szybko, no i nie powinni stanowić poważniejszego zagrożenia. Zresztą mieliśmy własną piechotę.

– Kaem na tamtą wydmnę – pokazał Grześkowiakowi Szamocki. – Jeden może się zdrzemnąć, ale drugi ma obserwować prawą flankę. Młynarczyk, weźmiesz lewe skrzydło i tyły.

Kaśka obiecała nie sprawiać problemów i jak dotąd z godną uznania konsekwencją trzymała buzię na kłódkę. Przemówiła dopiero, kiedy pobrzękujący oporządzeniem żołnierze oddalili się w wyznaczonych kierunkach.

– Jeden człowiek? – zerknęła w ślad za ginącymi w mroku plecami kaprała. – I to ze zwykłym karabinem?

– Młynarczyk – poprawił ją Czarek z wyrozumiałym uśmiechem w głosie. – Spokojna głowa. Ma na koncie więcej terrorystów niż niejedna pierwszoliniowa kompania. Gdyby była pewność, że ci czterej nie przyjadą jakimś solidnym wozem, nie byłoby nas tu. Młynarczyk, jego

karabin, pięć naboji – i po sprawie.

Jeszcze raz obejrzała się do tyłu. Noc była stosunkowo jasna, choć bezksiężycowa, ale gotów byłem się założyć, że niczego już nie zauważyła. Tych dwóch taszczących na wydmę kaem było i widać, i słyhać. Młynarczyka nie.

– Taki Superman? – Nie próbowała kryć zainteresowania.

– Człowiek – sprostował. – Supermanowi starczyłyby cztery naboje. Ten piąty to na ludzką omyłność.

– Jest dobry – stwierdziłem krótko.

– Lepszy od nas – dorzucił z żartobliwym smutkiem Szamocki. Po czym zacytował: – Snajper z jajami starczy na bewupa. Aha – przypomniał sobie – no i z półcalówką.

Potem znów milczeliśmy. Czułem skrępowanie Kaśki. Może gdyby był z nami ktoś trzeci, łatwiej byłoby zacząć rozmowę, Szamocki jednak, jak na złość, rozsiadł się przy radiostacji z mapą na kolanie. Nasłuchiwał zwięzłych meldunków kolejnych uczestników obławy, kreślił mazakiem po folii i chyba próbował wyrobić sobie pogląd na ogólną sytuację.

Student, uwiązany do swej armaty, siłą rzeczy nie wychylał nosa z wieży, a Sławek musiałby chyba dostać rozkaz na piśmie, by do nas dołączyć. Był dokładnym przeciwieństwem Don Juana i zwyczajnie bał się kobiet.

– Wreszcie chłodniej – zauważyła Kaśka po przeraźliwie długiej przerwie. Wysiadając, chłopcy zostawili otwarte na oścież drzwi, przycupnęła więc w progu i czekała, aż coś powiem.

Nie doczekała się. – Zawsze tu tak?

Pogoda. Że też sam na to nie wpadłem. Temat samograj.

– Zimą jest całkiem zimno. W nocy też. Nie wzięłaś jakiegoś swetra? – Potrząsnęła głową.

– Kiepsko. Zaraz przestanie być przyjemnie.

– No tak, pustynia. Głupia jestem. I to magister geograf... Ale po tym upale trudno sobie wyobrazić... – Przez chwilę szukała pomysłu na ciąg dalszy. – Przejdziesz się?

Przemknęła mi paniczna myśl, że zostałem rozgryziony i że proponuje mi to, bo już wie, co chcę powiedzieć. Oczywisty idiotyzm. Skinąłem głową. Podniosła się. Energicznie, ale było w jej ruchach coś kojarzącego się ze skokiem pod lodowaty natrysk. Ruszyliśmy powoli po śladach gąsienic. Piasek pustyni nie ułatwia spacerów – może dlatego każde z nas trzymało się swojej koleiny. Odkryłem, że BWP ma całkiem niezły rozstaw kół. Jak znalazł dla pary dawnych znajomych, którzy męczą się nawzajem swoją obecnością.

– Nie wiedziałam, że jesteś w wojsku – mruknęła.

– Niby skąd – wzruszyłem ramionami. – Porozjeżdżali się wszyscy. Nie mieszkasz w Starga...

– Już prawie rok – przerwała mi cicho.

– Poznań się wam znudził?

– Tak wyszło. A ty... służysz w Stargardzie?

– Krótko – westchnąłem. – Poligon i od razu Azja. A tutaj... Może i dobrze, że to już tylko parę tygodni.

– Wycofują was do kraju?

– Mnie. Do cywila.

Zatrzymała się. Szliśmy w ślimaczym tempie, ale i tak odebrałem to jako miły gest.

– Zwalniają cię? Czekaj... Ty służysz zawodowo, tak?

– Takich dziadków już nie biorą siłą – uśmiechnąłem się. – Podpisałem kontrakt.

– To znaczy... stracisz pracę? – upewniła się. Wzruszyłem ramionami, możliwie niedbale.

– Kurczę...

Na szczęście nie powiedziała, że jest jej przykro.

– Popatrz na to inaczej – zaproponowałem. – Jak dożyję, to potem przeżyję.

– Jest tak ciężko?

– Nie czytasz gazet? Ładnie to tak, pani redaktor?

– Miałam przerwę w życiorysie. Zawodowym – dodała. – Ale zanim tu przyjechałam, trochę nadrabiałam zaległości. I wiesz co? Mało się pisze o tej wojnie.

– A czym się chwalić? – Jakiś czas szliśmy obok siebie w milczeniu. – Właściwie jakim cudem cię tu przysłali?

– Szczerze? – Wyczułem uśmiech w jej głosie. – Premier leciał odwiedzić żołnierzy w Turkmenistanie. Były wolne miejsca w samolocie, więc zaprosił dziennikarzy. Nie wiem, na jakiej zasadzie, ale nasza naczelna się załapała na darmochę. Sama nie ma czasu, więc...

– Wygląda, że masz u niej chody.

– Fajnie by było – mruknęła bez entuzjazmu.

Odeszliśmy sto metrów od wozu. Uznałem, że wystarczy. Otaczała nas pustynia, ale ostrożni żyją dłużej. Zawróciłem. I zatrzymałem się po paru krokach.

– Czekaj no... A powrót? Premier pewnie zaraz...?

– Namówiliśmy... to znaczy namówiłam szefową na serię artykułów. Wiesz: środkowa Azja widziana kobiecym okiem. Mam wracać przez Uzbekistan, Kazachstan... Pociąg, autobus.

Nie powinno dużo kosztować, a może uda się zebrać trochę ciekawostek. W najgorszym razie napstrykam zdjęć i pospisuję co się da z lokalnych przepisów.

– Ale zaczynasz od wojny?

– Mówiłam: niektóre kobiety też czasami myślą.

– Tak mnie zapamiętałaś? – uśmiechnąłem się. – Jako gościa, który w to wątpi?

Nie wiem, czemu to powiedziałem. Wcale nie chciałem kierować rozmowy na wspominkowe tory. Prawdę mówiąc spora część mojego umysłu w ogóle buntowała się przeciwko jakimkolwiek rozmowom. Chyba ta rozsądniejsza.

– No, dla Olki byliście z Maćkiem bezlitośni.

– Bo to blondynka. – Nie mogłem się powstrzymać.

– Ale ciemna – zripostowała.

– Ale farbowana – prychnąłem. – Myła włosy sadzą, żeby wyglądać inteligentniej.

Roześmialiśmy się oboje. Głośno – nie zdziwiłbym się, gdyby w tym momencie kilka noktowizorów obróciło się w naszą stronę. Jeśli tak, trochę zazdrościłem ich użytkownikom.

Przez chwilę Kaśka była tamtą dawną, wiecznie szczerzącą zęby dziewczyną. Strasznie fajną.

– A wiesz, widziałam ją. – Zatoczyła dłonią przed brzuchem. – Trzecie, uwierzyłybyś? Ma dziewczyna zdrowie.

– Albo bogatego męża – mruknąłem. Mój dobry humor, o ile można o czymś takim mówić, nagle diabli wzięli.

Przeszliśmy parę metrów. Zastanawiałem się ponuro, czy zauważyła. A dokładniej: domyśliła się powodów.

– Albo po prostu nadal jest blondynką.

I znów udało nam się wspólnie pośmiać. Nie tak radośnie, lecz na swój sposób był to cenniejszy rodzaj rozbawienia. Wyglądało na to, że Kaśka zdobyła się na wysiłek i szybko wymyśliła żart, chcąc naprawić swój błąd. Chociaż, obiektywnie biorąc, żadnego błędu nie popełniła.

Czyli potrafi być delikatna. Nie znałem jej od tej strony. Nie było okazji poznać.

Dotarliśmy w pobliże bewupa akurat w momencie, gdy Szamocki zdecydował się skorzystać z nadajnika.

– Paralizator? – usłyszałem jego lekko podniecony, pełen niedowierzania głos.

Zatrzymałem się dość gwałtownie. – Taki na prąd? – Słuchał przez chwilę, potem myślał, a na koniec rzucił wyraźnie kpiącym tonem: – Tłumików nie mieli? – Przerwa. – Bez powodu. Tak mi się skojarzyło. Gangsterska broń. To cześć. Bez odbioru.

Było tak cicho, że brak dźwięków aż dzwonił w uszach. Uświadomiłem sobie, że nie należało tu wracać. To znaczy: o ile mieliśmy w planach jedną z tych rozmów, które lepiej prowadzić bez świadków. Czyli, w naszym przypadku, prawie każdą. Na szczęście Szamocki uwolnił mnie od pytania, co zrobić z resztą wieczoru, a może i nocy. Przeciągnął przez właz swe długie, szczupłe ciało, przeszedł po panczerzu na tył wozu i pochylił się nad naszymi głowami.

– Załatwili dwóch – powiedział nijakim tonem. – Na północny zachód od kołchozu.

Podobno szli w stronę delty.

– No to marnujemy tu czas – wyraziłem swą opinię. – Jesteśmy akurat na południowym wschodzie. Zresztą łatwo było przewidzieć, że nie poleżą w głąb pustyni.

– W delcie Murgabu jest dużo wojska – przypomniała Kaśka niezbyt pewnym głosem.

– Ale jeszcze więcej osiedli i kryjówek. No i wody. Gdyby się skierowali na wschód,

musieliby liczyć na własne zapasy. – Zerknąłem do góry, na rozsiadającego się po turecku Szamockiego. – Co nieśli?

– Po pistolecie, trochę granatów... Nic szczególnego.

– I paralizator – przypomniałem.

– A, właśnie... Jakoś mi to nie pasuje do partyzantów. Szkoda, że nasi nie zaryzykowali brania ich żywcem. Zaczęli strzelać z daleka i teraz nie ma nawet pewności, czy to ta sama grupa, którą tropił BRDM. Żadnej długiej broni nie znaleziono. Możliwe, że to zwyczajni mafiosi.

– Mają tu mafię? – zainteresowała się Kaśka.

– Jest czarny rynek – zaczął odliczać na palcach. – Handel bronią na wielką skalę. Są narkotyki, alkohol i coś zbliżonego do prohibicji. Prostytucja kwitnie aż miło. Nie wiem, jakim cudem miałyby nie być zorganizowanej przestępczości. Ale to chyba nie interesuje czytelniczek pisma dla pań – dorzucił z żartobliwym uśmiechem.

– Nie wiem. – Też się uśmiechnęła, ale jakoś niewesoło. – Przekonamy się.

– Chyba nie chce pani pisać o turkmeńskiej mafii?

– Zobaczę. Jeśli ci zabici okażą się gangsterami, to chyba będę musiała.

– Nie ma presji w tej profesji – rzuciłem. – Dziennikarz wolnej Polski pisze, co chce.

– Wyczuwam złośliwość – powiedziała bez ogródek.

– Bo on nie lubi dziennikarzy – pospieszył z donosem Szamocki. – Poza tą swoją Iloną.

Mówi, że prasa kłamie.

– No cóż – uśmiechnęła się. – Dopiero debiutuję.

– Żartujesz – posłałem jej zdziwione spojrzenie. – Debiut i od razu ciepłe kraje?

– Naczelną dała mi szansę, ale to też rodzaj sprawdzianu. Jeśli napiszę coś dobrego, zostanę. Jeśli nie... – Nagle błysnęła zębami. – Jak widać, wszyscy walczymy o przetrwanie. Nie musicie się ze mną pieścić.

– Ja nawet nie mogę – skorzystał z okazji Szamocki. – Mam fajną żonę i równie fajną spadkobierczynię. Ale Adam... – znacząco zawiesił głos. Jeżeli chciał wprawić kogoś w zakłopotanie, co najmniej w stu procentach osiągnął cel. Ale skłaniałem się ku tezie, że raczej w dwustu. Kaśka unikała mego wzroku równie konsekwentnie jak ja jej. Na szczęście Czarek był na tyle bystry, by zmienić temat. – A tak serio... Po co pcha się pani w takie miejsca? Pisać o chłopakach w mundurach, tęskniących do swych dziewczyn, można w Bajram-Ali przykładowo.

Nie mówię, że w Warszawie, ale żeby aż u nas... Chyba że on panią zwabił – skinął w moją stronę. – Kumpel ze szkoły, punkt zaczepienia na początek?

– Pudło – uprzedziła mnie. – Mało mi szczęka o ziemię nie stuknęła, jak zobaczyłam Adama. Mój punkt zaczepienia to znajomy... no, jednego znajomego. Pułkownik. Służy w sztabie NATO w Aszchabadzie. Miał tak mną pokierować, żebym za długo nie jeździła, a spotkała wielu

ciekawych ludzi. No i trafiłam do was.

– A ja się zastanawiałem, dlaczego przegrywamy tę wojnę – pokiwał głową. – No, z takimi sztabowcami... Czym mu pani tak zdążyła podpaść?

– To nie tak. Zastanawialiśmy się, jak szybko, tanio i bez użerania się z biurokracją spotkać chłopców, którzy właśnie wączali proch, no i przyszło mi do głowy, że może by tak jakiś magazyn z amunicją. Przyjeżdża wóz po uzupełnienie pocisków, można się nim zabrać i... Mam też na celowniku szpital, ale nie wiem... To za smutne jak na kolorowy magazyn.

Milczeliśmy przez chwilę. Zastanawiałem się, czy z podobnych powodów. Okazało się, że tak.

– Poślę córkę na dziennikarstwo – mruknął w końcu Szamocki. – Kolorowy tygodnik, a taki łeb... Ja bym na to nie wpadł. Proste, a jakie genialne.

– Nie śmieście się ze mnie – poprosiła, trochę szczerze, a trochę żartobliwie. – Zielona jeszcze jestem.

– Gadanie. – Zeskoczył z dachu bewupa i stanął przed nią. – Nie chce pani zobaczyć, na czym ta zabawa polega?

– Zabawa?

– Nowoczesna wojna.

Miałem złe przeczucia, ale nic się nie dało zrobić. Kiwnęła głową tak, że do jej powstrzymania potrzebowałbym imadła.

– No to jedźmy – powiedział poważnym już tonem.

– Dokąd? – warknąłem.

– Na strzelnicę.

\*

Pod koniec wróciła mi nadzieja: okolica pokółchozowego osiedla przypominała wszystko, tylko nie strzelnicę. Same zabudowania – po radziecku szokujące zestawienie nowoczesnych, niedużych bloków i jakichś ni to bud, ni lepierek – wzniesiono wprawdzie na dnie płaskiego obniżenia, ale dookoła nie było ani kawałka otwartego terenu. Z trzech stron rozciągały się rogale barchanów, a na zachodzie, dokąd sięgało ramię kanału nawadniającego, widoczność ograniczały zarośla, parę szop oraz kilka rzędów topoli. Amatorzy strzelania z broni krótkiej znaleźliby tu miejsce dla siebie, ale już szkolenie żołnierzy w posługiwaniu się karabinem natrafić mogło na trudności. Problem w tym, że myślałem kategoriami koszarowymi, przyjmując lekarską dewizę „po pierwsze nie szkodzić”. Szamocki nie miał takich zahamowań.

– Może być! – Siedzieliśmy z przodu lewej ławki, tuż za nim, więc mimo braku dostępu do interkomu usłyszałem rozkaz. – Stop! Wyłącz silnik!

BWP nieruchomiał. Wydma wybrana przez porucznika zapewniała niezły widok na osiedle i otaczającą je falistą pustynią. Od zabudowań dzieliło wóz trzysta metrów.



To była jakaś szansa.

– Widać nas – zauważyłem krytycznie. – Nawet pocisk z granatnika doleci, jakby co.

– Myślisz, że trzymają RPG po domach? – Stanął w otwartym włączu, demonstracyjnie lekceważąc i granatniki, i potencjalnych snajperów. – Jeśli nie nasi, to tubylcy cheszą ich tu najmniej raz w tygodniu. – Porozglądał się, korzystając z lornetki. – No, nieźle. Grześkowiak, na dole masz zarośla. Złap się za toporek i natnijcie maskowania.

Grześkowiak i Hofman wyszli z wozu. Młynarczyk otworzył włącz dachowy, zaczął oglądać osiedle przez noktowizor.

– Prześpij się – mruknąłem do Kaśki. – Póki ciepło.

– Nie chcę niczego przegapić. – Głowa kiwała jej się zbyt wyraźnie, by próbowała wmawiać mi, że pomysł spania sam w sobie wydaje jej się absurdalny.

– Nie będzie czego – powiedziałem trochę głośniej.

– Nigdy nie wiadomo – błysnął zębami Szamocki.

– Założę się, że nie będzie do kogo strzelać.

– Może. Ale jak będzie... – zawahał się. – Stówę, że załatwimy łobuza pierwszym strzałem?

Wiedziałem, co ma na myśli, i nawet po cichu mu wierzyłem, ale zirytował mnie, zabierając Kaškę.

– Z armaty? – rzuciłem ironicznie. – Kaktus mi wyrośnie.

– Stoi?

– Stoi. – Łatwo mi to przyszło: nie wierzyłem, by któryś z domniemanych partyzantów okazał się tak głupi, by zawędrować w te okolice. No i pokazać się w celowniku.

– Jest pani świadkiem, pani Katarzyno.

– Może po prostu... Kaška – wyciągnęła rękę w jego kierunku.

– A, miło, miło... Czarek. Nie ma ktoś piersiówki? Wypilibyśmy brudzia, wojsko to wojsko, ceremoniał musi być. Co, Młynarczyk? Nie chomikujesz jakiejś flaszeczki?

– Nie. – Kapral osunął się niżej, odłożył noktowizor. – Nie podoba mi się tu. Dużo pustych okien.

– Szkło kosztuje. No to dopiero w bazie.

– I domów sporo. – Młynarczyk bardziej mamrotał do siebie, niż dyskutował z dowódcą. – Obcy nie kłuje w oczy.

Szamocki obrócił swój peryskop ku zabudowaniom dawnego kołchozu. Oglądał je długo, zastanawiał się.

– Te dwa skrajne bloki – mruknął w końcu. – Jeśli w ogóle, to stamtąd mogliby nas skutecznie ostrzelać.

Wstałem i też obejrzałem osadę. Docierała tu elektryczność i choć tubylcy używali jej oszczędnie, nawet bez pomocy noktowizora mogłem ocenić sytuację.

– Na twoim miejscu wyniosłbym się stąd – powiedziałem.

– Bo?

– To nie czołg – postukałem w blachę. – Nie trzeba od razu RPG. Na burtę starczy czterdziestka. A z czterdziestki można strzelać przez okno. Nie upilnujesz za cholere.

– Co to jest czterdziestka? – upomniała się Kaśka.

– Taki mały granatnik podwieszany pod karabin.

– No to staniemy przodem – trwał przy swoim Szamocki. – Nie będziemy zmieniać wzgórza. Stąd wszystko widać.

– Jak staniesz przodem do osady, to bok będziesz miał na zachodzie. A oni przyjdą z zachodu. Mniejsza z tym, że będziemy lepiej widoczni. Gorzej, jeśli naprawdę mają półcalówkę.

Będzie jak wtedy przy moście. Akurat lewa burta.

Czułem, że moje argumenty trafiły mu do przekonania. Nie był rasowym oficerem liniowym, ale nadrabiał inteligencją. Teraz też nadrobił. Choć nie tak, jak oczekiwałem.

– Dobra. – Głos mu stwardniał. – Młynarczyk, ten prawy budynek. Pójdziesz na dach i będziesz miał oko na dwa bloki po drugiej stronie podwórka.

Poczułem lekki ucisk w żołądku. Budynki były trzykondygnacyjne i trzyklatkowe, nieduże. Trochę jak w polskich pegeerach albo osiedlach z lat pięćdziesiątych. Ale było ich kilka, nie licząc jednorodzinnych domów, domków, chałup i składzików. Dochodziła dziesiąta, w kilkunastu oknach widać było światła. Ubożsi lokatorzy używali nafty lub świec, ale rzecz nie w tym, czym niweczyli spowijający osadę mrok. Ważne, że nie spali. I że było ich dużo.

– To nie jest dobry...

– Zamknij się, Adam – powiedział dość łagodnie, ale zdecydowanie zarazem. – Nie ty dowodzisz.

Nic dodać, nic ująć. Zamknąłem się, bo choć przywoływał mnie do porządku kierowany głównie ambicją zawodowca, był w dużej mierze podobnym do mnie półamatorem i jedynym facetem, z którym mogłem swobodnie pogadać na dowolny temat. Może to draństwo, lecz z dwojga złego wolałem martwego Młynarczyka niż obrażonego Czarka. Gdyby ludzkie życie ważyło więcej niż czyjeś wygody, nie byłoby nas tutaj, bo nikt nie wymyśliłby wojen.

Młynarczyk miał oczywiście prawo widzieć to inaczej.

– Mam tam iść? Sam? – Póki co, mówił spokojnie, ale chyba nikt nie dał się zwieść pozorom. Obaj zresztą wstali, jak przystało na mężczyzn, szykujących się do starcia.

– Jesteś najlepszy. Urodzony zabójca. – Szamocki postarał się o żartobliwy ton, lecz i on nikogo nie oszukał.

– Jak się coś zacznie, już nie zejść z tego dachu – wycedził kapral. – Byle łachudra z nożem mnie zablokuje.

– Owszem – rzucił chłodno Szamocki. – Tyle że to działa w obie strony. Nie zejdziesz, ale oni nie wejdą. Wyższych domów nie ma. Dobrze się ustawisz i będziesz bezpieczny.

– Pieprzenie. – Palce Młynarczyka wbiły się w boki uniesionej pokrywy. Albo miała powstrzymać go przed skokiem do oficerskiego gardła, albo na odwrót: przymierzał się do wyrwania włazu i rzucania płatem pancерnej blachy. Tak czy inaczej zrobiło mi się trochę mdło.

Sprawy zaszły za daleko i wiedziałem już, że skończyła się epoka poprawnych stosunków między tymi dwoma. Będę musiał opowiedzieć się po jednej ze stron. I automatycznie podpaść drugiej.

– Licz się ze słowami – powiedział dość spokojnie Szamocki. – Mam trochę więcej na pagonach.

– Szkoda że nie w głowie. O granatach pan uczony słyszał? Dużo trzeba, żeby wrzucić granat na dwupiętrowy...?

– Jak się coś zacznie, nie tobą się będą zajmować, lecz nami. I bez obawy: nie zamierzam cię zostawić na tym dachu. Zaopiekuj się tamtymi dwoma budynkami; reszta to nasz kłopot. I nie zmuszaj mnie do pisania raportu.

– Bo co? Boby trzeba napisać, że przyjechaliśmy tu poszpanować przed jakąś dupą?

Kaśka nie wstała z ławki i teraz pewnie gratulowała sobie tej wstrzemięźliwości. Nikt się nie łudził, że nie słyszała, ale w jakimś sensie nie było jej tu z nami – Szamocki mógł zignorować nakaz obrony damskiego honoru i zająć się sprawami poważnymi.

– To rozkaz, kapralu – rzucił lodowatym tonem. – Wydany w warunkach bojowych.

Odmawiacie wykonania?

– Z nikim nie walczy...

– Pytałem, czy odmawiacie wykonania rozkazu?!

Młynarczyk przez chwilę zdawał się na serio – co nie znaczy: na chłodno – rozważać taką możliwość. Nie zaczął jednak od łapania porucznika za gardło i jeszcze nim podjął decyzję, wiedziałem, czym się to skończy.

– Rozkaz – wycedził wreszcie. Zsunął się po burcie i z karabinem w ręku pomaszerował w stronę osiedla. Pomyślałem, że jest wściekły: dopiero w połowie drogi przypomniał sobie o innych wrogach, ujął broń oburącz i skręcił, by skorzystać z osłony zarośli.

## Rozdział 4

Elektrooptyczne nocne przyrządy obserwacyjne naszego BWP były o trzy dekady młodsze od reszty pojazdu, ale, choć nowoczesne, nie dorównywały termowizorom. Każdy z trzech członków załogi dysponował wzmacniaczem szczątkowego światła gwiazd czy księżycy, czyli mniej więcej tym samym, czym dysponuje kot lub sowa. Czyniło to jego oczy niemal równie skutecznymi jak za dnia – lecz nic ponadto. Pasywne noktowizory nie odróżniały obiektów ciepłych od chłodnych i zbliżający się człowiek nie świecił niczym żarówka na tle terenu. Według producenta przyrząd dowódcy pozwalał na kontrolowanie otoczenia w promieniu 1200 metrów, ale dotyczyło to chyba intruzów wielkości pojazdu, a nie ludzi oglądanych pod postacią głów czy popiersi.

Nic dziwnego, że człowiekowi, na którego czekaliśmy, udało się zbliżyć niepostrzeżenie na pół kilometra. Dookoła było za dużo pagórków, a Szamocki nie miał pewności, z której strony tamten nadejdzie, i musiał przeczesywać wzrokiem trzy czwarte horyzontu. Poza tym Turkmen był mocno spóźniony. Zanim się zjawił, wszyscy byli już znudzeni, senni i odpowiednio mniej czujni.

Siedziałem obok posapującej przez sen Kaśki, rozmyślając z goryczą o tym, że znów dałem plamę we wszelkich możliwych dziedzinach. Nie powinno nas tu w ogóle być – ale nie postawiłem się Szamockiemu i byliśmy. Nie wybiłem komuś z głowy pomysłu zabierania dziewczyny na pustynię. Nie zrobiłem niczego, by umożliwić jej wygodną drzemkę. Od drzwi do wieży ciągnęły się rozdzielone zbiornikiem ławki dla czterech żołnierzy każda. Dwie osoby mogły tu wygospodarować jedno miejsce leżące. Wystarczyło pomyśleć i zaproponować...

O tym, że na dodatek jest jej zimno, przypomniałem sobie dopiero tuż przed alarmem.

Szamocki poruszył się i etap ciszy na pokładzie przeszedł do historii.

– Pobudka, Student. Klient na pierwszej. Tylko spokojnie, nie strzel przypadkiem. – Zaszumił elektryczny napęd i wieża zaczęła się obracać. – Weź namiar.

Celownik armaty był dokładniejszy od przyrządu dowódcy, więc Studentowi nie sprawiło kłopotu odszukanie wskazanego obiektu. Gorzej z pomiarem odległości: BWP nie miał zabudowanego laserowego dalmierza. Student musiał wychylić się z wieży i użyć przenośnego, podobnego do lornetki urządzenia.

– Pięćset czterdzieści pięć – odczytał.

– Do faceta czy czegoś obok?

– Za mało widać. Mierzyłem w ten krzak z lewej.

Nie pokrzykiwali bynajmniej, ale w wozie było cicho i nawet rzucane półgłosem słowa natychmiast przebijały się przez słabą barierę nieświadomości, budząc śpiących. Hofman

poruszył się w swoim kącie, Grześkowiak usiadł i ziewając jak hipopotam, drapał się po krótko ostrzyżonej głowie.

– Nie wiem, czy się uda – Szamocki obrócił się i przechylił zza oparcia ku zdezorientowanej dziewczynie. – Kwestia refleksu. Ale spróbujemy sfotografować eksplozję.

– Mam fotografować wybuchy? – Nie czułem entuzjazmu w jej głosie. Trudno skakać z podniecenia, mając obolały tyłek i perspektywę uwiecznienia na kliszy odległej o pół kilometra kulki ognia, otoczonej doskonałą czernią nie wiadomo czego. Za takie zdjęcia nie przyznają nagród.

– Wybuch – poprawił ją Szamocki. – Przypominam o zakładzie. Gość robi „padnij”, strzelamy i jedziemy liczyć, ile jest w nim dziur. Słyszysz, Student? Masz się postarać.

Było ciemno. Nie umiałem ocenić stanu emocjonalnego Kaśki. Nad głosem panowała niemal perfekcyjnie. No i była otepiała po drzemce.

– Chce pan zabić tego człowieka? – zapytała.

– Proszę? – Szamocki jakby się zdziwił, co zdziwiło z kolei mnie. Wojna wojną, ale nie miał przecież bagażu doświadczeń porównywalnego z tym Młynarczyka. Powinien podchodzić do tych spraw trochę bardziej po ludzku.

– Nie próbujecie ich łapać? Myślałam...

– Może złapiemy – powiedział, odczekawszy uprzejmie parę sekund. – Odłamki są lekkie, bo pocisk mały. Coś jakby śrut, więc nie zabijają tak łatwo. Przy odrobinie szczęścia dostarczymy go panom z wywiadu prawie na chodzie.

– Ładne mi szczęście – mruknąłem. Oboje zerknęli pytająco w moją stronę. – Traf go w rękę czy nogę, to najpierw nas ostrzela, a potem wyląduje na przesłuchaniu zamiast w szpitalu.

Nie wiem, kto miałby sikać z radości.

– O co ci chodzi?

– Mógłbyś po prostu poczekać, aż wyjdzie na otwartą przestrzeń. Seria pod nogi i facet podnosi ręce.

– Żal ci go?

– Jest szansa, że to cywil. Może chłopak idący na randkę. Wiesz, jak działa komunikacja.

Autobus się spóźnił...

– Każde dziecko wie, że obowiązuje godzina policyjna. Łazisz po zmroku – siebie wiń. A uczciwy szedłby drogą. Nie, Adaś. To terrorysta albo w najlepszym razie handlarz czegoś trefnego. Tak czy siak łobuz. Puść go, a jutro zakopie minę na naszej drodze albo wsadzi ci nóż.

– Żywy może wydać innych.

– Gówno – rzucił z lekkim zniecierpliwieniem. – Po dobroci to oni nigdy nie wydają. A już na pewno nie nam. Dobrze wiesz, co będzie, jak go capnę.

– Co będzie? – zapytała Kaśka. Nie sądziłem, że jej odpowie. I pomyliłem się.

– Nasi oddadzą go Turkmenom.

Czekała chwilę, nim zrozumiała, że skończył.

– I co? Nie dostaniecie pochwały w rozkazie?

– Nie w tym rzecz. Nikt tu nie lubi partyzantów, ostatecznie strzelają do nas, ale co innego kropnąć takiego, a co innego oddać tym rzeźnikom.

– Turkmeńskiej policji? – upewniła się. – Oni...?

Dał jej czas, by dokończyła. Nie skorzystała. Przywarł twarzą do osłony peryskopu.

– Czterysta osiemdziesiąt – usłyszałem głos Studenta. – Powolutku idzie. Ostrożny zawodnik.

Pomyślałem, że jeśli Turkmen ma noktowizor i trochę sprytu, uniknie pułapki. Nasz wóz był nieźle zamaskowany gałęziami saksaułu, ale gabarytami odbiegał od typowego dla okolicy skupiska roślinności i ktoś obdarzony zdolnością widzenia w mroku nie powinien go przegapić.

Lufa działa wolno podążała za pokazującym się i znikającym popiersiem piechura, więc padając nagle na brzuch, Turkmen nie wywinąłby się pociskowi – lecz gdyby dyskretnie zniknął na chwilę i nie zjawił się tam, dokąd powinien zmierzać...

Po cichu życzyłem mu takiego przebłysku intuicji.

– Dobra, zmierz do następnej góry. A jak powiem, puknij z kaemu. Ma się schować. – Szamocki odwrócił się w naszą stronę. – Wstawaj, Katarzyno, i szukaj aparatu.

Myślałem, że trochę ją zmroziła rozmowa o jeńcach wojennych. Może, ale nim skończył, stała w otwartym włączniku z palcem na wyzwalaczu migawki. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może traktować swój zawód śmiertelnie serio. Nie kojarzyła mi się z rasową dziennikarką, lecz przecież mogła nią być.

– Moglibyśmy go załatwić serią kaemu – wyjaśnił Szamocki. – Szansa pół na pół. Z armaty automatycznej trochę większa, ale jak się chybi i facet padnie, to i armata guzik da. A my mamy coś lepszego... Masz odległość, Student?

– Jest.

– No to... ku chwale Wojskowej Akademii Technicznej.

Student wystrzelił krótką, trzynabojową serię, odczekał chwilę i wypalił z armaty.

Dostrzegłem wykrzywioną w bolesnym oczekiwaniu twarz Kaśki. Spodziewała się pewnie potwornego huku – działało to działa, nawet takie krótkie jak nasze. Nie ogłuszyło nas jednak i usłyszałem serię trzasków migawki. Aparat robił to automatycznie, co nieźle wróżyło powodzeniu sesji zdjęciowej.

Pocisk eksplodował, zanim spłonęło paliwo raketowego przyspieszacza. Blisko i spektakularnie.

– Ma zapalnik czasowy. – Szamocki stanął we włączniku. – Dokładność rzędu trzech metrów, więc można skutecznie ostrzeliwać ludzi ukrytych w okopie. Adam wytłumaczy ci, jakie to

ważne. Wtedy, przy moście, nie mieli takiej amunicji. No dobra, jedziemy. Dawaj, Fornalski.

Zobaczmy, co z gościa zostało. Kasia, do środka. Różnie bywa.

BWP, pewnie na fali dumy z osiągnięć swego działka, odpalił silnik za pierwszym razem i z godną drapieżcy chyżością pomknął ku zdobyczy. Ci dwaj po prawej sięgnęli po karabiny, ja przeładowałem glauberyta, ale chyba żaden z nas nie wierzył, że ta ostrożność może okazać się potrzebna. Nawet gdyby cudowna zabawka Czarka zawiodła, Turkmen raczej umierałby teraz na zawał serca albo gnał na oślep byle dalej, niż szykował się do wymiany ognia z szarżującą górą stali. A gdyby jednak, to nie po to woziliśmy najeżoną uzbrojeniem i elektroniką wieżę, by jacyś na pół ślepi piechocińcy wyręczali ją w robocie.

I rzeczywiście: nie postrzelaliśmy sobie.

– Stop!

Niewiele widziałem. Kaśka też, lecz raczej nie dlatego stała obok, nie próbując podnosić aparatu.

– Chyba na amen. – Szamocki oderwał twarz od peryskopu i wynurzył się z wjazdu. – Adam, bierz wóz i wracaj. Facet mógł mieć kolegów w osiedlu. Oslaniajcie Młynarczyka.

Byłem tak zaskoczony, że mój protest dogonił go dopiero na ziemi.

– Chcesz tu zostać?! Zgłupiałeś?! Sam?!

Machnął niedbale dłonią.

– Zwykle głupieję sam. No już, nie ma was.

Sławek nie przepadał za nim i pewnie dlatego od razu zaczął zawracać. Szamocki kolejnym niedbałym ruchem wyciągnął pistolet i ruszył w stronę niewidocznego ciała.

\*

Pojawili się równocześnie, lecz śmigłowiec wylądował nieco szybciej, niż Szamocki dotarł do bewupa. Obserwowałem porucznika z fotela dowódcy wozu, ale nie miałem pewności, czy faktycznie przyspieszył na dźwięk narastającego terkotu. Strzelanina poderwała na nogi całe osiedle i musiałem skupić uwagę na tubylcach.

Wspólnicy partyzantów, o ile tu byli, mieli dość rozsądku, by pozostać w konspiracji.

Kilkadziesiąt osób wyległo na podwórka, dwa razy tyle stało w oknach, jednak nikt nie zapuszczał się poza obręb zabudowań, nie włąził na zajmowany przez Młynarczyka dach ani nie strzelał. Nawet jeśli w czyjejs rozgorączkowanej głowie zrodziły się takie plany, przylot śmigłowca skutecznie je przekreślił.

Mi-24 miał na burtach czerwone krzyże i półksiężycy, ale w charakterze dodatku do nich woził działko pod zdeformowanym od elektroniki nosem, po kaemie w bocznych drzwiach i długie masywne zasobniki, które bardziej wyglądały na rozsiewacze śmiercionośnego żelastwa niż bagażniki na nosze. Maszyna była silnie opancerzona – silniej nawet od swych przeciwpancernych krewniaków – i wyposażona chyba we wszystko, co pomaga śmigłowcowi

przetrwac na wspolczesnym polu walki. Zasadniczo byl to jeden z trzech Mi-24 SAR, smiglowcow poszukiwawczo-ratownicznych przeznaczonych do ewakuacji zestrzelonych lotnikow i innych pechowcow, ktorych nieszczęście dopadlo gdzieś, dokad zwykla albo i opancerzona karetka nie mogla dotrzec na czas, ale poniewaz NATO walczylo w warunkach zdecydowanej przewagi, rannymi zajmowaly sie lzejsze maszyny, a mile nader często wozily rozmaitych wazniakow. Zaden inny pojazd nie oferowal pasazerom tak dobrej ochrony i zestawu reanimacyjnego na wypadek, gdyby ochrona mimo wszystko zawiodla.

Tym razem dwudziestkaczwórka przywiozla trzyosobowy, majorowsko-pulkownikowski zespól ponurych i malomownych facetow, z daleka pachnacych wywiadem. Na sam ich widok jeszcze raz sklalem w myslach Szamockiego. Z wizyt specow od rozpoznania zazwyczaj nie wynikało nic dobrego.

Kiedy Czarek zauwazył, ze nie zdazy, zwolnil. Musialem wygramolic sie z wozu, stuknac obcasami i zlozyc meldunek.

– Tylko jeden? – zapytal najstarszy stopniem, pelen pulkownik w kamizelce i kapeluszu. – Jesteście pewni?

– Tak jest – odpartem z przekonaniem. Nie dotyczylo ono wprawdzie liczby nadchodzacych od strony pustyni ludzi, a tego, ze nalezy twardo upierac sie, iz zrobilismy wszystko idealnie – ale bylo szczere i to sie liczilo.

– A nie dalo sie zywcem? – skrzywil sie mlodszy z majorow. – Jeden czlowiek, dookolą pusto, a wy od razu z armaty... Mieliscie go na widelcu, przewaga miazdzaca, uciec nie mogl...

Czołem, poruczniku. – Odsalutowal niedbale zatrzymujacemu sie obok nas Szamockiemu. – Wlasnie tłumaczę waszemu zastępcy, jaką plamę daliście.

– To przez ten meldunek o karabinie 12,7 – powiedzialem szybko, nie chcąc, by Szamocki wyskoczył z wersją jaskrawo odmienną od mojej. – Wiedzielimy, ze scigani dysponuja bronia przeciwpancerną, a on pojawil sie nagle i wygladalo na to, ze mierzy w odslonieta burtę wozu.

Kąt byl prawie prosty, przebicie gwarantowane. Nie bylo czasu do namyslu.

Chyba ich przekonalem.

– Trup? – Major przeniosl spojrzenie na Szamockiego.

– Dostal cztery odlamki. – Sciągnal z ramienia chlebak. – To jego. Granaty. Mial tez scyzoryk, ale nie wzialem.

– Marny lup? – usmiechnal sie kwaśno drugi major.

– Nie, tylko... – Szamocki zawahal sie, zerkajac na wygladajaca z wozu Kaske. Odetchnal glębiej i dokonczyl sztucznie nijakim glósem: – Podcial sobie gardlo. Sumaryczny blad byl spory, pocisk eksplodowal kawalek za nim, no i oberwal glównie po nogach. Nie za mocno. Wie pan: wektory predkości odlamkow i...

– Wektory? O czym pan bredzi? – zdziwil sie pulkownik.



– Pan jest ten uczony z WAT-u? – ni to spytał, ni odpowiedział przełożonemu młodszy major. – Szwedzkie zapalniki, zgadza się? To był taki pocisk? – zerknął z zainteresowaniem w kierunku, z którego nadszedł Szamocki.

– Jeden strzał – Czarek nie krył dumy. – I po sprawie.

– No, nie całkiem – zauważył kwaśno pułkownik. – Potrzebny był jeszcze scyzoryk.

Dostrzegłem cień przemykający przez twarz Szamockiego.

– Jemu tak – mruknął. – Ale nie nam. Z wojskowego punktu widzenia był unieszkodliwiony. Klasycznymi granatami musielibyśmy strzelać parę razy, a i to nie wiadomo...

– Dobrze, dobrze. Więc nie żyje? No to przejdźmy się, panowie. Zobaczmy, kto nam się trafił. A pan, poruczniku, niech tu zostanie i ma oko na osiedle.

– Rozkaz. Panie pułkowniku! – Ruszająca w stronę wzgórz trójka się zatrzymała. – Przepraszam, ale tak się składa, że mamy fotografa. Pewnie przydadzą się do kartoteki...

– My też mamy, wyobraźcie sobie.

– Ale... – Szamocki sprawiał wrażenie kogoś na gwałt szukającego argumentów. Inna sprawa, że krótko to trwało. Mogłem ulec złudzeniu. – Mimo wszystko chciałbym zrobić parę zdjęć. Będą znakomitą ilustracją do mojego raportu dotyczącego zastosowania pocisków.

– I miłą pamiątką z wojny, co? Daj pan spokój.

Pułkownik był w marnym humorze i rzucało się to w oczy. Szamocki na tej jednej próbie poprzestał.

– Durny palant – ulżył sobie, kiedy oficerowie w asyście strzelca z automatem znaleźli się dostatecznie daleko. Posłał smętny uśmiech Kaśce. – Próbowałem.

– To... z mojego powodu? – Wyraźnie nie pomyślała o tym wcześniej. Ja tak. Ale nawet mnie pomysł wydał się trochę zbyt absurdalny. – Chciałeś mi załatwić ciekawe zdjęcia?

– No, uczciwie mówiąc, sobie przy okazji też. Naprawdę przydałyby się do dokumentacji testów. Siedzę tu głównie po to, by zbierać argumenty na skuteczność nowej amunicji.

– Dzięki – mruknęła z niepewną miną. – Ale w moim przypadku... Aż taka nowatorska nasza „Jagienka” chyba nie będzie. – Zawahała się, a potem zapytała jeszcze ciszej: – On to... widziałeś, jak sobie...?

– Nie – powiedział spokojnie. – Nie widziałem.

\*

Przez bramę przejeżdżaliśmy niemal równo o pierwszej w nocy. Nikt z nas nie wiedział, czy wcześniejsze odesłanie do domu było przejawem gniewu czy wdzięczności pułkownika, ale wątpię, by kogoś to obchodziło. Daleko na północy inny pododdział znalazł ślady kolejnego poszukiwanego i stało się aż nadto oczywiste, że tu, gdzie jesteśmy, nie przydamy się już na nic.

Zabawa się skończyła i mogliśmy wrócić na nudne, lecz własne śmiecie.

Okazały się mniej nudne, niżby to wynikało z rzutu oka na zegarek. Łomot muzyki dopadł

nas, ledwie Sławek wyłączył silnik.

– Wieści rozchodzą się szybko – rzuciłem ponuro, mrużąc oślepienie blaskiem oczy. – Bwana Kubwa Czarek ustrzelić gruby zwierz; być okazja imprezować mnóstwo bardzo.

Trochę przesadzałem: latarnie paliły się raptem trzy, a z głośników uruchomiono jedynie te w stołówce. Mimo wszystko na przybyszu z cichej linii frontu robiło to wrażenie.

– Co to? – Kaśka wystawiła głowę z wjazdu i uśmiechała się niepewnie, mrużąc oczy. – Wojna się skończyła?

– Tydzień – uświadomił ją Szamocki. – Mamy weekend. Chłopcy muszą się wyszumieć.

Bez obaw: to nadal wojsko. Imprezują tylko ci, których i tak miało nie być.

Sławek zatrzymał wóz przed Piątką, by wypuścić nasz trzyosobowy desant. Wyłowilem błysk butelki między udami jednego z siedzących pod ścianą chłopaków. Obaj mieli cywilne, kolorowe ubrania. Rzucali się w oczy. Chociaż nie aż tak jak para, która zaraz potem wyszła bocznymi drzwiami z baraku numer 1. To było dokładnie po drugiej stronie i na dobrą sprawę powinniśmy ich przegapić. Tyle że kobiecy wzrok ma swoją specyfikę.

– Przyjmujecie tu gości?

Głos Kaśki był lekko zdziwiony, ale już wtedy także lekko schłodzony. Odwróciłem się i jęknąłem w duchu.

Sukienki nie dało się przegapić. To była ta żółta w grochy, jedwabna lub jedwab udająca.

Grochów oczywiście nie dało się dostrzec z tej odległości i przy takim oświetleniu, podobnie jak twarzy właścicielki. Sukienkę – jak najbardziej. Zwłaszcza że krój był staroświecki, z długim do pół łydki, obszernym dołem typu „wczesna zimna wojna”.

– To plutonowa Górka – mruknąłem. – Jedliśmy razem...

Nie dokończyłem, bo towarzysz plutonowej zamknął drzwi i zajął się swoim rozporkiem. Był po cywilnemu, jak ci pod barakiem żołnierskim, i chyba zaciął mu się suwak. Podobnie jak tamci, był wyraźnie wstawiony, więc zamiast załatwić sprawę szybko albo chociaż dyskretnie, ruszył w naszą stronę ni to kaczym, ni marynarskim krokiem, szarpiąc się z zapięciem, podrzucając obscenicznie biodrami i nic sobie nie robiąc z damskiego, w dodatku podoficerskiego towarzystwa.

– Nie wysiadacie?

Głos Sławka uzmysłowił mi, że z pasażerów pozostała mu jedynie nasza dwójka.

Gapiliśmy się na Patrycję dłużej, niż wypada.

Rozmawiali, chyba nawet podśmiewała się z jego rozporzkowych kłopotów, ale w końcu nas dostrzegła. I zamiast śladem swego towarzysza skrócić w lewo, ku huczącej muzyką Szóstce, skierowała się w naszą stronę. Sekunda wahania – i już sunęła w poprzek drogi-placu, wyciągając energicznie długie nogi, które osłaniająca je zwiewna spódnica, paradoksalnie, czyniła jeszcze atrakcyjniejszymi.

Powinienem podążyć ku drzwiom. Niestety, na drodze stała Kaśka, i to stała tak zdecydowanie, że wszelkie aluzje subtelniejsze od popychania nic by nie dały. Ciut za późno spostrzegłem, że jest jakby zahipnotyzowana zaobserwowaną scenką. Co miało tę dobrą stronę, że przynajmniej wyzbyłem się złudzeń: odczytała wszystko równie jednoznacznie jak ja. Różnica sprowadzała się do tego, że nie znała Patrycji i panujących w bazie układów, więc ciut nią wstrząsnęło.

– Cali i zdrowi? – Patrycja na wstrząśniętą nie wyglądała. – Fajnie, że jesteś. Zaraz polecą nasz kawałek. – Lekki ruch głowy w stronę przerobionej na dyskotekę stołówki. – Już się bałam, że nie zdążysz.

– Nasz kawałek? – powtórzyłem tępo.

– No wiesz – zakręciła biodrami. – Taniec.

Cholera. Jeśli już, powinna nimi zakołysać. Na boki. Zerknąłem na profil Kaśki. Był nieruchomy, z załączkami twardości. Jasnowłosa ani na ułamek sekundy nie zahaczyła o nią wzrokiem, chociaż stanęła tuż przy burcie bewupa i siłą rzeczy tworzyliśmy dość ciasny trójkąt.

Cynicy twierdzą, że każdy ludzki trójkąt to układ „dwoje przeciw jednemu”. Nadszedł moment podziału na strony. Patrycja, choć w zasadzie bez słów, postawiła to w sposób otwarty, a jej konkurentka natychmiast odebrała niemy sygnał. Powinienem czuć się zaszczycony.

– Urządzenie potańcówkę? – uśmiechnęła się uprzejmie i przeraźliwie niezszczerze brunetka. – Chętnie zajrzę.

– Chyba nie da rady. – Blondynka nawet na niezszczerłość się nie siliła. – To zamknięta impreza. Tylko dla swoich.

Nigdy nie widziałem Kaśki skonfliktowanej z kimkolwiek. Nie, żeby była jakimś aniołem: po prostu słabo ją znałem, głównie ze spotkań towarzyskich, a te kojarzą się z uśmiechami i życzliwością. Nie potrafiłem wyobrazić jej sobie w roli wojowniczkii.

Okazało się, że umie walczyć.

– Ja jestem swoja – rzuciła wyzywająco.

– Nie tu – posłała jej krzywy uśmiech Patrycja. Nie wiem, czy to natura takim go stworzyła, czy dopiero cięcie przez prawy policzek. Tak czy inaczej, niektóre z jej grymasów potrafiły być paskudnie cyniczne. Niełatwo było wygrać z nią pojedynek wzrokowy, kiedy spuszczała ze smyczy gorszą część niebrzydkiej skądinąd twarzy.

– Tutaj może nie. – Kaśka wprawdzie nie wygrała, lecz i nie poniosła klęski. Patrzyła z góry, co w tego typu starciu nie jest bez znaczenia. – Ale znamy się z Adamem od dziecka. Nie przeskoczysz tego.

Nie wiedziałem, że zdążyły przejść na „ty”. Pewnie dlatego, że nie zdążyły.

– Nigdy nie wiadomo – zmrużyła oczy Patrycja. – Nie mam nadwagi, skoczna jestem.

Dobry cios. Mocno poniżej pasa, ale właśnie dlatego dobry. Umiarkowana dieta nie

zaszkodziłaby Kaśce. Co znaczyło, że słowa Patrycji trafiły jak w otwartą ranę. Kobiety, patrząc w lustro, widzą to, co reszta świata, tyle że każdą nadwyżkę mnożą co najmniej przez trzy.

– Lekka nie znaczy od razu skoczna – wycedziła Kaśka.

Stwierdziłem ze zdziwieniem, że i jej nieźle wyszedł cios. Zanim blondynka pozbiierała myśli, ciemnowłosa zanurkowała pod klapę tylnego wjazdu i wyskoczyła miękko z wozu.

– Idziesz? – Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę baraku numer 6. W tym samym budynku mieściła się stołówka, ale ktoś jej widocznie pokazał niewidoczne stąd wejście do pomieszczeń służbowych. Albo po prostu ruszyła śladem Szamockiego. Miłego przystojniaka, który próbował załatwić jej niepowtarzalną sesję zdjęciową. I który – cholera jasna – może nawet specjalnie dla niej zabił człowieka.

Pomyślałem, że jeżeli zostanę tu z Patrycją, to Kaśka wyląduje w pokoju Watmana. Nie od razu w łóżku – na pustyni piwo wywietrzało ze mnie i potrafiłem myśleć realnie – ale w pokoju niemal na pewno. Niby co ma ze sobą począć kobieta, rzucona zrzędzeniem losu w środek ni to śpiących, ni biesiadujących koszar? Jakkolwiek by była zaradna i niezależna, potrzebowała kogoś, kto weźmie ją za rękę i pokieruje jej krokami w tym egzotycznym środowisku. Było to zadaniem Bruszcza albo chorążego Grzywacza, ale Grzywacz rozpoczął weekend już przed południem i balował teraz pewnie w jakiejś knajpie, nie mając pojęcia o istnieniu redaktor Sosnowskiej, a Bruszcza miał inne zmartwienia.

– No chodź – usłyszałem weselszy głos Patrycji. – Muzyka stygnie, wódka się grzeje.

Nie wspomniała o amatorach kobiecego towarzystwa. A powinna, bo właśnie jeden wyszedł przed stołówkę, machając ku nam, rozkładając ręce i całą sylwetką krzycząc: „no co jest, dziewczyno?!”. Widok przechodzącej obok Kaśki na chwilę odwrócił jego uwagę, ale wiedziałem, że przypomni sobie o Patrycji, ledwie tamta zniknie za rogiem.

– Masz pewnie kupę zaklepanych tańców – domyśliłem się, przełaząc przez burtę.

Zeskoczyłem, a choć BWP do najwyższych nie należy, zarzuciło mną i omal nie nadziałem się nosem na mostek Patrycji. Nie na którąś z piersi, lecz właśnie jedyny twardy kawałek, który nosiła z przodu. Do żółtej w grochy tradycyjnie nie wkładała stanika, a jej biust, choć duży i masywny, korzystał z tego i prowokacyjnie umykał na boki, by falowaniem w rytmie kroków doprowadzać męskich obserwatorów na skraj gorączki. Nie da się ukryć: potrafiła podkreślić opakowaniem klasę zawartości.

– Dla ciebie jestem bez kolejki – powiedziała miękko, nie próbując się odsuwać. Na dobrą sprawę przyparła mnie do pancerza. I nic jej nie obchodziło, że zakłopotany Sławek dopiero gramoli się na maskę w ramach dyskretnego odwrotu. – Możemy przetańczyć całą noc, jeśli tylko chcesz.

– Ja i tańczenie – rzuciłem z mieszaniną goryczy i ulgi. Pierwszy raz cieszyłem się z dwóch lewych nóg.

– Nie musimy tańczyć. – To na szczęście powiedziała ciszej, choć nie tyle ze względu na kierowcę, ile na fakt, że zachęcających pomruków z definicji nie da się wykrzykiwać. – Moja propozycja jest aktualna. – Ujęła mnie za rękę. – Chodź. W ramach promocji. Nie spodoba się, nie płacisz.

Mogłem umrzeć tej nocy. Tamtych przy osiedlu mogło być dwóch, drugi naprawdę mógł taszczyć półcalówkę i spanikowany strzelać w środek wozu, a nie przed wieżę, gdzie pancierz kryje dowódcę i kierowcę. Pocisk mógł też trafić w amunicję i załatwić nas wszystkich. Różne rzeczy mogły się zdarzyć i przez cały czas miałem tego świadomość. Świat wygląda inaczej z takiej perspektywy. W porównaniu ze śmiercią wszystko inne traci na znaczeniu, przestaje szokować.

Niby dlaczego nie? Przeżyłem i pragnąłem jej jeszcze mocniej niż wtedy, pod wiatą. To znaczy: nie tyle jej konkretnie, ile po prostu kobiety. Tyle że innej dostępnej tu i teraz nie było.

– Może... później. – Nie wiadomo jak, moja ręka uwolniła się z uścisku wilgotnych palców. – Teraz naprawdę nie bardzo... Wiesz, Kaśka...

– Nie masz czym? – Jej głos sposepniał, lecz chyba nie ochłódł. Była rozczarowana, ale nie przybita klęską. No i rzeczowa, jak to ona. – Znaleźliście okazję? Bzyknałeś ją?

Jezu. Od samych słów mój organizm błyskawicznie udowodnił, że jak najbardziej ma czym. Mogłem tylko błogosławić projektantów polowego umundurowania, no i faceta, który rozplanował oświetlenie bazy. Dopóki Patrycja nie posługiwała się rękoma, nie powinna niczego zauważyć. A nagle zrobiło się to ważne. Nie, żebym się aż tak wstydził: po prostu wiedziałem, jak by się rzecz skończyła. Zrozumiałaby, że wygrała, wzięłaby mnie za kołnierz i zaprowadziła w jakieś ustronne miejsce. A ja bym poszedł. Bez oporu.

– To stary kumpel – powiedziałem żalonym, przepraszającym tonem. – Słuchaj, nie mogę jej tak po prostu olać. Trzeba ją gdzieś zakwaterować i w ogóle...

Nie wiem, czy uwierzyła. Poświdrowała mnie jeszcze przez chwilę spojrzeniem jasnych oczu, a potem nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Będę w stołówce. Wiesz, gdzie mnie szukać.

## Rozdział 5

– Idę po porucznika – wyjaśnił dyżurny, z którym niemal zderzyliśmy się w drzwiach.

– Pani redaktor? – rzuciłem domyślnie. Kiwnął głową. – Bruszczak nie mówił, gdzie ją umieścić?

– No... mnie nie mówił.

– Pilnuje ich? – skinąłem w kierunku źródła hałasu.

– Poszedł sprawdzić bunkry. Dopiero co. – W nakrapianej trądzikiem twarzy dostrzegłem wahanie. – Może lepiej... poczekać? Trochę mu zejdzie.

Nie uśmiechało mu się łązenie wzdłuż zasieków i poszukiwanie porucznika. Kiedy zakładano bazę, kogoś poniosła ambicja i system umocnień dostosowano do istniejących, poradzieckich obiektów, czyli ogrodzenia oraz kanału na wschodzie. W efekcie, chcąc obejść ulokowane w narożnikach bunkry, trzeba było nastawić się na dwudziestominutowy spacer. Nocą robiło się z tego pół godziny.

Pomyślałem, że po powrocie Bruszczak nie będzie tryskał humorem. To on zezwolił na uruchomienie głośników i tajnych zapasów alkoholu, ale wiedziałem, że nie podoba mu się spuszczenie podwładnych ze smyczy już tu i teraz.

– Nie szukaj go – zdecydowałem i wszedłem do baraku.

Kaśka siedziała obok swego plecaka, wsparta bokiem o biurko, wyraźnie znużona. Miała ciemne plamy pod oczami i problemy z utrzymaniem dystansu między dolną a górną powieką.

– Pewnie oddałabyś duszę za łóżko – strzeliłem.

– Połowę – uśmiechnęła się słabo. – Drugą za prysznic.

Dyżurny zerknął na monitor, przekazujący obraz z dziennie-nocnej kamery, zainstalowanej na dachu. Obraz przechodził przez komputer z filtrem, wyławiającym nowe elementy krajobrazu, i póki system działał jak należy, na dobrą sprawę wystarczyło zbyt mocno nie spać na służbie – płytko śpiącego i tak zrywał sygnał akustyczny. Pojawienie się w polu widzenia obiektu większego od królika przywoływało także na ekran wielki, czerwony napis, który za każdym razem należało wykasować. Napisu nie było, więc chłopak zaczął przestawiać naczynia na stole z czajnikiem, szklankami, pudełkami herbatników i temu podobnymi.

– Marzycielka.

– Tak myślałam – westchnęła. – Ale krany macie. I jakąś miednicę. Mydło przywiozłam swoje.

Dyżurny zerknął na bielejący w kącie zlew, miał jednak dość rozsądku, by na tym poprzestać. Była brudna i spocona, ale nie dojrzała do mycia się na naszych oczach czy choćby zniżania do próśb, byśmy wyszli na kwadrans.

– Brawo. – Dźwignąłem z klepiska jej plecak. – No to chodź, harcerko. – Zerknąłem na dyżurnego. – Jakby porucznik pytał, to zająłem się naszym gościem.

Kaśka też chciała o coś pytać, ale nie dałem jej okazji. Wymaszerowałem energicznie; dogoniła mnie dopiero na wysokości drzwi stołówki. Tam też nie zapytała: zbił ją z tropu oparty o ścianę i puszczający głośnego pawia szeregowy Lechowski. Wątpię, by nas zauważył, o podsłuchiwaniu nie mówiąc, ale obowiązek przedwczesnego tłumaczenia się jednak z barków mi zdjął. Mogłem przemyśleć pewne sprawy.

– Dokąd idziemy? – Pytanie padło, kiedy odpowiedź udzieliła się już sama, a ja otwierałem małe drzwi w wielkich wrotach Dwójki.

– Do nas. – Pozostawiłem skrzydło uchylone, ale i tak było tu za ciemno dla obcego.

Musiałem wziąć ją za rękę. Wziąłbym za rękaw, była jednak w podkoszulku. Co pozwoliło mi dokonać spóźnionego odkrycia.

– Zmarzłaś – powiedziałem w chwilę później, oglądając ją w blasku zasilanej z akumulatora lampki. – Masz gęsią skórkę.

– A ty dobre oczy – mruknęła, rozglądając się po rozległym wnętrzu z zaintrygowaniem, lecz bez wielkiego powodzenia. – Nie macie tu światła z prawdziwego zdarzenia?

Oczy? Może po prostu myślami błądziła gdzieś indziej, a może tylko ja byłem taki niedzisiejszy, by rozpamiętywać dotyk jej szorstkiej od wychłodzenia skóry. Pewnie nawet nie zauważyła, że ująłem ją za rękę.

Cóż, w sumie nic się nie stało. Nasza sypialnia faktycznie była ciekawsza dla kogoś złąknionego egzotyki.

– Nie tak wyobrażałam sobie... Co to właściwie jest?

– Składnica amunicji. – Domyśliłem się, że pyta o całą bazę. Z ulgą zwałem plecak obok ustawionego pośrodku stołu. – Powinniśmy mieszkać w namiotach albo kontenerach, ale skoro już były mury i dachy... Mieli hodować owce czy coś takiego, ale im się Związek Radziecki rozpadł.

– Trochę tu cygańsko – postukała w wielką, dębową szafę, którą Grzywacz przywiózł nie wiadomo skąd i ustawił między stertami worków w charakterze luksusowego odcinka ściany. – Nikt z dowództwa się nie czepia?

– Bóg i dowództwo zapomnieli o nas. – Usiadłem na krawędzi łożka. – A Bruszcakowi trochę wszystko zwisa. Nie liczy już na generalskie lampasy.

– Popija? – skinęła wymownie w stronę okna z widokiem na rozbawiony barak numer 6.

– Brus? Nie... to znaczy nie w tym sensie.

– To w czym problem? Zakochał się? – zażartowała.

– Mielśmy... no, wpadkę. Zabagnił sobie kartotekę. Stracił bewupa i czterech żołnierzy.

Na amen. Dwaj zostali ciężko ranni i Polska będzie im do końca życia wypłacać renty. Ktoś

uznał, że to jego wina.

– A nie była?

– Nie on nas tu przysłał – mruknąłem.

– Metraż niezły – rozglądała się. – Z kim mieszkasz?

– Chorąży Grzywacz, szef składnicy.

– To nie Bruszcak tu rządzi? – Wspięła się na palce, próbując zerknąć za przegradzającą barak w poprzek ściankę ze skrzyń i worków. Bez sensu: było tego ze trzy metry.

– Bruszcak to piechociniec, dowodzi ochroną. W praktyce prawie wszystkimi żołnierzami, bo ich jest pluton, a pozostałych raptem jedenaście osób. Ale samą bazą nie.

– Osób? – Była senna, lecz nadal wrażliwa na drobiazgi. – Macie tu więcej kobiet czy tylko tę...?

Czekałem, ciekaw, jak zakończy. Nie doczekałem się.

– Tylko tę. Jest kimś w rodzaju księgowej.

– Nie pielęgniarką? – upewniła się. – A ty?

– Dowodzę drużyną saperów. Właściwie to bardziej sekcją niż drużyną, ale...

Sprawdzaliśmy teren, potem trochę bawiliśmy się w budowlańców. Takie tam... W sumie nikomu nie jesteśmy potrzebni, więc trzymają nas tu na wszelki...

– Chodzi mi o wojsko – przerwała łagodnie. – Jeśli dobrze pamiętam, skończyłeś politechnikę.

– Wiesz, jak to jest – mruknąłem bez entuzjazmu. – Plany planami, a życie życiem. Tak jakoś wyszło.

– Większe pieniądze? – rzuciła domyślnie.

Zawahałem się, ale ostatecznie i tak musiała się dowiedzieć. Nie podjąłem jeszcze decyzji, ile jej powiem, ale czułem, że do mówienia mnie zmusi. Więc lepiej mieć z głowy przynajmniej to.

– Pieniądze w ogóle. – Otworzyłem szafkę i wyjąłem butelkę. – Po studiach nie udało mi się znaleźć pracy. To znaczy... w zawodzie. Tylko takie tam... dorywcze zapchajdziury.

– Nie? – zdziwiła się i był to najboleśniejszy z ciosów, jakie mi dotąd zafundowała. – Taki piątkowicz? Z matury... – W końcu do niej dotarło i ugryzła się w język. – No tak...

Budownictwo, racja. Kryzys.

– Praca się trafia. – Przełamałem opór nakrętki. – Tyle że dla inżyniera z uprawnieniami. A żeby je wyrobić, trzeba najpierw popracować. Taki paragraf 22.

Czekałem, aż zapyta o innych, którzy w epoce kryzysu jakoś trafiali na budowy. Zapytała o flaszkę.

– To sok?

– Yhm. Z kartofla. Napijesz się?



Kiwnęła głową. Ustawiłem na stole dwie literatki, nalałem po ostrożnej dawce bezbarwnej cieczy.

– Za tych co na wojnie? – uniosła pytająco brwi.

– Może być.

Wypiliśmy. Zaczęła opowiadać o locie z VIP-ami, a ja wygrzebałem z szafki ciastka i nalałem po drugiej porcji.

– Przypominam, że biesiadujesz z brudną prostaczką – powiedziała, gryząc herbatnik. – Na prostactwo nic już nie poradzę, ale wykąpać to bym się mogła.

– Tutaj?

– He, he, mądrała... Jeszcze czego. W łazience.

– W łazience nie ma wody o tej porze. Jak nie słyhać generatora, możesz sobie darować wyprawę pod natrysk.

– Przecież macie prąd – wskazała blask za oknem.

– To z cichochooda. Taki mały, słaby generatorek. Nocą wyłączają główny, bo cholernik strasznie hałasuje.

– Bardziej niż ta dyskoteka?

– No, bardziej to nie – przyznałem. – Ale normalnie nie jest tu tak głośno. Amatorzy zabawy wyjeżdżają, a wartownicy mogą spokojnie nasłuchiwać, czy wróg się nie skrada. Rzadko się zdarza, by przepustkowicze zostali na noc. Masz... hmm... szczęście.

– Bo mogę iść spać brudna, a z czystym sumieniem?

– Bo możesz nas obsmarować. Normalnie nudno tu, że aż skręca, a ty trafiasz i na obławę, i na popijawę...

– Przecież nie napiszę o tym – skinęła w stronę okna.

– Bo Wojsko Polskie nie wie, co to wódka? Prosimi was, by pisać dobrze albo wcale, co?

– Nie w tym rzecz. – Osuszyliśmy literatki, pokrzywiliśmy się przez chwilę. – Nie obsmaruję tej bazy, skoro ty tu służysz. No – udała, że się zastanawia – chyba że naprawdę nie skombinujesz ani kropli wody do mycia. Wtedy moja dziennikarska rzetelność może wziąć górę.

Nie nastraszyła mnie. Nie dlatego wstałem.

– No to chodź. Zobaczymy.

– Mam wziąć ręcznik? – sięgnęła po plecak.

– Optymistka.

Była nią i wzięła. Inna sprawa, że chyba w ramach żartu, bo mydła ani bielizny brać nie próbowała. I słusznie. Gdy wkroczyliśmy do umywalni, zrzęła jej mina.

– Luksusów nie ma – przyznałem uczciwie. Odkręciłem pierwszy z brzegu kran. – Podobnie jak wody.

Łazienkę zbudowano zgodnie z lokalną tradycją, czyli odgradzając wysoką na trzy metry

ścianą z worków fragment baraku. Ponieważ pomieszczenie mieściło się w kategorii sanitarnych, użyto worków w kolorze białym, a na klepisku tu i ówdzie legły drewniane chodniki-kratki.

Rozchlaną wodę odprowadzał w teorii system kanalików wyłobionych w ziemi i wyłożonych rynkami z blachy, ale rynien zabrakło. W efekcie bywało tu błotniście. Zwłaszcza gdy, jak teraz, po masowej kąpieli w kranach aż zabrakło wody.

Na tym tle jakoś dziwnie prezentowały się eleganckie kabiny natryskowe i równie przyzwoite umywalki, które jednak mocno straciły na klasie z chwilą ustawienia ich na stojakach z nieheblowanych desek.

– Muszę to sfotografować – oświadczyła Kaśka, kiedy już ochłonęła z pierwszego wrażenia. Przespacerowała się po pomostach, sprawdziła podeszwę, jak bardzo błotniste jest połyskujące pod nimi błoto, ostrożnie spróbowała, czy opierając się o umywalkę, nie wywali całego zestawu, obejrzała się w popękany lustrze. Na kabiny tylko smętnie zerknęła. Potem skierowała się do drzwi. Sięgnąłem do kontaktu.

– Czekaj – zatrzymała się, marszcząc brwi. – Czy oni czasem nie stąd wychodzili?

Nie musiałem wysilać mechanizmu skojarzeń.

– Owszem – przyznałem bez zapału.

– Na pewno nie ma wody? – Pobiegła wzrokiem wzdłuż rur. Woda docierała tu razem z tą zasilającą system przeciwpożarowy, więc w rogu łaźni czerwienił się dumnie masywny węzeł zaworów i pokręteł. To on podsycił gasnące nadzieje Kaśki.

– Zwykle starcza do rana, w każdym razie zimnej. Ale do miasta każdy chce jechać świeży i pachnący, więc pewnie chłopcy zaliczyli po drugiej kąpieli i źródółko wyschło.

– Chyba całkiem niedawno – mruknęła.

– Chodzi ci o Patrycję? – domyśliłem się.

– Może wie, jak się tym posłużyć – wskazała wzrokiem baterię pokręteł. Trudno było ją winić: ten fragment łaźni wyglądał jak wnętrze starej łodzi podwodnej i człowiek podświadomie łudził się, że jeśli odpowiednio długo manipulować przy zaworach, coś popłynie z kranów.

– Wie, jak posłużyć się tym – szcęknięłem zasuwką przy drzwiach wejściowych.

Popatrzyła na mnie w sposób doskonale nijaki, ale chyba odrobinę prowokujący. A ja byłem już trochę wstawiony. – To jej ulubiony warsztat pracy. Szybko, dość dyskretnie, a przed i po można się umyć.

– Nie bardzo rozumiem...

– Nie zalewaj. Widziałaś, jak stąd wychodzili. I miałaś niedwuznaczny wyraz twarzy.

– Myślałam, że jest pielęgniarką i robiła mu zastrzyk.

– Nie jest – mruknąłem. – I to on robił jej.

– Przemknęło mi to przez myśl. Tylko nie rozumiem tego kawałka o warsztacie pracy.

Chyba nie sugerujesz...?

Pokazałem jej, by wyszła, i zgasilem światło.

– Skoro już o to zahaczyliśmy... Zauważyłem, że nie przepadacie za sobą. Więc wolę cię ostrzec.

– Przed złym towarzystwem? Czekaj... Chcesz mnie wpakować na noc do jej pokoju?!

– No... zastanawiałem się. Ale nie o tym...

– W życiu! Już prędeż przenocuję pod czołgiem!

– To bojowy wóz piechoty.

– Jeden pies. – Szła obok, gniewnie owijając ręcznik wokół dłoni. Może ubzdurała sobie, że będę nalegał, i szykowała się do boksowania. – Nie mam zamiaru mieć do czynienia z tą panią.

Nie podoba mi się, i koniec. Jak chcesz z nią iść na tańce, to proszę bardzo, ale beze mnie.

Rozbawiła mnie. Siebie też, chociaż potrzebowała mego śmiechu, by uświadomić sobie, jak to zabrzmiało. Wróciliśmy do mojej kwatery i z rozpędu wypiliśmy jeszcze po jednym.

– Widziałaś jej twarz – wydyszałem, odstawiając opróżnioną odważnym haustem literatkę.

– Po prostu nie chcę, żebyś i ty nosiła taką pamiątkę.

– To z wojska?

– Z pracy. Zanim się zaciągnęła... Tylko nie pisz o tym, dobrze? Zabiłaby mnie. No więc pracowała w takiej jednej... no, agencji. I grała tam pierwsze skrzypce.

– Była dziwką? – Satysfakcja w jej głosie podpowiadała, że nie chodziło wyłącznie o nazwanie rzeczy po imieniu i uproszczenie rozmowy. – Wiesz, zaczynam wierzyć Czarkowi.

Jestem genialna. To wybitnie ciekawe miejsce.

– Bardziej niż myślisz – mruknąłem. – A co do niej... Któregoś dnia w agencji pojawiła się inna ambitna dziewczyna, a że szef był liberałem i wierzył w zbawczą rękę wolnego rynku, nie mieszał się i panie same musiały ustalić, kto tu rządzi. Do ustalania użyły stłuczonych butelek, szpilek i takich tam. Patrycja była lepsza, ale pamiątka jej pozostała, no i wolny rynek ją skreślił.

– Nie poszła do chirurga? – Wyraźnie za Patrycją nie przepadała, ale była kobietą i robiła wrażenie poruszonej.

– Poszła. Ale wiesz, jak jest: cuda to w telewizji. Splukała się na zabiegi i teraz wygląda znośnie. Jakbyś ją obejrzała z bliska i przy świetle, tobyś zauważyła, że była zdrowo pochlastana.

– Ty oglądasz? – zapytała niby od niechcienia.

– Ja? – zaskoczyła mnie. – No co ty...

– No co ja? – wzruszyła ramionami. – Tak nie całkiem z bliska to niezła laska. Młoda, zgrabna... No i blondynka. Cierpicie tu pewnie na ostry niedobór blondynek. Szkoda, że sama nie pomyślałam, by się przefarbować. Może nie trafiłabym do takiej dziury, tylko od razu na front.

– Wyglądałabyś idiotycznie – zaprotestowałem..

– Dzięki. Nie ma to jak szczerą, przyjacielską uwagę.

– Tak jest... – poszukałem słowa – optymalnie.

Wierzyłem w to głęboko. I byłem zbyt wstawiony, by skryć tę wiarę.

– Dzięki. – To dziwne, jak mogą się różnić dwa kolejne podziękowania, oba zaprawione uśmiechem. Na chwilę zrobiło się jakoś... inaczej. Gdyby nie wymagało to podnoszenia się z łóżka, nalałbym nam po czwartym. Ale coś mi szeptało, że moment nie jest dobry na neutralne zmiany pozycji. Właśnie, nie zdając sobie sprawy, powiedziałem Kaśce, że mi się podoba.

Pierwszy raz. No i byliśmy sami. To zmieniało perspektywę, budziło myśli, których chyba oboje się obawialiśmy.

Przez chwilę było cicho. Potem zatoczyła krąg dłonią.

– Inaczej to sobie wyobrażałam.

– Ja też – podziękowałam uśmiechem za zmianę tematu. – Myślałem: druga Jugosławia.

Miny, ale poza tym spokój, spora forsa i względny luksus. Kiedyś jak jakiś batalion jechał na misję, cała armia robiła zrzutkę, znajdował się lepszy sprzęt, przyzwoite kwatery, zachęty finansowe... Ludzie pchali się oknami i drzwiami, żeby wyjechać, przeżyć w miarę bezpieczną przygodę i zarobić. A tu nagle mamy wojnę zamiast wczasów rozjemcy. Strzelają do nas, chamy jedne. A w budżecie Sejm nie przewidział strzelania.

– I musicie myć się piaskiem – podsumowała z ostentacyjnie przebiegłym uśmiechem.

– Tu cię boli – pokiwałem głową. – Naprawdę nie wytrzymasz do pobudki?

– Dzisiaj przyleciałam z kraju. O, przepraszam – zerknęła na zegub. – Wczoraj. Tu jest jak w piecu. I kurz. Jak mi nie wykombinujesz wody, poderżnę ci gardło i użyję twojej krwi.

– Taka kosa wyrosła z naszej Kasi? – Pomysł błąkał mi się po głowie od momentu, gdy dyżurny wspomniał o nieobecności Bruszcza, ale zdecydowałem się dopiero teraz. – Chyba muszę walczyć o życie. – Pokiwała aprobująco. – No cóż, jest pewien sposób...

– Zgoda.

– Poczekaj; nie wiesz, do czego chcę cię...

– Jestem brudna, zdesperowana i gotowa na wszystko. Chcesz mnie sprzedać jakiemuś woziwodzie? Nie ma sprawy. Byle najpierw dał się wykapać. Potem jestem jego.

– Tak? No to weź rzeczy. Zaraz wracam.

Do przydzielonego mi magazynu nie miałem daleko, ale jednak dalej niż ona do plecaka.

Mimo to zastałem ją właśnie nad plecakiem, a dokładniej łóżkiem Grzywacza, zawalonym zawartością tegoż. Stała i z bolesną niepewnością grzebała w hałdzie bezładnie przemieszanej garderoby.

– Będziemy grać w golfa? – posłała zdziwione spojrzenie w kierunku trzymanego przeze mnie podłużnego pokrowca.

– Będziemy się opalać? – odwzajemniłem się, zerkając na zrolowany koc, który przewiesiła przez bark. – Czy po prostu kompletujesz posag dla woziwody? Po co ci to?

Oboje byliśmy wstawieni. Ale i tak się zarumieniła na tyle wyraźnie, że wychwyciłem to

mimo podłego oświetlenia.

– Nie po to – mruknęła, lekko przeciągając głoski. Dopiero po wysłuchaniu dementi naszło mnie to drugie skojarzenie. Ciekawe, dlaczego tak późno. Cały czas myślałem o jednym, a koc idealnie do owych myśli pasował. – Tak się tylko zastanawiam... To jakaś pompa, tak? Na zewnątrz? – Nie dała mi odpowiedzi. Musnęła koc. – No wiesz... parawan. Jesteś dżentelmen i stary kumpel, więc możesz zamknąć oczy i potrzymać przez chwilę.

Wyobraziłem sobie tę scenę i znów, jak wtedy, po pytaniu Patrycji, zrobiło mi się ciepło w dole brzucha.

– To nie pompa – powiedziałem trochę za szybko. – I będziemy sami. Koc możesz sobie darować.

Skinęła głową. Grzeczna dziewczynka. W kącikach oczu miała już pewnie wypisane swoje trzydzieści cztery lata, ale oglądana z pewnej odległości wyglądała na smarkulę.

Ciekawe, czy także w odczuciu innych.

– Mam włożyć kostium? – zapytała lekko zakłopotana.

Grzywka i kitki grzywką i kitkami, ale smarkata już nie była. Miała męża, miała co najmniej jedno dziecko. I to spore. Kiedy się koncentrowałem, udawało mi się o tym pamiętać i zdawać sobie sprawę z faktu, że oglądam ją przez pryzmat wspomnień, co fatalnie wypacza perspektywę.

– Jak chcesz. – Nie dało się tego powiedzieć dobrze, więc szybko przeszedłem do wyjaśnień: – Mamy tu kanał. Nie w przenośni; prawdziwy, nawadniający. Trochę wysechł, ale miejscami da się nawet płynąć.

– Woda?! – Twarz jej pojaśniała od radosnego błysku zębów. – Dużo wody?! Ty draniu!

– Nie podniecaj się. Muł, wodorosty... No i idzie się przez pole minowe – klepnąłem domniemany sprzęt golfiarza.

– Ty z przodu? – upewniła się. – No to nie ma sprawy.

Przed zasiekami zatrzymałem się i bez pośpiechu złożyłem wykrywacz. Saper nie ma prawa się spieszyć, a ja w dodatku brałem aż dwie poprawki: na wartowników, którzy powinni mieć czas obejrzeć nas i zidentyfikować, oraz na dziewczynę. Zawsze uważałem Kaśkę za rozsądną i bystrą, ale ostatecznie była cywilem i była podpita. Co znaczyło, że jej instynktem samozachowawczym trzeba trochę potrząsać.

– Dalej jest lepsze dno, piaszczyste – wyjaśniłem. – No i wartownicy nie będą się gapić.

Ale co za zasiekami, to nie nasze. Ziemia niczyja, trzeba uważać.

– Będę czujna – obiecała.

– Po prostu rób, co powiem.

– Masz jak w banku. Wszyściutko. Co tylko rozkażesz.

Zdawało mi się, czy musiała zwalczyć chichot? Czort wie. Zawsze była z niej śmieszka, za to ją głównie lubiłem. Kulanowicz nadaje, Sosnowska szczerzy zęby.

W zasiekach był jeden krótki kozioł, którego nie zamocowano do innych i który dawał się odsunąć. Przepuściłem Kaškę, kazałem jej czekać, zamknąłem półlegalną furtkę i ruszyłem przodem, badając ścieżkę czujnikiem. Kanał był zaledwie parę kroków dalej, przesłonięty ogołoconym z wątlej roślinności nasypem. Zignorowałem go jednak. Jeżeli byłbym cholernie odważnym wrogiem NATO i zdołałbym zakraść się w pobliże bazy, właśnie tu zostawiłbym swoje miny. To dlatego przyległą do bazy skarpeę oczyszczono z trzciny i wierzbowych zarośli, zastępując je potykaczami, taśmą ostrzową i puszkami-brzęczykami.

– Spacer? – Z mroku za zasiekami wyłoniły się niewyraźne zarysy górki-schronu i żołnierza w hełmie.

– Pysznice wyschły – wyjaśniłem. – Porucznik jest?

– Był, ale już... Uważajcie na siebie.

Machnąłem mu ręką i poszliśmy dalej po grzbiecie niskiego wału, będącego pamiątką po budowniczych kanału.

– Czemu tu nic nie rośnie?

– Dużo deszczu w Afganistanie – wyjaśniłem. – Normalnie to nie kanał, lecz rów z błotem na dnie. Za mało na pole.

– Kanał bez wody? Jakże to radzieckie.

– Planowali też zaporę, ale z kanałem zdążyli, a z zaporą już nie. Ale tak jest lepiej. Zero nowych osiedli, a my mamy spokój i własną plażę.

Było tej plaży raptem dwa metry na dziesięć. Lecz może właśnie dzięki tej kameralności robiła dobre wrażenie. Spłachetek białego piasku ze wszystkich stron otaczały wysokie na dwa metry skarpy kanału, tu i tam uzupełnione krzakami i trzciną. Od północy, słabo widoczny na tle granatowego nieba, majaczył prześwit zerwanego mostu.

– To droga? – Kaška udowodniła, że wzrok ma niezły. – A jak ktoś przyjedzie?

– To wpadnie w kanał. Nie zapuszczaj się między przyczółki, a nie dostaniesz nim w łeb. – Położyła niesione pod pachą zawiniątko na ziemi i stała, przyglądając się niepewnie odległemu o kilkanaście metrów nasypowi drogi. – Daj spokój, nikt tędy nie jeździ. Możesz się śmiało pluskać.

– A ty? – odwróciła twarz w moją stronę. Było za ciemno, bym potrafił odczytać z niej emocje.

– Będę miał na ciebie... to znaczy będę miał oko na to, co się dookoła dzieje. Wiesz: strzeżonego... Ale nie bój się. To dla świętego spokoju. Nie musisz się spieszyć.

– Głęboko tu?

– Nie utoniesz – zapewniłem. – No, do roboty. Muszę coś sprawdzić przy moście. Nie bój się, daleko nie odejdę.

– Aha. Nie patrz przez chwilę, dobrze?

Byłem tu dla mostu, nie dla niej. Powtarzałem to sobie i nawet prawie uwierzyłem, ale nie było mi lekko na duszy. Rozebrała się i weszła do wody zaskakująco szybko, co od razu zrodziło w mej biednej, odwróconej głowie pytanie o ten nieszczęsny kostium kąpielowy. Wzięła go w końcu czy nie? Kiedyś nosiła jednoczęściowy, jak wiele dziewczyn mających problemy z figurą.

W takie coś wskakuje się chyba szybciej niż w stanik i majtki. Ale czy aż tak szybko?

A może po prostu zrzuciła wszystko i skryła nagość pod czarną taflą wody? Mogła zrobić coś takiego? Kaśka? Dojrzała kobieta, żona, matka, dziennikarka, która przyleciała rządowym samolotem? Będąc tu ze mną i tylko ze mną?

A diabli ją wiedzą.

Miałem w głowie mętlik. Obejrzałem ściany oporowe przyczółków, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię. Rozsądku wystarczyło mi na włączenie czerwonego filtra w latarce. Jeśli ktoś przyglądał się okolicy, światło dostrzegł tak czy inaczej, ale na pewno nie skojarzył go z oględzinami nadwerężonych eksplozją brzegów.

Nocą, nad wodą, w towarzystwie młodej kobiety tylko jedną rzecz można robić przy takim świetle.

Czułem się jak kretyn, bo o ile wartownicy mogli zerkać w stronę ruin mostu i zastanawiać się, co robię, Kaśka czyniła to na pewno. Niełatwo było zmusić się do łożenia z latarką w zębach po rumowisku złamanego przęsła. Niemal fizycznie ugniatał mnie w kark jej wzrok i niemal słyszałem pytania, które sobie zadaje.

Ulżyło mi dopiero po drugiej stronie drogi. Biegła po nasypie, symbolicznym, ale na tyle wysokim, by skryć łożącego na czworakach człowieka. A właśnie tak, na łokciach i kolanach, spenetrowałem podejście do mostu.

Było czyste. A dokładniej: oczyszczone. Na obrzeżach badanego terenu gwizd w słuchawkach odzywał się dostatecznie wiele razy, bym zyskał pewność w tej kwestii. Droga nadal była zaminowana na zachód od mostu, a brzeg kanału na północ od niej. Niskie paliki z pasiastą taśmą ostrzegawczą wytyczały te same co dawniej granice. Ale tu, w potencjalnie najbardziej interesującym z wojskowego punktu widzenia miejscu, niczego groźnego w ziemi nie było.

Dla pewności zamierzałem przedostać się po rumowisku na drugi brzeg i sprawdzić, czy i tam posprzątano. Na szczęście połowę mocy przerobowych mojego mózgu nadal zajmowała Kaśka i leżąc na koronie nasypu, pozwoliłem sobie na zerknięcie zza porastających poboczne kępy trawy.

Nie obejrzałem wiele. Plażę dzieliło od mostu kilkanaście metrów, a ona trzymała się środka kanału. Z wody wystawała tylko głowa: albo stanęła w jednym z głębszych miejsc, albo była bardziej skromna, niż myślałem, i ugięła kolana, by nie zagęszczać dwuznacznej atmosfery

eksponowaniem ramion.

Bardzo chciałem zobaczyć coś więcej. I zobaczyłem.

Pobiłem wszelkie rekordy, ściągając pas i jeden z butów już w trakcie odtaczania się na północne pobocze. Jakimś cudem zdołałem zedrzeć z siebie większą część munduru, prześlizgując się między przyczółkiem a skośnym dachem ze złamanego przęsła. Woda sięgała tu kolan, lecz wystawało z niej sporo gruzu i niczego, co zrzuciłem, nie posłałem na dno. Hałasu oczywiście nie dało się uniknąć, jednak hałas się nie liczył.

Pomijając ten, którego mogła narobić Kaśka. Miałem dużo szczęścia i ruszyłem do tej striptizerskiej szarzy, kiedy akurat płynęła na wznak, więc ani mnie nie usłyszała, ani nie zauważyła, że coś czarnego gna w jej stronę. Sunęła jednak w stronę mostu i było oczywiste, że zatrzyma się lub zawróci już po paru metrach – a wtedy zdrowo ją nastraszę.

I faktycznie: z wrażenia najpierw zanurkowała twarzą pod wodę, a potem, zapominając o dotychczasowych priorytetach, poderwała się na równe nogi.

Zanim jej dopadłem i opasałem ramionami, zdążyłem dostrzec, że powyżej bioder nic na sobie nie ma.

Nie krzyknęła. Dźwięk, jaki wydała, przypominał raczej westchnienie.

– Cicho – rzuciłem w oblepione czernią włosów ucho. Ciasno oplotłem rękoma chłodne, nagie plecy i mocno przycisnąłem dziewczynę do siebie. – Potem wyjaśnię, ale teraz jesteśmy zakochani.

Pomyślałem, że tylko zaskoczenie knebluje jej usta i że za chwilę ten knebel puści. Na szczęście była o ćwierć głowy niższa. Mogłem przydusić jej twarz do swej piersi. Poszło łatwiej, niż oczekiwałem. Nie stawiała oporu. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że od początku instynktownie lepiła się do mnie: woda sięgała nam ledwie ponad biodra, a ona nie miała biustonosza. Może wołała być dotykana niż oglądana.

– Co się dzieje? – wyszeptała. W kanale było zimniej, niż się spodziewałem. Pewnie dlatego jej oddech zdawał się niemal parzyć spryskaną setkami kropel skórę.

– Ktoś idzie. Nasz, nie bój się – dodałem, uświadamiając sobie, że jej posłuszeństwo i napięcie mięśni są aż nadto wyczuwalnymi objawami lęku. Co prawda nie zachowywałem się jak ktoś, kto właśnie dostrzegł nadciągających mudżahedinów, ale za szybko się to wszystko działo, by zdążyła przesiać pierwsze skojarzenia przez sito logiki.

– Polak? – Uspokoilem ją i od razu odczułem skutki: jej głowa przełamała symboliczny opór mojej dłoni i cofnęła się, by doprowadzić do skrzyżowania spojrzeń. – To o co...?

Położyłem palce na jej ustach. Posługiwałem się lewą ręką, coś mi jednak mówiło, że mógłbym dać wolne i prawej. Kaśka kleiła się do mnie niezależnie od ucisku na jej plecy.

– Musi pomyśleć, że mamy randkę. To ważne. – Nie gromadziła powietrza w płucach, by krzyżeć, ani sił do walenia mnie po pysku, wobec czego uznałem, że mogę zaryzykować jakąś



mniej istotną wypowiedź. – Przepraszam.

Staliśmy nieruchomo. Czuję chłód jej ciała i cieszyłem się, że woda w kanale jest jeszcze chłodniejsza. Dotykaliśmy się w tyłu miejscach, że lodowaty okład w dole brzucha był najlepszym, co mi się mogło przytrafić.

Nie patrzyliśmy już na siebie. Stała oparta nosem o moje ramię, a jej dłonie, opuszczone początkowo bezwładnie i skryte w wodzie, po trzech nieudanych przymiarkach wzięły się na odwagę i spoczęły ostrożnie na moich biodrach.

– Mogę...? – Jej sutki wbijały mi się w skórę, a ja nie potrafiłem przepchnąć przez gardło tak prostego słowa. – Nie bój się, tylko na niby.

Zrozumiała. I zaskoczyła mnie kompletnie, unosząc ramiona i owijając mi je dookoła szyi. Poczuję dotyk jej nosa na ustach, napór cudownie sprężystych poduszczek niedużych piersi, płaszcących mi się na żebrach. Znów była szorstka od gęszej skórki, zimna z wierzchu i nieprawdopodobnie ciepła gdzieś tam, w głębi.

– Jeśli to podryw, to się przyznaj. – Udało jej się nasaczyć szept żartobliwą nutą. – Nie wydrapię ci oczu.

Mogła mówić ciut głośniejsz, mogła trzymać usta dalej od moich, a nie ocierać się o nie wargami tak delikatnymi, że ich muśnięcia aż łaskotały. Była noc, a ktoś, kto przyszedł nas podglądać, oczywiście nie podszedł blisko. Nie musieliśmy odgrywać sceny miłosnej aż tak perfekcyjnie. Wszystkie jej ruchy i gesty tchnęły jednak stuprocentową autentycznością i pewnie stąd ten zaplanowany śmiech w głosie.

Żeby nie pomyślał, że to naprawdę.

Nie pomyślałem. Zostałem ostrzeżony i chociaż przechyliłem głowę, szukając najlepszego dostępu do ust, skończyło się po prostu na ich dotykaniu. Zresztą celowałem w styk warg z policzkiem, tak że nawet gdybyśmy chcieli, wyszłaby nam najwyżej połówka pocałunku.

– Za długo tak nie wytrzymam – szepnęła, nadal dbając o łobuzerskie brzmienie głosu. – Może byśmy wyszli?

– Lepiej popływajmy.

– Zimno mi. Lodowata ta woda.

– Ale...

– Wiem, o co ci chodzi – pochwaliła się. – Nie bój się. Będę przekonująca. – Poruszyła się, co wzięłem za początek wychodzenia z wody. – Wyniesiesz mnie? Chuda nie jestem, ale za to mała. – Zaśmiała się, szczerze i gorzko zarazem. – Nieszczęścia chodzą parami.

Przypomniało mi się, że jesteśmy pijani. To wszystko tłumaczyło.

– Nie patrzę – zadeklarowałem. Potem naprawdę zamknąłem oczy i zrobiłem przysiad.

Trochę po to, by znaleźć jej kolana, a trochę z myślą o splukaniu z siebie potu.

Była lżejsza, niż oczekiwałem. Nie miałem zresztą daleko: to był podrzędny kanał, nie Wisła.

Droga na plażę trwała tak krótko, że dopiero opadając na kolana, zorientowałem się, iż los ulitował się choć trochę.

Kaśka okazała się dziewczyną nowoczesną, lecz przyzwoitą – kąpała się bez stanika, ale w majtkach. Otarłem się o nie przypadkiem, układając ją na piasku, i choć nadal nie miałem odwagi otwierać oczu, za jednym zamachem pozbyłem się i Kaśki, i sporego kamienia z serca.

– Nie wzięłeś?! – Właściwie trudno było nazwać to okrzykiem, jednak dookoła panowała cisza i jakieś zabląkane echo jej protestu miało prawo dotrzeć aż do wartownika. Ktoś przebywający bliżej musiałby mieć dębowe ucho, by nie wyczuć gniewu i rozczarowania w kobiecym głosie. – No wiesz co! To po co tu...? Nie mogę dzisiaj bez gumy!

Była urodzoną aktorką i urwała dlatego, że tak brzmiało naturalniej, a nie z powodu moich rozszerzających się gwałtownie oczu. Ale obojętne jej chyba nie były. Inna sprawa, że krzyżując ramiona i chowając piersi w miseczkach z dłoni, wcale nie wypadła z roli. Zagniewane kobiety często wymierzają natychmiastową karę, zabierając facetowi to, co najcenniejsze. Czyli siebie.

Kłęczeliśmy twarzą w twarz. Było za ciemno, by w pełni to wykorzystać. Nie miałem pojęcia, co myśli i czuje.

– Jak bardzo to jest ważne? – Po tym okrzyku jej szept niemal przepłynął mi niepostrzeżenie obok uszu. Dla podglądacza nadal gniewnie milczała.

– Może śmiertelnie.

I znów mnie zaskoczyła. Powinna się przestraszyć albo zdenerwować, albo obrazić, że pakuję ją w coś takiego... A przede wszystkim zażądać wyjaśnień. Niechby i dyskretnie, gniewnym szeptem – ale już, natychmiast.

Zamiast tego pokręciła głową jak wyrozumiała opiekunka mówiąca: „oj, chłopcy, chłopcy, mam ja z wami...”, po czym wyciągnęła rękę, ujęła mnie za bark i położyła na piasku.

Wtedy jeszcze próbowałem uciekać spojrzeniem od odsłoniętej piersi. Nie miała trzech dłoni, nie miała więc wyboru. Ale zaraz potem usiadła mi okrakiem na brzuchu i znów mogła robić z rękoma, co chciała. Było chłodno, a my byliśmy mokrzy i zziębnięci. Owijanie się ciasno ramionami byłoby jak najbardziej na miejscu.

Nie próbowała niczego zasłaniać. Pochyliła się, wsparła dłonie o moje ramiona. W jakimś sensie przyduśiła mnie do ziemi. Teoretycznie nadal mogłem zachowywać się po rycersku i nie opuszczać wzroku poniżej jej dolnych rzęs. Albo zacisnąć powieki. Ale zwyczajnie nie wytrzymałem.

Jedno spojrzenie, nie więcej. Potem już patrzyłem jej w oczy. Było ciemno, więc jakoś mi się udawało.

– Przepraszam, Kasia. Nie chciałem cię w to...

– Teraz cię pocałuję – przerwała mi pomrukiem, który miał nad szeptem tę przewagę, że lepiej pasował do odgrywanej scenki. – Potem ubierzemy się i wrócimy. Może być? – Kiwnąłem

głową. – I przytul mnie chociaż.

Wątpię, by to miała na myśli, ale kiedy moje dłonie przykleiły się do jej pośladków, poczułem na twarzy usta, nie pięść. Może wielkodusznie przypisała to tremie, a może sama była zbyt stremowana, by przejmować się niecelnym chwytem. Może. Nie miałem w sobie jednak dość optymizmu, by wykluczyć, że stało się to najgorsze i że zorientowała się, nim wezwane na pomoc ręce dotarły na miejsce katastrofy.

Inna sprawa, że tak naprawdę nie była to żadna katastrofa. Jej pupa zjechała za daleko w dół i natrafiła na przeszkodę, której mogło tam nie być – to wszystko. Niczego więcej się ode mnie nie dowiedziała, a tyle chyba odgadła już wcześniej.

## Rozdział 6

Nie pocałowała mnie, ale leżałem pod nią naprawdę długo. Oboje zafundowaliśmy potencjalnym podglądaczom wystarczająco dużo uścisków i wycieczek dłoni po ciele partnera, by rozbić w drobny mak każde podejrzenie, które nie zahaczało o chorobliwe. Potem podnieśliśmy się, ona usiadła na krawędzi wykopu i zaczęła wykręcać figi, a ja poszedłem zbierać rozsianą wzdłuż kanału garderobę. Za nasyphem zmieniłem mokre slipy na spodnie.

Wracając, milczeliśmy. Pierwsze słowa skierowałem do wartownika, kręcącego się przy północnym szańcu z worków.

– Ktoś wychodził czy mi się zdawało?

Zawahał się, ale nie próbował kręcić.

– A tak... Student. Umyć się. Ale mówiłem, że poszłiscie... znaczy, że plaża zajęta. Chyba nie przeszkadzał?

Starał się o obojętny ton. Trochę za bardzo jak na kogoś, kto brał za dobrą monetę wersję o niewinnej kąpeli dwojga osób, przypadkiem różniących się płcią.

– Nie.

Mogłem minąć posterunek bez słowa. Nasz cichy kibic wziął to chyba pod uwagę: przejście w zasiekach wyglądało tak, jak je zostawiłem. Z drugiej strony – trudno było oczekiwać, że Student zamknie je, skoro poinformowano go, że na zewnątrz są ludzie. Mógł zostawić wyraźnie węższy lub szerszy prześwit, ale byłoby to z kolei równoznaczne z poinformowaniem nas, że mogliśmy zostać przyłapani na czymś, co większość populacji woli robić sam na sam.

– To jego się... obawiasz? – zapytała cicho Kaśka.

– Nie wiem.

Nie usatysfakcjonowałem jej, ale nie drążyła tematu. Z ciemności wyłonił się nasz znajomy wartownik.

– Zamknę – machnął kombinerkami. – Porucznik kazał na amen. Dzwonili ze sztabu.

Jeden kaszaniarz zwiął. Wyjazdy dalej wstrzymane, a nam kazali uważać.

Zostawiliśmy go z zasiekami i ruszyliśmy ku barakom.

– Kaszaniarz? – Nie znała tego słowa.

– No wiesz: owijają się trotylem, jak ci handlarze z Zakazanych piosenek wędlinami. I robią niezłą kaszanę, jeśli któremuś uda się podejść. Szlag by to...

– Miałeś plany na weekend?

Nie od razu odpowiedziałem. Musiałem zastanowić się, co zmienia wprowadzony w składnicy stan obłączenia.

– Nadal mam – mruknąłem po chwili. – Muszę cię stąd wyekspediować.

– Aha – kiwnęła głową. – Prosta sprawa. Znaczek na czoło i lekki kopniak w tyłek.

Zatrzymałem się, jakbym sam zainkasował kopniaka.

– O co ci chodzi?

– Mnie o co chodzi? – Była raczej rozgoryczona niż zła. – To niby ja zachowuję się dziwnie?

– Przecież cię przeprosiłem.

– I to wszystko załatwia? – Nabrała pełne płuca powietrza, wypuściła. Razem z nadwyżką targających nią emocji. Kiedy odezwała się ponownie, jej głos brzmiał już spokojnie. – Wypiliśmy trochę, więc po prostu... No, jeżeli chcesz, byśmy zapomnieli o tym tam – wskazała most – to nie ma sprawy. Też nie zachowałam się mądrze.

Powinienem zaprzeczyć, bo nie miała racji. Brakowało mi jednak odwagi, by wdawać się w dyskusję. Może dobrze się stało. Kiedy weszliśmy między baraki, udowodniła, że rozwaga nie jest bynajmniej jej nieodłączną cechą.

– Spacerok pod gwiazdami?

Zakląłem w duchu. Patrycja. Wracała z rządka szaletów między barakami numer 2 i 3.

Była to najbardziej uczęszczana z tras, ale tak czy owak mieliśmy pecha.

Nie zdążyłem wymyślić odpowiedzi. Kaśka uczyniła to za mnie, bez słów wprawdzie, lecz właśnie dlatego perfidnie – rozchylając trzy z pięciu palców prawej ręki. Podobnie jak ja, zaciskała w niej mokre majtki. Były zszyte z delikatnej tkaniny, ale bioder natura jej nie poskapiła i kiedy materiał rozwinął się, nagle zrobiło się go dużo.

Latarnie świeciły nadal, więc bez trudu dostrzegłem, jak wyzywający uśmieszek zastyga

Patrycji na ustach. Gdyby dostała po twarzy tą mokrą bawełną, efekt byłby zbliżony.

Stałem jak sparalizowany. Wiedziałem, co teraz nastąpi.

– Widzę – wycedziła – że już nie potrzebujesz zniżki.

Obeszła nas łukiem i znikła w drzwiach stołówki.

Dość długo udawało mi się omijać Kaśkę spojrzeniem. Wykorzystała to i kiedy ponownie skrzyżowaliśmy wzrok, stała już pod sznurem do suszenia bielizny.

– Można? – trąciła przytrzymujący linkę słup.

– Dać się przywiązać i wychłostać? Jasne.

Byłem zły i było to słychać. Wzruszyła ramionami, ciut wyzywająco, ale też jak ktoś, kto nie wie, w czym zawinił.

– No co? Pytała, to odpowiedziałam. Skąd mogłam wiedzieć, że to twoja narzeczona.

– Ona nie jest moją narzeczoną – rzuciłem przez zęby.

– Żoną? – posłała mi kpiący uśmieszek. Ruszyłem w jej stronę. – No to dziewczyną. Coś was wyraźnie łączy. Nie ma zazdrości bez... – poszerzyła uśmiech – łączności.

Zatrzymałem się przed nią i korzystając z faktu, że zupełnie nie tego oczekiwała, wyjąłem nieszczęsny skrawek bawełny z jej ręki. Jednym machnięciem ulokowałem go na sznurze. Obok,

już porządnie, powiesiłem własne spodenki. Miło było popatrzeć na jej głupią minę.

– Chodź, żmijo. Dość narozrabiłaś.

Dopiero skręcając za narożnik, obejrzała się za siebie.

– Na pewno możemy? Dziwnie tu u was, ale to jednak jakby koszary. Bruszczak nie...?

– Nie zdąży zobaczyć. – Profilaktycznie złapałem ją za nadgarstek. – Twoich przynajmniej. Nie ma cudów, by na trzydziestu chłopa nie znalazł się jakiś fetyszysta. A jak nie fetyszysta, to Patrycja się nimi zajmie. Będziesz miała fantazyjną, frędzlastą przepaskę na biodra.

Szarpnęła się. Symbolicznie. I tylko raz. Cóż, figi nie były chyba z ekskluzywnego butiku.

Otworzyłem drzwi, ale nie pozwoliłem jej jeszcze wejść. Zamiast tego ująłem drugi nadgarstek i przyciągnąłem ją bliżej. Widziałem, jak twarz jej tężeje, kryjąc niepewność pod maską beztroski.

– Posłuchaj – szepnąłem. – Nie wiem, czy to niezbędne, ale nie chcę ryzykować.

Wychodzi na to, że jeszcze trochę tu pobędziesz. Więc niech wygląda tak, jakbyśmy byli parą.

– To znaczy? – Też ledwie było ją słyszeć.

– Jeśli ktoś zapyta, od dawna mamy dyskretny romans. Nie bój się, tu nie służy nikt ze Stargardu. Mała szansa, by twój mąż nasłuchiwał się potem plotek.

– Miłe, że pomyślałaś.

Sarkazm? Na pewno, ale miałem niejasne odczucie, że ostrze było wymierzone nie tylko we mnie.

– I śpisz tutaj – wskazałem wejście do swej kwatery.

– Nie u Patrycji? Naprawdę miły jesteś. Zaczynam się cieszyć, że się nie ożeniłaś. – Pauza.

– Albo zdążyłaś rozwieść.

Dziwnie rozłożyła akcenty w ostatnim zdaniu. Za to mogła się upierać, że znaku zapytania tam nie było.

– Nie nadażam za tobą – wyznałem. – Jak chcesz, możemy pogadać. Ale widziałaś te ściany z worków. Stajesz po drugiej stronie i słyszysz każde słowo.

– Ktoś może podsłuchiwać? – Z jej miny wynikało, że stara się być uprzejma i mi wierzyć.

– Dlaczego?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – mruknąłem trochę wbrew sobie. Większa część kłopotu z Kaśką polegała na tym, że właśnie bardzo chciałem, by się dowiedziała. A dokładniej: powiedziała mi, co o tym myśli. – Pamiętaj: para. Nie Romeo i Julia, ale ma wyglądać, że nam na sobie zależy.

– Jak bardzo? Mam się huścić na łóżku i jęczeć?

Kusiło mnie, by potwierdzić. Ale wstawiła się nie gorzej ode mnie i mogła naprawdę to zrobić.

– Wspomnij, że jesteś zmęczona, głowa cię boli albo coś tam... No wiesz, takie wasze: „Nie dziś, kochanie”.

– Żaden problem. Lecę z nóg. Wczoraj noc w pociągu, dziś na Okęciu i w samolocie, wrażeń od cholery... Nie zdziw się, jak nagle zwalę ci się pod nogi i zasnę. A ty mnie jeszcze upijasz.

Jako obserwator byłem do dupy: musiała mi to podać na tacy, bym w końcu zauważył, jak marnie wygląda. Może to dlatego, że taka właśnie, ospała, ze spowolnionymi ruchami i przytępionym żądłem ironii odpowiadała mi najbardziej.

– Przyleciałaś dzisiaj i tak z marszu do nas?

– Mówiłam: minimum kosztów. Szefowa dała mi szansę, ale forszę już nie bardzo.

– To znaczy, że jesteście nasi, polscy. Z krwi, kości i charakteru. „Jakoś to będzie” wiecznie żywe. Ale szczoteczkę masz? – przeszedłem do konkretów.

– Do zębów? – upewniła się. – Do całowania?

– Kaśka... – zacząłem ostrzegawczym tonem. Zrobiła skruszoną minkę. – Pytam, bo nie wiem, czy szukać ci wody.

– A ty zębów nie myjesz?

– Patrycja nie wymaga, rozdaje miętusy – odciąłem się. I dokończyłem poważniej: – To może potrwać, a ty jak usiądziesz, to mi zaśniesz.

– Byłam harcerką. Nikt mi nie podprowadził proporca.

Przyjąłem jej słowa za dobrą monetę, pokazałem, by weszła, a sam poszedłem szukać wody. Kiedy przekraczałem drogę – a dokładniej: szerokie na pięćdziesiąt metrów, rozjeżdżone kołami klepisko – moją uwagę zwrócił ruch przy bramie. Ktoś szedł od strony budynków ku szlabanowi i właśnie kierunek, nie sam ruch, kazał mi stanąć i popatrzeć. Nie zyskałem wiele: oświetlenie już tam nie sięgało. Uznałem, że to któryś z wartowników.

Zapomniałem o spacerowiczu i wkroczyłem do stołówki. Znalazłem kucharza i nakłoniłem go do oddania mi jednej z chłodzących się butelek. Nie zależało mi na schłodzonej, ale tylko taką miał pod ręką – po wodę gorszą, ciepłą, musiałby iść do magazynu. Wziąłem, co dał, i wróciłem do siebie.

Nie zdziwiłem się, widząc Kaśkę śpiącą przy stole. Niespodzianką był widok stojących obok literatki i butelki. Pewności nie miałem, ale chyba nie w takim stanie zostawiliśmy barek.

Usiadłem naprzeciwko. Myślałem, że się zbudzi. Ale nie. Mogłem gapić się bezkarnie na wszystko, co przytulony do stołu człowiek ma do zaprezentowania światu.

Nie było tego za dużo, bo nie miałem aż tyle odwagi, by obchodzić ją i oglądać z różnych stron. Kawalek ucha. Czarne kosmyki wilgotnych włosów, przyklejone do skroni. Grzywka, gęsta i ciężka, odchyłona na bok siłą grawitacji i pozwalająca dostrzec, że skryte zwykle pod nią czoło jest i wysokie, i doskonale ukształtowane, godne tego, by je z dumą odsłaniać. Brwi, dość gęste, ale niebudzące skojarzeń z męskimi. Fajne, lekko załamane i lekko niesymetryczne. Długie

cienie pod markizą rzęs. Wyraźnie zarysowana kość policzkowa. Kącik ust. Dłonie o szczupłych palcach i paznokciach akurat na tyle długich, by nabrały owalnego kształtu. Nie pomalowała ich.

A palców nie ozdobiła biżuterią.

Już wcześniej zauważyłem brak obrączki. Ale to niczego nie dowodziło. Pierwsza zasada turkmeńskiego BHP: nie świeć tubylcom w oczy niczym, co łatwo spieniężyć. Poza tym nie wszyscy małżonkowie noszą na co dzień obrączki. Ilona nie nosiła – na początku w ogóle niczego, nawet pierścionka. To dlatego tak wpadłem. Bo nie było ostrzeżenia i za dużo zdążyłem sobie wymarzyć, nim dowiedziałem się, że powinna nosić.

– Nie śpię – wymamrotała Kaśka, prostując się gwałtownie. – Tylko tak... Co się tak skradasz?

Udało mi się uciec spojrzeniem od jej palców.

– Nie skradam się. Myślę, jak cię przenieść na łóżko.

– Dźwigiem – rzuciła odruchowo. – Widziałam, że macie.

Fakt, mieliśmy.

– Nie jesteś wcale gruba.

– Pewnie – mruknęła, starając się zachować pogodny wyraz twarzy. – Kryśka z waszej klasy, ta to była gruba. Ja tylko za dużo ważę.

Nalałem sobie, choć i bez tego miałem mętlik pod czaszką, a literatka chyba nie była moja. Wypiłem, popiłem zimną wodą i sam sobie udowodniłem, że alkohol ogłupia.

– Dlaczego nie nosisz obrączki?

Jakoś nie zdzieliła mnie niczym ciężkim.

– A ty?

– Żadna mnie nie chciała. – Odruchowo schowałem się za tarczą żartobliwego uśmiechu.

– No to masz odpowiedź.

Może i miałem. Ale z winy alkoholu marnie kojarzyłem.

– Przecież wyszłaś za męża.

– Nawet w kościele. Wiesz: „póki śmierć nie rozłączy”.

– Umarł? – Nadal nie błyszczałem intelektem.

– Optymista – uśmiechnęła się półgębkiem. – Gorzej: puścił mnie w trąbę. Ruda prawniczka.

– Zostawił cię dla rudej prawniczki? Za debila wyszłaś?

Udała mi się nie lada sztuka: rozbawiłem ją.

– Zdrowie starych kumpli – uniosła literatkę. – Na was zawsze można liczyć.

Skrzywiło ją okropnie. Szybko podsunąłem mineralną.

– A propos – posłała mi rozmazane alkoholem spojrzenie. – To coś zmienia między nami?

– To?

– Rozwód – wyjaśniła. Sięgnęła nad kark, zaczęła ściągać gumkę z włosów zebranych



w koński ogon. – Jako rozwódka nadal cię podniecam czy posuwasz tylko te z obrączką?

Musiałem mieć wyjątkowo nieszczęśliwą minę, bo dała spokój włosom, położyła konspiracyjnie palec na ustach, a drugim wskazała przepierzenie z worków. Miała figlarną minę psotnej dziewczynki, ale nie byłem pewien, czy tylko tyle dało się znaleźć w jej oczach.

– Aha – powiedziałem powoli. – No cóż, jeśli o mnie chodzi... Nic się nie zmieniło... od tamtej pory.

No proszę: niby pijany, a jakie zręczne sformułowanie. „Przecież wiesz, że ślinię się na twój widok” – usłyszy potencjalny szpieg. „Przecież wiesz, że byliśmy tylko kolegami” – usłyszy Kaśka znów Sosnowska. Szkoda, cholera, że ja sam nie potrafiłem niczego usłyszeć jednoznacznie.

– Tamta pora? – uniosła brwi. – Chodzi ci o spotkanie z wózkiem czy o tę upojną noc na weselu Bożeny?

– No... wiesz.

– O noc – skorzystała ze swobody wyboru. – Ale nie wiem, czy pamiętasz, jak się wtedy zachowałeś.

– Ja? Niby jak?

– Wyszliśmy na ławkę, gadaliśmy. Położyłam się, a ty trzymałeś moją głowę na kolanach.

Pamiętasz?

Wtedy też byłem wstawiony. Ale pamiętałem – aż za dobrze. Po latach wierzyłem już, że bycie poduszką na parkowej ławce przed Domem Kultury Kolejarza, w letnią noc, przez jeden zaledwie płot z zacisznymi ogródkami działkowymi, gdzie bylibyśmy tylko my, gwiazdy i zapach kwiatów – że to nic nie znaczyło. Że niczego nie zaprzepaściłem. Ot, dwoje podpitych znajomych łapie oddech w przerwie między tańcami, które nawet nie były wspólne. Lżej mi się z tym żyło. Nie zapomniałem jednak. I prawie się cieszyłem, kiedy na miejsce ogródków wpakował się Statoil ze swoją stacją. A teraz ta sadystka grzebie mi w zagojonej ranie.

– Nic nie zrobiłeś, a ja leżałam i myślałam: kiwnij palcem, a obróć się na brzuch.

Nie umiałem choćby zerkać jej w oczy. Była inteligentna, potrafiła dopisać scenariusz do powierzonych sobie roli. Oto próbka wszechstronnych talentów dramatycznych. Ja taki dobry nie byłem i potrzebowałem czasu, by uporać się z szokiem. Nie wiedziałem, ile prawdy jest w tym, co powiedziała, ale od szoku i tak mnie to nie uchroniło.

Prawda czy nie, zapamiętała tę chwilę dokładnie tak jak ja: jako okazję, z której nie skorzystaliśmy.

Jezu...

Wstałem, wyjąłem pastę i zacząłem chodzić po pokoju, myjąc zęby. Czuję się podle, choć świadomość tego, że jestem pijany, znieczulała całkiem dobrze.

– Niczego od ciebie nie wymagam. – Tę kwestię wygłosiła jak na pokazie sztuki aktorskiej,

niby w ramach intymnej rozmowy, lecz zarazem tak, że słyszałby ją cały duży teatr.

Albo facet oddzielony grubą warstwą worków, skrzyń z amunicją i co tam jeszcze w magazynie było. – Nie mamy po naście lat. Stać nas na trochę szczerości i racjonalizm, nie?

Potrząsnęła głową, na chwilę zmieniając włosy w wirującą wokół twarzy kurtynę. I nagle stała się kimś innym. To ta druga, niby taka sama, a jednak odmienna, zastępowała podkoszulek długą do pól uda koszulą, odwrócona plecami do mnie, niepróbująca niczego przyspieszać i z premedytacją demonstrująca łopatki, których nie przecinał pasek stanika. To ona sięgała pod brzegi kusego stroju, odpinała guzik i pozwalała opadać szortom, choć oboje wiedzieliśmy, że niczego poza szortami już tam, w dole, nie ma. Ona zakładała nogę na nogę, siadając twarzą do mnie i szczotkując zęby. Ta nowa, inna. Nieukazująca niczego, czego nie zdążyłem zobaczyć u Kaśki-koleżanki, lecz każdym ruchem podkreślająca swą cielesność. Prowokująca. Atrakcyjna.

Nierealna jak senna zjawa, choć zarazem przytłaczająco prawdziwa.

Bez ceregieli wypluła na ziemię wodę z pianą.

– Wyrosłem z wieku, kiedy penisa myli się z pierścionkiem zaręczynowym – powiedziała.

– Nie oczekuję deklaracji. Jeśli chcesz, możemy się pokochać. Bez zobowiązań. Ot tak, dla frajdy. Nie bój się – błysnęła zębami – tu nie służy nikt ze Stargardu. Mała szansa, by twoja Ilona nasłuchiwała się potem plotek.

Była jedna rola, którą odegrałbym równie dobrze jak ona swoją: Otella. W tym kawałku z duszeniem.

– Padasz z nóg – przypomniałem.

– Fakt. – Albo mi się zdawało, albo przygasła. – Wiele pożytku dziś ze mnie nie będzie.

Ale... może chociaż położymy się razem? – Wskazała zawalone swym dobytkiem łóżko Grzywacza. – Nie mam siły tego sprzątać.

Oddałbym pół życia za prawo zajrzenia w jej myśli.

– Nie żartuj. – Podarowałem sobie odrobinę satysfakcji, przetrzymując ją przez chwilę w niepewności, co ów apel oznacza. – Jasne, że śpimy razem. Przecież wiesz, że cię...

Udało mi się ładnie zawiesić głos.

– Fajnie – uśmiechnęła się blado. – No to... spać, spać, spać. Aha – przypomniała sobie, zrzucając tenisówki. – Jakby co... Źle policzyłam. Mój kalendarzyk mówi jednak: tak. To dobranoc.

\*

Nie musiałem wychodzić, mój pęcherz wytrzymałby do rana. Ale wyjście oznaczało zwłokę, a tej bardzo potrzebowałem. Poważnej decyzji nie podejmuje się w minutę.

Wyprawa do plastikowej sławojki zajęła mi pięć razy tyle. To też mało, jeśli ktoś zamierza przestawić zwrotnicę swego losu, ale prawie dość, by wmówić sobie, że nie ma mowy o sięganiu po wajchę.

Jeśli mówiła do nas obu – nie tylko tego za ścianą – to mieliśmy się po prostu trochę pokotłować w łóżku. Bez zobowiązań. Miliony Polaków robiły coś takiego, robią i robić będą.

Jeżeli jedynie grała rolę, bawiąc się moim kosztem... Cóż, czekała mnie odrobina upokorzenia.

Przy znieczuleniu wódką nie powinno mocno boleć.

No to w czym problem?

Tu, na zewnątrz, go nie było. Po raz pierwszy słuchałem z przyjemnością dobiegającego ze stołówki łomotu. Muzyka budowała dyskotekowy klimat: odrealniony świat, dużo ogłupiacza we krwi i szybki seks w jakimś kącie; chwila rozkoszy w ramionach kogoś prawie albo i całkiem obcego.

Nasze majtki wisiały zgodnie obok siebie. Tak po prostu. Rano Bruszczak każe je pewnie usunąć, ale i on nie dozna szoku, widząc coś takiego pośrodku koszar. Bo nie ma jeszcze trzydziestki i jest już produktem nowego, bardziej wyluzowanego, bliższego naturze świata.

Przez chwilę też taki byłem. Zamknąłem za sobą drzwi naszego pokoju i nie gasząc lampki, wpatrzony w plecy leżącej twarzą do ściany dziewczyny, rozebrałem się do naga. Z mroku nad workową ścianą mogły przyglądać mi się czyjeś uważne oczy i to tłumaczyło prawie wszystko – tyle że akurat wtedy nie pamiętałem o tym. Obecność kogoś trzeciego, sama myśl o tym, podziałałaby na mnie jak gwóźdź na dętkę. A przecież wślizgując się pod koc, nie miałem w sobie niczego ze sflaczałej dętki. Byłem aż sztywny ze zdenerwowania, jednak wówczas jeszcze owa sztywność przenosiła się z duszy także na ciało – na ten najważniejszy jego fragment.

Nie wiem, czy chciałem tak od razu, z marszu, jej dotykać. Decyzję podjęło za mnie wojskowe łóżko. Miało więcej wspólnego z hamakiem niż tapczanem i nim się zastanowiłem, grawitacja wybrała za mnie.

Leżała z lekko podkulonymi nogami i jej stopy zostały z tyłu. Były chłodne, a trafiłem na nie goleniami, więc w zasadzie ów chłód i nieznaczna szorstkość pięt powinny być pierwszymi, najmocniejszymi doznaniem. Ale pozycja zbliżona do embrionalnej oznacza też wyeksponowane pośladki i to z nimi się przede wszystkim zetknąłem. Kładłem się jak ona, na boku – więc wiadomo czym.

Króciutka koszula nie zdążyła się podwinąć i między nami pozostał milimetr bawełny.

Jeśli brać poprawkę na zapadający się materac, to nie zrobiłem jeszcze niczego jednoznacznego.

Nie było powodów do paniki. I w zasadzie nie spanikowałem. Jeszcze nie wtedy.

Po prostu zastygłem w oczekiwaniu na jej reakcję. Kiedy się kładłem, dopuszczałem, że mogła zasnąć: była i zmęczona, i pijana. Teraz jednak na dnie żołądka niczym kamień legła mi pewność, że nie śpi. Że w pełni świadoma tego, co się dzieje, leży nieruchomo i...

Wystarczyło zapytać. Albo dotknąć jej ramienia. Wsłuchiwanie się w rytm oddechu było najgłupszym ze sposobów, tak żalnym, że świadomość tego stanowiła połowę przyczyn mojej klęski. Już lepiej byłoby pójść za ciosem, zadrzeć jej koszulę i wejść w nią bez pytania o zgodę.

Najwyżej dostałbym w pysk. Tyle że nawet wówczas, mając w głowie kompletną sieczkę, rozumiałem, że to nierealne. Jeśli nie spała, musiała poczuć, w jakim jestem stanie, a kobieta, o której pośladki oprze się nabrzmiały z pożądania członek, ma praktycznie tylko dwa wyjścia: powiedzieć „tak” albo powiedzieć „nie”. Słowem. Ruchem bioder. Pomrukiem lub westchnieniem. Naciskiem stopy na stopę. Czymkolwiek.

Nie pomyślałem, że może też nie zrobić niczego, i ten brak wyobraźni przechylił szalę.

Okazał się gwoździem na moją nie dość odporną dętkę. Chciałem tego jak mało czego w życiu, a ona nie zareagowała w porę i wystarczyło parę sekund, bym pozostał za jej nieruchomymi biodrami z żalnym wspomnieniem męskiej gotowości.

Gdyby jakiś turkmeński partyzant wpakował w tej chwili granat w okno, pobłogosławiłbym go, umierając. Ale nie miałem szczęścia i męczyłem się jeszcze kilka minut, nim wola ucieczki i alkohol wzięły górę, przynosząc łaskę snu.

## Rozdział 7

– Adam? Śpisz?

Spałem, ale obudziła mnie. To znaczy, tak myślałem z początku: że to ona. Łóżko było ciasne, nas dwoje, a w dodatku w tym specyficznym, łózkowym znaczeniu tego słowa byliśmy sobie obcy, co cholernie utrudnia wspólny nocleg. Budziłem się więc niejedną raz, miałem myśli i sny pełne Kaśki i siłą rzeczy teraz też pomyślałem o niej.

– Ktoś przyjechał – skomentowała ryknięcie silnika.

Na dworze było szaro, co w warunkach wiosny, naszej bazy i soboty oznaczało jeszcze noc.

– Wóz dyżurny – wymamrotałem. – Od czasu do czasu przejeżdża z miejsca... – przerwałem, by ziewnąć.

– Nie. – Miała głos przytomniejszy od mojego i leżała z głową na poduszce, nie próbując się poruszać. Żadnego przeciągania się, tarcia oczu. Ten etap miała za sobą. Czort wie, jak długo leżała tak, wpatrując się w mój profil.

– To bewup. – Wyjąłem dłonie spod koca, zacząłem rozcierać odrętwiałą twarz. – Znam ten dźwięk. Może...

– Mówię ci, że ktoś przyjechał. Był też samochód.

To zmieniało postać rzeczy.

– No to nastaw się na hałasy – mruknąłem ponuro. – To musi być wóz amunicyjny, a amunicję mamy tam – wskazałem ścianę z worków.

– A jak to autobus? Może odwołali alarm.

– No... może. Lepiej by było – rzuciłem bez przekonania. Jeszcze się całkiem nie obudziłem, ale zaczynałem sobie przypominać, jak cholernie brakuje mi ostatnio szczęścia. Inna sprawa, że nie wiedziałem już, które z wzajemnie sprzecznych rozstrzygnięć uznałbym za to szczęśliwe.

– Bruszcak mnie odeśle? – Usiadła nagle, krzyżując pod kocem nogi. Poczulem jej kolano na udzie i od razu zaczęło mi się robić cieplej kilkanaście centymetrów dalej.

– Odeśle? – powtórzyłem machinalnie.

– Tu miało być bezpiecznie. Ale po tym wczorajszym...

– Bruszcak nic do ciebie nie ma – zaprotestowałem dla zasady. Akurat w tym momencie wyobraziłem go sobie stojącego w portkach od piżamy przed jakimś waźniakiem i tłumaczącego się z damskich majtek powiewających na wietrze.

– A do ciebie? Nie wyglądałeś wczoraj jak jego pupil. – Nie próbowałem zaprzeczać. – Nie chcę być zarozumiała, ale oni wszyscy mogą ci trochę zazdrościć.

– Zazdrościć? – Przez to kolano, którego nie cofała, byłem mocno rozkojarzony. Moje spodenki też powiewały na wietrze, co waźniakom w mundurach pewnie nie przeszkadzało, ale

mnie bardzo. Właśnie dotarł do mnie rozmiar wczorajszej hańby. Nie ma nic żałośniejszego od gołego faceta, który niczego nie zdziałał i już nie zdziała.

Za późno ugryzłem się w język. A ona była zbyt spostrzegawcza, inteligentna... no i wrażliwa.

Zabolało ją. Wiedziałem, że kłapiąc bezmyślnie dziobem, sprawiłem jej przykrość. I miałem przynajmniej tyle honoru, by natychmiast spróbować to naprawić.

– Jezu, przepraszam... – Byłem tak skruszony, że odważyłem się wziąć ją za rękę. – Przecież wiesz, że to nie... Jeszcze się nie obudziłem, to dlatego. Jasne, że mają mi czego zazdrościć. To znaczy...

– ...tak im się wydaje – dokończyła. Jej twarz mówiła: „Jestem duża, wiem, że życie to nie bajka”.

Ścisnąłem jej palce.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedziałem. – Naprawdę.

No pewnie. Pozwalała nie myśleć o Ilonie. To znaczy: myśleć rzadziej.

Siedziała jakiś czas, spoglądając na ścianę. Gdzieś na zewnątrz zajęczał rozrusznik.

Ciężarówka, chyba star 6x6, powoli przetoczyła się za oknem.

– Mogę ci zadać pytanie? – usłyszałem stłumiony od skrywanego napięcia głos Kasi. – Tylko że... niedyskretne.

– Najwyżej nie odpowiem.

– Odpowiesz – zapewniła jeszcze ciszej.

– No to wal.

Jeszcze się wahała. Nagle zacząłem się bać.

– Adam... Jeżeli nie... Możemy uznać, że po prostu nie było... no, rozmowy? Nie chcę... Z dawnych kumpli właściwie nikt mi nie pozostał i nie chciałabym, żebyśmy i my...

– Zawsze będziemy kumplami. Spoko – posłałem jej uśmiech. – Nie obrażam się tak łatwo.

Pytajcie, Sosnowska.

Zapytała.

Wkładając rękę pod koc i zaciskając dłoń na tym draniu, który tak mnie sponiewierał w nocy.

Mieścił się bez trudu w jej ciepłych, nieruchomych palcach. Może ze dwie, trzy sekundy.

A potem stopniowo przestał się mieścić. Byłem półprzytomny z wrażenia, niemal pewny, że serce wyjdzie mi gardłem albo po prostu pęknie; nie potrafiłem poruszyć ani jednym mięśniem, ale tam, pod jej palcami, miałem moc tej ciężarówki zza ściany.

Patrzyła mi w oczy. Nadal bez uśmiechu, z powagą. Ale i czymś zbliżonym do ulgi, do radosnego zdziwienia.

– To dlaczego? – zapytała szeptem, w którym wyrzut mieszał się z tkliwością. – Myślałam, że...

– Kasia... – z ogromnym wysiłkiem przepchnąłem ślinę przez gardło. – Co ty... robisz?

– Jeszcze nic. – Fakt, jej dłoń nie poruszyła się. – Nie wiem, czy mogę. Czy chcesz.

To jej lewa dłoń była tą mądrą, dobrą, kochaną. Ale ścisnąłem w spoconych nagle palcach prawą, więc tę przyciągnąłem do ust, by złożyć delikatny pocałunek.

Teraz już wiedziała. Wcale nie musiałem posyłać jej w górę zartobliwego uśmiechu czy słów.

– Dziewczyny zawsze mogą. A my zawsze chcemy.

Polubiłem ją kiedyś, bo zareagowała błyskiem zębów na mój pierwszy, siłą rzeczy wymuszony, jak to przy obcych, żart. I potem zawsze się śmiała, gdy choć odrobinę starałem się ją rozbawić. Nie wiem, czy kobiety zdają sobie sprawę z tego, jak to podnosi mężczyznę we własnych oczach, czyniąc atrakcyjniejszymi je same. Pewnie tak. Ja aż do tego poranka nie miałem pojęcia, jakim błogosławieństwem może być uśmiech dziewczyny, którą już się zdobyło i która przekłada udo nad twoimi nagimi biodrami, by opasać je zdecydowanym uściskiem, dawać i brać.

To biel jej zębów sprawiła, że przestałem się bać i że wszystko poszło tak dobrze. No... może jeszcze i to, że obudziła się wcześniej, a jej myśli, podobnie jak ciało, nie zamierzały wyslizgiwać się spod koca. Była tak gotowa, jak tylko gotowa może być kobieta. Zanim zdążyłem się zachwycić, byłem w środku. Albo raczej: ona tkwiła na mnie.

Nie próbowałem niczego zmieniać. To ona była tą odważniejszą i to ona miała prawo do małej zemsty za to, co jej wczoraj zrobiłem – nie robiąc niczego. Nie mówiąc już o najważniejszym: jej wyczuciu sytuacji.

Poprowadziła mnie ku rozkoszy jak dobry, wyrozumiały nauczyciel tańca stremowanego ucznia.

– Masz mi patrzeć w oczy – powiedziała zaraz na początku. – I nie spiesz się.

Patrzyłem. To powinno być trudniejsze: tak naprawdę byliśmy parą obcych ludzi, dwoma znakami zapytania, które przypadkiem zahaczyły o siebie. I nie miała szarych tęczywek. Ale byłem pełen Kaški, od czubka mózgu po końce palców u nóg, i to, co w trakcie co śmielszych marzeń budziło me obawy, teraz nie nastroczało ani odrobiny trudności. Uciekałem ze spojrzeniem tylko dlatego, że na dłuższą metę nie dało się znieść równocześnie widoku jej twarzy i wszystkiego, co mi oferowała.

Strasznie późno przypomniałem sobie o jej piersiach. Prawie się nie całowaliśmy, więc w pewnym sensie przez cały czas była daleko. Nie miałem o to żalu. Nie można oglądać kogoś, kogo się obsypuje pocałunkami, a ja pożądałem jednakowo silnie obu tych doznań. Nie było więc szans, by moje usta zabłądziły na któryś z niewysokich, napinających luźną koszulkę pagórków.

Ale ręce mogły. Wpuściła moją dłoń i nawet nachyliła się ku niej, poddając pieszczocie, lecz przycisnęła łokcie do boków, kiedy próbowałem unieść koszulkę.

– Nie – wymruczała. – Kiepskie są.

– Na pewno nie.

– Nie chcę. Proszę.

Zrobiłbym dla niej wszystko. Czułem, że nie ma racji, ale nie próbowałem więcej jej rozbierać. Nawet nie sięgałem tam. Błądziłem rękoma po jej udach, podbiciu stóp, biodrach, policzkach... Wystarczało mi to.

Jej chyba też. I zagapiła się, przeoczyła moment, kiedy patrząc jej w same środki źrenic, przestałem cokolwiek widzieć. Nie zwolniła w porę, nie dała mi odetchnąć.

U Hemingwaya pod bohaterami zakołysał się świat. Mnie nie dane było tego dostąpić.

Ale kiedy uniesienie opadło, ujrzałem nad sobą trochę rozkojarzony, lecz przede wszystkim przyjazny, wolny od wyrzutu uśmiech spoconej Kaśki i pomyślałem, że po szalonym pijaństwie nie przyjdzie kac.

– Nie... Nie wyszło? – zapytałem rwącym się szeptem. – Ty nie...?

– Ale prawie – pocieszyła mnie.

– To jeden ci wiszę.

Objąłem ją i przytuliłem.

\*

Spaliśmy do dziewiątej. Żadne z nas nie zmałało, ale dopasowaliśmy się do siebie jak para łyżek i nagle przestaliśmy sobie przeszkadzać. Gdyby nie pukanie, pewnie nie wstalibyśmy przed południem.

– Zaraz koniec śniadania – usłyszałem zakłopotany głos Sławka. – Lepiej się pospiesz.

Odszedł, nie próbując ruszać klamki.

– Ładne mi wojsko – powiedziała Kaśka zrzędliwym tonem, wyłażąc spod koca i sprawdzając godzinę. – Okradną was, a wy się nawet nie zbudzicie.

– Też się cieszę, że panią widzę, pani redaktor. Wsunęła stopy w tenisówki, podeszła do łóżka Grzywacza, podniosła wczorajsze szorty oraz, pytająco, brew.

– Pasuje?

– Zależy, co planujesz na dzisiaj. – Przemogłem się i rezygnując z owijania się kocem, podszedłem do okna. Miało i zasłonę, i firankę, ale obie w symbolicznych ilościach. Trzeba było trochę pokombinować, by zabezpieczyć strategiczne kierunki. Oczywiście od razu się zorientowała.

– To na moją cześć? – wyszczerzyła zęby. – Zazdrosny?

– A mam prawo czuć się zazdrosny?

Nie wiem, po co to powiedziałem. Inna sprawa, że mogła rozładować napięcie jednym żartobliwym unikiem. Zamiast tego obdarzyła mnie poważnym, niemal smutnym spojrzeniem.

– Przepraszam. – Zaskoczyła mnie do tego stopnia, że dałem spokój firance, tracąc tym



samym pretekst do stania tyłem i oglądania się przez ramię.

– Przepraszam?

– To znaczy... na wszelki wypadek. – Posłużyła się kobiecą intuicją i rzuciła mi spodnie.

Mogłem stanąć jak należy, twarzą do rozmówcy, niby to przypadkiem zakrywając dolne partie brzucha. – Kilkanaście lat przerwy. Sama po sobie widzę, jaka inna jestem, więc pewnie ty też...

Ale tamten Adam... Jak to powiedzieć... No, nie byłeś łatwy.

– Proszę?

– Nie zaliczałeś panienki po panience.

– Aha – mruknąłem bez entuzjazmu.

– Po prostu poważnie do tego podchodziłeś – pocieszyła mnie, trafnie zgadując, że nie wziąłem tego za komplement. – Nie zrozum mnie źle: to fajnie, kiedy ktoś obchodzi się z tobą jak z jajkiem. Podobało mi się to u ciebie, słowo. Tylko teraz się boję... Nie chcę cię urazić.

Skrzywdzić – poprawiła się odważnie. – Porządny facet ma wyrzuty sumienia, skrupuły... – Westchnęła. – Cholera, ciężko się z tobą rozmawia.

– Kasia – powiedziałem cicho – ja nic nie mówię. Udało mi się ją najpierw zaskoczyć, a zaraz potem rozśmieszyć. I wyraźnie rozładować napięcie.

– Widzisz, z jaką kretynką się zadajesz? Nic dziwnego, że piszę w gazecie dla bab. A propos... – podniosła kusą sukienkę ze stojącym kołnierzem i wycięciami w okolicy ramion. – Dostanę od Bruszcza wywiad w czymś takim?

– Na pewno – rzuciłem bez entuzjazmu, zaczynając się ubierać. – Tylko nie wiem, czy będzie mówił z sensem.

– Taka seksowna? – ucieszyła się. Po czym stanęła plecami do mnie i jednym ruchem pozbyła się koszuli. Nie miałem wcześniej okazji oglądać jej pośladków, więc ocknąłem się dopiero, gdy znikły pod białą koktajlowej sukienki.

– Daj spokój – zaprotestowałem. – Chyba nie chcesz...?

– Atak zazdrości numer dwa?

Pewnie nie odezwałbym się już słowem – zwłaszcza że trafiła – ale spod szafy widać było akurat okolice naszego ufortyfikowanego parkingu. I stojący tam transporter z czerwonymi znakami na tle białych kwadratów.

– Cholera...

Ludzie zwykle uśmiechali się na widok pancерnej sanitarki. MTLB to nie śmigłowiec, ale mógł dotrzeć niemal wszędzie, dzięki gąsienicom omijał zaminowane odcinki dróg, a czerwone półksiężyce, namalowane obok czerwonych krzyży, mocno redukowały ryzyko świadomego ataku. W kraju, gdzie każdy musiał się liczyć z nagłym i poważnym uszczerbkiem na zdrowiu, taki widok w sposób naturalny podnosił na duchu, i to niezależnie od postawy patrzącego wobec

wojny. Byłem chyba jedynym w promieniu setek kilometrów malkontentem, odnoszącym się do sanitarki z niechęcią.

– Myślisz, że kogoś przywieźli?

– Przywieźli? – posłałem jej roztargnione spojrzenie.

– No wiesz... Następnego z tych czterech. Albo któregoś z naszych.

Zrozumiałem, że pyta o ciała.

– Trupów nie wożą – mruknąłem. Szybko uzupełniłem strój o buty i podkoszulek. Już z dłonią na klamce powiedziałem: – Zdejmij to i włóż coś... skromnego.

– Słucham? – popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Cicha, skromna, nieśmiała. Typ kury domowej. Taka masz być. Wybierz coś odpowiedniego, przyjdź na stołówkę i za dużo nie gadaj. – Jej wzrok był już wystarczająco twardy, bym przypomniał sobie o najważniejszym. – Proszę.

\*

Kapitan doktor Chudzyński był z grubsza w moim wieku, miał zbyt wydatny jak na oficera brzuch, przeredzone włosy i bladoniebieskie oczy. Kiedy się postarał, potrafił budzić sympatię. Tego ranka jego notowania w oczach zgromadzonych na stołówce podniosła skrzynka świeżutkich pączków, napoleonek i temu podobnych wypieków, którą przywieźli medycy.

– Sam? – Bruszczak poklepał taboret na wypadek, gdybym próbował wybrać bardziej zaciszny stół. – Koleżanka śpi?

– Nie obrażać dam – zaprotestował lekarz. W spojrzeniu, które mi posłał, doszukałem się czegoś dziwnego. Ale tego ranka, po nocy z Kaśką, o każdym spotkanym po drodze mógłbym powiedzieć to samo. Na złodzieju czapka gore.

– Damie wypada spać do południa – pouczył go Czarek.

– Ale nie damie pracującej. Widziałem Trysię: urzęduje, aż iskry z komputera lecą. To tylko wy się byczycie, panowie liniowi. My, logistycy, harujemy na okrągło.

Podał mi dłoń. Uścisk miał, że daj Boże każdemu, choć nie wyrósł wyżej niż Kaśka.

– Oni nie o plutonowej Górskiej – powiedziałem z nieco zakłopotanym uśmiechem. – Mamy tu dziennikarkę.

– Kto ma, to ma – mruknął Bruszczak. Nie chciał jednak uchodzić za tępego zupaka w oczach gościa, poprzestał więc na tym i zajął się pączkiem. Zauważyłem, że powieki ma mocno zaczerwienione. Może od wypatrywania wroga, może od szukania prawd życiowych na dnie kieliszka.

Szamocki też nie wyglądał kwitnąco.

– Te głupie kutasy wystrzelały pół ciężarówki granatów! – Postawił kubek jak pieczęć pod wyrokiem na śmiertelnego wroga. – I ani jednego szweda, wyobrażasz sobie?!

– Walczymy ze Szwedami? – zainteresował się uprzejmie doktor Chudzyński. – Przeszli

w końcu na drugą stronę? Zawsze mówiłem, że im ten ich socjalizm powyżera mózgi.

– Porucznik mówi o pociskach do bewupa – wyjaśniłem. – Tych z zapalnikami Boforsa.

Mogłem sobie darować tę kwestię, ale i on nie musiał udawać ignoranta. Bywał tu często i bez wątpienia przyszło mu wysłuchać co najmniej jednego wykładu Szamockiego.

– A, te... – udał, że sobie przypomina. – Cóż, może są za drogie. Kontyngent znów jest niewyplacalny. Nie zdziwcie się, jeśli to będzie ostatnia taka dostawa – uniósł łyżeczkę z kawałkiem kremówki. – Jest możliwość, że tyły przejdą na suchy prowiant. Dla linii są na razie warzywa i normalne mięso, ale my, nieroby... – Zgarnął ustami zawartość łyżeczki i z błogą miną zaczął powoli poruszać dokładnie wygoloną szczęką. – Aha, no i z podwyżki nici.

Bruszczak zastygł z końcówką pączka w dłoni.

– Nie będzie waloryzacji? – zapytał z niedowierzaniem.

– Też – rzucił niedbale Chudzyński.

– Co pan pieprzy?! – Trudno powiedzieć, czy porucznika bardziej poruszyła sama nowina, czy sposób jej przekazania. – Sam słyszałem, jak minister zapewniał...

– Że pieniądze dla armii muszą się znaleźć? – wszedł mu w słowo doskonale spokojny lekarz. – Logik wytłumaczyłby panu, że takie stwierdzenie nic nie znaczy. Nie mówiąc o tym, że przyjmowanie za dobrą monetę obietnic polityka... Bruszczak nie miał zamiaru tego słuchać. Bez słowa zerwał się z taboretu i opuścił stołówkę. Musiał być naprawdę zły, bo pierwszy raz widziałem go wymuszającego pierwszeństwo na kobiecie. Inna sprawa, że uskakująca mu z drogi Kaśka nie była plutonową Górską, do której sprowadzały się moje dotychczasowe obserwacje.

– Ma długi – mruknął Szamocki. – Liczył na tę forszę.

– Nie on jeden – pokiwał głową Chudzyński. – To na razie nic oficjalnego, ale w delcie atmosfera jest jak w Rosji przed rewolucją. Kadra chodzi wściekła, a żołnierze samopas. Jeżeli zostaniecie tu nagle oblężeni, radzę liczyć na siebie.

Był bardziej szarmancki od Bruszczaka, wobec czego podniósł się, gdy Kaśka podeszła do stołu.

– Grozi nam oblężenie? – zapytała z uśmiechem.

– Ależ skąd – odpowiedział błyskiem zębów. – Zacząłem od „jeżeli”. Przepraszam, jeśli wystraszyłem. – Wyciągnął rękę. – Pani pozwoli: kapitan lekarz Mariusz Chudzyński.

– Nowic... Sosnowska – poprawiła się. – Tak jakby redaktor.

Pomyślałem, że nie wygląda na warszawską dziennikarkę. Włożyła znoszone brązowe sandały na płaskim obcasie oraz białą sukienkę w drobne niebieskie wzorki. Sukienka miała obszerny dół i skąpe ramiączka, bez przeróbek mogące zastąpić sznurowadła. Odslaniała ramiona i sporo pleców, było jednak w jej kroju coś, co budziło więcej skojarzeń z porządną panią ze skromnego domu niż przebojową łowczynią sensacji. Z drugiej strony: panie piszące dla innych pań to osobny gatunek dziennikarza. Może tak właśnie noszono się w tej branży, rozpisując

równocześnie o orgazmach, kłopotach ze wzrodem partnera i wyższości wakacji na Bermudach nad żegluga po Karaibach. Nie wiedziałem.

Usiadła. Kucharz przyniósł śniadanie, a ja je zjadłem, ale gdyby mnie zapytali o skład, potrafiłbym powiedzieć co najwyżej, że nie jadłem łyżką. Słuchałem jednym uchem rozmowy Kaśki z doktorem, myślami jednak byłem gdzie indziej.

\*

– Jak praca? – zapytał Chudzyński, wychodząc ze swojej kabiny. Ja progu swojej nie przekroczyłem. Wyprawa do ubikacji stanowiła wyłącznie pretekst, by wyrwać się z towarzystwa składnicowych VIP-ów.

– Która? – rzuciłem mu ponure spojrzenie. Podświadomie pragnąłem chyba, by się zniechęcił i machnął na mnie ręką. Podświadomość bywa niekiedy przeraźliwie bezmyślna. Na szczęście doktor swoją trzymał na krótkiej smyczy.

– Ta konkretna, metalowa – wyszczerzył zęby.

– Rozbabrana – odpowiedziałem po chwili.

– Ale jest pan blisko? – zasugerował. Pokiwałem głową w mocno dwuznaczny sposób.

Rozsądny przedsiębiorca nie czekałby dłużej i postawiłby na mnie krzyżyk. On jedynie przybrał poważniejszy wyraz twarzy. – Proszę to skończyć.

– W końcu skończę – mruknąłem ponuro.

– Dzisiaj – dodał z lekkim naciskiem.

– Dzisiaj? – Czuję, jak sztywnieje mi twarz. – Dlaczego tak nagle? Chyba nie chcecie...?

To nie będzie jutro?

– A gdyby? – zainteresował się. Na zaniepokojonego jednak nie wyglądał, co z kolei mnie nieco uspokoiło. Nie był idiotą, zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Tacy ludzie reagują żywiej na sygnały ostrzegawcze nadchodzące w ostatniej chwili, gdy kości grzechocą już w kubku.

Pomyślałem, że właśnie udzielił mi odpowiedzi.

Ale miałem też za sobą tę noc. Nie potrafiłem zadowolić się nagą dedukcją.

– Nierealne – stwierdziłem z najgłębszym przekonaniem, jakie potrafiłem wtłoczyć w struny głosowe. – Ta wczorajsza strzelanina... Za dużo ludzi przebywa w składnicy. A ma być pusto. Każdy dodatkowy człowiek to dodatkowe ryzyko.

– Brawo – rzucił lekko ironicznie. – Wnioskowanie bez zarzutu. Ale tak szczerze... Tylko w tym problem?

– Tylko? – parsknąłem. – Mówi pan, jakby chodziło o skok na budkę z lodami!

– To nie lody – powiedział z naciskiem. – To milion dolarów. W najgorszym razie.

Widział pan taką forszę?

– Nie. I nie zobaczę.

W jasnoniebieskich, jakby rozwodnionych oczach pojawiło się coś zbliżonego do obawy.

Nie lęku – najwyżej obawy.

– Chyba nie chce pan powiedzieć, że rezygnuje? – Niedowierzania było w jego głosie znacznie więcej niż pogroźki. Co nie znaczy, że miałem prawo czuć się bezpieczny. – Z miliona zielonych?!

– Chodziło mi o to, że to forsa do podziału – spuściłem z tonu. Bałem się, że przesadzę i po prostu odejdzie, nim poruszę kwestię pierwszorzędną. – Przecież nie robimy tego we dwóch.

A to już trochę mniejsze pieniądze, prawda? Nie warto wariować i pchać się bez oglądania na szanse.

– Mniejsze pieniądze?! – Jakoś go nie uspokoilem. – Milion dolców?! Na siedmior...?!

Urwał zbyt gwałtownie, bym mógł to przegapić. Ale chyba udało mi się przynajmniej zasiał ziarno wątpliwości w jego umyśle. Sam siebie zaskoczyłem refleksem.

– Nie rozumie pan?! – Początek mego wzburzonego okrzyku niemal nałożył się na jego końcówkę. – To wariactwo, nikt nigdy czegoś takiego nie robił! Jak coś skopiemy...

– Ciszej – syknął. – Zawsze jest ten pierwszy raz. A zresztą... pierwszym łatwiej. Gdybym w osiemdziesiątym dziewiątym miał tyle lat co teraz... Byłby jełop mógł dojść do majątku. Premia dziewiczego terenu. Idziesz przodem, nie masz konkurencji, tubylcy nie potrafią jeszcze z tobą walczyć. Pizarro, Cortez... Albo ben Laden. Myśli pan, że tacy genialni byli? Nie. Po prostu pierwsi.

– Nie znamy planów – powiedziałem grobowym głosem. – Jest sto rzeczy do spieprzenia, a my nawet...

– Niech pan skończy z tą liczbą mnogą – rzucił ze złością, szarpiąc się z jakimś opornym guzikiem rozporoka. – Wyraźnie mówiłem temu gówniarzowi: żadnych rozmów o akcji.

– Nie było rozmów – zapewniłem odruchowo. – Zresztą... przecież nie o to chodzi.

Mieliśmy nie próbować szukać innych. To pan miał na myśli.

– Moje myśli to moja sprawa. Jeśli cokolwiek ma z tego wyjść, musimy działać jak wojsko. Jeden dowódca, zero dyskusji nad rozkazami. Dzielimy się po równo, ale na tym koniec demokracji. Jeśli nie dociera to do pana, to wolę usłyszeć o tym teraz. Co, rezygnuje pan?

– Nie omawialiśmy kwestii wycofania się – powiedziałem beznamytnie. – Nie mówię, że w to nie wchodzi. Zwłaszcza że dach jest prawie gotowy. Ale wolałbym wiedzieć...

Nie dokończyłem, choć czekał. W końcu skinął głową.

– Są dwie opcje. Może pan zrobić to z nami i zostać zamożnym człowiekiem. Albo skończyć jako bezrobotny. Wiem – uśmiechnął się – że zakosztował pan tych słodkości. Więc daruję sobie wyjaśnianie, jak to jest, kiedy człowiek staje się gównem. A taki jest u nas status bezrobotnego. Nikt tego nie mówi wprost, ale... No i bezrobotni nie mają pięknych kobiet.

Nie zmarnował czasu przeznaczonego na śniadanie.

– Pięknych kobiet? – Udałem, że nie rozumiem. Nie liczyłem na to, że uwierzy. Chodziło

o zmanifestowanie zdrowego stosunku do Kaśki. Słabsze miejsce, owszem. Ale nie rana. Nie wystarczy zagrozić szturchnięciem, by wymusić posłuszeństwo. Rozwazałem też obstawianie tezy „dupa jak dupa, mam ją gdzieś”, ale sprawy zaszły za daleko i nie miałem odwagi podjąć aż takiego ryzyka.

– No, może przesadziłem – uśmiechnął się. – Ale to chyba dobrze, prawda? Te doskonałe są zwykle nie do zdobycia, a nawet jeśli, to nie do utrzymania. A ona wygląda i na dostępną, i na wartą fatygi. Optymalny zestaw.

Cholera, z ust mi to wyjął. Tak naprawdę to mi się właśnie w Kaście podobało: że lokowała się w spadkowych rejonach pierwszej ligi. Albo i ciut niżej.

– Mówi pan o redaktor Sosnowskiej?

– Obaj mówimy – wzruszył ramionami. – Od początku. Jakoś nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to jej obecność panu przeszkadza. Nie ci wszyscy zablokowani przepustkowicze.

Nie było sensu się wypierać. Musiałbym zamknąć dyskusję na tym etapie. A nie mogłem.

– Nie jest moją żoną – też wzruszył ramionami. – Ale owszem: trochę mi na niej zależy.

– Trochę? – zapytał od niechcienia.

– Trochę – powtórzyłem twardo. – Lubię ją, jest niebrzydka i nie zadziera nosa. Ale czy coś z tego będzie...? Mąż, dziecko... Chcę mieć gwarancję, że nic jej się nie stanie. Że będzie gdzie indziej, kiedy pan da sygnał. Choćby dlatego, że nie jesteśmy tak blisko, bym mógł zapewnić pana o jej dyskrecji.

Skinął głową. Z wyrazu jego twarzy nic nie wynikało.

– Uwzględnię to – rzucił lakonicznie. – Ale wracając do pana... Nie wyjeżdżam jeszcze.

Niech pan wszystko przemyśli i da znać. No i skończy ten dach.

\*

– Będziemy się kochać? – zapytała ni to figlarnym, ni kpiącym tonem. Pytanie było o tyle zasadne, że zgarnąłem ją sprzed baraku, gdzie gawędziła z dwoma szeregowymi, i nie dbając o pozory pociągnąłem wprost do swej kwatery. Wypisz, wymaluj: facet na ostrym głodzie. Z drugiej strony mogła to być zwykła, bezinteresowna zazdrość albo coś jeszcze gorszego – chęć rozładowania jakichś osobistych frustracji chociażby. To tłumaczyło tarczę ironii.

Jej spojrzenie zdawało się mówić: „wcale mi nie zależy”. Przegapiłbym je pewnie, gdyby nie to „może przesadziłem” Chudzyńskiego. Nie była Sandrą Bullock, fakt.

– Nie wiem – powiedziałem cicho, opierając się o starannie zamknięte drzwi.

Zastanawiałem się, jak jej to powiedzieć. Nie, wróc: czy w ogóle mówić.

Nie zrozumiała. Jej twarz złagodniała, zmiękła – ale tylko dlatego, że błędnie zinterpretowała moje słowa.

– Aha – mruknęła. Nadal się uśmiechała, ale teraz jej uśmiechem, jak najdelikatniejszą gąbką, można było obmywać rany na duszy. Ostre kryształki ironii znikły bez śladu. –

Rozumiem. No cóż, może po prostu... sprawdzimy? Nie bój się, nie wpadnę w furię. Dopiero co skończyliśmy – zerknęła na łóżko. – Wiem, że to musi trochę potrwać.

Patrzyłem jej w twarz, zbierając się na odwagę. Nie szło mi za dobrze. Rozsądek krzyczał, by dać sobie spokój z gadaniem. Czekałem kilkanaście lat, mogłem poczekać jeszcze kilkanaście dni. To nie potrwa dłużej.

Prawie uległem. Pokonał mnie niepewny ruch jej dłoni ku jednemu z symbolicznych ramiączek sukienki. Zsunęła je, pozwalając tkaninie opaść kilka centymetrów i ukazać ćwiartkę niedużej piersi.

– Mogę? – Druga dłoń sięgnęła do moich spodni. – To trochę nieprzyzwoity sposób, ale bywa skuteczny.

Wolałem nie wyobrażać sobie, o czym myśli. Już nacisku na guzik wystarczyło, bym zaczął odzyskiwać wiadome siły. Złapałem ją za nadgarstek.

– Poczekaj... – Miała w oczach zdziwienie i jakby zalążki lęku, więc choć nie byłem pewien, czy to dobry pomysł, opasałem ją ramionami i przytuliłem. – Pewnie że chcę. Ale ja nie o tym... Jest... jest coś, o czym ci...

Utknąłem z nosem w jej włosach, z jej zapachem w nozdrzach, jej ciepłem rozlewającym się po ciele.

– Cicho – wymruczała. – Nie psuj.

– Nie, nie. Nie rozumiesz...

– Jeśli to nie HIV, to się zamknij. – Pocałowała mnie w ucho, potem w policzek i szyję.

Pomyślałem, że tak byłoby prościej. Zacisnąć powieki, skoczyć w przygodę jak z wysokiego mostu. Oszołomienie, serce w gardle, zero refleksji. Tyle że mnie nie mogła już wystarczyć przygoda. Smakowała za dobrze, za bardzo przypominała narkotyk. I mogła uzależnić.

Miałem dość samozaparcia, by najpierw pogadać z dilerem. Uświadomić mu, że klient bywa niewypłacalny. Zapytać, czy gwarantuje stałe dostawy komuś takiemu. Nie przyszło mi to łatwo. Wiadomo, jacy są dilerzy.

– Nie mam nikogo. – Zacząłem od dobrych wieści, by jakoś złagodzić jej zawód. – Tyle że nie mam też pracy, mieszkania... Parę groszy na koncie. Jestem goły.

Nie przestała kleić się do mnie, nie próbowała zaglądać w oczy i sprawdzać, czy nie pada ofiarą męskich wykrętów.

– To tak jak ja. – Całus w obojczyk. – No i co z tego? – Następny, w szyję. – Dwoje gołych nie może pobaraszkować w łóżku? Co, nie dajesz rady bez viagry?

– Kasia, to poważna sprawa – rzuciłem błagalnie.

Powoli godziła się z myślą, że nie porwę jej na ręce i nie pognam w kierunku łóżka.

Cofnęła się odrobinę.

– No? – westchnęła, śląc mi smutne spojrzenie. – Mów.

– Chciałbym, żebyś wyjechała. Sanitarka niedługo wraca. Mogłabyś się z nimi zabrać.

– Dlaczego? – zapytała ciszej.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. To... – Nasuwające się określenia były zbyt patetyczne bądź na odwrót, trywialne, więc zastąpiłem słowa ruchem dłoni po jej policzku. – Nie ma sensu, byś wdeptywała w cudze problemy. Wrócisz do swojego życia, ja do swojego.

Zastanawiała się nad tym. Nie patrzyliśmy sobie w oczy; trochę za ciasno się obejmowaliśmy.

– Rozumiem – powiedziała spokojnie. – Masz rację. Seks bez problemów powinien zostać seksem bez problemów. Ale mówiłeś, że to niczego między nami nie zmienia. Że pozostaniemy kumplami. Więc może jako kumpłowi... Sama sobie nie potrafię pomóc w życiu, ale nigdy nie wiadomo: może tobie akurat tak. A dyskrecję masz jak w banku.

– Wiem – zapewniłem odruchowo. Po czym zreflektowałem się. – To znaczy... wierzę ci.

Tylko... Są wybory, przed którymi lepiej nie stawać. A ja za bardzo cię lubię, by ci fundować taki zgryz. Też przez to przechodzę, więc możesz mi wierzyć: wiem, co mówię.

– Przede wszystkim mówisz. Do mnie. Sam. Niczego z ciebie nie wyciskam, to ty zacząłeś. – Dała mi czas, bym to przemyślał. – Słuchaj, Adam: znamy się kupę lat. Słabo, bo słabo, ale... No, ja też cię lubię. I nie zrobię ci świństwa. Więc jeśli chcesz się wygadać, poradzić – to wal śmiało. Wiem, że za łatwo wskoczyłam ci do łóżka. Ale normalnie taka nie jestem. Jak się z kimś... no, to nie ot tak sobie. Ta osoba musi dla mnie coś znaczyć. Chyba też tak do tego podchodzisz, więc powinieneś rozumieć.

Rozumiałem. A ona miała rację. Pocałowałem ją delikatnie w czubek nosa, a kiedy napięcie na jej twarzy zelżało, powiedziałem to w końcu.

– Musisz wyjechać, bo zamierzamy okraść magazyn.

– Co?!

– I sprzedać amunicję Afgańczykom. Za milion dolarów.



## Rozdział 8

Byliśmy ostatni w kolejce, więc weszliśmy do biura Grzywacza obaj równocześnie. Biuro mieściło się w baraku numer 4 i trochę przypominało mój pokój, jako że sąsiadowało przez ścianę z magazynem amunicyjnym. Poza typowo kancelaryjnym umeblowaniem stała tu też kanapa, wobec czego na czas wizyt medyków pomieszczenie przemianowywano na ambulatorium. Nieoficjalnie zajmowano się tu też szerzej pojętą profilaktyką, czyli napędzaniem klientów firmom ubezpieczeniowym. Tym razem musiało być podobnie, bo gdy weszliśmy, Chudzyński pakował do neseseru pliki prospektów.

– Nie skorzystacie? – uśmiechnął się, wpinając w segregator pakiet PZU. – Coś jak znalazł dla was. Dziś podpisujesz, płacisz dopiero od następnego żołdu, a jeśli jutro giniesz, po tygodniu rodzina dostaje czek.

Zauważyłem wyraz niepewności w oczach Sławka. Ja nie musiałem zastanawiać się, czy kapitan żartuje. Kiedy chodziło o pieniądze, jego poczucie humoru mocno przygasało.

– Może później. – Usiadłem naprzeciw biurka. – Mamy coś do obgadania? Mieliśmy podobno unikać kontaktów.

– Zgadza się. – Zamknął neseser. – Woląłem jednak powiedzieć wam to osobiście. Robimy to niedługo. Sami.

– Słucham?! – Dobrze, że usiadłem.

– Zrobimy to wkrótce i bez pomocy. Może najpierw urządzimy ćwiczenia, więc nie wyjeżdżajcie na przepustki.

Mówił spokojnie, więc też wziąłem się w garść.

– A świadkowie? Sprzęt?

Tym razem przetrzymał mnie dłużej. Na szczęście miałem obok poczerwieniałego z przejęcia Sławka, mogłem udać, że sprawdzam reakcję chłopaka.

– Wiem, że ryzyko trochę wzrasta. Ale poradzimy sobie. W najgorszym razie... – znów zrobił przerwę. – Cóż, to wojna. Zdarzają się wypadki. Jeśli wszyscy zrobią wszystko jak należy, nikt nie ucierpi. Jeśli nie, to któremuś z wartowników może się coś przytrafić.

– A nam? – zapytał cicho Sławek.

– Więcej ryzykujecie, służąc tu w zgodzie z regulaminem. – Mój sceptyczny wyraz twarzy nie umknął uwadze Chudzyńskiego. – Dokładnie. Gdyby doszło do śledztwa, zabiorą was stąd.

Miło nie będzie, ale za to tam nie strzelają. Może nawet odeślą was do kraju.

– I posadzą – dorzuciłem.

– Wątpię. Nawet gdyby coś podejrzewali, góra będzie tuszować wpadkę. Dochodzenie – proszę. Ale prewencyjne zatrzymania... To by był kij w dziennikarskie mrowisko. Nie pójdą na

to. O ile w ogóle coś komuś zacznie śmierdzieć.

– Kiedy?

– Wkrótce. Przyjmijmy, że macie być gotowi od zaraz.

Cóż, to upraszczało pewne sprawy.

– Jeśli od teraz – rzuciłem mu nieco wyzywające, choć i proszące spojrzenie – to niech pan wywiezie Sosnowską.

– Ja? – udał zdziwienie. – Bez przesady, nie powiedziałem, że to już dziś.

– Nic pan nie powiedział – przypomniałem gorzko. – Mamy być gotowi? Proszę. Ale bądźmy konsekwentni. Już to już. A pan jest jedynym, o którym wiem na pewno, że stąd dziś wyjeżdża. Cholera wie, co będzie później.

Przyglądał mi się z wieloznacznym uśmiechem.

– Tak wam źle pod jednym dachem? – zapytał.

– Mam robotę. Sam pan powiedział: most ma być gotowy.

– Prawie jest. Widziałem.

– I prawie wytrzyma. Prawie nic z niego nie spadnie i prawie nam się uda. – Odczekałem chwilę. – Pozostało parę ważnych spawów do założenia. Niech pan pomyśli, jak to będzie wyglądało: do faceta przyjeżdża dziewczyna z kraju, jest weekend, a on wybiera spawarkę.

– Widać, że nie był pan żonaty.

– Bardzo śmieszne. Tyle że ona nie jest moją żoną.

– A będzie? – zapytał od niechcienia. Nie odpowiedziałem. Powinienem, ale chodziło o Kaśkę – i nie mogłem.

– Teraz nie jest – wsparł mnie nieoczekiwanie Sławek. – Może faktycznie lepiej ją wywieźć. Jeden świadek mniej.

– Nie mogę – mruknął Chudzyński. – Objężdżam placówki; dziwnie by to wyglądało. Ale nie w tym rzecz. Włożyła wiele wysiłku, by tu dotrzeć. Bez urazy, ale... wskakiwanie komuś do łóżka to też wysiłek dla takich kobiet. Nie jest z tych łatwych, szybkich i głupich. Ale właśnie takie bywają urażone, jeśli je odprawić z kwitkiem po pierwszej nocy.

– Widzę – wycedziłem – że ma pan świetne rozeznanie.

– Do poinformowanych świat należy – uśmiechnął się. – Nie wiem, co jest między wami i co pan planuje, ale myślę, że powinna zostać. Ten argument ze spawarką jest dobry. Tyle że można go odwrócić: weekend, zjawia się dziewczyna, a pan ją wygania i idzie harować. Jeśli nawet nie prokurator, to ona zacznie sobie zadawać pytania. Upokorzona kobieta zawsze je sobie zadaje.

Otworzyłem usta. Tylko po to, by zamknąć.

– Więc ustaliliśmy – trafnie odczytał moją minę. – Pani redaktor zostaje. Wy też.

\*

– Nie zmieniłeś zdania?

Sławek skręcił między baraki, gdzie mniej dmuchało, zatrzymał się i podał mi wyciągniętą z kieszeni kartkę.

– Dostałem list. Sam zobacz.

Przeczytałem. Nie było tego wiele.

– O kurwa...

Wyjął mi papier z dłoni, złożył, schował.

– Mały wybór, nie? – mruknął.

Nie potrafiłem się zdobyć na szczerą odpowiedź. Byłoby to równoznaczne z podjęciem ostatecznej decyzji, a ja wciąż łudziłem się, że wszystko rozejdzie się samo po kościach.

– Naprawdę nie macie nikogo, kto mógłby pomóc?

Pokręcił głową. Postąłem chwilę jak żałobnik nad grobem, po czym odszedłem bez słowa.

Zaraz potem natknąłem się na szeregowego Pająka ze swojej tak zwanej drużyny.

– O, właśnie szukam... – Był w berecie, ale nie próbował salutować. – Mam powiedzieć, że będziemy wyjeżdżać. Znaczą na przepustkę. Autobus już jedzie.

Minąłem go i powlokłem się do baraku numer 2. W ostatniej chwili stchórzyłem i skręciłem ku ubikacjom. Głupio, bo właśnie zza tamtego rogu wyłoniła się Kaśka. Szła spacerowym krokiem, rozmawiając z Hofmanem. Na mój widok zatrzymali się, oboje lekko zakłopotani. Hofman wymruczał coś i odmaszerował ku centralnym rejonom bazy.

– Spacer? – zapytałem, by jakoś zacząć.

– Praca. Przyjechałam tu rozmawiać z ludźmi.

Patrzyła na mnie zezem i trochę spode łba. Raczej dlatego, że wiało i pył docierał już na wysokość oczu. Mimo to nie mogłem się wyzbyć myśli, że nie jestem mile widziany.

– Tutaj? Przy kiblach? – rozejrzałem się sceptycznie.

– Zaglądałam do stołówki – wzruszyła ramionami. – Ale była zajęta. – Uniosłem brwi, więc wyjaśniła: – Górską.

– Aha. Rozumiem.

– Ja nie do końca. – Stanęliśmy bokiem do wiatru. Nadal spoglądała z ukosa, za to przestała się krzywić. Ale nie to natchnęło mnie odwagą. Po prostu kończył mi się czas.

– Możemy pogadać? – Zawahała się, jednak kiwnęła głową. Wiatr dmuchał od delty Murgabu, ująłem ją więc za łokieć, obróciłem twarzą ku wschodowi i wolno ruszyłem w stronę kanału. Idąc, nie dotykaliśmy się już. – Chcę, żebyś wyjechała. – Patrzenia w jej stronę też unikałem. – Niedługo będzie autobus. Opancerzony, więc...

– Nie boję się – mruknęła jakby z urazą.

Szliśmy powoli. Dół jej sukienki wyprzedzał nogi o pół metra, chwilami łopocąc na wietrze.

– Muszę o coś zapytać. Tylko się nie obraż, dobrze?

– W każdym razie spróbuję.

Cóż, dobre i to.

– Powiesz komuś?

Przeszła kilka kroków, nim zrozumiała. Nie zatrzymała się, ale lekko nią zakolebało.

– Masz mnie za kapusia? – zapytała z niedowierzaniem.

– Miałaś się nie obrażać – przypomniałem.

– Nie obrażam się – rzuciła ze złością. Przeszliśmy w milczeniu kilkanaście metrów. – Myślałam, że trochę sobie ufamy. Nie mówię, że od razu... Ale troszkę tak.

– Ufam ci – powiedziałem. – Właśnie dlatego pytam.

– No to mamy inne definicje zaufania – sapnęła. – Mówisz, że chcesz okraść wojsko i opchnąć broń wrogowi. W czasie wojny. Wiesz, co grozi za taki numer?

– Do dożywocia włącznie. – Zachowałem spokój. – Myślę, że to się da podciągnąć pod zdradę.

– Podciągnąć?! Człowieku, tu niczego nie trzeba...

– Nie chcę się usprawiedliwiać, ale to tylko handel bronią. Państwa sprzedają broń, firmy sprzedają broń, każdy sprzedaje co popadnie. Na tym polega wolny rynek.

W końcu stanęła. Twarz miała aż czerwoną ze złości.

– Ty się chyba nie słyszysz!

– Nie kłóćmy się. Powiedz po prostu, co zrobisz.

– Co?! A co twoim zdaniem powinnam?! Ty kretynie, właśnie mi oznajmiłeś, że jesteś jakimś cholernym zdrajcą!

– Właśnie? – uśmiechnąłem się smętnie. – Kasia, to było pół godziny temu.

– No to widocznie refleks mam do dupy – warknęła.

– Powinnaś siedzieć w pokoju i gryźć się tym. A ty pracujesz. – Rzuciła mi mroczne spojrzenie. – Przepraszam, nie podśmiewam się z ciebie. Zastanawiam się tylko, czy tobie też się to nie przytrafiło.

– Niby co?

– Lekki uwiad dziecięcej naiwności. Patriotyzmu itede.

Przyglądaliśmy się sobie. Nie było to miłe doznanie.

– O co ci chodzi? – burknęła.

– W szkołach uczą, że nie ma niczego ważniejszego od ojczyzny. To znaczy: za naszych czasów uczyli. Bo teraz to już nawet nie wiem... A potem dorastasz i widzisz, że to jednokierunkowy układ. Że matka-ojczyzna ani nie kocha, ani się nawet nie interesuje. Że sprzedaje takiego frajera za parę dolców pierwszemu z brzegu cudzoziemcowi.

– Chcesz rozmawiać o polityce?

– Jest takie przysłowie o Kubie i Bogu. Moje układy z Rzeczpospolitą zrobiły się już parę lat temu cholernie nieskomplikowane. Ja sobie, ona sobie. Jeśli zdechnę pod mostem, Najjaśniejszej

nawet powieka nie drgnie.

Jej drgnęła.

– Pod mostem? – zapytała cicho. – Jest aż tak źle?

– Jeszcze pływam – wzruszyłem ramionami. – I pewnie nie pójdę na dno. Tyle że nie ma w tym ani odrobiny zasługi państwa polskiego.

– Przesadzasz.

– Może trochę – zgodziłem się.

– Płacą wam tu nieźle – zaczęła wyliczać. – Skończyłeś państwowe szkoły. Za darmo.

Jeżeli stracisz pracę, będziesz dostawał zasiłek. Krótko, ale jednak. Opieka zdrowotna dla bezrobotnych jest bezpłatna. Mamy pomoc społeczną. Wiem, że marną, ale z głodu jeszcze w Polsce nikt nie umarł.

– Bóg Kubie, Kuba Bogu – mruknąłem. – Doceniam starania państwa. I gdyby te pociski miały rozpieprzyć kolumnę Zygmunta, tobym ich nie sprzedawał. Ale to, co planujemy, ma się nijak do interesu Polski. Wiesz dlaczego? – Gniewnie wzruszyła ramionami. – Bo coś takiego już nie istnieje.

Sapnęła jak ktoś z trudem trzymający pięści na wodzy.

– Chyba jeszcze nie wytrzeźwiałeś.

– Posłuchaj, co mówią najpoważniejsi z naszych polityków. Globalizacja, Unia, konieczność otwarcia na świat, nie można iść pod prąd przemian, trzeba się uczyć angielskiego, bo jak się ktoś nie nauczy, pracy nie dostanie. I tak dalej. Żadnych ceł, żadnej kontroli nad przepływami kapitału, rząd umywa ręce od problemów, bo skąd brać pieniądze, jeśli wywozła je na Kajmany jakaś Coca Cola. Więc co mi z tej polskości zostaje? W imię czego mam rezygnować z dobrego interesu?

– Całkiem ci odbiło – powiedziała z niedowierzaniem.

– Bo dbam o siebie, nie innych? Kaśka, przecież to fundament naszego nowego ustroju.

Wydrzyj innym, ile dasz radę i ani grosza mniej. Do tego się sprowadza kapitalizm. Aż wierzyć się nie chce, że ci, co nas w to wpakowali, nazwali się Solidarność i nikt ze śmiechu nie umarł.

Chcesz, bym się poświęcał dla narodu, który był tak dumny, że się na to nabrał?

– Wiesz co? Marks to przy tobie mały Kazio.

– Nie pochlebiaj mi. On próbował coś zmieniać; ja tylko zacząłem widzieć. Tak zwane państwo prawie nigdy prawie nikogo nie obchodziło.

– Ciekawe, że tysiąc lat nikt jakoś tego nie zauważył.

– Bez urazy, ale to ty chodziłaś do klasy humanistycznej. Mielście więcej historii; powinnaś wiedzieć, że patriotyzm gołodupców to świeży wynalazek. Na pewnym etapie rozwoju stały się potrzebne masowe armie, więc chamowi wytłumaczono, że już nie jest chamem, tylko Polakiem.

Posiadanie licznego i patriotycznego narodu stało się opłacalne, ot i wszystko. Teraz znów układy się zmieniły. Wracamy stopniowo do korzeni.

Dotarliśmy do wykopu. Skręciłem w prawo.

– Widzę, że życie dało ci w kość. – Chwila milczenia dobrze Kaśce zrobiła: jej głos brzmiał spokojniej, choć i smutno. – Ale przesadziłeś. Nie wierzę, że tak myślisz.

– Bo jesteś prostoduszna i porządna.

– Nie nabijaj się ze mnie. Pamiętaj: mam cię w garści.

Nie chciało mi się wierzyć, ale w kąciku ust miała coś zbliżonego do uśmiechu.

– Właściwie nigdy nie gadaliśmy o polityce – zauważyłem.

– No... fakt. – Przemyślała to. – Zabawne. Skręca mnie dziś, jak słyszę takiego młodego głąba, który nie wie, kto jest premierem, i beztrząsco stwierdza, że polityka to nie jego działka. A wychodzi, że nie byłam lepsza.

– Teraz jesteś?

– Pytasz, czy wiem, kto nam premieruje? To chyba ten facet, który mnie tu przywiózł.

Skręciła nagle i nim zareagowałem, wbiegła na obwałowanie wykopu. Dół był wielki, zdolny pomieścić ze cztery ciężarówki, więc i urobku zebrało się sporo. Wspinając się na jedno z ramion ziemnej podkowy, Kaśka znalazła się dwa metry nad poziomem otaczającej nas równiny.

– To wszystko żart, prawda?

– Zejdź stamtąd, co? – wyciągnąłem rękę w jej stronę.

– Najgłupszy, jaki słyszałam. Uwierzyłam ci, więc możesz skończyć. A jeśli mówisz poważnie... – zawahała się.

– Kasia, zejdź z tej górki – poprosiłem.

– To by znaczyło, że potrzebujesz kogoś, kto ci to wybije ze łba. I wiesz o tym. Tylko nie chcesz się...

– Zleziesz czy nie? – podniosłem głos. Dopiero teraz jakby się ocknęła, zahaczyła wzrokiem o moją rękę.

– Bo co? – rzuciła zaczepnie.

– Bo cię widać z kilometra. A po okolicy łązi snajper.

Rozejrzała się odruchowo, ale i szybko wzięła w garść.

– No to mnie zastrzeli – posłała mi krzywy uśmiech. – Nie będziesz się musiał głowić, co zrobić ze świadkiem.

Zacząłem drapać się na górę. Odskoczyła w bok.

– Odbiło ci? – Nie pytałem retorycznie i pewnie dlatego zrezygnowałem z łapania jej.

Czułem, że jest gotowa grać ze mną w wałowego berka. A po tamtej stronie był trzymetrowy wykop, i to nie uwzględniając samego nasypu. Kamieniste dno, zbrojenia... Nie, zdecydowanie nie było to miejsce, w którym chciałbym uganiać się za taką wariatką.

– Dlaczego mi powiedziałaś? – przekrzywiła głowę.

– Dowiesz się, jak zejdziesz.

– Zejdę, jak się dowiem.

Snajper pewnie już nie żył. I pewnie pozbył się karabinu, jeśli jednak przetrwał. A nawet gdyby i żył, i zachował broń, i na dodatek zawędrował aż tutaj, to przecież nie będzie do niej strzelał. Cóż to za cel – baba w sukience, w dodatku tak ewidentnie głupia? Nie wymienia się życia na życie kogoś takiego, a do tego sprowadzałby się strzał. Powinienem machnąć ręką, przeczekać.

– Jak się nie zna stawki, trudno iść na całość. Musiałem ci powiedzieć. Mogą cię próbować zatrzymać, kiedy będziesz wsiadać do autobusu.

Coś się zmieniło w wyrazie jej twarzy.

– Dlaczego?

– Bo chyba spieprzyłem sprawę. Powinienem kopnąć cię w tyłek już przy szlabanie. Albo przynajmniej nie odezwać się słowem, a na noc przydzielić Patrycji. Ale spanikowałem.

Pomyślałem, że gdyby to miało być już... no, że będziesz bezpieczniejsza jako moja dziewczyna.

– A nie jestem? – Podeszła trochę bliżej.

– Gdyby się zaczęło, pewnie tak. Ale wolę, żebyś była gdzie indziej bez forów niż z forami tutaj.

– Martwisz się o mnie? – Jej radosne zdziwienie było żartobliwe, ale chyba ukrywało coś bardziej autentycznego.

– Kiedy przyjedzie autobus, nie bierz plecaka, tylko poczekaj na stosowną chwilę i pchaj się do środka. Koniecznie przy wielu świadkach. Nie wiem, jak bardzo im zależy na twojej obecności i ile są skłonni zaryzykować, ale...

– A tobie? – weszła mi w słowo.

– Obiecałaś, że zejdziesz – zrobiłem unik. – Powiedziałem ci. Co jeszcze mam zrobić? Po nogach cię całować?

Nie wiem, co mi strzeliło z tymi nogami. Pewnie zawiniło lenistwo: nie zadzierałem głowy dostatecznie wysoko, no i siłą rzeczy właśnie na nie się gapilem.

– Aż tak ci nie zależy – wymruczała.

Mogła się odsunąć. Napięła nawet mięśnie: coś się poruszyło pod gładką skórą łydek, nim moje usta przywarły do jej stopy obok klamerki sandała.

Wyprostowałem się zaraz potem, ale bez pośpiechu.

– Odbiło ci – wykrztusiła. Nie protestowała jednak, kiedy ująłem ją za rękę i pociągnąłem w dół. Pozwoliła opasać się w talii; nasze uda i biodra skleiły się ze sobą. – Zgłoś się do tego łapiducha. Masz coś z głową. W duchu przyznałem jej rację.

– Chudzyński to mózg całej operacji.

– Żartujesz... – zesztyniała.

– Bo lekarz? Od kiedy do leczenia potrzeba moralności?

Staliśmy lekko odchyleni, podobni do ściśniętego „Y”, co za wygodne nie było, ale przyjemne jak najbardziej.

– Kto w tym jeszcze siedzi? – zapytała rzeczowo.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– To znaczy: wiem o jednym. On mnie zwerbował. Potem ujawnił się Chudzyński.

Musiał, bo to on rozdziela zadania. No i, po prawdzie, buduje morale. Lekarz to nie to, co byle szczeniak bez jednej belki. Poważny gość. Jeśli wejdiesz w ryzykowny interes, to prędzej z kimś takim.

– Wierzyć się nie chce... Lekarz, oficer... Czego takiemu brakuje?

– Miliona dolców – oświeciłem ją.

Milczeliśmy. Trudno powiedzieć, że marnując czas. Każda sekunda dotykania jej była jak prezent od Mikołaja.

– Ten wstęp o ojczyźnie... – odezwała się w końcu. – Faktycznie tak myślisz?

– No.

– Więc postawiłeś krzyżyk na Polsce – mruknęła na poły do siebie. – Dziwne. Nie słyszałam, by ktoś kiedyś...

– A powiedział ci ktoś, że się onanizuje? Puszczą bąki pod kołdrą? Zresztą nie – potrząsnąłem głową. – Złe przykłady. O tamtym przynajmniej samemu się wie. A o tym nie. Do testowania patriotyzmu potrzebna jest wojna, a my od sześćdziesięciu lat nie walczyliśmy.

– Nie mogę mówić za wszystkich – zajrzała mi w oczy – ale broni wrogowi bym nie sprzedała. I większość Polaków też chyba nie. Nie udowodnię ci tego, ale...

– ...czujesz intuicyjnie – dokończyłem. Uniosłem dłoń i pogłaskałem obsypaną czarnymi włosami skroń. – Mądra dziewczynka. Pewnie masz rację.

– No to dlaczego...?

– Bo to nie Niemcy – powiedziałem z lekko zakłopotanym uśmiechem. – Nie Amerykanie, nie Ruscy. Żaden z wielkich, butnych narodów, które pchają się na drugi koniec świata, rzucają bomby, a potem się dziwią, że ktoś ma czelność ich nie lubić. Bo nie pamiętam, by jakiś Afgańczyk napadł na Polskę i zabijał naszych.

– Naszych? – podchwyciła. – Jakich „naszych”? Przecież się odciąłeś. Masz to gdzieś.

Obywatel świata. Co cię...?

– Jedna prośba: nie wciskaj mi światowego obywatelstwa. Właśnie to mnie w tej nowej Polsce wkurwia: że dobry Polak to taki, co pół życia ma siedzieć za granicą, znać angielski



i płakać po WTC. Że o wolności, suwerenności i takich tam najgłośniejszymi krzykami z prostym przepisem na życie: załapać się do roboty płatnej w euro, mieć podwójne obywatelstwo i dzieci na Harvardzie.

– I facetki? – Nie zrozumiałem, więc rzuciła wyzywająco: – Też zarabiałam w markach i frankach. I nie widzę w tym nic złego. A w Stanach mam rodzinę. Może nawet wyjadę.

– Tak? Dzięki za szczerość.

– Nie ma za co. Szczera jestem z natury.

– Dzięki – powtórzyłem. – Szczerym to się bywa.

– Ja jestem – warknęła.

– Tak? To pisz do księgi Guinnessa. Nowy rekord. Stuprocentowo szczera, a ma trzydzieści cztery lata, dziecko, męża, pracę i nawet dobre samopoczucie.

Nawet się nie wrywała. Po co? Niby jak długo można tulić do siebie coś, co zrobiło się twarde i zimne? Moje dłonie ześliznęły się z jej bioder, nim otworzyła usta.

– Gwoli ścisłości – rzuciła przez zęby. – Męża i dobre samopoczucie możesz skreślić. A przy pracy postawić duży znak zapytania. Nie myśl, głupi palancie, że ty jeden masz problemy.

Ja też mam. I dziecko na utrzymaniu. Więc nie wyjadę stąd tylko dlatego, że paru gnojków... Za drogo mnie kosztowało... A w ogóle – dokończyła – to wal się.

Odeszła, zanim oprzytomniałem.

## Rozdział 9

Autobus zjawił się przed dwunastą. W tej roli kontyngent używał południowoafrykańskiego Casspira, wielkiego jak stodoła, kołowego transportera, zaprojektowanego specjalnie z myślą o ochronie przeciwminowej. Ten konkretny egzemplarz był jeszcze większy z racji zamontowania dachowej wieżyczki z karabinem maszynowym. Miał uszkodzony tłumik i hałasował jak pluton czołgów. A jednak omal go nie przegapiłem.

Siedziałem po zawietrznej stołówki, myślałem o Kaśce i próbowałem się zalać wyżebranym u kucharza piwem.

Zorientowałem się niemal za późno: połowa sobotnich przepustkowiczów była już w środku, a sierżant dysponent wracał właśnie z dyżurki, zakładając hełm.

– Jedna chwila! – machnąłem mu w biegu. – Zabierzecie dziewczynę!

– Dziewczynę zawsze – skinął głową. Musiał być żonatym realistą, bo dał sobie spokój z hełmem, wieszając go przy biodrze i sięgając w zamian po papierosy.

Kaśka, tak jak myślałem i czego nie odważyłem się sprawdzać, kisła się w naszym pokoju.

– Zbieraj się – rzuciłem w marszu. Minąłem stół, przy którym siedziała, i złapałem plecak.

Był spakowany. Wiedziałem, że będzie: tam, przy wykopie, poniosło ją, ale nie była idiotką, miała dziecko, trzydzieści cztery lata i dość rozsądku, by podjąć jedynie słuszną decyzję.

I faktycznie: nie protestowała, gdy przerzuciłem jej bagaż przez ramię i wyszedłem. Tyle tylko, że nie poszła za mną. Odczekałem chwilę, stojąc w progu, a potem westchnąłem, postawiłem plecak w widocznym miejscu – małe memento pod adresem sierżanta – i zwróciłem.

– Myślałem, że wszystko ustaliliśmy.

Dopiero teraz zaszczyliła mnie spojrzeniem.

– To dobrze myślałeś.

– Zbieraj się. – Miałem w żołądku litr Zemsty Allacha, a w żyłach resztki z wczoraj; stać mnie było na spokój. – Czekają na ciebie, oficerów zero. Lepiej nie będzie.

Jej język wędrował między zębami a wargą. Wyglądało to wyzywająco, ale jeszcze nie jak przymiarka do soplwania.

– To jedź. Ja się nie wybieram. Pracuję tu.

– Myślisz, że nie chcę? Tyle że to by była dezercja.

– Lepsza dezercja niż zdrada. Na krócej wsadzają.

– Kaśka, nie wygłupiaj się. To ostatnia okazja...

– Już się znudziłam? Szybki jesteś. Jeden numerek – i żegnaj mała? Nic dziwnego, że chodzisz bez obrączki.

W końcu zauważyłem, że nie ja jeden zaglądałem tego ranka do butelki. Schowała tę wczorajszą, ale coś w jej głosie i spojrzeniu powiedziało mi, że flaszka nie znikła ze stołu z powodu kobiecego umiłowania porządku.

– Piłaś? – zapytałem z niedowierzaniem.

– „Piłaś, nie jedź” – mruknęła. – Czyli odwracając: „nie jedziesz, wypij”. Powiedzmy, że chciałam zaakcentować swoje zdecydowanie.

– Jezu, Kasia... – Opadłem na taboret. – Co ty wyprawiasz?

– Aż tak ci przeszkadzam?

– Ty farbowana na czarno blondynko... Nie chcę cię oglądać w pudle. Albo w plastikowym worku.

– Aha. Powiedz jeszcze, że ci na mnie zależy.

– Zależy mi. – Odczekałem chwilę. – To co? Wyjedziesz stąd? – Pokręciła głową. – Dlaczego?

– Ktoś ci musi wybić ze łba durne pomysły. Ilona daleko, więc pozostaję ja.

Na zewnątrz zahuczał klakson. Czas mi się kończył.

– Co mam zrobić, żebyś wyjechała?

– A co proponujesz? – uśmiechnęła się kpiąco.

– Mogę ci odpalić część doli. – Nie musiałem się długo zastanawiać: brak atutów miewa dobre strony.

– Wypchaj się – poszerzyła uśmiech. Pomyślałem, że jest bardziej wstawiona niż ja. – A konkretnie? Część to ile?

– Dziesięć tysięcy? – zapytałem, trochę przekornie przekrzywiając głowę. Też nie czułem się trzeźwy.

– Ty sknero. Za współludział dostanę z piętnaście lat.

– Jaki współludział? To za to, że się wyniesiesz.

– Nisko mnie cenisz. Nie gadam z tobą.

– Nisko? Dziesięć tysięcy dolców za jeden numerek? Żadna panienska tyle nie bierze.

– Chcesz mnie obrazić? – zainteresowała się.

– A wyjedziesz, jak obrażę? – Wzruszyła ramionami. – Ile bierzesz za loda?

– Chcesz – odpowiedziała sama sobie, szczerząc zęby. Na pałającą oburzeniem nie wyglądała. – A ile dajesz?

– Amatorce po trzydziestce? Pięć dych, góra. I w złotówkach, nie zielonych.

Jeszcze jeden klakson. Zobaczyłem, jak wstaje, i nawet zdążyłem pomyśleć, że zmasowany atak zawsze daje rezultaty. Na gratulowanie sobie zabrakło czasu. Kolana Kaśki stuknęły o klepisko, coś rozepchnęło mi uda, a dziesiątka drobnych palców zaczęła zmagać się z guzikami rozporoka.

Nie wiem, jakim cudem nie wywaliłem się o taboret.

– Wariatka... – Zatrzymałem się dopiero przy szafie.

– Bez przesady. Pięć dych pieszko nie chodzi. To dwie moje dniówki z ostatniej pracy.

– Zalałaś się – stwierdziłem z goryczą.

– No to co? – Zamiast wstać, postawiła taboret i oparła się łokciami. – Chuch ci przeszkadza? Przecież nie za całowanie płacisz. – Opuściła głowę; przez chwilę jej czoło spoczywało na dłoniach. – Zabawne. Jak będziemy mieli pecha, urodzę ci dziecko. A ty mnie nawet nie pocałowałeś.

Chciałem protestować, ale w porę ugryzłem się w język. Zdążyłem poznać smak paru kawalków jej ciała, ust też, ale zrozumiałem, że nie to miała na myśli. Przeskoczyliśmy jakiś etap, za szybko wylądowaliśmy w łóżku.

Zza drzwi dobiegł gniewny ryk silnika. Ostatnie ostrzeżenie. Nie dałem jej tego, co się każdej wykorzystanej dziewczynie należy jak psu buda, chociaż mieliśmy i malowniczy zachód pustynnego słońca, i wschód, i milion gwiazd nad głowami. Przepadło. Ale nadal mogłem zachować się jak należy. Złapać ją, jeśli nie za rękę, to za kark czy kudły, wywlec siłą, wepchnąć między skacowanych gówniarzy, którzy na całe życie zapamiętają, jak to kadra podoficerska pozbywa się zbyt nachalnych pańienek.

Mogłem dać jej bezpieczeństwo i spokój sumienia. To więcej niż durny, romantyczny pocałunek. Potem, kiedyś, byłaby mi wdzięczna. A przynajmniej przyznałaby rację.

Oczywiście, jeszcze raz zachowałem się jak smarkacz. Klękając po drugiej stronie taboretu, biorąc w dłonie jej zdziwioną twarz i ostrożnie odnajdując ustami jej usta.

\*

– Adam... wycofaj się z tego. Nie mogę patrzeć, jak kładziesz głowę pod topór.

– Ba – westchnąłem. – Sęk w tym, że to nie takie oczywiste. Na oko mamy całkiem spore szanse.

– Ale możesz się wycofać?

– No... nie za bardzo.

– Nie możesz – uściśliła – czy nie chcesz?

Nasze dłonie spoczywały obok siebie na stole, ale nie miałem odwagi jej dotykać. Coś się zmieniło. Chyba wtedy, gdy sprawdzałem, czy workowa ściana dzieląca nas od magazynu nie dorobiła się uszu. To ja zeskakiwałem z szafy, ale na ziemię powróciliśmy oboje. Wywołany pocałunkiem rumieniec znikł z jej twarzy. Zrobiła się rzeczowa, smutna, no i rzadziej patrzyła mi w oczy.

– To nie takie proste. Pamiętasz tego kierowcę, który woził nas w nocy? Sławka Fornalskiego? Sporo mu zawdzięczam, a właśnie on mnie w to wciągnął. Znam tylko jego i Chudzyńskiego. Gdybym chciał donieść, to na nich.

– Adam, to dożywocie. W takich sprawach nie ma kumpli.

– Gdyby nie Sławek, już bym nie żył. – Znieruchomiła po swojej stronie stołu. – Wpadliśmy w zasadzkę. Nad naszym kanałem, na takim samym mostku jak ten tutaj. Tylko że wtedy jeszcze całym. Pilnowali go turkmeńscy żołnierze. Płasko, dwa szańce z worków na przyczółkach, żaden partyzant za cholerę nie podejdzie. No i faktycznie nie podszedł. Za to żołnierze zmienili zdanie i przeszli pod sztandar Allacha. Wyjechaliśmy w ciemno, bez sprawdzania. No i pod naszym honkerem, saperów znaczy, pieprznięło całe przęsło.

Wylądowaliśmy dachem w błocie. Kierowca trup na miejscu, mnie przygniotło, tylko nos z wody wystaje, mało nie utonąłem. Zapalnik był tak ustawiony, żeby nie pod pierwszym wozem... A pierwszy jechał bewup Sławka, trzecia drużyna. Potem my, cysterna, którą eskortowaliśmy, i wóz Bruszcza. Jak rąbnęło, ci niby rządowi żołnierze zaczęli do nas strzelać. Nad kanałem mieli snajpera z półcalowym karabinem. Przywalił bewupowi trzeciej w burtę, pod kątem prostym, zabił dowódcę. Potem jeszcze jednego chłopaka. Sławek ustawił wóz przodem, pociski przestały przebijać pancerz, no ale... Z przodu, okazało się, były zamaskowane okopy. Żadnego przedpiersia, ziemię gdzieś powynosili – po prostu dziury w ziemi. Prawie nie do trafienia z armaty. Zwłaszcza w tym dymie – bo cysternę oczywiście z miejsca podpalili. A w dziurach faceci z granatnikami. Zaczęli strzelać do naszych wozów. Bruszczak wycofał się, potem wspierał ogniem z daleka, ale że szwedów nie mieliśmy, gówno to dało. Ci z trzeciej próbowali wiać wozem przez kanał. Nie wyszło, bewup się zaklinował między skarpami. No to pouciekali pieszo. Wszyscy. Dobrze, że rannych ciągnęli. Zostałem ja, przyduszony honkerem, no i Sławek.

Przez godzinę bronił mnie w tym bloku. Sam. Turkmeni podchodzili wzdłuż kanału, Bruszczak nic nie mógł pomóc, śmigłowce przyleciały już po wszystkim. Pod koniec tamci byli tak blisko, że już granaty latały. Sławek zatrzymał z dziesięciu facetów. Nie wiem, jakim cudem. Wiem, że na jego miejscu najpierw posrałbym się ze strachu, a potem wiał śladem kolegów. A on nie: zobaczył, że żyję, nie mogę się ruszyć, więc został. Kurwa, nawet się jeszcze nie znaliśmy. – Zrobiłem krótką przerwę. – Myślisz, że po co ci trulem o ojczyźnie, lojalności? Nic nie mam do Polski, tyle że ona się na mnie wypięła, a Sławek nie. I teraz muszę wybierać między nieczułą suką a porządnym chłopakiem.

– Daj spokój Polsce. Chodzi o twoje życie. Nikt nie wymaga, byś zbawiał naród. Po prostu chroń własny tyłek.

– Mam go posłać za kraty?

Milczała. Szukała złotego środka.

– Więc może jego namów, by zrezygnował.

– Dostał list z domu. A właściwie od rodziny – poprawiłem się. – Bo dom im akurat zabrali. Mieszkali w pięcioro w dwóch pokojach: rodzice, on, siostra z mężem. W porowach jedna osoba

miewa pracę. Nie płacili czynszu, bo niby skąd.

– Zarabiacie tu po tysiąc dolarów. Nie mógł...?

– Za krótko służy, nie uzbierał. I masz nieaktualne dane. Owszem, Wojsko Polskie nieźle płaciło. Kiedyś, jak się bawiło w wojenki na Bałkanach czy nawet w Iraku. Tu mamy realną, choć pełzającą wojnę. A w kraju kryzys finansów publicznych. Wiesz, o ile zdążyli mi obciąć dewizowe pobory, odkąd tu jestem? Równo o połowę. Nie ma pieniędzy – i już. Wybór jest prosty: albo lepszy sprzęt, wydatki na bezpieczeństwo, mniej żołnierzy wracających do kraju w trumnach, albo bardziej zadowolone wojsko, które jednak częściej ginie i psuje politykom notowania. Zresztą mamy coraz bardziej uzawodowioną armię. Niby dlaczego podatnik ma płacić profesjonalście dwie pensje? A co do Fornalskich... Mieszkają w prywatnej kamienicy.

Stoi w dobrym miejscu i właściciel mocno się stara. Ostatni numer to skopanie siostry Sławka.

Była w ciąży, a jak pewnie wiesz, ciężarnych eksmisja nie tyka.

Pobladła. Zajęło jej to sekundę, nie więcej.

– Chcesz powiedzieć...?

– Oczywiście nie ma dowodów, że facet miał z tym coś wspólnego. Ot, szczęśliwy zbieg okoliczności. Brzuch blokował eksmisję, a tu nagle pojawia się paru łobuzów, flekuje dziewczynę w bramie i już po kłopotcie.

Milczeliśmy jakiś czas.

– Ten twój Sławek... Naprawdę nie może inaczej...?

– Jeśli nie zdobędzie tej forsy, rodzina wylądjuje pod mostem. A już teraz marnie się im układa. Wiesz, jak to jest: gorycz, woda, ciągle kłótnie. Bieda nie uszlachetnia. No i nie da się ukryć, że rodzina Fornalskich to nie wzorzec z czytanki młodego liberała. Nie są zaradni, nie są wykształceni. Te pieniądze, które im Sławek posyłał, rozeszły się w jakiś idiotyczny sposób.

Wpłacili na mieszkanie, developer ich oszukał, wkład przepadł... W efekcie ze służby Sławka są tylko długi. Bo oczywiście byli tak głupi, że wzięli kredyt.

– Ja to wszystko rozumiem – powiedziała cicho. – Ale to nie ty ich oszukałeś. Nie ty kopałeś tę dziewczynę. Dlaczego ty masz ryzykować całą swoją przyszłość?

– Teraz? – uśmiechnąłem się z goryczą. – Choćby po to, by nic ci się nie stało.

– Dlaczego miałoby mi się coś stać?

– Bo dałem dupy i wykreowałem cię na dobrego zakładnika. Jeśli zaczną coś podejrzewać... A czuję, że mnie pilnują. Wczoraj ledwie wychylił mi nos za zasieki, a już...

– Jesteś pewny, że ten Student...?

– Nie. Ale Chudzyński wie, że mam wątpliwości. Czyli trzeba mieć mnie na oku. Dlatego nic nie wiem. Nawet kto w tym siedzi oprócz nas. Ostatnio uprzejmie poprosił, bym nie wyjeżdżał na przepustki. Niby że coś mi się może stać, a niezastąpiony jestem. Ale tak

naprawdę... Kasia, to milion dolców. Albo dożywocie. Mądry człowiek nie zaniedba niczego, mając taki wybór.

– Chcesz powiedzieć, że możesz nie mieć okazji, by zameldować o wszystkim żandarmerii – podsumowała.

– To wojna – zatoczyłem dłonią. – O wypadek nietrudno.

– Boisz się?

– Boję się zginąć bez sensu. Na przykład dla ratowania kilkuset państwowych pocisków.

Bo jeśli Szamocki ma rację, to za rok, dwa podatnik słono zapłaci za ich utylizację.

– Nie rozumiem – wyznała bez ogródek.

– Nasze BWP-1 to konstrukcja z lat sześćdziesiątych. Wtedy były rewelacyjne, a do początku osiemdziesiątych co najmniej dobre. Zachód miał już wozy piechoty z armatami automatycznymi, ale za to nasz mógł skasować ich czołg. Więc trzymał klasę. Potem pojawiły się czołgi z pancerzem kompozytowym i działko BWP okazało się...

– Adam, nie jestem z „Polski Zbrojnej”.

– Przepraszam. Od lat mówi się o wymianie jeśli nie bewupów, to przynajmniej ich uzbrojenia. Mamy w kraju tysiąc trzysta takich wozów. Są trzonem armii. Przebrojenie wszystkich to duży wydatek. No więc paru facetów z WAT-u zaczęło kombinować, jak by tu ulepszyć starą amunicję do armaty 73 mm i za małe pieniądze uzyskać w miarę nowoczesny środek walki.

– I to te nowe pociski chcecie sprzedać Afgańczykom?

– Szwedzi kupili sporo poenerdowskich bewupów dla swoich oddziałów drugiego rzutu.

Mieli podobny problem z działem, więc zaproponowali współpracę. Oni dostarczyli zapalniki z programowanym czasem wybuchu, nasi opracowali niedrogą metodę zwiększenia szybkości pocisku i nowe głowice. Nie jestem ekspertem, ale zdaniem Szamockiego wyszły bardzo udane składaki. Tyle że zaraz potem w Azji zrobiło się bagno, zaczęliśmy tracić ludzi i Sejm zawołał wielkim głosem o nowoczesny sprzęt. No i wygląda, że w końcu doczekamy się wytęsknionych armat automatycznych.

– Nie bardzo rozumiem, co to ma...

– Właśnie zyskaliśmy tanią i naszą, rodzimą broń. Widziałaś wczoraj, że potrafi być skuteczna. Pierwszy strzał – i po kłopotcie. A co robią decydenci? Na gwałt kupują stare, wychodzące z obiegu działka. Dwudziestomilimetrowe. Na poradziecki wóz bojowy to nadal starczy, ale już niemieckiego mardera czymś takim nie ugryziesz.

– Jesteśmy w NATO. Niemcy to nasi sojusznicy.

– Dzisiaj. Ale za dwadzieścia lat? Zakupy broni planuje się na pokolenie. Zresztą nie o Niemców chodzi. Posyłamy wojsko przeciw każdemu, kto podpadnie Amerykanom. Są dwie możliwości: albo trafimy na słabeuszy, których da się załatwić i starym bewupem, albo

nadziejemy się w końcu na kogoś silnego. W jednym i drugim przypadku nowa dwudziestka niewiele nam daje. Poza tym BWP-1 to popularny wóz. Na nową amunicję znaleźliby się...

– Możesz się streszczać?

Fakt, poniosło mnie.

– Będziesz się śmiać – zastrzegłem się. – Ale pomyślałem, że taka kradzież to świetna promocja naszej amunicji.

Przez chwilę gapiła się na mnie z niedowierzaniem.

– Śmiać?! – wykrztusiła w końcu. – Chyba dzwonić po psychiatrę! Najpierw wieszasz psy na Polsce, a teraz mówisz, że kradniesz, by ratować nasz przemysł obronny, naukę i podatników?! Ty się słyszysz?

– Ludzka psychika bywa popieprzona – przyznałem.

– Nie wierzę – powiedziała twardo.

– Bo za dużo gadam. Powinienem powiedzieć po prostu, że rąbniemy coś, co lada dzień stanie się kłopotliwym odpadem. Więc nie ma powodów, bym odczuwał wyrzuty sumienia. Im więcej ukradniemy, tym więcej pieniędzy armia zaoszczędzi.

– No nie, trzymajcie mnie... Powiedz jeszcze, że się poświęcasz dla idei. Adam, marnujesz się tu. Do polityki, chłopie. Takiego odwrócenia kota ogonem to jeszcze...

– Mówię tylko, że jeśli pójdzie dobrze, zyska Polska i my. Na drugiej szali mam sprzedanie... no, właściwie przyjaciela. A teraz jeszcze narażanie ciebie. Oczywiście wywalą mnie z wojska. I posadzą. Ostatecznie mogłem przyjść z donosem wcześniej i nie wchodzić w to tak głęboko.

– Głęboko?

– Masz ochotę na spacer?

Wiatr nie łagodził upału, było za to pusto. Minęliśmy tłustą plamę, którą pozostawił wzgardzony przez nią casspir, i pomaszzerowaliśmy ku wykopowi. Dmuchało w plecy – może dlatego przeszła jeszcze kilka kroków, kiedy zatrzymałem się obok zjazdu. Posłała mi zdziwione spojrzenie.

– Dół już był – wyjaśniłem. – Profile też. Ale to my je zespawaliśmy. Znasz przysłowie o dobrych chęciach? Z nudów zrobiłem wyliczenia i wyszło mi, że za parę groszy można zbudować porządny magazyn. Teraz paru ludzi pamięta, że to plutonowy Kulanowicz jeździł do sztabu, agitował, załatwiał elektrody. I jak ktoś podpieprzy dach...

– Dach? Podpieprzy?

– Kratownice. Wykombinowałem tak, by po górnym pasie dało się przejechać. Nie znasz się, więc nie będę ci tłumaczył, w czym problem. Krótko: jeśli po wszystkim przyjrzy się temu podejrzliwy fachowiec, może wyciągnąć wniosek, że robiłem dach bardziej z myślą o moście niż dachu.

– Chcecie...? – Niepewnie przesunęła palcem z kratownicy na odległą sylwetkę zniszczonego



mostu.

– Nikt nie będzie szukał ciężarówki na wschodnim brzegu. Niby jak miała przejechać przez kanał? I po co? Tam nic nie ma. Pustynia aż do afgańskiej granicy.

– Może głupia jestem – wzruszyła ramionami – ale nie bardzo rozumiem, jak chcecie to zrobić.

– Nie my. Afgańczycy. Ja też nie wiem, jak chcemy to zrobić, ale tyle nam Chudzyński powiedział – że większą i gorszą część roboty odwalą tamci.

– Gorszą? – zmrużyła oczy. Wytrzymałem jej spojrzenie.

– Ma być bez ofiar – powiedziałem cicho. – Nie patrz tak. Nikt nikomu nie chce robić krzywdy. I technicznie to jest do zrobienia. W nocy czuwa tu czterech ludzi. Praktycznie trzech, bo ten w budynku się nie liczy. Kamera nie obejmuje polem widzenia okolicy baraków, więc jeśli uda się przemycić Afgańczyków do środka... Zostają dwa obsadzone schrony i jeden żołnierz w wozie dyżurnym.

– Czterech? – Zaskoczyłem ją. – Tylko?

– Pomnóż to przez trzy, bo skład warty to trzy zmiany. Masz dwunastu. Plus dowódcę i pomocnika. Po dobie służbę obejmuje następna czternastka. To w sumie dwudziestu ośmiu chłopów. Praktycznie cały pluton. A Bruszcak musi jeszcze upchać w grafik patrole, przepustki, pomoc przy przeładunkach, choroby, delegacje... Wyobraź sobie teraz, że choćby tylko jeden wartownik jest nasz, a Afgańczycy przychodzą z paralizatorem. – Coś drgnęło w jej twarzy. – No właśnie. To dlatego spanikowałem. Ci faceci, na których wczoraj polowaliśmy... Chudzyński mówił o środkach nasennych dla wartowników, ale na wypadek komplikacji miały być i paralizatory. Są tu dość popularne, odkąd w modę weszły porwania. I oto zjawiają się faceci z paralizatorem. Pomyślałem, że to już.

– Więc postanowiłeś się mnie pozbyć – dokończyła cicho.

– To akurat postanowiłem na początku – sprostowałem. – W nocy przestraszyłem się, że mogę nie zdążyć. No i spałem sprawę. Pomyślałem, że gdyby to już teraz, lepiej, by widzieli w tobie moją dziewczynę.

Milczała jakiś czas. Nie patrzyła na mnie.

– Mało spałam – mruknęła w końcu. – Nie za bardzo mogę myśleć. Może po prostu powiedz, co teraz będzie.

– Jak zakabluję tamtych? Pewnie dostanę większy wyrok od Chudzyńskiego. Sęk w tym, że najpierw zacząłem spawać te kratownice, a dopiero potem on się zjawił. Wyjdę na inicjatora.

Nie uwierzą, że to miał być dach.

– Zamkną cię? – zmarszczyła brwi.

– W areszcie. Wątpię, czy da się coś komuś udowodnić. Jeśli Sławek i Chudzyński nie puszcza farby, sprawa zostanie umorzona. Odsiedzę w celi parę miesięcy, a potem wylecę

z wojska jako psychol z urojeniami. To optymistyczny wariant. Gorszy: idziemy siedzieć całą paczką. I całkiem gówniany: jako koronny świadek nie dożywam procesu.

Odwróciła się, ruszyła w stronę baraków. Pod wiatr i pył, więc zwieszona głowa była jak najbardziej na miejscu.

– Więc co? – spytała z bezsilną złością. – Zero wyboru?

Wahałem się, czy to mówić. Wiatr zdecydował za mnie. Zaatakował nagle ze zdwojoną furią, oślepił. Nie musiałem nikomu patrzeć w oczy. Niepowtarzalna okazja.

– Miałbym na mieszkanie, żonę, dziecko i własną firmę. Na życie. Bez tej forsy...

Wyszłabyś za bezrobotnego? Bo żadna normalna nie wyjdzie.

Chyba nie posłała mi zdumionego spojrzenia. Błogosławiony pył Kara-Kum. Szliśmy właściwie na oślep.

– W Polsce jest gnój i jeszcze długo będzie. Może kiedyś się poprawi i znajdę pracę, z której da się utrzymać rodzinę. Ale wtedy będę już za stary, by jakaś dziewczyna... Przesram życie, rozumiesz? Muszę sobie znaleźć kogoś do kochania, Kaśka. Teraz, nie kiedyś tam. Muszę.

Bo bez tego już dłużej...

Nie odezwała się. Byłem jej za to wdzięczny. I prawie nienawidziłem. Za delikatność, zrozumienie też można nienawidzić. Jeśli okazuje je ktoś taki. Coraz bardziej pożądanym i coraz bardziej niedostępnym.

Przespała się ze mną. I co z tego? Była dziennikarką, była niebanalna, wybijała się ponad przeciętność. Pewnie miała na koncie dziesiątki takich przygód. Albo, co gorsza, dwie, trzy.

Dziewczyny z klasą rzadziej skaczą z łóżka do łóżka. Ale też rzadziej wiążą się na stałe z takimi jak ja. Kobietom powinno się ustawowo zabronić posiadania klasy, tego ulotnego cholerstwa, które sprawia, że rozkochują cię w sobie, nie dając równocześnie nic w zamian.

Weszliśmy między baraki. Osłaniały trochę od wiatru, więc w końcu nasze spojrzenia się spotkały.

– Założmy, że to w ten weekend – powiedziała rzeczowo. – Jak to sobie wyobrażasz? Co się stanie?

Łatwizna. Rozegrałem to w wyobraźni z tysiąc razy.

– Są cztery cele – zacząłem odchyłać palce. – Żadnych ofiar. Zataić jak najdłużej fakt kradzieży. Skierować pościg na zachód. No i wyłgać się z udziału w całej imprezie.

– Kaszka z mleczkiem – rzuciła sarkastycznie.

– Aż tak to nie, ale... Chudzyński mówi, że przy dobrym ustawieniu nie będzie problemu z zaskoczeniem wartowników. O ile w ogóle zajdzie taka potrzeba. Mogą spać. Albo być od nas – wyjaśniłem, widząc pytające spojrzenie.

– Cała zmiana? – zmarszczyła brwi. – Niby jakim...?

Nie dokończyła. Sama znalazła odpowiedź.

– Bruszczak, Grzywacz i Szamocki – wyliczyłem. – Oni decydują, kto, gdzie i jak pilnuje. Taki współnik byłby bezcenny. Więc pewnie doktorek któregoś zwerbował.

– Bruszczak? – zasugerowała.

– Bo toleruje tu taki burdel? – uśmiechnąłem się mało radośnie. – I widać od razu, że desperat? Pozory mylą. Te przepustki i picie na terenie baz wojskowych wymyślili w samej Warszawie. Nowa moda. Jakiś psycholog stwierdził, że lepiej dać się facetom wyszumieć po służbie. Mamy tu samych zawodowców, teoretycznie poważnych, odpowiedzialnych fachowców, którzy wiedzą, kiedy wolno sobie pofolgować. Wypoczną, rozładują stres, dłużej wytrzymają.

Rzadsze zmiany, mniej nowicjuszy, mniej ofiar, niższe koszty, przelotów choćby. Same korzyści.

– No dobrze. Nie wiemy, który z nich.

– W weekendy zwykle na miejscu jest tylko jeden. Może wystawić wartowników napastnikom i tak pokierować resztą wojska, by mało szkodziła, a sama nie ucierpiała. Gdyby do dyspozycji byli ci czterej Afgańczycy, można by się pokusić o błyskawiczne opanowanie Piątki.

Wbiegasz, totalne zaskoczenie, bierzesz gości pod lufę, wiążesz i po kłopotcie. Tak to chyba planowali.

– Wiążesz? Bawiliby się w takie...?

– Z Amerykanami nie. Z nami... – uśmiechnąłem się lekko. – Wiesz, dlaczego nasi w Iraku tak uparcie jeździli polskimi honkerami, chociaż dostali amerykańskie hummery?

– Aha. – Zrozumiała.

– Żyj i daj żyć innym. Ja cię nie zabiję, to i ty mnie kiedyś może nie zabijesz. No, mniejsza o to. W każdym razie jeśli mamy działać sami, pewnie spróbujemy zablokować... – zawahałem się – uczciwych. Parę serii po ścianach i bez rozkazu żaden nosa nie wychyli. A dowódcy albo nie będzie z nimi, albo nie wyda takiego rozkazu.

– Parę serii? Czyli jednak walka?

– Niekoniecznie. – Ująłem jej dłoń, raczej dla przyjemności niż z potrzeby. A także by sprawdzić, czy jeszcze mogę. Mogłem. Stanęliśmy obok tranzei wykopanej za latrynami. – Patrz. Masz pod ogniem z flanki całą ścianę Piątki, no i drzwi. Zaręczam ci, że w tym plutonie nie ma ani bohaterów, ani idiotów. Śpiewająco dadzą się zablokować.

– To tylko dwie ściany – zauważyła.

– Mamy tu więcej stanowisk strzeleckich. Wystarczy wybrać dwa dobre, by pokryć ogniem wszystkie wyjścia.

– I nikt nie zginie? – Nie wyglądała na przekonaną.

– Jeśli nikt nie zgłupieje, skończy się na strachu.

– I hałasie.

– Dookoła jest pustynia. Myślisz, że czemu tak nas tu mało? Bo do ochrony więcej nie

potrzeba, a w razie gdyby któryś magazyn pieprznął, straty będą mniejsze.

– Ale... gdzieś w pobliżu jest wojsko?

– Najbliżej mamy bazę ogniową. Haubice 155 mm. Jesteśmy w zasięgu ich ostrzału; na wezwanie pierwszy pocisk spadnie we wskazane miejsce po minucie. Po pięciu minutach mogą tu być myśliwce z bombami kasetowymi. Po siedmiu śmigłowce szturmowe, a po dwudziestu pięciu czołgi. Ale nie będą. Wiesz dlaczego? – Oczywiście pokręciła głową. – Bo to teren wojskowy. Jeszcze z czasów radzieckich, oznakowany tablicami, bezludny. Tubylcy wiedzą, że nie wolno tu wchodzić, a jak który wejdzie, to oberwie bez pytania, i to nie z karabinu, tylko od razu z armaty. Właśnie dlatego urządzono bazę amunicyjną w takim miejscu. Możemy bez wahania strzelać do wszystkiego, co się rusza. A jak się ma takie uprawnienia, pluton zmechanizowany, nocną kamerę, zaminowane przedpole i taki jak tu, otwarty teren, to dopiero parę kompanii partyzantów może człowieka nastraszyć.

– A ta baza ogniowa...? Nie zorientują się?

– Za daleko. Wystarczy odciąć uczciwych od radia. A dostatecznie mocne nadajniki mamy tylko w wozach i dyżurce.

– No dobrze, powiedzmy. Zero ofiar i alarmu. Co dalej?

– Mamy własnego stara. Będzie pewnie załadowany. Wystarczy wyjechać z magazynu – wskazałem barak numer 3. – Gorzej z mostem, ale żuraw powinien w kilkanaście minut przewieźć kratownice nad kanał. Wykop i południowe baraki są w jednej linii. Ci w Piątce nic nie zobaczą, bo stołówka zasłania. Ułoży się most, star przejedzie, kratownice wrócą na miejsce, zatrzymamy ślady i poczekamy.

– Na co?

– Na odsiecz. Pewnie do rana, więc będzie czas posprzątać. W nocy zjawi się co najwyżej lotnictwo. Zwłaszcza jak dostaną meldunek, że sytuacja w składnicy jest opanowana.

– A dostaną?

– A czemu nie? To rozległy teren. Cóż w tym dziwnego, że dowódca i paru innych, przypadkowo przebywających poza kwaterami w momencie ataku, broniło się całą noc w którymś schronie? Albo dało nogę na zewnątrz, a rano wróciło, opanowało jeden z wozów i nadało meldunek? Jak się nie wie, że to wszystko robota samych Polaków, cała historia trzyma się kupy i brzmi wiarygodnie.

– Nie dla mnie – rzuciła ponuro.

Ruszyliśmy w stronę mojej kwatery. Zastanawiała się, marszcząc czoło. Posępna, zmartwiona. Nie oglądałem jej jeszcze w tej postaci. Ale i taka mi się podobała.

## Rozdział 10

Po powrocie do baraku to ona pierwsza sięgnęła po butelkę. Nie pytając, naląła do obu szklaneczek. Wypiliśmy.

– Mogę o coś zapytać? – Nie patrzyła na mnie.

– Wal.

– Gdybyś kogoś miał... No, babę. Też byś w to wszedł?

A już myślałem, że karakumski pył zatkał jej i uszy.

– Skąd mogę wiedzieć? Nie mam żadnej.

– A Ilona?

– Ilona? – uśmiechnąłem się smętnie. – Ilona to senne marzenie.

Nie wiem, czy uwierzyła. A jeśli nawet, to w co konkretnie. Siedzieliśmy rozdzieleni stołem i czort wie czym jeszcze. Dwoje obcych. Jej mąż latami miał ją w łóżku, pewnie zaliczył na wszelkie możliwe sposoby, zrobił dziecko. I też pozostali sobie obcy. Cóż znaczy jeden szybki numerek po pijanemu ze szkolnym kumplem?

– Już się zdecydowałeś, prawda?

– Nie powinnaś tu przyjeżdżać – mruknąłem, oglądając dno literatki. – Wszystko popieprzyłaś.

– Nie wydam cię – powiedziała cicho. Posłałem jej zdziwione spojrzenie. Uśmiechnęła się blado. – Bez obaw: nie wiesz mi dziesięciu tysięcy. Z drugiej strony... Lody też raczej nie wchodzi w rachubę.

No tak. Otrzeźwiała. Szkoda, że tak późno.

– Wygłupiliśmy się – przyznałem. – Ale skoro się rozeszłaś z mężem, to nic aż tak strasznego... Chyba że już kogoś masz? – Zadziwiająco, jak późno przyszło mi to do głowy.

Wpadłem, szkoda gadać. Nie było mnie nawet stać na udawanie, że to uprzejmość czy pusta ciekawość. Może dlatego nie odpowiedziała. Bo wiedziała, że takiemu jak ja za odpowiedź starczy wymowna chwila milczenia.

No pewnie, palancie. Za grube łydki? Małe piersi? Świat roi się od facetów, gotowych obcałowywać każdy kawałek jednych i drugich. Któryś na pewno zdążył ją złowić. Może mogła być skutecznym lekiem na Ilonę, a to tak, jakbym zobaczył na wystawie apteki skuteczny lek na raka: nie ma co sobie zawracać głowy, lepiej iść dalej, bo i tak nie będzie mnie stać.

– Chciałeś mnie zabezpieczyć. No i tak wyszło – powiedziała tonem pocieszenia. Nie czułem się na siłach skomentować. – Adam... Wyjadę pierwszą okazją. Wiem, że komplikuję ci życie. Ale jeśli chcesz... to znaczy, jeśli jeszcze nie zdecydowałeś i potrzebujesz z kimś pogadać... Mogę jeszcze trochę zostać.

– Nie – mruknąłem apatycznie. – Jedź. Tu nie jest bezpiecznie, nawet jak nikt nie robi skoku stulecia.

– Tysiąclecia – uśmiechnęła się blado. – Historia polskiej wojskowości nie zna chyba podobnego numeru.

– Chyba nie – przyznałem.

– Nie dasz sobie tego wybić z głowy?

– Wybić? Nie. – Obiecałem sobie, że tego nie powiem, i oczywiście złamałem obietnicę. – Za bardzo się o ciebie boję, żebym ci pozwolił zostać. – Pięknie, durniu, teraz jeszcze uklęknij, wyznaj miłość i proś o rękę. – Sam muszę... Nie wiem, co zrobić. Myślałem, żeby anonimowo dać cynk, że ktoś tu handluje bronią. Może przysłałiby kontrolę, wystraszyli Chudzyńskiego...

Ognik nadziei zapłonął w jej oczach. Widziałem go. Ale widziałem też, że właśnie ognek, a nie eksplozja.

– Dobry pomysł – rzuciła z nieszczerym przekonaniem. – Chyba właśnie tak powinieś...

– Tylko nie wiem, czy to przeżyję – przerwałem jej ponuro, choć i spokojnie.

– Jak to? – zapytała cicho, zbита z tropu.

– Zorientują się. Musiałbym wyjechać albo skorzystać z radiolinii. Niby mogę, ale jak potem wpadną żandarmi... Mniejsza o ten milion. Z samego strachu mogą mnie załatwić.

Milczała jakiś czas.

– Nie uda się wam – mruknęła, nie patrząc na mnie. – W takich planach zawsze coś się popieprzy. Filmów nie oglądasz?

Sięgnąłem po butelkę, ale cofnąłem rękę. Wystarczy.

– Jeśli to ten weekend, pilnują mnie.

– Czekaj... – Prawie się uśmiechnęła. – Ta radiolinia robi u was za telefon, tak? A gdybym...?

– Wybierz to sobie z głowy.

– Co w tym dziwnego, że dziennikarka...?

– Kaśka! – warknąłem. Poskutkowało: umilkła. – Zapomniałaś? Numer Pierwszy to może być któryś z dowódców. Pewnie wydał stosowne rozkazy. Dyżurny pogoni cię od radia, a zaraz potem zamelduje, że próbowałaś. I będą nam się przyglądać dwa razy uważniej.

Z ponurą miną, ale przemyślała to sobie.

– Numer Pierwszy – zerknęła na mnie spod grzywki – ty, Sławek, Chudzyński. To czterech. A reszta?

– Nie wiem. Piątka to chyba Student.

– Bo szedł za nami nad kanał? Może chciał się umyć?

– Może. Mówię: „chyba”. To bystry facet, byłby użyteczny. Ale nie wiem. Mamy cztery niewiadome.

– Cztery?

– Doktor się zagalopował. Powiedział... – Utknąłem nagle, trochę wcześniej niż on wtedy, ale chyba z podobnego powodu. – O kurwa.

– Nie klnij – uśmiechnęła się blado. – To nie koszary.

Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem. Nie była całkiem trzeźwa, ale... Nie, to nie wódka. Po prostu żart. Miała w oczach troskę i bezradność, bała się, i to za dwoje – a mimo to stać ją było na żarty. W dodatku dobre. Ale nie śmiałem się. Myśl, że ktoś taki w końcu wstanie, powie „cześć” i zniknie z mego życia, zbyt bolała.

– Przepraszam. – Błędnie zinterpretowała moje spojrzenie. – To co powiedział?

Wolałbym nie powtarzać. Już i tak iskrzyło między nimi, a z jedną i drugą próbowałem żyć przynajmniej w zgodzie.

– Że będziemy dzielić milion na siedmioro – mruknąłem. Skinęła głową, ale dotarło do niej dopiero po sekundzie czy dwóch. I tak nieźle. Do mnie docierało dłużej.

– Siedmioro? – Twarz zeszywniała jej wyraźnie.

– To znaczy... nie dokończył i... Może nie zrozumiałem dokładnie. – Naprawdę nie byłem pewien. – Ona nie...

– Sypiasz z nią? – zapytała cicho. Przez chwilę czułem się znokautowany. Na szczęście nie poprawiła, nie posłała mnie na deski. – Zresztą nieważne. To dziwka. Idealny materiał na...

Naprawdę jej nie podejrzewałeś?

– Wszystkich podejrzewałem.

Od razu zacząłem się zastanawiać, na ile była szczerą z tym „zresztą nieważne”.

– Czyli nie. – Uśmiechnęła się, trochę cierpko, ale i z rozbawieniem. – No tak. Pod latarnią najciemniej.

Tym razem udało jej się: rozbawiła mnie. Inna sprawa, że nie za długo szczerzyłem zęby.

Śmiech nagle zamarł mi na twarzy. I znów błędnie odczytała reakcję na swój żart.

– Dobra, już się jej nie czepiam – uniosła dłonie w ugodowym geście. – Nie chciałam nikogo urazić.

Zrozumiałem, co miała na myśli.

– Nie uraziłaś. Nie sypiam z nią.

– Nie? To dobrze.

Mówiła chyba szczerze, tylko nie potrafiłem się zorientować, która część mojej deklaracji uniosła w górę kąciki jej ust. Nieważne. Myślałem o czym innym.

– Ale wiesz co? To niegłupi pomysł.

– Jednak zacząć z nią sypiać? Świnia. Już ci nie wystarczamy z Iloną?

– Nikt lepiej niż ona nie odwróci uwagi wartownika.

– Mówimy o plutonowej Górskiej? – upewniła się z miną niewiniątka. Ukaralem ją, demonstracyjnie stawiając jej literatkę denkiem do góry. Chyba dobrze zrobiłem, bo

w brązowych oczach rozbłyły szelmowskie iskierki, beczelnie kontrastujące ze znakomicie odegraną konsternacją. – Oj... o pani redaktor?

– Koniec picia – rzuciłem twardo, kryjąc rozbawienie.

– To tak się poznaliście? – Nie wytrzymała, zachichotała otwarcie. – Stałeś na warcie, a Ilona odwracała?

Zakręciła zmysłowo wszystkim, czym kobiety mogą kręcić, wydymając przy tym usta jak panienka z reklamy sekstelefonu i udając, że odpina guziki.

– Kaśka!

– No dobrze, przepraszam. – Nie włożyła wiele serca w te przeprosiny, ale przynajmniej spoważniała po paru sekundach. – Czyli mamy Numerkę Szóstą.

Przyglądałem jej się przez chwilę. Najpierw podejrzliwie, nie do końca przekonany, że skończyła. Potem z zaintrygowaniem. Bardzo stanowczo to zabrzmiało.

– Mamy?

– Weszła w to, jeśli tylko dostała propozycję.

Mówiła spokojnie, tonem tak trzeźwym i rzeczowym, że z lekka zawirowało mi w głowie. Nagle stała się inną kobietą, a ja w końcu odkryłem, dlaczego facetów tak kręci ich nieprzewidywalność. Właściwie to banalnie proste: zenisz się z jedną, a dostajesz dwie, trzy, dziesięć... Są podobne, lecz zarazem wystarczająco różne, by przyrodzona męczyznom poligamia dała się ogłupić.

Miała to w sobie. Mogła wystarczyć na całe życie. Jak Ilona.

– Jeśli – mruknąłem. Czulem, że ma rację, ale czulem też, że jeżeli pokornie się z tym pogodzę, przyznam, iż w dodatku jest mądra, unieszczęśliwi mnie do reszty.

– Wasz szef byłby głupi, gdyby jej nie wziął. Może ten twój Sławek bardziej potrzebuje pieniędzy, ale to ona zrobi więcej, by je zdobyć. Uwierz mi.

Uwierzyłem. Bez dopytywania. Końcówka zabrzmiała gorzko i chyba bałem się, co mógłbym usłyszeć.

Sięgnęła po mineralną, zaczęła pić prosto z butelki. Wstałem, zajrzałem za przepierzenie z worków. Bardziej dla pobierania myśli niż z przekonania: do magazynu nie dało się wejść, nie hałasując ciężkimi wrotami, i wątpilem, by ktoś próbował nas podsłuchiwać. Spore ryzyko wykrycia, duża strata czasu – na okazję do bezpiecznego odwrotu mógł czekać nawet godzinami – a potencjalny zysk znikomy. Albo byłem lojalny i niczego nie kombinowałem z Kaśką, albo nie byłem i knułem zdradę w bardziej dyskretnym miejscu.

Zeskakując z krzesła, pomyślałem, że na dobrą sprawę wcale nie musieliśmy spędzać nocy w jednym łóżku. I że w jakimś sensie wykorzystałem Kaśkę.

– Chcesz? – Czekala na mój powrót z otwartą butelką w ręku. Usiadłem, wziąłem, łyknąłem.

– Właściwie jak trafiłaś do tej „Jagienki”? – Cholera, obchodziło mnie to w tej chwili jak



plony ryżu w Bangladeszu. – To chyba warszawskie pismo?

Zawahała się, uśmiechnęła gorzko, uniosła dłoń i rozchyliła dwa palce w nieco już przykurzonym geście. „V” jak „victory”. Symbol opozycji. Już nawet nie pamiętałem, czy dopiero tej zwycięskiej, pijanej radością wygranych w 1989 wyborów. Z nią w każdym razie nigdy mi się nie kojarzył. Błąd.

– A – pokiwałem głową. – No tak. Zapomniałem, że twój wujek... Dawni koledzy z „Solidarności”?

Popatrzyła na mnie, jakby zdziwiona, lecz niemal od razu także skinęła głową.

– Owszem. Też. – Nie miałem zamiaru drążyć tematu, ale chyba tego nie wyczuła. I zmieniła go sama. Dość drastycznie. – Mam pomysł, Adam. Potnij to w diabły. Potnij most.

Nie zdążyłem zareagować.

Syrena alarmowa okazała się szybsza.

\*

Wystartowałem błyskawicznie, ograniczając przygotowania do krótkiego „zostań” pod adresem Kaśki i chwytu za pas z automatem. Byłem w połowie drogi do przydzielonego nam sektora – północno-zachodni narożnik bazy, schron z worków plus trzy krótkie transeje – kiedy dyżurny zmienił zdanie i przełączył syrenę na tryb odwołania alarmu.

Przebiegłem jeszcze kilka kroków i zatrzymałem się. Nikt nie strzelał, nic nie wybuchało; na północy, pomijając płasy gnanego wiatrem kurzu, nic się nie poruszało.

Na południu, prawdę mówiąc, też nie bardzo. Załogi bewupów, składujące oporządzenie w pojazdach, zdążyły wybiec z Piątki i zniknąć z pola widzenia, a cała reszta kłębiła się pewnie wokół stojaków ze sprzętem. Wbicie się w hełm, kamizelkę i wszystko, co żołnierz powinien dźwigać po polu walki, musi potrwać.

Minąłem narożnik Jedyńki i popatrzyłem w stronę bramy. Wartownik udawał, że ogląda przez lornetkę zachodnią połówkę widnokągu, ale myślami był całkiem gdzie indziej: zanim BWP nadjechał z głębi bazy i wyhamował przed szlabanem, przyłapałem nieszczęśnika na trzech ukradkowych spojrzaniach w tamtym właśnie kierunku. Syrenę uruchamiał dyżurny, ale kiedy dmuchało i komputerowy skaner głupiał, to wartownicy, meldując przez radio, tak naprawdę podnosili alarm. I to oni płacili za pomyłki.

Ruszyłem w tamtą stronę. Szeregowy Kurzewski był z mojej drużyny i jeśli narozrabiał, wypadło się pokazać.

– ...pomyślałem, że są razem, no i zameldowałem. No bo tak z dwóch stron naraz... Ale chyba to nie był człowiek. Straszna kurzawa, mało co widać. Dlatego nic nie mówiłem. Dopiero jak potem zobaczyłem tego na drodze...

Bruszczak słuchał jednym uchem, wodząc po horyzoncie szklami odebranej Kurzewskiemu lornetki. Podobnie jak ja, za cały ekwipunek miał pas z kaburą.

– To Młynarczyk. – Opuścił lornetkę i posłał wartownikowi mało życzliwe spojrzenie. – Oślepieś?

W duchu przyznałem mu trochę racji. Nawet bez pomocy szkieł rozpoznałem charakterystyczny obrys żołnierskiego popiersia z wielką kopułą kompozytowego hełmu i rozdętymi przez kamizelkę barkami. O twarzy mógłbym powiedzieć co najwyżej, że nie należy do Murzyna, ale już niesiona fantazyjnie, w poprzek karku broń nie budziła wątpliwości. Wycięta w środku charakterystyczna kolba, kwadrat magazynka. SWD. Turkmeńscy i afgańscy partyzanci też używali tego karabinu, ale w porównaniu ze zwykłym kałasznikowem był to nie lada rarytas i żaden opasany trotylem kaszaniarz, maszerujący w stronę natowskiego posterunku w przebraniu polskiego żołnierza, nie dźwigałby tak oryginalnego kamuflażu.

– No właśnie – rzucił niepewnie Kurzewski. – Tak mi się zdawało, że to kapral, i dlatego...

Bo jakby ten tam – wskazał dłonią na północ – był terrorystą, to mógłby... No, pomyślałem, że może na niego się zaczaili.

– Akurat tu, pod twoim nosem? – To nie był jego żołnierz i może dlatego porucznik ograniczył się do szyderczego pomruku. Ale pewności nie miałem. Zaraz potem zmarszczył brwi i znów uniósł lornetkę. – Co ten kretyn wyprawia?

Miał na myśli Młynarczyka, jednak póki co, potrafiłbym wytknąć kapralowi najwyżej lekceważenie burz piaskowych. W bezpośrednim sąsiedztwie bazy poza zabłądzeniem nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, którego uniknąłby, pozostając po właściwej stronie zasieków.

Snajper-desperat mógł go upolować równie dobrze przed stołówką.

Dopiero po dwóch minutach, gdy znalazł się bliżej, uświadomiłem sobie, że nadchodzi krokiem mocno zmęczonego człowieka. Nie wracał ze spaceru. Musiał wyjść dawno i zawędrować daleko, dalej niż za horyzont. A przecież nawet po naszej, teoretycznie bezpiecznej stronie horyzontu było parę miejsc, które rozsądny człowiek omija szerokim łukiem.

– Powrót z lewizny? – Silnik zagłuszył odgłos kroków; zauważyłem Szamockiego, dopiero gdy stanął obok. W ślad za nim przyszło też kilku żołnierzy, ale coś w postawie dowódcy podpowiedziało im, by trzymali się na dystans.

– Nie ty go posłałeś? – upewnił się Bruszczak.

– Ja? Ja się cieszę, jak się zapomni i odda mi honory.

Przesadzał, ale wątpię, by Młynarczyk zadał sobie tym razem fatygę, gdybyśmy stali sami. Lewa ręka kaprała przytrzymywała lufę karabinu, nonszalancko przełożonego w poprzek karku, w prawej przez cały czas trzymał lornetkę. Nie użył jej, ale była w gotowości i każdy podejrzany ruch w oddali mógł zostać błyskawicznie sprawdzony.

Zawodowiec.

Bruszczak też był zawodowcem i pewnie dlatego pasek lornetki kaprała powędrował na ramię, a brudna dłoń do hełmu. Porucznik odwzajemnił salut, obejrzał się przez ramię, krótkim,

lecz wymownym gestem wskazał baraki grupce gapiów. Żołnierze pospiesznie wykonali w tył zwrot, a ja zauważyłem, że ku zwolnionemu miejscu rażno maszeruje redaktor Sosnowska, z moim hełmem pod jedną pachą, kamizelką pod drugą i aparatem objającym się o brzuch. No, pięknie.

– Gdzie cię nosi? – Kierowca bewupa wyłączył w końcu silnik, ale nie dlatego głos porucznika zabrzmiał tak ostro w nagłej ciszy. Młynarczyk przykucnął, przeciskając się pod szlabanem. I wtedy to dostrzegłem. Chyba nie ja jeden. Obaj oficerowie znieruchomieli, a chrzęst żwiru pod stopami Kaśki ucichł jak nożem uciął.

Nic dziwnego: plama w dolnej części plecaka była duża, świeża i miała wyjątkowo paskudny kolor.

– Przepraszam, panie poruczniku. – Młynarczyk stanął z kolbą przy nodze, na pewno nie na bacność, ale też nie w pozie, która mogła kojarzyć się z wyzywającą. W jego twarzy dominowało zmęczenie, a w głosie spokój. – Nie było czasu. Zauważyłem coś i musiałem od razu reagować.

Bruszczak przyglądał mu się przez chwilę.

– Dostałeś? – zapytał cicho.

– Słucham? – Kapral wyglądał na zdziwionego.

– Masz krew na tornistrze.

Chrzęst z tyłu. Kaśka. Oczywiście nie mogła sobie darować strzyżenia uszami. Albo po prostu zabolęła ją biodro: kamizelka kuloodporna potrafi dać się we znaki, jeśli taszczyć ją pod pachą jak książkę.

– To nie moja – powiedział spokojnie Młynarczyk. Oparł o brzuch koniec karabinowej lufy i bez pośpiechu zdjął plecak. Na ziemię wytoczyła się butelka z wodą, paczka zapasowych naboji i to najważniejsze: brunatna, foliowa torba na śmieci. Była prawie nieprzezroczysta i prawie szczelna, ale przy wkładaniu jej do plecaka Młynarczyk musiał zawadzić o jakiś kanciasty przedmiot i powstała dziura, z której najpierw skorzystała krew, a teraz ludzki nos.

Mój hełm i kamizelka łupnęły o ziemię. Czekałem na kolejne łupnięcie, ale Kaśka jakoś nie zemdlęła.

Patrzyłem, jak Młynarczyk wyjmuje nóż, i przez głowę przemknęła mi idiotyczna myśl, że będzie nim kroił ciszę – tak materialna się nagle zrobiła. Oczywiście dał spokój ciszy i rozkroił worek. Mógł po prostu rozerwać, obok chwiała się jednak na nogach blada z przejęcia kobieta i pewnie z uwagi na nią wybrał bardziej elegancką formę.

– O w mordę... – wymamrotał Szamocki.

Nos okazał się autentyczny, męski. Wyrastał z głowy trzydziestoletniego mniej więcej Azjaty o wyraźnie skośnych oczach i twarzy pokrytej kilkudniowym zarostem. Powieki były zamknięte i nieszczęśnik wyglądałby po prostu na pogrążonego we śnie, gdyby nie fakt, iż kończył się parę

centymetrów poniżej podbródka upiornym, brunatnym skrzepem przeciętej w poprzek szyi.

– Ty go...? – Bruszcak nie dokończył. – Pojechało cię?!

– Już nie żył. – Młynarczyk dźwignął się z przysiadu.

– Nie o to pytam! Ty mu obciąłeś głowę?!

– Mamy ich identyfikować. – W głosie kaprała nie było wyzwania, choć wielu tak by to zinterpretowało. Był po prostu rzeczowy. – Takie są wytyczne.

– Schlałeś się?! Tego was na kursie uczyli?! Obcinania głów?!

– To daleko stąd. Ktoś mógł go znaleźć i zabrać. Albo zmasakrować twarz. Dokumentów nie miał, a odcisków nasi mogą nie mieć w kartotece. Zresztą nie było jak zdjąć, nie noszę tuszu.

Musiałbym obciąć dłonie. Na jedno wychodzi.

– Teraz to przegiąłeś – powiedział cicho Szamocki. Głos trochę mu drżał, choć poza tym trzymał się nieźle. Student i Sławek, wychyleni z włazów bewupa, wyglądali na znacznie solidniej znokautowanych.

– Zdecydujcie się na coś – rzucił gniewnie Młynarczyk. I prawie od razu powrócił do roli beznamiętnego, znużonego twardziela. – To wojna.

O dziwo, jego słowa zasznurowały Bruszczakowi usta. Porucznik obejrzał się, sprawdził rozmiar strat. Zanim jeszcze podszedł do leżącej na piasku głowy i powtórzył spojrzenie, oceniając martwe pola i tym samym ilość potencjalnych świadków, zrozumiałem, co zamierza.

– Kulanowicz...

– Tak – przerwałem mu. – Jasne.

Odwrócił się, dotknął folii czubkiem buta.

– Zapakuj to, Młynarczyk. I ładuj się na wóz. Mam nadzieję, że wiesz, gdzie została reszta?

– Wiem.

– Odpalaj, Fornalski. Przejedziemy się. Wychwyciłem spojrzenie Studenta. Było parę ciekawszych miejsc, ale popatrzył akurat na mnie.

– Panie poruczniku, a dyżur? – zaprotestował nieśmiało. Bruszcak pokazał, kto tu rządzi, i po prostu go zignorował. Nikt więcej nie próbował się odzywać.

Młynarczyk wepchnął upiorne trofeum do worka, potem worek do plecaka. Z kapustą obchodziłby się pewnie delikatniej, no, ale ostatecznie od źle pakowanej kapusty może odpaść liść czy dwa. Tu żadne straty nie wchodziły w grę.

– Zostawię – wyciągnął plecak w stronę Szamockiego. – Jak nas po drodze sfajczą, będzie wiadomo, czyich kumpli szukać. – Bruszcak otwierał usta, rozmyślił się jednak i nie powiedział słowa. – Dziś mają być medycy, mogliby zabrać do sztabu.

– Już byli – mruknął Szamocki, trochę przez zęby. Pakunek jednak przyjął.

– No to zdjęcie – Młynarczyk skinął w stronę Kaśki i jej aparatu fotograficznego. – Jak to cyfrzak, to w komputer i przesłać. Albo po prostu wezwijcie śmigłowiec.

Odwrócił się i znikł w drzwiach bewupa. Zerknąłem na Kaškę. Miała w twarzy mniej krwi niż ten z worka. Kurzewski nie wyglądał dużo lepiej. Otworzył wprawdzie szlaban, ale potem, gdy BWP gnał na zachód, zawisł na przeciwwadze niczym ofiara choroby morskiej na relingu.

Podszedłem do Kaški, podniosłem hełm i kamizelkę.

– Nikomu ani słowa, Kurzewski. – Mówiłem cicho, czułem jednak, że nie pomyli tego rozkazu z luźno rzuconą propozycją, co paru moim podwładnym zdarzyło się kilka razy.

Nasadziłem hełm na głowę, wskazałem Kaške baraki. Oszołomiona, odwróciła się posłusznie.

Zaprowadziłem ją do swojej kwatery, posadziłem i sięgnąłem po butelkę. Nie za wiele w niej zostało, ale nie dlatego zawahałem się przy zakręcce.

– To chore.

Dałem spokój butelce. Oczy Kaški zrobiły się niemal czarne, tak bardzo pobladła twarz, ale w głosie wyczułem więcej buntu i niewiary niż paniki. Mogła funkcjonować bez alkoholowego znieczulenia.

– Formalnie ma rację – mruknąłem, zamieniając butelkę z wódką na tę z mineralną.

Napełniłem szklanekę.

– Adam, co ty pieprzysz?! Obciął mu głowę! Chyba... po prostu nożem! Odkroił! Jak jakiejś... nie wiem... rybie!

– Nie byłem na tym ich kursie. – Podsunąłem jej literatkę. – Ale nawet nas, tyłowe ciury, uczył, by reagować jak policja. Każdy świeży trop może doprowadzić do innych terrorystów.

Nieraz to kwestia godzin. Nawet minut. Zidentyfikujesz takiego od razu – zgarniasz rodzinę, kumpli, rewidujesz właściwe miejsca. Spóźnisz się – i kłapa. Ktoś może przez to zginąć. Ktoś od nas.

– Bronisz go? – popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– W Iraku kropnął dwoje nastolatków. – Włożyłem jej szklaneczkę w dłoń. – Chłopak podszedł do ogrodzenia naszej bazy. W takim luźnym ubraniu. Mógł teoretycznie mieć coś pod spodem. Dostał w głowę, od razu na amen, ale dziewczyna zgłupiała, chyba chciała ratować...

Zresztą nie wiem, nie znam szczegółów. W każdym razie ją też zastrzelił. Że niby mogła uruchamiać zapalnik. Było dochodzenie, ale Młynarczyka nie zawiesili. Ubezpieczał potem konwój i zlikwidował autentycznych terrorystów. Znów dwóch. Karabin mieli jeden, więc może ten drugi oberwał przypadkiem, no ale... Medalu nie dostał, do cywila go nie wywalili. Bilans zerowy. Potem przyjechaliśmy tutaj i zaczęli do nas strzelać lepsi fachowcy niż sieroty po Saddampie. Nikt się już nie czepiał faceta, który potrafi i lubi zabijać.

– Lubi? – podchwyciła.

– Tak myślę – wzruszyłem ramionami. – W każdym plutonie jest strzelec wyborowy, ale snajper to co innego. Snajper stanowi samodzielny pododdział. Dostaje zadanie i wykonuje po

swojemu. Młynarczyk był szkolony w ten sposób. To nowość w naszej armii. Nauczyl go, że sam ma decydować o śmierci tego w celowniku. Nie każdy pójdzie na taki układ. Nawet w wojsku jest milion stanowisk, na których nie trzeba wydawać wyroków śmierci. Albo przynajmniej zabijać bardziej bezosobowo. Bez patrzenia w twarz. Nie wiem, ale wydaje mi się, że nikt całkiem normalny nie weźmie tej fuchy.

– To świr – powiedziała twardo.

– Pewnie tak – uśmiechnąłem się. – Ale użyteczny.

Przyglądała mi się przez chwilę ponuro.

– Bo czasem jednak zabije prawdziwego kaszaniarza?

– Bo jeśli to Bruszcak jest szefem, w bazie została tylko Patrycja i Numer Siódmy.

Zaskoczyłem ją. Mroczne spojrzenie nieco złagodniało.

– Słucham?

– Ten twój pomysł z cięciem przesła... Głupi, bo głupi, ale... Jeśli w ogóle, to teraz.

– Słucham? – Czuję, że zrozumiała od razu i po prostu odwleka chwilę wyłożenia kawy na ławę. Pewnie w nadziei, że wróci mi rozsądek i sam zrezygnuję.

– Student chciał zostać. To by pasowało do mojego anioła stróża. Ale wyjechał i jest ich dwoje. Przy odrobinie szczęścia możemy się dowiedzieć, kim jest Siódemka.

– Tnąc kratownice? – upewniła się. Nie zdążyłem potwierdzić. Była trochę zbyt wzburzona.

– A nie pomyślałeś, mądralo, że przy odrobinie pecha strzeli ci w łeb?!

– Kasia, sama przecież...

– Bo nie wiedziałam, że tu się ludziom głowy ucina! Ale już wiem! I cofam głupią propozycję!

– Nikt mnie nie zastrzeli. Jestem im potrzebny. Jak mi odbije i zacznę niszczyć nasz złotodajny most, któreś z tych dwojga musi przybiec i przemówić mi do rozsądku.

– Albo zrobić dobrą laskę! – warknęła. Gapiłem się na nią przez chwilę, kompletnie zбитy z tropu. Zacerwieniła się trochę bardziej i gniewnie potrząsnęła ramionami. – No co? To chyba oczywiste.

Cholera. Miała rację. Każdy inny członek spisku skazany byłby na apelowanie do mego rozsądku. Patrycji pozostawał w odwodzie apel do ciała.

– Dowiedziałbym się, kto to jest – bąknąłem.

– Ten siódmy? A właściwie po co? Przecież w to wchodzisz, nie? Postanowiłeś zostać milionerem.

– Nic nie postanowiłem. Na razie myślę.

– No to myśl. A palnik zostaw w spokoju.

– Będziemy bezpieczniejsi, jeśli się dowiem, na kogo trzeba uważać.

– My? – uśmiechnęła się z szyderczym powątpiewaniem.

– Już zapomniałaś? Robisz za moją kochankę.

– I to ma być argument? Za cięciem mostu?

– Jesteś moim słabym punktem. Mogliby... to znaczy: gdyby to miało być akurat teraz, na dniach...

– Słaby punkt? Bo mnie bzyknałeś? Nie bądź śmieszny, dobrze? To przeszło pół miliona złotych na głowę. Romeo Julię by sprzedał, a co dopiero... Jeśli już, to łeb mi utną. Tobie nie mogą, bo cię potrzebują, ale twojej panience jak najbardziej. Taki mały klaps za głupie pomysły.

– Nikt tu nikogo nie zamierza zabijać. Ile razy mam ci powtarzać, że chcemy tylko...

– Sześćset tysięcy to dobry powód, by zabijać.

– Nie ruszą cię. – Staralem się być przekonujący, ale, niestety, także dla samego siebie, więc nie zabrzmiało to najlepiej. – Jesteś moją...

Utknąłem.

– No: kim? – Nie przegapiła okazji. – Adam, nie oszukujmy się. Masz tę swoją królową w Stargardzie.

– Królową? – posłałem jej uśmiech. Miał być kpiący, ale wyszedł smętny.

– Kojarzę ją – powiedziała cicho. Jej uśmiech był idealną kopią mojego. – Z przystanku.

Drobna, zgrabna jak cholera, ciemny blond robiony na jasny. Często nosi taki młodzieżowy plecaczek. W ogóle jakaś taka... dziewczęca. Wsiada czasem obok przychodni na Szczecińskiej.

Kiedyś mnie zagadnęła; wiesz, w ramach sondy ulicznej. Faktycznie, ma w sobie to coś.

– To coś? – Ze wszystkich możliwych tematów, jakie chciałem z nią omawiać, ten był ostatni, ale nie umiałem się powstrzymać. Klasyczny przypadek bolącego zęba, trącanego językiem w głupiej nadziei, że jednak przeszło.

– Wiesz, o czym mówię.

Nie wiedziałem, a przynajmniej nie byłem pewien. Nie odważyłem się jednak zażądać wyjaśnień. Gotowa ich jeszcze udzielić. I zdołować mnie do końca autorytatywnym stwierdzeniem, że dla reszty świata Ilona Roman jest dokładnie tak niezwykła i wyjątkowa, jak ja ją postrzegam.

– Mówisz nie na temat – zdobyłem się na rzeczowy ton. – Młynarczyk nie przyniósł tej głowy z daleka. Wróć raz-dwa. Jeśli mamy to zrobić, to już. Pomożesz mi?

Nie chciałem rozgrywać tego w ten sposób: przypierając ją do muru. Samo jakoś wyszło.

– Co mam zrobić? – Niemal warczała.

– Wyciągnąć Patrycję nad kanał. Na tę wczorajszą plażę obok mostu. Opala się tam. A czasami... no wiesz.

– Domyślam się – rzuciła przez zęby. – Ile bierze?

– Słucham?

– I daj forszę. Nie wygląda na naiwną, pewnie zażąda z góry. Nie bój się – posłała mi krzywy

uśmiech. – Jak będzie naprawdę fajnie, to ci oddam ze swoich.

Chyba się zaczerwieniłem. Chyba nie od razu. I chyba domyśliła się, jaka zrodzona w wyobraźni wizja przywołała tę nadwyżkę krwi do mej twarzy. Jej uśmiech zrobił się do reszty wredny.

– Kretynka – mruknąłem.

– Też genialny nie jesteś. A niby co mam jej zaproponować, żeby ze mną poszła? Spacer?

– Jesteś dziennikarką. Powiedz, że chodzi o wywiad. Mamy tu mundurowych Polek jak na lekarstwo. Nic dziwnego, że pani redaktor z babskiego pisma się nią zainteresuje.

O dziwo, bez słowa skinęła głową. Wstała, zdjęła z wieszaka swoją czerwoną czapkę, nasunęła nisko na czoło.

– Nie wiem, jak długo ją przetrzymam – mruknęła, nie patrząc na mnie. – Nie lubi mnie. Sprężaj się.



## Rozdział 11

Wiatr osłabł i naprawdę gęsty obłok kurzu kończył się na wysokości kolan. Musiałem czekać, aż dwie kobiece sylwetki znikną mi z oczu. Pochłonęło je dopiero zagłębienie kanału – widoczność była przygnębiająco dobra. Zastanawiałem się nawet, czy nie zrezygnować ze szlifierki kątowej na rzecz palnika, w końcu jednak wywlokłem z magazynu wózek z kablem i ruszyłem śladem dziewczyn. Szybko i wolno zarazem. Chciałem czym prędzej zanurkować w wykopie, by zejść z oczu Patrycji, a z drugiej strony bałem się ryzykować, że Numer Siódmy zwyczajnie przegapi moje manewry. W odwodzie był oczywiście wywołany przez szlifierkę hałas, ale wolałbym jej nie uruchamiać. Wiało od zachodu i Patrycja mogła się zorientować szybciej niż ten, na którego polowałem.

Po paru minutach kręcenia się między zalegającymi dno wykopu kratownicami wiedziałem już, że optymistyczne założenia wzięły w łeb. Siódemka albo niczego nie zauważył, albo uznał, że sytuacja nie dojrzała do interwencji. Trochę za późno przypomniałem sobie, że spawarka elektryczna, którą też mieliśmy na stanie, wymaga dokładnie tego samego kabla zasilającego. Ktoś mało podejrzliwy mógł wziąć moje przygotowania za wstęp do uczciwej pracy.

Chcąc nie chcąc, włączyłem szlifierkę. Na chwilę. Poznącałem się nad końcówką jakiegoś kątownika i ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz.

Nic. Żadnego śladu życia, ani wśród odległych krzaczków nad kanałem, ani dużo bliżej, między barakami.

Wróciłem na dół i na serio zabrałem się do roboty.

Dźwigar numer jeden, ten znad przyszłej bramy, padł ofiarą zimnej krwi, względnie gapiostwa faceta, który miał mnie mieć na oku. Akcja sabotażowa musiała wyglądać wiarygodnie. Była sobota, czas relaksu; jako jedyny w bazie, a może i całym naszym kontyngencie, miałem na wyłączność niebrzydką, polską dziewczynę – a wyżywałem się na stali.

Pół tuzina Bogu ducha winnych, bezinteresownie ciekawskich żołnierzy mogło tu przyjść i pogapić się na takiego frajera, więc krojenie na plastry luźno leżących profili nie wchodziło w rachubę. Numer Siódmy musiał uwierzyć, że niszczę coś wartościowego.

Kratownica znad bramy miała leżeć na murze. Zespawaliśmy ją ze słabszych elementów i w charakterze mostowego dźwigara byłaby bezużyteczna. Wyglądała jednak podobnie i miałem nadzieję, że Siódemka da się nabrać.

Nadziei i kratownicy starczyło mi na parę minut. Kiedy poszatowany dźwigar legł ostatecznie na piasku, a końcówka tarczy rozpadła się na jakimś kamieniu, dałem za wygraną, usiadłem na stercie żelastwa i po prostu czekałem. Niedługo, trzeba przyznać. Kaśka pojawiła się zaraz potem. Sama, ale nie odczułem ulgi z tego powodu. Pobojowisko wokół mnie stanowiło

jaskrawy dowód zdrady i brak Patrycji u jej boku nie miał już znaczenia.

Zbiegła na dół. Przedtem też biegła: pierś wyraźnie jej falowała, a w głosie słychać było zadyszkę.

– I co? Był? – Pokręciłem głową. – Nie?

Wyglądała na zawiedzioną. Przez chwilę. Bo zaraz potem rozczarowanie ustąpiło miejsca głębokiej trosce.

– Zorientują się – powiodła bezradnym spojrzeniem po resztkach dźwigara. – Kurczę, co myśmy narobili... Bezmózgi durne.

Uśmiechnąłem się do niej pocieszająco.

– Łyknę z gwinta i będę im chuchał w nos. Pijany facet z niejednego się wyłga. Powiem, że nie chcesz mi dawać, więc się wkurzyłem i przybiegłem tu jakoś się wyżyć.

– Kretyn – rzuciła niemal wrogo. Schowałem uśmiech do kieszeni. Naprawdę się martwiła. Chyba bardziej niż ja.

– Przepraszam. – Milczała, dając mi do zrozumienia, jak dalece niestosowny był ten żart. – A tobie jak poszło?

Zastanawiała się przez chwilę, czy zasługuję na odpowiedź. Przez tę zadyszkę, skrywaną, lecz widoczną, wyglądała na jeszcze bardziej wzburzoną.

Fajnie wyglądała. Wilgoć na twarzy, parę włosów lepiących się do mokrych skroni, leciutki rudawy nalot pod pachą, gdzie pustynny kurz znalazł gościnny, mokry kawałek tkaniny.

– Nie widać? – burknęła w końcu. – Zasuвам po forse.

– Przecież cię przeprosiłem.

– Ale ja naprawdę zasuwam po forse. – Zalążki uśmiechu, chyba mściwego, pojawiły się w kącikach ust.

– Jak to? – Czułem, jak głupia robi się moja mina.

– To dziwka, prawda? Fachowa siła. – Uśmiechała się coraz bardziej otwarcie. – A podobno co dziesiąty z nas jest homo. Co w tym dziwnego, że zestresowana dziewczyna kochająca inaczej szuka ratunku u innej dziewczyny?

– Kasia...

– To nie idiotka. Czymś ją musiałam nad ten kanał zaciągnąć, prawda? I trochę tam przetrzymać. W dodatku się nie lubimy. Zazdrość. Wystarczyło powiedzieć, że to o nią, nie o ciebie, i już jadła mi z ręki.

Nie wierzyłem jej. Ale i tak się bałem. Przetrzymała mnie w niepewności, upewniła, że mam w oczach ten strach, i dopiero wtedy wyszczerzyła triumfalnie zęby. – Nabrałeś się! – Przez chwilę była autentycznie szczęśliwa. – Naprawdę się nabrałeś!

Dźwignąłem się ze sterty dwuteowników, ująłem ją za zebraną nad lewym uchem połówkę włosów, zacząłem bez pośpiechu nakręcać na dłoń ich jedwabistą czerń. Dopiero teraz

zauważyłem, że tak naprawdę ma je brunatne, tyle że bardzo, bardzo ciemne. I że w rozmytym, przefiltrowanym przez pustynny kurz świetle słonecznym niektóre ni z tego, ni z owego potrafią błysnąć miedzianym blaskiem.

– Auu. – To nie mogło boleć, wcale nie musiała przechylać głowy ku ramieniu i przywoływać na twarz szczerej skruchy małej psotnicy, targanej za warkocz. – No już dobrze!

Więcej nie będę! Nakłamałam. To za ciebie mam płacić.

Końcówka zabrzmiała trochę inaczej. Jakby... z zakłopotaniem? Śmiała się, kpiła, ale...

– Za mnie? – Nawinałem na pięść kolejny zwój jej włosów. Nie miała ich aż tak długich, nie zamierzałem zmuszać jej do nadwerężania szyi, więc siłą rzeczy to dłoń poszła wyżej, spotkała się z uchem i policzkiem Kaśki.

– Czułam, że ten kit z wywiadem nie przejdzie. – Nie robiła nic, by się pozbyć mej dłoni z policzka, ale unikała kontaktu wzrokowego. – No więc zaproponowałam poważną rozmowę na osobności. O tobie.

– O mnie?

– Zapomniałeś? Lecimy na siebie. Trochę podkoloryzowałam. Że niby nie jestem tu przypadkiem, tylko tak się stęskniłam, no i... Zażądałam, by się od ciebie odczepiła.

– Co? – Nadal nie wierzyłem.

– Staęło na tym, że cię wykupię. Dwa kawałki i ci nie da, choćbyś błagał i buty lizał. – Moja dłoń nie opadła tylko dlatego, że ugrzęzła w gąszczu włosów. – No co? Za tanio?

Przepraszam. Ale nie chciałam przesadzić. Niby jak mam was sprawdzać z Warszawy? Mogła wziąć forszę i nie wyłazić z twojego łóżka. To rozsądna cena. Zapytałam, ile może na tobie zarobić, rzuciłam tymi dwoma kawałkami, nie polemizowała, więc... – Wzięła się w garść, skrzywiła usta w kpiącym uśmiechu. – Co, urażony? Za niska wycena?

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Parę drobin żwiru zabębniło o metal gdzieś za moimi plecami.

– Chyba was rozgryzłem – rozległ się nie bardzo radosny, ale też niespecjalnie gniewny, męski głos. – Ona już wie, prawda? Wypaplałeś?

Odrzuciłem się powoli. Szamocki, równie niespiesznie, zszedł do wykopu. Był w bluzie, ale bez pasa i broni. Nieważne. Trochę oszukiwałem Kaśkę, jednak naprawdę czułbym się zaskoczony, gdyby Numer Siódmy, kimkolwiek się okaże, wpadł tu i zaczął strzelać, krzycząc o zdradzie. Pociłem się raczej na myśl o rozmowie, która nastąpi, gdy odkryjemy karty. I oto okazało się, że pociłem się za słabo.

Porucznik Cezary Szamocki. Akurat on. Ostatnia osoba, którą podejrzewałem.

Oparł się o fundament słupa, wetknął dłonie w kieszenie i przyglądał się, jak kręcę z niedowierzaniem głową.

– Spacerujemy. – Kaśka próbowała robić dobrą minę do złej gry. Może nie dosłyszała, co powiedział.

– Dobrze, że nie trotyłem – zignorował ją, wskazując mi wzrokiem poszatkwane resztki kratownicy. – Co to miało być? Spektakularne wypowiedzenie umowy?

Był zbyt inteligentny, by łąć mu w żywe oczy.

– Chciałem zobaczyć, kto przyjdzie.

– Droga metoda. Chudzyński się wkurwi.

Nie wyglądał na złego czy choćby zdenerwowanego. Być może to zachęciło Kaśkę.

– Ty też...? – wskazała najbliższą z kratownic. Skinął głową. – Można wiedzieć dlaczego?

– Napiesz o tym? – uśmiechnął się lekko.

– Nie wiem – rzuciła prowokacyjnie. – Może.

– Nie napiszesz – odpowiedział sam sobie. – Chyba że do szuflady. – Patrzył jej przez chwilę w oczy, bez triumfu, raczej ze smutkiem. – Straciłaś pracę.

Już od kilkunastu lat Polaków nie bawią takie teksty. Nie zdziwiłem się, widząc, jak drętwieje jej twarz.

– To groźba?

– Powtarzam tylko, czego się dowiedziałem. Doktor właśnie dzwonił. Sprawdził cię.

Wszystkich nas posprawdzał; to podstawa w biznesie. Ma w Polsce detektywa. Z całym biurem chyba, skoro tak szybko... Prześwietlił cię, Kasia. Na wylot. Wie, że twój pierwszy artykuł wylądował w koszu. Już nie pracujesz w „Jagience”.

– Nie wierzę ci – powiedziała, siląc się na spokój.

– Też bym nie wierzył. Za szybko się dowiedzieliśmy. Ale jak się płaci tysiącami i wynajmuje fachowców, to przy odrobinie szczęścia... Przesłali Chudzyńskiemu kopię tekstu. – Zmarszczył czoło, uruchamiając pamięć. – Zaczyna się od Okęcia. Chlapa, może w Azji będzie cieplej. Któryś z dziennikarzy żartuje, że lecicie ruską maszyną i jak sama nie spadnie, to przynajmniej was nie zestrzelą, bo się nie kojarzy z NATO. Boisz się. Na kolację pierogi, znów pewnie dla uniknięcia natowskich skojarzeń. Borowcy łążą po samolocie bez marynarek, widać, że są w kamizelkach...

– Wystarczy.

Była dwa razy bardziej spocona. I blada zarazem.

Zrozumiałem, że niemal cytował.

– To szło pocztą elektroniczną – wzruszyłem ramionami. – Byle haker...

Utknąłem. Zdałem sobie sprawę, że plotę bzdury. Z ludzi łatwiej wyciąga się informacje.

A w każdym razie taniej.

– Możesz zadzwonić – popatrzył w jej nieruchome oczy. – Ale chyba nie warto. Detektyw dotarł też do Ewy. Przyjaciółka Kaśki – wyjaśnił mi łaskawie. – Mieszkają razem. Dowiedział się, że ta posada wisiała na włosku. Że jeszcze parę tygodni temu byłaś w kompletnym dołku, bez forsy... mam mówić dalej?

– To żaden dowód – mruknąłem.

– Szefowa jej nie lubi. – Przeniósł spojrzenie na mnie. Odniosłem wrażenie, że z litości dla kogoś, kogo nie bardzo chciał, a musiał flekować. – Był jakiś układ, dlatego zatrudniła Kaśkę.

Ale układ się zmienił. Detektyw nie wie czemu; za mało czasu. Wie, że rozpaczliwie potrzebowała oparcia. – Przerwał na chwilę. – Dała nawet ogłoszenie w biurze matrymonialnym.

Jakiś czas temu. I nic.

– Pieprzenie. – Próbowałem parsknąć pogardliwym śmiechem i nawet nieźle mi wyszło.

Może dlatego, że jeszcze bardziej niż on starałem się nie patrzeć na Kaśkę. – Niby skąd miałby to wiedzieć? Ten kit możesz sobie...

– „Ewka, wyjdę za pierwszego, który opłaci czynsz i kupi mi majtki raz na kwartał”.

Nie naśladował kobiecego głosu, w jego spojrzeniu nie znalazłem ani odrobiny szyderstwa czy triumfu. Raczej zakłopotanie. Ale właśnie dlatego słyszałem Kaśkę.

Pewnie dokładnie tych słów użyła.

Pomyślałem, że za jednym zamachem straciła pracę i przyjaciółkę. Bo chyba kogoś więcej niż współlokatorkę.

Jej godności też się zdrowo dostało. Nie patrzyłem na nią. Mogła płakać.

– O czym my właściwie mówimy? – zdobyłem się na niedbały ton. Nie byłem pewien, które z nich dwojga staram się oszukać. – Coś ma z tego wynikać?

– Nie wiem. – Szamocki nie miał moich skrupułów i nie spuszczał wzroku ze świeżo upieczonej bezrobotnej. – Mam powtórzyć Kasi, że dyskrecja lepiej jej się opłaci.

– To groźba? – zapytałem cicho.

– Chyba tak. Chudzyński już dawno kazał mi wysondować, jak bardzo zależy ci na Ilonie.

Ją też sprawdzał. Świeżo upieczona rozwódka, syn Olaf, osiem lat, zgadza się? – Nie odpowiedziałem nawet najłżejszym gestem, zwłaszcza że poczułem na policzku spojrzenie Kaśki. Chyba zaskoczone, a już na pewno badawcze. – Taka sobie partia na żonę, zdaniem doktora. I biedna jak mysz kościelna. Oglądał jej zdjęcia. Podobno ani młoda, ani szczególnie ładna. Zgrabna i tyle.

– Co mu powiedziałeś? – Ja powiedziałbym, żeby się wybrał do okulisty. „Ani szczególnie ładna”?! Kretyn, kurwa. Ślepy, durny kretyn. Żaden tam okulista – producent białych lasek od razu!

– Prawdę. – Czarek uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie znasz prawdy. A Ilony nawet na zdjęciu nie widziałeś.

– Ale ciebie znam. A przynajmniej – zerknął wymownie na Kaśkę – tak mi się zdawało.

– No właśnie: zdawało ci się. Nawet z nią nie spałem. Z Iloną – dodałem, mimo iż czułem, że brzmi to idiotycznie i psuję cały efekt. – Po prostu... znam ją. I tyle.

– A z Kasią po prostu suszycie majtki na jednym sznurku. W porządku, ja to kupuję.

Pamiętaj tylko, że nie ja rządę. – Uciekł ze spojrzeniem. – Chudzyński kazał ci powtórzyć w razie czego, że masz aż dwie dziewczyny do upilnowania. Więc ich pilnuj.

Odwrócił się i odszedł niespiesznym krokiem.

\*

Nic nie mówiła. Nawet nie patrzyła w moją stronę. Domyślałem się, co jej chodzi po głowie. Żle się domyślałem.

– Chcę zadzwonić – uniosła nagle twarz. – Do domu.

– Co?

– Muszę pomówić z Zosią. Z córką.

– Wiem, kto to jest Zosia. Ale...

– Nie wiesz. – Stała bokiem do wiatru, z zamkniętym lewym okiem, wystawionym na piaskową chłostę. Skrzywiona, obca. Nie umiałem przeniknąć jej myśli. – Nic nie wiesz.

– Kasia, nie możesz teraz...

– Właśnie teraz muszę. I albo mi to załatwisz, albo zacznę krzyczeć. Słyszysz? Zacznę krzyczeć. Przysięgam.

Nie doszliśmy jeszcze do wschodniej ściany Szóstki, wiało jak cholera. Gdybym chciał, mógłbym złapać ją za gardło, udusić, pościerać odciski palców i spokojnie wrócić na kwaterę.

Wątpliwe, by ktoś coś zauważył. Takie to było miejsce. Nie dla kobiet.

– Nie dotarło do ciebie? Mają nas w garści.

– Chcę pomówić z córką.

Stała z zaciśniętymi pięściami, wiatr łopotał dołem sukienki niczym bojowym sztandarem. Może i zdołałbym ją udusić, ale wcześniej pewnie wydrapałaby mi oczy. Była zdesperowana i znowu cholernie ładna. I nie żartowała. Ilona powiedziała kiedyś, że nie przeżyje jednego dnia, jeśli Olafowi coś się stanie. Że zabiłaby każdego, kto stanąłby między nimi. I też nie żartowała.

Były całkiem inne, a czasami takie podobne... To dlatego tak mnie wzięło? Bo po raz pierwszy spotkałem kogoś, kto, teoretycznie przynajmniej, mógł od biedy zastąpić Tę Jedyńą?

– Szamocki poszedł do dyżurki. Będzie sikał przez okno, a od radia nie odejdzie. Niby jak to sobie...?

– Powiedz mu, że mnie kochasz.

Próbowałem sobie przypomnieć kogoś, kto równie agresywnie zażądał deklaracji miłości.

Bez powodzenia: parę tysięcy obejrzanych filmów to widocznie za mało.

– Słucham?!

– Stara miłość. Pierwsza. Ale pokłóciliśmy się o jakąś bzdurę, na złość przespałam się z innym, zaszłam w ciążę. Ty gówniary nienawidzisz, bo nas rozdzieliła, ale mnie nadal kochasz. I teraz, jak się rozeszłam z mężem...

– Kaśka, odbiło ci?!

– Bo co: Ilona? Nie bój się: Szamocki to też facet. Zrozumie. Nawet dziewczyna może kochać jednego, a dmuchać się z innym, żeby jakoś przeczekać do lepszych czasów. Faceci mają to we krwi. Standard. Uwierzy, że ci odbiło na moim punkcie. Podobam mu się.

– Co? – Czułem, jak wiatr wpycha mi ziarna piasku do rozdziawionej gęby. Nie nadążałem za nią.

– To przez ten post – machnęła dłonią, wskazując wprawdzie stołówkę, ale mając zapewne na myśli otaczającą nas pustynię. – Nie mówię, że mnie przeleci, jak skinę głową. Ma rodzinę.

Ale wrażenie na nim robię. Więc uwierzy, że na tobie też mogę.

Przekonała mnie. To znaczy: w tej kwestii.

– Ale co to ma do rzeczy?

– Kochamy się, chcemy być razem. I oboje jesteśmy tutaj. Czyli nie wykombinujemy żadnego paskudnego numeru, bo na każde z nas mają zakładnika. Tu, na miejscu. Najlepszy zakładnik to ten pod ręką.

– Nie dopuści cię do radia.

– Też ma córkę. Dopuści. Tylko musisz mu wmówić, że mnie kochasz. Słyszysz? Jesteś mi to winien. Ty mnie w to gównie wpakowałeś. Jesteś mi winien jedno małe kłamstwo.

\*

– A Ilona?

– Co: Ilona?

– Adam, jak sobie popijesz, to zaczynasz o niej mówić, a jak o niej mówisz, to prawie płaczesz. Dosłownie, chłopie: masz mokro w oczach. W ostatnią niedzielę pisałeś list. Zacząłeś po śniadaniu, a przed kolacją jeszcze cię z długopisem widziałem. Nie wciskaj mi, że to dla ciebie taka sobie zwykła panienka. Zwłaszcza teraz.

– Dlaczego zwłaszcza?

– Bo się dowiedziałem, że ma dzieciaka.

– A co ma do tego jej dzieciak?

– To, że się nim nie chwaliłeś. I słusznie. Z cudzymi dziećmi bywają problemy. I z ich mamami. Zawsze będziesz drugi w kolejce. Olaf, długa przerwa, ty.

– No i sam widzisz – rzuciłem triumfalnie.

– Kaśka też ma dziecko.

Miałem ochotę nakłaść samemu sobie po pysku.

– Wiem – rzuciłem przez zęby. – Kurewsko dobrze wiem. To właśnie przez tę małą... Ale wziąłbym wtedy obie. Miesiąc później już bym wziął. Tyle że zdążyła się hajtnąć. Żeby się tatuś nie rozmyślił, a ksiądz stuła przez brzuch dosięgnął. Potem dobrze im się układało, nie miałem szansy. A teraz znów mam.

– A Ilona? – powtórzył.

– Ilona mnie olewa. Lubi, i nic poza tym.

– Dzwonisz do niej.

– Mamy limit darmowych rozmów. Szkoda zmarnować.

– Zwłaszcza, że to najładniejsza dziewczyna w Stargardzie. I okolicach. A właściwie na kuli ziemskiej.

Zrozumiałem, że mnie cytuje. Nawet przypominałem sobie mgliście tamtą rozmowę.

Miałem potem potężnego kaca. Czyli mógł się niejednego nasłuchać.

– Bo jest – wzruszyłem ramionami. – Jeśli pominąć Kaškę.

– Farciarz. Wyhaczyłeś wszystko, co najlepsze.

– Nie wszystko. O Ilonie mogę sobie pomarzyć. Ja jestem na misji, ona czasem pisze o naszych chłopcach w Iraku czy Turkmenistanie. Więc współpracujemy. I tyle.

– Daj sobie z nimi spokój. Z obiema. Jak dobrze pójdzie, będziesz bogaty. Lepsze dziewczyny ustawią się w kolejce. Dziesięć lat mniej, zero dzieci.

– A jak pójdzie źle?

– Pytasz o seks? Albo chłopaki, albo robaki. – Chyba doszukał się pytania w moim wzroku, bo dodał: – O nas wszystkich mówię. Ktoś zacznie strzelać i...

Miał rację. Niby rozumiałem od samego początku, ile ryzykujemy, ale czasem potrzebny jest taki lodowaty prysznic. Zdałem sobie sprawę, o co tak naprawdę prosi Kaška. To mógł być ich ostatni raz.

– Pozwól jej pogadać z małą – popatrzyłem mu w oczy.

– Chudzyński mnie zabije – uśmiechnął się blado.

– Stój obok, słuchaj. Dobrze wiesz, że niczego nie ryzykujemy. Jest matka. Chce po prostu...

– Ryzykujemy? – przerwał mi. – My? Czy to znaczy, że dalej jesteś z nami?

Nie powiem, bym przygotował się do tej rozmowy. Kaškę nosiło, bałem się, że pogna do dyżurki i zacznie tłuc każdego, kto stanie między nią a terminalem. Ale to jedno zdążyłem sobie przemyśleć.

– Dopiero teraz jestem z wami. Dopiero teraz.



## Rozdział 12

Wróciła późno. Wiedziałem, że to wina kolejki do łącza satelitarnego: Wojsko Polskie oszczędzało, na czym się da, i w takie jak to, melancholijne weekendowe popołudnie, gdy stęsknieni żołnierze pchali się do aparatów, trzeba było odczekać swoje. Czekala więc. Najpierw przed dyżurką – widziałem ją raz i drugi przez okno – potem, gdy wywiało z niej nadwyżki złości, pewnie w środku. Położyłem się w butach na łóżku, zamknąłem oczy i próbowałem wmówić sobie, że wszystko skończy się dobrze.

Od rana nikt nie odsłonił okna, dmuchało, barak numer 3 zasłaniał te resztki dziennego światła, które przenikały przez tumany kurzu. No i nie miałem odwagi patrzeć w jej stronę.

Dopiero kiedy po raz drugi pociągnęła nosem, zdałem sobie sprawę, że płaczę.

– Kasia? – Przycupnęła na brzegu łóżka Grzywacza: skulona bryłka nieszczęścia. – Co się stało?

– Nie... nie dzwoniłam.

Wstałem, podszedłem do niej. Nie uniosła głowy.

– Nie pozwolił ci? – Zanim dłonie zacisnęły się w pięści, rozsądek przebił się do głosu. – Bruszczak?

BWP wrócił całe wieki temu, ale byłem zbyt zdołowany, by zaprzętać sobie nim głowę.

Dopiero teraz przyszło mi na myśl, że kręcący się po dyżurce porucznik może być z punktu widzenia Szamockiego niepożądanym świadkiem rozmowy matki z córką. Nagły atak płaczu, jedno „kocham cię” za dużo, mogły zaintrygować dowódcę, a Kaśka, gdyby jej już puściły nerwy, mogła zacząć mówić.

– Czekaliśmy na dostęp i... Jak w końcu... – Przykucnąłem na wprost jej kolan, próbując zajrzeć pod grzywkę. – Powiedział, żeby podać numer. I ja... uciekłam. – Uniosła twarz. Policzki miała suche, ale oczy faktycznie pełne łez. – Adam, proszę cię. Proszę, Adaś...

Nie brałem jej za dłonie: to one same poszukały schronienia w moich.

– Ale dlaczego? Co się stało?

– Nie narażaj jej. Nie mogłabym żyć, gdyby... – Głos jej trochę drżał, ale teraz, gdy nadeszła pora działania, generalnie wzięła się w garść. – Obiecuj mi, że nie zrobisz Zosi krzywdy.

Obiecuj mi to.

Za ścianą, porykując na niskim biegu, przesuwał się któryś z bewupów. Dobrze. Mogłem mówić głośniejsze, dzięki czemu to, co mówiłem, brzmiało bardziej stanowczo.

– Nikt jej nie tknie. Założę się, że nawet nie pomyśleli... Nie słyszałaś? On nawet nam nie groził, a co dopiero... Po prostu nas sprawdzali. Ciebie i mnie. Czy jesteśmy na tyle blisko, że będziesz mnie kryła. I czy dasz się kupić. Więc Szamocki pochwalił się wiedzą. Zrozum: to nie

mafia. Trafił się klient, chcą opchnąć trochę towaru z państwowego magazynu. Połowa Polaków to robi, jeśli nadarzy się okazja. Po PRL-u nam zostało, zaborach. A teraz jeszcze po tej złodziejskiej prywatyzacji. Ale krzywdzić dziecko? – Odczekałem chwilę i dodałem z bladym uśmiechem: – Mogłaś z nią spokojnie pomówić.

Popatrzyła na mnie z nadzieją i wahaniem przebijającym się spod łez. Potem jej spojrzenie powędrowało do tyłu, ku workowej ścianie oddzielającej nas od magazynu. Wstała nieoczekiwanie i nie puszczając mej ręki, ruszyła do drzwi. Wyszliśmy przed barak. Powlokłaby mnie dalej, na środek placu oddzielającego oba szeregi budynków, ale na szczęście akurat pośrodku zaparkował wóz dyżurny. Jego prawy błotnik niemal ocierał się o słup masztu flagowego. Silnik terkotał na jałowym biegu.

– Nie przesadzaj. Nikt nas nie podsłuchuje.

– Łatwo ci mówić. Nie masz dzieci. – Nie próbowałem dyskutować, i dobrze zrobiłem. – Przepraszam. Ale matkowanie ogłupia. Nic, tylko się boisz, wyobrażasz Bóg wie co. – Odetchnęła głębiej. – Jest z Tomkiem. Nasze mieszkanie przepadło, nowego nie kupił... Nie tak łatwo ich znaleźć. Pomyślałam, że jak podam numer, to ci twoi kumple dojdą po nim do Zosi. A może jeszcze nie doszli.

– Rozumiem. – Nie powinienem tego mówić, ale należało jej się. – Mądrze zrobiłaś. – Posłała mi czujne spojrzenie. – Dmuchanie na zimne nikomu nie zaszkodzi. Nic jej nie grozi, ale dla własnego spokoju...

Milczała przez chwilę. Po drugiej stronie placu ktoś zamykał i otwierał drzwi Piątki.

Chyba trzeci raz z rzędu. Pewnie z winy wiatru. Dmuchało na tyle mocno, że nie potrafiłem rozpoznać, kto to taki. Zresztą gogle, kapelusz...

– Mnie zaszkodziło – powiedziała cicho Kaśka. – Palec bym sobie ucięła, żeby z nią choć przez chwilę... Najchętniej bym się urznęła do nieprzytomności.

– Nie mamy czym – uśmiechnąłem się blado.

– Nie bój się, nawet gdyby było... Muszę być trzeźwa.

Człowiek w goglach i kapeluszu wykonał ruch, jakby wycierał szmatką powierzchnię drzwi, obejrzał się, znieruchomiał na moment. Dopiero teraz zauważyłem, że w drugiej dłoni, blisko twarzy, trzyma coś, co wygląda na doręcznego radmora. Pewnie któryś z nowicjuszy.

Jedna z instrukcji żołnierskiego BHP mówiła, by podczas burz piaskowych nie oddalać się od miejsc zakwaterowania bez nadajnika.

– Chodź – pociągnąłem ją lekko. – Bo oślepniesz od tego kurzu.

Ten z naprzeciwka też zrejterował przed niesionym z pustyni tumanem. Wróciliśmy do baraku.

\*

Leżała na łóżku Grzywacza i udawała, że śpi. Albo i nie udawała: czułem, że sobie

pochlebiam, wiążąc tę ucieczkę pod tarcze powiek ze swoją osobą. Chciałem położyć się obok – choć tyle – ale nie uzbierałem dostatecznie wiele odwagi.

Obcy człowiek. Sprężyny łóżka zaskrzypiałyby pod moim ciężarem, a ona uniosłaby powieki i...

Nie znalazłbym pod nimi ciepła.

Wziąłem ręcznik, poszedłem pod natrysk. Ogoiliłem się czort wie po co, wyszedłem przed barak. Minęła osiemnasta, Sławek powinien zaczynać następną dwugodzinną kolejkę. Mrużąc oczy, odszukałem rozmazaną pylastą otoczką sylwetkę bewupa: stał za wykopem, w miejscu, skąd wzrok sięgał dalej.

Ruszyłem w tamtą stronę.

Sławek wyjrzał z wieży i śledził mnie spojrzeniem na dystansie dobrych pięćdziesięciu metrów. Mimo wiatru w oczy i jednoznacznej instrukcji Bruszcza, który zabronił wychylania spod pancerza choćby czubka palca.

Wszedłem do środka przez tylne drzwi. Czekał już na końcu ławki, obok złożonego oparcia fotela dowódcy.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nic.

Siedzieliśmy w milczeniu. Niesiony wiatrem piasek szeleścił cichutko, trąc o pancerz.

– Był ranny – mruknął. – Ten facet od Młynarczyka, wiesz... W nogę. Miał opatrunek.

– Daleko stąd go dopadł?

– No. Ze trzy kilometry, kawałek od drogi. W wąwozie. Niezła kryjówka i bronić się można. Ale chyba nie walczył. Nie znaleźliśmy broni ani łusek.

– Młynarczyk mówi, że snajper nie jest od walki, tylko od zabijania. – Znow pomilczeliśmy sobie niewesoło. – Przywieźliście ciało?

– Brus kazał zakopać. Niby że tutejsi zabrali zwłoki. Jeśli się rozejdzie, jaki numer ten świr wykręcił, można będzie przynajmniej mówić, że miał rację. Był trup, nie ma trupa, ślad się urywa. A tak to mamy chociaż twarz.

– On jest z nami?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Młynarczyk?

– No tak – zgodziłem się. – Nie robi się czegoś takiego tuż przed skokiem stulecia.

Żandarmów mamy teraz jak w banku. – Zrobiłem sobie następną przerwę. – Cholera. Mam nadzieję, że doktor uwzględnił go w swoim planie. Nie chciałbym mieć go przeciw sobie.

– Za tydzień idzie na urlop. – Westchnął, po czym uśmiechnął się blado. – To pewnie wtedy... Nie martw się. Uda nam się. A tobie odpadnie kłopot.

Był zbyt delikatny, by nazwać ten kłopot po imieniu. Albo zbyt zdezorientowany. Dwa razy

wyżebrałem jego kolejkę przy łączu do Polski. Oddawałem potem swoje, nawet z nawiązką, ale te dwa razy to było właśnie zebranie, nie rzeczowa propozycja zamiany, i pewnie doskonale to zapamiętał. Musiałem usłyszeć głos Ilony. Poszukać w nim nutek radości, nakarmić zdychające z głodu złudzenia. Widział mnie wtedy. Oglądał faceta jak na narkotykowym głodzie.

A teraz zobaczył damskie figi suszące się obok moich i miał pewnie mętlik w głowie.

Ja oczywiście miałem dziesięć razy większy.

– Sławek... Kiedy chcą to zrobić?

– Wiem, co ja mam robić. I tyle. A ty nie? – Wzruszyłem ramionami. – No to się nie przejmuj. Na pewno nie dziś. Uprzedziliby cię. Pewnie przyszły tydzień. Dawno jej tu nie będzie.

– Ale póki co... – wskazałem wzrokiem stanowisko kierowcy. – Dasz się przejechać?

\*

– Co mam robić? – zapytała z niedowierzaniem.

– Masz prawo jazdy, prawda?

– Pięś coś? – uniosła się na łokciu i poszukała wzrokiem butelki. – Teraz mam sobie urządzić przejażdżki czołgiem?! Teraz?!

– Bewupem. – Bez pośpiechu, ale stanowczo, zsunąłem z niej koc. W baraku wciąż było ciepło, widocznie jednak zmarzła w swojej zwiewnej sukience i kiedy wróciłem, leżała przykryta aż po brodę. Przemknęło mi przez głowę, że gdybym tam, pod spodem, znalazł nagie ramiona i stanik, mógłbym go po prostu odpiąć, wleźć pod koc i kochać się z Kaśką. Może nawet byłaby mi wdzięczna. Nie rozebrała się, niestety.

– Jeden pies – warknęła.

– W bewupie jest wolant. Prawie kierownica. Reszta też podobna jak w zwykłym samochodzie. Pół godziny ćwiczeń i od biedy będziesz umiała jeździć. Wstawaj. – Na seks nie było raczej szans, ale mogłem przynajmniej wepchnąć rękę pod jej plecy, posadzić na łóżku coś tak przyjemnie ciepłego.

– Odbiło ci?!

– To jedyny pojazd, którym w razie czego możesz stąd zwać.

– Zwać? Chcesz, żebym...?

– Nic nie chcę. To tylko tak, na wszelki wypadek. I tak nie masz nic do roboty. No, chodź.

Będziecie trochę bezpieczniejsze. Obie.

Nie zapytała z przekąsem: „ja i Ilona?”. Usiadła na brzegu łóżka i zaczęła zapinać sandały. Na bosych stopach, które były brudne, a które mimo to wolała trzymać w łóżku całkiem obcego faceta.

\*

Nikogo nie przejechała, bo nadal wiało i nikt nie wychylał nosa z baraków czy schronów.

Nie skasowała masztu, choć zabrakło jej raptem ćwierć metra. Budynek przetrwał, ponieważ

między nimi a kanałem mieliśmy dobre cztery hektary pustego placu i nawet najgorszy kierowca świata zdążyłby przypomnieć sobie, jak się skręca i czym hamuje.

No i, prawdę mówiąc, nie była najgorszym kierowcą świata. Maszt znalazł się w opałach właśnie dlatego, że okazała się nadspodziewanie dobra i Sławek pozwolił jej zasuwac na czwórce w stronę bramy. Jeździliśmy na peryskopach, trochę dla wyrobienia nawyku, trochę z obawy przed Bruszczakiem, który mógł wyleźć z baraku, przebić się wzrokiem przez barierę kurzu, gogli i hełmofonu i zapytać, co do cholery, robi jakaś baba za wolantem jego wozu. Świat oglądany przez peryskopy nawet przy dobrej pogodzie wygląda inaczej, i Kaśkę wyraźnie zawiodło wyczucie perspektywy.

Żaden z nas nie skomentował wpadki z masztem. Może dlatego, że okazała się jedyną, ale raczej z powodu naszej kursantki, która sama wyskoczyła od razu z kawałem o blondynkach za kierownicą.

Śmiała się, słyszałem to w jej głosie. Przez chwilę była podnieconą, zafascynowaną nowym doznaniem dziewczynką i nie powiedziałbym jej złego słowa, nawet gdyby ścięła maszt, rozwalila szlaban, a potem przejechała przez wszystkie sześć baraków po kolei.

Siedziałem w wieży i też próbowałem się uśmiechać. Odpłaciła mi lekcją za lekcję, nauczyła czegoś nowego. Chcesz oglądać blask zachwyty w oczach kobiety? Zafunduj jej jazdę odpowiednio ekstrawagancką bryką. Daruj sobie uczucia, słowa wypowiedane łamiącym się głosem, pocałunki. Po prostu daj kluczyki z odpowiednio bajeranckim breloczkiem.

Śmiały się z nas i nazywały samochody przedłużaczami penisów. Miały rację. Tyle że tak naprawdę śmiały się z siebie, głupie dziwki. To nie facetowi potrzebny jest do szczęścia długi penis.

Byłem na nią zły. Rozpędzała bewupa do sześćdziesiątki po kwadransie szkolenia, ani razu nie zdławiła silnika, po paru nieudanych próbach omijała każdą wskazaną kępę trawy z właściwej strony. Miała szczuplejsze, niż myślałem, kostki, zaraźliwy śmiech i oczy jak sarenka z filmów Disneya. Stawała się coraz doskonalsza. W tej chwili prawie doścignęła Ilonę. Prawie.

– Kończymy. – Nie wiedziałem, czyim przedłużaczem miałby być trzynastotonowy BWP, ale i tak byłem zazdrosny, więc skorzystałem z pierwszego lepszego pretekstu. – Zaraz kolacja; jeszcze kogoś rozjedziesz.

– Ostatnie kółko – zgodziła się głosem tak pogodnym, że mało mnie nie zemdlilo.

Gdybym ściągnął z niej majtki zamiast koca, pewnie nie byłyby teraz nawet w połowie tak zrelaksowana.

Nie myślała o Zosi, nie myślała o mnie. Może dobrze się stało, bo chwilami piaskowy tuman dosłownie zasypywał peryskopy i moment roztargnienia mógł nas słono kosztować. Nas i chyba całą bazę.

Tuż przed szlabanem, jak królik z kapelusza, z burego obłoku wyłonił się znajomy pysk ciągnika siodłowego marki MAN. Zakręciliśmy, więc gdyby spóźniła się z hamowaniem, dostałby gdzieś za szoferką, w miejscu, gdzie kończyły się zbiorniki, a zaczynała platforma z paletami amunicji. Były osłonięte plandeką z kuloodpornego kompozytu, i przeciętny użytkownik turkmeńskich dróg nie domyśliłby się pewnie, jakie paskudztwo mija, ale ja widziałem zbyt wiele podobnych transportów, by skwitować ostre hamowanie Kaśki żarciem o zdartym lakierze. Trochę mnie zmroziło.

– Oj... A to co znowu?

Była raczej zaintrygowana niż skruszona. Sławek odpowiedział dopiero po paru sekundach. Dzięki przepuszczeniu przez interkom jego głos brzmiał w miarę beznamiętnie.

– Robota na jutro.

Miał rację: kołowy transporter z trałem magnetycznym zawracał sprzed bramy, trzy bewupy eskorty już zawróciły. Cała gromadka odjechała, nim kierowca MAN-a wprowadził ciągnik między Czwórkę a barak żołnierski.

– Jeszcze jedna rundka – mruknąłem. – Wsiądziemy z tyłu. Lepiej, żeby nikt cię nie widział.

\*

Nie poszliśmy na kolację. Zaraz po jeździe Kaśka dobiła mnie do reszty, zdejmując sandały i wślizgując się pod koc. Jakby nie było tej godziny, paru żartobliwo-trwożliwych dziewczęcych pisków, dowcipów o babach za kierownicą. Stuk drzwi, z twarzy znika całe ożywienie, błada cierpiętница kładzie się do łóżka, nie oglądając się na coraz bardziej wygniecioną sukienkę i coraz brudniejsze pięty.

Usiadłem tyłem do łóżka Grzywacza, włączyłem lampkę, wyjąłem notatki i zacząłem sprawdzać, czy dźwigary wytrzymają. Po raz setny, ale nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. Od kalkulatora oderwał mnie zgrzyt zawiasów.

– Nie przeszkadzam. – Szamocki posłał wymowny uśmiech w stronę zajętego łóżka. – Oddaję i już mnie nie ma.

Położył na stole mały aparat fotograficzny i faktycznie wyniósł się błyskawicznie. Przez chwilę spoglądałem tępo na srebrne cacko.

– Pożyczył – dobiegł z tyłu stłumiony głos Kaśki. – Jak się kąpałeś.

No proszę: zauważyła. Ciekawe, czy pociągnęła myśl dalej i zadała sobie pytanie, po jaką cholere włązę pod prysznic w środku dnia.

– To twój?

– Mam dwa. Ten jest cyfrowy.

Przypomniało mi się, co Młynarczyk mówił o identyfikacji zwłok.

– I dobrze – uśmiechnąłem się blade. – Bruszcak musiał uznać, że nie zatuszuje tego

numeru z obciętą głową. Czyli niedziela upłynie pod znakiem żandarmerii. No i ta ciężarówka z amunicją... Pewnie zafundują nam nocny rozładunek. Tak czy tak ze skoku nici. Będziesz mogła bezpiecznie wyjechać.

Zmierchało, a jedno okienko na takie duże pomieszczenie to tyle co nic. Patrzyła na mnie i tylko tyle udawało mi się wyłowić z półmroku. Blask lampki jedynie pogłębiał zalegającą po kątach czerń.

– Tak będzie lepiej – powiedziała cicho.

– Pewnie.

– Jestem jak kula u nogi. A ty będziesz potrzebował... no, musisz się maksymalnie sprężyć. – Miała rację, ale nie potrafiłem jej tego powiedzieć. Chyba uśmiechnęła się i chyba był to smutny uśmiech. – Prześpij się. To pomaga.

## Rozdział 13

Nie wiem, co mnie zbudziło. Raczej nie generator. Zdążyłem sprawdzić, że minęła północ, przypomnieć sobie, dlaczego śpię w ubraniu, i nawet ponasłuchiwać przez chwilę w nadziei, że winowajczyni obniży chrapaniem swoje wysokie notowania. Leżała na wznak i miała parę kilo nadwagi. Gdzieś chyba wyczytałem, że grubszy częściej chrapią.

Ona nie chrapała. Podle i okrutnie ocierała się o doskonałość. Upewniłem się w tej kwestii i dopiero wtedy dotarło do mnie, że przez cały czas musiałem odfiltrowywać terkot silnika, dobiegający od strony baraku numer 3.

Generator warczał tak całymi dniami i po pewnym czasie człowiek przestawał go słyszeć – ale noce to co innego.

Leżałem jeszcze chwilę. Próbowałem zasnąć. Bez przekonania, bo nie upilnowałem myśli, zahaczyły o Ilonę i teraz musiałem się pomęczyć przynajmniej z godzinę. Czasem trwało to do świtu, ale krócej niż godzinę chyba nigdy.

Usiadłem na łóżku, wciągnąłem buty, nie sznurowując ich, poszedłem po pastę i szczoteczkę do zębów. Nie starałem się hałasować, miałem jednak cichą nadzieję, że Kaśka obudzi się, popatrzy w moją stronę i bez słowa uniesie koc.

Noc to pora naiwnych marzeń.

Wyszedłem z baraku. Było zimno, głośno i ciemno. Coś się nie zgadzało, ale aż do drzwi łazienki głowę miałem zaprzątniętą odwiecznym pytaniem, czy Ilona sypia w piżamie, czy koszuli, więc ignorowałem dyskretne dzwonki alarmowe.

Dopiero szukając po omacku włącznika światła, doznałem objawienia.

Światło. Mieliśmy w bazie jedną z kilku zaledwie wielkich terenowych ciężarówek, jakimi dysponował polski kontyngent, i wszystko wskazywało na to, że dowództwo zażąda jak najszybszego jej zwrotu. Czyli, inaczej mówiąc, nocnego rozładunku. Nic nowego – ciągników siodłowych naprawdę rozpaczliwie brakowało i pamiętałem parę podobnych akcji.

Tyle że od blasku reflektorów aż oczy wtedy bolały.

Teraz żaden się nie palił. Standardowe nocne oświetlenie – i nic ponadto.

Zawróciłem przed próg. W dobrym momencie.

Zza narożnika Dwójki wyłoniła się rozmazana półmrokiem bryła wózka widłowego. Nie widziałem szczegółów, ale pełna skrzynek paleta to nie szczegół. Patrzyłem z niedowierzaniem, jak cichobieźna, napędzana gazem sztaplarka skręca przed wrota Piątki, nieruchomieje na chwilę i niemal od razu cofa się energicznym zrywem, lżejsza o kilkaset kilogramów przewożonego na widłach ładunku.

Nie wiem, dlaczego też zacząłem się cofać. To nie był strach. Nie bałem się, a już na pewno



nie o siebie, i na zdrowy rozum powinienem raczej ruszyć na południe, w stronę placu i drzwi swojej kwatery. Do Kaśki. Chyba zdecydowało usytuowanie wejścia do łazienki: bliżej północnego narożnika. Czulem, że muszę pomyśleć, a tam, za szczytową, spoglądającą ku pustyni ścianą, byłoby mi łatwiej.

Gdzieś na wschodzie ryknął uruchamiany silnik bojowego wozu piechoty. Nic nadzwyczajnego: najrzadziej raz na każdą zmianę dyżurny BWP miał obowiązek zmieniać pozycję.

Nie było powodu, by wartownik z północno-zachodniego schronu wyskakiwał nagle zza worków i gnał w tamtą stronę.

Znikł mi prawie od razu z oczu, przesłonięty narożnikiem baraku, ale chyba dopatrzyłem się czegoś nietypowego w przygarbionej sylwetce. Albo po prostu wpadłem w panikę.

Pobiegłem w kierunku workowego szańca.

Miał solidne ściany, dobrze wyprofilowane strzelnice i kupę amunicji w środku. Niekiedy czekał tam w pogotowiu karabin maszynowy, a dzięki końcówkom kabli, szkieciowi przedpoła i zapalارce można było stamtąd szybko odpalić kilkanaście różnego typu min, ulokowanych na strategicznych kierunkach. Schron budził zaufanie i pewnie dlatego pobiegłem akurat tam.

Nawet nie pomyślałem, że znajdę coś takiego.

Przy szlabanie paliła się latarnia. Jej blask wpadał przez północną strzelnicę, a ja nie zdążyłem użyć włącznika w łazience i wciąż dobrze widziałem po ciemku. Zorientowałem się więc od razu. Chyba nawet go rozpoznałem.

Szeregowy Kurzewski. Był pewnie równie blady jak tam, przy szlabanie, obok obciętej nożem ludzkiej głowy. Jego głowie też niewiele brakowało, by odpaść od ciała: pod podbródkiem ziały wilgotną czernią upiorne, drugie usta, wielkie jak radosna gęba któregoś z muppetów. Na ich dnie dopatrzyłem się nawet kręgosłupa. Rana nie mogła być aż tak głęboka – kołnierz kamizelki kuloodpornej utrudnia podrzynanie ludziom gardeł – ale tak to zapamiętałem.

Co było potem, zapamiętałem znacznie gorzej. Ocknąłem się przy narożniku Jedyнки, z karabinem w ręku. Kieszenie wypychały zapasowe magazynki, więc chyba nie zgłupiałem – po prostu wyłączył mi się jakiś obwód w mózgu.

Ruszyłem w poprzek placu. Beryla zwyczajnie niosłem: nie sprawdziłem nawet ustawienia bezpiecznika. Nie chciałem do nikogo strzelać. Chciałem się obudzić z koszmaru.

Sztaplarka znikła. BWP wyjeżdżał z otoczonego murkiem parkingu i dopiero widząc jego manewry, zdałem sobie sprawę, że to nie ten wyznaczony do dyżuru.

Poza tym było cicho i spokojnie.

Wszyscy spali. Kaśka spała, leżąc na wznak i nie chrapiąc. Ilona spała – może w piżamie, może w koszuli nocnej. A może nago, u boku szczęśliwca, który wpadł w oko Panu Bogu i wygrał główny los na najważniejszej z loterii.

Pomyślałem o niej i nagle poczułem ulgę.

Cokolwiek stanie się tej nocy, przyniesie zmianę. Kula w łeb przyniesie zmianę. Pół miliona złotych przyniesie zmianę. Cokolwiek się stanie, będzie inaczej, a to znaczyło, że będzie lepiej – bo gorzej być nie może.

Zrobiła z moim sercem to samo, co nóż z gardłem Kurzewskiego.

Skręciłem w stronę baraku numer 2. Nie biegłem. Jeśli to miała być kula, chciałem dać jej szansę.

Nikt nie strzelał. Wszedłem do środka, pochyliłem się nad łóżkiem Grzywacza.

– Kasia... Kasia, wstawaj. Kaśka!

– Co się...?

– Chyba się zaczęło. Ubieraj się.

Zostawiłem ją: miałem buty do zasznurowania, kamizelkę do włożenia, hełm. Włożyła pierwsze, co było pod ręką: tę jasną, pewnie cholernie wygniecioną sukienkę z ramiączkami jak sznurówki, i sandały. Pomyślałem, że będzie ją widać. Ale pomyślałem też, że tak jest lepiej.

Nikt nie strzelał świadomie do ładnych dziewczyn.

Pas, kabura, ładownica. Byłem gotów.

– Adam, ty skurwysynu... Jak mogłeś mi to...

Złapałem ją za łokieć, pociągnąłem. Umilkła. Nie była zła, tylko rozżalona.

Tym razem pobiegłem. Nie za szybko. Nie chciałem prowokować nerwowego strzału. Już nie byłem sam.

Na dworze też coś się zmieniło: paliło się kilka reflektorów. Wybrano te oświetlające Piątkę, więc prawie od razu dostrzegłem poruszającą się klamkę.

Ktoś próbował otworzyć drzwi baraku żołnierskiego. Bez powodzenia: ustawiona przed nimi paleta skutecznie blokowała i drzwi, i całe wrota. To były solidne, ruskie wrota z blachy jak na lekki czołg, ale wewnątrz siedziało czterech uzbrojonych chłopaków ze zmiany czuwającej, więc nie mogło się skończyć na jednej palecie.

Bojowy wóz piechoty numer 0311 – pierwsza drużyna, maszyna Bruszcza – zatrzymał się obok masztu. Nadjechał z wieżą obróconą w lewo, w kierunku Piątki. Kierowca prowadził z głową wychyloną z wjazdu i chyba nas zauważył, ale zostaliśmy zignorowani i wtedy, i potem, kiedy cofał pojazd. BWP drgnął, przesunął się kilkanaście centymetrów do tyłu, potem znów w przód, też zaledwie o centymetry.

Zatrzymałem się za narożnikiem Trójki, próbując zrozumieć, co jest grane. Nocna nauka precyzyjnego parkowania?

W jednym z okien Piątki zamajaczyła jasna plama twarzy. Albo człowiek-mucha, albo zdążyli ustawić stół i chyba dodatkowo taboret – naświetla były małe i biegły naprawdę wysoko nad ziemią. Na szczęście.

Huknął wystrzał, z okna posypało się szkło, a twarz znikła. Nie zauważyłem, skąd strzelano. Nieważne. Ważne, że kula rozwalila szybę dobre pół metra od jasnej plamy i jeśli ten z Piątki ucierpiał, to najwyżej od odprysków i upadku z wysokości dwóch metrów.

– Co się dzieje? – Robiło się głośno i Kaśka poczuła się zwolniona z obowiązku trzymania języka za zębami.

– Cicho – pchnąłem ją głębiej za narożnik i mocno ku ziemi. Trzymałem dobrze, więc przykucnęła, uciekając przed bólem, ale zaraz potem, fakt, że grzecznie, w przysiadzie, wychyliła się zza mego uda.

Nie próbowałem odpychać jej z powrotem. Od strony kanału nadjeżdżał następny BWP i zdałem sobie sprawę, że tu, gdzie się kryjemy, wcale nie musimy być dużo bezpieczniejsi. Czając się po kątach, mogliśmy dostać serią może i szybciej, niż spacerując środkiem placu. Robiło się nerwowo.

Kierowca pierwszego bewupa, tego spod masztu, wyskoczył nagle z wjazdu i wyrzucił kolanami o blachy w efekcie nieudanego susa na wieżę. Poderwał się jednak od razu i równie szybko znikł w czeluści stanowiska strzeleckiego. Dopiero teraz zauważyłem, że i tamten, wieżowy wjazd, od początku był otwarty. Ze stanowiska kierowcy można się przesiąść na fotel celowniczy, nie wychodząc z wozu, ale widocznie uznał, że tak będzie szybciej.

Drugi BWP włączył reflektor. Mignęła mi biała, zastygła w grymasie niedowierzania twarz Kaśki. Wóz przetoczył się kilkanaście metrów od nas, a zaraz potem zza niedokończonej ściany Szóstki, osłaniającej parking i trzeciego z naszych bewupów, wyskoczyła odziana na czarno postać. Miała karabin w ręku i gnała wprost na nas.

Pod masztem rozszczękał się kaem pierwszego bewupa. Przez chwilę widziałem iskry, odlatujące od chłostanej pociskami blachy, ale bardzo szybko deszcz stali wywalił we wrotach dziurę na tyle dużą, że kule przelatywały swobodnie, mknąc bez przeszkód w głąb baraku. Gdyby nie smugacze, nie widziałbym ich: karabin walił z uporem w jedno miejsce.

Nic z tego nie rozumiałem. Poza tym, że nie wolno strzelać do ubranego na czarno.

I faktycznie: kiedy wyhamował obok nas, spod kominiarki wyjrzała spocona twarz Szamockiego.

– Żadnych głupstw, Adam – rzucił na poły gniewnie, na poły prosząco. – Dobrze idzie. Nie spieprz tego.

– Dobrze idzie? – Mimo wszystko nadal miałem wrażenie uczestniczenia w realistycznym śnie i pewnie dlatego nie podniosłem głosu. – To dlaczego Kurzewski nie żyje?

– Co?! – Ich głosy zlały się w jeden. I wcale nie miałem pewności, które było pod większym wrażeniem. Zresztą nie za dobrze słyszałem: drugi bewup, 0313, ten z włączonym reflektorem, cofał się dokładnie wprost na nas. Zauważyłem następny otwarty wjazd, tym razem jednak z mniej anonimową głową. Razem z hełmofonem Patrycja musiała zedrzeć jakieś gumki, spinki czy temu

podobne, i połowa jasnych włosów rozsypała się jej po ramionach.

Znikła na chwilę, by pojawić się w lewych tylnych drzwiach i dopaść nas w trzech długich susach. Była w polowych spodniach i swetrze; cienką jak u osy talię przecinał pas z kaburą służbowego WIST-a. Odpiętą.

– Popierdoliło się, Czarek. – Dygotała z nerwów, ale mimo akompaniamentu dwóch silników, generatora i jakiegoś postukującego raz po raz karabinka, głos trzymała na wodzy. – W karty sobie, kurwa, grali. Trzech, masz pojęcie?

– Co?

– Umówiłam się z tym kutasem na laskę, a on kumpli zaprosił. Gówniarz jebany.

Szamocki popatrzył z niedowierzaniem na wschód. Z lekkim odchyleniem ku północy: schron stał w narożniku obozu.

– Popierdoliło się. – Patrycja skrzyżowała ramiona na piersi, jak ktoś, kto mocno zmarzł. – Musimy ich... Zgłupiałam z tego wszystkiego. Chwilę pogadaliśmy, dosłownie parę sekund.

Wyciągnęłam Grześkowiaka przed schron, mówię: „dobra, poobciążam, ale po kolei, no przecież nie trzem naraz”, a ten kretyn, Fornalski...

Zamilkła, wpatrzona w Kaškę. Jakby dopiero teraz zauważyła jej obecność. Ale specjalnie się nie dziwiłem. W obliczu wielkiej katastrofy łatwo przegapić następne. Wszystko się waliło. Tysiąc razy wyobrażałem sobie tę noc i doskonale wiedziałem, na czym możemy się przejechać.

– Co ta cipa tu robi?

Przed barakiem numer 5 eksplodował granat. Nikt nie strzelał, BWP już jakiś czas temu dał spokój drzwiom i właśnie ruszał spod masztu, więc wszyscy drgnęli.

– Pomaga. – Szamocki odciągnął Patrycję za narożnik, pchnął w miejsce, gdzie jej blond czupryna nie kłuła w oczy potencjalnych obrońców Piątki. – Co: Fornalski?

– Załatwił go. Jezu, parę sekund gadałam, wychodzimy, a on mu z paralizatora... No debil normalnie. A jeszcze głośno mówiłam, żeby się kapnął, że więcej ich tam siedzi... No i jak Grześkowiak walnął o glebę, musiałam wyjąć spluwę i... Bo co miałam robić?

– Powiedzieć, że zemdłał z rozkoszy.

Sam mało nie zemdlałem. Nigdy się nie lubiły, ale nie chciało mi się wierzyć, że Kaška może wyskoczyć z takim tekstem w takim momencie. Na południowym końcu Piątki coś się paliło, przez okno wyleciały dwa następne granaty, parę szyb wysypało się na zewnątrz w ramach przygotowywania stanowisk strzeleckich seriami z beryli. Ziemia zaczynała palić się nam pod nogami, a ta wariatka...

Należało jej się – i oberwała od razu. Patrycja też miała refleks. Tyle że zamiast ostrego języka użyła tępej pięści. Kaška dostała w policzek prawym sierpowym, rzuciło nią o mur, aż przykucnęła z twarzą skrytą w dłoniach.

– Dość – warknął Szamocki. – Zabiliście ich?

Patrycja, chyba otrzeźwiona bólem stłuczonych kostek, wskazała bewupa.

– Związaliśmy i do wozu. Ale widzieli nas i...

– Potem. – Kolejny wybuch zwolnił go z obowiązku tłumaczenia, jak wyglądają priorytety. – Włącz do wieży i pilnuj okien. Mają się bać, ale jak kogoś zastrzelisz, osobiście nogi ci z dupy powyrywam. Jasne?

Nie odpowiedziała: skoczyła w stronę wozu i znikła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Szamocki pchnął mnie do tyłu, złapał Kaškę, pociągnął w stronę ogrodzenia. Trzymała się za twarz, ale już tylko jedną ręką. Nie pluła zębami.

– Znasz angielski? – Doszliśmy do połowy długości baraku, nim zrozumiała, że to do niej, i wymruczała coś niewyraźnie. – A rosyjski?

– Zabijecie ich?

– I prowadzi bewupa – wtrąciłem się. – W razie czego...

– Nikt nie zginie, ale masz robić to, co każę. Jasne? Dokładnie to i nic więcej. Słyszysz, Kaška?

Kiwnęła głową. Słyszała. Zrozumienia i akceptacji nie byłam już taki pewien.

Pod osłoną rządka latryn dopadliśmy ściany Dwójki. Zza zachodniego narożnika dobiegał warkot silnika i kiedy ruszyliśmy dalej, uznałem, że Szamocki zamierza skryć się pod pancernem. Może i zamierzał, ale nie zdążyliśmy.

Gdy wyrzależ z za węgla, BWP zrywał się do szarży, a z okna Piątki wypadał kolejny żołnierz. Dwa karabiny waliły wzdłuż ściany, obrabiając południowy narożnik, a pod ich osłoną trzech czy czterech ludzi opuszczało barak. Wszędzie kłębił się kurz – wcześniej sypnęli szczodrze granatami – więc mimo blasku reflektorów nie widziałem za wiele. Reflektorów też zresztą ubyło. Okna Piątki były umieszczone w fatalnym miejscu, dostępne jedynie z dwóch-trzech spiętrzonych łóżek czy stołów, ale w środku walczyło o życie prawie dwudziestu ludzi i efekty dały się zauważyć.

– Krzycz, żeby nie strzelali! – Szamocki sam musiał krzyczeć. – Zakładnik jesteście i tłumacz! Partyzanci nic im nie robią, byle nie przeszkadzali! No już, do cholery!

Było coraz głośniejsze, bo coraz więcej zablokowanych w Piątce żołnierzy dorabiało się stanowisk na zawleczonych pod okna meblach i waliło na oślep z karabinów. Patrycja odgryzała się im, na szczęście z kaemu, za słabego na ściany z betonu. Porykiwania silników i trzaski granatów dopełniały bitewnej melodii. Mimo wszystko hałasowi sporo brakowało do ogłuszającego i przez myśl mi nie przeszło, że Kaška wywinie taki numer.

Ze poderwie się i pogna śladem bewupa.

– O kurwa – stęknął Szamocki.

Była szybka, naprawdę szybka. Zanim uwierzyłem w to, co widzę, a nogi wyrzuciły mnie z za węgla, mijała środek budynku. BWP mijał środek placu i dwaj z tych, którzy wyskoczyli

oknami, zaczęli do niego strzelać. Z karabinów, ale każda kula, która nie trafiła w wóz, mogła trafić w Kaśkę. No i wyskoczyło ich trochę więcej niż dwóch.

Przed drzwiami naszej kwatery był nieduży okop i tylko dlatego pobiegłem dalej. I trochę z powodu irracjonalnej wiary w ludzki rozsądek.

Chyba miałem nadzieję, że tamci wezmą nogi za pas, Kaśka skoczy do okopu, a z baraku nikt do nas nie wygarnie. Niby nie było okien z tej strony, ale serie z kaemu wycięły we wrotach dziurę o gabarytach męskiego ramienia.

Wiara wiarą – karabin jednak przeładowałem. W końcu.

Śmigła gołymi piętami, których ucisk wciąż pamiętałem nad pośladkami; dół sukienki ciągnął się za biodrami, które kilkanaście godzin temu falowały w rytmie moich bioder. Była szalona w tym biegu i zbyt piękna, bym pozwolił jakiemuś spanikowanemu gówniarzowi do niej strzelać.

Nie przemyślałem tego, nie było żadnej świadomej decyzji. Był błysk ognia w kłębach kurzu posrebrzonego światłem lamp, ludzka sylwetka między ścianą baraku a burtą bewupa. Był wachlarz ziemnych krzaczków, wyrastających wokół nóg Kaśki, jej upadek i kolba podrywająca się do ramienia. A potem dzika, atawistyczna radość, kiedy ten, który próbował zabić, sam padał martwy.

Przełącznik ognia nastawiony był na trzystrzałową serię, a widoczność podła – ale od razu poznałem, że to koniec. Coś w szarpnięciu głowy w tył, w bezwładzie padającego ciała... Po prostu wiedziałem.

Pobiegłem dalej. Ale i tak się spóźniłem.

– Nie strzelajcie!!! – Akurat faktycznie nikt nie strzelał, więc było ją słyszeć chyba aż nad kanałem. – To nasi!!! Polacy!!! Nie strzelajcie!!!

Nie strzelali. Po prawej, między Czwórką a Piątką, bojowy wóz piechoty skręcił zręcznie, grzmotnął w ramię uskakującego człowieka, przewrócił i rozsmarował gąsienicą od krocza po głowę. Tak po prostu. W sekundę. Poderwany eksplozjami granatów kurz zdążył opaść – nie całkiem, lecz i tak wystarczająco, by wyłowić wzrokiem szczegóły. Po lewej płonęła szoferka MAN-a i mrugał karabin maszynowy drugiego bewupa. A pośrodku Kaśka klęczała i rzygała.

Zwaliłem się obok, opasałem ją oburącz w talii i przewróciłem. Na zachód od Piątki wciąż było dwóch żywych strzelców – chyba że skorzystali z pyłowej zasłony i zwiali – a z baraku wylatywały pierwsze wymierzone w bewupa granaty. Mój hełm, kamizelka, głowa, tułów i cała reszta były liczącymi się osłonami, więc choć było mi jej żal, ścisnąłem dziewczynę z całej siły i zmusiłem, by puszczała pawia na własny biust. Nic dziwnego, że się szarpała.

Nie odbiegła daleko w głąb placu, no i leżałem na boku. Dzięki temu obejrzałem sobie wszystko całkiem dokładnie. Jak dla mnie – zbyt dokładnie.

Bewup Sławka toczył się z początku powolutku, jak gdyby zrywami. Pewnie już wtedy

szarpał się z gaśnicą, i stąd ta czkawka. Patrycja strzelała co parę sekund, rozsądnie, krótkimi, starannie wymierzonymi seriami, więc wyglądało to w sumie na przemyślany manewr, którego wprawdzie nie rozumiałem, ale który długo nie budził moich zastrzeżeń.

Dopiero kiedy skręcili, coś mi zaczęło świtać.

Ci w Piątce nie mieli broni przeciwpancernej – trochę wcześniej zrozumiałem, co wyczyniał pod masztem ten drugi bewup i dlaczego największa dziura w drzwiach wygląda tak, jak wygląda – ale wybuchy odłamkowych granatów na stropie grubości paru milimetrów też mogły załatwić BWP-1. Chyba. Nie miałem pewności, byłem za to prawie pewien, że Sławek też jej nie ma, i nie chciało mi się wierzyć, kiedy wjeżdżał między ścianę Piątki a bok ciągnika.

MAN oberwał – też chyba granatem – w prawy zbiornik, więc niby była w tym jakaś logika, ale zanim jeszcze dojechali na wysokość szoferki, ognista kula eksplozji wykwitła na włązie przedziału desantowego, dając przedsmak tego, co będzie dalej.

Przedsmak polowania.

Bo trudno to było nazwać walką. Wieża bewupa spoglądała wprawdzie w prawo, w stronę okien, ale i karabin, i działko milczały. Sławek też nie strzelał. Chyba nawet wypchnął na pancierz swój automat, oglądał się też raz po raz – przez sekundę miałem nawet wrażenie, że krzyżujemy spojrzenia – nie strzelił jednak. Nie miał czasu.

Płomienie hulały po szoferce MAN-a, wlewały się pod gaśienice stojącego obok bewupa.

Właściwie nie było ich tak dużo – po prostu gaśnica była mała, słaba, a Sławek co chwilę musiał nurkować we włązie, schodząc z drogi odłamkom i kulom. Głównie odłamkom – trzeba przyznać, że tamci raczej rzucali na słuch, niż świadomie zaciskali pętlę na własnych szyjach. Spośród strzelających też większość robiła to na oślep: Szamocki walił z kałasznikowa po zachodnich oknach i samych rykoszetów wystarczyło, by zdezorientowani obrońcy trzymali twarze z dala od otworów.

– Kurwa, co on wyprawia?! Kurwa mać!

Nie od razu zrozumiałem, kto się tak maże. Że to ja. I że w którymś momencie to nie ja Kaśkę, lecz ona moje ręce opasuje ramionami z całych sił.

Niepotrzebnie. Mimo wszystko nie zgłupiałem aż tak, by tam biec. Nie dało się niczego zmienić. Umrzeć co najwyżej. Sławek oszalał, ale miał przynajmniej swoją pancerną dziurę, do której mógł wskakiwać między kolejnymi tryśnięciami pianą. Naliczyłem ze dwadzieścia iskrzących rykoszetów, pod koniec poderwanego eksplozjami kurzu było tyle, że w ogóle nie widziałem bewupa – a on robił swoje. Musiał robić, bo kiedy wreszcie silnik ryknął z ulgą i zabrał trzynaście ton poharatanej blachy z tego piekła, nie dostrzegłem już pomarańczowych języczków ognia.

Nagle zrobiło się cicho. Wozy bojowe zataczały szeroki łuk gdzieś na południu, daleko za barakami. Nikt nie strzelał. Ktoś obstukiwał od środka bramę Piątki, ale niczego więcej nie

próbował robić. Śmierdziało prochem, a ludziom chyba powoli wracał rozsądek.

– Zabieramy się, Kasia – wycharczałem jej w ucho. – Zabieramy się stąd.



## Rozdział 14

Barak numer 3 miał bramy z obu stron. Zebraliśmy się przy północnej, osłoniętej bryłą budynku przed ewentualnym ostrzałem z Piątki. Zanim BWP trzeciej drużyny zajechał przed wystawiony na ogień narożnik i zaparkował, Szamocki zdążył otworzyć wrota, zajrzeć do stojącej za nimi ciężarówce i nawet uruchomić na próbę silnik.

Star odpalił przy pierwszej próbie. Nic dziwnego: wóz do przewozu miliona dolców powinien być na chodzie.

Od dłuższego czasu nikt nie strzelał.

Tylne drzwi bewupa otworzyły się, Patrycja wysiadła, uklękła i nabrała piachu w obie garści. Przez chwilę myślałem, że to jakaś zgrywa, parodia papieża, całującego ziemię. Po bitwie każdemu może odbić.

Potem zobaczyłem, jak ściera ciemne zacieki także z przedramion i kolan.

Zrozumiałem.

Szamocki też zrozumiał, ale chyba był większym ode mnie optymistą – względnie pesymistą – więc minął ją bez słowa, wyciągnął latarkę spod narzuconej na kamizelkę czarnej kurtki i zajrzał do bewupa.

– Sztywny – mruknęła Patrycja, dźwigając się na nogi i wycierając zapiaszczone dłonie o spodnie. – Szkoda. Sama bym gnoja chętnie...

Dotknęła ostrożnie nosa. Pod spodem, na ustach i brodzie, też miała krew, ale ta, sądząc po układzie plam, była jej własna. Nie byłem pewien, czy Sławek kiedykolwiek spał z kobietą.

Ale przynajmniej nos jednej rozkwaśił.

Koniec ławki połyskiwał czerwienią w blasku latarki. Widziałem kawałek hełmofonu. W środku pewnie była głowa, nie próbowałem jednak podchodzić i sprawdzać.

– Co się stało? – Szamocki przyklnął drzwi, pokazał gestem, że mamy przesunąć się za budynek. Ci z Piątki nie byli tak głupi, by wychylać się i ryzykować wymianę strzałów z pojazdem pancernym, ale chyba nie o tym myślał.

Weszliśmy do magazynu. Szamocki włączył jakąś lampkę, Patrycja klapnęła na skrzynię i wyciągnęła papierosy.

– Nie widziałeś?! Pierdolony strażak się znalazł!

– Ale... czemu?

Zaciągała się dymem, nie sądząc jednak, by akurat dlatego zignorowała pytanie. To raczej Kaśkę ignorowała.

– Amunicja – powiedziałem cicho. Głośno nie chciałem: bałem się, że głos zacznie mi drzeć.

– Na tej ciężarówce. Gdyby pieprznięła tak blisko baraku... Uratował chłopaków.

– Głupia cipa jestem – rzuciła z goryczą Patrycja, ni to do nas, ni do siebie. – Powinnam mu palnąć w łeb, zanim oni to zrobili. Mielibyśmy problem z głowy.

– Jesteś głupia cipa – zgodził się Szamocki. – To ciągnik siodłowy, nie byle star. Wybuch mógł się przenieść na magazyny. Byłoby po nas wszystkich. I po milionie dolarów.

– Mało mi nosa nie złamał – poskarżyła się. I faktycznie: wypuściła dym wyłącznie ustami.

– Nowy sobie zrobisz. – Zerknął na zegarek. – Stać cię będzie. No nic, w czasie się mieścimy. Chociaż tyle.

– Kurzewski nie żyje. – Nie patrzyłem na nikogo. – Zastrzeliłem kogoś, a ten skurwiel w bewupie rozjechał na miazgę jakiegoś chłopaka. Nawet jak nikt więcej... Jakie „mieścimy się”?

Tylko mi nie mów, że chcesz to ciągnąć.

– Zastrzeliłeś? – Patrycja wyłowiła to jedno.

– Chcę. I muszę – rzucił ponuro Szamocki. – Za daleko zaszliśmy, żeby się cofać.

– Jeszcze możemy.

– Tak – zgodził się nieoczekiwanie. – Ilu ich tam masz? – spojrzał na Patrycję. – Trzech?

Drobiazg. W takiej strzelaninie trzy trupy więcej... Drobiazg. – Zsunął z ramienia mocno sfatygowanego kałasznikowa. – Kto ma ochotę? Adam? Z tego lepiej nie – wskazał wzrokiem mój karabin. – Jeden trup naszpikowany pociskami beryla jakoś przejdzie. Noc, zamieszanie, nieszczęśliwy wypadek. Ale z tych pokerzystów muszą wydłubać kule od kałasza.

– Sprzątniemy ich? – zapytała Patrycja. Rzeczowo, bez żadnych widocznych emocji.

– A mamy wyjście? – Nie patrzył na nią, wpatrywał się we mnie. – Są trzy sposoby, by zamknąć ludziom usta. Szantażować nie mamy czym. Forsy się wyrzekamy. Pozostaje strzelić każdemu w łeb.

– Może... – Kaśka miała dość rozsądku, by nie kończyć.

– Nie powiedzą, bo będą wdzięczni za darowane życie? – dokończył za nią. – A ty?

– Ja? – zaskoczył ją.

– Adam zabił dla ciebie człowieka. Zbudował most. Kto jak kto, ale on dostanie dożywocie.

– Nikomu nic nie powiem.

Błyskawicznie się zdeklarowała. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Lufa przystawiona do głowy sprawia, że najuczciwsi ludzie składają takie obietnice bez wahania i to był ten przypadek – pytanie tylko, o czyją głowę chodziło.

– No to pożegnaj się z córką na parę lat. Za krycie mordercy długo się siedzi.

Trafił w czułe miejsce. Cóż, też miał córkę.

Otuliła się ramionami, cofnęła między regały z amunicją. Pomyślałem, że marznie.

Miałem na sobie podkoszulek, bluzę i kamizelkę, a też marzłem. Noce były tu zimne. Zwłaszcza po wpakowaniu paru gramów stali w ludzką głowę.

Zastanawiałem się, który to był. Znałem każdego. Przynajmniej z widzenia.

Szamocki przyglądał mi się, szukał ostatecznego argumentu, który przeważy szalę.

Niepotrzebnie.

W drzwiach zamajaczyły dwa cienie. Ten z przodu kuśtykał, podpierając się kolbą karabinu. Ten z tyłu, poszerzony kombinezonem maskującym, używał broni w bardziej konwencjonalny sposób: mierząc w plecy pierwszego.

– No, pięknie – westchnął Szamocki.

Domyśliłem się, w czym rzecz: karabin szeregowego Lechowskiego nie miał magazynka, a on sam, mimo nogawki oblepionej krwią od uda w dół, wyglądał raczej na przerażonego i oszołomionego niż obolałego. Zatrzymał się w progu, powiódł po naszych twarzach spojrzeniem, w którym niewiara walczyła z nieśmiałą nadzieją.

– A co miałem zrobić? – rzucił Student, ni to wyzywająco, ni przeprasząco. – Kazałeś oddać Wóz, wracałem pieszo, napatoczył się... – Uniósł glauberę, klepnął w komorę zamkową.

– Ze swoich mamy nie strzelać, nie? No to przyprowadziłem. Decydujemy razem. Jak spółka, to spółka.

– Rozjechałeś żywego człowieka – powiedziałem cicho. Zerknął na mnie z ukosa, ale ani się nie zdziwił, ani o nic nie zapytał. Przynajmniej wiedział, o czym mówię.

– Sam się wpakował – wzruszył ramionami. – Moja wina, że spanikowany cienias wbiegł mi przed maskę?

– Kto to był?

– Odwał się.

– Dość – uciął Szamocki. Wskazał jeńcowi skrzynię, mruknął „siadaj”. Potem odwrócił się i patrzył na nas przez chwilę. Na mnie i na Kaśkę. – No to mamy czterech.

Gdzieś niedaleko stuknął pojedynczy wystrzał. Tylko Lechowski drgnął, obejrzał się trwożliwie. Wyglądało na to, że albo jesteśmy bandą twardzieli, albo mamy większe zmartwienia na głowie.

– Kogo tam masz poza Grześkowiakiem? – zapytał Szamocki.

– Łoban i ten młody – mruknęła Patrycja.

– To dawajcie ich tu. Trzeba skończyć załadunek.

Wyszła razem ze Studentem. Szamocki włączył światła, teraz już wszystkie.

– Nie przesadzasz? – wskazałem południowy koniec magazynu. – Okna zamurowane, ale brama to tylko blacha. Pomyślałeś, co będzie, jak zaczną strzelać?

– A myślisz, że po co Student odstawiał ten cyrk przed ich bramą? – uśmiechnął się. –

Zostali bez granatników.

No tak. Maszt ustawiono pośrodku kompleksu baraków, w osi Piątki. Drzwi też były prawie w osi, a trzydzieści metrów dalej, przy ślepej ścianie południowej, stał regał z granatnikami RPG-7. Z zaparkowanego pod masztem bewupa, o ile otworzyć drzwi baraku, widać było pewnie

doskonale i stojak, i leżące niżej głowice. Teraz drzwi były wprawdzie zamknięte, ale od czego są markery? Ten facet w goglach i kapeluszu, z radmorem w dłoni...

Psiakrew, zrobili to na moich oczach, a dopiero teraz...

– Nigdy nie wiadomo – burknąłem.

– Pół taśmy amunicji na taki kawałeczek – rozłożył dłonie. – Nie ma cudów. Mają teraz fujarki, nie granatniki. Zresztą najlepszy dowód, że z nich nie strzelali.

– Ciekawe, jak się z tego wytłumaczysz. Talib z rentgenem w oczach? Niby czemu celował akurat...?

– Nie mówię, że wszystko poszło super. Ale na razie jest dobrze. Student wywalił następne półtorej taśmy w inne miejsca. Za cholerę nie poznają, że chodziło o to.

Miał rację, zwłaszcza jeśli pamiętać, że do bewupa dorwał się jakoby dziki afgański góral. Ktoś taki, nim opanował sztukę obracania wieżą, mógł wystrzelać połowę amunicji w jeden punkt, niekoniecznie z sensem.

– Są jeszcze czterdziestki – przypomniałem.

Nie mieliśmy przeciwpancernej amunicji do podlufowych granatników kalibru 40 mm, więc chyba nie użyto ich dotąd. Ale czekały gdzieś tam, w ciemności. Może dwa, może trzy – nie byłem pewien. Przepustkowicze oddawali swoją broń do magazynu obok dyżurki.

– Musieliby trafić parę razy w to samo miejsce. Czyli pełna premedytacja. A nie zrobią tego z premedytacją. Baza wyleciałaby w powietrze. Spokojnie, Adam, to nie idioci.

– Ciężarówkę podpalili.

– Przyjechała wieczorem. Połowa pewnie nie pamiętała, że tam stoi. Rzucali granaty na ślepo. Bo myśleli, że zaraz ktoś im nawrzuca do środka z drugiej strony. Panika, wiesz. Teraz ochłonęli. Wiedzą, że nie chcemy ich wytłuc.

– Wiedzą? – Kaśka chyba nie bardzo mu wierzyła.

– Mamy bewupy, a nie strzelamy z armat. Student walił metr nad podłogą, tak żeby leżącym nic się nie stało. Wiedzą. – Znów się uśmiechnął. – Ale racja: trzeba im to jeszcze powiedzieć wprost.

Wyjął z kieszeni kominiarkę, nasadził na głowę, nie zakrywając na razie twarzy.

– Zostaw ją – rzuciłem przez zęby.

– Musimy z nimi pogadać. Bo inaczej ktoś zginie.

– To gadaj. Kaśka nie ma z tym nic...

– No właśnie: niewinna zakładniczka. – Milczał przez chwilę. – Dobrze wiesz, że to najlepszy sposób.

Wiedziałem, pewnie. Tylko nie podobało mi się to.

– Ja pójdę. Przystawisz mi lufę i...

– Nie, Adam – wysunęła się ze swego kącika między regałami. – Czarek ma rację. Pójdę

z nim.

Czarek. Facet wywołał właśnie wojnę domową, a ona...

Do magazynu weszło trzech żołnierzy konwojowanych przez Patrycję. Grześkowiak był w kompletnym umundurowaniu wartownika, choć bez hełmu, Młody w bluzie od dresu, którą dla ochrony przed nocnym chłodem uzupełnił kamizelką, Łoban po cywilnemu, w sztruksach i skórzanej kurtce. Wszyscy trzej mieli skrępowane z tyłu ręce. Fachowo, plastikową taśmą samozaciskową, stanowiącą tani i skuteczny substytut kajdanków.

– Jak będziecie grzeczni, przeżyjecie i zarobicie – przywitał ich spokojnie specjalista od wojen domowych.

Patrycja scyzorykiem porzycinała taśmę. Jej pistolet tkwił przez cały czas w kaburze, a Student nie wrócił z jeńcami, ale Szamocki nie pofatygował się, by ściągać karabin z ramienia.

Może liczył na mnie.

No pewnie: jednego Polaka już kropnąłem.

– Randka? – Patrycja posłała Czarkowi krzywy uśmiech.

– Ktoś do nich musi mówić.

– Ta dziwka już mówiła. – Konsekwentnie nie patrzyła na Kaśkę. – Co nieco usłyszałam.

Krzyczała, że to Polacy.

– To bez znaczenia – wzruszył ramionami. Wskazał Grześkowiakowi paletę ze skrzynkami, potem ciężarówkę.

– Bez znaczenia?! Podkablowała nas!

Grześkowiak wdrapał się na platformę stara, popatrzył wyczekująco na kolegów. Młody, trochę niepewnie, ale bez demonstracyjnego ociągania, podniósł pierwszą skrzynkę, podrzucił.

Grześkowiak odebrał, ustawił dalej. Łoban stał w miejscu z ponurą miną, masował nadgarstki.

Silnik bewupa umilkł, dzięki czemu usłyszałem, że inny bewup sunie leniwie gdzieś daleko na południu. Dwa wozy. To wystarczyło do pełnej blokady Piątki.

– Nie – powiedział spokojnie Szamocki. – Wołała, żeby nie strzelali, bo na zewnątrz są Polacy. Prawda, Kasia?

Trzeba jej przyznać, że zwlekała ze dwie sekundy, nim w końcu skinęła głową. Też zresztą niemrawo.

– Teraz też zawoła, że na zewnątrz są Polacy – rzuciła Patrycja z przekąsem. – I co wtedy zrobisz? W łeb jej palniesz? Dużo to pomoże... A ty, Łoban, rusz dupę!

Ruszył, ale tylko o trzy kroki. Nie dotarł nawet do palety. Stanął przy regale z amunicją do haubic, opuścił głowę i znów zaczął rozcierać nadgarstki.

– Teraz jest z nami – powiedział Szamocki, patrząc w oczy naszej świeżo upieczonej współpracownicy. – Prawda, Kasia?

Zastanawiała się. Całe wieki. Miałem ochotę kopnąć ją w tyłek. Pocałować też, ale kopnąć dużo bardziej.

– Nie chcę się w to mieszać.

Ledwie ją słyszałem. Opuściła głowę, jakby zawstydzona naiwnością tego tekstu. Ruch przy ciężarówce ustał.

– Ale chcesz, żeby wszyscy przeżyli, prawda? My też. Dlatego pójdziesz ze mną i będziesz bardzo grzeczna. A ty, Adam, bierz się do roboty. Żuraw na ciebie czeka.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie wykorzystać ostatniej okazji i nie postawić własnych warunków. Obaj operatorzy samojezdnego dźwigu byli teraz prawdopodobnie w baraku numer 5. Być może nikt z przebywających na zewnątrz – włączając jeńców – nie potrafił obsługiwać żurawia. Sławek, który był moim dublerem i który potrafił, zginął. Być może byłem niezastąpiony.

Ale być może nie byłem. Nudziliśmy się tu śmiertelnie i chyba co drugi z nas poprowadził bewupa, złowił paletę widłami sztaplarki czy pobawił w operatora dźwigu.

– Moment, Czarek – Patrycja zmarszczyła brwi. – Chyba go nie pošlesz samego?

Może po to, by nie bawić się w długie wyjaśnienia, wyjęła pistolet i machnięciem lufy przypomniała jeńcom o ich obowiązkach. Grześkowiak i Młody złapali się za skrzynki. Łoban stał z boku, ponuro wpatrzony w ziemię.

– Mało nas – przypomniał Szamocki. – Każdy już teraz ma co robić. Spokojnie, Adam sobie poradzi. Prawda?

– Z jednym dźwigarem już sobie poradził – Patrycja posłała mi mroczne spojrzenie. – A jak mu znowu odbije i porozwala następne? Bylibyśmy uziemieni.

– Już mi nie odbije – wyręczyłem Szamockiego. – Klamka zapadła, wlałem w to gówno głębiej od was.

Dostrzegłem wahanie na jej twarzy.

– Osobiście strzelę jej w łeb, jakby co – obiecała.

– No właśnie. – Przewiesiłem karabin przez plecy i ruszyłem w stronę wyjścia. Na Kaškę nie patrzyłem.

– Czekaj – ocknął się Szamocki. – Jest mała zmiana w...

– Wiem. – Zrobili ze mnie idiotę i nie mogłem sobie odmówić tej odrobiny satysfakcji. – Nie jedziemy przez kanał. Mam zwozić dźwigary na przedmoście.

Popatrzył na mnie zdziwiony. Satysfakcję jednak błyskawicznie diabli wzięli: trudno się sycić triumfem, kiedy mierzą do człowieka z pistoletu. A przez sekundę właśnie tak to odbierałem: że Patrycja przymierza się do wpakowania mi kuli między oczy.

– Nie strzelajcie! – Lechowskiego też miałem za plecami i w pierwszej chwili pomyślałem, że to on krzyczy. – Poddaję się! Nie strzelajcie!

Powoli, jeszcze nie do końca pewny, czy to nie o mnie chodzi, odwróciłem się na pięcie.

Lechowski siedział tam gdzie poprzednio. Właściwie bardziej leżał, niż siedział: złe przewiązane udo nadal krwawiło i chyba zaczynał popadać w omdlenie. Ten, który krzyczał, nadchodził od strony zasieków. A dokładniej: biegł niezdatnym truchtem. Trudno biec zdarnym, wyciągając ramiona tak wysoko w górę.

– Kurwa mać – westchnął z rezygnacją Szamocki. – Jeszcze jeden.

Szeregowy Kleczko zatrzymał się kawałek za progiem. Okazało się, że gdy nie biegnie, potrafi podnieść ręce jeszcze wyżej. Zrozumiałem, dlaczego Patrycja nie strzeliła odruchowo do ludzkiej sylwetki, wyłaniającej się nagle z mroku: bezbronny blondasek w piżamie i trampkach nie wyglądał groźnie.

– Nikomu nie powiem, panie poruczniku. – Głos wyraźnie mu drżał. – Jak Boga Kocham, nikomu ani słowa. Musiałem do kibla. Coś zjadłem i musiałem... Nikomu, jak Boga...

– Nie ma to jak dobrze zaplanowana akcja – rzuciłem w przestrzeń. Szamocki posłał mi nijakie spojrzenie, po czym bez słowa wskazał drzwi. – Nie chcę się czepiać, ale wzięliście pod uwagę, że most widać z Piątki? Mają noktowizory, a to najwyżej czterysta metrów.

– Nie będą strzelać – mruknął. – Kasia za bardzo cię lubi. Postara się.

Spojrzałem jej w oczy. Niewiele dało się z nich wyczytać. Strach, oszołomienie – to żadna nowość. Wszyscy byliśmy wystraszeni i oszołomieni, niektórzy tylko ukrywali to lepiej niż Kleczko.

– Zrób, co mówi – mruknąłem. Nie byłem wcale pewien, czy dobrze wyjdzie na słuchaniu mnie, więc na tym poprzestałem. Ruszyłem w stronę wyjścia.

– Czekaj! – Odwróciłem się, akurat w porę, by złapać nadlatującą torbę. – Zdejmij hełm i włóż to. Ciuchy i kominiarka. Talib teraz jesteś, musisz odpowiednio wyglądać.

\*

Przerabiałem to w myślach setki razy, a pod pretekstem porządkowania placu budowy dwa razy przećwiczyłem także w praktyce, więc nie miałem większych kłopotów z wyciągnięciem kolejnych przęseł. Uznałem, że lepiej będzie najpierw przygotować je do transportu – całej operacji zbytnio to nie skracało, ale kiedy pracowałem tu, nie jeździłem po odkrytej przestrzeni, i to już mogło się okazać istotne.

Póki co, żaden rozejm nie obowiązywał i jakiś narwaniec mógł mnie poczęstować serią, kiedy wyjadę zza Szóstki.

Uruchomiłem wyposażonego w żuraw jelicza, podjechałem do wykopu i przesiadłem się do kabiny operatora. Świecił księżyc i było na tyle widno, że nie włączając żadnego z reflektorów, naprowadziłem hak na środkowy węzeł kratownicy. Wyjąłem z wykopu i ustawiłem obok siebie trzy dźwigary. Czwarty, oparty bokiem o krawędź samochodu, pojechał powoli na północ, w kierunku mostu. Przypomniało mi się, że nie zapytałem Szamockiego o zasieki. Jeśli są

nietknięte...

Nie były: Sławek i Patrycja nie do końca pokpili sprawę. Niemal dokładnie w narożniku ogrodzenia ktoś wyciął poradzieckie druty, które może były stare i skorodowane, ale mogły nieźle namieszać, gdybym musiał przebijać się jelczem na chama.

Tej części bazy nie oświetlano; stopniowo widziałem coraz mniej. Nikt nie strzelał, powiedziałem więc sobie „raz kozie śmierć” i włączyłem światła. Placyk przed mostem rozminowali, sam sprawdziłem, czyli i dojazd do mostu musiał być czysty. Nie łudziłem się jednak: prawdopodobieństwo, że wpakuję się na zagrzebane w ziemi paskudztwo, było mimo wszystko większe od tego, że załoga Piątki zacznie do mnie strzelać. Jeśli to miało wyglądać na robotę partyzantów, przejezdny szlak musiał być ekstremalnie wąski. Żaden partyzant nie grzebałby się godzinami pod nosem wart, przygotowując drogę o gabarytach pasa startowego.

Mogłem wpakować się w nieźle kłopoty. I chyba podświadomie pakowałem się w nie dobrowolnie. Pole zakładano z myślą o piechocie, miny były lekkie. Gdybym na którąś najechał, jelcza diabli by wzięli, a mnie raczej nie. Moja podświadomość nadal myślała kategoriami żołnierza-dekownika, który chętnie nabawiłby się lekkiej kontuzji i przeczekał ciężkie czasy w szpitalnym zaciszu.

Nic nie wybuchło pod kołami. Dojechałem przed most, zrzuciłem ładunek. Przy drugiej kratownicy dałem klapsa bezmyślnej podświadomości i jechałem już po własnych śladach. Kiedy ładowałem trzecią, od strony baraków przybiegł Student. Podobnie jak ja, był w kominiarce i luźnym kombinezonie. Nałożona na wierzch kamizelka kuloodporna trochę się kłóciła z sylwetką partyzanta, ale teraz, po opanowaniu bazy i wzięciu łupów, nie powinno to budzić podejrzeń.

– Bierzemy bewupy – oznajmił z marszu. – Za kanał.

– Bewupy? Przepląną? – Znałem odpowiedź, nim zacząłem pytać.

– Po moście. Szamocki mówi, że inaczej utkną. Pyta, czy potrzebujesz ludzi.

Powinienem złapać się za głowę, zasypać go gradem pretensji, a potem pognać po kalkulator. Ale byłem idiotą, który przewidział taki rozwój wydarzeń i nawet policzył z grubsza, co trzeba. Tylko okazał się zbyt głupi, by pociągnąć tok myślenia trochę dalej.

– Ilu się da. I zapytaj, jak chce wjechać na dźwigar.

Przy przeprawie przez kanał nie byłoby z tym problemu: wystarczyło wykopać po dwie dziury na każdym brzegu i włożyć w nie kratownice tak, by górny pas zrównał się z poziomem podłoża. Na wybetonowanym przyczółku zburzonego mostu taka sztuczka nie wchodziła w grę.

Ale nie mieliśmy wyjścia: kanał miał geometrię rowu przeciwczołgowego i było prawie pewne, że bewupy utkną między stromymi brzegami. Paradoksalnie – był po prostu za wąski. Amudarię sforsowalibyśmy bez problemu.

– Po płytach dachowych – Student wskazał barak numer 6 i przyzmę materiałów



budowlanych. Większość kwalifikowała się już głównie do kategorii gruzu, ale w przypadku płyt był to gruz wielkogabarytowy, i to mi wystarczało.

– Dobra. Przywieźcie sztaplarką. – Kiwnął głową. – Pokój zawarty?

– Chyba tak. Na znak dobrej woli oddaliśmy im dyżurnego. Wciągnęli go przez okno, wciąż jest nieprzytomny. Mówią, że nie będą pierwsi strzelać. Szamocki powiedział, że jesteśmy z Frontu Demokratycznego.

Też bym tak powiedział. Front powstał pod koniec rządów Nijazowa i pierwsze bomby podkładał w imię przyłączenia kraju do NATO, Unii Europejskiej, a najlepiej od razu Stanów Zjednoczonych. Nie liczył się zbyt na mapie politycznych ugrupowań turkmeńskich, ale zachodnie media spopularyzowały jego przywódców jako zwolenników dialogu i kompromisu.

Partyzanci Frontu zwalczali aktualne władze i deklarowali neutralność w stosunku do oddziałów NATO, które przyjechały tu, by owe władze wspierać. Dla zdobycia broni byli w stanie dokonać takiego skoku jak ten nasz, i tak jak my zadbaliby pewnie, by zminimalizować liczbę ofiar.

– A Bruszczaaka przywiązaliśmy do masztu – dorzucił Student z nieskrywaną satysfakcją. – Ma dostać pierwszą kulę, jeśli spróbują wyłazić. Chłopaki mają dobrą wymówkę, by siedzieć i nic nie kombinować.

Cholera. W ogóle nie pomyślałem o poruczniku.

– Też nieprzytomny? – zapytałem z nadzieją. – Nie widział, kto go...?

– Spoko. Nie będzie z nim problemów.

Nie zdjął kominiarki, nie widziałem jego twarzy. Ale głosu czarna tkanina nie zatrzymała.

Może przez solidarność: też było w nim coś niepokojąco mrocznego.

– Widział?

– Spoko – powtórzył. – Naprawdę jest na muszce. Nie narozrabia.

O nic więcej nie pytałem. Przesiadłem się do szoferki i ruszyłem w stronę mostu.

## Rozdział 15

Zanim się zjawili, ułożyłem pierwszą kratownicę. Była lekka i problemy sprawiała jedynie długość: równe dziesięć metrów. Przyczółki zerwanego mostu dzieliło najwyżej siedem.

Zyskałem trzy metry żelaznego alibi: ktoś, kto z premedytacją buduje most, powinien trochę lepiej dostosowywać go do potrzeb. Powinno mi to poprawić humor, ale jakoś nie poprawiło.

Załadowany star musiał ważyć trochę ponad dziewięć ton. BWP ważył o połowę więcej. Przy krótszym przęśle dawało to mniejszy moment zginający, a w przypadku pojazdu gąsienicowego rozkład nacisku był korzystniejszy, nie mogłem się jednak wyzbyć przeświadczenia, że moje alibi z żelaznego już lada kwadrans zmieni się w jeszcze mocniejsze – błotne. Inaczej mówiąc: cała ta prowizorka rozleci się pod bewupem, wóz pieprznie brzuchem w zamulone rumowisko znajdujące się trzy metry niżej i nasze sny o milionie dolarów skończą się raz na zawsze.

Zaczeptałem drugą kratownicę, kiedy od strony baraków nadjechał BWP. Przestrzeń za wieżą zawalono kawałkami belek. Student przywiózł też Grześkowiaka, Łobana i Młodego.

Żaden nie był związany.

– Zaczepcie linę za koniec – wskazałem przygotowaną do podnoszenia kratę. – Musi leżeć na styk z tą pierwszą.

– No już – Student potrząsnął automatem. – Ruchy.

Z liną poszło łatwo, zwłaszcza że wiązał tylko Grześkowiak, a wiatr wiał w korzystnym kierunku i asekuracji jednego pomocnika w zupełności wystarczyło. Problemy zaczęły się, kiedy przyszło do układania jezdni.

– Obciążenie ma iść na węzły. – Zdjąłem z bewupa półmetrowy odcinek belki i stuknąłem w kilka kolejnych styków górnych pasów z krzyżulcami. – Tutaj. Porozkładacie podkładki dokładnie nad nimi, jasne?

Osobiście ułożyłem pierwszą z podkładek: mój wskaźnik.

– Bez jaj. – W głosie Grześkowiaka, poza zdziwieniem i odruchowym sprzeciwem, doszukałem się czegoś mocno zbliżonego do niepokoju. – Mamy kłaść te kołki? I ktoś po tym będzie jeździł ciężarówką?

– Nie bój się, nie ty – uspokoił go Student. – Chociaż wiesz... to niegłupi pomysł.

Załapiecie się na przejazd. Wszyscy trzej. I jak wóz się spieprzy, bo coś zrobiliście nie tak, to pretensje do siebie.

Było ciemno, od betonowego rumowiska w dole zdawało się nas dzielić dwa razy więcej przestrzeni niż w rzeczywistości. Nawet abstrahując od ładunku stara, wizja upadku w tę czarną dziurę mogła przerazić. Gdyby most rozjechał się ciężarówce pod kołami, byłby to pewnie

upadek połączony z obrotem, a to oznaczało rozsypane skrzynie i totalną masakrę pasażerów.

Grześkowiak bez słowa zdjął z bewupa trzy pierwsze belki, wspiął się na dźwigar, ostrożnie stawiając stopy, ruszył w stronę drugiego brzegu. Młody wziął trzy następne, stanął na krawędzi przyczółka, szykując się do podawania. Łoban w sposób naturalny, jako niepotrzebny, nie uczestniczył w pracy. Tak to widziałem.

Student widział to inaczej.

– Dawaj ten gruz – wskazał lufą glauberyta coś, co leżało w kanale. Loban posłał mu spojrzenie spode łba, postać jeszcze chwilę, ruszył w dół skarpy w tempie żałobnika idącego za trumną. – I ruchy, chłopie, ruchy.

Mógł to sobie darować: Łoban dotarł na skraj wody i utknął na dobre. Nie udawał nawet, że próbuje: trącał tylko betonową płytę stopą i stał w miejscu. Student odczekał chwilę. Potem uniósł wyżej automat.

– Szkoda czasu – rzuciłem ostrym tonem. – Biorę go do pomocy. Łoban, pakuj się do szoferki. Jedziemy po kraty.

Wystawiłem na drogę zasilaną z własnego akumulatora latarnię: do dwóch pozostałych Student raczej nie będzie strzelał, ale spacerując po kratownicach w kompletnej ciemności, ryzykowali niewiele mniej.

– Weź Młodego – mruknął Student. – Ten gnojek wyraźnie się stawia.

– Pakuj się, Łoban.

Miałem najwięcej na pagonach, żyłem o połowę dłużej, no i to ja odpowiadałem za złożenie do kupy tego cholernego mostu. Usłuchali więc. Obaj. Dopiero siadając za kierownicą, pomyślałem, że był jeszcze jeden czynnik: strach. Dryfowali ku konfrontacji, ale to nie znaczy, że jej chcieli. Chyba obu ulżyło.

Ruszyłem. Przy dziurze w ogrodzeniu pomyślałem o karabinie. Leżał między fotelami, teoretycznie jednakowo dostępny dla każdego z nas. Miałem jeszcze automat, ale czarna bluza mająca upodabniać mnie do terrorysty była na tyle obszerna, że w praktyce przestał się liczyć jako broń do szybkiego użycia.

Powinienem się bać.

– Siedzi pan w tym? Czy może tak jak my?

Mówił cicho i nie patrzył na mnie. Zawahałem się. Niejedno można było jeszcze odkręcić. Może nawet wszystko.

– Trochę tak, trochę tak – mruknąłem.

– To wariactwo. Wszystkich was... Wariactwo.

Sam wiedziałem. Zwłaszcza teraz.

– Nikomu nic się nie miało stać. I niech tak pozostanie. Nie szalej. Rób, co każą.

Wszystko się ułoży.

– Został porucznik i ta kurwa – jeszcze bardziej zniżył głos. – Mamy automat i karabin, nie spodziewają się...

Cholerny telepata. Nie powiem, że tylko o tym myślałem. Martwiłem się też o most i trzeciego bewupa, skrytego gdzieś na północ od bazy. Ale wizja kołatała mi się po głowie. Cały czas.

– To nie dla mnie – powiedziałem, nie próbując kryć nutki żalu. – Chyba kogoś zastrzeliłem.

– Z beryla? – na pół zapytał, na pół stwierdził. – Wystarczy wytrzeć odciski. To nie pana broń.

Było ciemno, wyłączyłem reflektory. Ciekawe. Dotąd jakoś nie przeszkadzało mi bycie najlepiej oświetlonym w okolicy celem.

Po ciemku jeździ się wolniej.

– Nie mamy czym zapłacić za wasze milczenie. Musimy to ciągnąć, żeby mieć.

– Mnie wystarczy to.

Dopiero teraz udowodnił, że zauważył karabin. Nie dotknął go – tylko lekko wyciągnął rękę. Miałem na sobie kamizelkę, a szoferka to marne miejsce na strzelanie z broni długiej.

Skończyłoby się na zapasach. Może dlatego nie próbował żadnych sztuczek.

– Jest jeszcze czterech innych.

– A dowody? Są dowody, że to pan i Szamocki, a nie, na przykład, Grześkowiak? – Jechałem wolno, ale czasu mieliśmy tyle, co kot napłakał, więc nie czekał na odpowiedź. – Słowa przeciw słowom. Możemy się dogadać. Lechowski na to pójdzie, znam go. Kleczko to cykor, zrobi, co mu się powie. Pana dziewczyna, ja... Jak zagrozimy, że idziemy w zaparte i zwalamy winę na donosicieli, to może się uda. Może nie będzie żadnych donosicieli. Wpadli partyzanci, postrzelali, znikli. Normalka. Żadnego udziału naszych. Zeznajemy zgodnie i nie ma afery.

Dokładnie tak to sobie wyobrażałem. W najbardziej optymistycznej wersji. Ale nawet ta najbardziej optymistyczna kryła w sobie potężny hak.

– Parę osób na to nie pójdzie.

– Dużo macie z tego mieć?

– Wystarczająco dużo, by nie poszły. Dojechaliśmy do wykopu. Z prawej miałem tarczę w postaci baraku numer 6, mogłem zapalić światła.

– To ich rąbniemy – po raz pierwszy spojrzał mi w oczy.

Pokazałem mu drzwi. Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę. Potem wysiadł.

Przechyliłem się, zamknąłem drzwi, których nie zatrzasnął. Nie wierzyłem, by zdecydował się na desperacką szarżę ku szoferce i użycie beryla. Było to raczej nieme przypomnienie, że stoimy nadal po dwóch różnych stronach barykady.

Przeszedłem na platformę, wsiałem do kabiny dźwigowego. Odszukałem go wzrokiem: stał obok kratownicy.

– Możemy mieć tę forszę bez następnych ofiar – rzuciłem sucho. Chciałem, by usłyszał argumenty, a nie skowyt wijącego się sumienia. – A żeby jej nie mieć, trzeba by znów zabijać. To głupota.

– Złodziei – powiedział spokojnie. – I zdrajców.

Jak to powiedziała Kaśka? „Dobry powód, by zabijać”?

Ten też był dobry.

– Nie tylko zdrajcy zginą, jak zaczniemy strzelać. – Pokręciłem głową. – Przykro mi, ale nie wchodzę w to. Koniec z zabijaniem. Tam masz linę. Bierzemy te ceowniki.

Postał jeszcze chwilę, a potem sięgnął po hak.

\*

Przy moście spotkaliśmy się z wózkiem widłowym: przywiózł spore naręczce elementów betonowych oraz resztę jeńców z Kaśką na czele. Grześkowiak i Młody skończyli układanie belek i cała gromadka brała się akurat do budowania rampy. Tylko Lechowski zaległ z boku drogi, połyskując w mroku białą założonego na nogawkę opatrunku.

– Przywiozę resztę – zadeklarował Szamocki zza kierownicy sztaplarki. – Potrzebujesz czegoś więcej?

– Dobrej modlitwy. Nie mogłeś mi, kurwa, powiedzieć...?

– Tak wyszło. Potem pogadamy.

Odjechał. Młody, nie czekając na rozkazy, sam przyskoczył do opuszczonych na ziemię ceowników. Pochodziły z rozbiórki jakiegoś słupa: wypatrzyłem go przy drodze do Bajram-Ali i najbezczelniej w świecie wyszabrowałem do spółki ze Sławkiem. Były nadżarte rdzą, a poodcinane w pośpiechu przewiązki do reszty upodabniały nasz łup do długoletniego lokatora jakiegoś złomowiska, ale ceowniki miały jedną niekwestionowaną zaletę: były wystarczająco szerokie, by pomieścić opony stara. Ułożone na podkładkach z belek powinny przeprowadzić ciężarówkę na drugi brzeg niczym szyny tramwaj. Nie o asekurację kierowcy jednak chodziło, lecz o zapewnienie prawidłowego rozkładu sił w dźwigarze. Kratownice projektuje się na przenoszenie obciążeń przyłożonych wyłącznie w węzłach, czyli tam, gdzie spawy łączą pasy ze słupkami i krzyżulcami. Naciskanie ich w miejscach, w których projektant nie przewidział nacisku, może skończyć się fatalnie. Przy obliczaniu tego typu konstrukcji obowiązuje prosta zasada: każdy element jest rozciągany albo ściskany. Próba zginania któregoś rozwala najpierw wyliczenia, a potem, o ile nieprzewidziany czynnik okaże się dostatecznie silny, także przeszło.

To trochę tak jak ze szturchaniem sztangisty pod kolano: faceta dźwigającego nad głową jakąś nieprawdopodobną ilość żelastwa potrafi rozłożyć niegrzeczny przedszkolak. Albo z zapalką: mało kto złamie ją, ściskając końce między dwoma palcami, ale już lekkie pchnięcie z boku załatwia problem.

Wysiadłem z kabiny i bez wdawania się w szczegóły wyjaśniłem, w czym rzecz. Potem

zabraliśmy się do układania poszczególnych elementów. Grześkowiak i Młody zajęli się przęsłem, Kleczko, Łoban i Kaśka wjazdem na nie. Szamocki był na tyle przewidujący, że umieścił w schowku jelicza składaną miarkę, więc próbowałem uchronić ręce dziewczyny, wyznaczając ją do pomiarów. Nie wyszło: w którymś momencie wzięła się do przenoszenia betonowych połamańców.

Kiedy wróciła sztaplarka, lewa strona mostu była prawie gotowa, a po prawej Młody wnosił pierwsze belki na sklezione bokami kratownice. Jak na debiutantów, byliśmy niezli.

Szamocki zrzucił ładunek i zawrócił w stronę baraków. Grześkowiak podwiesił pod hak ceową prowadnicę, zaczął naprowadzać ją na właściwe miejsce.

– Trzeba przywiązać belki! – wskazałem zwój drutu, zalegający przód platformy jelicza. – Te pierwsze przynajmniej! Nie mają prawa się przesunąć!

Żuraw hałasował, musiałem pokrzykiwać. Zrozumiało i ruszyło się dwoje – Kaśka i Łoban – ale kombinerki były jedne, więc dziewczyna zaraz potem zawróciła i dalej układała skośny podjazd z co mniejszych kawałków betonu. Mocowaniem belek zajął się Łoban.

– Kleczko, na tamten brzeg! – Student lekko machnął lufą. Ubrany w pizamę blondynek błyskawicznie puścił niesioną płytę; niewiele brakowało, byśmy mieli na karku następnego rannego w nogę. Odcinający drut Łoban przegradzał mu drogę, więc niewiele myśląc, biegiem, rzucił się po skarpie w dół. Przesadził kanał, potknął się, padł tuż przy brzegu, mocząc nie tylko spodnie, lecz i połowę bluzy.

Stał potem, oblepiony mokrą pizamą, dygotał i czekał na paletę z gruzem. Zjazd z przęsła nie wymagał tyle materiału i pracy co wjazd, ale – przynajmniej jeśli chodzi o ciężarówkę – był potrzebny. Nim nadjechał star, zdążyłem przełożyć co trzeba na przeciwległy przyczółek, odprowadzić jelicza na bok i pomóc Kaśce przy paru płytach.

– Ma któryś zawodowe prawo jazdy? – wychylił się z szoferki Szamocki.

Na chwilę zamroził cały ruch. Jeden Kleczko uwijał się jak w ukropie, ale, póki co, przypisałem to przemoczonemu ubraniu. Było zimno, a wysiłek rozgrzewa. Patrz: Kaśka. Stała z twarzą mokrą od potu, wyraźnie zadyszana, ssała skaleczoną dłoń i zerkąła w moją stronę.

– No dobra, ja pojedę – Szamocki zeskoczył na ziemię. – Naboje są z zapalnikami, więc lepiej przeczekajcie w bewupie. Gdybym spadł, może rąbnąć. A teraz...

– Ja mogę.

Było cicho, żaden silnik chwilowo nie pracował. Powinienem coś wyczuć, zwłaszcza że Łoban też mówił cicho, wymuszając uważniejsze słuchanie.

– Jeździłeś w cywilu? – upewnił się Szamocki.

– Trochę.

Nie paliliśmy zbyt wielu świateł, by nie prowokować tych w Piątce, ale widziałem, że Czarek się waha. Miał cinquecento; to jednak trochę inna kategoria wagowa.

– No dobra. Tylko pamiętaj: powolutku i delikatnie.

Łoban od razu ruszył w stronę samochodu. Przemknęła mi przez głowę idiotyczna myśl, że po prostu chce się wykręcić od bardziej niewdzięcznej roboty.

– Zaraz, moment...

Student. Zastąpił mu drogę i choć glaberyta trzymał równoległe do bioder, wyglądało to dość jednoznacznie.

– Górską ćwiczyła jazdę – rzucił ponuro. – Ona dubluje Fornalskiego, jeśli pamiętam.

– To amatorka, a tu mamy zawodowca.

– A tego – powiedział powoli Student, nie spuszczać spojrzenia ze stojącego naprzeciwko Łobana – akurat nie pamiętam. Żeby się zawodowym prawkiem chwalił.

– To nie to co indeks – mruknął Łoban.

Błąd. Powinien trzymać język za zębami. Szamocki miał sto innych powodów do zmartwienia, ale nie przegapił wyzywającej nutki w jego głosie.

– Dobra – machnięciem ręki wskazał prawe, niedokończone przęsło. – Zobaczymy. Póki co, nie mamy mostu.

Łoban wzruszył ramionami jak ktoś, kto złożył szlachetną propozycję, ale nie ma zamiaru przejmować się jej odrzuceniem. Klekocąc kombinerkami, ruszył w stronę kratownic.

\*

BWP przytoczył się rakiem: może w ramach pokazu czujności, może z obawy przed pociskiem czterdziestki, która prawdopodobnie poradziłaby sobie z drzwiami. Szamocki wezwał go przez służbowego radmora, tyle że po odczepieniu anteny. Dopiero widząc, jak to robi, zauważyłem, że nasz bewup też stracił antenę. Raczej za sprawą jakiegoś klucza niż zabłąkanej kuli.

Patrycja i tym razem wysiadła tyłem, pod osłoną sylwetki wozu – albo zabrakło dla niej kombinezonu zakrywającego polski mundur, albo ten, który dostała, wydał jej się za mało twarzowy. Inna sprawa, że rozumiałem ją: wślizgując się bez słowa do szoferki stara, wyglądała nie tylko profesjonalnie, ale i cholernie zgrabnie.

Nie zdążyła uruchomić silnika.

– Wchodzimy w to! – Skończyliśmy minutę wcześniej, ale Grzeškowiak odezwał się dopiero teraz. – Panie poruczniku!

Zrobił dwa kroki do przodu. Młody, trzymający się go jak cień, zrobił jeden, krótszy. Ale jednak.

– W co? – wyręczyła Szamockiego Patrycja.

– Obojętne. Jak się da zarobić, to czemu nie? Po to tu, kurwa, jesteśmy, nie? Żeby trochę kasy do domu zawieźć.

Nikt jakoś nie polemizował.

– Zwolniła się działka Fornalskiego – wzruszył ramionami Student. – Właściwie...

– Działkę Sławka bierze rodzina – wszedłem mu brutalnie w słowo. Kaśka siedziała obok, zlizywała krew z rozciętej dłoni i nie patrzyła na mnie. Pomagała nam, zachowywała się rozsądnie. Może dlatego mnie poniosło: bo na dwoje mieliśmy tego rozsądku więcej, niż oczekiwałem.

– Nie widzę tu żadnej rodziny – rzucił szyderczo. – No, chyba że za trójką robiliście.

Dostrzegłem kątem oka, że Kaśka się podnosi.

– Jedźmy już – powiedziała nie tyle spokojnym, ile znużonym tonem. – Szkoda czasu.

Dziwne, ale to ona, nie Szamocki, rzuciła hasło. Ważne hasło, może najważniejsze. Most czekał, jednak tam, pod nim, połyskiwała nie zamulona woda kanału, ale nasz prywatny Rubikon. Wcale nie musieliśmy go przekraczać. Byłem prawie pewien, że wszystkim chodzi po głowie to samo: nadal możemy spasować. Wycofać się, zając rozplątywaniem stryczka, w który wpakowaliśmy durne łby.

Partyzanci przyszli, partyzanci uciekli. Pustynia jest wielka, paru ludzi ma prawo rozmyć się w jej bezmiarze, nie budząc chorobliwych podejrzeń.

Mogliśmy zrezygnować. Po tej stronie jeszcze tak. Pokieroszowane wybuchem przyczółki dzieliło raptem kilka metrów, ale symboli nie mierzy się metrówką. Wiedziałem, że z tamtego brzegu nikt już nie zawróci.

– Jedziemy – westchnął Szamocki.

\*

Początek ceownika oparł się o betonowe elementy rampy, no a Patrycja prowadziła z wyczuciem. Nikt niczego nie zauważył. Potem też raczej nie: przednie koła stara wtaczały się w kolejne króciutkie przęsła wydzielone od dołu drewnianymi podkładkami i wszyscy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w węzowy taniec falującego profilu.

Wiedziałem, że korytka ceowników będą się wyginać, ale przeprawa miała wyglądać inaczej i zakładając wkopanie dźwigarów w skarpy kanału, po prostu pominąłem ten efekt. Nie wiem, czy słusznie. Chyba raczej tak. Blokowany ziemią ceownik nie miałby jak przesunąć się wzdłuż przęsła.

Inna sprawa, że trafiając idealnie, Patrycja zażegnałaby niebezpieczeństwo w zarodku.

Koniec profilu uniósł się tylko nieznacznie i opona pewnie przydusiłaby go do podłoża, gdyby nie uderzenie w boczną ściankę położonej na boku litery „C”. Zeszlifowałem ostre krawędzie, przewidując podobną sytuację, oponie nic się więc nie stało, ale pozioma składowa uderzenia omal nie doprowadziła do katastrofy.

Pchnięty tylnym kołem ceownik przesunął się kawałek na wschód – i to nie stanowiło problemu. Wraz z nim przesunęły się też trzy czy cztery skrajne podkładki – i to już problem stanowiło.



Patrzyłem z niedowierzaniem, jak pod naciskiem belek-podkładek, które zjechały ze swych miejsc nad węzłami kratownicy, jej górny, poddany ścisłaniu pas wygina się powolutku, lecz wyraźnie, sprawiając, że belki zjeżdżają głębiej w tworzące się doliny, dzięki czemu doliny rosną, dzięki czemu belki...

– Do tyłu!!!

Szamocki. To ja powinienem wrzeszczeć, ja tu byłem ekspertem od mostów. I nic.

Spanikowałem. Stałem jak słup i po prostu patrzyłem. Cała aktywność sprowadzała się do wydzielania ogromnych ilości zimnego potu.

Patrycja nie spanikowała. Nie pytając, nie wychylając głowy za spuszczoną szybę, praktycznie bez jednego widocznego z zewnątrz ruchu zmieniła bieg na wsteczny, przygazowała i gładko niczym na pokazie zjechała z przęsła.

Ceowniki prowadnic wyprostowały się, legły poziomo. Jakby specjalnie po to, by nam pokazać prześwity między drewnem a stalą. Kratownice też leżały poziomo i wyglądały z pozoru jak przedtem, ale wygniecione w górnym pasie doliny przetrwały. Podkładowki zawisły całe centymetry wyżej.

– Ty je tak mocowałeś? – Szamocki mówił cicho, jak ktoś, kto bardzo się stara nie podnosić głosu, bo czuje, że zaraz potem podniesie rękę. – Do ceownika? Od góry, nie od dołu?

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Znów ktoś udowodnił, że myśli i działa szybciej.

– Ty skurwysynu... – Student poderwał automat, niemal przystawił go Łobanowi do twarzy. – Módl się, gnoju! Słyszysz?! Rozwałę ci ten skurwiałły łeb!

Nikt się nie ruszył. Loban też nie. Odwrócił tylko głowę, mrużąc oczy. Niełatwo zaglądać w otwór lufy.

– Wiązał te belki! Te najbliższe, ostatnie! No i kurwa uwiązał! – Glauberyt wyskoczył do przodu, uderzył nad uchem. Łobanem zarzuciło; utrzymałby się pewnie na nogach, gdyby nie poprawka z buta. Upadł na kolana, po uchu i policzku popłynęła krew. – Zajebię cię, kutasie!

– Zostaw go. – W głosie Szamockiego pojawiły się znajome, oficerskie nutki. – Potem.

Mamy ważniejsze sprawy.

Święta prawda: mieliśmy. Na trochę gumowych nogach wszedłem na przęsło, ukląknęłem, obejrzałem z bliska kątowniki górnych pasów. Deformacja nie była wielka, ale star ma trzy osie i tył ciężarówki oddziałuje dwa razy mocniej. W dodatku Patrycja nie dojechała do środka mostu i siły w profilach nie osiągnęły maksimum.

Cholera.

Podniosłem się.

– Wytrzyma?

Szamocki dobrze zakamuflował bezradność, ale była w jego pytaniu i chyba każdy przynajmniej się jej domyślał. Popatrzyłem na Kaśkę, potem na klęczącego Łobana. W takiej

właśnie kolejności.

Nie, nieprawda: na początku, w mroku, na ułamek sekundy, prawie ocierając się o rzeczywistość, zamajaczyła mi jeszcze zgrabna dziewczęca sylwetka z niedużym plecaczkiem na ramionach. Ilona. Nie było jej tutaj, ale to z myślą o niej skinąłem głową.

## Rozdział 16

Plan był ryzykancki, ale prosty: przełożyliśmy jedną z prawych kratownic na lewą stronę, zwiększając jej nośność o połowę. Belki-podkładki były dostatecznie długie, by rozłożyć ciężar stara na całą trójkę, ale z myślą o bewupach, których gąsienice ani nie mieściły się w ceownikach, ani nie wymagały ich pośrednictwa, wpakowaliśmy ciasno resztę belek w dwa środkowe pola dźwigarów. Nie byłem pewien, czy nie rozwalę prawej strony mostu tym patentem, ale wiedziałem przynajmniej, że jeśli szlag trafi kratownice, to wszystkie trzy – tworzyły teraz jedną całość i powinny solidarnie przenosić obciążenie. O sierotę, która została po prawej stronie, zaczepiliśmy hak żurawia. Przyczółek mostu był na szczęście wystarczająco szeroki i zmieściły się na nim oba samochody.

Odczekałem, aż ostatnia ludzka sylwetka zniknie pod pancierzem bewupa, wsiadłem do stara i powolutku wjechałem w szyny ceowych prowadnic. Mogłem spaść, co przy kilku setkach zaopatrzonych w zapalniki pocisków szybko i bezboleśnie wyleczyłoby mnie z wszelkich problemów – albo przejechać i mieć z głowy przynajmniej ten jeden.

Łatwizna.

Gorzej było potem, gdy ciężarówka cała i nietknięta znalazła się na wschodnim brzegu.

Szamocki, z pistoletem w dłoni, był już przy moście. Przyświecając latarką, przestrzelił drut mocujący pierwszą podkładkę. Zmarnowaliśmy sporo czasu, tak było szybciej.

Zwalili z przęsła ceowniki, potem drewniane podkładki. Te zamocowane drutem odczepiano strzałami z pistoletu: Patrycja wzięła na siebie drugie przęsło. Długonoga, zręcznie balansująca na wąskiej ażurowej kładce, ruszyła w moją stronę, strącając stopą kolejne belki. W połowie kratownicy zatrzymała się na chwilę przy naprężonej linii, łączącej dźwigar z ramieniem żurawia. Byłem pewien, że odruchowo ciągnie stalową plecionkę, upewnia się o jej solidności.

Staliśmy potem obok, nie odzywając się do siebie, i patrzyliśmy, jak Student zajmuje miejsce kierowcy w pierwszym z wozów bojowych, żegna się i znika, zamykając za sobą właz.

Widział trochę gorzej, ale w razie upadku i dachowania lepiej mieć zamknięty.

Przypomniałem sobie o Kaśce. Straciłem ją z oczu w którymś momencie i teraz, patrząc na sunący w stronę mostu pojazd, nie byłem pewien, jak bardzo powinienem się bać.

Jeśli jest w środku, a most nie wytrzyma...

Wytrzymał. Prawe przęsło, to pojedyncze, skręciło się nieznacznie pod wpływem niesymetrycznie zamocowanego haka, ale naprowadzany przez Szamockiego Student przejechał gładko na wschodni brzeg. Dopiero wtedy przyszło mi na myśl, że żadnego z jeńców nie widać na zewnątrz i że wszyscy muszą siedzieć właśnie w tym, pierwszym wozie. Drugiego nikt nie pilnował; pozostawieni sami sobie mogliby uciec.

I faktycznie: Student wysiadł i ruszył w stronę mostu dopiero, gdy Patrycja wspięła się na pancierz. Zmiana warty. Ze wschodniego brzegu trudniej byłoby uciekać, ale wciąż mieściło się to w kategorii rozsądnych, nie do końca samobójczych działań i ktoś musiał pilnować wozu.

Drugi przejazd wypadł gorzej: bewup zawadził błotnikiem o linę odciążającą, Student skontrolował i omal nie wjechał prawą gąsienicą w pustkę między przęsłami. Skończyło się jednak na strachu – raczej obserwatorów niż kierowcy – i BWP, dziarsko porykując silnikiem, odtoczył się kilkanaście metrów w głąb pustyni. Dziwne, ale dopiero wtedy uświadomiłem sobie tak dobitnie, że to dookoła nas to już nie oddzielone błotnistym rowem sąsiedztwo bazy, lecz właśnie pustynia. Najprawdziwsza. Jedna z tych, które zabijają.

– Wsiadaj – rzucił Szamocki z kabiny stara. – I tak mamy spóźnienie.

Najbliżej miałem na wypełnioną amunicją skrzynię. Ze skrzyni łatwo skoczyć w mrok, ale przyszło mi to do głowy dopiero, gdy ciężarówka zajęła środkowe miejsce w krótkim konwoju i skok przestał wchodzić w grę z uwagi na jadący za nami wóz Studenta.

No i dobrze. Miałem dość podejmowania decyzji.

\*

Zjechaliśmy z drogi pół kilometra dalej, a po dwóch czy trzech następnych Szamocki zarządził postój. Zaparkował tuż obok stojącego między wydmami bewupa drugiej drużyny.

– Poczekaj. – Skoczył z szoferki wprost na pancierz. Usiadłem posłusznie na skrzynce amunicyjnej. – Dawajcie.

Musieli to uzgodnić wcześniej, bo z wjazdu wyłoniło się nie tylko popiersie Grześkowiaka, ale i od razu para ściskanych w rękach pocisków. Rzucił mi jeden. Złapałem. Drugiego na szczęście nie rzucał. Nadjeżdżający z tyłu Student włączył reflektory i chyba było widać, jak zastygłem ze zdziwienia z tym jednym.

Otworzyły się drzwi, z bewupa zaczęli wysiadać jeńcy. Szamocki przejął drugi pocisk z rąk Grześkowiaka.

– Wykręcaj zapalniki – powiedział. – Nie ma pustych skrzyń, a lepiej nie wozić luzem...

Cholera. Pomóżcie mu.

Miał na myśli Lechowskiego. Chłopak wygramolił się jakoś z bewupa, ale dwa kroki dalej upadł. Najpierw na kolano zdrowej nogi, potem już całkiem, na brzuch.

Kleczko i Łoban wzięli go pod pachy, odciągnęli na bok. Młody wdrapał się do mnie, na ciężarówkę, zaczął odbierać podawane z wieży naboje. Z włączów kierowcy i dowódcy wysunęły się dwa kobiece popiersia.

– Halo, panie inżynierze. – Student zaparkował za ciężarówką chwilę wcześniej, ale dopiero teraz zwróciłem na niego uwagę. – Automat poproszę.

Stał na pokrywie silnika, uśmiechał się i mierzył we mnie z takiego samego automatu, o jaki prosił. Szamocki zerknął w jego stronę, zawahał się, ale nic nie powiedział.

– Odbiło ci? – Lepszy tekst nie przyszedł mi do głowy.

– Mnie? To niby ja pociąłem jedyne zapasowe przęsło? – Nadal szczerzył zęby.

Zrozumiałem, że nie udaje i ma z tego autentyczną frajdę.

Zerknąłem na dół. Nikt się nie ruszał. Stali, patrzyli, czekali. Wszyscy, z Szamockim włącznie.

– Spadaj – warknąłem.

– Zrobiłeś już swoje – poszerzył uśmiech. Młody przezornie odsunął się ode mnie. – Niby czemu miałbym cię nie kropnąć? Mniej kłopotów, większa dola.

Znów było jak tam, przy moście: zostawiłem decyzję losowi, zamiast pogłowić się, wyważyć szanse i wybrać mniejsze zło. Nie odkładając pocisku, sięgnąłem do kabury. Bez pośpiechu. Pewnie to go zmyliło. Albo nie był zmylony, tylko po prostu rozsądny. Nie znał Ilony. Nie zrobiła mu z mózgu obolałej papki, chciało mu się żyć i wierzył, że innym też się dostatecznie mocno chce.

Potem, gdy uniosłem automat, mierząc mu w okolice twarzy, znów popisał się rozsądkiem.

– Gówno – rzucił przez zęby. – Nie przeładowałeś.

– A może jednak?

Ciekaw byłem, czy zdążę coś zauważyć. Ze cztery metry, trochę więcej niż jedna setna sekundy. Potem dostanę po twarzy, pewnie serią. A właśnie. Twarz.

Uniosłem głowicę przeciwpancerneho pocisku kalibru 73. Wyszło coś zbliżonego do salutu cholernie grubą szablą.

– Pojebało was? – Dobiegający z tyłu głos Patrycji był mocno stłumiony. Rozsądna dziewczyna.

– Błefujesz. – Student też spuścił z tonu. No, ale z drugiej strony twardziele tak właśnie powinni mówić: cicho, nokautując przeciwnika pewnością siebie, nie decybelami. Powoli, akcentując wyraźnie ten ruch, przesunął niżej koniec lufy przyciskanego do ramienia glauberyta.

– Bum, i nie ma jajek. Mam cię sprawdzić?

– Bez jajek w ciebie może nie trafię – przyznałem. – Ale w ciężarówkę to spokojnie.

Z jednego pata przeszliśmy do następnego. Kamizelka zatrzymuje pociski typu parabellum, a takimi miał do mnie strzelać. Chcąc osiągnąć błyskawiczny efekt, powinien trafić w twarz. Ryzyko: prawie połowę osłaniała głowica. Waląc serią po nogach czy podbrzuszu, też ryzykował: przy nie dość silnym szoku mogłem faktycznie wpakować parę kul w niego lub, co gorsza, w zwartą warstwę skrzyń z pociskami.

– Dobra. – Szamocki trochę się spóźnił, ale przynajmniej dobrze wykorzystał czas. Jego głos brzmiał dokładnie tak, jak powinien brzmieć głos dowódcy. – Koniec zabawy. Student, odłóż broń. Potem Adam odda swoją. Rozwalę łeb każdemu, który choćby krzywo spojrzy na drugiego.

Każdemu, jasne? Oficerskie słowo honoru. Mam trzy wozy, dwie wieże do obsadzenia

i czworo pewnych ludzi. Umiecie liczyć? Już teraz za mało. Jak się tu, kurwa, pozabijacie, to głównie wyjdzie z całego interesu. Dociera to do was?

Docierało. Student potrzebował tylko paru sekund, by opuścić automat. Ja opuściłem swój najwyżej sekundę po nim.

Szamocki podszedł do burty, wyjął mi broń z dłoni.

– Miał nabój w komorze? – zapytał cicho Student. – Teraz o tym pomyślałeś? Rychło w czas. Zeskoczyłem z ciężarówki. Nikt o to nie prosił, ale zdjąłem beryla z pleców i oddałem Szamockiemu.

– I co dalej, wodzu?

Wskazał palcem najpierw Kleczkę, potem zwolnione przeze mnie miejsce. Blondynek omal nie przebiegł po nas, tak gorliwie wystartował w stronę ciężarówki. Student usiadł okrakiem na lufie armaty z peemem przełożonym przez udo.

– Zawiodłeś nas, Adam – powiedział Szamocki. – I nie wiem, czy ta jatka to nie przez ciebie. Miało być bez strzału i może by było, gdyby nie zabrakło nam ludzi.

Chyba naprawdę tak to widział.

– To moja wina, że słowem nie pisnęliście?

– A czyja? No dobrze – uprzedził mnie. – Jej.

Nie zauważyłem, kiedy Kaśka zjawiała się obok nas.

– Wy za to graliście czysto – rzuciłem z goryczą.

– Mówisz o moście? – domyślił się.

– Rozminowaliście podejścia. Pójdzie na moje konto.

– Naprawdę mieliśmy jechać przez kanał. Ale bewupy są za ciężkie. W ostatniej chwili Afgańczycy zgodzili się wziąć systemy celownicze i...

– Słucham?!

– A myślisz, że po cholere się w to ładuję?

– On myśli, że dla forsy.

Miałem ochotę wytargać Kaśkę za kudły. Jej za długi jęzor był tej nocy nie mniej zabójczy od przeciążonych mostów, ciężarówek pełnych trotylu i wkurzonych eks-studentów.

– Forsa jest dobra – popatrzył jej w oczy. – Ale jak można przy okazji zrobić coś pożytecznego...

– Dla ojczyzny? – zakpiła.

– Też. Ale głównie dla kariery. Włożyłem dwa lata pracy w ten projekt. I jest dobry. A chcę go udupić.

– Wiesz co? Fajnie, że nie zająłeś się bronią jądrową. Boby nam tu właśnie jakiś grzyb przyświecał.

– Kasia... – zdobyłem się na spokojny ton i chyba popatrzyła na mnie z nadzieją. – Zamknij

się.

– No co? – wzruszyła ramionami. – Po prostu pytam.

– Mogę też? – wtrąciła się kucająca na stropie bewupa Patrycja. – Jedno proste pytanko.

Dlaczego niby panienka nie miałyby nas zakablować?

– Bo panienka chce żyć – wyręczyła Szamockiego Kaśka.

– Bo już nie panienka – dodałem. – Ma dziecko, rachunki do płacenia i za dużo lat, by się bawić w harcerkę.

Posłała mi dłuższe spojrzenie. I za dnia nie zgadłbym, co miało wyrażać. Patrycja zeskoczyła miękko na ziemię, musnęła łokieć Szamockiego.

– Powinniśmy pogadać. – Zrobiła tyłem dwa kroki, oddalając się od wozów, ale nie ruszył za nią, więc dodała: – W cztery oczy.

Nie patrzyła na Kaśkę, nie patrzyła na mnie. Nigdy bym nie pomyślał, że tyle osób może równie mocno zareagować na czyjeś niepatrzenie. Łańcuch pacyfistów rozbijających bewupa drugiej drużyny znieruchomiał, Student przestał wlepić wzrok w jeńców, a Łoban, siedzący beczynnie obok Lechowskiego, przeniósł spojrzenie ze swych butów na nas. Mój skurczony żołądek skurczył się dwa razy mocniej. Najwyraźniej nie ja jeden zgadłem, w czym rzecz.

– Powinniśmy pogadać – zgodził się Szamocki. Po czym popukał w zegarek. – Ale na cztery oczy nie ma czasu.

– To ważne. I potrwa chwilę.

– Mam ją zastrzelić. – To nie brzmiało jak pytanie, ale chyba nie dlatego Patrycja zasznurowała usta. – Dobra, powiedzmy. Adam, co ty na to?

– Ona nikomu nic nie... – zacząłem.

– Nie o to pytam – przerwał mi. – Wkurwisz się, prawda?

Wolałem nie odpowiadać.

– Bez przesady – mruknęła Patrycja. – Też już nie jest harcerz. Do jednej klasy chodzili.

– Afgańczycy będą próbowali nas rąbnąć – wyprostował pierwszy palec Szamocki. – Jak trafimy na Turkmenów, obojętne, rządowych czy anty, będą próbowali nas rąbnąć. – Drugi palec.

– Natowskie patrole będą próbowwały nas rąbnąć. A na koniec, jak się spóźnimy, to i nasi. Mało ci? Chcesz się jeszcze oglądać za plecy, na Adama?

Pięć rozłożonych palców robiło wrażenie, ale Patrycja nie rezygnowała łatwo. – No właśnie nie chcę. Ani tu, ani potem.

– A będziesz musiała.

– Bo co, mścić się będzie? Nikt nie rezygnuje z sześciuset tysięcy dla jakiejś laski – rzuciła gniewnie.

– A jak kocha? – uśmiechnął się przekornie.

– Kocha? O życiu mówimy czy o książkach? – Popatrzyła mi w twarz. – Do jednej pisze,

z drugą śpi, trzecią się pocieszy. Tacy są faceci. A sześć stów to sześć stów.

– Faceci, moja droga, są mniej praktyczni od was – pouczył ją Szamocki. – Dobrze mówię, Student? Z psychologii cię skreślili, powinieneś wiedzieć.

Musiał chwilę poczekać na odpowiedź.

– Zgadza się. Dają dupy, żeby mieć kasę. My robimy kasę, żeby nam dały dupy. Tak to w uproszczeniu działa.

Dość gorzko to zabrzmiało.

– Słyszysz? Fachowiec ci to mówi. – Powiódł spojrzeniem po twarzach jeńców. – Nie załapiecie się na pełną dolę; to nie rewolucja, komunizmu i równości nie budujemy. Ale wpadnie wam niezły grosz, jak będziecie współpracować. Każdemu. Im bardziej przydatny się okaże, tym więcej...

– Ja wchodzę – przerwał mu Grześkowiak. – Od razu przecież mówiłem. – Jakby dla podkreślenia woli współpracy, uniósł długi na metr nabój armatni. – Odłamkowe też?

– Odłamkowe zostają. – Szamocki zatrzymał spojrzenie na mnie. – Weźmiesz ten wóz, Adam. Ty dowodzisz, Grześkowiak w wieży, Kasia kieruje. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Sławek mówił, że nieźle sobie radziła.

– Co? – Patrycja aż warknęła. – Ona ma...?

– Wiem, że jesteś lepsza. Ale najlepszego kierowcy potrzebuję na stara. Bewupa niełatwo rozpieprzyć w tej piaskownicy, no i mamy dwa. A jak coś się stanie ciężarówce... – celowo zawiesił głos. – Pojadą z przodu, w razie czego wspomogą nas ogniem, a nam krzywdy nie zrobią.

– Ten star zrobił się kuloodporny?

– Zrobił się wart miliona dolców. A Grześkowiak nie jest idiotą. Nie jesteś, prawda? – Grześkowiak energicznie pokręcił głową. – Zresztą od tej pory obowiązuje zasada: jak zobaczą otwór waszej lufy, strzelam. Będziecie z przodu, więc spokojnie: na boki możecie śmiało walić.

Byle nikomu nie przyszło do głowy obracać wieży do tyłu. No to na razie tyle. Do wozów, panie i panowie. Aha, Adam: to na prawej ławce to benzyna. Gdyby do was strzelali, ustawiaj się raczej lewą burtą, bo się cholernie mocno usmażycie.

\*

Jechaliśmy w piątkę: poza wyznaczoną przez Czarka załogą pod pancernem 0312 zmieścili się jeszcze Młody i Lechowski. Ten ostatni leżał, zajmując większość lewej ławki.

Balansował na pograniczu przytomności i spadania na podłogę, więc ktoś wpadł na pomysł sklecenia mu legowiska z siatek maskujących. Młody usiadł przy prawych drzwiach, obok gniazdko interkomu. Za sąsiadkę miał plastikową beczkę z benzyną. Dalej, aż po wieżę, też zalegały rozmaite pojemniki z dala pachnące stacją paliw. Więcej przyzwoitych, wygodnych miejsc w wozie nie było, ale chyba nie dlatego Kleczko trafił do bewupa trzeciej drużyny.



– Spoko, Młody – usłyszałem Grześkowiaka w słuchawkach. – Tych do odstrzału porucznik wziął do siebie.

Nie wiem, czy pocieszył Młodego. Mnie nie bardzo. Zwłaszcza że wszyscy byliśmy w hełmofonach, a telefon pokładowy działał znakomicie. W sekundę później wóz najpierw podskoczył jak zając na jakimś kamieniu, a potem, czort wie po co, skręcił.

– Do odstrzału? – Nad głosem Kaśka panowała trochę lepiej niż nad wolantem.

– Łoban przegiął z tym mostem. Mógł nas wszystkich posłać do Bozi. I dalej się stawia. Odbiło mu.

– Ale ten w pizamie? – Młody sprawiał wrażenie bardziej poruszonego. – Przecież nic... Biegiem wszystko robi.

Grześkowiak nie od razu odpowiedział.

– Biegiem też niedobrze. Czyściłeś kible?

– Co? Znaczący... te u nas?

– Chłopaki robią sobie jaja z nowych. – Zrozumiałem, że mówi do Kaśki. – Że niby trzeba wiadrem i taką bańką na kiju. Guzik prawda, pompa przyjeżdża i szambo wysysa, ale paru się nabrało. Tyle że najgłupszy po paru minutach do Bruszczaaka pobiegł, pytać, czy na pewno. A Kleczko całe popołudnie zapierdalał.

– Macie tu fałę? – zdziwiła się Kaśka.

– Fałę? Na misji? – roześmiał się. – Falami to ten gówniarz ze strachu leje. W życiu nie widziałem bardziej wypłoszonego gościa.

– No to chyba nie będzie świrował? – zapytał niepewnie Młody. – Łoban to co innego, ale on?

– Słyszałeś, co Radosna mówiła. Nie chce się za plecy całe życie oglądać. A z takim mięczakiem na karku by musiała. Krzyknij, a wszystko wyśpiewa. Marzenie prokuratora.

– Strach też nieźle sznuruje usta – zauważyła Kaśka.

– Tylko że on się nie boi. On od razu wpada w panikę. Wtedy, nad kanałem, zwyczajnie się posrał. Myślałem, że to tylko takie głodne kawałki z książek, ale on normalnie...

– Nad kanałem?

– Co, Adam nie mówił? – Chyba się uśmiechnął. – No tak. Razem spodnie suszyli. – Odczekał znaczącą chwilę, nim dorzucił: – Nie no, żartuję, żartuję.

Nie byłem w nastroju do żartów.

– Uważaj, gdzie jedziesz – burknąłem. – Ma być dokładnie południowy wschód. – BWP natychmiast zaczął zygzakować, udowadniając, że kierowcę mamy równie zdyscyplinowanego, co zielonego. – To Kleczkę Bruszczaak posyłał na badania?

– Do psychiatry? A niby kogo? Jedna nocna warta: gostek strzela. No nic, bywa. Druga: znów coś mu się przywidziało. Jeb serią po wydmach. Kamerę już mieliśmy, ale Brus jeszcze to

przełknął. No to Kleczko wziął i na trzeciej granatem przypieprzył. Dobrze, że nasadkowym, daleko, bo jeszcze by komu krzywdę zrobił. Ale i tak stary się wściekł. Kleczko by wyleciał, tylko że akurat się ta afera z rentami zrobiła. Wie pani: co to „Wyborcza” pisała.

– Odszkodowania dla weteranów? – Wiedziała. – Urazy psychiczne z pola walki?

Parę miesięcy temu jedna z warszawskich kancelarii adwokackich wpadła na nowatorski pomysł dojenia państwa. Pozbierała byłych żołnierzy turkmeńskiego kontyngentu i wysmażyła pod adresem MON-u pozew o dwa miliony złotych. Argumentacja była prosta: na misję wyjeżdżali prawdziwi kozacy, duma Wojska Polskiego, a wrócili zestresowani nieszczęśnicy, którzy bez psychologa, prochów i wody porządnie zasnąć nie potrafią. Pracy znaleźć też oczywiście nie potrafią. Z winy wojennej traumy. Kontyngent polski był spory, zmiany, przynajmniej na początku, częste, a bezrobocie w kraju nadal dwudziestoprocentowe, więc obrotni prawnicy bez trudu znaleźli kilku byłych nadterminowych, którym armia nie zaproponowała kontraktu i którzy, jak miliony innych Polaków, zasilili szeregi bezrobotnych.

Sprawa zrobiła się głośna, bo z marszu przekuto ją na oręż polityczny. Żaden wyrok oczywiście nie zdążył zapaść, ale niektóre z prognoz były pomyślne dla powodów. Stawaliśmy się Zachodem i nawet ewidentnie idiotyczne pozwy miały w sądzie szansę, o ile za sprawę wzięli się dobrze ustawieni prawnicy.

– Radosna mówi, że nasi lekarze dostali cichy szlaban na wystawianie żółtych papierów.

Morale? Kwitnące. Optymizm? Tryska. Póki ktoś nie zacznie do kumpli strzelać, nie mają prawa dopatrzeć się żadnych odchyłek. Żeby potem psychiatra w kraju podkładki nie miał. Stresu się szeregowy nabawił? To chyba, kurwa, w samolocie, wracając. W turbulencję wpadli, stewardesa nakrzyczała albo co. Bo tu, u nas, do końca był Rambo. No i się Kleczce upiekło. Ze szpitala zadzwonili, że psychiatra chory i że może za tydzień, a z brygady, żeby Bruszcak dupy nie zawracał, nie mieszał, a jak mu wartownik na służbie za dużo strzela, to zabrać amunicję, i po krzyku. Albo dać na obierak, do kartofli.

– Proste – przyznała Kaśka. – Ale ten Kleczko... On nie udaje, prawda?

– Udaje. Żołnierza. Na studia się nie dostał, bo go egzamin zestresował. Potem w sztabie się dekował, no i jakoś mu starzy załatwili wyjazd do Azji. Chyba bał się powiedzieć, że boi się jechać. No i teraz mamy problem.

Zerknąłem w peryskop, ten środkowy, z noktowizyjną przystawką. Po bokach rosły już nie wydmy, lecz całe łańcuchy piaskowych gór, ale na razie jechaliśmy po płaskim. Trochę wiało, lecz też nie bardzo. Luksusowe warunki, które lada minuta się skończą. To nie był dobry moment, tyle że potem mogliśmy nie mieć już lepszego.

– To wasi kumple – rzuciłem od niechcienia.

– Ten zasraniec na pewno nie – zaprotestował Grześkowiak. – Kiedyś mu połówkę sprzedałem. Tanio, po kosztach prawie. Grzywacz go przyłapał, pyta, skąd wódka, a ten od razu:

„Grześkowiak handluje”. Nie, kurwa, że mu załatwił, swoją oddał czy co... Nie. Od razu: „handluje”. Grzywacz jest w porządku, więc tylko mnie opieprzył, ale jakby na innego trafiło...

Byłbym w plecy parę stów, o przepustkach nie mówiąc. Może nawet do kraju by mnie odesłali, bo wtedy jeszcze więcej chętnych mieli niż miejsc tutaj. To na takich kumpli ja sram.

– No a Łoban?

– Łoban jest w porządku – przyznał.

– Ale narozrabiał. Próbował zniszczyć most. Mogą go chcieć...

Nie dokończyłem. Czekałem na jego reakcje.

– Nie mój problem – mruknął.

– Jesteśmy im potrzebni. – Ostrożnie dobieierałem słowa. – Jak się wszyscy postawimy, trzy razy pomyślą, zanim...

– Powiedziałem Szamockiemu, że w to wchodzę. A u mnie słowo jest słowo. – Milczał przez chwilę. – To ile właściwie będzie tej forsy?

## Rozdział 17

– Możemy pogadać?

– Chwila. – Szamocki zrozumiał od razu, o co pytam, ale na odpowiedź musiałem poczekać. Prowadził w zastępstwie Sławka oznaczonego numerem 0313 bewupa trzeciej drużyny i choć szło mu nieźle, nie był w stanie sprawnie obsługiwać radiostacji. A tego wymagała poufna rozmowa: przechylenia się do tyłu, za składane oparcie siedziska kierowcy, i odcięcia celowniczego od nadajnika. Posadzony w fotelu dowódcy Kleczko mógł go wyręczyć w manipulacjach przy pulpicie łączności, wątpiłem jednak, by potrafił. – No, słucham.

Bewupy były stare, ale sieć nowa, więc mogliśmy gawędzić półgłosem, przekonani, że ryk silników zapewni dyskrecję. A ryczały zdrowo: prędkościomierz rzadko schodził poniżej pięćdziesiątki, co w pofałdowanym, pustynnym terenie wystawiało na ciężką próbę i maszyny, i pasażerów.

– Co jest grane? Co chcemy zrobić?

– Pytasz o plan? – upewnił się. – Jest prościutki. Dojeżdżamy na miejsce najdalej w dwie godziny, ubijamy interes, bierzemy forszę, wracamy. Razem najwyżej pięć godzin, chociaż jak dobrze pójdzie, to tylko trzy. Najdalej po szóstej będziemy w domu. Symulujemy walkę, odbijamy wóz i wzywamy pomoc. Im później, tym lepiej. Łatwiej wytłumaczyć, dlaczego Afgańczycy znikli bez śladu.

– Zacznijmy od miejsca. Wiesz w ogóle, dokąd jedziemy?

Nad całym przedsięwzięciem unosił się niemiły smrodek wielkiej improwizacji i choć brałem poprawkę na fakt, że mi nie ufali, wyraźnie go wyczuwałem. I słusznie.

– To akurat doktorek zaklepał na mur – westchnął.

– Czyli reszty nie?

– Nie znam szczegółów. To on złapał kontakt i negocjował. Chyba bali się zdradzać termin.

– To bez sensu.

– Mieliśmy być gotowi. Wiesz: most, lewa broń, przeciwiczone zadania. Wiedzieliśmy, że to w weekend i przy wietrze, żeby zatarło ślady. To znaczy obiecali, że dadzą znać z wyprzedzeniem, ale niewielkim. Chudzyński ich dusił w tej sprawie i w końcu przyznali, że ta nasza amunicja to fragment większego przedsięwzięcia. I sami nie znają daty.

– Większego? – Jeśli chciał do reszty popsuć mi nastrój, właśnie mu się udało. – Co, inwazję planują?

– Raczej wielki przerzut przez granicę. Wiesz: ludzie i narkotyki na północ, rekruci i broń na południe. Trzeba przekupić lokalnego dowódcę kordonu granicznego. Poważna inwestycja.

No i działania osłonowe w głębi kraju. Tu i po afgańskiej stronie. Duże przedsięwzięcie

logistyczne, duże wydatki. Nic dziwnego, że woleli nie ryzykować.

– Co innego my – rzuciłem z goryczą.

– Chudzyński zrobił, co mógł. Wytargował punkt wymiany tylko 60 kilometrów od bazy, chociaż żądali dostawy pod granicę. Pojechał tam i sprawdził, czy w razie komplikacji da się ukryć wóz. Podobno się da. Skalki, między nimi szczelina, zadaszona brezentem i piachem. Jeśli coś pójdzie źle, schowają stara.

– A bewupy?

– Też wejdą. Zresztą drugiego i tak nie sprzedam. Czymś przecież musimy wrócić, nie?

Wymontuje się tylko celownik.

– Celownik?

– W Afganistanie wszyscy używają ruskiego sprzętu. Nikt się nie zdziwi, jak ze zdobycznego wozu, który się popsuł, zniknie parę co bardziej chodliwych podzespołów.

– Chcesz im sprzedać celownik? I wracać rozbrojonym bewupem? A jak...? – nie dokończyłem.

– Myślisz, że po co wiesz te bańki z benzyną? Jeden strzał i płoniemy jak pochodnia.

Pokaże im się to, forszę rzuci w środek... Nie będą strzelać, bo po co? I tak nie odzyskają pieniędzy. A pożar przyciąga uwagę.

– Porąbało cię – powiedziałem z przekonaniem.

– I spokojna głowa – roześmiał się. – Nie rozbrajamy się. Celownika im nie dam.

Zdemontujemy w drodze powrotnej i schowamy gdzieś przed samą metą. Zakopie się, może wrzuci do kanału.

– Chyba się pogubiłem.

– Programator, Adaś. Szwedy są bez nich niewiele więcej warte od klasycznych pocisków. Zapalnik musi wiedzieć, kiedy zainicjować wybuch. Afgańczycy nie muszą kupować od nas celowników: mają własne. Potrzebują tylko programatorów. Ale samych programatorów im nie sprzedam. Podejrzanie by to wyglądało.

Fakt. Jeśli ze składnicy zginie nietypowa amunicja, żandarmi jakoś to przełkną: pociski leżały z brzegu, w nowych, ładnych skrzyniach, więc napastnicy brali je zamiast jakiegoś starego żelastwa. Uzasadniony przypadek. Gdyby jednak równocześnie z bewupów pozniwały elektroniczne przystawki, zainstalowane wyłącznie po to, by współpracować z eksperymentalną amunicją, ktoś dociekliwy mógłby zacząć węszyć.

– To twój pomysł, prawda? – Nie kryłem goryczy. – Mogliśmy im sprzedać zwykłe naboje i nie wytykać nosa poza bazę. Położyć most za Szóstką, tylko dla stara, zdemontować raz-dwa...

Nikt by nawet nie wiedział, że zwiali za kanał.

– Za niecałe trzy tony zwykłej amunicji nie dostaniesz miliona dolców.

– To trzeba było sprzedać całe trzy.

– I wpakować cię do pudła? Już zapomniałeś? Kratownice miały wytrzymać na styk, ledwo-  
ledwo. Żeby nikomu na myśl nie przyszło, że plutonowy Kulanowicz most budował, a nie dach.  
Zresztą ten star musi przed świtem zameldować się na afgańskiej granicy. Po drugiej stronie  
kurewsko nieprzejezdnej pustyni. Im mniej wiezie, tym lepiej.

– Te nowe przeciwpancerne nie wymagają programatora – rzuciłem mściwie. – A też ostatni  
krzyk techniki. Za pół tysiąca daliby milion. Nie trzeba by kombinować z bewupami i mostem.

– Na pepance nie ma dużego zbytu w Afganistanie. Oni chcą tego używać do granatników,  
nie bewupów. Przeciw piechocie.

– I w opracowywaniu przeciwpancernych inżynier Szamocki miał mniejszy udział, co?

– Odwal się, Adam. Akurat nad pepancami więcej się natyrałem. Chociaż fakt: projekt  
podpisał taki jeden dupek z lampasami. On by robił za autora nowej wunderwaffe terrorystów.

Ale nie o sławę chodzi. Po prostu z odłamkowych będą strzelać tam, u siebie, w górach.  
Z pepanca mogliby załatwić któryś z naszych wozów na granicy. Nie idę na to.

– Dobry z ciebie Polak. Przyślą ci medal do pudła.

– Nikt nie pójdzie do pudła. A za bewupa i drugi programator dostaniemy pół bańki ekstra.  
Starczy i na działkę Fornalskiego, i dla tych ponadplanowych.

Pięćset tysięcy dolarów. Na pięciu, licząc z Lechowskim. Łatwy rachunek. Kurs dolara waha  
się w granicach czterech złotych. Czyli w zaokrągleniu czterysta tysięcy na głowę. Za nic.

Za zatajenie jednego drobiazgu: że brali ich do niewoli, zmuszali do pracy i straszili  
rozwałką nie afgańscy partyzanci, tylko ludzie w polskich mundurach.

Cztery stowy. Za pierwszą można kupić porządne mieszkanie, przynajmniej w Stargardzie.  
Drugą do banku: z odsetek opłacałbym rachunki za owo mieszkanie, nawet nie mając innego  
dochodu. Taka kamizelka ratunkowa na ciężkie czasy. Ale przy odrobinie dobrych chęci i dwustu  
tysiącach rezerw łatwo o pracę: przebijasz konkurentów propozycją tyrania za bezcen, wyrabiasz  
sobie pozycję, nabierasz praktyki...

Wychodzi na to, że niepotrzebnie ryzykowałem dożywocie. Wystarczyło pójść do kibla  
w odpowiednim momencie, jak Kleczko. Albo zamówić sobie tańszą, bo zbiorową laskę  
u Patrycji, jak ci z północno-wschodniego bunkra.

Nie musiałem zabijać człowieka.

Byłem frajerem i nawet teraz, jako prawie półmilioner, nadal frajerem pozostawałem.

Zakończyłem rozmowę ponurym „bez odbioru”, na wszelki wypadek zdjąłem hełmofon,  
a potem pochyliłem się i zacząłem odpinać ten otulający głowę Kaški. Drgnęła, zniosło nas  
z kursu, ale potem siedziała już nieruchomo – o ile można użyć tego słowa w stosunku do  
kierowcy bewupa, zasuwającego na przelaj przez Kara-Kum – i cierpliwie znosiła moje zabiegi.  
W którymś momencie przestałem udawać, że chodzi wyłącznie o hełmofon: jej policzki były  
zbyt miękkie, kości szczęki za delikatne. Przez kilka sekund po prostu cieszyłem się ich

dotykami. Albo raczej myślą, że pozwala mi na to, co najmniej podejrzewając, o co chodzi.

Głupio zrobiłem. Potem, kiedy pochylałem się nad jej uchem, brakowało mi już przekonania. O jeden moment za długo, o jedną myśl za dużo.

– Uciekamy?

Hałas oddzielonego cienką ścianką silnika wymiół ślady intonacji z mego głosu. Słyszała pytanie i nic więcej. To tylko mnie brzęczały w nim fałszywe nutki.

Bardzo długo milczała. Pomyślałem, że znów składa mi w darze bezcenne sekundy.

Chyba ważniejsze od tych wypełnionych pieśczętą. Bo cokolwiek odpowie, usłyszę: „też nie wiem, też mam wątpliwości, tu nic nie jest oczywiste”. Potrzebowałem takiego pocieszenia.

Cokolwiek odpowie.

– Teraz? – Pochyliła głowę do tyłu, jej włosy obsypały mi połowę twarzy. – Bez pieniędzy? Po tym wszystkim?

\*

Najpierw była przerywana linia na ekraniku GPS-a. Potem rozkaz Szamockiego, by zwolnić. Kilkaset metrów przed drogą – o ile to coś zasługiwało na tak szumną nazwę – zjechaliśmy między pagórki i zatrzymaliśmy się.

– Wsiadka. Wszyscy poza Lechowskim.

Odbiornik charczał. Na zewnątrz nadal dmuchało, ale nie aż tak, by tłumić fale radiowe: widocznie Szamocki użył przenośnego radmora, i to spod pancerza. Nie byłem pewien, czy przesadza. Nasze radiostacje mogły pracować, skacząc z kanału na kanał, co praktycznie wykluczało wrogi podsłuch, ale nie mogliśmy ich przestroić bez szyfru-kłucza i istniało prawdopodobieństwo, że jakaś polska stacja nasłuchowa namierzy emisję. Albo że jej fragmenty nagra i potem poskłada do kupy któryś z amerykańskich satelitów szpiegowskich – nad tym rejonem świata było ich pewnie tyle, że zderzały się na orbitach. Odłączenie anten redukowało drastycznie i zasięg, i ryzyko wpadki, ale tu, przy teoretycznie używanym szlaku, znów byliśmy blisko potencjalnych uszu i Czarek postanowił podmuchać na zimne.

Wysiedliśmy. Na zbiorce obok stara zabrakło Lechowskiego i Łobana. Co do Kleczki, miałem wątpliwości: wysiadł wprawdzie z bewupa, ale pozostał przy otwartych drzwiach, kręcąc głową z regularnością metronomu: spojrzenie do środka, spojrzenie na nas, spojrzenie do środka...

– A ten co odstawia? – warknęła Patrycja. Ściągnęła hełm z zamocowanym noktowizorem, przetała mokre czoło. Było zimno jak cholera, ale nie zdziwiłem się, widząc pot.

– Pilnuje Łobana – wyjaśnił Student.

– To już lepiej, żeby nikt – wyraził swoje zdanie Grześkowiak. Dopiero teraz zauważyłem, że proces rozbijania go skończył się na karabinie, granatach i nadajniku. W uchwytach kamizelki wciąż dźwigał magazynki i bagnet.

– Bo? – zapytał krótko Szamocki.

– To mięczak. Robi, co każą. Jak mu Łoban każe odjechać... Panie poruczniku, ten gostek nas pośle za kraty, ja panu mówię. Pan lepiej uważa na niego.

Przez chwilę było cicho. Grześkowiakowi udało się zaskoczyć chyba wszystkich. Nawet Studenta, choć to właśnie Student przywołał na twarz ponury uśmiech.

– A nie mówiłem? Coś z tym trzeba...

– Potem – uciął Szamocki. – Pół kilometra stąd jest gruntowa droga. Trasa zaopatrzeniowa kontyngentu niemiecko-francuskiego. Legioniści patrolują ją w nocy.

– Legia Cudzoziemska? – upewniła się Patrycja.

– I czasem Niemcy. Ale to bardziej na wschodzie. Tu możemy spotkać Francuzów. – Powiódł spojrzeniem po twarzach. – To kilometr otwartej przestrzeni. Jak nas zobaczą, to albo my ich, albo oni nas. Jasne?

Znów nikt się nie odzywał przez dłuższy czas.

– To już bym wolał Niemców – przerwał milczenie Młody. – Pradziadka mi zabili.

Esesmani.

\*

– Nie wiedziałem, że tu są Francuzi.

Przy wyłączonym silniku akustyka wewnątrz bewupa była zaskakująco dobra. Słyszałem ciężki, przyspieszony oddech Lechowskiego. Słyszałem, jak Kaśka rozciera zmarznięte ramiona.

Trudno było przegapić pomruk Młodego.

– A co wiedziałeś? – zapytała.

– Znaczy się...?

– No, o tej wojnie.

Na odpowiedź przyszło nam trochę poczekać.

– Ja się tam polityką nie interesuję. – Pomyślał jeszcze chwilę. – Znaczy się wiadomo: al Kaida i takie tam... Że Arabcy do białych strzelają. Terroryci. Coś jak w Iraku. Ale tak dokładnie to... Staruszek ciągle przed telewizorem siedzi. Mnie to nie kręci. Nie mój biznes.

– Teraz już twój – zauważyłem.

– Bo ja wiem? – zastanowił się. – Wojsko płaci, pokazuje w kogo, to się strzela. A po co? – Siedział z tyłu i nie widziałem go, ale dałbym głowę, że wzruszył ramionami. – Nie moja sprawa. Robota i tyle.

– Ci z SS też tak mówili – przywaliła z grubej rury Kaśka. Widocznie pocieranie ramion nie pomagało i postanowiła podnieść temperaturę dyskusji. – Może nawet pradziadkowi.

Byłem pewien, że Młody zasznurowuje usta. Pomyliłem się.

– Stary powiedział, że co zarobię, to na gaz wydamy.

– Słucham? – Zaskoczył ją. Chyba głównie uśmiechem.



– Jak nasi do Iraku jechali, to rząd obiecywał, że benzyna stanieje. I co? Dała w górę, że aż wszystkim szczęki opadły. No a teraz podobno premier gadał, że o gaz walczymy. Bo Ruscy ceny mogą wyśrubować, a jak z południa przyjdzie, z tej Turkmenii czy tam Kazachstanu, to tańszy i bez łaski. No i staruszek się ze mnie śmiał, że akurat na tę podwyżkę zarobię, bo jak nic zdrożeje.

– Trzeba przyznać, że tym razem o ekonomii za dużo nie mówili – stwierdziłem. – Nawet nasze rządy się uczą. Za łatwo potem sprawdzić. Było o poradzieckiej broni biologicznej i imporcie islamskiego terroryzmu. No i o obronie demokracji. Bo Nijazow za demokratę robił w mediach.

– To ten, co go kropnęli? – upewnił się.

– Nie wiadomo, czy kropnęli. Oficjalnie sam zmarł. Uczciwy zamach był na następcę, a dopiero potem zaczęła się wojna wszystkich ze wszystkimi. Jak to po śmierci dyktatora.

Talibowie, agenci Iranu, agenci Rosji, agenci CIA, Uzbegy turkmeńscy, Uzbegy afgańscy, komuniści, armia, mafia narkotykowa, klany... W końcu zrobił się taki syf, że któryś rząd wezwał na pomoc NATO i przyjechaliśmy, chociaż w międzyczasie islamiści rząd rozgonili i Aszchabad trzeba było zdobywać. No, ale od razu powołało się Radę Tymczasową i już tu jesteśmy zgodnie z prawem, bo Rada nas znów zaprosiła, skoro już byliśmy na miejscu.

– A gaz, nawiasem mówiąc, zdrożał – dokończyła Kaśka.

Przez chwilę było cicho. Zastanawiałem się, po co mówię to, co mówię. Potem coś zaszeleściło z tyłu.

– Macie morfinę?

Lechowski. Próbował spać. Ja próbowałem o nim nie myśleć. W obu przypadkach sukces należało uznać za częściowy.

Złożyłem oparcie, zgięty w pół przecisnąłem się obok podwieżowego kosza, ukucnąłem przy ławce. Kaśka ruszyła moim śladem. Bez pytania włączyła latarkę. Twarz chłopaka w ostrym, białym świetle wyglądała jak kartka papieru. Okryliśmy go kawałkiem brezentu, ale to, co wystawało spod kusej kołdry, wyraźnie dygotało.

– Dałbym ci, ale... Straciłeś sporo krwi. Nie wiem, czy nie zaszkodzi. Boli?

– Jak stoimy, to mniej. – Głos miał słaby i też drżący. – Ale na tych wertepach...

Kaśka oparła się o moje ramię. Miłe. Podjeżdżająca pod nos ręka z napoczętą rolką bandaża już nie była tak miła.

Odsunąłem brezent i zakląłem w duchu. Opatrunek wyglądał jak gąbka nasączona czerwoną farbą.

– Opaska uciskowa się obluźowała. – Czulem, że Kaśka musiała trochę popracować nad rzeczowym i opanowanym tonem.

– Ja... sam. Trochę. – Lechowskiego stać było jeszcze na zakłopotanie. – Podobno jak za

długo... Uschnąć może, czy coś takiego. I potem tylko amputacja.

Głos mu zadrzał przy tym słowie.

– Trzeba zmienić opatrunek. Adam?

Utknąłem na dłużej: supeł. Męczyłem się, potem przyświecałem Kaśce, która wymruczała coś o dłuższych paznokciach i zamieniła latarkę na dostęp do przestrelonego uda. Pewnie wykończylibyśmy Lechowskiego coraz bardziej nerwową szarpaniną, gdyby Młody nie przypomniał sobie, że ma nóż. Dokładniej: breloczek-szczyryk z mikroskopijnym ostrzem.

Z rozpędu pociąłem i bandażę, i spodnie. Nim usunąłem tampon, Kaśka zacisnęła umieszczoną niemal w pachwinie opaskę, ale nie za bardzo pomogło: z niepozornej rany natychmiast zaczęła tryskać świeża krew w ilościach hurtowych. Odsunąłem dziewczynę i dodałem kolejny obrót przetyczki, skracając opaskę o następny centymetr czy dwa. Krew przestała tryskać i zaczęła się sączyć.

– Daj rękę. – Ujęła Lechowskiego za nadgarstek. Może po to, by uchronić mnie przed ciosem w szczękę. Przysporzyłem mu bólu. Ugniatanie uda, z którego strumyk krwi właśnie wypłukuje odłamek kości, musi boleć.

Biały szpikulec był maleńki, ale i tak trochę mnie zemdlilo. Odruchowo strąciłem go z nogi. Znikł z oczu. Z pamięci już nie. Guzdrałem się z opatrunkiem, nie mając odwagi uciskać porządnie żywego, ludzkiego ciała, w którego głębi tkwiło czort wie ile podobnych igieł. Tylko czekały, by szarpać odkryte nerwy i dziurawić naczynia krwionośne.

– Masz opatrunek, Młody? – Nad rękami jakoś panowałem, ale głos zaczynał mi drżeć. – Dawaj ampułkę.

Kaśka dała spokój ręce Lechowskiego, podniosła udo. Rany wylotowej nie było. Czyli odłamek, względnie pocisk pistoletowy. Czyli nie ja. Starąłem się nie myśleć o tym drugim, któremu wpakowałem karabinową kulę gdzieś w głowę. Udawało się. Teraz by się nie udało.

Miałem przed oczyma konkretną twarz, konkretne, rozprute metalem ciało.

Młody otworzył prawe drzwi, wysiadł, otworzył lewe, kucnął obok, czekając, aż skończę.

Kaśka też czekała. Odezwała się, dopiero gdy sięgałem po podsuwaną ampułkę.

– Może lepiej nie.

– Ma rozwaloną kość.

– Wiem, że boli – uśmiechnęła się łagodnie do Lechowskiego. Potem starła mu pot z czoła ruchem równie delikatnym co zdecydowanym. Matczynym. Nagle przypomniał mi się stargardzki park, fontanna naprzeciw kościoła świętego Jana, Olaf, który właśnie skończył kupione pod Rondem lody i startował w stronę huśtawek. Ilona zgarnęła go wtedy w biegu, wytarła twarz, upapraną od brody po strzechę jasnych włosów. Właśnie tak. Zazdrościłem mu.

Wszystkiego. Dotyku jej dłoni. Swobody, z jaką dojadła po nim resztki wafla. Pozornie zrzedliwych pogroźek o praniu ubrania razem z żywą zawartością.

Kaśka mówiła coś o przyspieszonym tętnie i szkodliwości narkotyków. Próbowałem słuchać. Nie wyszło. Był środek nocy, a nocą, jeśli akurat nie spałem, ciężko było przegnać z myśli to cholerne, szarookie nieszczęście imieniem Ilona. Może dlatego to powiedziałem: bo wolałbym czuć obok swego inne, szczuplejsze udo i miałem wyrzuty sumienia.

– Zostaniecie tu. – Popatrzyli na mnie wszyscy troje, idealnie zgodni w swym zdziwieniu i niepokoju. – To do zrobienia. Tylko musicie mnie wesprzeć.

\*

– Żartujesz... – Szamocki chyba naprawdę w to wierzył.

Staliśmy w zrytym gąsienicami miejscu, skąd 0313 skręcił na zachód. Nie odjechał daleko: słyszałem terkot silnika, dobiegający z wierzchołka pobliskiego wzniesienia. Nie byłem pewien, czy to jeszcze piaszczysta wydma Kara-Kum, czy skalisty pagórek wyżyny Karabil, rozciągającej się na pograniczu Afganistanu, ale czymkolwiek było, zapewniało dobry widok.

Ulokowany tam wóz miał panować nad okolicą. Za dnia wzrok sięgałby może i dalej, teraz jednak, skazani na noktowizory, mogliśmy, jeśli wierzyć Szamockiemu, kontrolować długi na dwa kilometry odcinek drogi.

– Widziałeś jego udo? Ma rozwaloną kość. Wykrwawia się.

– Nie mówię o Lechowskim. Jego mogę zostawić, jeśli tak woli. Ale Kaśkę? – Przez chwilę kręcił głową z niedowierzaniem. – Ty ją w ogóle pytałeś?

– Nie pali się do tego. – Było ciemno, zimno, księżyc raz po raz nurkował za chmury, nawet tu, osłonięci wzgórzem, musieliśmy stać tyłem do niosącego kurz wiatru. Nie musiałem tłumaczyć, dlaczego normalna, trzeźwa na umyśle kobieta nie skacze z radości na myśl o spędzaniu nocy w takim miejscu. – Ale się zgadza.

– No to nie musi. Bo jedzie z nami.

Cholera. Myślałem, że lepiej mi pójdzie.

– Boisz się, że ucieknie? – Zmusiłem się do kpiącego uśmiechu. – Stąd? Rodowity Turkmen ze strachu by się poszczał, a co dopiero... Zresztą Lechowski jej nie puści. Nie rozumiesz? Zostałby sam. Prędzej ją zabije, niż pozwoli odejść. Poczekają tu na nasz powrót i...

– To ty nie rozumiesz. Jest nam potrzebna. – Zerknął w stronę stara, machnięciem ręki zbył siedzącą w szoferce Patrycję. Pukała zdaje się w zegarek, przypominając o priorytetach. – Zostawiłbym ją, naprawdę. Też nie chcę jej narażać. Ale dobrze sobie radzi. Nie mam jej kim zastąpić.

– Ja mogę...

– W życiu nie miałeś własnego samochodu. Kleczko jest niepewny. Grześkowiak nie ma prawa jazdy, a potrafi obsługiwać wieżę; tam go potrzebuję. W ogóle potrzebuję każdej pary rąk i oczu. Cholera wie, co się jeszcze zdarzy.

– Jest jeszcze Młody.

– Nie znam go.

Ja też nie znałem. Mogłem mieć tylko nadzieję, że wymruczane pod nosem „no dobra” oznacza u niego coś więcej niż rzuconą na odczepnego, pustą obietnicę.

– To z nim pogadaj.

– Właśnie chciałem.

Ruszył w stronę naszego bewupa. Grześkowiak, z którym konferowali przez ostatnie kilka minut, przyglądał nam się, wychylony z wieży. Niedobrze, ale nic nie mogłem zrobić.

Młody wysiadł, nim podeszliśmy. Też niedobrze. Widać było, że na coś czeka, że dokonaliśmy wcześniej uzgodnień. Kaśka okazała się bardziej dyskretna, tyle że w jasnej sukience rzucała się w oczy, nawet klęcząc w głębi wozu, przy posłaniu Lechowskiego.

– Sto tysięcy dolarów. – Szamocki miał mocne wejście: Młody od razu zastygł w bezruchu. – Jak wszystko pójdzie dobrze, tyle dostaniesz. Oczywiście musisz się z całych sił starać, żeby poszło. Z RPG strzelasz?

– Znaczy się... tak jest.

– Głosowałeś za wejściem do Unii?

Teraz już wszyscy znieruchomieliśmy. Całkiem inaczej wyobrażałem sobie tę rozmowę.

– Ja? – Szamocki czekał cierpliwie i do Młodego dotarło w końcu, że musi odpowiedzieć.

– Znaczy się... tak. Ponoć o pracę będzie łatwiej. Zresztą i tak większość...

– A wiesz, co przegłosowałeś? – Młody nie wiedział i pokornie czekał na uświadomienie.

– Że koniec z państwami, narodami, patriotyzmem itede. Mieszkasz, gdzie chcesz, pracujesz, gdzie chcesz, mówisz w języku, który ci się bardziej podoba, twoja ojczyzna to już tylko rodzina i przyjaciele. Otacza cię wolny rynek i na tym rynku masz sobie poradzić. Musisz sobie poradzić.

Albo zdychasz. Zgadza się?

– No... no tak.

– Wolny rynek to konkurencja. To też demokratycznie wybraliśmy: konkurencję.

Załatwiasz innych albo oni ciebie. Wiesz, co tu robią Francuzi? Pilnują swoich interesów.

Amerykanie pilnują, my pilnujemy, wszyscy pilnują. Wleź im w szkodę, a rozwalą cię w drobny mak. Sprzedają tubylcom, co popadnie, broń też, i to taką, że przy niej nasza to kapiszony. Są twoimi konkurentami na wolnym rynku. Zrobią wszystko, by cię zniszczyć. Takie są zasady gry.

Nie my je wprowadziliśmy, tylko oni. Zabiją cię, Młody. Bez wahania. A już zwłaszcza legionieści. Wiesz, kto służy w Legii? Najemnicy. Płatni zabójcy.

Młody stał i tylko kiwał głową. Lekko, ale wystarczająco wyraźnie, bym z miejsca przekreślił plan A. Planu B nie zdążyłem uruchomić.

– Bierz granatnik – dokończył spokojnie Szamocki. – Jak ci każę w coś strzelać, to będziesz strzelał. Jasne?

– Tak jest, panie poruczniku.

## Rozdział 18

– Nie martw się – powiedziała Kaśka, kiedy odeszli. – To i tak by się nie udało.

Miała pewnie rację, więc zamiast polemizować, pokazałem jej palcem drugi koniec wozu: siedzisko kierowcy.

– Co by się nie udało? – zainteresował się Grześkowiak.

– Strajk. Adam chciał postraszyć Szamockiego strajkiem, jeśli mnie nie zostawi. – Mimo ciemności dopatrzyła się mego osłupienia, bo błysnęła zębami w uśmiechu. – Czego to faceci nie zrobią, byle się baby pozbyć. Ale nic z tego.

Słysząc było, że żartuje. Grześkowiak pewnie rozciągnąłby to i na paplanie o strajku.

Gdybyśmy byli sami.

– Niekoniecznie. – Lechowski nie trzęsło od paru minut, odpoczął, przestał się wykrwawiać. Może dlatego jego głos brzmiał bardziej donośnie. – Pozostaje drugi sposób.

Następny. Zacząłem podejrzewać, że dorwali się do jakiejś zakamuflowanej flaszki.

– Drugi sposób? – podchwycił Grześkowiak.

– To nie jest robota dla kobiet. Dla matek – poprawił się Lechowski. – Uzgodniliśmy z Młodym, że po cichu wypuścimy panią Kasię. Poczekaj tu. Jak przeżyjemy, wróci z nami. Jak nie, to pieszo jakoś się dowlecze do wody i ludzi.

– Po cichu?

– Miałaś patrzeć w drugą stronę. Plutonowy widzi coś z prawej, obracasz wieżę, sprawdzasz przez celownik, a w tym czasie ona skacze.

– Co? – Grześkowiak najwyraźniej nie wierzył. Ja też nie wierzyłem: że mogłem wymyślić coś tak idiotycznego.

– Jedziemy powolutku, wyskakuje, pada. Młody raz-dwa wciska się na jej miejsce. To da się zrobić.

– Pojebało was?! Przecież ci z tyłu...

– A myślisz, że po co wjechali na tę górę? – Na pomyśle postawiłem krzyżyk; broniłem już tylko swego honoru. – Mają się rozglądać, jak będziemy przeskakiwać drogę. Potem my ubezpieczamy, a oni skaczą. Dopóki stoją, jeden patrzy na zachód, drugi na wschód. Nic by nie zauważyli.

– To da się zrobić – powtórzył Lechowski.

– Już nie – zauważyła Kaśka z uśmiechem. Było za ciemno, bym potrafił ocenić jego rodzaj, ale sam uśmiech słyszałem wyraźnie. – Zabrali nam Młodego.

– I on na to poszedł? – zapytał Grześkowiak z niedowierzaniem.

– Plutonowy poprowadzi – kusił Lechowski. – Ty tylko udasz, że nic nie widziałeś.

– Pojebało cię?!

– Panie plutonowy, niech mu pan to powie. To co nam.

To nie miało sensu. Nie w przypadku Grześkowiaka. Ale im dłużej wyobrażałem sobie uśmiech Kaśki, tym więcej było w nim goryczy i rozczarowania. Nie miałem dość odwagi, by skapitulować bez walki. Zwłaszcza że to jej z pozoru idiotyczne wyznanie o niedoszłym strajku mogło być właśnie pokrętnym apelem o pomoc. Tonący brzytwy się chwytą.

– Legioniści mają cholernie dobre wozy. O tej porze to pewnie będą AMX-10RC. W praktyce supernowoczesne czołgi na kołach. Szybkie, zwrotne, z termowizją, przelicznikiem i wszystkimi bajerami. Od czołgu różnią się tylko słabszym opancerzeniem, no i chyba nie mają stabilizatora, więc nie strzelają w biegu. Ale za to jak taki stanie i wymierzy, to jak snajper: musi się mocno sprężyć, żeby nie trafić. Szybciej nas wypatrzy, dogoni i wymanewruje w każdym terenie, a rozwali pierwszym pociskiem. Tak to wygląda.

Grześkowiak milczał przez chwilę.

– Trochę chujowo – skomentował w końcu.

– Nie musimy nawet na nich wpaść przy przekraczaniu drogi. Wystarczy, że przejadą tędy, nim zasypie ślady. No a potem mamy jeszcze randkę z Afgańczykami. Diabli wiedzą, co kombinują. Też może trzeba będzie strzelać.

– No i?

– Nie powinniśmy mieszać w to kobiet.

– To nie moja kobieta. Nie ja ją mieszam. I nie ja w niej mieszałem – dorzucił z paskudnym uśmiechem. – Jakby dała pomieszać, to może i nadstawiałbym łeb. Ale darmo?

Pomyślałem, że Szamocki dobrze zrobił, zabierając mi automat. Ten gnojek aż się prosił o kulę.

– To propozycja? – Kaśka sprawiała wrażenie dużo spokojniejszej ode mnie. – Ciekawa, ale chyba nie skorzystam. Tu wcale nie jest tak fajnie. Już wolę jechać z wami.

Przez chwilę było cicho. Ruszyłem wzdłuż gąsienicy, cały czas zastanawiając się, czy nie skręcić wcześniej, nie wdrapać się na wieżę i nie skopać mu z karku tej roześmianej mordy.

Pewnie dawno zapomniał o szczyrzeniu zębów, ale i tak zrobiłbym to z przyjemnością.

– Krzysiek, ona ma córkę – usłyszałem cichy i może przez to brzmiący tak błagalnie głos Lechowskiego.

– A ja, kurwa, psa. Też z rozpaczy zdechnie, jak ją wypuszczę, a Szamocki wpakuje mi kulę w łeb.

– Nic ci nie zrobi. Jesteś mu potrzebny.

– A Kaśka jest potrzebna nam. Nie słyszałeś? Dwie bitwy się szykują. A załoga to trzech ludzi. Jak kogoś brakuje, zaczyna się pieprzyć. Co, ty ją zastąpisz?

– Plutonowy.

– A plutonowego? Myślisz, że dowódca jest tylko po to, żeby dupę wygodnie wozić? Nie wkurwiał mnie, dobrze? Nie pójdę do Szamockiego i nie powiem, co żeście kombinowali, bo kogo jak kogo, ale ciebie może spokojnie kropnąć. Ale nie wkurwiał mnie więcej takimi tekstami.

Trudno powiedzieć, czy Lechowski zrezygnowałby po tym ostrzeżeniu. Nie miałem okazji sprawdzić.

– Zbierajcie się, Adam – odezwała się zniecka radiostacja. – Raz kozie śmierć.

\*

To była chyba najgorsza droga w całym Turkmenistanie: zauważyłem ją dopiero, gdy rzuciła mną o strop. Inna sprawa, że tu, w rozległej dolinie, wiatr hulał jak się patrzy i pewnie przegapiłbym nawet przyzwoitą asfaltówkę. Szlaku, który przecinaliśmy, nie pokryto asfaltem: kiedyś przejechał tędy buldożer, zepchnął na boki co większe kamienie, i tyle. To na tych kamieniach tak nami rzuciło.

Potem też rzucało. Uformowane wiatrem fałdy przebiegały prostopadle do kierunku jazdy, a Kaśka nie żałowała paliwa. Dopadliśmy południowego łańcuszka wzniesień, zanim dobrze rozejrzałem się po okolicy.

– Ta górka na trzynastej. – Przynajmniej celu nie straciłem z oczu. – Zajedź z prawej.

Mniej stromo.

Kaśka skrzyła posłusznie. I dużo delikatniej niż na początku: zaczynała nabierać wprawy.

– Może być z lewej – mruknął Grześkowiak.

– Co? – Od razu zacząłem wypatrywać jakiejś przegapionej przeszkody. Teren był dość urozmaicony: trochę kamieni, gdzieś tam kępy traw, nawet parę krzaków.

– Jak staniemy prawą burtą do tamtych, łatwiej będzie się wymknąć. – Odczekał chwilę i dodał: – Kaśce.

Wiedziałem, że Kaśce. Zastanawiałem się tylko, na którym wyboju trzasnął aż tak mocno głową w strop.

– Pomożesz mi? – zapytała cicho. Wóz wyraźnie zwolnił. Nie miała dostatecznie podzielnej uwagi. Albo bała się, że kolejny podskok i zderzenie z blachami przywróci mu rozum.

– Na postoju nie ma sprawy. Adam zostaje, gdzie jest, a ciebie stąd nie widać. Wyłgam się. – Znów zrobił krótką pauzę. – Ale nie za darmo.

BWP skręcił w lewo. Byliśmy już blisko, więc manewr trudno było przegapić. Nie odezwała się. Musiałem sam zgadywać, co oznacza ten gest.

– Dobra – prawie się uśmiechnąłem. – Ile chcesz?

Kobieta, którą da się kupić, to chyba najgorsze, co się może facetowi przytrafić. Ale haracz to inna para kaloszy. Czasem prawie przyjemnie jest zapłacić. To trochę tak, jak z kwiatami: mężczyźni bulą słono za coś kompletnie bezużytecznego tylko po to, by udowodnić, że im



zależy.

– Od ciebie niewiele. Przetrzymasz ich z pięć minut. Powiesz, że chyba coś widzisz i żeby poczekali.

Wóz skręcił, Kaśka zmieniła bieg. Zaczęliśmy wspinać się po stromym, nierównym zboczu.

– Pięć wystarczy – dokończył Grześkowiak. – Dawno nie dymałem, raz-dwa pójdzie.

Zresztą to twój problem, Kasia. Jak się nie postarasz, nakryją nas i nici z ucieczki.

BWP toczył się dalej. Odporna maszyna: kierujesz, nie kierujesz – i tak robi swoje. Byłem pewien, że Kaśkę sparaliżowało. Dopiero potem przyszła ta druga, gorsza myśl: że rozważa za i przeciw, na tyle chłodno, by pamiętać jeszcze o obowiązkach kierowcy.

– Coś ty powiedział? – Nie miałem złudzeń co do niego, lecz mimo wszystko nie chciało mi się wierzyć.

– Jak mam być ślepy, to chcę laski – zaśmiał się. – Należy się ślepemu. Normalne chyba, nie?

Sam czuł, że nie; jego śmiech nawet po przefiltrowaniu przez telefon pokładowy brzmiał sztucznie. Ale wyzwanie i determinacja były autentyczne.

– Ile chcesz? – rzuciłem przez zęby. – Forsy.

– A ile byś dał? – zakpił. Kaśka milczała. Może była porządna jak bohaterka przedwojennej powieści i po prostu odebrało jej głos. Może.

Zatrzymaliśmy się. Chyba na szczycie wzgórza. Nie byłem pewien: gapiłem się w peryskop, zupełnie go nie widząc.

– Szamocki zaraz ruszy. – Mówiłem cicho, dzięki czemu jakoś panowałem nad głosem. – Ile? Dziesięć tysięcy?

– Dziesięć? Tanio ją cenisz.

– Dwadzieścia?

– A jak powiem: wszystko? Oddasz całą działkę?

Szach i mat. Nie umiałem nawet odpowiedzieć. Głównie dlatego, że nagle wyobraziłem sobie Ilonę w tym fotelu przede mną. Ilonę z jej niewyparzonym językiem i biblioteczką sprośnych dowcipów sto razy bogatszą od mojej. Na wskroś nowoczesną i na pewno nie mdlejącą z wrażenia, gdy ktoś proponuje zapłatę ciałem. Jej poprzedni szef zaproponował.

Powiedziała „nie” i wyłądownała na bruku. Ale afery z tego nie robiła. Była na to za dorosła, za dobrze znała ludzi. Teraz też pewnie nie doznałaby szoku, gdybym zapytał, co powinienem zrobić.

Nie wiedziałem, jak brzmiałyby odpowiedź. Ale w gruncie rzeczy nie o to chodziło.

Problem polegał na tym, że ją mógłbym spytać, miałbym odwagę. I że gdyby powiedziała: „zapłać”, po prostu bym zapłacił.

Dzieliły nas cztery tysiące kilometrów i jej obojętność, a nadal była mi bliższa od

dziewczyny, w której nieruchome plecy się wpatrywałem. Kochałem ją. Nie mogłem dać temu gnojowi pięciuset siedemdziesięciu tysięcy złotych, bo potrzebowałem ich, by o nią walczyć.

– Pies jebał forszę. – Milczałem za długo, a on ostatecznie kupował najdroższe w życiu minuty. Wyciekały mu przez palce, więc musiał nas popędzić. No i musiał sam przed sobą wytłumaczyć się z takiego szastania forszą. – Jak przeżyjemy, własną zarobię. Ale nie musimy przeżyć. Ostatni w życiu orgazm... To jest coś, nie? Za całą działkę mógłbym ci go sprzedać.

Może. Sam nie wiem. Po cholere trupowi forsa. Więc chyba jednak nie. Ale słucham.

Milczałem. Potrafiłbym przepchnąć przez gardło suche „Ilona?”. Kaśka nie była dla mnie warta siódmej części z miliona dolarów. Lubiłem ją, coś do niej czułem, ale...

– Mam ci obciągnąć, żebyś mnie wysadził pośrodku pustyni i zabrał szansę zarobienia czterystu tysięcy? – podsumowała tonem, w którym rzeczowość była na łeb oburzenie i temu podobne. – Czy ja wyglądam na kretynkę?

Nie zdążył odpowiedzieć.

– Jedziemy – przemówiło radio głosem Szamockiego. – Oślaniajcie nas.

\*

Oślanialiśmy ich. Na szczęście nieskutecznie.

Grześkowiak obrócił wieżę i pilnował wschodniej części drogi. Ja obserwowałem zachodnią. Szamocki dostosował się do tego układu i ruszył w naszą stronę z lufą zwróconą trochę bardziej na zachód, ale nie do końca nam ufał, więc armata wykonała swoiste „na prawo patrz”, oddzielona czterdziestopięciostopniowym kątem od obu potencjalnych celów. Pierwszym była droga, drugim my. Albo i na odwrót. Nie mieliśmy pocisków przeciwpancernych do działa, jednak sam Szamocki kazał pozostawić rakiety i dopóki znajdował się ze swym wozem daleko, wolał uważać. Właśnie daleko – nie blisko. Przeciwpancerny pocisk kierowany Malutka, mocno przestarzały, lecz wciąż w Wojsku Polskim podstawowy, potrafi upolować ofiarę z odległości trzech tysięcy metrów, ale – paradoksalnie – gdy dystans spada poniżej trzystu, nawet pięciuset, gwałtownie traci na celności. Właśnie ta cecha, wynikająca z całkowicie ręcznej metody naprowadzania, sprawiła, że czterdzieści lat wcześniej Rosjanie wyposażyli BWP-1 w działo do walki na krótki dystans, nam zaś tej nocy nie odebrano rakiet. Dopóki wozy trzymały się obok, jeden drugiemu nie mógł zrobić krzywdy Malutką. Teraz, przynajmniej na chwilę, znaleźliśmy się dostatecznie daleko, by pokusić się o celne odpalenie ppk.

Chyba uratował nas ten splot niemocy i nieufności.

Jadący przodem star zwalniał akurat u podnóża naszego pagórka, kiedy zauważyłem pierwszą wieżę. Nie było jej i nagle wyskoczyła zza wydm niczym diabeł z pudełka.

– Na zachodzie!

Obcy wóz pojawił się na tyle blisko, że Szamocki, osłaniając przeskok jak Bóg przykazał, pokusiłby się pewnie o strzał z armaty. Na szczęście obserwował głównie nas, potrzebował

czasu, by obrócić ruchomą pokrywę wjazdu, odszukać cel, wydać komendę. Do tego dochodziły sekundy wahania, wietrzenia podstęp, no i czas na obrót wieży. W sumie dłuższa chwila.

Zdążył zapanować nad pierwszym odruchem.

Gdyby BWP zahamował ostro i strzelił, raczej udałoby mu się trafić. Odległość nie przekraczała sześciuset metrów. Średnio dobry celowniczy powinien umieścić pocisk w przysadzistej sylwetce wozu. A Student był niezły.

Szamocki też okazał się niezły.

– Zmień na alarmową – warknął do mikrofonu.

Nie od razu zrozumiałem, że mówi do mnie.

Grześkowiak chyba trochę wcześniej zaczął obracać wieżę. Tak jak przedtem, przez lewą burtę: dobrze zapamiętał ostrzeżenie Szamockiego. Gdyby doszło do wymiany ognia, kosztowałoby to nas dodatkową sekundę i może śmierć – starcia współczesnych wozów bojowych przypominają pod tym względem pojedynki rewolwerowców.

– Co się dzieje?

Kaśka. Przy zamkniętym wjeździe niewiele widziała.

Zmieniłem kanał. Za późno. W uszy wdarła się końcówka przypominającego szczeknięcie meldunku. Szamocki. Tyle się dowiedziałem, bo czekał po angielsku.

Częstotliwość alarmowa była zarezerwowana na takie właśnie okazje: gdy sojusznicze oddziały wpadały zniemacka na siebie.

– Adam, jesteś? – Fali nie zmienił, ale język tak. Na szczęście. W szkole miałem niemiecki. – Odbiór.

– Słyszę, odbiór.

Mieliśmy niezły sprzęt, więc zwykle podczas korespondencji zżyci ze sobą rozmówcy odpuszczali ten „odbiór”: intonacja i zmiana sygnału wystarczająco dobrze informowały, że ktoś skończył nadawać, zwolnił kanał i czeka na odpowiedź. Ale przy przerzucaniu się szybkimi informacjami, w podwyższonym hałasie, nerwach, może huku wystrzałów, regulaminowy zwrot stawał się na powrót użyteczny.

– Zasuwasz na południe, partyzanci na zachodzie, pojazd terenowy, chyba ppk. Ścigamy ich. Działo w pogotowiu. Przełącz radmora na trzeci. Koniec.

Rozmawialiśmy przez pokładową radiostację bewupa. Sięgnąłem po doręczną, zamocowaną przy kamizelce, ale przy pierwszej próbie ręka nie trafiła.

Zobaczyłem drugi wóz. I w końcu zidentyfikowałem je.

Oglądane od czoła naprawdę przypominały czołgi. Te najnowsze, o wieżach tak masywnych, że nawet posiadacza najlepszego granatnika nachodzi zwątpienie, a pomysł ostrzeliwania stalowej bestii z jakiejś przenośnej zabawki zaczyna być utożsamiany z myślami samobójcy.

Wielkie, szerokie w barach potwory. Armaty jak ruskie rurociągi. Wiedziałem, że mimo

wszystko to nie czołgi, że ich działa kalibru 105 mm sprawiają wrażenie tak ogromnych właśnie dlatego, bo AMX-10RC to tylko bardzo ciężki samochód pancerny – ale jakoś nie było mi z tym lżej.

Gdyby Szamocki strzelił, ten drugi rozwaliby go zaraz potem. A po kilku sekundach także nas. Nie mieliśmy pocisków przeciwpancernych, armata odpadała. Malutka teoretycznie mogła trafić, gdyby Grześkowiaka nie zawiodły umiejętności i nerwy. Potrzebowałyby jednak trzech, czterech sekund, by dolecieć. Jeśli dodać do tego sekundy potrzebne na dokończenie obrotu wieży, nie mieliśmy najmniejszej szansy wyprzedzić tych w AMX-ie.

– Ruszaj, Kaśka. Na dół i w lewo. I gazu.

Ruszyła. Kapryśny 0313 Sławka pewnie nie przetrzymałby takiego startu, ale drugiej drużynie trafiła się lepsza maszyna. Silnik, mimo iż balansował na granicy zdławienia, zniósł podle traktowanie. Pomogła też grawitacja.

Na dole przypominałem sobie o Grześkowiaku. Lufa dotarła już nad pokrywę silnika, na szczęście jednak dziewczyna od razu zaczęła skręcać i obrót podwozia zredukował postępy wieży. Francuzi nie zajrzeli celownicemu w oko, nie stanęli przed koniecznością błyskawicznego odpowiedzenia sobie na pytanie: „ryzykować czy strzelać”.

– Nie celuj w nich! Wieża stop!

Znów nie trafiłem w przełącznik radmora: Kaśka wzięła sobie rozkaz do serca i od razu zaczęło nami rzucać. W bocznym peryskopie mignął mi jakiś cień. Chyba star, ale pewności nie miałem: w noktowizor wyposażony był tylko ten środkowy. W ogóle nagle oślepnęłam, bo wszystko, co ważne, działo się na północny zachód od nas, a tamtą ćwiartkę świata skutecznie przesłaniała mi wieża naszego wozu.

Gówniany, stary rupieć. Po PRL-u zostało nam przeszło pół setki porządnych, nowych bewupów z dwuosobową wieżą i szybkostrzelną armatą – no to je sprzedali do Afryki. Za bezcen, po cenie ciężarówek. Ktoś pewnie wziął grubą łapówkę, ktoś dostał medal za oczyszczenie garaży z sowieckiego paskudztwa i przygotowanie miejsc na nowoczesne, zachodnie pojazdy, które w zasługę za obalenie komuny wdzięczne NATO podaruje w prezencie. No i minęło z dziesięć lat, a ja nawet nie mogłem popatrzeć na facetów, którzy nas zabijają.

W końcu nastawiłem radiostację. Otworzyłem też włącznik: fala musiała się jakoś wydostać z żelaznej puszki.

– Jestem!

– Rąbnij z kaemu na prawo skos. – Szamocki chyba na to czekał, bo odpowiedział błyskawicznie. – I jedź szybciej. Może uda ci się oderwać na strzał z Malutkiej. Kazali czekać.

Pytają sztab. Cholera, musimy ich rozwalić. Nie popuszczają. Odbiór.

Miałem dotąd cichą nadzieję, że zdoła się z nimi dogadać. Wcisnąć jakiś kit. Po to bawił się w tę zonglerkę nadajnikami i kanałami: by móc rozmawiać i z nami, i z nimi. Rozgraniczenie

strefy polskiej i niemiecko-francuskiej było niedaleko stąd. Niby dziesiątki kilometrów, ale to pustynia, a na pustyni odległość mierzy się inaczej. Studniami, skrzyżowaniami dróg, osiedlami.

Trochę nas zniosło poza własny rejon, ale takie rzeczy się zdarzają. Mogli nas zignorować, kupić bajkę.

Gówniany, stary rupieć. Turkmeni używali bewupów, Afgańczycy używali bewupów – ta sylwetka nie kojarzyła się najlepiej. Budziła podejrzenia.

Nie musiałem dedukować, by dojść do wniosku, że załogi AMX-ów nie całkiem nam ufają. Gówniany stary rupieć dorobił się nowoczesnego systemu samoobrony, na który składały się także detektory promieniowania laserowego. Czołgi, śmigłowce, niektóre wyrzutnie ppk, artyleria – wszystko to używa laserowych dalmierzy lub podświetlaczy, by precyzyjnie namierzyć ofiarę. Turkmeńscy partyzanci raczej nie dysponowali tak wyrafinowanym sprzętem, ale zdarzały się wyjątki i dlatego kto miał środki przeciwdziałania, używał ich rutynowo na zasadzie dmuchania na zimne.

Pisk w słuchawkach i mruganie stosownej kontrolki ostrzegły mnie, że właśnie zainteresował się nami jakiś laser. Cudownie. Koniec marzeń o francuskich naiwniakach.

Słyszałem, że pytają o coś, Szamocki odpowiadał, ale...

– Grzeškowiak, seria z kaemu na południowy zachód.

– Co? Tam nikogo...

– Strzelaj, kurwa, nie gadaj!

Sprężony z armatą karabin maszynowy błysnął jedną krótką serią, potem drugą.

Smugowe pociski pomogły tym z tyłu zorientować się, że nie na nich polujemy. Obróciłem się wraz z pokrywą wjazdu, próbowałem wypatrzeć sylwetki wozów. Udało mi się tylko z bewupem Szamockiego. Francuzi nadjechali z zachodu i choć teraz byli raczej na północ od nas, wieża nadal mi ich przesłaniała.

Przejechaliśmy trzysta metrów. Cztery...

Nikt nie strzelał. Gdyby strzelał, też bym nie zauważył: dla skomputeryzowanego systemu celowania poniżej kilometra właściwie nie ma co mówić o prawdopodobieństwie trafienia. Pocisk trafia i już. Mieliśmy muszkiety przeciw karabinom snajperskim najnowszej generacji, a w dodatku lufy tych muszkietów spoglądały w niewłaściwą stronę.

Beznadzieja.

– Dobra, Adam. Zwalniaj i skręt w prawo. A jak powiem, ostry zwrot na północ i strzelacie.

Jezu. Dobrze, że nie bawił się już w konspirację i powiedział to przez główną radiostację.

W Legii służy sporo Słowian, ktoś mógł zrozumieć, ale przynajmniej nie musiałem powtarzać Grzeškowiakowi. Nie wiem, czy dałbym radę przekazać to tak, by usłyszał.

Ale Kaśka... W jej przypadku nie mogłem udawać, że mnie tu nie ma.

– Kasia, trochę wolniej.

Zwolniliśmy. Myślałem o rodzicach. Jak to zniosą. I o Ilonie. Czy będzie jej przykro.

Będzie, na pewno, przynajmniej tyle dla niej znaczyłem, ale...

– Wszystkie odbiorniki na trzeci kanał. Szykuj dymne. Wiecie, jak odpalić?

Wszystkie, a więc i jego. Czyli koniec zabawy w ciuciubabkę. Przechodzimy od słów do pocisków.

– Wiemy. – Jakoś wziętem się w garść, wypchnąłem z głowy szarooką wampiryzę. – Kaśka, skręć w prawo.

Skręciła. O nic nie pytała. Kochana dziewczyna. To ją powinienem...

Wtedy, na ławce przed Domem Kultury Kolejarza spieszyłem nie tylko okazję. Może spieszyłem także całe życie. Albo i dwa. Albo i trzy – przecież jeśli zabiją nas teraz, to i jej córce się dostanie. Zawiodłem ją. Jeśli nie była porządnie wstawiona, to ten gest z głową na mych kolanach musiał ją sporo kosztować. A brak odzewu jeszcze więcej. Upokorzyłem ją wtedy, a teraz zabijałem. Gdybym zareagował jak trzeba, wziął za rękę, pomógł przeleźć przez płot i kochał się z nią na działkach, nasze życie potoczyłoby się inaczej. Nie wiem jak. Ale na pewno nie rozstrzelano by nas z francuskiej armaty kalibru 105.

– Uwaga...

Szamocki. Czujnik promieniowania milczał, lecz to niewiele znaczyło. Teren był pofałdowany, właśnie wtaczaliśmy się w kolejną nieckę. Jeśli legionieści jechali za nami, laser nie mógł być w użyciu: bez stabilizatora wiązka miotałaby się jak szalona, kierowana to w niebo, to tuż przed koła. Ale na pewno obserwowali nas uważnie. I na pewno wszystkie atuty, z prawem pierwszego strzału na czele, były po ich stronie.

– Jak zrobię zadymę, sam się osłepię. Grześkowiak. Prawie go nie poznałem: coś dziwnego stało się z jego głosem.

– Uwaga – powtórzył Szamocki. Nos bewupa zadarło, znaleźliśmy się wyżej i nagle ich zobaczyłem. Całą trójkę.

BWP był ze dwieście metrów od naszej prawej burty. Wciąż jechał na południe, ale wieża spoglądała nawet nie na zachód, tylko już trochę za siebie. Może pół kilometra dalej, kiwając do taktu długimi lufami, dwa krępe wozy rozpoznawcze pokonywały fałdy piaszczystego bezdroża.

Buchający na boki kurz dowodził, że jadą szybko.

Potem, kiedy słuchawki zawibrowały nerwowym „już!”, dostrzegłem coś jeszcze: że ten z tyłu ma o wiele dłuższą lufę. Oglądałem ją z półprofilu.

Jechali szybko i przynajmniej jeden szykował się do ostrzeliwania skrytych na zachodzie terrorystów.

Dali się nabrać. Zaufali nam. Przynajmniej w połowie.

Polskie szachownice na wieżach, natowski kamuflaż, radiostacja pracująca na kodowanym, natowskim kanale... Uwierzyli. Zyskaliśmy szansę. Nieuchronna egzekucja zmieniła się w walkę.

Chyba dość uczciwą.

To oni oddali pierwszy strzał. Jeśli strona potencjalnie silniejsza strzela pierwsza, wolno mówić o uczciwej walce.

– Skręt! – krzyknąłem. I od razu potem: – Stop!

Kaśka zrobiła coś, czego kierowca bewupa powinien unikać jak ognia: jadąc szybko, szarpnęła wolantem, zmuszając wóz do skrętu po minimalnym promieniu. Połączenie tej techniki z piaszczystym podłożem może skończyć się zgubieniem gąsienicy i podczas krótkiego kursu Sławek ostrzegął ją przed tym co najmniej z dziesięć razy.

Grzmotnąłem o coś głową. Na szczęście byłem w hełmofonie, więc zamiast świeczek ujrzałem sylwetkę stara – nagle zjawił się obok, przekrzywiony jakiś, nieruchomy, rozmazany gałęziami saksaułu, w którego kępę się wpakował. Nie miałem czasu ani patrzeć, ani zastanawiać się, co tam robi.

Wóz Szamockiego kończył półobrót, równie ciasny jak ten nasz, tyle że wykonany na znacznie mniejszej prędkości. Prawie zdążył. Prawie. Jego działko plunęło ogniem pół sekundy po armacie prowadzącego AMX-a.

Pół sekundy to dużo. Na Dzikim Zachodzie tyle właśnie odróżniało partacza od mistrza rewolweru. Któryś z legionistów – może dowódca, może celowniczy – zobaczył gwałtownie odwracający się wóz, zrozumiał, na co się zanoszą, i podjął decyzję. Chyba słuszną. Dystans był niewielki, pancerze symboliczne w porównaniu z siłą rażenia pocisków. Pierwszy, nawet oddany w pośpiechu strzał, powinien być celny i dlatego lepiej było strzelać jak najszybciej, choćby i kosztem precyzji.

Trafili obaj.

0313 oberwał pierwszy. Całkiem nieźle, biorąc pod uwagę, że AMX wypalił niemal w locie, przeskakując kolejny garb terenu i dotykając ziemi najwyżej połową spośród swych sześciu kół.

Nie było wybuchu. Zobaczyłem pióropusz iskier, kawałki prawego reflektora odpadły od wozu, sto metrów dalej wyrósł wysoki na dwa metry słup kurzu. Przelot pocisku kalibru 73 wyglądał znacznie bardziej efektownie. Najpierw błysk z lufy, potem drugi, odpalanego silnika raketowego, maźnięcie mroku ognistym pędzlem odrzutu, a na koniec kula ognia, za którą znikła sylwetka sześciokołowca.

– Wal w drugiego! – krzyknąłem.

Pierwszy chyba przestał się liczyć: Student trafił blisko środka i choć strumień kumulacyjny ominął amunicję, załozde na pewno porządnie się dostało. Gruby, czołgowy pancerz, nawet jeśli skapituje przed wiązką skondensowanej energii, może osłabić ją na tyle, że ukryci po drugiej stronie ludzie wychodzą niemal bez szwanku. Ale AMX ważył niewiele więcej od naszego bewupa i opancerzony był cienką, aluminiową blachą. Po trafieniu dwukilogramową głowicą powinien zmienić się jeśli nie w trumnę, to przynajmniej w oddział intensywnej terapii.

Nie było sensu marnować na niego rakiety.

Inna sprawa, że i tak ją zmarnowaliśmy.

Drugi AMX przytomnie skręcił w lewo, dzięki czemu jego zwrócona w bok armata nagle ustawiła się osi do nas. Błyskawiczny manewr i hamowanie zaraz potem. Zdążyłem zauważyć, że i miejsce wybrali znakomicie – za buchającą pierwszymi kłębami dymu sylwetką trafionego wozu – a Grześkowiak zdążył odpalić Malutką.

Wszystko działo się bardzo szybko, ale jakoś udało mi się zrozumieć, na co się zanoszą.

– Kasia, zawsze chciałem cię mieć.

Całkiem spokojnie to zabrzmiało.

Zaraz potem koniec lufy AMX-a znikł, przesłonięty plamą ognia, i niewidzialna lokomotywa zderzyła się z naszym wozem.



## Rozdział 19

Dostrzegłem skręcającą w górę i szybującą ku gwiazdom raketę. Łoskot dartej stali przewiercił mózg, oszołomił.

Czekałem na żar płomieni, ból. Historie pancernych bitew pełne są opisów smażonych żywcem ludzi. Zatrząskując za sobą drzwi bewupa, zawsze miałem przykre uczucie chowania się w piekarniku, który ktoś przez nieuwagę wcześniej czy później włączy.

Nie było ognia. Łomot w uszach – owszem. Śmierdziało spalenizną. Ale nie paliliśmy się.

Jeszcze nie.

– Adam?!

Obróciła się w fotelu, złapała mnie za rękę. Sam nie wiem: w geście niesienia pomocy czy ucieczki. Tak czy siak otrzeźwiło mnie to.

Wypiąłem hełmofon, wyskoczyłem na pancerz. Nie wiem, skąd pewność, że powinienem.

To mogło być coś takiego jak w wozie Szamockiego – niegroźna, choć spektakularna obcierka.

Sto pięć milimetrów. Takie pociski nie pozostawiają ofiar z szumem w uszach. Nie mogliśmy dostać tak naprawdę, bo gdybyśmy dostali...

A jednak trafili nas. I to dobrze. Nie w reflektor.

Gruba na kilka centymetrów metalowa strzała ugodziła w bok kadłuba, trochę poniżej wieży. Gładko przebiła obie warstwy pancerza i odleciała w głąb pustyni, jakimś cudem nie niszcząc po drodze niczego istotnego. Z wyjątkiem celowniczego. Dostał wystarczająco mocno, by runąć z siedzenia i zwolnić je dla mnie.

Zacząłem włączyć do środka. Dopiero gdy nogi trafiły na coś miękkiego, przypomniałem sobie, że nie mamy przeciwpancernej amunicji do armaty. Prawdopodobnie tylko dlatego żyliśmy: że większa część uchwytów na naboje była pusta i francuski pocisk nie natrafił na nic wybuchowego.

Pozostawały Malutkie. Mieliśmy jeszcze trzy, w kadłubie na prawo od wieży. Po chwili manewrowania mógłbym się do nich dostać, ale pomijając wszystko inne, nigdy w życiu nie ładowałem tego draństwa na wyrzutnię i nie miałem pewności, czy udałoby mi się to przed wschodem słońca.

Przycisnąłem twarz do okładziny celownika. Gdyby szlag go trafił, mógłbym z czystym sumieniem porzucić tę żelazną trumnę, wywlec Kaškę i wiać gdzie pieprz rośnie. Ale dostaliśmy przeznaczonym do dziurawienia najcięższych czołgów pociskiem podkalibrowym, przeleciał przez nas jak przez papier i – pomijając Grześkowiaka – właściwie nie narobił szkód. Celownik w każdym razie ocalał.

Pierwszą rzeczą, jaką mi ukazał, był płomienny ogon pocisku kalibru 73. Przyspieszany raketowym silnikiem, minął o włos pierwszego AMX-a i odleciał na północ, by eksplodować dwie sekundy i dobry kilometr dalej.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że po trafieniu prowadzący sześciokołowiec przejechał jeszcze kawałek. Musiał, skoro stał teraz bokiem do nas. Jego towarzysz skorzystał z tego – chowając się za nieruchomą sylwetką. Nie znikł całkowicie, widziałem kawałek lufy, część wieży. Student też musiał coś widzieć i dlatego strzelił.

Niestety, chybił.

– Z wozu, Kaśka!

Na miejscu francuskiego dowódcy przesunąłbym teraz maszynę o dwa metry i wpackował pocisk w groźniejszego z przeciwników. Czyli w tego z załadowanym działem. Czyli w nas.

BWP Czarka miał swą szansę, zmarnował ją i na kolejną musiał poczekać jakieś osiem sekund.

Mniej więcej takie tempo zapewnia automat ładujący naboje.

Nie miałem czasu sprawdzać, czy z wjazdu kierowcy wylania się jasna plama sukienki.

Musiałem oszacować odległość, ustawić celownik. Nie mieliśmy, jak tamci, laserowego dalmierza, cyfrowego przelicznika. Dobrze chociaż, że widziałem przeciwnika.

AMX, ten drugi, schowany, nie ruszał się. Zwalczyłem pokusę strzelania do kawałka, który widzę. Wciąż wiało, a przy wietrze działo BWP-1 robi się wyjątkowo mało celne. Bez wiatru też zresztą nie poraża precyzją. No i, prawdę mówiąc, nigdy w życiu z niego nie strzelałem. Teorię znałem, ale praktyka... Woląłem nie ryzykować. Zamiast tego podłączyłem hełmofon do sieci.

– ...u was? Adam, zgłoś się!

– Jestem. Grześkowiak dostał. Reszta chyba w porządku.

Coś się poruszyło w celowniku. Właz w stropie wieży bliższego AMX-a. Ktoś wypelzał na zewnątrz. Powoli. I nic dziwnego, że powoli. Musiał oberwać, był oszołomiony. Gdyby nie był, wybrałby drzwi: mieli je z boku, na lewej, niewidocznej burcie. Nie było dużo dymu. Zniszczenia wywołane przez pocisk nie mogły być wielkie, skoro pancerniak przeżył i był w stanie się poruszać. Czyli nic raczej nie zablokowało tamtego, bezpiecznego wyjścia.

Był w szoku i nie był groźny. Wmówiłem to sobie razdwa i już więcej nie myślałem o dobijaniu go serią z kaemu. Powinienem, ale nie chciałem i skorzystałem z pierwszego poręcznego pretekstu.

Student też nie strzelił. Pewnie nie mógł: w trakcie ładowania armaty mechanizm ustawia ją w ściśle określonym położeniu, blokując tym samym karabin.

Drugi AMX ruszył w końcu. Do tyłu.

Byłem święcie przekonany, że przesunie się w przód, ku wschodowi. Sylwetka uszkodzonego towarzysza osłoniłaby go wtedy jeszcze lepiej przed Szamockim, ja zaś

znalazłbym się w celowniku. Gdyby wygrał pojedynek strzelecki – a jako lepiej schowany i wyposażony w lepsze działo powinien – mógłby spokojnie przeładować i pomyśleć o zapolowaniu na drugiego przeciwnika.

Tymczasem wrzucił wsteczny i zaczął znikać mi z oczu.

Uciekinier z wieży trafionego sześciokołowca zsunął się głową w dół. Przez chwilę wyobrażałem go sobie, lecącego na złamanie karku. Potem dostrzegłem ramiona i kawałek głowy drugiego człowieka. Był tam ktoś jeszcze, ktoś na tyle sprawny, by asekurować kolegę, pomagać w ucieczce.

Chyba niepotrzebnie zrezygnowałem z serii kaemu.

– Adam? Dostaliśmy?

Kaśka starała się zachować zimną krew, nie krzyżeć. To dlatego usłyszałem ją dopiero teraz, przez interkom.

Nie uciekła. Cholera jasna. Ale i dobrze. Ten drań nie na nas polował.

Zza wozu numer jeden wyłonił się jego zad, potem bok wieży. Bok, nie tył, bo lufa już weszła w poszukiwaniu bezbronnej ofiary. 0313 wystrzelił z działa i nie miał jeszcze prawa...

Obaj, ja i francuski dowódca, zapomnieliśmy o wyrzutni ppk. Może słusznie, bo dystans był mały, a Malutka przygnębiająco powolna. Nikt rozsądny, mając do wyboru działo, nie użyłby jej w takiej walce. Tyle że Student nie miał wyboru.

Pocisk musiał wystartować wcześniej, gdy tylko wroga maszyna drgnęła. Pokerowe zagranie: tamci mogli po prostu obracać się w miejscu, ustawiając kadłub przodem do wroga albo – jak zakładałem i jak nakazywała logika – ruszać na wschód z myślą o wpakowaniu nam kolejnego, tym razem skutecznego pocisku. W obu przypadkach Malutka zostałaby zmarnowana.

Legionista wybrał bardziej zaskakujący, ryzykancki manewr – i przegrał.

Rakieta minęła tył unieruchomionego AMX-a i eksplodowała na czymś, co się ruszało.

Nie byłem pewien, na czym. Mogli dostać w dół wieży, mogli w górę przedziału silnikowego. W każdym razie dostali.

Wóz Szamockiego ruszył gwałtownie. Też do tyłu.

Nie rozumiałem, co się dzieje. Wybuch wyglądał efektownie: wielka kula ognia, latające fragmenty przewożonego na pancerzu ekwipunku, płonąca siatka maskująca, spływająca na mizerne trawy niczym mityczny feniks. Któryś z uciekinierów nie wytrzymał nerwowo, wyskoczył zza pierwszego AMX-a, pognął gdzieś w bok.

– Uciekamy? – usłyszałem głos Kaśki.

Najpierw się po prostu rozejrzałem. Księżyc wylał zza chmur, było względnie jasno.

Zauważyłem otwarte na oścież drzwi szoferki stara i chyba ślady ludzkich stóp, prowadzące ku najbliższym wzniesieniom.

– Adam? Mam stąd wiać?

Wóz Szamockiego zwolnił, potem stanął. Błysnęło. Następny pocisk uruchomił raketowy przyspieszacz, pomknął w stronę Francuzów.

A dokładnie: w stronę wielkiej góry dymu.

Chwilę wcześniej AMX odpalił granaty dymne. Miał ich bodajże po dwa z każdej strony wieży i rąbnął całą czwórką od razu. Marnotrawstwo, przynajmniej o ile nie zamierzał się ruszać – wystarczyłby jeden. Więc może zamierzał?

Postawiona między nim a nami zasłona miała ze sto metrów szerokości, była też wysoka na jakieś dziesięć. Pochłonęła pocisk Szamockiego i nie wypuściła z powrotem nawet rozbłysku.

Tyle że niczego to nie dowodziło. Nie mieliśmy termowizora – Francuzi tak. Granaty dymne też mieli pewnie pierwszej jakości, a te oślepiają także systemy bazujące na podczerwieni, ale wiedziałem, że promienie cieplne przebijają się przez zasłonę znacznie wcześniej niż światło, które wychwycą nasze noktowizory. Inaczej mówiąc: nawet jeśli sami sobie zafundowali ślepotę, odzyskują wzrok na długo przed nami.

– Adam, wal, ile wlezie! – usłyszałem krzyk Szamockiego. – Może wymacamy! Młody, łap gra...!

Zwolnił przycisk, ucinając końcówkę. Ale domyśliłem się, w czym rzecz. Byli bliżej celu, RPG-7 mógł z powodzeniem ostrzelać...

No właśnie: największą dymową poduchę, jaką w życiu widziałem. Cholerna loteria.

Nacisnąłem spust. Huknęło. Automat podawał już następny nabój, a ja gorączkowo roztrząsałem problem skuteczności takiego strzelania. Pocisk odłamkowy uderzeniem, a potem wybuchem, powinien przebić niezbyt grubą blachę. Pytanie, czy pancerz AMX-a mieści się w tej kategorii.

A tylne drzwi bewupa?

Przyszło mi to do głowy trochę wcześniej. Potem umknęło. I znów wróciło.

Przemieściłem nieznacznie krzyż celownika, odpaliłem drugi pocisk, zerknąłem, jak Szamocki odpala swój, i pomyślałem, że gdybym się go pozbył, moglibyśmy po prostu odjechać.

Układ okolicznych wzniesień chyba na to pozwalał. Zanim opadnie dym, będziemy osłonięci wydymami. Zresztą to trafienie Malutką wyglądało na groźne. Całkiem możliwe, że salwa granatów dymnych była ostatnim francuskim akordem w tej bitwie. Prawie na pewno nie będą nas ścigać.

Pocisk, nawet odłamkowy, poradzi sobie chyba z cienką blachą tylnych drzwi BWP. Te drzwi to tak naprawdę dodatkowe zbiorniki paliwa, więc pożar miałbym jak w banku. Ale prawdopodobnie nie potrzebowałem pożaru: pierwszy wystrzał rozwaliby drzwi i przynajmniej oszołomił załogę, drugi dokończyłby robotę. Stali blisko nas, więc z trafieniem nie powinienem mieć problemu.

Rozbłysk w chmurze dymu. Dokąd poleciał pocisk, nie widziałem – te szybkie,

przeciwpancerne, jeśli już nie trafią, zazwyczaj łądują całe kilometry za celem – ale zrozumiałem od razu, że to stopiątka Francuzów.

Czyli nie wypadli z gry. Błysnęło z grubsza tam, gdzie obaj z Szamockim mierzyliśmy.

Nie odjechali – może byli unieruchomieni, może woleli nie kusić losu i nie wychylać nosa zza osłony, jaką dawał im rozbity wóz. Tak czy siak, mogli się odgryzać. Chyba na oślepie. Ale i tak niedobrze.

Bardziej dla odsunięcia w czasie decyzji niż z przekonania wystrzeliłem następny pocisk.

Potem zerknąłem na wóz Szamockiego. I zastygłem na chwilę.

Drzwi były otwarte, kiwały się lekko na zawiasach. Młody. Wybiegł i nie zamknął.

Nie potrzebowałem nawet działa. Długa seria z kaemu wypełniłaby wnętrze wozu taką ilością rykoszetującej stali, że nawet bez wybuchu amunicji czy pożaru miałbym raz na zawsze z głowy Szamockiego i Studenta.

I Kleczkę. I Łobana.

Cholera. Nie potrafiłem się zdecydować.

Wmówiłem sobie, że to przez Francuzów. Dopóki walczyli, głupotą było pozbawiać się sojuszników.

Strzelaliśmy w dym. Może minutę. Kilka salw. Z tamtej strony długo nie było odpowiedzi, ale w końcu z kłębow dymu zaczęły wylatywać iskierki pocisków smugowych.

Karabin maszynowy, może nawet automat. Nic groźnego.

– Adam, osłoń ciężarówkę. Ta głupia cipa gdzieś... Stańcie przed nią. To w martwym polu armaty.

Ciekaw byłem, skąd ta pewność. Pewnie znikąd – po prostu posłużył się logiką. Star był łatwym celem i sprzężony ze stopiątką kaem uporałby się z nim jedną dobrze wymierzoną serią.

Niby dlaczego nie? Przeciwnikowi niszczy się, co tylko można, bo wszystko, co niezniszczone, da się wykorzystać do walki. Ciężarówka mogła przewozić dodatkową broń albo, dajmy na to, posłużyć nam do wykonania manewru oskrzydającego. Młody chyba właśnie z myślą o czymś takim pognął w stronę wzgórz. Samochodem dotarłby szybciej na dogodną pozycję.

Powinni podpalić stara paroma smugowymi. Nie podpalili. Więc chyba faktycznie go nie widzieli.

– Kasia, jedziemy. Zaparkuj przed ciężarówką.

– Gdzie?!

No tak: nocą, pomijając wąski sektor przed wozem, była praktycznie ślepa.

Poprowadziłem ją. Powoli. Wolałem nie ryzykować zgubienia gąsienicy, no i, jadąc wolniej, mogłem strzelać. Pewnie nie robiłbym tego, patrząc przez celownik na coś konkretnego, a mniejszego od dwupiętrowej kamienicy, ale skoro i tak waliliśmy na oślepie w dym...

Student też strzelał i w końcu dopisało mu szczęście. Kiedy wykręcaliśmy, ustawiając się między zadem ciężarówki a pozycją legionistów, chmurę dymu rozciął potężny rozbłysk. Po fakcie zdziwiłem się, że tak późno. Drugi AMX chował się za pierwszym, pierwszy stał nieruchomo, oba bewupy, z braku lepszego pomysłu, ostrzeliwały właśnie to miejsce. Nawet jeśli moje granaty tylko zdzierały farbę z pancerza, to tamci powinni trafić trochę wcześniej.

Cóż, przynajmniej nie musieli poprawiać: sześciokołowiec wyleciał w powietrze.

Wybuch amunicji rozerwał najpierw pancerz, potem spowijającą pole bitwy chmurę dymu. Nagle ujrzałem koziołkującą w locie wieżę i przechyloną sylwetkę drugiego AMX-a gdzieś z tyłu, za blaszanym, poharatanym korytem, w które zmienił się trafiony pojazd.

Zaraz potem jakiś złośliwy chochlik zaczął odpalać odlatujące wraz z wieżą granaty dymne. Zanim pomyślałem o naprowadzeniu armaty na cel, granaty powybuchały i znów przestałem cokolwiek widzieć.

Mimo wszystko spróbowałem szczęścia. Na pamięć.

Chyba trafiłem.

Potem oni strzelili. Pocisk przeleciał na tyle blisko, że podmuch zatrzasnął mi klapę nad głową.

– W bok! – wrzasnąłem. – Gazu, Kaśka!

Jeśli nas nie widzieli, będą tłuc w zapamiętane miejsce. Tylko szybka zmiana pozycji mogła tu pomóc.

Odjechaliśmy kilka metrów. Potem Kaśka popieprzyła coś z biegami – zresztą nie wiem, z czym – i nagle stanęliśmy. Zrobiło się cicho. Silnik zgasł.

– Kurr... Z wozu!

Sam wyskoczyłem pierwszy. Na wieżę, potem wprost na ziemię. To prawie dwa metry, więc grzotnąłem kolanami o piach. Nieważne. Nic nie pękło, mogłem poderwać się i pognać w stronę ciężarówki. Na szczęście stała tyłem do pola walki. Jeden skok i wisiałem brzuchem na klapie.

Wciągnąłem się wyżej, zacząłem otwierać kolejne skrzynie. Księżyc wciąż wyglądał zza chmur, było wystarczająco widno i nie musiałem tracić czasu na obmacywanie zawartości. Inna sprawa, że zawartość drugiej jednak pomacałem. Dla pewności.

W pierwszej były odłamkowe granaty do armaty bewupa. Nie ich szukałem. Ale przynajmniej spodziewałem się, że tu będą. Naboi do RPG-7 nie miało prawa być. A były. W drugiej skrzyni. I w trzeciej.

Za moimi plecami Szamocki strzelał z działa, a Francuzi z karabinów. Jakaś kula przeleciała na tyle blisko, że usłyszałem jej warknięcie. Gdzieś niedaleko pojękiwał starter. Nie od razu zrozumiałem, że to Kaśka, i nie dlatego rzuciłem się na kolejną skrzynię. Po prostu wszystko działo się cholernie szybko i raz przyjęty imperatyw zdobycia pocisków kumulacyjnych niósł

mnie jak szyny pociąg.

W czwartej skrzyni były kumulacyjne. W dwóch poprzednich też powinny być, jeśli wierzyć opakowaniom i oznaczeniom. Skrzynie były jak należy, ale wewnątrz, wrzucona byle jak, wałała się amunicja do ręcznych granatników.

Przemknęło mi przez głowę, że Grzywacz dostałby zawału, gdyby to zobaczył.

Nie było go z nami. Nie wiem, dlaczego pozatrzaszkiwałem wszystkie otwarte skrzynie.

Zwłaszcza że wciąż podświadomie oczekiwałem huku stopiątki i przerobienia na proszek przez trzy tony eksplodującej mi pod nogami amunicji.

Wygarnąłem z ostatniej skrzyni cztery komplety naboji. Było sześć, w sumie około trzydziestu kilogramów, ale na każdy składał się pocisk raketowy i ładunek miotający, więc zwyczajnie zabrakło mi rąk, by ogarnąć taką ilość elementów. Kopniakiem zamknąłem pokrywę i tuląc zdobycz jak matka niemowlę, zeskoczyłem z ciężarówki.

Kiedy dobiegałem do bewupa, Kaśka nadal próbowała uruchomić silnik. Szarpnąłem klamkę, otworzyłem drzwi, cisnąłem zdobycz do środka. Lechowski zawył z bólu: chyba trafiłem którymś w przestrzeloną nogę. Trudno. Wpakowałem się do wozu; ściskając w ręku dwa człony ostatniego naboju, zacząłem przepychać się w kierunku wieży. Trudno było: okazało się, że między ławką a burtą leży ludzkie ciało. Grześkowiak. Wyczołgał się z wieży? Lechowski go wyciągnął? Raczej to drugie i raczej wyciągał zwłoki, ale odruchowo starałem się po nich nie deptać.

– Rozwał go, Młody! – dobiegł z radmora okrzyk Szamockiego. – Od czoła nie dam rady!

Seria kul karabinowych zabrzczała o pancerz. Sporo. Ktoś nas wypatrzył. Nieważne.

Chyba że to kaem AMX-a. Chociaż i wtedy nieważne: jeśli trafił z karabinu, zaraz poprawi z armaty i będzie po wszystkim.

Nie poprawił. Nie mógł. Trochę potrwało, nim dorwałem się do celownika, rozejrzałem i zrozumiałem, w czym rzecz.

Dymu wciąż było od cholery i trochę, zwłaszcza że Szamocki wziął przykład z przeciwnika i odpalił granat czy dwa. Ale nie dym doprowadził do chwilowego pata.

AMX wyglądał, jakby wpakował się do rowu trójką lewych kół. Może faktycznie zawiniła jakaś dziura, może awaria hydropneumatycznego zawieszenia, dzięki któremu kierowca mógł regulować prześwit, a wóz wykonać prawdziwy taniec brzucha, stojąc w miejscu. Tego typu zawieszenie bardzo ułatwia walkę w urozmaiconym terenie, ale w przypadku uszkodzenia chyba mogło doprowadzić do czegoś takiego. Cokolwiek się stało, kadłub znieruchomiał w wyjątkowo niekorzystnym położeniu, ukośnie w stosunku do nas i ukośnie w stosunku do płaszczyzny poziomej. Opuszczona maksymalnie w dół armata spoglądała gdzieś w lewo, ku stanowisku Szamockiego – ale nie strzelała. Trochę dlatego, że Szamocki zrejterował pod osłoną dymu za jakąś górkę, chyba jednak nie tylko dlatego. My nigdzie się nie schowaliśmy. Ani star.

Kłopoty z działem?

– Czarek, co się dzieje?

– Przywał mu!

– Co się dzieje? – powtórzyłem. Była noc; gdyby nie noktowizor, byłbym ślepy.

Wystrzeliliśmy w stronę francuskich wozów łącznie kilkanaście pocisków. Jeden AMX wyleciał w powietrze. W sumie oznaczało to tysiące odłamków i niejedną szansę uszkodzenia nocnej optyki wozu, który ocalał. Może po prostu nie widział nas. Może dlatego żyłem. Nie zamierzałem wskazywać mu celu.

– Ma was w martwym polu! Opuścił lufę na maksa, niżej nie może! Przywał mu!

To miało sens. Ale nie chciałem umierać tylko dlatego, że coś brzmi sensownie.

– Sam mu przywał – warknąłem. Siedziałem, składając po omacku zdobyczny pocisk, i gorączkowo próbowałem przypomnieć sobie, jak rozładować raz załadowaną armatę. Automat zrobił swoje i kiedy wyskakiwałem z wieży, wprowadził do lufy następny nabój. Tyle że odłamkowy.

– Nie mogę. Jak wychylę nos zza tej wydmy... My nie jesteśmy w martwym polu.

Widzisz, jak stoi?

Prawda. Przód wozu wyraźnie górował nad tyłem.

– Mam odłamkowe. – Właściwie to nie kłamałem: uświadomiłem sobie, że nikt mi nigdy nie pokazał, jak wyciągnąć z lufy raz włożony nabój. To znaczy: tą stroną. Bez strzelania. – Wkurzę go tylko. Odda i po nas.

– Adam, kurwa, jakby mógł, to już by was rąbnął!

– Niekoniecznie. Boi się, że nie zdąży przeładować i wy go załatwicie. Albo nas nie widzi.

– To chociaż zajmij się piechotą! Bo nam rozwałą ciężarówkę! Rusz dupę, do cholery!

No tak. Piechota. Zbyt szumne słowo jak na dwóch czy trzech pancerniaków-rozbitków, ale wyglądało na to, że ci rozbitkowie mieli coś więcej niż pistolety, a to już stwarzało problem.

Nasz star załadowany był amunicją. Trafienie w silnik czy zbiornik paliwa też zresztą załatwiało sprawę miliona dolarów. Powinniśmy uciszyć tych paru uciekinierów, nim zrobią z nas nędzarzy.

Tyle że akurat przestali strzelać. Może odpelzali jak najdalej, może przejrzeni na oczy i zrozumieli, jak nędzną bronią jest karabin, gdy przeciwnika chroni pancerz.

A jeśli nie? Jeśli choć jeden czołgał się w tej chwili do miejsca, skąd wpakuje ostatni nabój w czułe miejsce stara? Byli twardzi, służyli w Legii.

– Wi... widzę go!

Nie od razu połączyłem głos z osobą. Nawet nie z winy zadyszki. Po prostu Młody nie kojarzył mi się ani z radiem, ani z entuzjazmem. A właśnie coś zbliżonego do entuzjazmu dominowało w jego rwanym zmęczeniu meldunku.



– Wóz? – To już Szamocki. Też radośnie podniecony, choć dużo bardziej ostrożny.

– No. Od... biór. Mam strzelać? Odbiór.

Z radiem trochę się pogubił. Może dlatego Czarek zwlekał z odpowiedzią.

Przypomniałem sobie, że chłopak pognął w lewo. Szybko, więc z minimalnym zapasem głowic.

Ale chyba nie to było ważne. Ważne, że po lewej AMX miał rozwalony rakietażem i że to właśnie tył znajdował się bliżej ziemi. Czyli tam, na zachodzie, nie będzie martwego pola, dzięki któremu po pierwszym nieudanym odpaleniu celowniczy RPG spokojnie załaduje granatnik i spróbuje ponownie. No i już raz dostali w przedział napędowy. To kupa żelastwa, oddzielona pancerną ścianką od pomieszczenia załogi. Nawet celny strzał nie musiał załatwić Francuzów.

Młody mógł nie mieć okazji poprawiania.

– Daleko jesteś? Odbiór.

– No... z czterysta. Może... ciut mniej.

Coś się poruszyło w dole, w okolicach fotela dowódcy. Coś jasnego. Kaśka? Zdałem sobie sprawę, że nadal nie słyszę naszego silnika.

– Dużo. – W głosie Szamockiego wyczułem rozterkę. – Dasz radę podejść bliżej?

RPG-7 strzela na pięćset. Tak mówi instrukcja: skuteczność do nieruchomego celu – pięćset metrów. Co pewnie oznacza, że trochę częściej się trafia, niż chybia. Na strzelnicy. W dzień. Mając praktykę. Tu mieliśmy noc, zdyszanego żółtodzioba i realną walkę.

– Znaczy się... no nie.

Pomyślałem o przytrzymywanym udami naboju. Gdybym zapytał, powiedzieliby mi, jak przeładować działo. Mógłbym rozwalić AMX-a. Młody by przeżył.

Tylko że potem przeszukaliby bewupa i zabrali pozostałe trzy pociski. Asy w rękawie.

Najlepszą z moich polis.

Poczułem uścisk palców na kolanie. Kaśka wcisnęła się do wieży, przytuliła do mnie. Tak naprawdę po prostu zajęła jedyne wolne miejsce, ale wołałem widzieć to po swoim.

– Nie strzelaj, Młody! – zawołała. – Dość zabijania!

Cholera. Jedną ręką opasała mi kark, ale kciukiem drugiej odnalazła przełącznik radmora.

Zwolniła kanał, gdy tylko przestała mówić, dłoni jednak nie cofnęła.

– Zamknij się, głupia kurwo!

No proszę: znalazła się Patrycja.

– Nie mieszaj się – warknął Szamocki. Nie byłem pewien, na którą warczy. – Młody, dasz radę. Spokojnie, wesprzemy cię. Jak nie trafisz, zajmiemy zabojadów. Zdażysz załadować i poprawić. Zrobisz to?

Też miał wątpliwości. Czyli moje były uzasadnione.

– Jeszcze nie popełniłeś przestępstwa! – Myślałem, że Kaśka skończyła, no i nie

dopilnowałem przełącznika: znów się do niego dorwała. – Nie rób tego! Dostaniesz dożywocie, jeśli kogoś zabijesz! To już koniec, nie widzisz? Powiadomili dowództwo! Zaraz będą tu inni!

Będzie śledztwo, zbadają każdy szczegół, każdą łuskę i odcisk palca! Międzynarodowa afera się z tego zrobiła, nie ma cudów, żeby coś...

Oprzytomniałem w końcu, ścisnąłem w dłoni jej palce, odsunąłem od nadajnika. Nie próbowała się szarpać.

– Już nie żyjesz, suko!!! – Patrycja była przeszkolonym żołnierzem i najwyraźniej nauczyli ją, że kiedy jeden mówi, drugi powinien słuchać i czekać na swą kolej. Wydarła się dopiero teraz.

– Nie żyjesz, słyszysz?!!

Zwolniła kanał. Brawo. Wściekłość nie zaślepiła jej. Wiedziała, że są sprawy ważniejsze.

Pomogła mi podjąć decyzję. Asy w rękawie zrobiły się dużo bardziej potrzebne.

– Zabierz jej radio, Adam, bo naprawdę... – Szamocki był raczej spięty niż zły. – Młody, posłuchaj: nie będzie żadnych innych. Jesteśmy za daleko. Mają takie same radiostacje jak my, kupiliśmy licencję właśnie u francuskiego Thomsona. Jedziemy tędy, bo to daleko od baz.

Próbowali się łączyć, ale nie wyszło. Nikt nie wie, co się tu dzieje. Jak ich sprzątniemy... – przerwał na sekundę. – Jak ich unieruchomimy, zdążymy obrócić tam i z powrotem, nim ktoś się połapie. Pomyśl, Młody: pół miliona. W życiu nie zarobisz takiej forsy. Pół miliona.

Magiczne zaklęcie. Przez chwilę było cicho. Kaśka uwolniła dłoń i ponownie sięgnęła w stronę nadajnika. Nie próbowała być szybsza. Bez trudu ponownie oplótłem palcami jej palce.

Były chłodne i mokre od potu. I posłuszne.

– Załatwią nas, nie? – usłyszałem głos Młodego. – To lepiej... jak my ich. Nie?

## Rozdział 20

Załatwiliśmy ich.

Odesłałem Kaškę, by uruchomiła silnik. Potem próbowałem wypatrzeć pieszych legionistów. Chyba dostrzegłem ludzką głowę. Chyba. Tu, w dole, między łańcuchami mocno wypiętrzonych wzgórz, było trochę więcej wilgoci i rosło co nieco. Parę posiłków dla kozy, ale żołnierz nie potrzebuje wiele, by się ukryć.

Strzelić? Nim rozważyłem za i przeciw, strzelił Młody.

AMX znów dostał w okolice przedziału silnikowego i znów nie byłem pewien, na ile skutecznie. W każdym razie armata nie zaczęła się obracać. Zamiast tego plunęła ogniem.

Wóz Szamockiego stał już poza sektorem obserwacji mego celownika. Mogłem oczywiście obrócić go razem z armatą, ale wystarczył mi widok rozbłysku na skraju pola widzenia. Strzelali do niego, więc pewnie wysunął się trochę bardziej. Więc mógł oberwać. Nie było na co czekać.

Wpakowałem granat w sam środek sześciokołowca. Po trafieniu Młodego nie bardzo było go widać zza kurzu, ale obraz przekrzywionego pojazdu wrósł mi już na tyle mocno w pamięć, że miałem pewność w tej kwestii. Dostał, na pewno. Pytanie, na ile skutecznie.

Chciałem załadować armatę pociskiem kumulacyjnym i dobić go. Może nikt by się nie zorientował. Na szczęście nie musiałem.

Wóz w końcu zaczął płonąć.

Zaraz potem Kaška uruchomiła silnik.

Jakaś ludzka postać, zataczając się, wyszła zza dymiącego AMX-a. Kilka kroków – i padła.

Nasz BWP ruszył. Nie spodziewałem się tego. Nie protestowałem jednak: miałem pustkę w głowie i sam nie wiedziałem, co dalej. Czekałem na komendę Szamockiego.

Nie doczekałem się. Przejechaliśmy sto metrów – i nic.

Ktoś zaczął do nas strzelać z karabinu. Widziałem pojedyncze mrugnięcia płomienia, kilka kul zabębniło o pancierz. Bez sensu. Ten drugi, ukryty przedtem w zaroślach, działał z sensem: zrywając się i podnosząc rękę.

– Załatw ich. – Student po raz pierwszy skorzystał z dostępu do radia. – Dostaliśmy.

Porucznik dostał.

O Jezu. Tylko nie to. Poważnie rozważyłem pomysł zabicia go, ale teraz poczułem się, jakby ktoś wyjął mi płuca i zastąpił ołowianymi.

– Żyje. – Nie wiem, czy czytał w moich myślach, czy sam siebie pocieszał. – Chyba tylko...  
Załatw ich. Musimy się zająć Szamockim.

Ten z karabinem nadal strzelał. Jak się ma dużo szczęścia, można trafić w celownik. Mógł mieć dużo. Ale wywaliłem w jego kierunku serię raczej z chęci odwetu.

Kasia zaczęła zwalniać.

– Nie strzelaj!

– A oni mogą?!

– Poddają się!

Fakt: już druga para rąk wzniosła się ku niebu. Miejsce, które przeczesalem serią, spowijał kurz, ale nic nie bębniło o blachy, więc może i trzeci skapitulował. Albo dostał.

Powinienem poczuć ulgę, bo wojna, ta połączona z ryzykiem, chyba się już skończyła. Piechota po rozbiciu jej transportera może jeszcze powalczyć z opancerzonym przeciwnikiem. Ci tutaj raczej nie mieli czym.

Wygraliśmy.

– Podjedź bliżej. Na sto metrów od nich.

Powinienem czuć ulgę. Ale nie czułem. Dałem im nawet ostatnią szansę: zsuwając się z fotela i kucając nad ciałem Grześkowiaka. Jeśli mieli granatnik i dostatecznie wiele desperacji...

To nie było czyste zagranie, bo nawet gdyby dowództwo francuskie popadło w lekką paranoję i rozdawało granatniki czołgistom, przy ucieczce z trafionego wozu trudno chwycić więcej niż jeden. A jednym mogli co najwyżej popełnić samobójstwo: Student rozstrzelałby ich z bezpiecznej odległości. Wiedziałem, że nie będą walczyć i ten ukłon w ich stronę był bardziej formą zagłuszania wyrzutów sumienia niż rycerskim gestem.

Oczywiście nikt nie wpakował nam żadnego kumulacyjnego paskudztwa. Zabrałem Grześkowiakowi przypięty do kamizelki bagnet, upchnąłem pod własną kamizelkę i przecisnąłem się do przedziału desantowego.

– I jak? – zapytał Lechowski. Zaskakująco spokojnie jak na kogoś, kto, kompletnie bezsilny, musi leżeć i czekać na huk dartego pancerza, ogień i śmierć.

– Nie wiem. – Podniosłem jeden z ciśniętych na podłogę naboí. – Zobaczymy. Pomożesz mi?

– Co mam zrobić?

– Leżeć. Na tym.

– Nie ma sprawy. W leżeniu jestem dobry.

Naboje do armaty bewupa mają trochę ponad metr długości, ale tylko 73 milimetry średnicy. To niewiele. Układaliśmy je pod legowiskiem z siatki maskującej, a on nawet nie musiał zsuwać się z ławki.

Nie pytał o nic więcej. I dobrze. Nie miałem nawet załączka planu.

\*

Jeńców było trzech. Kiedy podjechaliśmy, zaden już nie miał broni. Nie szukaliśmy jej.

Musiałem się spieszyć. Drugi AMX dymił jak źle zdeptane ognisko i w każdej chwili mógł rąbnąć nam w twarz całą zgromadzoną w środku amunicją. Wyciągnąłem z kieszeni kominiarkę, założyłem na twarz. Potem wychyliłem się z włazu, pokazałem Francuzom na miği,

by ładowali się na pancierz przed wieżą. Dwaj wdrapali się sami, trzeciego musieli wciągać.

Wszyscy słaniali się na nogach jak bokserzy po ciężkim meczu. Zamknąłem włącznik i ruszyliśmy w drogę powrotną.

AMX nie wyleciał w powietrze. Niestety. Mieliśmy żywych jeńców. Trzy kłopoty, z którymi coś trzeba zrobić.

Jechaliśmy na południe, a ja zastanawiałem się, czy nie wrócić do Lechowskiego, nie wziąć pocisków i nie rozwalić jeszcze jednego wozu bojowego. Dla odmiany – z szachownicą na wieży. Chyba dałoby się to zrobić. Dwóch ludzi wywlekło ze środka kierowcę. Kleczkę poznałem po pizamie, Studenta po tym, że wysiadł z wieży. Czyli nikt się nie odgryzie. Gdybym dobrze trafił i BWP nie wyleciałby w powietrze, obaj by pewnie przeżyli. Nic, tylko strzelać.

Może nawet nie zabiję Łobana.

Ale jeśli trafię źle i wóz wybuchnie, może dostać się także ciężarówce: star właśnie podjeżdżał, stawał obok. W takim przypadku zginą wszyscy, przepadnie milion dolarów. Plus premia za bewupa.

Pozostanę gołodupcem i będę musiał zapomnieć o Ilonie. Była za biedna, by się wiązać z bezrobotnym nieudacznikiem. Ten przystanek na Szczecińskiej często omijała: stargardzki dziennikarz nie zarabia tyle, by pochopnie rozjeżdżać się autobusami.

– Kasia...

– Tak?

– Jeden strzał i możemy wracać do domu.

Powinienem mówić dalej, roztrząsać plusy i minusy, ale nie potrafiłem. I tak powiedziałem za dużo. Jeśli nie ja sam, to brzmienie mego głosu.

Zrozumiała. Milczała za długo jak na kogoś, kto nie rozumiał, ma wątpliwości.

– Nie.

Ja też milczałem dość długo. Jechaliśmy powoli. Może bała się pogubić pasażerów, zmiażdżyć gąsienicami półżywych, oszołomionych eksplozjami ludzi. W każdym razie miałem czas. Patrycja dołączyła do pochylonej nad rannym dwójki, nikt nie biegł do bewupa, nie mierzył w nas z armaty.

– Wyjdziemy z tego czyści. To ostatnia taka okazja.

– Bez tej forsy przegram w sądzie. Stracę córkę. Tomek mi ją odbierze.

Spokojnie, rzeczowo, lakonicznie.

Ulżyło mi. To wyglądało na przemyślaną decyzję.

– Dobra. W takim razie jesteś zakładniczką. Dogadasz się z Francuzami?

– Wiesz, co umiem po francusku?

Domyśliłem się – po sarkastycznym tonie pytania.

– Może znają angielski. A ty?

– Średnio. Chyba że pytasz o chłodny seks. Z tym lepiej. Lata praktyki.

Po co to powiedziała? Zwrotnica w mózgu? Zaczęła mówić o mężu, córce i poniosło ją dalej? Połowę celownika przesłaniała mi zakrwawiona głowa jakiegoś pechowca, którego być może wieźliśmy na egzekucję, w drugiej połowie widziałem Studenta, szybkim krokiem zmierzającego do bewupa, kto wie czy nie z myślą o wpakowaniu nam rakiety. Patrycja była na nią wściekła. Mieliśmy ważniejsze od seksu problemy.

Mieliśmy? A od zakochania?

Mogą w ogóle być ważniejsze?

To była główniana noc, ale zgodziłbym się powtarzać ją w nieskończoność, gdyby rano przynosił zaspaną, otuloną w szlafrok Ilonę, jej policzek podstawiony do pocałowania, jajecznicę jedzoną z jednej patelni.

– Aha, Adam... Mogłeś mi wcześniej powiedzieć. Nie wiedziałam.

Ja też nie wiedziałem – o czym mówi. Odłożyłem to na razie. Oczekałem, aż Student zniknie we władze, i skorzystałem z pokładowego radia.

– Wysadzę jeńców. Stąd nic nie zobaczą. Odbiór.

– Miałeś ich załatwić – warknął gniewnie.

– Zaraz będziemy u was. Pogadamy. Bez odbioru.

Kazałem Kaśce zatrzymać wóz i wytłumaczyłem, w czym rzecz. Wysłuchała, otworzyła wąż, podniosła się bez entuzjazmu. Jeden z legionistów, ten który strzelał z karabinu, cofnął nogę, jakby chciał kopnąć, lecz na widok kobiecej głowy zastygł w bezruchu.

Nie słyszałem, co mówiła. Widziałem, że mocno wspomaga się gestykulacją. Ale Francuzi zeszli na ziemię, a kiedy ruszaliśmy, żaden nie rzucał się do ucieczki – to mi wystarczyło. Inna sprawa, że chyba wolałbym, by zaczęli uciekać. Student był blisko, jeśli mierzyć zasięgiem noktowizora i kaemu; raz-dwa rozwiązałby problem jeńców.

Nie zastrzelił ich. Podjechaliśmy do stojących wozów, Kaśka zatrzymała bewupa.

Wysiadłem tyłem, przez przedział desantu. Po drodze upchnąłem pod posłanie Lechowskiego jeszcze jeden pocisk. Nic nie powiedział. Nie patrzył mi w twarz. Może zasnął, ale nagle zdałem sobie sprawę, że być może właśnie go zabiłem – nie strzelając.

Kiedy podeszedłem do Szamockiego, Kaśka była już na miejscu. Ktoś ustawił obok latarkę, jedną z tych uniwersalnych, mogących pełnić funkcję stacjonarnych latarenek. W białym świetle twarz leżącego wyglądała na jeszcze bielszą, a krew – na keczup, dobrany przez kiepskiego charakteryzatora.

Podłożyli mu pod głowę hełmofon, obandażowali czoło i szyję. Do policzka chyba nie bardzo potrafili się zabrać, więc kuczająca obok Patrycja po prostu trzymała tampon. Może czekała, aż sam przyschnie.

Szamocki miał zamknięte powieki. Wyglądał, jakby spał.

– Walnęli na wylot przez tę górkę. Podkalibrowym. Dobrze, że to nie goły piach, tylko trochę kamieni, boby nas... Ale pancierz przebiło. Dostał odłamkami.

Popatrzyłem na Studenta. Przewiesił glauberyta przez szyję, no i zmienił magazynek na długi. Mógł strzelać szybciej i dłużej.

– Nieprzytomny? – zapytałem cicho.

– Ważne, że niezdolny do dowodzenia. – Odczekał chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Chyba moja kolej.

Patrycja dała sobie spokój z tamponem. Dźwignęła się powolnym, ale i wymownym ruchem. Tampon upadł na ziemię. Kaśka, po sekundzie wahania, podniosła go, przejęła porzucone przez jasnowłosą stanowisko pielęgniarki.

– Kleczko, do peryskopu – zadysponował Student. – Pilnuj żabojadów. Jakby coś kombinowali, wołaj.

Ubrany w piżamę chłopak bez wahania skoczył w stronę bewupa.

– Chwila moment – warknęła Patrycja. – Kto powiedział, że to ty dowodzisz?

– A niby kto inny? Kulanowicz?

– Ja na przykład.

– Ty? – roześmiał się. Trzeba przyznać, że szczerze.

– Siedzę w tym dłużej od ciebie.

– To powiedz Chudzyńskiemu, żeby ci za wysługę lat dorzucił. Lubi cię, to da. Ale tutaj...

– Bardziej lubi, niż ci się zdaje. Dla mnie to robi. Przez chwilę było cicho. Student przyglądał jej się zdziwiony. Chyba nie wierzył, że dobrze zrozumiał.

– Co: dla ciebie?

– Ten skok. Potrzebuje forsy, bo chce, żebym za niego wyszła. Tylko dlatego to zorganizował.

Zaśmiał się. Demonstracyjnie. Może dlatego nie wyszło tak szczerze jak poprzednio.

– Patrycja, bez urazy: kurwa z ciebie. I to niedroga.

– Droga – powiedziała spokojnie. Na urażoną nie wyglądała. – Jak ktoś chce wyłączności, to droga. A on chce. Mówi, że się we mnie zakochał. Wiesz, zdarza się.

– Lekarze nie żenią się z kurwami – zaprotestował.

– Większość facetów żeni się z kurwami. Myślisz, że po co dziewczynie ślub? Żeby ją miał kto dymać? – Parsknęła szyderczo. – Dla forsy, frajerze. Żona się sprzedaje ryczałtem, kurwa na akord. To cała różnica.

Z mroku wyłonił się Młody. Dopiero teraz mogłem stwierdzić, jak bardzo wzrosły jego notowania. Oprócz wyrzutni RPG-7 przydzielono mu karabin, magazynki i nawet granaty ręczne: jeden nasz, zaczepny, jeden zapalający z darów US Army, przydatny do oczyszczania pomieszczeń. Pomyślałem, że Szamocki zna się na ludziach. Postawił na chłopaka, zaufał mu –

i AMX poszedł z dymem.

– Mamy czas na takie pogaduchy? – zapytałem. Pogodziłem ich na chwilę: obrzucili mnie jednakowo wrogimi spojrzeniami. – Czarek mówił, że nam się spieszy.

– Zdążymy – warknął Student. – Brudasy poczekają. Do pobudki też kupa czasu; niedziela dzisiaj. A jak nie ustalimy, kto tu kogo słucha, gównem z tego wyjdzie.

– Nie ma co ustalać – odwarknęła Patrycja. – Chudzyński jest szefem. On wszystko nagrał.

A ja nagrałam jego.

– Nawet jeśli, to co z tego? Zwiałaś w krzaki. My walczyliśmy, a ty w podpaskę szczałaś.

Chrzanisz wszystko, do czego się weźmiesz. Mamy na głowie Łobana i Kleczkę, Fornalski dał się zabić, bo go nie powstrzymałaś. Wychodź sobie za doktorka, jak tak zgłupiał, ale daj nam, kurwa, zarobić na twój posag.

– Ty gnoju, Mariusz w ogóle by cię nie wziął, gdyby nie ja! Zakichany studencik!

– Skreślili mnie, bo na chesne nie miałem. Jak wrócę, to chcę mieć. Nie spieprzysz mi tego.

– A ty nie spieprzysz mi małżeństwa. Nie masz pojęcia, co tu jest grane. Wiesz w ogóle, dokąd jedziemy? No? Wiesz?

– Szamocki zapisał pozycję w GPS-ie. Zdążył powiedzieć, zanim go ścięło. Nasz GPS właśnie diabli wzięli, ale ten w drugim wozie jest identycznie zaprogramowany. Trafimy.

Widać było, że Patrycja zainkasowała solidny cios. Ale jeszcze nie skapitulowała.

– Ja też znam namiary. Możemy porównać. Okaze się, kto tu jest bardziej zaufany. Bo ty, oczywiście, nie...

– Chyba się budzi – wtrąciła cicho Kaśka.

– Słuchaj, nie mówię, że doktorek na ciebie nie leci. Faktycznie: przyjeżdża do nas przy każdej okazji, do byle drzazgi w palcu. Ale co innego robić mu dobrze, a co innego zarobić dla niego milion dolców. Zostaw to facetom, złotko.

– Jestem starsza stopniem.

– Nie rozśmieszaj mnie. – Faktycznie wyszczerzył zęby.

– Słuchaj no, Student. Mamy problem. Jakoś go trzeba rozwiązać. Dowodził Szamocki, bo miał najwięcej na pagonach. Teraz ja mam najwięcej.

– Mamy po równo – zauważyłem.

– Adam, nie wkurwiał mnie – warknęła. – Za ten numer z mostem powinienes... Masz akurat tyle do powiedzenia, co Łoban czy Kleczko.

– Tak? – uśmiechnął się Student. – To może użyjemy demokracji? Małe głosowanko? – Przesunął spojrzenie w okolice ciężarówki. – Młody, co ty na to? Wolisz dowódcę z jajami czy z menstruacyjną huśtawką nastrojów?

Trudno powiedzieć, czy Patrycja miała akurat huśtawkę. Ale refleks jej dopisywał.

– On nie ma prawa głosu! – zaprotestowała błyskawicznie. – Tylko ci z pełnymi udziałami!



– Kulanowicz na przykład?

Zawahała się. Starła się omijać wzrokiem Kaśkę, ale właśnie dlatego łatwo domyśliłem się, w czym rzecz.

Nie była pewna wyniku. To nie Student tłukł po twarzy moją kochankę, nie on groził jej śmiercią. No i miał jaja. Komuś, kto ma jaja, decyzja zabicia młodej, atrakcyjnej kobiety przychodzi trochę trudniej.

– Adam też się nie liczy – mruknęła po chwili wahania. Prawdę mówiąc, poczułem ulgę.

Gdyby mi kazali wybierać, musiałbym rzucać monetą.

– No to mamy impas – podsumował Student. Po czym sięgnął za plecy, odpiął manierkę, podał Kaśce. – Polej go. Tylko nie w usta. Dostał też w gardło, może mu zaszkodzić.

Odkręciła korek, zwilżyła palce, zaczęła ostrożnie pocierać nieosłonięte bandażem fragmenty twarzy. O dziwo: poskutkowało. Szamocki uniósł powieki zaraz potem.

– Mamy problem. – Dla władzy większość kandydatów zrobi wszystko, nie zdziwiłem się więc, widząc, jak Student wykonuje uprzejme klęknięcie u boku rannego. – Trzeba wybrać dowódcę.

Szamocki poruszył ustami. Potem przełknął ślinę. Widać było, że zabolalo go to. Uniósł dłoń, skinął, pokazując obecnym, by podeszli bliżej. Podeszliśmy.

– Sły... szalem. – W gardle coś mu chrzęściło. – Student... dowodzi.

## Rozdział 21

Zanim ruszyliśmy, świeżo upieczony dowódca dokonał przeglądu pojazdów. Głównie naszego. Mieliśmy dziury w pancerzu i trupa w środku, ale chyba nie o szacowanie strat mu chodziło. Raczej na odwrót: szukał nowych elementów.

– Pozbierałeś broń Francuzów?

– A po cholere? Mało mamy własnej?

Zajrzał przez prawe drzwi. Jakaś beczka omal nie wylądowała mu na nodze. Przytrzymał ją w ostatniej chwili, poświecił latarką. Między zwieńczeniem oparcia a stropem było dostatecznie dużo miejsca, by przepchnąć, dajmy na to, karabin z lewej strony przedziału desantu na prawą – ale żaden inny manewr nie wchodził w rachubę. Każdy duży przedmiot spoczywałby na wierzchu.

Zamknął drzwi.

– Na amen? – popatrzył na buty Grześkowiaka.

– Nie żyje – stęknął Lechowski. – Zabierzcie go stąd.

Student skinął latarką. Złapałem za nogi, pociągnąłem. Pod koniec zrobiło mi się gorąco.

Nie dlatego, że Grześkowiakowi brakowało ćwiartki tułowia: część siatkowego posłania opadła na podłogę i, dociskana zwłokami, zaczęła wypelzać spod Lechowskiego. Gdyby pociągnęła resztę...

Nie pociągnęła. Pociski pozostały w ukryciu. Student pomógł mi symbolicznie jedną ręką, odczekał, aż ciało wyląduje na piasku, i wcisnął się do wozu. Popatrzył na rannego, nawet oświetlił go latarką. Zauważyłem, że opatrunek na udzie znów poczerwieniał od krwi. Lechowski też nie wyglądał dobrze. A już zupełnie nie wyglądał na konspiratora, przykrywającego własnym ciałem trefną broń.

– Wyszędzisz przy peryskopie? – zapytał bez przekonania Student – Zglupiałeś? – zaprotestowałem. – Co rusz mdleje!

Dał spokój Lechowskiemu i poszedł obejrzeć przód pojazdu. Trochę czasu mu zeszło, ale gdyby szukał pistoletu, o granatach nie mówiąc, inspekcja trwałaby dłużej. Albo więc liczył na wytrzymałość swej kamizelki i sprawdzał tylko kryjówki zdolne pomieścić karabin, albo – co bardziej prawdopodobne – obdarzał jakim takim zaufaniem mój zdrowy rozsądek. Jeśli tak, to miał rację.

To nie była dobra pora na strzelanie mu w plecy. Stałem i przyglądałem się, jak wymontowuje blok GPS-a. Na szczęście nie przerażała go nowoczesna technika. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby z typowym dla ignorantów nabożnym respektem do elektroniki poszedł na łatwiznę i zamiast przenosić odbiornik, przeniósł załogi. Biorąc pod uwagę problem amunicji

przeciwpancernej, byłaby to wprawdzie dużo bardziej pracochłonna i czasochłonna łatwizna, ale jak się dowodzi i ma darmową siłę roboczą...

– Jedziemy – mruknął. – Trzeba pogadać z żabojadami. Aha, i biorę jedną Malutką. Wolę mieć komplet.

Przenieśliśmy Szamockiego i raketę do drugiego bewupa. Patrycja awansowała na jego kierowcę. Ciężarówkę, bardziej narażoną na uszkodzenia, ale też łatwiejszą w prowadzeniu, dostał Młody.

Usiadłem za Kašką. Ruszyliśmy. My, potem wóz Studenta, na końcu star. Francuzi czekali tam, gdzie ich zostawiłem. Dwaj podnieśli się, kiedy włączyliśmy reflektory. Trzeci chyba nie mógł. Chciał usiąść, ale i na to brakło mu sił: leżał na wznak, przyciskając ręce do tułowia.

– Kulanowicz, dawaj tu swoją panią. Z doręczną.

Kaška zdjęła hełmofon, wyłączyła silnik.

– Nie bój się. – Twarz miała jak maskę i chciałem dotknąć jej, roztopić ciepłem dłoni część uwięzionego pod skórą lodu. Zamiast tego podałem radmora. – Nic ci nie zrobią. Od razu widać, że zakładnik jesteś.

– Ich się nie boję – powiedziała cicho. – O nich.

Wstała, wywindowała ciało przez właz. Mogłem jeszcze musnąć którąś z gołych łydek.

Nie zrobiłem tego. Patrzyłem, jak idzie w stronę wozu Studenta i po chwili wraca, bogatsza o podłączony do radiostacji nagłówny zestaw słuchawkowo-mikrofonowy.

Dobrze. Żaden z Francuzów nie usłyszy zadawanych po polsku pytań. Przedtem, w czasie walki, gdy Szamocki rozmawiał z nimi na kanale alarmowym, padło parę zdań niebrzmiących z afgańska, ale po pierwsze rozmawiali dowódcy i ten, który je słyszał, mógł już nie żyć, po drugie wiele tego nie było, a po trzecie tu, w byłym Związku Radzieckim, słowiański język nie musiał oznaczać Polaków. Tutejsza islamska międzynarodówka często posługiwała się rosyjskim.

Istniała spora szansa, że bajeczka o polskich zakładnikach i partyzantach-porywaczach da się utrzymać, nawet jeśli Francuzi przeżyją i złożą zeznania.

Patrzyłem, jak Kaška podchodzi do stojących mężczyzn. Na początku nic nie słyszałem: wyjaśniała swój status zakładnika i Student nie próbował się wtrącać. Przemówił dopiero, gdy zerknęła za siebie.

– Weź jednego na bok i zapytaj, czy rozmawiali z dowództwem. Powiedz wszystkim, że jak skłamią, zabijemy ich. Jedno kłamstwo i koniec. Powtórz ze trzy razy.

Trochę to potrwało. Chyba nie była prymuską na studiach – w ogólniaku, nawet jeśli była, nie miała anglika. Jej rozmówcy też nie musieli być dużo lepsi: z dowódcą Szamocki rozmawiał bez problemów, ale żaden z tych trzech nie był oficerem. Ten, który ostrzeliwał nas z karabinu, trzydziestolatek w nieregulaminowym, czerwonym podkoszulku pod osmalonym kombinezonem,

miał chyba sierżancką naszywkę i wyglądał raczej na twardziela niż poliglotę. Drugi ze stojących przypominał legionowy odpowiednik Kleczki: miał żółte włosy i spanikowaną, dziecięcą twarz.

To jego Kaśka wzięła na pierwszy ogień. Musiała pomóc sobie ręką, złapać za łokieć i pociągnąć – dopiero wtedy poszedł za nią.

– Kurczę, chyba mało co rozumie – poskarżyła się.

– Nie po polsku! – warknęła Patrycja.

– A po jakiemu? – Nikt jakoś nie potrafił odpowiedzieć na to proste pytanie. Kaśka parsknęła z lekka. – Dajcie spokój. Ja tłumaczę na polski, ktoś dalej na rosyjski. Albo partyzanci mają kogoś, kto rozumie po polsku. Mało to Arabów u nas studiowało?

– Dobra – rzucił sucho Student. – I zmień ton. Nie pyskuj. Zakładnik jesteś, masz sikać ze strachu.

– Sikam – powiedziała cicho.

Mówiła przez chwilę do żółtowłosego. Słuchał z uwagą, kręcił bezradnie głową, potakiwał gorliwie. Nie wyglądało to najlepiej.

– Nic nie wie. Dowódca nie żyje, a on obsługiwał radio.

– Dobra. Bierz się za następnego.

Odprowadziła chłopaka, skinęła na sierżanta. Nie poruszył się. Próbowwała, gestykulowała – bez rezultatu. Ale przynajmniej zaczęli rozmawiać.

– Ten mówi, że nawiązali kontakt z kolegami. Zaraz tu będą posiłki.

– Przypomnij mu, że ma nie kłamać.

– Cały czas przypominam. Mówi, że jak ich zabijemy, to jego kumple spalą nas żywcem.

To znaczy... was. No wiesz: talibów. Oko za oko. Pięciu legionistów spłonęło w tych czołgach.

Jedyna nasza szansa to obchodzić się dobrze z jeńcami. Wtedy może nam darują.

– Daj mu w pysk – warknął Student.

– Co?

– Daj mu w pysk. Pięścią. Z całej siły. No już!

Zawahała się, nawet zwinęła palce. Ale nie uderzyła.

Wieża 0313 obróciła się nieznacznie. Kaem wyprał krótką serię. Sądząc po smugach – tuż nad głową Francuza. Odruchowo padł na brzuch. Kaśka, cywil amator, jedynie kucnęła.

– Pojebało cię?! – wrzasnąłem..

– Zamknij się, Kulanowicz! – Też był wściekły. – I wyłaź z wozu! Jak wypływają parę zębów, inaczej będą gadać!

– Odwał się!

– Weź łom i idź tam!

– Sam sobie idź!

– Adam, to ważne. – Patrycja próbowała załagodzić spór. – Jeśli dali cynk swoim, musimy wiać. Jak nie, jest jeszcze szansa ubić interes. Trzeba to z nich wyciągnąć, nie rozumiesz?

Rozumiałem. Pewnie że rozumiałem. To dlatego milczałem, kiedy po jakimś czasie w polu widzenia pojawił się Kleczko. Miał w rękę żelazny pręt, ale wolałem wmawiać sobie, że go nie użyje, niż wyciągnąć spod Lechowskiego nabój, załadować armatę i raz na zawsze pozbyć się tego, który pociągał za sznurki.

Marionetki czasem się psują, prawda?

Siedziałem, miażdżąc w palcach oparcie fotela kierowcy. Co jakiś czas opuszczałem powieki, by popatrzeć w wielkie, zdziwione oczy Ilony. Takie właśnie będą, kiedy zajadę jakąś ekstrafurą na Pocztową, gdzie urzęduje redakcja „7 dni Ziemi Stargardzkiej”. Walnę basami z najpotężniejszych głośników, jakie diler da radę upchać w samochodzie, i pognam na górę, porwać panią redaktor na odlotową jazdę.

Śmiała się z kretynów, zdobywających panienki takimi metodami, i czułem, że to nie przepis na kogoś jej pokroju – ale tak ślicznie wyglądała w tej wizji. A ja potrzebowałem jej teraz w najśliczniejszym wydaniu.

Z tego drugiego AMX-a uratował się jeden legionista. Trzej spłonęli. Po tym, jak wpakowałem im granat. Może już wtedy nie żyli, może umierali. Ale może to ja ich zabiłem.

Zgodziłem się na to wtedy i – co ważniejsze – godziłem się teraz, gdy opadła bitewna gorączka.

Stanęli między mną a górą pieniędzy, między mną a Iloną – i to był dostatecznie dobry powód, by ich zabijać.

Tylko że okładanie ludzi łomem to coś innego.

Kleczko był partaczem. Nie potrafił porządnie użyć łomu.

Uderzył żółtowłosego. Bardziej klepnął, niż uderzył. Legionista odsunął się trochę, co dodatkowo osłabiło siłę ciosu. Ale potknął się, upadł. Leżał na wznak, krzyczał, zadzierając wysoko nogi, osłaniał się podeszwami ciężkich, wojskowych butów. I Kleczko bił właśnie tam, w podeszwy. Jak na współczesnym pokazie walk rycerskich, gdzie spoceni z przejęcia hobbyści robią, co mogą, by trafić przeciwnika w miecz i broń Boże nigdzie indziej.

Wyglądało to żałośnie – i przerażało bardziej niż krwawa jatka rodem z Hollywood.

Kaśka stała, przyciskając dłonie do piersi. Nie ruszała się. Nikt się nie ruszał.

Było cicho. Nikt nic nie mówił.

Może dlatego Kleczko przestał bić. A może powodem był ostatni cios, niechący udany, raczej z winy Francuza niż bijącego. Legionista nie miał już sił, źle ustawił nogę. Łom trafił w goleń. Niemal usłyszałem trzask łamanej kości. Żółtowłosey przetoczył się na bok, zwinął jak płód. Kleczko, chyba nie mniej wstrząśnięty, upuścił stalowy pręt, odszedł chwiejnie kilka kroków, padł na kolana, zaczął wymiotować.

– Porucznik mówił, że nie dali rady – powiedział niepewnie Młody. – Znaczący się radio nie sięga.

– Pogoń tego gówniarza – warknął Student. Czekał przez chwilę. – Do ciebie mówię, Kaśka.

– Pieprz się – rzuciła słabym głosem.

– To bez sensu – wtrąciłem się szybko. – Pewnie nawet nie wiedzą. Mówią co popadnie, byle przeżyć. Wlejesz im, zmieniają zdanie, i dalej będziemy mieli dwie różne wersje.

Nie było odpowiedzi. Minęła minuta, potem druga – i nic. Kleczko dźwignął się z kolan i stał ze zwieszoną głową. Kaśka i sierżant trwali w identycznym bezruchu, tyle że z gniewnie zaciśniętymi pięściami.

– Co jest? – Nie wytrzymałem. – Usnąłeś, Student?

– Łobana werbuje – mruknęła Patrycja. W tle usłyszałem gniewne, męskie głosy.

– Kasia – rzuciłem błagalnym tonem. – Przekonaj ich.

Chyba próbowała. Mówiła coś. Raczej bez wiary.

Minęła następna minuta. Cała oświetlona reflektorami grupa sprawiała wrażenie żywego obrazu. Zaczęli się ruszać, dopiero gdy z boku wkroczyły na scenę trzy nowe figury.

– Kulanowicz, chodź tu.

Widziałem, jak Student to mówi, jak podnosi nadajnik do ust. Nocą, w jasnym, piaskowym mundurze, rzucał się w oczy. Bardziej niż Młody, któremu ciemna bluza dresu maskowała przynajmniej ręce. Dużo bardziej niż ubrany w skórzaną kurtkę Łoban.

Nie miał czarnego, partyzanckiego stroju, nie założył kominiarki. Żaden z nich nie założył, ale tamci dwaj od biedy mogli uchodzić za jeńców: Łoban miał zaschniętą krew na twarzy i żadnej broni, a karabin Młodego wisiał w poprzek pleców, teoretycznie niezdatny do szybkiego użycia.

Student z automatem w dłoni nikomu nie miał prawa pomylić się z zakładnikiem. Zdałem sobie sprawę, że właśnie przekroczyliśmy kolejny Rubikon.

– No rusz się, kurwa. Albo jesteś z nami i słuchasz, albo jesteś z nimi.

Spojrzałem w boczny peryskop. I w otwór lufy stojącego po sąsiedzku bewupa. Była wymierzona w nasz wóz.

Wysiadłem, wolno ruszyłem przed siebie. Tyle mogłem zrobić: ruszać się powoli.

Nikt nic nie mówił, ale jeńcy skupili się bliżej siebie. Sierżant podszedł do rannego, ten ze złamaną nogą podczołgał się. To on zaczął mówić, kiedy podeszliśmy.

Głos mu się łamał, odejmując co najmniej pięć lat. Wyglądał jak przebrany za żołnierza gimnazjalista. Pogubił się na tyle, że nawet nie próbował wtrącać angielskich słów. Każdy zna przynajmniej parę, on też musiał znać, ale z potoku francuszczyzny nie wyłowilem żadnego.

– Zwiążcie ich.

Młody miał sznur. Odciął kawałek dla mnie, podał, zaczął ciąć dla siebie. Posługiwał się

znanym mi już breloczkiem z trzycentymetrowym ostrzem.

Wybrałem sierżanta. Mógł sprawić kłopoty, ale wolałem to od wiązania rannych.

Minąłem Kaškę. Zajrzała mi w twarz, nie próbowała się jednak odzywać. Do mnie przynajmniej.

Do tamtych mówiła. Rozumiałem piąte przez dziesiąte, więcej zresztą z łagodnego, pocieszającego tonu niż nielicznych znajomych słów. Tłumaczyła, że wszystko będzie dobrze, żeby się nie bali i nie robili głupstw.

Podziałało. Nikt nie stawiał oporu. Sierżant przyglądał się z tępym niedowierzaniem nie tyle wycelowanemu w brzuch automatowi, ile człowiekowi, który go trzymał. Student nie wyglądał na islamskiego terrorystę. Był aż nadto autentyczny w swym mundurze polskiego piechura.

Zdałem sobie nagle sprawę, że przynajmniej ten jeden jeniec już wie. Zrozumiał, co znaczy to niefrasobliwe obnoszenie się z odsłoniętą twarzą.

– Niech się położą – mruknął Student. – Obok siebie.

Kaška zawahała się, przełknęła ślinę, przetłumaczyła. Nie wiem, czy potrzebnie, bo Młody już przy okazji wiązania rąk za plecami poukładał obu rannych na brzuchach, pół metra jeden od drugiego. Pchnąłem lekko sierżanta. Podszedł na sztywnych nogach, opadł na kolana.

– Chodź tu – rzucił Student do mikrofonu.

– Ja? – parsknęła Patrycja. – Po cholere?

– Bo ci dowódca każe. No już.

Przyszła. Sierżant nadal siedział na piętach; z pochyloną głową, ale siedział. Student odpiął przewieszoną przez ramię torbę, bez pośpiechu wyciągał ze środka niepozorne przedmioty w kształcie smukłych walców.

– Chyba zgłupiałeś... – Więcej nie dałem rady przepchnąć przez gardło.

Zignorował mnie. Włożył lont w sponkę, zacisnął szczypcami, wepchnął sponkę w ładunek. Skinął na Łobana.

– Ostatnia okazja, harcerzyku – uśmiechnął się krzywo.

– Co pan robi? – Do Kaški chyba dopiero teraz zaczęło docierać, na co się zanosi. – To... dynamit?

– Nie lubię cię. – Zignorował ją; patrzył wyłącznie na Łobana. – Straciłem dwa lata, kumpli i dziewczynę. Trzeba było zapierdalać jako domokrażca. Zapomniałem połowy tego, czego mnie nauczyli. Przez głupie osiem stów czesnego. Teraz muszę wydać z osiem tysięcy, żeby się załapać na uczelnię, w ogóle rozpocząć. Potrzebuję forsę, krótko mówiąc. I cholernie nie lubię cwaniaczków, którzy chcą mnie z niej oskubać. Jasne? – Łoban nie odpowiedział. – Pytam, czy to dla ciebie jasne.

– Co ty kombinujesz? – upomniała się Patrycja.

– Na razie daję szansę temu gnojkwowi. – Student ujął w dwa palce sporządzony ładunek,

zademonstrował obecnym. – Widzisz, jaki mały? Jak znalazł na rehabilitację dla ciebie. Bo się musisz zrehabilitować, Łoban. Nie ma lekko. Mało nam ciężarówki w kanał nie posłałeś.

– Student – rzuciłem przez zęby – daj spokój.

– Byłem drugi, trzeci w grupie – posłał mi uśmiech. – I nagle łup: „Przykro nam, musimy pana skreślić, to wyższa uczelnia, nie przedszkole, zna pan regulamin”. Stary zachorował, cała forsa na lekarzy poszła. Komornik brykę mi zabrał. Spod akademika, na oczach wszystkich.

Rodziców była. Kumple boki ze śmiechu zrywali. Anka... Akurat na Mazury mieliśmy... No i w końcu pojechała. Tylko nie ze mną. I wjechała do łóżka temu, co zawiózł. Nie mówię, że od razu.

Z kurwą się nie prowadziłem. Ale i nie z idiotką. Wyczuła, na co się zanosi, no i po trochu, po trochu... – Podeszedł bliżej, wsunął laskę trotylu pod klamrę paska Łobana. Już się nie uśmiechał. – Obiecałem sobie, że to ostatni raz.

– On z tym nie ma nic wspólnego. – Głos Kaśki zabrzmiał trochę płacząco.

– Ma – wyprowadził ją z błędu. – Bez tej forsy dalej będę zerem. A pan Łoban chciał mnie jej pozbawić. Zero ze mnie zrobić. I to tylko dlatego... A właśnie, Łoban. Dlaczego? Bo cię nie wzięliśmy? Zawieść?

– Nie chciałem... – Łoban utknął na kilka sekund. Nie patrzył nikomu w twarz. – Pokręciło mi się z tym wiązaniem.

– Nie chciałeś zniszczyć mostu? – udał radosne zdziwienie Student. – No proszę! Czyli jesteś z nami? – Nie doczekał się odpowiedzi, ale tylko dlatego, że czekał za krótko. Łoban wyraźnie zmagął się z sobą i niechętnie „tak” wisiało chyba w powietrzu. – No to wsadzisz mu to – skinął w stronę sierżanta. – Wiesz gdzie.

Twarc Łobana zakrzepła nagle w kamienną maskę.

– Odbiło ci?! – ruszyłem w ich kierunku. Student cofnął się niespiesznie, wycelował we mnie automat. Zatrzymałem się natychmiast. – Nie po to cię Szamocki wybrał, żebyś...

– Rób lepiej ładunki. Saper jesteś, to twoja działka. Potrzebujemy jeszcze ośmiu. No, chyba że Łoban jest z tych pasywnych i woli, jak to jemu wkładają. Wtedy siedem wystarczy. Po jednym na głowę. – Odczekał chwilę i dodał: – A Szamocki właśnie po to mnie wybrał.

Dokładnie po to. Żeby ktoś stworzył zespół z tej bandy.

– Co pan chce zrobić? – Kaśka zdołała usunąć z głosu płaczące nutki. Nadal jej drżał, ale bliższe to było wibracji napiętej struny.

– Mała inicjacja. Każdy bierze ładunek, podpala lont. Wspólna odpowiedzialność. Nikt nie pójdzie na układ z prokuratorem. Razem walczymy, razem ginimy, razem siedzimy.

– Zamordujesz ich? – Dała sobie spokój z „panem”.

– Chcieli nas zabić. Przegrali. My zabijemy ich. Normalka. Odwieczne prawo natury.

– Beze mnie – rzuciła przez zęby.



– Dobra – wzruszył ramionami. – Bez ciebie. Siedem ładunków, Kulanowicz. Młody, wiąże Francuzom nogi. Jednym sznurem, do kupy.

Chłopak posłusznie zabrał się do roboty.

– Siedem? – zapytałem ostrożnie.

– Łoban, cokolwiek postanowi, już ma. Zostaje nas siedem osób.

– A Kaśka?

– Bum – powiedział spokojnie.

Stał za daleko. Nawet gdybym jakimś cudem wyjął bagnet spod kamizelki... No i była jeszcze Patrycja.

I Ilona. Tak naprawdę od niej powinienem zacząć.

Jeśli mnie zabiją, nigdy nie będzie moja.

– Stracimy kierowcę – zdobyłem się na rzeczowy ton.

– Łoban ją zastąpi. Prawda, Łoban?

– Pierdol się.

Nie powinien tego mówić. Albo przynajmniej nie tak: niemal triumfalnie. A ona nie powinna się stawiać. Za dużo nieposłusznych naraz.

– Obraza dowódcy – powiedział cicho Student, podnosząc automat. – Przegiąłeś, Łoban.

Pozdrów robale.

Strzelił tylko raz. Wystarczyło.

Pocisk trafił w czoło i wyszedł potylicą, razem ze sporą częścią mózgu. Łoban umarł prawdopodobnie na stojąco. Na ziemię padały już całkiem bezwładne zwłoki.

Bąłem się, że Kaśka zacznie krzyczeć i Student z rozpędu zastrzeli także ją.

Pomyliłem się. Nikt nie krzyczał. Przełknąłem z wysiłkiem ślinę.

– No to... nie zastąpi.

Powiedziałem to spokojnie. Nie z mściwą satysfakcją, która zabiła Łobana. Po prostu spokojnie. A najdziwniejsze, że naprawdę czułem spokój.

– Zabijasz albo jesteś zabijany – rzucił w przestrzeń Student. – Taka jest zasada. Kto nie podpali lontu razem z innymi, dołączy do Francuzów. Słyszysz, Kaśka?

Gdyby stała bliżej, chybaby go opluła. Zwinięte w pięści dłonie aż drżały z pasji.

Nikt się nie odzywał. Młody zacisnął węzeł na kostce ostatniego z leżących w szeregu jeńców, podniósł się powoli. Miał nieszczęśliwą minę, ale omijał spojrzeniem i Kaśkę, i mnie.

Patrycja stała z boku z kciukami zatkniętymi za pas i twarzą skrytą w cieniu.

– Jesteś z nami czy kładziesz się obok? – Student wskazał legionistów.

Kaśka milczała kilka sekund.

– Nikogo nie zabiję.

– To się kładź. Młody, utnij jeszcze kawałek.

Młody nie spieszył się z tym. Chyba słusznie. Student sprawiał wrażenie kogoś, kto czeka raczej na kapitulację niż samobójstwo. Wolałem jednak nie testować rozsądku Kaśki.

– Szamocki powiedział, że za bewupa dostaniemy dodatkowe pół miliona. – Mówiłem do Studenta, ale równie często spoglądałem na Patrycję. – Dobrze by było, żeby dojechał na miejsce transakcji.

– Bez niej zostaje nas pięcioro – zauważył Student.

– Mało. Przy wymianie mogą być problemy. Im więcej...

– Wiem – przerwał mi spokojnie. – Myślisz, że czemu daję jej wybór? Wiem, że się przyda. Ale po cholere się w to bawić, jeśli nas po wszystkim zakapuje? Jak prokurator ma gromadę zabójców i jedną, co nie zabijała, to pójdzie na każdy układ. Świadek koronny, dożywotnia opieka państwa, praca, mieszkanie. Nie będę ryzykował.

Logiczne. Na jego miejscu mówiłbym to samo.

– Nie wydam was – burknęła Kaśka.

– Obiecanki cacanki – wzruszyła ramionami Patrycja.

– Nie wydam was – powtórzyła głośniej. Dopiero teraz dało się usłyszeć, że to, co w niej buzuje, to nie sam gniew, odraza, chęć wydrapywania oczu. Było tego mnóstwo, jak piany na wrzącej zupie, ale sama zupa składała się głównie ze strachu i rozpacz. – Musiałabym donieść na Adama. Nie rozumiecie? Muszę milczeć.

– Tak dobrze pieprzy? – uśmiechnęła się jasnowłosa. – Cholera, Adam, chyba cię za darmo pocieszę, jak Kasia wyleci w powietrze. Musisz być niezły. Tak rozkochać dziewczynę w parę godzin... No, no.

– To więcej niż parę godzin – mruknąłem. Zastanawiałem się, jaką taktykę obrać.

– Nie chrzań. Wiem o tej twojej dziennikareczce. To dlatego ją grzmocisz? – skinęła w stronę Kaśki. – Bo też dziennikarka, z dzieckiem i ze Stargardu? Zastępcza Ilona? Podobne są chociaż?

– Nie są. – Tego jednego byłem pewien: że z wyglądu trudno je pomylić. Bo cała reszta...

Kaśkę znałem bez porównania dłużej, marzyłem o niej lata temu, nie mając pojęcia, że po świecie chodzi jakaś Ilona Roman. Ale teraz... Patrycja strzeliła jak kulą w płot, tyle że płot odbił rykoszet i kula trafiła w tarczę chyba gdzieś całkiem blisko dziesiątki. – Słuchaj, Student, to przecież bez sensu. Nikt nie sprawdzi, kto podpalał te lonty. Równie dobrze ty możesz pójść na układ z prokuratorem i nas wszystkich... Nie zmuszaj jej do tego. Jest z nami, prowadzi ten zasrany wóz, weźmie forszę. Nie wystarczy?

– Nie, nie wystarczy.

Cholera. Wiedziałem, że tak powie.

– To porządna dziewczyna. – Na szczęście stała z boku i mogłem mówić takie rzeczy, nie zawadzając o nią wzrokiem. – Znam ją. Chodzi do kościoła. Nie dlatego, że wypada. Wierzy w te

rzeczy. Potrafi żyć z cudzym grzechem na karku; jak nam tu przysięgnie na Boga i życie córki, to nie puści pary z gęby. Ale jeśli sama... Nie rozumiesz? To jak gwałt. Kobietom wysiada zdrowy rozsądek, kiedy się je zgwałci. Nie będzie w stanie racjonalnie myśleć. Pójdzie, opowie o tym, tylko po to, by zrzucić z sumienia. Znam ją. Chłopie, kurwa, to moja baba. Wiem, jaka jest.

Jeszcze nigdy nie miałem tyle szczerości w twarzy. Sam sobie prawie wierzyłem.

– Ale ja nie wiem. I wolę, żeby podpałła lont.

Nie patrzyłem na Kaśkę i teraz to się zemściło.

– Wsadź sobie w dupę ten trotyl – powiedziała cicho i nienaturalnie spokojnie. – Podpałę na pewno.

Zrozumiałem, że podjęła decyzję. Przy okazji także za mnie. Ilona była szczuplejsza, ładniejsza – tak naprawdę to najładniejsza na świecie – poruszała się z gracją, o jakiej wiele zawodowych modelek może sobie tylko pomarzyć. Z Kaśką spałem, Kaśka pozwalała się dotykać, całować, ryzykowała dla mnie co najmniej więzienie. Istniał tylko jeden uczciwy sposób dokonania wyboru między nimi – zepchnięcie decyzji na Pana Boga i rzut monetą. Ale nawet gdyby osobiście zstąpił na tę okazję z nieba, wyjął z kieszeni własną złotówkę i rzucił, do końca życia miałbym wątpliwości.

Popełniając samobójstwo uwalniała mnie od tego. Nie musiałem wybierać. Żywe, szarookie, najpiękniejsze w świecie dziewczyny w naturalny sposób wygrywają z martwymi i ani nadwaga, ani banalny brząz tęczówek tych wysadzonych w powietrze nie ma już nic do rzeczy.

Zdałem sobie sprawę, że wiele spraw będzie wyglądać prościej, jeśli postoję teraz przez chwilę i pomilczę.

Zastanawiałem się nad tym. Gdyby Ilona częściej jeździła do pracy autobusem zamiast zasuwać na piechotę, bo taniej; gdyby do ubierania się używała więcej pieniędzy, a mniej dobrego gustu; gdyby przy wyborze facetów kierowała się stanem konta... Ale chyba nie była do kupienia. To dlatego wciąż samotnie wychowywała Olafa, dlatego pół miliona oraz jej sympatia niczego mi nie gwarantowały i dlatego, nie mając o tym pojęcia, rzuciła tej nocy koło ratunkowe najgroźniejszej z rywalek.

Potrzebowałem tej gorszej, by jakoś przeżyć, gdy ta lepsza powie: „nie”.

– Poczekaj, Student – uniosłem dłoń. – Pogadam z nią. Potem ją zabijesz.

## Rozdział 22

Poszłaby za mną i tak, ale wołałem wziąć ją za łokieć i pociągnąć w stronę bewupa o numerze taktycznym 0312. Oporne, przywoływane do porządku baby właśnie tak się prowadzi.

Staralem się wyglądać jak ktoś, kto wtłucze Kaśce za dyskretnym parawanem stalowej ściany, nie łudziłem się jednak i nie doznałem rozczarowania, widząc, że równolegle do nas, kierując się do bewupa 0313, podąża Patrycja.

Student wołał się zabezpieczyć.

– Daruj sobie. Nie zrobię tego.

Byliśmy już za wozem. Kadłub BWP-1 ma około metra sześćdziesięciu wysokości, więc, przynajmniej jeśli o nią chodzi, znaleźliśmy się sami.

– Zabije cię – oznajmiłem, siląc się na spokój.

– No to mnie, kurwa, zabije. Mój problem.

– Nasz.

– Nie ma żadnych „nas”. Jesteś ty i Ilona.

– Ilona mnie nie chce.

– Z taką forszą zechce.

Boże. Obyś miała rację.

– Nie znasz jej. Nie jest taka.

– Wszystkie jesteśmy takie.

Stała oparta łopatkami o błotnik. Mała i krucha na tle bryły wcale nie tak potężnego wozu.

– Naprawdę? No to zrób to.

– Mówię o dawaniu dupy za pieniądze. Nie o wsadzaniu trotylu w cudzą. Jest subtelna różnica.

– Nie musisz... – urwałem. Sama wiedziała, że Student nie tego od niej oczekuje. Łoban mu się naraził, ona nie. Chciał polisy, niczego więcej. – Kasia, pomyśl o Zosi.

Posłała mi dzikie, chyba nienawistne spojrzenie i próbowała odejść. W ostatniej chwili złapałem ją za ramię, przycisnąłem do błotnika.

– Puszczaj – warknęła. Nie wrywała się jednak.

– To dobra śmierć. Bez bólu. Sam chciałbym tak...

– Puść mnie.

– Masz córkę. Potrzebuje cię.

– Zamknij się.

– Przecież nie zostawisz własnej...

– Adam. – Miała w głosie coś, co sprawiło, że urwałem w pół zdania. – Koniec. Jeszcze

jedno słowo o Zosi, i nie rozmawiam z tobą. Nie żartuję.

Słyszałem, że nie żartuje. Mogłem oczywiście trzymać ją tu siłą i zalewać potokiem argumentów. Mogłem też wiercić palcem dziurę w bewupie. Wynik byłby podobny.

– Ja też cię potrzebuję – powiedziałem cicho.

– Ty? Ty potrzebujesz forsy.

– Nie – pokręciłem głową. – Ciebie.

– Gównno prawda.

Nie kłamałem. Naprawdę była mi potrzebna. Jak szalupa załodze starej krypy, która lada moment zderzy się z cyklonem „Ilona” i prawdopodobnie pójdzie na dno. Ale tego jej chyba nie powinienem mówić. Kobiety to nie szalupy. Mają większe ambicje.

– Obrzydło ci życie? – zapytałem ze złością.

Nie odpowiedziała. Patrzyła mi w oczy. Było ciemno, ale nie aż tak. Zrozumiałem. Nie odwracała wzroku, dała mi aż nadto wiele czasu.

Pomyślałem, że jest odważna. I zaraziłem się tą odwagą.

– Ja też dostałem w kość – powiedziałem powoli. Przyglądała mi się w milczeniu. – To wojsko... Będziesz się śmiać, ale... zaciągnąłem się, bo dawali broń.

– Broń? – Musiałem poczekać, w końcu jednak zapytała. Ułożyłem dłoń w kształt pistoletu, przytknąłem do skroni.

– Bum. – Kciuk opadł, niewidzialna, bezgłośna kula pomknęła w głąb czaszki. – Bez bólu.

Męsko i elegancko.

Staliśmy, patrząc w ciemność, za którą kryły się oczy.

– Aż tak? – mruknęła w końcu.

– Prawdziwy z niej potwór – uśmiechnąłem się blado. – Zakochujesz się i wysysa z ciebie całą chęć do życia. Calusienką. Chcesz tylko jej, niczego więcej. Nagle widzisz, że nic nie ma sensu. Nic. Jest absolutne szczęście z Iloną i totalny koszmar bez Ilony.

Milczała jakiś czas.

– Czemu mi to mówisz?

– Bo jak cię zobaczyłem, tam, przy bramie... Pierwszy raz od półtora roku pomyślałem, że może warto żyć. Że ktoś ją może zastąpi. Że przestanie tak boleć. – Pochyliłem się, musnąłem ustami jej czoło. – Nie umieraj, Kasia. Proszę.

Zastanawiała się nad tym. Stała ze spuszczoną głową, nieruchoma.

– Przecież nie strzelam sobie w łeb – powiedziała cicho. – Ciut ryzykuję, to wszystko. Nie zabiją mnie. Jestem im potrzebna.

– Przydatna – poprawiłem. – Tylko przydatna.

– Zaryzykuję.

Nie było wyzwania w jej głosie. Ale decyzja – tak.

Mogłem dalej wiercić palcem dziurę w bewupie. Albo wziąć przykład z Kaśki i też zrobić coś szalonego.

Wybrałem szaleństwo.

Ująłem jej ręce, rozciągnąłem na boki, położyłem na błotniku. Nie poruszyła się, nie próbowała niczego zmieniać. Czekala, zaskoczona. Opadłem na kolana. Łokcie Kaśki wciąż tkwiły tam, gdzie je zostawiłem. Grzeczna dziewczynka. I, jak na dziewczynki przystało, mała.

Musiałem ująć sobie jeszcze trochę centymetrów, z klęku przejść do siadu po turecku – dopiero wtedy moja twarz znalazła się wystarczająco nisko.

– Co ty wyprawiasz?

Jeszcze nie rozumiała. Zdziwienie i nic ponadto. Ale nadal stała tak, jak chciałem, rozkrzyżowana na błotniku bojowego wozu piechoty, tuż obok przestrzeliny po francuskim pocisku. Jej piersi urosły jakby, ułożyły się we wdzięczną linię. Fajnie wyglądała.

– Grześkowiak miał rację. A ja coś ci wiszę. Muszę oddać, póki żyjesz.

Nie miała nóg jak modelka – do samej szyi – i ważyła więcej, niż waży modelki, nawet te niewysokie. Wolałem nie stawiać jej na swych udach. Pozostawał skłon. Wiedziałem, że będzie nam niewygodnie, więc zacząłem od pozbycia się kamizelki kuloodpornej. Do Turkmenistanu trafiły najnowsze amerykańskie modele, w końcu choć trochę ergonomiczne, ale wciąż pozostawał sztywny gorset z za wysokim kołnierzem i mnóstwem wystających elementów, mało przyjaznych kobiecej skórze. Zwłaszcza takiej.

Wewnętrzna część uda to wrażliwe miejsce.

Moja prawa dłoń trafiła najpierw tam. Uwięzła na chwilę, bo Kaśka odruchowo zacisnęła kolana – ale chyba wybrałem dobrą stronę nogi. Myślami wciąż była w całkiem innych rejonach i sięgając ku biodrom, ku gumce majteczek, mógłbym oberwać lekkiego kopniaka w szczękę.

– Zwariowałeś?

Za cicho to powiedziała, bez odrobiny oburzenia albo, nie daj Boże, szyderczego śmiechu. Zrozumiałem, że może mnie posądzać o wszystko, tylko nie o robienie czegoś z gruntu głupiego.

Wsunąłem lewą dłoń pod jej sukienkę. Ani szybko, ani wolno. Normalnie. Ruchem człowieka, który wykonuje jak należy celowe, użyteczne czynności i nie ma powodu się nad nimi zastanawiać.

Kolana rozstąpiły się nieznacznie. Niemy sygnał dla uwięzionej między udami ręki.

Wyciągałem ją powoli, próbując wyczuć, czy ucisk faktycznie na powrót narasta i czy Kaśka, podobnie jak ja, nie żałuje, że natura nie obdarzyła mnie dłońmi Myszki Miki.

– Daj spokój...

Próbowała być rozsądna. Na konsekwencję zabrakło już sił. Kiedy w końcu oswobodziłem dłoń i ująłem z obu stron jej biodra, od razu wychyliła je w moją stronę. Troszkę później zrozumiałem, że to z powodu koła, o którego krawędź opierała się pośladkami, lecz w pierwszej

chwili uznałem ten ruch za rodzaj ponaglenia. Szybciej niż zamierzałem, zsuwałem z Kaśki białe, bawełniane majteczki i nie tracąc czasu na przewlekanie ich przez obie stopy, zanurkowałem głową pod brzeg sukienki.

Prawa noga Kaśki przemieściła się w bok. Nieznacznie. Może po prostu próbowała coś zrobić z oplecionymi wokół kostki, zahaczonymi o sprzączkę sandała majtkami. Może starała się powiedzieć: „poczekaj, muszę pomyśleć”. Na pewno nie była to jeszcze entuzjastyczna zgoda.

Wsunąłem palce obu dłoni w miękką, włochatą poduszczkę, otworzyłem sobie drogę do wilgotnego wnętrza. Musnąłem je po raz pierwszy, na razie delikatnie, koniuszkiem nosa i ustami. Łokciami rozpychałem kolana dziewczyny. Powoli, dokładnie na tyle, na ile mi pozwalała.

– Adam...

Sprzeciw? Westchnienie? Nie powinienem tego w ogóle słyszeć, jej uda powinny otulić mi twarz z uszami włącznie. Tak się to robi. Kobieta może szeptać „nie”, nie ryzykując, iż zostanie wysłuchana.

Nie była długonogą modelką i już teraz, na początku, najgłośniejszym protestem był mój kark, ale czułem, że nie mogę pozwolić sobie na luksus zmiany pozycji. Gdybym popuścił choć na chwilę, próbował układać Kaśkę na wznak czy sadzać na błotniku, wyrwałaby mi się. Bałem się ryzykować. Ścisnąłem w zębach coś więcej niż płatki delikatnej, ciepłej tkanki, zamykające drogę w głąb kobiecego ciała. Ścisnąłem jej życie. Wilgoć, którą czułem na policzkach, była jak pot z dłoni kogoś zawieszono nad przepaścią. Puść na chwilę – a zabijesz.

– Nie mogę... Boże, cała się lepnię... Adam, przestań.

Pląkała wieczorem. W myślach żegnała się z posadą, z córką, może z życiem. Świat jej się walił. Nie miała głowy do kąpieli i gorycz jej ciała nie była teraz goryczą źle spłukanego mydła. Wiedziałem, że tak będzie, i bałem się momentu, w którym i ona to sobie uświadomi.

Próbowała uciec. Złapałem od tyłu jej udo i zacząłem podnosić właśnie po to, by ją zatrzymać. To, że trafiając na mój bark, ułatwiła nam obojgu sprawę, było niezamierzonym efektem ubocznym.

Albo i nie. Trochę wcześniej chyba uniosła się na palcach, silniej wsparła łokciami o błotnik. Urosła. Mogłem wnikać w nią głębiej, szybciej i mocniej.

– Jestem brudna. – Ledwie ją słyszałem, i to nie dlatego, że jej udo przywarło ciasno do mego ucha. – Adam... Nie tak. Proszę...

Nagle przed oczami stanęła mi zalana słońcem redakcja „7 dni”, Ilona siedząca przed monitorem, wachlująca się brzegiem własnej bluzki, narzekająca na upał. Jak to było...?

„Wali ode mnie jak z chaty Masaja”?

Gówno prawda. Może i była wtedy spocona, ale pachniała jak zwykle: czystym ubraniem, które załapało się na kawałek miejsca w pralce wypchanej rzeczami Olafa – nałogowego brudasa.

Rozpieszczała go, kupowała lody i batony, a potem tuliła, służąc za chusteczkę umorusanej po brwi, chłopięcej buzi. Siadywała po turecku na zakurzonych parkowych ławkach, chlupała w pośpiechu chińskie zupki, bawiła się z zaprzyjaźnionymi psami. Parę razy przyłapałem ją ze świeżą plamą na spodniach czy koszulce. I była przy tym najbardziej schludną osobą, jaką potrafiłem sobie wyobrazić. Tylko język miewała niewyparzony.

– Starczy już. Przestań. Nie musisz tak...

Miała rację. Nie musiałem. Bałem się, zamartwiałem, kochałem inną, ale w dole brzucha rozrastało się przyjemne ciepło i gdybym po prostu spłacał dług, wyrównywał rachunki o tę jedną chwilę rozkoszy, której ja doświadczyłem, a ona nie...

Czułem, że mi nie idzie, że od Francuzów może udało mi się być lepszym w walce, lecz na pewno nie uda się w miłości. Palce, język i zęby przeszkadzały sobie nawzajem. Byłem zbyt brutalny i za mało stanowczy równocześnie; twarz oblepiało mi więcej własnego, nerwowego potu niż kobiecych soków, choć Kaśka przyjęła mnie z nadspodziewaną szczodrością.

Powinienem dać sobie z tym spokój, rozpiąć spodnie i wziąć ją jak należy.

Cofałem już nawet rękę, tę mniej potrzebną, ugniatającą spięty pośladek. Gdyby opadła dostatecznie nisko... Ale odrobinę wcześniej paznokcie Kaśki przejechały mi jak grzebień po potylicy, uchu, po dostępnych, niewtopionych w jej brzuch fragmentach twarzy. Pięta przełożonej przez bark nogi wbiła się w kręgosłup z zachłannością haka abordażowego.

Oprzytomniałem.

Nie wolno ryzykować. Zlewały mi się stopniowo w jedność: ona i Ilona. Problem ewentualnego braku męskich sił stanął na głowie i stał się nagle problemem ich nadmiaru.

Jedno nieostrożne, zbyt długie przymknięcie powiek, jakaś chmura, która przesłoni niebo i zmieni twarz Kaśki w nierozpoznawalny owal, wspomnienie zerwane ze smyczy – i będę załatwiony. Wyobraź sobie, że to moja szarooka boginka i poooleci...

Chyba byłoby mi dobrze. Nawet w taki oszukańczy sposób. Tylko że potem za nic nie przekonałbym Kaśki do ciągnięcia tego dalej. Siebie może tak – chustka w rękę, chwila sprzątnia, po sobie bądź co bądź – ale nie ją.

Podziękuję uprzejmie, uśmiechnie się smutno – i da się zabić.

Może ostatni raz miałem okazję robić to z kobietą. Grześkowiak miał rację: w obliczu takiej perspektywy największe pieniądze świata stają się mało ważne.

Ale życie takiej dziewczyny?

Skreślić ją dla chwili przyjemności?

To jej należała się przyjemność. I to właśnie taka: podarowana bezinteresownie. Budząca chęć do życia.

Prawie mi się udało. Jej brzuch, pośladki, dłoń pieszcząca moją głowę, przerzucona przez bark noga – wszystko stopniowo zaczynało pulsować miłosnym rytmem. Odpływała. Chyba



nawet usłyszałem pierwszy jęk.

Ale zaraz potem usłyszeliśmy – już oboje – głos Studenta. Trochę gniewny, trochę szyderczy, trochę rozbawiony.

– Wiem, że to weekend, Kulanowicz, ale mamy robotę. Polizesz sobie później.

Jeśli miałem wątpliwości w kwestii zgody Kaśki na to, co robiliśmy, rozwiąła je teraz do reszty. Nagle znalazła się o dobry metr ode mnie. Zostałem z jej smakiem w ustach, zapachem na twarzy. I żądzą mordy, której nijak nie dało się zaspokoić.

Miałem bagnet, jednak nikomu jeszcze nie udało się zaszlachtować żadnego chama przez radio. A właśnie za pośrednictwem radmora do nas przemówił. Pewnie z lenistwa, żeby za daleko nie chodzić, ale podnosząc się z ziemi, czułem, że ocalił sobie tym życie.

Zabiłbym go, gdyby tak po prostu wylazł zza bewupa.

Właśnie spieprzył cud, którego prawie udało mi się dokonać. Czułem się jak szklarz, wstawiający ogromną, kosztowną szybę w źle dopasowaną ramę. Mocowałem ostatnią listewkę, byłem o włos od sukcesu – i nagle chrupnęło.

Nie leciało na mnie szkło, musiałem rozglądać się, szukać rysy – na pozór wszystko było jak przedtem. Ale nie łudziłem się ani przez sekundę i dlatego, niezależnie od ilości kamizelek i peemów, które by tu przydźwigał, rozprułbym go od krocza po gardło.

Kaśka stała nieruchomo, opierając czoło o burtę wozu. Mała, skulona, nagle obca.

– No już, kurwa, biegiem do mnie! – zachrząścił zamocowany do kamizelki nadajnik. – I tak namarnowaliście czasu.

Stał gdzieś tam, w mroku, z noktowizorem przy oczach. Niewidoczny, nietykalny, w pełni kontrolujący sytuację. Powtórzyłem to sobie w myśli. Pomogło. Zamiast podbiegać do dziewczyny, przytulać, pocieszać, tłumaczyć, że nic się nie stało, i pytać, czy w to wierzy, po prostu się ubrałem. W grę wchodziła jedynie kevlarowa kamizelka, w dodatku zapinana z przodu, ale i tak zdrowo się spociłem. Czułem, że Student gapi się na nas, czeka na moment, gdy Kaśka, łykając łzy upokorzenia, schyli się i podciągnie majtki. Musiała coś z nimi zrobić: wlokły się za stopą, wczepione w klamerkę sandała. Byłem prawie pewien, że nie darował sobie okazji sprawdzenia, jak z tego wybrnie.

Patrzył na nas i mógł zauważyć jeśli nie sam bagnet, to coś podejrzanego w moich ruchach. Staralem się wyglądać naturalnie, lecz trudno to pogodzić z próbami utrzymania za pasem koniuszka pochwy – a tyle mi pozostało. Nie pomyślałem wcześniej o solidnym zamocowaniu zdobyczy; dopóki byłem w kamizelce, praktycznie nie miała prawa się wysliznąć – i stało się.

– Ogłuchliście? Biegiem, ale już!

Założyłem kamizelkę. Bagnet zlitował się, nie wypadł.

– Kasia... – Nie poruszyła się. – Chodź.

Nic, żadnej reakcji. Jeśli miałem jakieś resztki złudzeń odnośnie do jej decyzji, właśnie mnie

ich pozbawiła. To nie wstyd skleił jej twarz z zakurzoną blachą. Stała z białym, bawełnianym piętnem oplecionym wokół kostki, bo po prostu do niczego jej się już nie spieszyło.

Teraz powinienem powiedzieć, że przecież byliśmy blisko, mogło jej być wspaniale i że w przyszłości będzie wspaniale jeszcze tysiące razy. Bo ma mnie.

Tyle że nie miała. Należałem do Ilony. Tak bardzo, że nawet nie potrafiłem przekonująco kłamać.

Opadłem na kolana, ująłem jej stopę, przełożyłem przez otwór majtek. Wciągnąłem je na biodra, po nogach znów szorstkich od gęszej skórki. Nie opierała się, nie pomagała. Zobojętniała na wszystko, dała się wziąć za rękę i poprowadzić na południe, gdzie mieliśmy zabijać lub umierać.

Nie biegliśmy, ale Student nie ponaglał więcej.

– Dawaj resztę – usłyszałem w radiu jego głos. W chwilę później za moimi plecami zamruczał rozrusznik. Dotarliśmy do leżących na brzuchach jeńców równocześnie z bewupem.

Trochę za późno rozpoznałem nasz wóz. Nie zdążyłem wyciągnąć w porę wniosków i wyprzedzić Młodego. Gdybym zdążył, też niewiele by pomogło: po lewej stronie przedziału desantowego nie było już dla mnie miejsca. Podłogę, przywaloną nadwyżką siatki, zajmował Czarek, a w głębi, przy wieży, przycupnął Kleczko. To jemu przypadła rola głównego rozładowującego.

Mogłem tylko bezradnie patrzeć, jak niezdarnie manewruje bezwładnym ciałem Szamockiego. Nie szło mu. Był najgorszym kandydatem na noszowego, jakiego w życiu widziałem: zgubił podniesiony nie wiadomo po co hełmofon Czarka, złapał go, zgubił samego Czarka, zahaczył własną głową o strop, łokciem omal nie wybił oka Lechowskiemu.

– Odsuń się – warknął zniecierpliwiony Młody. Puścił nogi rannego, chwycił za brzeg siatki.  
– Wyłaź, Lechowski. Wyciągniemy go na tym. I nieść będzie wygodniej.

Właśnie tego się bałem.

– Zostaw go. Nie widzisz? Nieprzytomny.

Młody zawahał się. Ja też się wahałem. Miał karabin na plecach, a sylwetka bewupa osłaniała nas przed Studentem i Patrycją. Gdybym zdołał go szybko rozbroić...

Nie odważyłem się próbować. Bez dobrego ciosu bagnetem raczej nie wchodziło to w grę, no i Kaśka też była po tamtej, niewidocznej stronie. Mieliby zakładniczkę.

– Ale Student kazał – wtrącił niepewnie Kleczko. – Mamy wszyscy podpalać. Solidarnie.

– Szamocki nie będzie. – Trudno powiedzieć, że zwierzyłem okazję. Po prostu każdy sposób odwrócenia uwagi od siatki był dobry. – I co? Zabijecie go?

Chyba zdziwiło ich takie postawienie sprawy.

– Znaczy się... No coś ty? – Młody cofnął się odruchowo o pół kroku. Podobnie jak ja, mówił stłumionym głosem.

– Kaškę chce zabić. Bo też nie podpali lontu.

– Ale przecież on...

– Co: nie może? A co to ma do rzeczy? Student ubzdurał sobie, że kropnie każdego, kto nie umoczy razem z nim. Czyli i Szamockiego też. – Wyglądał na lekko porażonego takim postawieniem sprawy, więc postanowiłem pójść na całość. – Możemy go rozbroić. Odbija mu.

Widziałeś, co zrobił z Łobanem? Chcesz być następny?

Przyglądali mi się bez słowa, teraz już we trzech, bo i Lechowski uniósł się na łokciach.

– Łoban się stawiał – mruknął Młody.

– Kaška też się stawia. Damy ją zabić?

Nie odpowiedział. Uciekł spojrzeniem w bok.

– Ja tam chcę żyć – wyręczył go Kleczko. Głos mu drżał, trudno powiedzieć: ze zdenerwowania czy gniewu. – Mnie w to nie mieszajcie.

Obrócił się i przez właz dowódcy wydostał się na pancierz. Nie wyglądało to na ucieczkę albo bieg z donosem, zrozumiałem jednak od razu, że nie warto liczyć na jego neutralność. Jeden podejrzany gest, a zacznie krzyczeć.

Młody odczytał to chyba podobnie. Dostrzegłem ulgę na jego twarzy. Nie musiał już podejmować decyzji.

– Dobra – skinął na Lechowskiego. – Wylaż. Pomożemy ci.

Praktycznie musieliśmy go nieść, ale przynajmniej wysiadł sam i siatka pozostała tam, gdzie była: na pociskach. Szamocki został w wozie, cała reszta zebrała się obok szeregu leżących na brzuchach jeńców.

Ktoś porozcinał im bluzy na plecach i powpychał pod spód ładunki wybuchowe. Na zewnątrz wystawały jedynie długie ogony lontów, po dwa na każdego. Cała trójka leżała nieruchomo, pogodzona już chyba z tym, co nieuchronne.

– Szamocki jest nieprzytomny – uprzedziłem pytanie Studenta. Pokazał palcem, gdzie mamy posadzić Lechowskiego, i dopiero potem zerknął w kierunku wozu.

– To go obudź. – Uniósł dłoń i błysnął płomieniem zapalniczki. – Kto nie przypala, idzie do nieba.

Lechowski był bardzo słaby: nie próbował siadać, tylko od razu położył się na boku.

– Sam go obudź – powiedziałem raczej spokojnie niż wyzywająco. Ale i ten spokój był wyraźnie nie na miejscu. W jednej chwili przyłgnęły do mnie wszystkie spojrzenia.

Student sprawiał wrażenie najmniej zaskoczonego.

– Patrycja – rzucił niedbale.

Bez słowa zrobiła w tył zwrot i ruszyła w stronę bewupa. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie wymaca przypadkiem ukrytych na ławce naboii.

Student wyciągnął rękę z zapalniczką w kierunku Kaški.

– Palisz? – zapytał z lekkim uśmiechem.

– Palenie szkodzi – mruknęła.

– Tak myślałem – pokiwał głową. Schował zapalniczkę, schylił się, wyjął z torby rolkę taśmy. – Wolisz zdrowo umrzeć? Twoja sprawa. Kleczko, przyczep pani ładunek.

Mieli jeszcze dwa wolne. Licząc z rannymi i Kašką, było nas ośmioro i Student najwyraźniej postanowił dać każdemu z nas szansę wykazania się solidarnością.

– Zostaw ją – powiedziałem, patrząc, jak blondas odbiera długi na metr odcinek taśmy i szerokim łukiem zachodzi dziewczynę od tyłu. – Przyda się. Będzie negocjować.

Kleczko zatrzymał się natychmiast, wodząc niepewnym spojrzeniem między mną a Studentem.

– Nie potrzebujemy negocjatora. Kleczko, chcesz dołączyć na piątego?

Podziało: jasnowłosa niemal biegiem dopadł Kaški, oplótł taśmą najpierw ładunek, potem jej talię. Pomyślałem, że ma ją całkiem wyraźnie zaznaczoną; nie to, co u Ilony, ale też miło popatrzeć.

– Tych Afgańczyków może ktoś kiedyś złapać i zdrowo przesłuchać. Chcesz, żeby śpiewali o polskim żołnierzu, targującym się zajadle o cenę? – Czułem, że trafiłem, więc poszedłem za ciosem: – No i język. Podejrzewam, że po rosyjsku łatwiej się z nimi dogadać niż po angielsku. A ona zna rosyjski.

Drugi dobry argument. Mimo to zakręcił palcem, pokazując Kleczce, by dokończył robotę i związał Kaškę. Bez oporu skrzyżowała nadgarstki za plecami.

– Zostaw ją – powtórzyłem. – Chyba... chyba się z nią ożenię. I podpalę ten lont. Nie wyda mnie. Męża nie musi. Będziesz miał swoją gwarancję.

Popatrzyli na mnie oboje. Jednakowo badawczo i z jednakowym brakiem entuzjazmu.

– Słyszałeś o rozwodach? – wzruszył ramionami Student.

Dwa jeden w pojedynku na argumenty. Za mała przewaga. Patrzyłem, jak Kleczko popycha dziewczynę, ustawia obok leżących na brzuchach legionistów, kuca, oplata sznurkiem nogi. Gdybym podszedł, odsunął go, padł na kolana i zaczął całować jej stopy, tu, teraz, na oczach wszystkich... Może by mnie wysłuchała. Może uwierzyłaby, że tak już pozostanie, że po kres naszych dni będę to robił, ile razy znajdę cień przyzwolenia w jej twarzy, bez oglądania się na spojrzenia innych, na głupawe uśmiešky reszty świata, który w sposób naturalny i radosny można mieć w dupie, gdy się kogoś kocha. Może doceniłaby dar: moje rozdeptane na miazgę serce, pokornie złożone pod sandałem rozdeptywaczki. Może zgodziłaby się żyć, pozwoliła wielbić, a nawet obiecała, że spróbuje odwzajemnić choć część tego, co do niej czuję.

Był tylko jeden problem. Nie była Iloną Roman. Jediną kobietą, której z najświęszym przekonaniem mógłbym składać takie deklaracje.

– Przywiązać do nich? – Kleczko posłał dowódcy niepewne spojrzenie. Francuzi, oprócz

tego, że spętani indywidualnie, połączeni byli w jedną zbiorową ofiarę dodatkowymi kawałkami sznura.

– Wiąż. – Student powiódł wzrokiem po zebranych, kończąc na powracającej Patrycji. – Zasada jest prosta: każdy zabija wszystkich. Leżą blisko, cholera wie, czy jeden ładunek nie załatwi całej czwórki. Rozumiecie? W świetle prawa każdy z nas będzie miał cztery trupy na koncie. I żaden prokurator nie pójdzie z wami na układ. Mordercom nie przysługują układy.

Odczekał chwilę dla spotęgowania efektu. Dopiero potem uniósł wymownie brwi.

– Nic z tego. Nie dałam rady go dobudzić. – Patrycja trąciła butem ostatni z przygotowanych ładunków. – Jeden możesz sobie darować.

– Dwa – uprzedziłem Studenta. – To moja dziewczyna. Razem w łóżku, razem w grobie. – Z krzywym uśmiechem złożyłem dłonie za plecami. – Dawaj z tym sznurkiem, Kleczko.

Gapili się na mnie dobre ćwierć minuty. Wszyscy. Kaśka oczywiście najbardziej intensywnie: gdybym nie zachował ostrożności i nie omijał jej spojrzeniem, chyba wgniotłaby mi gałki oczne aż w potylicę.

– Daj spokój – usłyszałem jej gniewny głos. Nie wzruszony, nie zdumiony. Gówno tam: wkurzyłem ją.

– Odwal się. – Też byłem zły. Trudno powiedzieć na którą. Jednej i drugiej dawałem, na ile mnie stać, i w obu przypadkach dostawałem kopniaka. Kobieta to najgłupszy z boskich wynalazków: powinniśmy rozmnażać się przez pączkowanie i mieć święty spokój.

– Odbiło ci?

– Dokładnie – rzuciłem przez zęby. – Odbiło. Zakochanie: ciężka psychiczna choroba, w powikłaniach śmiertelna. Ja mam właśnie taką z powikłaniami.

– Jaja sobie robisz? – upewnił się Student. Po raz pierwszy wyglądał na zbitego z tropu.

– To chemia – wzruszyłem ramionami. – Prochy czy baba: jeden pies. Jak się uzależnisz, wolisz umrzeć, niż żyć na głodzie. Zabijasz ją? Proszę. Ale mnie też lepiej zabij.

Nie kończyłem, nie tłumaczyłem, dlaczego i dla kogo lepiej. Groźby niedopowiedziane bywają skuteczniejsze.

Milczał dość długo. Raz i drugi zerknął na Młodego. Było jednak za ciemno, a chłopak stał wyraźnie na uboczu. Może te parę kroków ocaliło mi życie.

Jedyny odwód nie robił wrażenia pewnego.

– Obcinam ci połowę doli – oznajmił Student surowym i jak gdyby uroczystym tonem. – Kleczko, rozwiąż ją.

## Rozdział 23

Umarli w dwie sekundy. Może szybciej: oglądane z odległości kilkudziesięciu metrów eksplozje wyglądały dość imponująco i nie zdziwiłbym się, gdyby już pierwsza zabiła całą trójkę.

Ale nawet jeśli nie, jeśli ostatni z jeńców dożył wybuchu piątego ładunku – mieli po dwa na plecach, więc szósty nie miał już kogo zabijać – musiałem przyznać Studentowi, że załatwił sprawę w miarę humanitarnie.

Lonty były dobrze odmierzone i zabrzmiało to jak salwa nie bardzo zgranego plutonu egzekucyjnego.

Sześć eksplozji. Student, Patrycja, Młody, Kleczko. Lechowski, ze łzami w oczach. Może od bólu. No i ja. Wszyscy, którzy mogli i chcieli. Szamocki nie mógł, Kaśka nie chciała. Dzięki temu wyszło równe pół trupa na głowę. Powtarzałem sobie bez przerwy, że gdybym dołączył do tej wariatki, byłoby tego dwa razy więcej. Też równo. Pięcioro na ziemi, pięcioro katów nad nimi.

Zabijałem połowę człowieka, ratowałem dwoje. Czterokrotne przebicie. Łatwy rachunek, łatwa decyzja.

Student podpalił nasączoną smarem szmatę, na jego znak równocześnie przyłożyliśmy do niej końcówki wolnotłących, jednakowych, długich na metr lontów. Było to jawne marnotrawstwo, ale od początku brał poprawkę na rannych: żeby odciągnąć ich na bezpieczną odległość, potrzebowaliśmy tych kilkudziesięciu sekund więcej.

Dźwigałem Lechowskiego, starałem się być delikatny – i udało mi się nie patrzeć w tamtą stronę. Jeśli rozbłyski wyłowiły z mroku jakieś latające szczątki ludzkich ciał, to ja ich nie widziałem. Kiedy przyśni mi się ta noc, budząc się złany potem, będę przynajmniej wiedział, że kawałki z ochłapami ludzkiego mięsa to sen i tylko sen.

Wróciłem do bewupa, pomogłem Lechowskiemu ułożyć się na ławce. Kaśka czekała na nas przy drzwiach. Student zwyczajnie o niej zapomniał, gdy rozpoczęła się egzekucja. Na dobrą sprawę mogła nas wszystkich wystrzelać.

Z drugiej strony: już po tym, jak zapłonęły lonty.

Nikogo by nie ocaliła, lecz chyba nie dlatego pozostała na zewnątrz, ignorując pootwierane na oścież włazy i całe śmiercionośne żelastwo, zgromadzone w obu bewupach.

– Co ty wyprawiasz? – rzuciła mi w twarz, ignorując i Lechowskiego, i Kleczkę, który pomagał mi go taszczyć.

Kleczko zwał od razu. Odczekałem, aż Lechowski ułoży się na wznak, i dopiero wtedy spojrzałem na Kaśkę.

– I tak było po nich – wzruszyłem ramionami.

– Nie mówię o Francuzach – warknęła.

No tak. Nikt nie mówił o Francuzach. Zrobiliśmy „bum”, rozeszliśmy się do wozów – i tyle. Wystarczyło nie patrzeć sobie w oczy, milczeć. A podobno zabijanie jest trudne.

– Wsiadaj. Mamy opóźnienie, musimy jechać.

Zamknąłem drzwi, ruszyłem. Złapała mnie za ramię.

– Adam! – Pozwoliłem się zastopować, przycisnąć do błotnika. – Co jest grane, do ciężkiej cholery?

– A o co ci chodzi?

– O ten cyrk ze wspólnym umieraniem.

– Przecież żyjemy.

– Ale mogliśmy nie żyć. Oboje. – Odczekała chwilę i dorzuciła oskarżycielskim tonem: – Przegiąłeś.

– Dobra – zgodziłem się – przegiąłem. A teraz wsiadaj.

– Przecież się prawie nie znamy.

– Pogadamy kiedy indziej – wskazałem ruszającą ciężarówkę. – Teraz naprawdę...

– Może nie być żadnego „kiedy indziej” – przerwała mi na poły gniewnie, na poły błagalnie.

– Chciałeś dla mnie umrzeć. Muszę wiedzieć dlaczego.

– Nie chciałem. Ostra licytacja, to wszystko.

Milczała przez chwilę. Wpatrywała się we mnie.

– A przedtem powiedziałaś... – urwała. – Jak do nas strzelali... To prawda?

– Co? – Mogłem nie pytać: zrozumiałem, o czym mówi.

– Że zawsze mnie chciałeś... no wiesz. Przelecieć.

Nie tak to ująłem, a ona doskonale pamiętała każdą sylabę. Czułem, że pamięta.

Świadomie wybrała jednak to słowo. Banalne, trochę brudne. Ale i bezpieczne.

Mieć kogoś, a przelecieć kogoś... Niby to samo, a zarazem – dwa przeciwległe końce skali.

– Bo ładna jesteś – zmusiłem twarz do żartobliwego uśmiechu. – A faceci tak już mają: lecą na te ładne.

Zabrała rękę. Byłem wolny, mogłem wsiadać do wozu, jechać, zabijać, dawać się zabić, no i zdobywać pół miliona. Nie, wróc: teraz już tylko ćwierć.

Cholernie nie na miejscu był ten uśmiech.

Jej uśmiechowi też czegoś brakowało. Chociaż nie od razu zdałem sobie z tego sprawę: ładne dziewczyny nieczęsto wspinają się na palce i całują mnie w policzek.

– Śmierdzisz brudną cipką – mruknęła, cofając skrzywioną w dziwnym wyrazie twarz. – Faj.

Obróciła się na pięcie i odeszła.

\*

Aż podskoczyłem z wrażenia: złapał mnie za kostkę, no i pojawił się dokładnie tam, gdzie

przyzwyczailem się widzieć i czuć ciało Grześkowiaka. Poprzedniego celowniczego wprawdzie od dawna nie było pod moimi stopami – został na pobojowisku – ale spora część jego brzucha oraz zawartości uległa rozpyleniu i wciąż dawała o sobie znać.

– Jezu... Co ty wyprawiasz?

Zsunąłem się czym prędzej na dno wieży: Szamocki wyglądał, jakby to z niego pocisk wyszarpnął całe to paskudztwo. Wysiłek dźwignięcia się na nogi mógł go zabić.

Próbował coś mówić. Przepchnąłem go pod fotel dowódcy, nasadziłem hełmofon na głowę, zawróciłem do wieży po swój. Kable przyłączy były na szczęście długie i mogliśmy od biedy rozmawiać, widząc jeden drugiego.

– Zgłupiałeś? Masz leżeć!

– Programator... cały?

– Odbiło ci?!

– Musicie... sprzedać. Oba. Z obu... wozów.

Z jego gardłem nie było tak źle, jak sugerowały zwoje bandaża. Dawał się zrozumieć.

– Połóż się.

– Nic mi... – Rzuciło nami na jakimś wyboju i na chwilę stracił zdolność mówienia. – Jak ten projekt... zdechnie... Narobiłem sobie... wrogów. Wywałą z WAT-u. A nigdzie indziej... Po co komu ekspert od... rakiet? W Polsce?

Fakt: nawet fajerwerki kupowaliśmy w Chinach.

– Połóż się, Czarek. Teraz najważniejsze to przeżyć.

– Wrócę do ciebie – uśmiechnął się nieoczekiwanie. – To nie... wojna. Po prostu... poligon.

Nie płacz.

Cholera. To rozmazane spojrzenie... Zaczynał bredzić. Chciało mi się płakać, owszem, ale nie z powodu jakichś zasranych pocisków czy programatorów.

– Czarek, odpocznij, co?

– Obiecuj.

– Dobra, obiecuję.

Miał metal w czaszce, może w mózgu. A ja większe zmartwienia. Obiecałbym mu gwiazdkę – obojętne: tę z nieba czy generalską – byle dał się zawlec z powrotem na legowisko z siatki. Marnie wyglądał.

– Że nie będziesz... płakać. Wrócę, zobaczysz.

– Obiecuję – powtórzyłem łagodnie.

– I powiedz im, jakie to dobre... pociski.

– Dobra. Ale połóż się już.

Pomogłem mu przejść na czworakach te parę kroków. Padł na brzuch, głową w kierunku drzwi i od razu znieruchomiał.



Kaśka zerknęła raz i drugi przez ramię, ale odezwała się dopiero, gdy wróciłem na fotel celowniczego.

– Niedobrze?

– No. Niedobrze. Głowa to głowa.

Ten temat zamknęliśmy.

– On naprawdę chce to sprzedać?

– Ambicja twórcy – mruknąłem. – Zrobił coś dobrego i użytecznego, a paru dupków stawia na nim krzyżyk, bo przy zagranicznych zakupach są większe prowizje.

Milczała jakiś czas.

– Jeśli jest taki dobry, to czemu po prostu nie wyjedzie? Zachód ochoczo drenuje mózgi.

– A chcesz się pośmiać? – Nie chciała, ale i tak to powiedziałem: – Jest patriotą.

Powiedział, że się wkurwi, jak mu przyjdzie gadać z wnukami po angielsku.

Mogłem sobie darować. W jej lakonicznym „no tak” nie było ani odrobiny rozbawienia.

\*

Dwa kilometry przed wyznaczonym miejscem spotkania Student przeformował szyki.

Stanęliśmy, Młody przesiadł się do nas, zajmując fotel dowódcy, Kleczko trafił za kierownicę stara, a Patrycja – za wolant bewupa trzeciej drużyny.

– Mieście oczy dookoła głowy – zakończył krótką odprawę Student. – I żadnego strzelania bez rozkazu. Będzie nerwowa, ale pamiętajcie: wszyscy robimy dobry interes. Oni też. A, i jeszcze jedno. Kaśka!

– Co? – mruknęła bez zapału.

– Weź to. – Wyjął spod kamizelki zmiętą kopertę. Uśmiechnął się pod nosem, po czym ni to stwierdził, ni zapytał: – Kieszeni nie masz...

– Jak widać – rzuciła sucho.

– Ale majtki tak – poszerzył uśmiech. – Jak też czasami widać. Wsadź za gumkę.

Jeśli się zaczerwieniła, to po ciemku nie było widać. Ale pewnie nie. Był środek nocy, zimnej jak cholera, a jej gołe ramiona okrywała para sznurowadeł. Nie szczękała zębami, ale przydałyby jej się i kieszenie, i kawał solidnego swetra, przyszytego do owych kieszeni.

– Co to jest? – Głos też nie zdradził, na ile czuje się upokorzona. Student nie zdążył odpowiedzieć. Patrycja wyjęła mu kopertę z dłoni, obejrzała, uniosła do ust, pośliniła pokryty klejem brzeg, przeciągnęła między palcami.

– Nie twój biznes. – Koperta została złożona na pół wzdłuż dłuższej krawędzi i w końcu trafiła do rąk Kaśki. – Jak zajrzysz bez pozwolenia... Mogą nie wierzyć, że my to my. W razie czego pokażesz im to. To coś jakby list polecający. Ale póki nie powiemy, ani słowa, że to masz.

Jasne? Ani słowa. No to w drogę.

Ruszyliśmy, tym razem stłoczeni w ciasne, trójkątne stadko, z bewupami wysuniętymi

nieznacznie do przodu. Nie byłem pewien, czy mamy osłaniać jadącą tuż za nami ciężarówkę, czy na odwrót: tulić się do niej jak porywacze do zakładnika. W każdym razie – zadziało. W celowniku mignęły mi dwa czy trzy popiersia ulokowanych na wzgórzach strzelców, potem na wprost nas rozjarzył się emiter podczerwieni, zainstalowany na czymś wyraźnie większym od kaemu – a my nadal żyliśmy.

Może i ci na wzgórzach chcieli nas zabić, lecz najpierw chcieli porozmawiać. Dwie ludzkie sylwetki z kawałkiem białej szmaty na kiju pojawiły się w polu widzenia, nim jeszcze Student wydał rozkaz do zatrzymania.

– Idź z nią, Kulanowicz.

– Co? – Tego się nie spodziewałem.

– To Azjaci. Wkurwią się, jak pošlemy samą babę. To ich upokorzy. No i zrobisz dobre wrażenie. Bez broni jesteś, a żołnierz; widać, że w uczciwych zamiarach.

Młody już pchał się od dołu na moje miejsce: widocznie wcześniej to uzgodnili. I dobrze: jeśli miało dojść do strzelaniny, wolałem dostać kulę, niż spalić się w tej blaszance. A mając pełnego amunicji stara tuż obok, pewnie bym się spalił.

No i będziemy razem: ja i Kaśka.

Założyłem słuchawki, na wierzch wciągnąłem kominiarkę, sprawdziłem latarkę i wyszliśmy. Księżyc uprzejmie oświetlał niedużą dolinę; nie było problemu z odnalezieniem naszych partnerów. Wyszli nam na spotkanie też we dwójkę: tęgi facet po czterdziestce, z twarzą okrągłą jak księżyc, i jego dwa razy chudszy rówieśnik. Obaj skośnoocy, obaj w dzinsach, kurtkach zachodniego kroju, no i z krótkimi wersjami kałasznikowa pod pachami. Zza uda chudego zwisała dodatkowo lejkowata końcówka granatnika RPG-7. Znad ramienia nie wychylał się pocisk, czyli broń nie była załadowana. I nie miała być: ładownice mieściły jedynie magazynki do AK.

– Zapytaj o forszę – zabręczało w słuchawkach.

– Macie pieniądze? – ubiegłem Kaśkę.

– A wy naboje?

Rosyjski grubego był co najmniej dobry. Powiniennem się cieszyć, bo właśnie stałem się niezależnym uczestnikiem negocjacji. Ale jakoś się nie cieszyłem.

– Mamy. – Tym razem to ona była szybsza. – Cały wóz.

– Bardzo dobrze – popisał się angielszczyzną chudy.

– Chcemy obejrzyć. – Okrągła Twarz konsekwentnie trzymał się rosyjskiego. Kaśka przypomniała sobie o obowiązkach tłumaczki i powtórzyła to po polsku do mikrofonu.

– Niech pokażą forszę – zażądał Student. To też przetłumaczyła. Grubszy ze skośnooików zmarszczył czoło, kręcił przez chwilę głową, po czym rzucił w kierunku towarzysza parę słów, których ni w ząb nie rozumiałem.

Chudy zdjął z pleców rurę z lejkowatym końcem.

– Dziewczyna pójdzie z Ahmedem – oznajmił grubszy, odbierając granatnik. – Ja z tobą. Szybciej będzie.

Kaśka przetłumaczyła i dopiero wtedy posłała mi pytające spojrzenie. Nie wyglądała na przerażoną. Nawet na wystraszoną nie bardzo. Po prostu patrzyła. No, ale było ciemno.

– Idź – skinąłem głową.

Zawahała się, lecz zaraz potem odwróciła i pomaszerowała za chudym. Stałem przez chwilę, patrząc, jak rozmywają się w mroku. Wmawiałem sobie, że podjąłem rozsądną decyzję.

Udało się, wmówiłem.

Tyle że gdyby to była Ilona, za cholerę bym jej tam nie posłał. Gdyby to była Ilona, właśnie umierałbym na zawał.

– Nie ma czasu – przypomniał o sobie Okrągła Twarz.

Ruszyłem przodem.

– Nie pytali o swoich? – usłyszałem zaniepokojony głos Studenta. Był zdany na nasze relacje, plus ewentualnie podglądanie gestów.

– Na razie nie – mruknąłem.

– Pilnuj tej koperty, Kaśka. Nie mają prawa jej dostać.

– Spokojnie. – Chyba się uśmiechnęła. – To nie stringi. Nie wyleci.

Jezu. Wariatka. Ale to dobrze, że stać ją na żarty. Kto żartuje, nie wpada w panikę.

– Pokaż mu paliwo – podpowiedział po chwili Student. No tak, nasza polisa. Skręciłem w stronę 0313, otworzyłem prawe drzwi, poświeciłem latarką.

– Benzyna. – Dałem Afgańczykowi czas na obejrzenie całej sterty beczek i kanistrów. – Włożymy tu pieniądze. Jeden strzał i po nich.

Zerknął na mnie bez entuzjazmu, ale i bez wyraźnej złości czy zawodu w oczach. Albo miał je zbyt skośne i coś przegapiłem, albo trafili nam się uczciwi kontrahenci.

– Rozumiem – mruknął. – Nie będzie strzelania.

Ruszył w stronę ciężarówki. Lufy obu bewupów spoglądały na południe, nikt nie wysiadał, nie próbował nam asystować. Kleczko, chyba z myślą o zareklamowaniu towaru, pozostawił silnik na chodzie, ale sam wyniósł się do Studenta, pod pancierz. Przemknęła mi myśl, że jeśli trafiliśmy na sprytnych fanatyków, Okrągła Twarz kroplnie mnie teraz bez trudu, wyciągnie granat, wrzuci na pakę i przejdzie do historii jako najskuteczniejszy kaszaniarz ostatniej dekady, jeśli nie wszech czasów. Jeden pocisk z kałasznikowa plus jeden granat – a w zamian siedmioro rozerwanych na strzępy niewiernych, ciężarówka i dwa pojazdy pancerne.

Plus Kaśka, którą jego kumple mogliby...

Oczywiście ani mnie nie zastrzelił, ani nie wyciągnął żadnego granatu. Zamiast tego wdrapał się na stara i przyświecając sobie latarką, zaczął zaglądać do skrzyń.

Wszedłem za nim, więc siłą rzeczy też zaglądałem.

I coraz mniej mi się to podobało.

Pod czterema z pięciu uniesionych pokryw kryły się naboje do granatnika. Skrzynie były właściwe. Amunicja nie.

– Te z dołu – zażądał Okrągła Twarz.

Klient nasz pan, ale nie dlatego pokornie stanąłem obok i zacząłem pomagać przy przekładaniu drewnianych pojemników. Przypomniał mi się po prostu barak numer 3 i końcówka załadunku. Szamocki posłużył się jeńcami. Może pomylili skrzynie?

Sam w to nie wierzyłem. Nawet nie dlatego, że wcześniej ktoś poupychał w nie ile wlezie niewłaściwych naboń. Po prostu za dobrze widziałem twarz Afgańczyka. Był zdenerwowany, czujny – ale nie był zły.

Facet, który płaci milion dolców za amunicję do armaty, a dostaje naboje do ręcznego granatnika, powinien się choć trochę wkurzyć.

Dokopaliśmy się do najniższej warstwy. W przypadkowo wybranym miejscu. Okrągła Twarz zaczął się biedzić z otwieraniem skrzyni, a ja wdusiłem przełącznik nadawania.

– Student – powiedziałem, siląc się na spokój – to nie ta amunicja.

– Czepia się? – Jego głos brzmiał bardziej nerwowo. – Powiedz, że jest więcej, niż zamawiali. Te siedemdziesiątkitrojki dostają ekstra. Gratis. Kurwa – przypomniał sobie poniewczasie. – Wy się w ogóle dogadujecie?

– Z nim? – Na maskowanie goryczy już się nie siliłem. – Z nim tak. Gorzej z wami. To miały być naboje do bewupów. Te szwedzkie. Taka była umowa.

Afgańczyk zsunął automat z ramienia, używając lufy jako dźwigni, próbował przesunąć skrzynię. Przemknęło mi przez myśl, że rozwali wspornik muszki i że Szamocki nie ma czego żałować: faceci z takim podejściem do kosztownej wojskowej techniki i tak nie wypromowaliby jego wypieszczonych pocisków rozpryskowych.

– Nie zawracaj mi dupy, Kulanowicz. Pytam, czy facet się czepia.

Czepiał się – wieka skrzyni. Wykopaliśmy za ciasną studnię i zdrowo się nabiedził, nim pokrywa ustąpiła, a blask latarki wyłowił z mroku obłe końcówki pocisków.

Zakląłem w duchu. Te na górze były przynajmniej stożkowate, kształtem zbliżone do armatnich.

– Jezu, co to jest? – Nie zwolniłem przycisku, nie dałem więc Studentowi szansy na odpowiedź. – Daliście im te nowe?! Zapalające?!

– Powiedz mu, że niżej są tylko takie. Musieliśmy je zamaskować, ale jak chce, niech sprawdzi: od drugiej warstwy w dół sam ekstratarwar. Te inne trzeba było wziąć dla niepoznaki, żeby nie wyglądało... Dasz radę mu to wytłumaczyć? – zaniepokoił się po raz kolejny.

– Ja jemu? – Patrzyłem, jak Okrągła Twarz gramoli się zza skrzyń, zdejmując granatnik

i napycha mu paszczę wyjętym z dna ciężarówki nabojem. – Pomyśl lepiej, jak ty to wytłumaczysz Szamockiemu. Wzięliście w ogóle te jego programowane cacka?

– O co chodzi? – rozległ się w słuchawkach zaniepokojony głos Kaśki.

– O nic – zbył ją Student. – Co z pieniędzmi?

Okrągła Twarz odbezpieczył granatnik i zaczął się rozglądać. Fajnie. To znaczy, że nie pójdzie na łatwiznę i nie pieprznie nam tą pigułą pod stopy.

– Mają. Dolary. Osiem stów. Tysiący znaczy. Niecały milion. Tak mówią, nie liczyłam. I ponoć milion w prochach.

Afgańczyk zatrzymał na chwilę spojrzenie na wozie Studenta. Było chyba tęskne. Gdyby konstruktorzy RPG-7 popisali się większą wyobraźnią i zaprojektowali go jako dubeltówkę... Ale bewupy były dwa i nawet gdybym ja nie kiwnął palcem, ten drugi zrobiłby sito z Okrągłej Twarzy na długo przed ponownym załadowaniem broni.

– Narkotyki? – W głosie Studenta skłębiły się diametralnie sprzeczne emocje.

Rozumiałem go. Niecały milion w gotówce to mniej niż milion w gotówce, ale prawie dwa miliony w banknotach i towarze to z kolei dużo więcej.

– Nie zdążyli spieniężyć. Mówią, że w Turkmenistanie bez trudu pchniemy je za milion, a dalej na północy nawet za półtora. Nie mówiąc o Europie.

Okrągła Twarz, trzymając wyrzutnię na ramieniu, wyjął z kieszeni coś o gabarytach telefonu komórkowego. Wypowiedział tylko parę słów, po czym aparacik znikł pod kurtką, nie zdążyłem się więc przyjrzeć. Zaraz potem zza odległego o sto metrów pagórka wyjechał terenowy samochód – chyba rosyjski UAZ – i blask reflektorów wykroił z mroku coś, co przypominało przydrożną tablicę reklamową.

– Próba. – Uśmiech rozszerzył i bez tego szeroką twarz Azjaty. – Zobaczymy, jak działa.

Ustawił się, obejrzał przez ramię, sprawdzając, czy nie zapomniałem przejść na bok: najwyraźniej mnie polubił i nie chciał przerobić na martwy skwarek płomieniem odrzutu.

– Student – uruchomiłem nadajnik – będą strzelać. Nie denerwuj się. Sprawdzają, czy i im nie wciskacie kitu.

Delikatny sarkazm – na tyle mogłem sobie pozwolić. Nie liczyłem się od samego początku, ale – nawet teraz, po wymuszonej zmianie dowódcy – łudziłem się, że liczy się Szamocki. Okazało się, że też nie. Stałem na znacznie bardziej kruchym lodzie, niż mi się wydawało.

– To tarcza? – Nie zdążyłem ani zapytać, ani przekazać dalej odpowiedzi. – Dobra, niech strzela.

Kiwnąłem głową. Okrągła Twarz przechylił swoją, patrzył przez chwilę w celownik RPG, po czym delikatnie zwolnił spust. Buchnęło gorącem, pocisk wyskoczył z lufy, uruchomił silnik raketowy i zaraz potem puknął mało efektowną eksplozją w lewym dolnym rogu tablicy reklamowej. Nic specjalnego, za to z tyłu...

Kula ognia miała średnicę małego domku, a kiedy przeistoczyła się w leżącą na piasku ośmiornicę, niektóre z macek sięgały nawet dwa razy dalej. Wiedziałem, że nie jest wcale taka wielka, ale ta wiedza nie niosła otuchy – UAZ, kiedy podjechał w jej sąsiedztwo, był mimo wszystko zdecydowanie mniejszy. Dwaj faceci z gaśnicami, którzy z niego wyskoczyli, mieli co robić.

Spieszyli się, jak każdy partyzant pod opanowanym przez wroga lotnictwem niebem. Nie byli jednak na szczęście dostatecznie szybcy i na tle płomieni wypatrzyłem otwierające się drzwi.

Ktoś wysiadał z naszego bewupa.

Pomyślałem, że to Młody. Ale Młody, nawet gdyby okazał się tak głupi, złamał wyraźne rozkazy i porzucił stanowisko strzeleckie w wieży, raczej nie wywaliłby się na kolana po pierwszych dwóch krokach.

Ten upadek chyba ocalił Afgańczykowi życie. Szamocki miał dobre oko i nawet ta pierwsza kula przeszła cholernie blisko.

Okrągła Twarz rzucił dymiący granatnik, schylił się, by złapać karabin. Zdążył, ale zaraz potem złapałem i ja. Szarpnąłem. Runęliśmy na kolana.

– Pomyłka! – wrzasnąłem po rosyjsku. – Nie strzelaj!

Oczywiście nie usłuchali: ani jeden, ani drugi. Pistolet Czarka posyłał nam kulę za kulą, a Afgańczyk uparcie próbował przełamać opór mych ramion, skierować lufę w odpowiednią stronę i wpakować mi serię w kieszki. Na szczęście miał dość rozsądku, by nie strzelać już teraz, po skrzyniach z amunicją.

Udało mi się ściągnąć go do parteru. Szamocki chyba też upadł, bo kule przeszły górą.

Potem ktoś zaczął krzyczeć, bodajże wychylony z włazu Student, i paroma następnymi bryłkami ołowiu dostało się bewupowi.

– To wariat! – przypomniałem sobie odpowiednie słowo. – Za wóz! Szybko!

Wyszarpaliśmy sobie automat. Jego utrata oznaczała klęskę, więc kiedy nagle rzuciłem się za burtę, Okrągła Twarz przytomnie poszedł w me ślady. Zwaliliśmy się na bok, zdrowo waląc o ziemię. Trochę go otrzeźwiło.

– Wszystko w porządku! Dostał w głowę! Nie wie, co robi! Wszystko w porządku! Nie strzelaj!

Pistolet Szamockiego obrabiał ciężarówkę, słyszałem jęk uderzanych kulami blach.

Gdzieś daleko. To przesądziło.

Okrągła Twarz znieruchomiał.

Nikt więcej nie strzelał. Gotów byłem się założyć, że mierzą wszyscy we wszystkich – ale nerwy nie puściły nikomu i kiedy Szamockiemu skończyły się naboje, nad pustynią zaległa głucha cisza.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że silnik stara zgaśł. Miałem nadzieję, że sam z siebie.

– Spokojnie – zmusiłem się do uśmiechu. Potem cofnąłem lewą rękę z automatu. – Spokojnie.

– Spokojnie – powtórzył Azjata. Nie skorzystał z okazji, nie oswobodził broni nagłym szarpnięciem. Wziąłem to za dobrą monetę, rozprostowałem zaciśnięte na lufie palce prawej dłoni i nie oglądając się za siebie, przelazłem na czworakach na drugą stronę ciężarówki.

Nie zastrzelili mnie. Ani on, ani Szamocki.

– Czarek! To ja!

Nie zastrzelił, bo i nie mógł: klęczał, kiwał się jak pijany i bezskutecznie obmacywał boki, szukając zapasowego magazynka. Podbiegłem do niego, złapałem za rękę.

– Już dobrze – wcisnąłem przełącznik nadajnika. – Mam go. Wszystko w porządku.

Nic nie było w porządku. Tak dalece nie było, że Studenta poniosło: zaraz potem, nie zważając na czort wie ile wymierzonych w nas luf, wypadł z wozu, wymachując peemem.

– Odbiło ci?! Całkiem zdurniałeś?!

– Ty... gnoju. Gdzie moje...?

Zacząłem podnosić Szamockiego, dbając o to, by cały czas być między nimi. Pamiętałem, jak skończył Łoban.

– Mogłeś rozwalić cały ładunek! To amunicja, kretynie!

– Co się dzieje? – przypomniała o sobie Kaśka. W samą porę. Student był wściekły, ale nie aż tak, by poprzestawiało mu to listę priorytetów.

– Nic – warknął. – Powiedz im, że to jeniec strzelał. Jest ranny w głowę, niepoczytalny.

Już go mamy. Nic nie robi. Ich dowódcy nic się nie stało.

Wątpię, czy zdążyła: Okrągła Twarz wylazł zza ciężarówki, wyjął swoje miniaturowe radyjko i sam zaczął mówić. Wszyscy mogący strzelać widzieli go zresztą, i to było jeszcze ważniejsze. Napięcie zelzało do tego stopnia, że jeden z pasażerów UAZ-a dźwignął się z ziemi, odłożył karabin i podniósł gaśnicę.

Natowskie lotnictwo i amerykańskie satelity znów awansowały na zagrożenie numer jeden.

– Nie sprzedacie... tego. – Teraz, gdy nie było z czego strzelać, Szamocki jakby oprzytomniał. – Wracamy. Nie... nie będzie... interesu.

Student zmierzył go ponurym spojrzeniem.

– Może wezmą te twoje zabawki – rzucił lodowatym tonem. – Spróbuję im wepchnąć to gównno. Ale teraz zejdź mi z oczu. Zabierz go, Kulanowicz. I zwiąż. Jak jeszcze raz wykręci jakiś numer, to was obu...

– Masz im... sprzedać... szwedzki. Tylko szwedzki. I bewupa z dwoma... programatorami.

To... rozkaz.

Zrewidowałem pogląd na stopień jego przytomności. Na szczęście Student był podobnego zdania: ograniczył się do podniesienia upuszczonego na ziemię pistoletu.

– Opchnę wszystko, za co zapłacą – uśmiechnął się krzywo. – Z wielkim ekspertem włącznie. Spokojna głowa.

Szamocki dźwignął się na równe nogi.

– Opchniesz szwedzki – powiedział cicho. Może dlatego zabrzmiało to tak stanowczo, po oficersku. – Tylko.

– Bo co? – podtrzymał uśmieszek Student.

– Bo bewupy kupują... żołnierze. Nie... terroryści.

– Pytam, dlaczego niby miałbym wracać do bazy z dwiema tonami niesprzedanego towaru – wyjaśnił łaskawie Student. Po czym, już mniej łaskawym tonem, dorzucił: – Zabierz go stąd, Kulanowicz, bo naprawdę dorzucę idiotę na gratisa do tych granatów. Zaczyna mnie wkurwiać.

Nie zdążyłem. Szamocki w końcu zrozumiał pytanie.

– Bo cię... zajebię – wymamrotał. – Dlatego.

Znow nie zdążyłem: kolana ugięły się pod nim, nim zauważyłem mętniejące spojrzenie.

Wepchnąłem nogę między jego ramię a ziemię – to wszystko. Padł na bok i uderzył w piach bokiem głowy, a nie podziurawionym czołem.

Może jednak lepiej by było, gdyby to było czoło.

– Nigdy z nią nie spałem – wymamrotał.

– Co?

– To Chudzyński. Omotała go. Mnie nie. Wiesz, że tylko ciebie... Wiesz.

Najgorsze, że brzmiało to całkiem normalnie. Nie zorientowałem się w porę, nie zrobiłem niczego, by go uciszyć. Inna sprawa, że w grę wchodziło chyba tylko kneblowanie, a tego by Student nie przegapił.

– Będziesz profesorem. Nie żoną jakiegoś gównianego imigranta. Profesorem. Tutaj. U siebie.

Dziwne, ale teraz, gdy wyraźnie nie wiedział, co mówi, wychodziło mu to dużo lepiej.

Może to kwestia znieczulenia: nieprzytomnych nie boli przebite gardło.

– A ja wrócę. Kocham cię. Wrócę.

Zamilkł w końcu.

Przez chwilę było cholernie cicho. Czuję, że ta cisza zabija go skuteczniej niż okruchy metalu w mózgu. Próbowałem szybko coś powiedzieć – i nie mogłem.

Student też nic nie powiedział. Ale rozumieliśmy się. Nie zdziwił mnie widok podnoszonego wyżej automatu.

– Lepiej nie. – Przynajmniej za trzecim razem okazałem się wystarczająco szybki.

– Nie słyszysz? Bredzi. Wsypie nas. Jak nie Kleczko, to on. Dostał w łeb, może już nigdy nie będzie normalny. Cholera wie, co i komu wygada. Niby czemu nie? – potrząsnął bronią. – Najprostsze wyjście.



– I precedens. Jak raz się zaczniemy zabijać, to dalej pójdzie z górki. Łoban to co innego – uprzedziłem jego argument. – Wróg. Szamocki od początku jest z nami.

– I tak nie przeżyje.

– To tym bardziej. Sam umrze i będzie po kłopotcie.

## Rozdział 24

Kaśka wróciła zza wzgórz w asyście powiększonej do trzech partyzantów. Wcześniej ci z UAZ-a odjechali w tamtą właśnie stronę, więc może nie otaczały nas aż takie tłumy, jak sugerował ruch przed lufami bewupów – ale widok dodatkowych potencjalnych zakładników robił wrażenie. Ktoś, kto tak beztrzesko oddaje kolejnych swoich ludzi na łaskę wroga, zwykle trzyma w zanadrzu mocne atuty.

– Chcą policzyć naboje – wyjaśniła Kaśka. Przez radio, bo Student wyniósł się z powrotem pod pancierz. Ci nowi nie wyglądali na ciężko uzbrojonych, ale pod ich kurtkami teoretycznie mogły się pomieścić klasyczne, ręczne granaty, więc nasz nowy wódz zdecydował się podmuchać na zimne. Jego BWP odjechał nieco dalej i wymownie odwrócił wieżę, biorąc na cel włączających na ciężarówkę Afgańczyków.

Ten brak zaufania złągodził zgodą na kolejne wykopki.

Przez kilkanaście minut cała czwórka przekładała skrzynie z jednego końca stara na drugi, otwierając je, przeliczając zawartość i czyniąc stosowne zapiski w notesie. O nic nie pytali, niczego nie chcieli, więc nie protestowałem, kiedy Kaśka oddaliła się w stronę naszego bewupa.

Szamocki raczej nie odzyskał przytomności, ale Lechowskiemu na pewno nie zaszkodzi parę słów otuchy w kobiecym wydaniu.

Wróciła, gdy partyzanci dali sobie spokój z rachunkami i zabrali się do przywracania skrzyniowym górom charakteru skrzyniowej równiny, stabilniejszej podczas jazdy.

– Adam... musimy pogadać.

Skinąłem głową. Albo za mało entuzjastycznie, albo za jej poważną zapowiedzią krył się równie poważny temat, z którym sama nie bardzo się uporała. Poczekałem sobie trochę, nim skończyła grzebać w piasku czubkiem sandała, uniosła twarz i popatrzyła mi w oczy.

– Będziesz się śmiał... – Póki co, nie robiłem tego. – To chyba nie są Afgańczycy.

Nadal się nie śmiałem. No, może trochę w duchu. Gorzko.

– Za dużo skośnych oczu? – podsunąłem.

Ci dwaj nowi, których przyprowadził Ahmed, też wyglądali jak mieszkańcy Dalekiego Wschodu.

– Nie, nawet nie to. Północny Afganistan to Uzbekcy, Tadźcy i tak dalej. Mają prawo być żółci.

– I chodzić w dzinsach? – Wypuściłem na zewnątrz swój gorzki uśmiech. Przyjrzała mi się uważniej.

– Też ci coś śmierdziało?

– Na odwrót: są za czysti i za ładni jak na afgańskich partyzantów. I cholernie zachodni

z wyglądu. Wypisz, wymaluj: kolaboranci z Aszchabadu. – Widziałem, że nie rozumie. – To nie reguła, ale z grubsza po tym odróżnisz Turkmena prorządowego od antyrządowego. Zwolennicy Zachodu chodzą w dzinsach i ogoleni. Można za to dostać po pysku, przynajmniej śliną. Ale patrole mniej trzepią. Sojuszników lepiej szanować, no i pod lewisy czy T-shirta nie upchasz trotylu.

– Na to nie wpadłam – przyznała. – Po prostu za dobrze znają rosyjski. Wiem: Rosjanie okupowali Afganistan. Ale pomyśl: ilu Polaków mówiło biegle po niemiecku w 1945? Spośród tych, co przedtem nie znali języka? Jakies promile – odpowiedziała sama sobie. – A łatwiej się było nauczyć. No i podejście... Wiesz, ten Ahmed... Rozmawiał ze mną. Żartował.

– Po rosyjsku? – Nie zrozumiałem.

– Dla taliba baba to zero. Powietrze. A w Związku Radzieckim było równouprawnienie.

– Chyba są stąd – podsumowałem. Czekala na ciąg dalszy. Nie doczekała się.

– Szamocki ma związane ręce – zmieniła temat.

– Lekko.

Zdała sobie sprawę, co powiedziałem.

– To ty go...? Adam, on jest ranny!

– Ale za to żywy.

– To znaczy?

– Student się go boi. Facet z dziurą w mózgu może być niebezpieczny. Nie teraz – dorzuciłem, widząc, że otwiera usta. – Potem. Jak zaczniesz majaczyć w szpitalu.

Nie protestowała, nie domagała się wyjaśnień. Czyli byliśmy zgodni w tej kwestii.

– Co tu się stało?

Opowiedziałem jej. Bez zapalu. Chyba przeczuwałem, że nie skończy się na zaspokojeniu ciekawości.

Stała, gryząc wargę. Odgryzłaby w końcu spory kawałek, ale na szczęście dla jej urody ci z ciężarówki wyraźnie kończyli robotę. Nie było za dużo czasu.

– Co jest z tą amunicją? To jakaś inna?

– Do ręcznych granatników. – Wskazałem naszego bewupa. – To takie, jak ma Młody.

Tylko skrzynki są od armatniej.

– I? – Wyraźnie nie rozumiała, na czym polega przekręt.

– Tutejsi partyzanci nie bardzo mają jak strzelać z armat. Nawet w przenośnej wersji.

– Przenośnej?

– Jest taki ni to granatnik, ni działo bezodrzutowe. SPG-9. Długa rura na trójnogu. Naboje od bewupa pasują do niej. W Afganistanie powinni mieć ich sporo, tu może też mają, ale to mimo wszystko za ciężka zabawka, by strzelić i wiać, nim zaatakowany konwój wezwie posiłki.

Co innego RPG. Walisz z za węgła i w nogi. Są lepsze granatniki dla miejskich partyzantów,

ale ten jest najtańszy i najłatwiej dostępny. Taki kałach na broń pancerną.

– Jeśli taki dostępny, to po co im to? – skinęła w stronę ciężarówki. – Też mocno ryzykują.

Tak jak my.

– „Najłatwiej” nie znaczy „łatwo”. Muszą wydać sporo forsy i często stracić paru ludzi, żeby przemycić po kilkadziesiąt naboń. A tu tania, hurtowa dostawa prawie do domu. I to w pierwszym gatunku.

– To znaczy?

– Przeciwpancerne głowice RPG nie bardzo się sprawdziły w Iraku. Na czołgi i tak nikt nie ma odwagi polować, więc siła przebicia nie jest aż tak ważna. Chodzi o to, by zdrowo przywalić załodze, kiedy już pocisk upora się z pancerzem. No a strumień kumulacyjny przelatuje przez takiego hummera i leci dalej, zamiast...

– Hummer to ten amerykański gazik? – upewniła się.

– Owszem, tyle że najczęściej opancerzony. A wewnątrz opancerzeni dodatkowo żołnierze. Typowy cel partyzantów. Większość strat w Iraku to załogi takich właśnie, lekkich wozów. Inna sprawa, że załatwiali ich głównie minami. Z RPG nie tak łatwo trafić, a jak już, często okazywało się, że ci w środku wykpiłi się paroma lekkimi ranami. A nie o to chodzi.

Ludzie na patrolach mają srać ze strachu. To samo ich rodziny. – Popatrzyłem na stara. – I chyba będą.

– O czym mówisz? – zmarszczyła brwi.

– Wojsko Polskie przyjęło niedawno na uzbrojenie nową głowicę do RPG-7.

Przeciwpancerno-zapalającą. Grubej blachy nie przebije, ale na transporter opancerzony starcza.

Robi dużą dziurę, rzyga do środka mieszanką palną i... – Przerwałem na chwilę. – Ofiary będą fatalnie wyglądać w telewizji. Nasi chłopcy spalani żywcem: to robi wrażenie na wyborcach.

– I my im właśnie te pociski...?

– Pewnie na nie ich Chudzyński złapał. Przydatna broń. Także przeciw schronom, posterunkom. Do ostrzeliwania budynków też jak znalazł. Drżycie, kolaboranci.

Dopiero teraz przyjrzała mi się uważniej.

– Nie wiedziałeś, prawda?

– Nawet nie wiedziałem, że mamy tu to cholerstwo. Do jednostek nie poszło. Widać trzymają na czarną godzinę. Spaleni żywcem tubylcy też nie wyglądają dobrze w tivi. A to, po prawdzie, taki skuteczniejszy miotacz ognia. Wyjątkowo niehumanitarna broń.

Milczeliśmy przez chwilę.

– A Szamocki?

– Zaczął strzelać, jak się dowiedział. Co innego promować polską i własną myśl techniczną

w Trzecim Świecie, a co innego... – Splunąłem z goryczą. – Kurwa. Usmażą paru naszych. Jak wyznaczyli miejsce odbioru tutaj, to pewnie towar trafi nie dalej niż do delty. A co drugi żołnierz w delcie Murgabu to Polak.

Patrzyła na zeskakujących z ciężarówki mężczyzn. Żaden nie ruszał jeszcze w naszą stronę. Skupili się przy szoferce, któryś wdrapał się do środka.

– Może ich ktoś złapie po drodze? – wymruczała. Nie skomentowałem. Chyba powinienem. Gdyby rozmawiała ze mną, nie sięgnęłaby do przełącznika radiostacji. – Student? O której to się skończy?

Cokolwiek planowała, nie podobało mi się i miałem nadzieję, że radio odpowie jak ja: głuchą ciszą. Ale nie.

– Co o której się skończy? – usłyszałem zdziwiony głos.

– Ta impreza. O której wpakujemy rannych do sanitarki?

Nie od razu odpowiedział.

– Bo co?

– Bo chcę wiedzieć. – Nawet łagodnie to powiedziała, ale dobór słów nie był najlepszy.

– Nie twój interes.

Facet w szoferce uruchomił silnik. Za pierwszym razem. Przynajmniej pod tym względem dopisało nam szczęście.

– O dziewiątej. Najwcześniej – rozległ się w słuchawkach głos Patrycji. Dziwnie wyzywający jak na kogoś, kto z własnej inicjatywy, nie pytany, udziela odpowiedzi.

– Co? – Kaśka zerknęła na zegarek. – Nie ma nawet czwartej! Dlaczego tak późno?

– Przez tę strzelaninę z Francuzami musimy nadłożyć drogi – burknął Student. – I jechać ostrożniej. Weź się lepiej do roboty. Czas pogadać z klientami.

Racja: Okrągła Twarz sunął rażno w naszą stronę.

– W porządku – skinął łaskawie głową. – Bierzemy.

– BWP też? – zapytała Kaśka.

Okrągła Twarz zatrzymał się. Niby był już blisko, ale jakoś gwałtownie mu to wyszło.

– Były w cenie – rzucił wyraźnie chłodniejszym tonem. – Tylko nie mówcie...

– W porządku – przerwała mu pospiesznie. – Nie ma problemu. To znaczy... z wozem.

Nie wiedziałem, o co jej chodzi. Ale jedno wiedziałem.

– Kaśka – popukałem się znacząco po przełączniku nadawania. Nawet nie tknęła swojego.

Zignorowała mnie, dokładnie tak samo jak Studenta, który, póki co, mógł sobie co najwyżej poczytać z ruchu jej warg.

– Mamy rannych – posłała Azjacie przymilny uśmiech. – Wracacie gdzieś w stronę Murgabu, prawda? Weźcie ich.

– Co? – wyraźnie zbiła go z tropu.

– Kaśka... – zacząłem na poły ostrzegawczym, na poły błagalnym tonem.

– Zostawicie ich w pobliżu pierwszej osady. Kwadrans później będziecie już daleko, żadne ryzyko. Wystarczy zatelefonować, podać miejsce. Trafiają do szpitala o wiele godzin wcześniej, niż gdybyśmy my ich...

– Kaśka!

– Co się dzieje? – warknęło radio. Czytanie z ruchu ust nie wchodziło w rachubę, ale Student miał noktowizor, obserwował nas i nie spodobało mu się odstawienie na boczny tor przez, było nie było, przymusową tłumaczkę.

– Z Lechowskim i Szamockim jest kiepsko. – Miała przynajmniej na tyle rozsądku, by zareagować od razu. – Im szybciej trafią do szpitala... Ci faceci mogą ich zabrać.

– Do Afganistanu?

– Nie wciskaj mi kitu. Są stąd. Pojadą drogą i dawno będą w domu, nim my w ogóle dowlęczemy się do bazy.

Pewnie przeceniała tutejszy ruch oporu, ale w kwestii zasadniczej miała chyba rację. Jeśli faktycznie przymierzali się do zakupu bewupów, to albo chcieli przedefilować z nimi przed posterunkami w charakterze przepustki zbyt ewidentnej, by ją w ogóle kontrolować, albo trefne pojazdy pozostaną na pustyni, a na zachód, za rzekę, wrócą tylko ludzie. W jednym i drugim przypadku zajmie im to mniej czasu niż nam.

– Zapomnij – rzucił krótko Student.

Stała przez chwilę nieruchomo z kciukiem na przełączniku. Niemal słyszałem, jak trybiki w jej mózgu wirują na najwyższych obrotach. Nie chciała zapomnieć.

– Nie przeciągajmy – wzruszył ramionami Okrągła Twarz. – Ile wozów sprzedajecie?

Powtórzyłem pytanie Studentowi – Kaśka najwyraźniej nie zamierzała.

– Co on, jaja sobie robi? A niby czym wrócimy? Powiedz mu lepiej, żeby przynieśli pieniądze. No i te prochy.

– Mariusz obiecał im dwa – usłyszałem trochę skruszony, trochę zaniepokojony głos Patrycji. – Miało być więcej ludzi do blokowania baraków.

Miało być, tylko Szamocki, biznesmen z bożej łaski, na jednym z nich przetestował swoje ukochane pociski. Facet, którego zabiliśmy poprzedniej nocy, mógł teraz teoretycznie tkwić przy kaemie w którymś z okopów i trzymać pod ogniem dwie z czterech ścian żołnierskiego baraku.

Wóz pierwszej drużyny nie byłby wtedy tak bardzo potrzebny i mógłby tu przyjechać z nami.

Tak to pewnie doktorek zaplanował. Inna sprawa, że zakładał raczej nie jednego, lecz czterech strzelców więcej – ale nawet ten jeden, gdyby przeżył i okazał się niezły, mógł wzbogacić nas o kilkaset tysięcy.

O ile konkretnie, nigdy się nie dowiedziałem. Czas gonił, lecz Azja była Azją i Okrągła Twarz nie darował sobie okazji do potargowania się. Dopiero wtedy, w trakcie zbijania ceny,

przypomniało mu się o tych czterech pechowcach z paralizatorami i półcalówką. Wyjaśniłem ogólnie, że w bazie doszło do walki i cała czwórka zginęła. Wstrząsnęło nim to – z miejsca zaproponował o ćwierć miliona mniej. Rodziny muszą z czegoś żyć, prawda? Dałem sobie spokój z osobistym prowadzeniem negocjacji i po prostu tłumaczyłem, zerkając jednym okiem na Patrycję. Wyposażona w kominiarkę, wyszła z wozu i zaczęła sprawdzać towar. Pomocnicy Okrągłej Twarzy dowieźli go UAZ-em pod samą ciężarówkę: było tego kilka sporych worków, plus jeden mniejszy, z gotówką. Kominiarka miała otwór na oczy, ale już nie na usta, więc testowanie prochów – czy co tam było – dziewczyna sobie odpuściła. Za to z banknotami grzebała się jak młoda kasjerka.

Też nie chciałem wrócić do kraju z walizką fałszywych dolców, wolałbym jednak, by robiła to szybciej. Póki liczyła i obwąchiwała zielone papierki, Okrągła Twarz czuł się zwolniony z obowiązku pośpiechu, składał coraz to nowe oferty, negocjacje przedłużały się, a Kaśka myślała. Nie była blondynką, a już na pewno nie taką z dowcipów, w tej chwili jednak dałbym wiele, by zajęła się czymś innym. Najlepiej możliwie szybką jazdą w kierunku bazy.

Póki co, odjechał star. Zabrał amunicję i część ekipy kontrolnej. W UAZ-ie, który miał wziąć dowódcę oraz nadwyżkę narkotyków, pozostał tylko kierowca. Patrycja klęczała obok, wkładając do worka sprawdzone paczki banknotów.

– Drogo – kręcił głową Okrągła Twarz. – I jeden wóz... Miały być dwa. Skąd wiem, że nie pojedziecie za nami i nie strzelicie w plecy? Dwa to co innego, dwóm nie dalibyście rady. Ale jeden... Za drogo.

– Nie mamy po co strzelać – powtórzyłem odpowiedź. – Wy to co innego: odzyskujecie pieniądze. A my? Państwowe pociski? A na cholere nam one? Możecie nam ufać.

– Ale wy nam nie możecie – uśmiechnął się. – Niby po co te maski? Za dużo wiemy.

Lepiej by dla was było... Poza tym dwa BWP i ciężarówka to wojskowy konwój. A jeden? Czort wie co. Sprawdzać będą. Na co nam ciężki sprzęt? Kupujemy, żeby amunicja bezpiecznie przejechała. Potem i tak pewnie trzeba gdzieś wyrzucić.

Może tak, może nie: worki, o które się tak targował, przywędrowały tu z Afganistanu i pewnie nic nie stało na przeszkodzie, by część zakupów trafiła właśnie tam. Ale nie zamierzałem podpowiadać Studentowi tego argumentu. Zresztą nie dał mi okazji. Myślał szybciej ode mnie.

– Damy wam gwarancję.

– Jaką?

– Zakładników.

Okrągła Twarz był zbyt zainteresowany tematem, więc choć kusilo mnie przez sekundę, powtórzyłem dokładnie. Niby mogłem prowadzić dwie zupełnie inne rozmowy – negocjatorzy nie słyszeli jeden drugiego – ale gdyby Student przyłapał mnie na czymś takim... No i miałem

puszkę w głowie. Złe przeczucia też, lecz przede wszystkim pustkę.

– To znaczy?

– Dziewczyna już mówiła – przypomniał Student. – Nasz dowódca jest ciężko ranny. Jak pojedzie z wami, będzie mieć większe szanse przeżycia, a wy żywą tarczę. Dołożę jeszcze jednego, zdrowego. Na drugi wóz.

– Zdrowego? – Okrągła Twarz wywęszył smród chyba nawet szybciej niż ja.

– Kiedy ich wysadzicie, wezwie pomoc. Partyzanci z Frontu Demokratycznego nie zabijają bez potrzeby naszych, no ale bez przesady: uwolnią i tyle. Po karetkę by nie dzwonili.

No i gdyby was zatrzymywali, będzie ktoś, kto odpowie po polsku. Same korzyści. Obgadamy to.

W cztery oczy. Powiedz mu, Kulanowicz, żeby tu do nas podszedł.

Powiedziałem: w tej kwestii nie miałem już wyboru. Okrągła Twarz pomaszerował w stronę bewupa. Zaraz potem zwolniony przez niego kawałek pustyni zajęła Kaśka.

– Co się dzieje?

– Nie wiem – mruknąłem. Zastanawiałem się gorączkowo, przeszkadzała mi w tym i pewnie dlatego to powiedziałem: – Sama przecież chciałaś.

Była zbyt zaniepokojona, by się obrażać. Ale właśnie dlatego, przez strach, który w niej narastał, powinienem trzymać głowę na kłódkę.

Bez słowa ruszyła śladem Okrągłej Twarzy. Chyba powinienem pójść z nią, jednak wizja Szamockiego odjeżdżającego w siną dal w charakterze zakładnika trochę za bardzo mną wstrząsnęła. Wybrałem naszego bewupa.

– Czarek?

Nic, żadnej reakcji. Błysnąłem mu w twarz światłem latarki. I od razu pożałowałem: wyglądała jak prześcieradło z reklamy najlepszego proszku, a zaschnięte plamy krwi na bandażach zdążyły nabrać brudnego odcienia starej rdzy. Inaczej mówiąc: aż się prosił o najszybszą z karetok świata. Byłem zły na Kaśkę, zrozumiałem jednak, dlaczego wyskoczyła z tak dziwną propozycją.

Powlokłem się w kierunku wozu trzeciej drużyny. Kierowca UAZ-a zerknął na mnie ponuro znad żarzącego się papierosa. Patrycja, pochłonięta oględzinami kolejnego banknotu, nawet nie podniosła wzroku. Miałem ochotę przystanąć na chwilę i opowiedzieć kawał o blondynce, sprawdzającej autentyczność forsy pięć minut po odjeździe ciężarówki, którą za ową forszę sprzedała. W porę jednak przypomniało mi się, że wciąż mamy karty przetargowe: dwóch potencjalnych zakładników i bewupa na sprzedaż. Gdyby trafiła na pomalowany zieloną farbą papier toaletowy...

Chybabym się zbłądził z tym dowcipem. Darowałem go więc i sobie, i Patrycji. Pomysł na zrobienie z siebie dużo większego głupka już wykluwał się w mojej głowie. Niesprecyzowany



jeszcze, lecz wyczuwalny. Czulem, że zrobię coś idiotycznego, i chyba chciałem zostawić sobie jakiś skromny zapas wiary we własną inteligencję.

– ...bo to mimo wszystko bardziej ryzykowne – usłyszałem mało radosny głos Studenta.

Nigdy jakoś nie kojarzył mi się z eksplozjami świetnego humoru i nie od razu zdałem sobie sprawę, na czym w tym akurat przypadku polega różnica. Ale była i natychmiast ją wyczułem. –

Nie znamy ich, a na rogatekach różnie bywa. Może dojść do strzelaniny i wtedy naprawdę mogą potraktować naszych chłopaków jak zakładników.

– Może – zgodziła się Kaśka. – Ale to przynajmniej szansa. Większa – poprawiła się niechętnie. – Za parę godzin mogą już nie żyć. Obaj.

– Bez przesady. Lechowski dostał tylko w nogę. Wiem, że to boli, ale... Jak sądzisz, Adam?

Adam. No proszę. Pyta mnie o zdanie i martwi się o rannych. Bo to było to – wyraźnie akcentowana troska o nich. Już wiedziałem, co mi tak nie pasuje.

Tyle że nie czyniło mnie to dużo mądrzejszym. Fakt, nigdy przedtem nie przyłapałem go na zaprzętaniu sobie głowy losem kolegów. Ale też pierwszy raz mieliśmy na karku takich, którzy akurat umierali. I o których życiu lub śmierci to nam przyszło decydować.

– Nie jestem w temacie – mruknąłem.

– Zastanawiamy się, ile osób ma jechać z Turkmenami – wyjaśniła Kaśka. – Czy Lechowski też, czy tylko my troje.

Powiedziała to tak zwyczajnie, że nie od razu zrozumiałem. Dotarło do mnie jednak na tyle wcześniej, że darowałem sobie złośliwe pytanie o cudowną przemianę Afgańczyków w Turkmenów.

– Troje? My?

– Mam z nimi jechać. – Nie siliła się na sztuczny spokój i właśnie tym zbiła mnie z tropu.

Udawanie czegokolwiek uruchomiłoby wszelkie możliwe dzwonki alarmowe w mej głowie, ale ona niczego nie udawała: wyglądała jak ktoś, komu kazano podjąć trudną decyzję i kto podjął ją, a teraz się martwi.

– Ich warunek – wtrącił szybko Student, wskazując milczącego Azjatę, stojącego trzy kroki dalej. – Kobietom łatwiej się ufa i trudniej się do nich strzela. Wezmą wóz po dobrej cenie i podrzucą Szamockiego w bezpieczne miejsce, ale tylko jeśli Kaśka z nimi pojedzie.

– Odbiło ci? – Zignorowałem go: patrzyłem na nią.

– Jest jeszcze druga sprawa – pociągnął Student. – Kleczko. Facet zupełnie nie nadaje się do takiej roboty. Pierwsze pytanie – i po nich. Wsypie najpierw Turkmenów, a potem nas wszystkich. Tam musi być ktoś... – zawahał się, po czym lekko uśmiechnął – ktoś z jajami.

– Ona nie ma jaj. – Nadal kleiłem się spojrzeniem do nieruchomej, kobiecej twarzy. – Coś o tym wiem.

Księżyc świecił, nieopodal Patrycja posługiwała się latarką, z otwartego wjazdu bewupa

sączył się słaby poblask. Ale było zbyt ciemno na zagłębienie w głąb oczu i dalej, w ludzką duszę.

Nie, wróć: w kobiecą. Intencje faceta łatwiej byłoby mi rozgryźć.

– Pojadę z nimi – powiedziała cicho. Zbyt cicho, bym potrafił odróżnić spokój i stanowczość od rezygnacji.

– Chyba zgłupiałeś.

– Też chce coś z tego mieć – wzruszył ramionami Student. – A umowa była jasna: nadplanowi łapią się na dolę ze sprzedanych bewupów. Daj dziewczynie zarobić.

Cholera. Zupełnie o tym zapomniałem.

Nie miała jaj, więc myślała głową. Nie tak jak faceci. To, co brałem za współczucie, mogło być podszyte chłodną kalkulacją. Tylko podszyte – już trochę zbyt wysoko ją cenilem, by wątpić, że od współczucia się zaczęło – ale jednak. Chciała pomóc rannym, zaczęła negocjować, rozmowa zesłała na pieniądze no i...

– Nie musisz tego robić.

Miałem za dużo bezradności w głosie. Oboje od razu wyczuli okazję.

– Adam, bezdomnej sąd nie przyzna opieki nad dzieckiem. Jak sprzedamy wóz i te programatory, będą miała i na mieszkanie, i na dobrego prawnika.

Strzał w okienko bramki, nie do obrony. Ilona powiedziałaaby dokładnie to samo.

Rozdarłaby na strzępy każdego, kto stanąłby między nią a Olafem.

– Powinna dostać tę forszę – dorzucił od siebie Student. – Zostawią rannych, więc nie ma cudów, by koło sprawy nie zrobił się jeszcze większy smród. Musimy być jedną drużyną, by przetrwać śledztwo. A ona nikogo nie zabiła. Bez pieniędzy nie ma powodu być lojalna. – Odczekał chwilę. – Ja jak ja, ale Patrycja, Chudzyński, reszta... Nie pójdą na takie ryzyko. – Znów odczekał chwilę. – Zabiją ją, jeśli nie udowodni, że jest z nami.

Popatrzyłem na zegarek. Fosforyzował w ciemności, ale chyba tyle z niego odczytałem: że nadal go mam na przegubie. O odcyfrowaniu godziny nie było mowy. Nawet nie próbowałem.

Czas nie miał znaczenia; nie taki, który da się mierzyć w godzinach. Potrzebowałbym tygodnia, by przegryźć się przez tak kurewski problem, podjąć decyzję choć trochę opartą na rzeczowej kalkulacji.

Za mało danych. Dwa złe rozwiązania.

Pewnie dopatrzyli się tej mojej bezradności, bo odczekali parę sekund i wrócili do zasadniczego tematu.

– Lechowski strasznie się wykrwawił. I chyba jest we wstrząsie – argumentowała Kaśka.

– Ale moim zdaniem spokojnie doczeka powrotu do bazy.

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będziemy w szpitalu dużo wcześniej.

– Pójdzie dobrze. – Student zafundował mi kolejną niespodziankę, posyłając jej krzepiący uśmiech. – Ci faceci przekupili po drodze, kogo trzeba. To za poważna inwestycja, nie idą na

żywiol. Nie o to się martwię. Myślę, co będzie później. Ty, Kleczko, jeden ranny w głowę. Też mógł być na chodzie. Sama widziałaś: jeszcze przed chwilą strzelał. Z głową tak bywa: nigdy nie wiadomo, kiedy kogo zwali z nóg. Jeśli znajdą was we troje, możecie nawet mówić o ucieczce. A przynajmniej wytłumaczyć, dlaczego tak szybko dostaliście się do telefonu i wezwaliście pomoc: bo cała trójka mogła iść. A Lechowskiego musielibyście nieść. Nie ma cudów, by ktoś się nie zdziwił, nie zaczął dociekać, jak wam się udało. Zrozum: jedyna nasza szansa to brak punktów zaczepienia. Jak tylko ktoś coś zacznie podejrzewać, węszyć, to leżymy.

– On nie przeżyje tylu godzin. – Wysłuchała go spokojnie i tak samo spokojnie teraz mówiła.

– A ja jadę z nimi po to, by było komu przekonująco kłamać.

Faktycznie była przekonująca. Dałbym głowę, że Student wyskoczy z kolejną serią kontrargumentów. No i zostałbym bez głowy. Nie, żeby od razu zaczął kiwać swoją, ale po krótkim namyśle dość jednoznacznie wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie. Jedziecie we czwórkę.

Wyjątkowo podłą ruszyczyną, praktycznie po polsku ze wschodnim akcentem, zaczął tłumaczyć Okrągłej Twarzy, że plan ulega zmianie i pasażerów będzie więcej. Turkmen milczał konsekwentnie, więc chyba rozumiał. W którymś momencie Student uniósł dłoń, uruchomił nadajnik.

– Młody, Kleczko! Skrzynki z mojego bewupa do tego z benzyną. Wiecie które.

Musieli uzgodnić to wcześniej, bo wypadli z wozów prawie biegiem: Kleczko zgięty pod ciężarem drewnianego pudła, Młody z wolnymi rękoma, nieobciążony granatnikiem. Kierowca UAZ-a odruchowo wyrzucił spory niedopałek i omal nie sięgnął między siedzenia po automat: ta nagła eksplozja aktywności miała prawo zdenerwować. Dowódcy zachowali jednak kamienny spokój i po raz kolejny wszystkie przyklejone do spustów palce pozostały nieruchome.

Kaska ruszyła śladem Kleczki, w stronę naszego wozu. Po chwili wahania skoczyłem za nią.

– Zastanowiłaś się, co robisz?

– Myślałam, że lubisz Czarka.

– Ciebie bardziej. – Potrzebowałem z pięciu kroków, by dojrzeć do użycia tego argumentu.

– Nic mi nie będzie. I będę miała mieszkanie. I córkę.

No tak. Następne pięć kroków i pewnie sam bym stanął: nie było sensu wlec się za nią i rzucać gumowymi piłeczkami o betonową ścianę. A tak się mają nawet najbardziej rzeczowe argumenty do raz uruchomionego instynktu macierzyńskiego. Ilona zdążyła mnie tego nauczyć i właśnie zaczynałem hamować. Pech Studenta polegał na tym, że nie dane mu było poznać Ilony Roman.

Wyrwał się z tym okrzykiem zupełnie niepotrzebnie.

– Kulanowicz! A ty dokąd?!

Zatrzymałem się, potem odwróciłem. Dość wolno. Błąd, ale wybaczalny: kiedy szeregowy

porykuje na podoficera takim tonem, demonstracyjna, złowróźbna powolność jest jak najbardziej na miejscu. Oczywiście okoliczności się zmieniły, dawno przestaliśmy być wojskiem, no i on tu rządził – nawyki jednak robią swoje. Otrząsnąłem się dość szybko i z powrotem ruszyłem w miarę normalnym krokiem, więc chyba niczego nie zauważył.

Kleczko dotarł właśnie do naszego bewupa, niezdarnym, ale udanym podrzutem umieścił skrzynkę na stropie przedziału desantowego. Młody minął mnie, wyciągnął z czeluści drugiego wozu identyczną skrzynkę.

Zatrzymałem się przed Studentem. Bez słowa. Jak ktoś, kto oczekuje wyjaśnień. I faktycznie czekałem, choć bardziej na kolejną poszlakę niż na wyjaśnienie. Chyba zawyłbym z rozpacz, gdybym usłyszał w tym momencie coś brzmiącego logicznie.

– Tłumacz jesteś, nie? – burknął Student. – To stój i tłumacz.

No dobrze, niech będzie: jakoś się to, od biedy, kupy trzymało. Jego rosyjski był fatalny, a negocjacje mogły nie dobiec końca. Gdyby którykolwiek z nich choć zerkał na drugiego... Ale nie: stali, gapili się na przeładunek i niemal emanowali zniecierpliwieniem. Dwaj faceci, którzy marzą tylko o tym, by być już gdzie indziej.

Dostałem swoją poszlakę. Sterczałem obok, patrzyłem, jak Młody taszczy skrzynię, a Kleczko wraca po następną, i próbowałem wmówić sobie, że to nie żadna poszlaka, lecz pełnoprawny dowód.

– Jak zanieziesz, zostań – rzucił Student w stronę oddalających się pleców Kleczki. – Pomożesz przy rannych. Weźcie siatkę, łatwiej będzie.

Podziękowałem mu w duchu. Może i nie zastrzeli mnie, gdy spod Lechowskiego i siatki posypią się armatnie naboje, ale któż mi to zagwarantuje? Miałem prawo się bać, a uzasadniony strach to dobry powód, by zabijać. Nawet zabijać. A przecież mogło się obejść bez zabijania.

Odpiąłem do połowy kamizelkę – Boże, pobłogosław Amerykę za tę akurat darowiznę: nasze, zakładane przez głowę, nie miały zamka – i powoli ruszyłem w stronę Patrycji. Jedyna w promieniu dziesiątków kilometrów blondynka, zawsze chętna i na worku forsy: trudno się dziwić, że faceta ciągnie do takiej. Niemal fizycznie czułem dotyk spojrzenia na łopatkach, tym razem jednak Student nie protestował.

Spokojnie stał i patrzył, jak popełniam samobójstwo.

## Rozdział 25

Młody drugą rundę zaliczał już wolniej, marszem. Był jeszcze daleko. O całe sekundy od miejsca, które wybrałem. Naprawdę daleko. Wciąż mogłem dopuścić do głosu zdrowy rozsądek.

Nie ja pojedę tym opróżnianym z nadwyżek amunicji bewupem. Miałem wsiąść do drugiego. Z forszą, narkotykami i świetlaną perspektywą błysnięcia Ilonie w oczy grubym jak książka telefoniczna plikiem banknotów.

Ilonie, która była najpiękniejsza w świecie – a pierwszego września musiała pożyczać od znajomych na książki dla syna. Godziła się na to, choć świat – wierzyłem w to święcie – roił się od facetów, którzy z ochotą zafundowaliby jej cały komplet podręczników. Opakowany dodatkowo w najnowszego mercedesa.

Nie kupię jej. Pieniądze jakoś tam podniosłyby moje notowania – może – ale nie gwarantowały niczego. Co znaczyło, że nadal potrzebuję swojej szalupy ratunkowej.

Czyli to racjonalna, rozsądna decyzja. Nie żadne tam szaleństwo. Dajesz się zabić dla dziewczyny, bo kochasz inną. Żelazna logika w czystej postaci.

Trzy kroki do Patrycji i worka. Praktycznie pełnego: tylko kilka małych paczek leżało jeszcze na ziemi. Do Młodego ciut dalej. Mój uśmiech, drętwy, niepotrzebny, połknięty przez mrok. Dłoń za pazuchę, chłód rękojeści...

Lewą ręką szarpnąłem zamek do końca, ostrze wyskoczyło wprost spod kamizelki, nie dając Młodemu cienia szansy. Próbował zejść mi z drogi w ostatniej chwili, ale właśnie mnie, nie bagnetowi. Do końca nie miał pojęcia, co kombinuję – to mi akurat wyszło. Chwył za granat też: wyłuskałem go z zaczepu na kamizelce, nim jej właściciel runął na ziemię. Czyli szybko, bo los chciał, że trafiłem w udo niosące akurat cały ciężar ciała.

Chyba źle się stało. Wyeliminowałem błyskawicznie najgroźniejszego w tej chwili przeciwnika i oberwał przy tym tak mocno, że nie straciłem ani ułamka sekundy na szarpaninę o granat. Tyle że i bagnetu nikt nikomu nie wyrwał: pozostał w ranie, lądując na piachu razem z Młodym.

Nie próbowałem po niego sięgać. Za duża strata czasu. Patrycja klęczała z rozpiętą kaburą na brzuchu.

Zdążyłem, nim pistolet opuścił futerał. Podrywała się na nogi i tego też nie pozwoliłem jej dokończyć: trafiona pięścią w bark, odleciała na trzy kroki w tył, rozpaczliwie walcząc o równowagę. Palce zgubiły rękojeść, a Student nie zaczął jeszcze nawet sięgać po zawieszony przy biodrze automat – miałem dość czasu, by paść na kolana, przesadnie szerokim gestem wyszarpnąć zawleczkę i potrzymać przez chwilę w gorze rękę z granatem. Układ świateł nie był najlepszy i musiałem odżalować tę sekundę z kawałkiem.

– Spokój! – wydarłem się głosem, w którym czego jak czego, ale spokoju nie było ani za grosz. – Bo spalę całą forszę! Żadnych głupot!

Trudno powiedzieć, czy podziałało. Pewnie tak. Patrycja całkiem rozsądnie, nie sięgając więcej po pistolet, rzuciła się na mnie z góry, a Student, choć już z peemem w rękę, nie posłał nam serii.

– Łap dziewczynę! – usłyszałem jego krzyk. Trudno mówić o efekcie Dopplera przy prędkościach, jakie osiąga biegnący człowiek, ale jakoś zgadłem, że pędzi w naszą stronę.

Musiałem zgadywać, bo Patrycja, jak się okazało, potrafiła używać swych długich nóg nie tylko do zawracania facetom w głowach. Dwa susy i była na mnie.

Chyba mogłem zbić ją z obranej trajektorii – porządnym prawym sierpowym. Nie jest jednak łatwo walić w dziewczęcą twarz, w dodatku ręką uzbrojoną w granat i, podobnie jak za pierwszym razem, poprzestałem na półśrodku. Unik połączony z pchnięciem miał posłać ją na ziemię gdzieś obok mego biodra. Jak to sobie wyobrażałem dalej – nie wiem. Pewnie, że usiądę na niej z dłonią zawieszoną wymownie nad workiem i dalszą część negocjacji odbędę nie tylko bezpiecznie, ale i komfortowo, z luksusowym materacem pod zadkiem.

Niestety, wybujała wysoko w górę, masę mimo szczupłej sylwetki miała stosownie większą i spadła nie całkiem tam, gdzie powinna. Niby nie wylądowała na mnie, ale kiedy już całą trójką runęliśmy na ziemię – ja, ona i przewrócony worek – znalazła się stosunkowo najwyżej.

Próbowaliśmy wstać – już tylko we dwójkę, workowi wyraźnie nie zależało – i za cholerę nam nie wychodziło. Za dużo celów naraz. Ona usiłowała pogodzić to z wyciąganiem pistoletu, waleniem mnie w krocze i chyba odgryzaniem kawałka twarzy. Ja – z sypaniem jej piaskiem po oczach, zakładaniem nelsona dłonią z definicji pozbawioną możliwości chwytania, bo ściskającą odbezpieczony granat, no i z oglądaniem się za siebie.

Musiałem spojrzeć. Ten drugi okrzyk Studenta...

– Żywą, Kleczko!

Poczułem zęby Patrycji na prawym policzku, szarpnąłem głową. Została z moją kominiarką w ustach. Trzasnąłem ją podbródkiem w nos, dostrzegłem biegnącego w naszą stronę Studenta. Mało. Jeszcze kawałek. Młody, przewracający się powoli z pleców na bok, zwijający jak embrion. Wciąż mało. Cios w styk uda z brzuchem, potężny, ale niecelny. Złapałem nadgarstek dziewczyny, by nie powtórzyła, i w końcu sięgnąłem wzrokiem dostatecznie daleko.

Ktoś, pewnie z myślą o wylądunku rannych, postawił na stropie bewupa włączoną latarkę.

Akurat w przypadku tej układ świateł okazał się idealny i choć Patrycja nie dała mi wiele czasu, zdążyłem dostrzec to, co najważniejsze.

Skrzynia z przeciwpancerną amunicją – bo chyba właśnie to zawierała – nie leżała już na dachu. Spoczywała na ziemi, ale nie trafiła tam bezpośrednio: najpierw musiała przejechać którymś z narożników w poprzek twarzy Kleczki. Nie widziałem innego wyjaśnienia: trudno

podejrzewać Kaśkę o dokonanie takich spustoszeń gołymi rękami. Z daleka wyglądało to jak maźnięcie szerokim, umocowanym w czerwonej farbie pędzlem znad prawej brwi po lewą stronę podbródka. Z bliska wyglądało pewnie jeszcze gorzej. Nie znałem za dobrze Kaśki Sosnowskiej, a już na pewno nie od tej strony, ale jedno wiedziałem: nie należała do osób, które ot tak sobie, z byle powodu, próbują zarąbywać ludzi siekierą.

Ta zamocowana do burty bewupa była w dodatku tępa. W kraju praktycznie pozbawionym drzew stanowiła bardziej ozdobę niż podręczne narzędzie żołnierza wojsk zmechanizowanych. Parę razy zastąpiła kilof i nikt nie zadał sobie fatygi, by o nią potem zadbać.

Łopata, którą posługiwał się Kleczko, chyba dużo lepiej nadawałaby się do przecinania czegokolwiek.

– Uciekaj! – wrzasnąłem. Dodatkowy zastrzyk adrenaliny pozwolił mi sparować kolaniem kopniaka w krocze, kopnąć samemu i częściowo nadrobić straty. Wciąż miałem po jednej ręce Patrycji na każdej z własnych, ale prawa, ta z granatem, znalazła się praktycznie na worku, no i obróciliśmy się o kilkadziesiąt stopni. Mogłem więcej i więcej widzieć. Chociaż akurat to drugie było wątpliwą frajdą.

Kaśka nie uciekała. Nie mogła. Skakała wzdłuż burty wozu, unikami i machnięciami siekiery broniąc się przed obrabiającą ją łopatą – ale to wszystko, na co było ją stać. Kleczko, wyraźnie oszołomiony ciosem i rozwścieczony bólem, zatracił zdolność logicznego myślenia, bił jednak całkiem dobrze i chyba ani razu dziewczyna nie znalazła się dalej niż o sekundę od trafienia. A sekunda to za mało, by przebić się przez blokadę i odbiec poza zasięg długiego na metr z kawałkiem szpadla.

– Zostaw ją! – krzyknąłem. – Student!

– Kleczko! Żywą! – niemal wpadł mi w słowo. Tyle że zaraz potem wpadł na mnie. W ostatniej chwili udało mi się poderwać na kolana, wepchnąć prawą dłoń pod brzuch i zwalić na worek.

Miałem ich teraz na sobie, oboje. Któreś grzmotnęło mnie w nerkę, któreś próbowało wyrwać rękę spod tułowia.

– Puszczę łyżkę! – wydarłem się. – Won, bo puszczę łyżkę!

Student miał już obie dłonie na moim bicepsie. Ciężar trzech ciał pewnie trochę by mi pomógł, wątpię jednak, bym zdołał utrzymać rękę pod brzuchem, gdyby solidnie szarpał. Ale na szczęście nie szarpał. Nikt nie zdarł mu, jak Kleczce, pół twarzy skrzynką na amunicję. Zachował rozsądek.

– Takiego chuja! – Też się bał i też krzyczał.

– Puszczę!

– Pojebało cię?! – Głos Patrycji brzmiał jakoś bełkotliwie, widocznie, mimo dżentelmeńskich zahamowań, trafiłem ją gdzieś w okolice szczęki.

– Puszczę!

– Życie ci obrzydło?! – To znów Student.

– Zabierz od niej tego skurwysyna! Bo wam sfajczę forszę! To fosforowy!

Na szczęście leżeliśmy twarzami w odpowiednią stronę. I na szczęście wywalili go z tych jego studiów za brak gotówki, nie rozumu. Chyba od początku wiedział, w czym rzecz, i nie musiałem wyrzaskiwać niczego więcej. Bogu dzięki: docisnęli mnie do ziemi i worka z dolarami na tyle mocno, że mięśnie klatki piersiowej nie wyrabiały i zwyczajnie brakowało mi tchu.

– Kleczko! – Student nie uskarżał się na brak powietrza. Jeśli zabrzmiało to tak cicho, to raczej dlatego, że przy całym zrozumieniu sytuacji był na mnie zwyczajnie, po ludzku wściekły i chyba próbował dać szansę losowi. Jeszcze przez parę sekund to nie on decydował i gdyby w tym czasie szpadel trafił, pewnie nie rozprostowałbym palców. Są ludzie zdolni zrobić z siebie nędzarza, ofiarę całopalenia i trupa za jednym zamachem – ale praktycznie nie ma takich, którzy zapędzą się aż tak daleko bez cholernie mocnego powodu. Gdyby Kleczko dopadł Kaśki odpowiednio wcześniej, mój instynkt samozachowawczy prawdopodobnie wziąłby górę. Można umierać w potwornym bólu dla żywej kobiety – a przynajmniej straszyć gotowością do umierania – ale kiedy w grę wchodzi już tylko zwłoki...

Nie dała się jednak zabić. Siekiera, choć wypychana na spotkanie nadlatującej śmierci z rozdzierającą mi trzewia nieporadnością, jakimś cudem zrobiła swoje. Kaśka dodała do tego jeszcze ze dwa uniki – równie rozpaczliwe – i jakoś dotrwała do następnego okrzyku Studenta.

– Kleczko! Zostaw ją!

Tym razem się postarał. Kleczko zatoczył się, obejrzał w naszą stronę. Musiał przejść aż trzy kroki, by nadrobić taki wysiłek, nie upaść dlatego, że wypadł z rytmu. Kaśka zyskała szansę i oczywiście nie wykorzystała jej: zamiast smyrgnąć wzdłuż gąsienicy i zwiać za wóz czy, dajmy na to, trzasnąć go w poprzek bioder, przywarła całym ciałem do góry stali za plecami. Dopiero teraz, widząc, jak łamie się w pasie i kolanach, wciska między koło a błotnik, niczym spanikowana mysz, usiłująca wykorzystać każdy skrawek zbyt płytkiej dziury, zdałem sobie sprawę z rozmiaru jej przerażenia. Zadziałał instynkt i przetrwała, ale gdyby Kleczko poczekał choć sekundę z pierwszym ciosem, dał jej odrobinę czasu do namysłu, pewnie nie kiwnęłaby palcem i leżała tam teraz z rozłupaną czaszką.

Coś poruszyło się na moich plecach. Patrycja. Zlazła ze mnie, ale zaraz potem bardziej trzasnęła niż przystawiła do potylicy koniec lufy.

– Łeb ci odstrzelę!

– Rzuć to! Oboje rzucić broń! – Trochę poniewczasie zorientowałem się, że krzyczę na wyrost: Student zgubił swój automat parę kroków wcześniej. – Nie zdążysz! Jak strzelisz, to po forsie!



Żadne z nas nie potrafiło ocenić, ile mam racji. Trochę na pewno miałem. W pośpiechu i stresie najprostszą czynność wykonuje się niekiedy kilka razy dłużej. Wątpię, by tak to widziała, ale strach ma wielkie oczy i chyba to mnie uratowało. Zimnokrwisty osobnik pokroju Młynarczyka palnąłby mi w łeb, odepchnął ciało, złapał granat i odrzucił – wybuch nastąpiłby może już w locie, lecz na pewno nie na tyle blisko, by zagrozić całej gotówce. Może któraś z ognistych macek musnęłaby worek, może ktoś doznałby poparzeń – i tyle. Na szczęście to nie Młynarczyk siedział mi na karku.

Służbowy WIST Patrycji wylądował w piachu, jakieś dwa metry przed moim nosem.

Prawdę mówiąc, nie uwierzyłem. A powinienem: to nie była najszcześniejsza z moich nocy i powinienem już przywyknąć do myśli, że jeśli coś ma się popieprzyć, to na pewno się popieprzy.

Kleczko, jakby wyrwany z letargu odgłosem uderzającego o ziemię metalu, odwrócił się i uniósł szpadel. Na wysokość ramienia, jeszcze nie do ciosu. Chwiał się na nogach.

– Zostaw ją! – Trzeba przyznać Studentowi, że zorientował się szybko. Ale znów nie włożył w okrzyk całego serca. Kleczko zrobił krok do przodu, stal błysnęła w świetle latarki z pół metra wyżej.

– Strzelaj! – wydarłem się. – Patrycja!

Odruchowo padła do przodu, na kolana; dłonie znalazły się o metr bliżej wyrzuconej przed chwilą broni. I tam już pozostały. Czasu było dużo – widziałem wszystko jak na zwolnionym filmie i więcej w tym było zasługi ślimaczącego się Kleczki niż zniekształcenia percepcji – tyle że po pierwszym odruchu przyszedł drugi. Nigdy się nie lubiły.

Gdyby dać jej z pół minuty do namysłu, podniosłaby WIST-a i może nawet wpakowałaby chłopakowi kulę tak, by umierał powoli. Była o krok od zostania milionerką – w każdym razie jako doktorowa Chudzyńska, z ich dwoma udziałami – a on właśnie pozbawiał ją tego miliona.

Tylko być może, bo nawet ja nie wiedziałem, co zrobić, jeśli szpadel pomknie w dół i rozłupie twarz Kaśki na dwie koszarne, martwe połówki – ale nawet za „być może” zabija się winowajcę z dziką satysfakcją.

Strzeliłaby, to pewne. Potrzebowała jednak kilkunastu sekund, by do tego dojrzeć.

Kaśka nie miała kilkunastu sekund. Kleczko podjął w końcu decyzję i energicznie zamachnął się szpadlem.

Uderzyć nie zdążył.

Usłyszałem terkot automatu i dopiero wtedy przypomniałem sobie, że nie jesteśmy sami.

Kierowca UAZ-a zmarnował przez nas dobrą połówkę papierosa, najadł się strachu i omal nie został szoferem ambulansu dla pary czubków, okładających się żelastwem. Nic dziwnego, że skorzystał z okazji i dał wyraz swej frustracji.

Kleczko, z trzema ranami w prawym boku i dużo większym, czerwonym plackiem rany

wylotowej w lewym, zatoczył szybki piruet i runął na ziemię.

Okrągła Twarz – też gdzieś tu był – wydał jakiś krótki, szczekliwy rozkaz. Chyba niepotrzebnie, bo facet z UAZ-a trochę wcześniej opuścił kałasznikowa. Po czym przyjaźnie pomachał do nas ręką.

Wyglądało to tak idiotycznie, że przez dłuższą chwilę żadne z nas nie było w stanie oderwać od niego wzroku.

– Spokojnie. – Głos Okrągłej Twarzy może nie dawał dobrego przykładu, ale przynajmniej czuło się w nim szczerłość. – Żadnej wojny. Handlujemy. Okay?

Chyba zrobiliśmy na nim wrażenie, stanął jednak na wysokości zadania i zademonstrował klasę. Miałem niemal wyrzuty sumienia w stosunku do niego. Ale kiedy się leży na granacie zapalającym z perspektywą zbyt wolnej i zbyt bolesnej śmierci, sumienie może człowieka co najwyżej połaskotać.

– Koniec handlu – powiedziałem głośno. Udało mi się tego nie wykrzyczeć. Brawo. – Zabierajcie narkotyki. Nie sprzedajemy bewupa. – Było cicho, wszyscy słuchali, nikt nie walił mnie po łbie ani nie strzelał, więc dodałem: – Sam pan widzi: potrzebujemy obu wozów.

Widział. A dokładnie: bardzo się starał. Chyba nie tyle zrozumieć, o co poszło, ile prześwidrować wzrokiem pancerze i policzyć ukrytych wewnątrz ludzi. Na szczęście bewupy to nie autobusy, panoramicznych szyb w nich nie montują i fakt, że jesteśmy bandą bezbronnych idiotów, pozostał naszą słodką tajemnicą.

Naprawdę słodką: Student wciąż siedział mi na karku i niemal fizycznie czułem, jak rodzi się w nim i spływa zimnym potem głęboki, paraliżujący strach. Na siedmioro żywych – bo tylu nas zostało – nikt nie miał pod ręką niczego do strzelania. W dodatku większa część z tej siódemki nie nadawała się do niczego, nawet gdyby miała. Okrągła Twarz raz jeszcze stanął przed szansą wpisania się na listę najskuteczniejszych terrorystów świata: mógł nas teraz, na dobrą sprawę, wykończyć jedno po drugim, przy odrobinie szczęścia zachowując wszystkie wozy i worek z dolarami. Byłem tak poobijany i pognieciony, że nie miałem już pewności, czy dźwignię bezpieczeństwa trzymam palcami, czy ciężarem swoim i tych nade mną. Całkiem możliwe, że gdybym umarł, nic by się nie stało.

Ale to była moja wiedza. Nie wiedza przyglądającego nam się uważnie Azjaty. Okrągła Twarz widział kupę pomyleńców, dwa gotowe do walki wozy bojowe i gołe pole, na którym miałby mizerne szanse, gdyby nagle wszyscy zaczęli strzelać do wszystkich.

No i kupił już to, po co przyjechał. Za cenę niższą od ustalonej.

– W porządku – usłyszałem uśmiech w jego głosie. – Koniec handlu. Miło było.

Skinał na kierowcę. Nawet nie udając, że robią to wolno i od niechcienia, powrzucał do wozu worki z narkotykami, wskoczyli do środka i odjechali. Trudno powiedzieć, ile czasu im to zajęło. Chyba niewiele. Patrycja zdążyła dźwignąć się z ziemi i podnieść pistolet, nie dojrzała jednak do

mierzenia w kogoś konkretnego, a Kaśka tkwiła w norze między kołami a gąsienicą jak ktoś, kto nie przyjął jeszcze do wiadomości, że kat nie przyjdzie.

– Zajebię cię – westchnął Student. Ulgi było w tym mimo wszystko więcej niż groźby.

– I będziesz zapierdalać jako domokrażca. – Też było mi lżej. Patrycja zlazła z moich pleców, Kaśka przeżyła, partyzanci się wynieśli, razem z prochami, które może i warte były miliona, ale pewnie wpakowałyby nas w dodatkowe kłopoty. – Daj spokój. Dzielimy forszę i jedziemy.

Patrzyłem, jak dziewczyna ściąga z głowy kominiarkę i przeciera dłonią nos. Chyba zakrwawiony. Pistolet też wytarła: o bok spodni.

– Dzielimy forszę? – wyręczyła Studenta. Po czym mało delikatnie, bo lufą załadowanej było nie było broni, wskazała Młodego. – Po tym?

No tak. Okazał się twardzielem, nie krzyczał, nie jęczał, leżał po prostu dyskretnie z boku, pograżony w swym bólu – i prawie o nim zapomniałem.

– Palce mi drętwieją.

Obróciła się na pięcie. Kilka długich kroków – cholera, naprawdę miała te nogi po szyję – i stała przy bewupie. Kaśka, która właśnie zaczynała gramolić się spod błotnika, znieruchomiła ponownie na widok wymierzonej w czoło lufy.

– A mnie nie – rzuciła wyzywająco Patrycja. – Pokazać?

Stała bliżej światła. Faktycznie rozkwaśnięta jej nos.

– Myślisz, że Chudzyński weźmie sobie kurwę bez posagu?

– Nie puścisz.

– Chcesz mnie sprawdzić?

– To tylko dupa. Tłusta, stara i z bachorem.

Kaśka dźwignęła się na nogi. Oto co znaczy urażona ambicja. Na szczęście dzielił je spory dystans i nie zostało to potraktowane jak wstęp do ataku.

– Patrycja – zdobyłem się na spokojny, podszyty kpiną ton. – Kurwa przecież jesteś.

Powinnaś wiedzieć, czym myślą faceci. – Dałem jej chwilę na refleksję i dokończyłem, już bez ironii, raczej bezradnie: – Zakochałem się. To jak z wodą i prochami: po prostu musisz. Zero wyboru.

Przez Ilonę potrafiłem mówić takie rzeczy szczerze, z gorzkim jak piołun przekonaniem.

Cały kant sprowadzał się do tego, że jedną dziewczynę miałem na myśli, a zupełnie inną próbowałem ratować. Nieważne. Ważne, że brzmiało dobrze.

Znów mi ulżyło: Student zlazł mi z pleców. Odszedł w bok, niespiesznie podniósł swój automat.

– Co proponujesz? – mruknął ponuro. Młody uniósł się do pozycji siedzącej. Nie próbując wyciągać tkwiącego w udzie bagnetu, zaczął owijać je bandażem. Nie wiedziałem, czy się

cieszyć, że tak z nim dobrze, czy martwić, że trafiłem na takiego twardziela. Jeszcze jeden śmiertelny wróg.

– Co? Uczciwą grę. – Też dźwignąłem się na kolana, tylko dłoń z granatem pozostała w worku. Popatrzyłem na Patrycję. – Schowaj tę spluwę i pomóż chłopakowi.

Młody spojrzał w moją stronę. W końcu. Światło miał za plecami, twarz w cieniu. I dobrze.

– Wiesz, co myślę? – Patrycja nie ruszyła się na krok: nadal mierzyła gdzieś w okolice Kaśki i jeśli nie robiła tego jak należy, to wyłącznie dlatego, że starała się spoglądać mi w oczy. – Zastrzelę ją, a ty nic nie zrobisz. Nic. A wiesz dlaczego? Bo Szamocki ma rację. Może i zgłupiałeś, ale dla tej cipy ze Stargardu.

Wielkie dzięki, Czarek. I pomyśleć, że chciałem zaproponować Okrągłej Twarzy te cholerne programatory.

– Zostało dziewięć osób do podziału. Trudny rachunek – zdobyłem się na szydery grymas.

– Masz rację: poczekajmy, aż się Młody wykrwawi. Będzie równo po setce na głowę.

Młody znieruchomiał. Nie za dobrze radził sobie z zakładaniem opaski uciskowej, ale jednak dało się wyczuć różnicę. Poszerzyłem uśmiech.

– A myślałeś, że co? – wzruszyłem ramionami. – Akcja charytatywna? – Skinąłem głową, wskazując Studenta. – Chciał ich oddać partyzantom, ale nie na zakładników, tylko do rozwałki.

Szamocki bredzi, Kleczko niepoczytalny, Kaśka nikogo nie zabiła... Trzy kłopoty z głowy. Ale Lechowski podpalał lont, był nasz. I też miał jechać. Dlaczego? Bo to jedna działka więcej dla tych, co przeżyją.

– Nie proponowałem im Lechowskiego! – eksplodował świętym oburzeniem Student.

– Bo to by już było przegięcie. Na niego mieliśmy haka. Gdybyś zaczął likwidować tych z hakami, pewnych... Wiesz, jak jest: raz dasz zły przykład i... Choćby dla własnego bezpieczeństwa ktoś mógłby kropnąć z kolei ciebie. Nie, nie proponowałeś. Wystarczyło podpuścić Kaškę i się łaskawie zgodzić.

– Idiota jesteś – rzucił ze złością.

– Ty na szczęście nie. Więc się dogadamy. – Nie dałem mu czasu do namysłu. – Jest dziewięć osób. Biorę rannych, Kaškę i połowę forsy. Wy z Patrycją bierzecie drugą połowę i splanacie tych w bazie.

– Co? – Wyglądał na lekko znokautowanego.

– Po prostu szybciej będzie. – Wolną ręką wyjąłem z worka plik dolarów, rzuciłem w lewo. Potem drugi, w prawo. – Twoja, moja, twoja, moja... Będzie was mniej, więc dostaniecie większe działki. To korzystny układ.

– Chyba sobie kpisz – postawiła diagnozę Patrycja.

– Naprawdę korzystny – zapewniłem. – Przypominam, że był jeszcze Sławek. Wypada coś odpalić rodzinie. Dostaną z polisy, ale i tak... Pójdzie z naszej puli.

Milczeli oboje. Człowiek potrzebuje trochę czasu, by przelknąć taką porcję bezczelności.

Sprzeciw nadszedł z najmniej oczekiwanej strony. Nie, żebym podejrzewał Młodego o chęć podskakiwania z entuzjazmu na jedynej zdrowej nodze – ale myślałem, że zgłosi swoje weto jako ostami.

– Odpada. – Oberwał porządnie, głos mu drżał i pewnie dlatego wołał się streszczać. – Jadę z nimi.

Żadnego „kutasa”, żadnych pogroźek. Mimo wszystko wołałbym nie mieć go za plecami w drodze powrotnej, ale do tej pory był wobec mnie i Kaśki w porządku. Uczciwość nakazywała dać mu szansę. No i wyrzuty sumienia.

– My walimy prosto do szpitala. Mógłbyś...

– Jadę ze Studentem.

Zrozumiałem, że nie będzie dyskutował. Gdybym trafił w tętnicę... Prawie go zabiłem.

– Dobra – zgodziłem się. – Zrobimy tak: podzielę...

– Możesz wziąć dwie stowy – wszedł mi w słowo Student. – Działka Szamockiego plus drugie tyle dla was, chociaż gównu powinniście dostać, nie dolary. Ale niech stracę. Dwie stowy.

I jedziecie grzecznie przed nami. Zasady jak przedtem: jeden głupi manewr i ładuję wam pocisk w dupę.

– Chcesz mu dać pieniądze?! – Patrycja, sądząc po tonie, nie chciała. – Za co?! Bo przegnał nam kupca?! – Dramatycznym gestem wskazała na południe, gdzie był już tylko mrok i ślady po kołach. – Mogliśmy mieć co najmniej cztery setki więcej! Co najmniej! Dolarów, kurwa mać!

– Było, minęło – rzucił przez zęby.

– Rąbnę ją. – Znów wymierzyła z pistoletu w czoło Kaśki.

– Dobra – zgodził się. – Tylko poczekaj, aż Kulanowicz odliczy mi moją dolę. Reszta może sobie iść z dymem. – Dopiero teraz zmienił ton. – Odłóż tę spluwę, kretynko, i bierz się za liczenie. Jak będziemy tak tu siedzieć, to nas żandarmi pogodzą.

Bez zapala, ale podporządkowała się: pistolet powędrował do kabury. Ruszyła też w moją stronę.

– Stop – uniosłem rękę. Lewą. Prawa konsekwentnie tkwiła w worku. – Nie, żebym ci nie ufał, Student, ale wiesz... Będę dzielił, a wy patrzcie z boku. Kasia! W naszym wozie są kanistry z benzyną. Przynieś jeden z łaski swojej.

Ruszyła posłusznie jak robot. Ale robotem nie była: żaden nie zdzierałby sobie lakieru z pleców, szorując nimi o błotnik bewupa tylko po to, by czasem nie dotknąć ludzkiego trupa.

Mogła oczywiście minąć Kleczkę z drugiej strony albo w ogóle obejść cały wóz, nie miałem jednak żalu do losu, że tak jej przyładował: przynajmniej widać było, w jakim jest szoku. Nikt nie próbował jej zatrzymać. A teoretycznie mógł. Wciąż tkwiliśmy na zewnątrz wozów – wszyscy, którzy się liczyli – i bystry posłaniec mógł to wykorzystać. Skok w lewe drzwi zamiast

w prawe, bieg do wieżyczki, kaem... W praktyce nawet wyszkolony żołnierz pewnie by nie zdążył i miałem nadzieję, że Kaśce nie strzeli do głowy podobny pomysł.

Nie strzelił. Wróciła grzecznie z dwudziestolitrowym plastikowym kanistrem, na który od razu przełożyłem rzucane na większą z górtek pliki banknotów. Patrycja stała nieopodal, patrząc mi na ręce. Student, chyba dla podkreślenia dobrej woli i szlachetności zamiarów, najpierw pomógł Młodemu zacisnąć opaskę na udzie, a potem pokuśtykać w kierunku bewupa trzeciej drużyny.

Ułożyłem na kanistrze stos na tyle stabilny, by nie groziło mu rozsypanie, po czym sam dźwignąłem się na nogi.

– Zbieraj nasze, Kasia.

W worku było jeszcze sporo pieniędzy – nasi kontrahenci naoglądali się hollywoodzkich filmów i wystarali o drobne nominały – więc nie dało się go do tego wykorzystać. Dzięki czemu po raz pierwszy, na moment przynajmniej, Kaśka stała się w moich oczach równie seksowna, jak Ilona. No, ale Ilony nie dane mi było oglądać z zadartym pod brodę, przytrzymywanym jedną dłonią i zębami dołem obszernej sukienki, białymi majtkami na wierzchu i kupą forsy na podołku.

– Co ty kombinujesz? – warknęła Patrycja.

– Zabezpieczam się.

Student nie protestował, więc i ona dała spokój. Poholowałem kanister bliżej przeznaczonego dla nas wozu, niemal pod same drzwi. Nie trzeba było mistrza w rzucie granatem, by w razie czego, już choćby i z końca ławki, ulokować zabójcze jajo w pobliżu pojemnika.

Trudno o bardziej wymowny pokaz nieufności. Ale i zaufania zarazem – do ich rozsądku.

Mieli bewupa, mieli przeciwpancerne pociski i nic nie stało na przeszkodzie, by zabili nas hurtem, kiedy już znajdziemy się w wozie. Urządzając ten teatr, dawałem do zrozumienia, że czuję się bezpieczny, dopóki dwieście tysięcy dolarów znajduje się dostatecznie blisko, by spłonąć wraz ze mną. Może zresztą tak właśnie było, może zamartwiałem się na zapas. Wolałem jednak nie ryzykować.

Student przeszedł obok nas i bez słowa ściągnął z wozu dwie skrzynki amunicyjne.

Trzeciej, tej, którą Kaśka tak załatwiła Kleczkę, nie musiał: już leżała na ziemi.

Udałem, że nie widzę. Zostawił skrzynie, po czym odszedł niespiesznie w stronę wozu trzeciej drużyny.

Kończyłem podział, kiedy rozległ się cichy pomruk i wieża naszego BWP obróciła się o kilkadziesiąt stopni. Kaśka klęczała akurat obok, przekładając, tym razem już przyzwyczajony, do opróżnionego worka, naszą część honorarium. Pewnie dlatego wszyscy, łącznie z wsiadającym do 0313 Studentem, znieruchomieli z wrażenia, i pewnie dlatego nikt nie zrywał się do biegu ani nie chwycił za broń w chwilę później, gdy ruch ustał, a armata znalazła to, czego szukała.

Może przesądził fakt, że wymierzono ją w sam środek bratniego bewupa.

– Co jest? – wymamrotała Patrycja.

Sam chciałbym wiedzieć. Ale czasem nie wiedza jest najważniejsza, lecz refleks.

– Nie ruszaj się, Student! – Zerwałem się na nogi, złapałem Kaškę za łokieć, pchnąłem w stronę drzwi naszego wozu. – To tylko odłamkowy, ale jak drgniesz, to po tobie!

Nie wiedziałem, czy paść na kolana i dziękować Bogu, czy zadrzeć głowę i płuć w niebo, ale przynajmniej jedno stało się jasne od początku: że nie ma już czasu do stracenia. Stało się, lawina ruszyła i chcąc przeżyć, musiałem pognać wraz z nią w narzuconym mi kierunku.

– Kasia, za kierownicę! Odpalaj silnik! Patrycja, żadnych głupot! – Wymownie uniosłem granat. – Po prostu chcemy stąd bezpiecznie odjechać. Słyszysz, Student? Może być jak z tymi Afgańczykami: my swoje, wy swoje i rozjeżdżamy się po dobroci. Nie spieprz tego.

Nie spieprzył. Działko BWP-1 to nie haubica, a pocisk odłamkowy nie roznosi w strzępy małego budynku, ale dla kogoś, komu takie cholerstwo eksploduje w zasięgu ręki, różnica jest niewielka. Student zastygł nad włazem i nie przemówił jednym słowem. To na mnie spoczął ciężar przedstawienia jakiegoś rozsądnego wyjścia.

– Wycofamy się powoli. – Mówiłem też powoli, walcząc z paniką i przekonaniem, że nie sklecę sensownego planu, strawnego dla obu stron. A tylko taki mógł zapobiec masakrze. – Celują do was, więc siedź, jak siedzisz. Młody jest w środku. Jak strzelimy, to i on strzeli. Ty nie żyjesz, my nie żyjemy. Nikomu się nie opłaca. Więc spokojnie, bez strzelania. Wszyscy jesteśmy bogaci, szkoda ginąć. Słyszysz, Patrycja?

Skinęła nieznacznie głową. Stała z dłonią na kaburze, nie wyjęła jednak broni.

Na jej miejscu też bym nie wyjmował. Nie teraz. Co innego, gdy drzwi bewupa zatrzaska się za mną i moim granatem. Ktoś szybki oraz dostatecznie zdesperowany mógł nas jeszcze wykończyć – z pistoletu właśnie. Skok do drzwi albo wyżej, na strop, kilkanaście kul w pełen stłoczonych ciał mrok blaszanej puszkii. Nie da się szybko pozamykać wszystkich włazów bewupa, za dużo tego. Jeśli się wściekła...

Nie, spokojnie. Swoje drzwi mogłem przytrzymać, a gdybym usłyszał, że szturmuję z innej strony, wystarczyło je uchylić i wyrzucić granat: jej by się pewnie wielka krzywda nie stała, ale sześćset tysięcy dolarów poszłoby z dymem. Rozerwany na strzępy Student to żaden argument, ba, nawet korzyść z jej punktu widzenia – zakładając oczywiście, że nasz odłamkowy pocisk nie uszkodzi przy okazji wozu trzeciej drużyny – jednak utraty pieniędzy nie zaryzykuje.

To blondynka, lecz nie idiotka.

Ruszyłem tyłem w stronę drzwi.

– Czekaj! – Student nadal siedział wpatrzony w lufę naszej armaty, odzyskał jednak głos. – Chcę z powrotem granatnik Młodego!

Cholera. Nie pomyślałem nawet, że mamy w wozie tę rurę.

– A ile dajesz? – Na wszelki wypadek postarałem się o odpowiednio szyderczy ton. Bo gdyby potraktował to jako poważną ofertę i faktycznie przystąpił do targu, miałbym kolejny zgryz. Moje karty atutowe spoczywały pod posłaniem Lechowskiego i na dobrą sprawę nie potrzebowałem RPG. Z drugiej jednak strony... Dopóki nie załaduję działa przeciwpancernymi, granatnik był jedyną stuprocentową gwarancją. Więc może jednak? Nowiutki samochód za troszeczkę większą nerwówkę? Student mógł zaproponować dodatkową setkę; z jego punktu widzenia na tej ręcznej wyrzutni zaczynała się i kończyła nasza obrona przeciwpancerna. Nie w tej chwili – w ogóle. Cholera. Sto tysięcy dolców. Na czworo, czyli stówa w złotówkach dla mnie. Prawdziwy majątek. A i tak już nie dam rady bać się bardziej niż teraz.

– Ile? – Przez chwilę jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. – Słowo, że cię nie zabiję.

Życie, Kulanowicz. Twoje i twojej laski. To dobra cena, nie uważasz?

No proszę: wracał do formy. Inna sprawa, że na zdrowy rozum nie mieliśmy prawa go zabić: Młody wykończyłby nas w parę sekund później i wszyscy doskonale to rozumieli.

– Dwie stówy. – Tym razem nie szydziłem.

– Oddasz granatnik za dwieście tysięcy? – Nie silił się na krycie zdziwienia, ale ostatecznie nie musiał. Wystarczy, że nie wiedziałem, co konkretnie go dziwi.

– Wiem: to nasza polisa – posłałem mu uśmiech. – Ale czterysta tysięcy to też dobre zabezpieczenie. Nie spalisz takiej forsy. Zwłaszcza że stówa byłaby do zwrotu.

– Jak to? – przypomniała o sobie Patrycja.

– Bierzemy dwie, a po wszystkim, jeśli będziecie grzeczni, jedną oddajemy. Taki... papierowy zakładnik.

Naprawdę chciałbym być bogatszy o sto tysięcy złotych. W którymś momencie jednak dotarło do mnie, że targuję się o coś więcej. O informację. Kluczową.

– Nie potrzebujecie zakładnika – dobiegł mnie stłumiony głos Studenta. – Niby po co?

Ostatecznie jesteśmy współnikami, nie? Trochę nerwowo się zrobiło, ale przecież nie będziemy do siebie strzelać. No dobra, zatrzymaj sobie ten granatnik. Możecie odjechać. Tylko jeden warunek, Kulanowicz. Póki się widzimy, maszerujesz obok wozu.



## Rozdział 26

Tej nocy odkryłem jeszcze jedną różnicę między Kaśką Sosnowską a Iloną Roman: odmiennie wpływają na bieg czasu. Ilona, szarooka wiedźma, niemal go zamraża, gdy nie ma jej obok siebie, kiedy cierpisz, czekasz i liczysz godziny do następnego spotkania. Po czym idzie z tobą na spacer i nagle wszystko się zmienia: jakby chcąc odrobić straty, zegary ruszają galopem.

Kuchnia w „Sorrento” wypluwa dania z szybkością karabinu maszynowego, barmani w „Antidotum” nalewają drinki do udających normalne naczynia naparstków – upić się owszem, upijesz, ale nie posiedzisz nad takim – płyty chodnikowe kurczą się, a na wszystkich skrzyżowaniach, od starówki po osiedle Chopina, zapalają się zielone światła, gdy tylko podejdziesz do krawężnika. Cały Stargard, wszyscy ludzie, miejsca i przedmioty zmawiają się, by ci ją zabrać możliwie szybko. Słyszysz jej „no to narka”, zamykacie za sobą drzwi redakcji i zaraz potem, choć niby o pół miasta dalej, patrzysz ze strachem, jak połykają ją te drugie, znieawidzone – strzegące wejścia na klatkę schodową jej bloku. Gdzieś parę kroków dalej musi tkwić pod asfaltem dobrze zakamuflowana grawitacyjna czarna dziura – tylko tak mogę racjonalnie wytłumaczyć sobie, że zaraz potem czas zwalnia bieg. Taki lokalny fenomen astronomiczny. Aż dziw, że dotąd nieodkryty: różnica jest widoczna gołym okiem. Światło mianowicie nie nadąża przenosić całej palety barw i świat szarzeje. Skręcasz ze Szczecińskiej, docierasz odrapanymi uliczkami przed drzwi domu Ilony, żegnasz spojrzeniem jej plecy – i łup: połowę kolorów szlag trafia. Listopad w lipcu.

Nie potrafiłem przypomnieć sobie choćby jednej spędzonej obok niej minuty, która trwałaby pełne sześćdziesiąt sekund: dobrze jak ze trzydzieści się uzbierało. Była jak chleb w Oświęcimiu: w wiecznym, przyprawiającym o rozpacz niedoborze. A Kaśka...

Jechała za szybko, co chwilę musiałem przechodzić z marszu do truchtu, walić pięścią w pancierz i krzyzczeć „wolniej!” – a jednak udało jej się prawie zastopować sekundnik mego zegarka. Może to przez te włosy, czarne jak najczarniejsza z tajemniczych gwiazd, połykających czas i światło. Wzgórza były o rzut beretem, szedłem, podbiegałem kawałek, oglądałem się, wydzierałem na Kaśkę, sprawdzałem dystans – i wciąż był to taki sam rzut tym samym beretem.

Szlag by je trafił. Następna czarownica. Inne włosy, oczy, inna figura, inny rodzaj magii, no i co z tego? Samą swą aurą oddziaływała na mnie równie destruktywnie jak Ilona. Miała uratować, a zabijała. Niechący. Wbrew woli. Bo przecież obie mnie lubiły. To akurat wiedziałem.

Student mnie nie lubił. Czuję, że nie przepuści dobrej okazji. I dlatego tak długo to trwało: bo nie mogliśmy mu jej dać.

Kazałem Kaśce jechać jak za pogrzebem, a Lechowskiemu – nie spuszczać sylwetki wrogiego wozu ze skrzyżowania nitek celownika. W miarę jak dystans między bewupami rósł i ciemność rozmazywała szczegóły, pozbawieni noktowizorów dowódcy tracili możliwość dokonywania stosownych ocen – ale wzniesienia naprawdę były o rzut beretem i obaj wiedzieliśmy, że nasi celowniczo swobodnie zaglądamy w lufę jeden drugiemu. Moment, gdy Młody zamiast idealnego pierścienia stali ujrzy elipsę okalającą 73 milimetry czarnej pustki, mógł się stać ostatnim w życiu co najmniej trojga ludzi. Siebie nie byłem pewien – strzał z postoju gwarantował precyzyjne trafienie, czyli cały impet poszedłby w środek wozu – ale wcale nie było mi lżej ze świadomością, że zasuważąc na piechotę obok gąsienicy, mam największe szanse przetrwać. Trwanie było ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależało. Chciałem przeżyć, wywieźć z tej choleralnej pustyni żywą Kaśkę, żywą gotówkę i trochę szans na lepszą przyszłość.

Gdyby wóz stanął w ogniu, szalejące wewnątrz piekło pochłonęłoby nie tylko dziewczynę i pieniądze. Spłonęłoby też to, co w ludzkim życiu najważniejsze – nadzieja.

Zdążyłem wbić sobie do łba, że bez tych pieniędzy nigdy nie zdobędę Ilony.

– Nie po kamieniach! – wydarłem się, widząc parę skalnych odłamków wielkości złamanej cegły. – Omiń! I uprzedź Lechowskiego!

Niby miał otwarty właz i raz czy drugi próbował powiedzieć, że mnie słyszy – ale wolałem wykrzykiwać rozkazy w stronę bliższego włazu kierowcy, za pośrednictwem dziewczyny. Nie straciła litra krwi, nie naćpała się morfiny. No i to ona kierowała. Kierowca łatwiej dogada się z celowniczym w kwestii manewrowania wozem. A to, czy się zgrają, mogło przesądzić o naszym życiu. Kazałem Kaśce jechać po płaskim i tylko po płaskim, choćby kosztem zygzakowania. Kiedy armata nie miota się to w górę, to w dół, da się jeszcze utrzymać znacznik na celu. Prowadzący uprzedza: „w lewo o dziesięć stopni... już!”, a ten w wieży zaczyna obracać nią ze stosowną prędkością. Przy zgranej parze ani na sekundę nie traci się możliwości oddania celnego strzału. Oczywiście rozcinająca pasmo wzgórz przełęcz, na którą się wspinaliśmy, nigdzie nie była idealnie płaska, a tym dwojgu daleko było do ustanowienia zgranej pary – Kaśka studiowała geografę, byłbym jednak zdumiony, gdyby użyła słów „stopień” czy „tysięczna” zamiast „ciut” czy „lekko” – ale miałem nadzieję, że nasi przeciwnicy nie zaryzykują.

Ja też nie ryzykowałem. Kiedy wyboje narzucały konieczność mocniejszego skrętu i nasz wóz pokazywał Młodemu więcej prawej burty, a mniej zadu, odsuwałem się od burty lewej i całą swoją sylwetką demonstrowałem uczciwość zamiarów. Oprócz armaty mieliśmy ten cholerny granatnik. Teoretycznie mogłem skorzystać z takiej okazji, zniknąć na moment za manewrującym bewupem i pojawić się ponownie już na tle triumfalnej plamy ognia. RPG miał nocny celownik i w takich jak te warunkach stanowił skuteczniejszą od armaty broń.

Przynajmniej na początku, gdy byliśmy bliżej.

Prawdę mówiąc, gdyby Szamocki był choć trochę na chodzie, zastanawiałbym się nawet, czy nie zaryzykować takiego numeru. Strzelać raczej bym nie strzelał – nie dojrzałem do tego – ale gdyby udało mi się przejąć załadowany granatnik i odpowiednio szybko uruchomić radio, zyskałbym dużo lepsze gwarancje bezpiecznego odwrotu. Ja osłaniam, wóz jedzie, potem wóz staje, tuż za szczytem wzniesienia, widoczny jedynie pod postacią wieżyczki, bierze tamtych na muszkę, trzyma w szachu, a ja spokojnie go doganiam. Manewr jak z podręcznika taktyki.

Inna sprawa, że wcale nie martwił mnie brak piątej, pomocnej dłoni, która wepchnie nabój do rury RPG-7, a potem poda mi ją dyskretnie. Musiałbym podjąć kolejną decyzję. Może znów błędna. Niby żyliśmy i nawet byliśmy bogatsi, ale nie mogłem się wyzbyć przeświadczenia, że od kilkudziesięciu godzin wybieram raz po raz to trochę większe zło.

Miałem dość.

Student nie miał. Byliśmy już prawie na mecie, ledwie kilkanaście metrów od linii, za którą teren zaczynał opadać, kiedy dostrzegłem kątem oka jakiś rozbłysk.

Huk przegapiłem. Zbyt wielkie wrażenie zrobił na mnie najpierw widok zastygłej w bezruchu lufy naszej armaty, a zaraz potem – maźnięcie po oczach i mózgu smugą płomienia.

Pocisk przemknął tuż nad uniesioną pokrywą wieżowego wjazdu. Dosłownie tuż: musiał zawadzić o nią stabilizatorem – tylko tak dało się wyjaśnić jego eksplozję wprawdzie o sto czy dwieście metrów dalej, lecz już na przeciwstoku. Coś, co leciało tak szybko, nie miało prawa ot tak, samo z siebie, upaść równie blisko. Chyba że właśnie trafiłem na drugą w życiu skrytą pod powierzchnią naszej planety czarną dziurę, która zakłóciła lokalne pole grawitacyjne.

Zmarnowałem chyba z sekundę, stojąc w bezruchu i przyjmując do wiadomości, że jednak się stało. Człowiek to w gruncie rzeczy głupie bydlę: niby wie, oczekuje, o niczym innym nie myśli, a mimo to daje się zaskoczyć.

No cóż, przynajmniej nie byłem jakimś wyjątkiem pod tym względem. Daliśmy plamę zbiorowo, całą trójką.

– Lechowski! – Po sekundzie mogłem już krzyczeć. Tylko z myśleniem było gorzej. – Ognia!

Oczywiście nie strzelił. Gdyby chciał i mógł, zrobiłby to dużo wcześniej: ostatecznie to on od ładnych paru minut wpatrywał się w tamtą lufę.

– Kaśka, gaz do dechy!

Akurat w tym momencie nie powinna tego robić. To znaczy: gdybym traktował poważnie to, co wykrzykuje, i oczekiwał, że Lechowski jednak wypali z armaty. Nic gorzej nie służy precyzji strzału niż nagły manewr wozem.

Na szczęście nasz celowniczy konsekwentnie trzymał palce z dala od spustu. Od innych przycisków chyba też – lufą rzucało dokładnie tak samo jak całą resztą wozu – ale przez następne kilka sekund myślałem tylko o spuszczeniu. Obrócona armata spoglądała do tyłu i gdyby nagle

wypaliła, miałbym największe szanse stać się pierwszym napotkanym przez pocisk obiektem.

Kaśka posłuchała, wycisnęła z silnika, ile się dało, i musiałem ruszyć sprintem za umykającym wozem.

Nie dogoniłem go. Młody nie poprawił przeciwpancernym – może uznał, że nie zdąży – ale dość szybko przypomniał sobie o karabinie maszynowym. Może go oczerniałem, może po prostu próbował użyć amunicji smugowej do wstrzelania się przed następną próbą trafienia wozu, wyglądało to jednak jak polowanie na mnie i już po drugiej serii rzuciłem się szczupakiem na ziemię.

Lechowski mógł już strzelać – jeśli przedtem nie robił tego z obawy o mnie. Nie łudziłem się specjalnie, ale trochę chyba tak. Potrzebowałem tego strzału.

Jeśli to jeszcze nie przeciwstok, jeśli zabrakło paru metrów, a Młody nacieszył już oczy fajnym skądinąd widokiem rykoszetujących od pancerza kul – to koniec. Z kilkuset metrów, mając porządnie umocowany kaem z silnym celownikiem optycznym, nie sposób chybić leżącego człowieka. No, może pierwszą serią. Ale przed spotkaniem z Afgańczykami Student trzy razy przypomniał każdemu o uzupełnieniu podręcznego zapasu amunicji i nic nie stało na przeszkodzie, by Młody próbował do skutku.

Czekałem. Chyba niedługo. Po prostu gdzieś obok była Kaśka i – być może jednak – ta czarna dziura, więc czas zaczął wydziwiać, a mnie tylko wydawało się, że upłynęły całe minuty.

Dla reszty świata, tej oddalonej od Ilon, Kasiak i czarnych dziur, czekałem na kulę najwyżej sekundy. Nasz BWP rozpedził się porządnie już po tamtej stronie i kiedy przeskoczył najwyżej położony punkt przełęczy, znikł z oczu Młodego stosunkowo szybko. A to do niego strzelano.

W końcu w to uwierzyłem. Umiarkowanie zresztą. Popelzłem wprawdzie, najpierw w stronę odcisniętej gąsienicą koleiny, potem koleiną, ale dużo wcześniej dopadło mnie zmęczenie niż pewność, że to nie zabawa w kotka i myszkę, a kaem milczy nie dlatego, że trafił mi się smakujący zemstę sukinsyn, lecz z powodu braku celu.

Zdążyłem. Potrwało jeszcze trochę, nim poczułem, że głowę mam niżej niż stopy, ale musiało być tak od początku. Runąłem na ziemię już po bezpiecznej stronie wzniesienia. Nic mi nie groziło. Niepotrzebnie spanikowałem. I omal nie popsulem wszystkiego.

Kaśka też spanikowała, potem przypomniała sobie o mnie, znów spanikowała, zawróciła w stylu, którego starał się oduczyć jej Sławek – i poszarżowała z powrotem. Prosto na mnie i prosto na lufę pozostawionego w dolinie bewupa.

Chyba tylko ten nadmiar potencjalnych nieszczęść ocalił nas przed ponownym popadnięciem w kłopoty. Tak jak dwa minusy znoszą się w mnożeniu, tak jej podwójna bezmyślność obróciła się na dobre. Gdybym nie wyrósł nagle tuż przed jej peryskopem, pewnie pognałaby dalej i dała Młodemu drugą szansę. Wątpię, by zastopowała wystarczająco wcześnie.

W moim przypadku całkiem jej nie wyszło.

Rozpędzony wóz zaczął zwalniać może ze dwa metry przede mną. Co należało uznać za szczęście w nieszczęściu.

Był za blisko, by cokolwiek to zmieniło, a jednocześnie jeszcze dostatecznie daleko, by moje ciało – bo umysł chyba nie miał z tym wiele wspólnego – zmieniło decyzję. Mięśnie prostujące kolana wrzuciły wsteczny i zamiast uskakiwać z drogi kilkunastotonowej górze stali, runąłem przed nią na twarz. Późno: próbując wyrzucić ręce przed siebie, jak nurkujący na główkę, przywaliłem grzbietami dłoni o dolny skos pancerza czołowego. Ale i wcześniej: blacha nie zgruchotała mi czaszki. No i zdążyłem z tymi rękami. Żadna nie została z boku, nie dała żelaznej bestii szansy zrobienia ze mnie kaleki. Wszystko albo nic: mogłem trafić w prześwit i wyjść z tego cało, albo znaleźć się na trasie którejś z gąsienic – i umrzeć.

Wyszedłem cało. Psychicznie chyba też: zdołałem unieść się na kolana, nim Kaśka zatrzymała wóz. Na szczęście nie była takim twardzielem jak ja. Nie próbowała cofać, wyskakiwać z apteczką czy w jakikolwiek inny sposób naśladować kierowcę-dżentelmena, który właśnie kogoś przejechał i usiłuje jak najszybciej znaleźć się przy ofierze. Nie dostałem w kark zadem bewupa, a ona nie znalazła się przeszło półtora metra nad ziemią. Wóz stał gdzieś na samym skraju martwego pola i Młody, który zdążył się wstrzelać, skosiłby pewnie bez trudu jasną plamę jej sukienki. Wziąłem tę wstrzemięźliwość za przejaw zimnej krwi, pokłęczałem więc sobie jeszcze przez chwilę, by ochłonąć i przezwyciężyć racjonalny skądinąd pociąg mych kolan do karakumskiego piasku. Zanim usłuchały, minęło trochę czasu.

Chyba więcej niż trochę. Kaśce zdążyły puścić hamulce.

Kiedy wsunąłem się przez właz dowódcy, nie próbowała odwracać usmarowanej słonym błotem twarzy. Płakała jak dziecko.

\*

– Ja?! – Szczerego zdumienia było w jej głosie tyle, że nadmiar skropił się chyba na wyściółce mego hełmofonu. – Co ja wyprawiam?!

Musiałem wyciągnąć nieprzytomnego Lechowskiego z wieży, powkładać przeciwpancerne naboje w puste uchwyty magazynu, załadować granatnik, a wszystko to z przerwami na wypadki z wieży i lustrowanie okolicy. Wóz Studenta znikł gdzieś na północy i choć niby wróżyło to dobrze, równocześnie napawało lękiem. Nie odezwali się jednym słowem; radio milczało. Po głowie kołatała mi się stara definicja wojny – ta o polityce prowadzonej innymi metodami – i miałem jak najgorsze przeczucia. Przestali z nami rozmawiać, przestali negocjować i uprawiać politykę, a to mogło znaczyć...

Krótko mówiąc, miałem święte prawo martwić się, powarkiwać na Kaśkę i widzieć po swojemu to, co nam się właśnie przytrafiło.

– Co ci strzeliło do głowy, żeby go walić siekierą?! I to jeszcze Kleczkę?!

– Skrzynką! – odwarknęła. – A niby kogo?!

– Nikogo! Nikogo nie powinnaś...! Kurwa, Kaśka, jesteś tu ostatnia na liście komandosów! Cud, że sobie nogi nie odrąbałaś! Mało się nie zeszczalem ze strachu, jak na to...

– A ja nie mało! Przez ciebie dupa mi się klei do tego zasranego siedzenia!

– Co?

– Gówno! Naćpałeś się czegoś?! Co to miało, do cholery, być?! Jednego słowa, nic, a potem patrzę: wbija chłopakowi nóż, łapie granat i wrzeszczy, że się wysadzi! Pojeb kompletny!

Kurwa mać! Wiesz, jak się bałam! Wiesz?!

Trochę mnie to otrzeźwiło. Nigdy nie była wulgarna. Nie mówiąc o tym drugim. Bo to chyba nie metafora.

– Przepraszam – mruknąłem. – Nie było jak...

– Co nie było jak?!

Nie wyłączyliśmy silnika, darła się więc przez hełmofon wprost w moje uszy. Paskudne uczucie. Nic dziwnego, że Czwerej Pancerni tworzyli taką zgraną paczkę: kłótnie w czołgu muszą wyglądać nieciekawie.

– Pieprzyć mnie! – Zamilkłem na chwilę i chyba opacznie to zrozumiała. – Ale mogłeś pomyśleć o mojej córce! – Zmieniła nagle ton na ociekający gniewnym szyderstwem. – „Gdzie mamusia? Mamusia nas zostawiła, skarbie. Nie wróci. Jeden pan ją zatłukł szpadlem.” „Ale dlaczego?” „Bo się kurwiła z wujkiem Adamem, a wujek Adam za mało dostał i chciał większą działkę.”

Zatkało mnie na moment. Nawet nie z poczucia krzywdy. Raczej ze zdziwienia, że mogła tak pomyśleć. I że ja sam nie wpadłem na to, iż tak pomyśli.

Ostatecznie byliśmy dwójką obcych sobie ludzi. A obcego, z braku innych przesłanek, ocenia się na podstawie logiki. I statystyki. Więc niby co sobie miała pomyśleć?

Nie, zaraz. Dwójką obcych?

Wciąż czułem na twarzy zapach jej podbrzusza. No i trzasnęła Kleczkę tą skrzynią. Nie bez powodu przecież.

– Kasia...

– Dobra, skończmy temat. Było, minęło. – Wypuściła głośno powietrze, co miało pewnie symbolizować równoczesne wyzbywanie się resztek złości. – To co robimy? Jedziemy, tak?

Tylko w którą stronę?

Dobre pytanie. Jedyne istotne w tej chwili. Miałem dwieście tysięcy dolarów, dwóch rannych, a przeciw sobie pół świata. Samo sformułowanie myśli, że Kaśka Sosnowska ze swymi opiniami na mój temat nie jest warta poświęconego jej czasu, było jawnym marnowaniem tegoż czasu w ilościach wręcz nieprzyzwoitych. Przeżyjemy, to jej może wyjaśnię. Nie przeżyjemy – tym bardziej szkoda słów.

Tyle jeśli chodzi o zdrowy rozsądek. Kiedyś go miałem. Potem poznałem Ilonę.

– Nie chodziło o forszę – powiedziałem cicho. Chyba za cicho.

– Słucham?

– Chciał się was pozbyć. Wszystkich niepewnych.

Za długo milczała, by uznać to za wstęp do stwierdzenia „gówno prawda”. Nie była głupia. Na moje nieszczęście. I na szczęście. Gdyby była, nie sięgnąłbym najpierw po bagnet, a potem po granat Młodego. Miałbym większe szanse przeżyć. Teraz. I mniejsze później, kiedy Ilona powie „nie”.

Popieprzyła mi życie, szkoda gadać. Choćby dlatego idealnie pasowała do roli pocieszycielki, jednej pani redaktor, która zastąpi drugą. Kolejna wspólna cecha.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem. Wierzę.

Omam nie zrobiłem sieroty z jej córki. Coś mi szeptało, że tak właśnie postrzega kwestie swej śmierci: jako krzywdę wyrządzoną nie jej, ale dziecku właśnie. Ciekaw byłem, co zrobiłaby w tej chwili Ilona. Wybuchnęła szyderczym śmiechem? Wybuchnęła gniewem?

Wierzyłem, że to samo, co Kaśka.

– Aha – mruknęłaby z zakłopotaniem. A ciepło jej uśmiechu złamałoby prawa fizyki, przelało się po okablowaniu i spłynęło mi przez uszy, przez ściśnięte nagłym skurczem gardło prościutko do serca. – No, to co innego. Przepraszam.

Kochałem ją, chciałem widzieć jeszcze piękniejszą i mądrzejszą, więc wierzyłem, że powiedziała by coś takiego. Ale byłem realistą i wiedziałem, że takiej jak u Kaśki końcówki już bym się nie doczekał.

– Kochany jesteś.

\*

Wracali po własnych śladach. BWP, jak każda gąsienicówka, dobrze sobie radzi w trudnym terenie, ale nawet najlepiej skonstruowany wóz dalej i szybciej zajędzie przetartym wcześniej szlakiem. W tę stronę podróżowaliśmy praktycznie na azymut, najkrótszą z możliwych tras, nie było więc powodów wracać inną.

Wydawało się całkiem logiczne, że ślady 0313 znikły mi w pewnym momencie z oczu, zlewając się ze starym tropem. Raz ubity piasek niesie lepiej, a i kierowca łatwiej utrzyma kurs, mknąc świeżą koleiną, niż spoglądając na busolę. Wszystko grało. No, prawie wszystko.

– Mielśmy być w bazie o dziewiątej? – upewniłem się.

– O dziewiątej. – Nie musiała się zastanawiać, o co pytam. Cóż, adrenalina. Nie widziałem jej – po tym jak Lechowski zemdlał, redukując załogę do dwóch osób, nie stać mnie było na luksus zapuszczania się na fotel dowódcy, nie mogłem więc ocenić stopnia napięcia skrytych pod sukienką mięśni – wystarczyło jednak popatrzeć na ruchy bewupa, by wyczuć, na jak wysokich obrotach funkcjonuje prowadząca go nowicjuszka. Jechaliśmy szybko i dobrze. Właściwie nie

popępniała błędów. Ktoś, komu brakuje rutyny i wyrobionych odruchów, może nadrabiać refleksem. Pytanie, jak długo. Adrenalinowy dopalacz, jak te w odrzutowcach, ma to do siebie, że przeraźliwie szybko zżera energię.

Na razie jednak nie martwiłem się o przyszłość. Mój system nerwowy też pracował na maksymalnych obrotach i trochę zbyt łatwo wietrzył niebezpieczeństwo. Już teraz.

– Skręć w lewo – mruknąłem. – Do ich śladów.

– Mieliśmy trzymać się drugiej strony wzgórz – przypomniała.

Fakt, sam wbijałem jej to w głowę. Wzniesienia na wschodzie już raz ocaliły nam życie:

Student z uwagi na granatnik bał się je przekraczać. Dopóki jechał starą trasą, w odległości kilkuset metrów od wykreślonego pagórkami horyzontu, byliśmy z jego punktu widzenia mało groźni. RPG-7, jak zresztą każda broń tej klasy, wystrzeliwuje stosunkowo powolne pociski.

Trafienie czymś takim odległego, szybkiego i poruszającego się poprzecznie celu jest nie lada sztuką. Z drugiej strony ktoś, kto – jak ja teraz – siedział na obramowaniu wieżowego wjazdu, mając granatnik na kolanach i noktowizyjną lornetkę w ręku, teoretycznie powinien pierwszy wypatrzeć przeciwnika i pierwszy wycelować broń. To narzucało obu stronom określoną taktykę, której zasady starałem się Kaśce wyjaśnić w chwilach, gdy rzucało nami trochę mniej i udzielanie instrukcji nie groziło odgryzieniem języka.

– Skręć. – Chwilowo jechaliśmy po wybojach, ograniczyłem się więc do suchego polecenia. Usłuchała.

Z bliska świeży trop nieco wyraźniej odróżniał się od tego sprzed godziny. Ale tylko nieco: suchy piasek to marny utrwalacz śladów. Noc i kapryśny wiatr, który w jednych miejscach podrywał całe hektary kurzawy, by ćwierć kilometra dalej zrobić sobie wolne, też nie ułatwiała orientacji. Przez pewien czas nie miałem nawet pewności, czy przejechały tędy dwa czy trzy wozy.

– To już chyba niedaleko.

Nie wyjaśniła, o co chodzi. Nie musiała.

– Niedaleko.

Zdałem sobie sprawę, że nie zdążyliśmy o tym porozmawiać. O tylu ważnych sprawach nie dane nam było pogadać...

– Pojedziemy drogą?

Chyba po prostu mówiła cicho. Nieśmiała nadzieja to zapewne wytwór mojej wyobraźni.

Albo, jeśli faktycznie była w jej głosie, oznaczała prozaiczną chęć skrócenia tego koszmaru. Jej koszmaru. Nie tych dwóch poharatanych nieszczęśników, umierających w przedziale desantowym.

– Lepiej nie.

– Dlaczego? – zapytała spokojnym z pozoru tonem.



– Bo to pobojowisko jest ostatnim miejscem, przez które powinno się jechać. Jeśli ktoś już szuka legionistów... Ogień, rozgrzane wraki. To przyciąga uwagę. Student powinien ominąć je z daleka. A nie omija. Może po prostu się spieszy i zaryzykował jazdę najkrótszą trasą, ale... Do szpitala też najbliższej właśnie tędy. Milczała jakiś czas.

– Francuzi mogą tak szybko...? – nie dokończyła. – Adam, a gdybyśmy po prostu poczekali? Może właśnie tak będzie najprędzej? Mówisz o poszukiwaniach z powietrza, tak?

Śmigłowce? Taki śmigłowiec mógłby zabrać rannych. Pół godziny i są w szpitalu. I nie wytrzesłoby ich tak.

– Zanim zaczęliśmy strzelać, odjechaliśmy kawałek od drogi. A swojego patrolu, jeśli już, będą szukać wzdłuż niej. Potem oczywiście i dalej, ale kiedy będzie to potem... No i pieniądze.

– Co: pieniądze?

– Trzeba je ukryć. Bez GPS-a, na pustyni... Schowasz i nigdy więcej nie znajdziesz. Tu cały krajobraz wędruje.

– Są wraki – mruknęła po chwili. Z wyraźną niechęcią. Starła się nie myśleć o tym akurat kawałku świata.

– Mogą je wywieźć. I co wtedy? – Nie odpowiedziała. – Obok bazy przygotowałem skrytkę. Niezłą, i na pewno znajdę, gdyby trzeba było odczekać i wracać tu jako turysta.

– Odczekać?

– A niby jak się wytłumaczę z takiej forsy, gdyby nas skontrolowali na lotnisku?

Chudzyński miał to załatwić, chyba przez banki, ale teraz...

– Co się zmieniło? – BWP toczył się w miarę gładko po wyżłobionych gąsienicami koleinach, prowadziło się go łatwiej, no i oto skutki. Rozwiązał jej się język. Ale może to i dobrze. Też wołałem rozmawiać, niż zamartwiać się w ciszy i samotności.

– Patrycja – westchnąłem.

– Co: Patrycja?

– Chyba cię nie lubi. A doktor chyba lubi ją. Bardzo.

– Daj spokój – zachnęła się. – To dziwka.

– No to co?

– Przecież nie ożeni się z dziwką!

– A niby dlaczego nie?

– Ty byś się ożenił?

– Z nią? Nie.

– Pytam o dziwkę. Kurwę – dorzuciła. Miała w głosie coś dziwnego. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy ten jej Tomek, nim wylądował w łóżku rudej prawniczki, nie zahaczył raz i drugi o jakieś agencje towarzyskie.

– Ślub bierze się z kobietą, nie z jej zawodem.

Milczała przez chwilę.

– A gdyby Ilona...? Przepraszam – rzuciła szybko. – To taki... akademicki przykład.

– Ilona niestety nie jest kurwą.

– Niestety? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Mam teraz forszę – uśmiechnąłem się z goryczą. – Gdyby była, kupiłbym ją sobie.

– Żartujesz... Faceci nie żenią się... Adam, mówimy o babie, która rozkłada nogi przed każdym, kto płaci!

– Znam definicję.

– Ożeniłbyś się z Iloną, gdyby ci powiedziała: „wiesz, kiedyś dawałam za forszę”?

– Z Iloną? – Dorzuciłem jeszcze garść goryczy do uśmiechu. – Ilona mogłaby powiedzieć: „dalej daję”. Zastanawiałbym się z pięć minut, a potem pognałbym po obrączki. Gdyby obiecała, że znajdzie dla mnie trochę czasu w przerwach – dodałem, by nie wyjść na kompletnego frajera.

Tym razem zamilkła na dłużej. Zdążyłem obejrzeć przez noktowizor nie tylko północny horyzont, ale i wzniesienia po bokach. Nic, pustka. Może martwiłem się na zapas.

– Nie wierzę – usłyszałem stłumiony głos Kaśki.

– Ja też. Ale tak to wygląda. Wpadłem po uszy w gówno. Bo to gówno, wiesz? Nie ma nic gorszego niż taka jednokierunkowa miłość. Nigdy tego nie rób. Jak zobaczysz, że facet ci się podoba, a z miejsca na ciebie nie leci, wuj czym prędzej.

Nie podziękowała za dobrą radę. Może po prostu nie zdążyła. Minęliśmy lekkim łukiem jakąś wydnię i nagle dostrzegłem światełka. Trzy albo cztery. Nic intensywnego, no i dość daleko, ale z pewnością odróżniłbym trzy od czterech – gdyby dano mi czas. Nie miałem go jednak.

Czwarte względnie piąte światełko, też niespecjalnie mocne – w każdym razie z mojej perspektywy – mknęło w naszą stronę.

– Rakieta!!! – usłyszałem, chyba nie tylko przez interkom, krzyk Kaśki. – Skacz!!!

## Rozdział 27

To dziwne, ale od początku wiedziałem, że zdążę. Umysł nie przeliczał niczego na sekundy – aż tyle ich nie było – nie trzeba jednak bawić się w rachunki, by przebiec przed nadjeżdżającą ciężarówką. Wystarczy wycucie, instynktowna umiejętność porównania dwóch szybkości: tego czegoś, dużego i groźnego, co pędzi, by cię zabić, i własnej.

Siedziałem na stropie wieży, wewnątrz wozu pozostały praktycznie tylko nogi od kolan w dół. Nie była to idealna pozycja, ani do jazdy, ani do zeskoku, stanowiła za to doskonały kompromis, dzięki czemu najpierw nie zleciałem na wybojach, a teraz zyskałem szansę ocalenia życia.

Granatnik precz, stopa na górę, odbicie. Wystarczy. Trzy energiczne ruchy. Gdybym miał kiedy pomyśleć o gaśnicach i kończynie, która w razie nieszczęśliwego lądowania dostaje się między koło a taśmę ze stalowych ogniw, pewnie dodałbym jakiś czwarty, ale zeskok z jadącego bewupa to nie to samo co nurkowanie pod nim i tym razem udało mi się zapomnieć, że mam ręce i nogi.

Trzy ruchy – i po kłopocie.

Nawet nie poobijałbym się za bardzo. Kaśka odruchowo wdusiła hamulec i chociaż do samego końca nie udało jej się zatrzymać wozu, prędkość znacząco spadła. Mimo wszystko BWP toczył się na spotkanie nadlatującego światełka i był to jeszcze jeden argument za skokiem: kiedy w końcu zetkną się, będę spory kawałek z tyłu.

Nic, tylko skakać.

Nie poruszyłem się.

Patrzyłem na Malutką i próbowałem ocenić, w które miejsce trafi. Beznadziejne. Sto pięćdziesiąt metrów na sekundę to przygnębiająco mało z punktu widzenia celowniczego, ale o wiele za dużo, by pokusić się o dokonywanie takich spekulacji. Do końca nie miałem pewności, czy los mi dopisze i umrę błyskawicznie, od trafienia w pierś lub eksplozji zgromadzonej w magazynie amunicji, czy troszeczkę później, wyrzucony słabszym wybuchem samej tylko głowicy, z przerobionymi na papkę płucami i – być może – skróconymi o połowę nogami. Tak czy inaczej nie miało to być nic naprawdę długiego i bolesnego. Siedziałem więc i patrzyłem.

Ocuciło mnie dopiero smagnięcie żarem. Silnik wciąż pracował, a rakieta przemknęła blisko. Nie wiem, jak blisko, ale podejrzewam, że gdybym machał rękami, dając Studentowi znak, że to my, swoi, mógłbym pożegnać się ze sporą częścią tej prawej.

Zamiast tego rąbnąłem łokciem o pancierz. Kaśka, za późno i po prawdzie bez sensu, wykonała gwałtowny zwrot. Wóz przejechał kilkanaście metrów, po czym stanął.

Żyłem. Wszyscy żyliśmy. Szansa na koniec moich kłopotów rozpadała się właśnie na setki odłamków w rozbłysku spektakularnej eksplozji. Nawet niedaleko. Ci, którzy przyglądali się nam bez wspomagania oczu noktowizją, mogli się jeszcze przez chwilę ludzić.

Student – wiedziałem, że to on odpalił raketę – nie łudził się. Ustawiony profilem i nieruchomy cel aż się prosił o poprawkę. Nie dlatego jednak strzelił. Gdybyśmy gnali zygżakiem, wystawiając na ogień dwukrotnie węższą sylwetkę, też pewnie by próbował szczęścia. Nic mądrzejszego nie mógł po prostu zrobić. Dystans był za duży, ale ponowne załadowanie Malutkiej na wyrzutnię to kwestia kilkudziesięciu sekund, nawet minuty.

Wypalił z armaty i oczywiście chybił. Nie wiem o ile. Nie patrzyłem w tamtą stronę.

Patrzyłem na Kaškę.

Jej popiersie wyskoczyło z włazu jak diabeł z pudełka. I jak pudełkowy diabeł na tym poprzestało, zatrzymane nie tyle długością sprężyny, ile moim widokiem.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie. Sylwetkom, mówiąc precyzyjnie. Było ciemno.

– Nie...? Myślałam, że...

Zapomniała ściągnąć hełmofon. Słyszałem ją wyraźnie. W jej głosie było to samo zdziwienie, co w bezruchu ramion. Podrapanych chyba: wyskakując, zdrowo przywalila o metal.

– Jedziemy – rzuciłem cicho.

Zanim ruszyła, zdążyłem ześliznąć się do wieży i rozpocząć obrót. Z naprowadzenia armaty na płomień dopalających się wraków nic już nie wyszło – wjeżdżaliśmy między wydmy – ale mimo to wcisnąłem spust. Armata huknęła, odległe o sto metrów zbocze odpowiedziało echem eksplozji, znikło w chmurze pyłu.

– Ten był odłamkowy – powiedziałem, przełączając się na radio. – Nie za bardzo pamiętam, jak się rozładowuje to draństwo. Ale w ładowaniu jestem dobry. A następny będzie przeciwpancerny. Słyszysz, Student? Mamy kilka. Podpieprzyłem z ciężarówki. Jeśli się chcesz dalej w to bawić, to proszę. Tylko uprzedzam: mamy takie same zabawki.

Mógł zmienić kanał, mógł wyłączyć radio. Jego problem. Poprzednim razem poniosło nas, wszystkich. Ale mieli czas ochłonąć, przemyśleć sobie parę spraw. Jeśli wybrali wojnę, to w porządku – będzie wojna.

Przecisnąłem się z wieży do przedziału desantowego. W mdłym blasku lampek obaj ranni bardziej przypominali świeże zwłoki niż żywych ludzi. Żyli jednak. Co najmniej jeden.

Lechowski popatrzył na mnie i chyba nawet próbował coś powiedzieć.

Zawróciłem, ostrożnie dotknąłem ramienia Kaški. Mogłem darować sobie ostrożność i wybrać to drugie, którym nie zahaczyła o krawędź włazu. Ale wówczas nie byłoby powodu robić tego delikatnie.

– Zatrzymaj! I wyłącz silnik!

Najpierw wygramoliłem się na dach bewupa. Trochę by posłuchać, uwiarygodnić

sensowność rozkazu, trochę po to, by sprawdzić, czy świat, podarowany mi raz jeszcze, nie zrobił się trochę lepszy od tego sprzed kilkunastu sekund, sprzed odpalenia rakiety.

Stałem, patrzyłem na gwiazdy, nasłuchiwałem. Było cicho i przynajmniej wydawało mi się, że słyszę dobiegający z północy szmer silnika. Akurat nie wiało, a dookoła rozciągało się absolutne pustkowie. Więc może. Ale może tylko to sobie wmówiłem. 0313 czał się przeszło kilometr od nas, Kaśkę miałem tuż obok – a nie zauważyłem, kiedy się zjawiła.

– Może nie odpalić – powiedziała bardzo cicho. – Sławek mówił, że rozrusznik... – Urwała, cofnęła się w okolice armatniej lufy. Chyba było jej zimno. Pewnie dlatego gołe łydki tak ciasno przylgnęły do metalu rozgrzanego po wystrzale. Ale powodów, dla których otuliła się ramionami, nie byłem już taki pewien. Umykające z wychłodzonego ciała ciepło zatrzymuje się identycznym gestem jak wyslizgujące się spod kontroli emocje. – Adam... Mogę o coś zapytać?

– Ty? – uśmiechnąłem się gorzko. – O wszystko. Przecież sypiamy ze sobą.

Cholera. Fatalnie zabrzmiało. A przecież wiedziałem, że za chwilę sam będę musiał coś zrobić z rękami, by nie wzięły przykładu z jej rąk i nie opasały półnagięgo ciała dziewczyny. Bo do tego tu i teraz sprowadzała się jej sukienka, nawet uzupełniona majtkami i parą sandałów: do połówki ubrania.

– Masz żal? – Posłałem jej zdziwione spojrzenie, więc sprecyzowała: – No, że ci dałam.

– Słucham?!

– Czasem to... no, draństwo. Przespać się z kimś, kto... no wiesz: myli goły tyłek z pierścionkiem zaręczynowym. – Odczekała chwilę. – Z takim facetem jak ty.

Nie byłem pewien znaku zapytania na końcu. Ona też chyba nie wiedziała, czy go stawia.

Strasznie kiepsko się znaleźmy.

– Nie mam żalu. – Uśmiechnąłem się, tym razem nie gorzko, lecz smutnie. – To najlepsza rzecz, jaka mi się przytrafiła od... bo ja wiem?... dwóch lat?

– Odkąd poznałeś Ilonę? – podsunęła. Na chwilę zasznurowało mi usta. – Kurczę. Dwa lata? To już tyle?

Już? Wciąż miałem ją przed oczami, taką drobną i kruchą, stojącą przed wielkim jak szafa Przemkiem Bielewiczem, ówczesnym naczelnym „Dziennika”. Wyglądała jak mała dziewczynka z pokorą wysłuchująca ojca. Tego dnia była chyba smutna, a może po prostu zmęczona i to właśnie taki, smutny, a może zmęczony uśmiech dostał mi się za pierwszym razem.

Obraz pod powiekami, świeży jak sprzed paru godzin. Dziwne. Bo potem przyszły tysiące następnych godzin, wypełnionych goryczą, rozpaczą, złością do losu.

– Wiesz... przez pierwszy tydzień wydawała mi się najpiękniejszą szarą myszką świata.

– Myszką? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Głupie, nie? Ale widziałem ją... nie wiem... ze dwa, trzy razy. Krótko, służbowo. A ten głąb Bielewicz... Wiesz, nie nosiła obrączki. Rozwodziła się. Pierścionka żadnego też nie.

Pomyślałem... No więc dzwonię, pytam, a ten: „Ilona? Panna z dzieckiem”. Dziennikarz, kurwa; kopalnia informacji. Uznałem, że jest wolna. Sam nie wiem dlaczego, bo tego akurat nie powiedział. No i po tygodniu, tych dwóch czy trzech razach, napisałem do niej list. Właściwie to... hmmm... takie oświadczyły na piśmie.

– Żartujesz...

– Idiota, nie? Nie pamięta dobrze twarzy, a praktycznie prosi o rękę.

Zastanawiała się przez chwilę nad tym, co usłyszała.

– Chciałeś się żenić z szarą myszką?

– Kasia, ona jest... W życiu nie widziałem piękniejszej kobiety. Włączając te wszystkie ekranowe laski. W życiu. Tylko że to nie Barbie. Nie dziewczyna na wybory miss. Ma taką... inną urodę. Nie wiem: głębszą, oryginalną... Nie wiem. Nie umiem tego nazwać.

– Piękna inaczej? – podpowiedziała odrobinę kpiąco. – Mam nadzieję, że jej tego nie powiedziałeś?

– No... prawdę mówiąc...

– Powiedziałeś?!

– To znaczy... Czasem żartuję, że obiektywnie nie może być aż taka. Bo przecież wszyscy faceci by się o nią pozabijali. W Stargardzie zostałyby same baby.

– Mówisz kobiecie, że obiektywnie to z niej poczwara?! I chcesz, żeby za ciebie wyszła?!

– Też się wkurza – uśmiechnąłem się blado. – Ale tak... fajnie. Z uśmiechem. Tylko raz naprawdę... Raz w życiu ją okłamałem. Jeden jedyny. Napisałem w liście, że nie jest najładniejsza w redakcji. To znaczy: obiektywnie. Że gdybym miał obiektywnie wybierać...

Chciałem podkreślić, o ile więcej znaczy dla mnie niż dla reszty świata. Jezu, jaka była wkurwiona... Mało nie umarłem; myślałem, że to koniec, że słowem się do mnie więcej... Nie rozumiem jej, wiesz? Taka z niej szara myszka jak z mercedesa taczki. Jest inteligentna, zabawna, czarująca, łatwo nawiązuje kontakty z ludźmi... No i z tego co wiem, faceci od zawsze głupieją z jej powodu. Nie to, że na nią lecą – dosłownie głupieją. Przez myśl mi nie przeszło, że ktoś taki może powątpiewać w swoją urodę.

– Co znaczy: „głupieją”? – Chyba zmarszczyła brwi.

– No właśnie to. Jeden się dla niej rozwiódł. Drugi na złość omal nie ożenił z inną; dziewczyna już suknię ślubną kupiła... Jeszcze inny trafił na oddział zamknięty – pokręciłem palcem przy skroni. – No, chociaż to akurat nie jej wina. Choroba, przypadek; może najwyżej trochę przyspieszyła... Jeden został świadkiem Jehowy...

– Jeden się rakiem nie ukłonił – przerwała mi cicho. Za cicho. Od razu zrozumiałem, że nie wykpię się od odpowiedzi. To nie był strzał na ślepo.

– O co ci chodzi?

– Dlaczego nie zeskoczyłeś? Mogłeś zginąć. Takie coś przeważnie trafia.

Fakt. Prawdopodobieństwo trafienia ppk – od siedemdziesięciu procent w górę. Malutka to starość, ale w tym przypadku warunki strzału były co najmniej dobre. Student miał prawo mówić o prawdziwym pechu.

– Wszyscy mogliśmy zginąć – wzruszyłem ramionami.

– Ale nie wszyscy mogliśmy wyskoczyć. Ty byś zdążył.

– Może mam kiepski refleks.

– Adam, pieprzmy się – przypomniała spokojnie. – To u ciebie, zdaje się, oznacza szczerść.

Mówiłem jej coś takiego? Cholera.

– Jestem z tobą szczerzy.

– Tak? Fajnie. To może mi powiedz, dla kogo zostałeś.

Musiałem się zastanowić.

– To nie tak – westchnąłem w końcu. – Nie dla kogoś. Ze strachu. Chyba... nie wiem, za szybko to poszło... ale chyba pomyślałem, że jak nas trafią, to będę miał z głowy wszystkie problemy.

Teraz ona milczała przez chwilę.

– Czyli Ilonę – podsumowała.

– W dziewięciu dziesiątych Ilonę – przyznałem. – A może w ośmiu. Nie wiem. Trudno to w liczbach...

– Z nią też jesteś szczerzy? – Skinąłem głową. – Bo też się przespaliście?

Milczałem przez chwilę.

– Nawet jej nie pocałowałem.

– Co?

Za krótkie słowo, by na serio mówić o intonacji. Za ciemno, by odczytać wyraz twarzy, zwłaszcza kiedy się patrzy rozmówczynie pod nogi. Tyle że tak naprawdę patrzyłem ciut wyżej, a łydek miała trochę więcej niż Ilona – Ilona ma wszystkiego tyle ile trzeba – i mimo mroku dostrzegłem, jak nagle nieruchomieją. Przedtem lekko pocierała jedną o drugą, w ramach rozgrzewania się czy może dygotania z zimna. I nagle bęc – zastygają jak dwa wykrzykniki.

– Myślałam...

Nad językiem panowała lepiej niż nad nogami, więc poprzestała na tym jednym słowie.

– Wiesz, czym się różni Ilona Roman od strzykawki z herą? – Anemicznie pokręciła głową. – Uzależnia, nim ją weźmiesz. I daje większego kopa.

Jak przystało na faceta o marnym refleksie, dopiero teraz przypomniałem sobie o swoim partyzanckim kamuflażu. Zdjąłem kurtkę, zawahałem się, po czym nałożyłem na odsłonięte ramiona dziewczyny. Może należało po prostu podać. Po takiej deklaracji...

Nie uciekła przed moim dotykiem. No cóż: w tej sukieneczce musiało jej być naprawdę

zimno.

– Dlaczego stoimy? – zapytała przygaszonym głosem.

– Lechowski. Trzeba na chwilę poluzować opaskę, bo faktycznie załatwimy mu nogę. No i musimy się zastanowić.

Zacząła od Lechowskiego. Otworzyłem właz dachowy, nie tyle, by zerkać jej przez ramię, ile dla ułatwienia rozmowy. Najprościej byłoby zostać z nimi, w środku, ale uznałem, że bezpieczniej będzie usiąść na wieży i nasłuchiwać jednym uchem odgłosów nocy. Student nie miał granatnika i jeśli nadal planuje nas zabić, będzie musiał pofatygować się tu z całym wozem.

A o bewupie można powiedzieć niejedno, tylko nie że jest bezszelestny. Dopóki sami nie włączyliśmy silnika, uszy były najlepszym systemem bezpieczeństwa.

– Krwawi – mruknęła Kaśka po dłuższej chwili. – Trzeba będzie znów zacisnąć.

– Nie ma... sprawy. – Lechowski próbował się uśmiechnąć. – Gdzie... tamci? Chyba mi się... film urwał. Przepraszam.

Nie byłem pewien, czy dłonie Kaśki znieruchomiały na chwilę. Może i nie. Ale nie musiałem posiłkować się Kaśką.

– Nie masz za co – wzruszyłem ramionami.

– Strzelali do nas... tak? Tam... jak mi się film... Coś pamiętam. Miałem pilnować i...

Przepraszam.

– Nic się nie stało.

– Ale... mogło. Bo się... wtrąciłem. I potem nie... nie utrzymałem... w celowniku...

Przepra...

– Cicho – burknęła Kaśka. Delikatnym i stanowczym zarazem ruchem przetarła mu czoło.

Nie wiem po co: spocony na pewno nie był. Ludzie, którzy się wykrwawiają, raczej marzną.  
– Odpoczywaj. Nie gadaj tyle.

– Gdybym się nie... wtrącał... Student taki jest. Trochę go... znam. Nie trzeba było...

Mściwy. Jak mu ktoś... podpadnie... Dogadaliście się, a ja...

– Nie dogadaliśmy się – powiedziałem spokojnie. – To był moment: strzelili, jak tylko nadarzyła się okazja. A przedtem nie kupił ode mnie tego granatnika. Od początku chciał się nas pozbyć. Więc dobrze, że się wtrąciłeś. Bez ciebie pewnie byśmy nie wyjechali stamtąd żywi.

Miałem pomysł, jak wsiąść w jednym kawałku do wozu, ale dalej to już nie bardzo.

– No widzisz? – Kaśka uśmiechnęła się i znów pogłaskała go po głowie. Bo o to chodziło: o głaskanie, nie żadne ocieranie potu. – Zuch jesteś. Dobra robota. A teraz spróbuj zasnąć. Jak się obudzisz, będziemy w szpitalu.

Cholera, nie za dobrze to brzmiało. I te matczyne gesty... Obchodziła się z nim jak z dzieckiem. Dorosłym facetom takie zachowanie nie wróży najlepiej.

Mnie też nie wróżyło. Nie zdziwiłem się specjalnie, kiedy wygramoliła się z wozu, odeszła



kilka kroków i skinęła ręką.

Położyłem RPG na stropie – lepiej dmuchać na zimne – i zeskokczyłem na ziemię. Omal nie wyśladowałem na kolanach. Ostatnie kilkadziesiąt godzin dało mi się we znaki bardziej, niż myślałem. Prawdę mówiąc, chętnie zamieniłbym się z Lechowskim: dać się pogłaskać po głowie fajnej dziewczynie, usnąć i mieć to wszystko gdzieś.

– Nie dam im umrzeć – powiedziała fajna dziewczyna cicho i twardo zarazem.

– Kto mówi o umieraniu? – mruknąłem.

– Nikt – zgodziła się. – A pora zacząć. Źle z nimi.

– Chcesz, żebyśmy zasuwali pełnym gazem do mostu – domyśliłem się.

– Mostu?

Skinąłem głową na północ, skąd dobiegał całkiem wyraźny już teraz warkot. Wóz Studenta nie jechał, a co najwyżej pełzł w naszą stronę, ale bez wątpienia był bliżej. Wiatr ustał, nie łudziłem się jednak: to nie była wyłącznie kwestia doskonałej ciszy, która zapadła nad pustynią.

– Na końcu drogi.

– Nie mamy czasu na mosty – oznajmiła. – Musimy podjechać na tyle blisko, by usłyszeli nasze radio. Albo znaleźć telefon. I wezwać śmigłowiec sanitarny.

– Tak czy tak chcesz jechać szybko i do ludzi. Czyli drogą. – Zastanowiła się i kiwnęła głową. – No właśnie.

– A ty nie chcesz?

– Chcę. Problem w tym, że Student o tym wie. – Milczała, czekając na ciąg dalszy. – Zamierzałaś się zabrać z terrorystami, byle ratować chłopaków...

– To nie terroryści – zaprotestowała.

– Dobra, nieważne: partyzanci. W każdym razie ryzykowałaś. Zapamiętał to sobie. Wie, jak ci zależy. Zna się na ludziach. Z psychologii go wywalili.

– Streszczaj się. Nie mamy czasu.

– Dobra, krótko. Chce nas wykończyć. Wszystko tak się popieprzyło, że to całkiem logiczny wybór. Głównie dlatego, że nie uzgodnimy zeznań. Póki byliśmy razem, można było zmyślić wiarygodną legendę, nauczyć wszystkich i jakoś się wyłgać. Teraz już nie. Przesłuchają nas osobno i kłapa. Poza tym im więcej wtajemniczonych, tym trudniej dotrzymać tajemnicy.

– Wiem, że chce nas zabić – burknęła. – Nic nowego.

– Ta Malutka to coś nowego. Przedtem mogło go ponieść. Wkurwił się; wydarłem mu dwie stowy, straszylem spaleniem całej forsy, trzymałem pod lufą. Miał święte prawo strzelić.

Ale zdążył ochłonąć. I co? I specjalnie tu na nas czekał. Tracąc czas. – Zrobiłem pauzę. – Kasia, on też nie ma czasu. Do bazy jest dalej niż do mostu, a przecież muszą jeszcze jakoś dyskretnie się tam dostać, sklecić alibi, ukryć pieniądze... Może zresztą dlatego się na nas zaczął. Bo wiedział, że dojedziemy pierwsi, podniesie się alarm i w bazie będzie już na nich czekał

komitet powitalny.

– Nie musi wracać do bazy. Partyzanci wzięli jeńców, potem porzucili... Medali im nie dadzą, ale i pod sąd nie... Chłopcy w bazie wiedzą, że tamci brali zakładników. Mnie, więc czemu i nie innych? Terrorysty lubią zakładników.

– Plan B? – uśmiechnąłem się kwaśno. – Problem w tym, że Student woli się trzymać planu A. Może zresztą nie ma wyjścia. Może ten w bazie miał hałasować całą noc, sprawiać wrażenie, że gdzieś poza barakiem broni się paru naszych. I co? Wpada generalicja z workiem medali, szuka tych twardzieli, a tu nikogo. Sami, kurwa, zakładnicy, znaleźieni kilkadziesiąt kilometrów dalej i to w sprawnym bewupie.

– Nie wiesz, jaki był plan A.

– Ale wiem, że gdyby nie Szamocki, ten gnojek rąbnąłby mnie już nad kanałem. A Patrycja ciebie.

– No właśnie: Szamocki. Adam, obaj albo uratowali nam życie, albo przynajmniej próbowali. Coś im jesteście winni.

– I co proponujesz? – zapytałem spokojnie.

– Jechać na zachód. – Zatoczyła dłonią szeroki krąg. – Ominiemy ich.

\*

Odczekałem cały kwadrans. Chciałem mieć pewność. Kaśka nie była w nastroju sprzyjającym wysłuchiowaniu hipotez.

– Zatrzymaj!

Przyszło jej to bez trudu: zygzakujący między wydmami i wdrapujący się na piaszczyste stoki wóz nie porusza się szybko.

– Wyjdź na chwilę.

Zdjąłem hełmofon i też wygramoliłem się z wieży. Stanęliśmy obok siebie na przednim pancerzu. Miejsca było dużo: lufa, jak przy rozstaniu ze Studentem, spoglądała do tyłu i nieco w prawo.

– Założyłeś raketę – ni to stwierdziła, ni zapytała Kaśka. Śladów podziwu jakoś się w jej głosie nie doszukałem. A powinienem. Przy tej akurat czynności podglądałem operatora wyrzutni raptem jeden raz. No i udało mi się nie wybić zapalnikiem dziury w ścianie wieży. Nie lada wyczyn, biorąc pod uwagę, że przez ostatnie kilkanaście minut rzucało nami jak szturmującym kutrem. Zaczynałem nawet dostrzegać u siebie pierwsze objawy choroby morskiej.

Nie skomentowałem jednak. Nie miałem pewności, czy w razie potrzeby Malutka podporządkuje się mojej woli i w ogóle opuści szynową wyrzutnię. Wskazałem dłonią nie tyle ją, ile wytyczony przez zestaw „lufa-rakieta” kierunek. Potem bez słowa podałem dziewczynie noktowizor.

Przeglądała się przez chwilę ciemnościom na północnym wschodzie. Nie byłem pewien, ale

chyba z coraz wyraźniejszym odchyleniem ku północy.

– To... wiatr? – zapytała niepewnie, opuszczając lornetkę. Tak jak poprzednio, bez słowa, ująłem jej dłoń, podniosłem z powrotem na wysokość twarzy i naprowadziłem na kierunek wschodni, z lekkim odchyleniem ku południowi. Albo, mówiąc prościej, na ślady naszych gąsienic.

Potrzebowała paru sekund, ale za to obeszło się bez pytań.

– Kurz – mruknęła. – Cholera. Nie myślałam, że aż tak... Nie jedziemy szybko.

Miała rację i nawet było to widać: w miejscach, przez które BWP przetoczył się wolniej i bez problemu, unosząca się nad ziemią mgiełka pyłu była ledwie widoczna. Ale co jakiś czas gąsienice buksowały na stromych czy usypanych z luźniejszych frakcji podjazdach, względnie wyszarpywały całe łopaty ziemi, staczając się energicznie ze stoku, hamując lub wykonując skręt. I te miejsca już było widać.

– Pech – wzruszyłem ramionami. – Póki wiało, musieliby jechać po naszych śladach.

Względnie w zasięgu wzroku.

Popatrzyła ponuro na ścisną w dłoni lornetkę.

– Też taką mają?

Skinąłem głową.

– Najnowszy model. Zahacza lekko o podczerwień, więc widać lepiej niż przez celownik.

– Odczekałem chwilę. – Chyba raz mignął mi Student.

– Widziałeś ich? To na pewno...? Może jakiś podmuch?

– Wozu nie. Trzymają się za wydmami. Są niedaleko, a my mamy granatnik. Wolą nie ryzykować. Założę się, że Student siedzi na dachu wieży i naprowadza kierowcę.

Zastanawiała się jakiś czas.

– I co teraz? – Sądząc po tonie, prochu nie wynalazła, ale też nie zdążyła popaść w zwątpienie. – Co się robi w takiej sytuacji? – Musiała znaleźć zdziwienie w moim wzroku, bo dorzuciła lekko wyzywająco: – Żołnierz jesteś.

– Włączasz radio i oddajesz się w ręce władz.

– Cholernie śmieszne. – Nie dała mi czasu na ewentualną poprawkę. – Usłyszeliby nas?

– Bez anteny? Diabli wiedzą. Im dalej na zachód, tym większa szansa. A co: chcesz spróbować? – Zawahała się. – Dobra, pogadamy później. Wsiadaj i zjeżdżajmy stąd. Student zaczyna nas wyprzedzać. A z dwojga złego wolę go mieć z tyłu. Póki jedzie, przynajmniej wiemy, gdzie jest.

Oddała mi noktowizor i zsunęła się na fotel kierowcy. Sprawdziłem, czy RPG trzyma się pewnie w sporządzonym z kawałka siatki uchwycie – trzymał się – po czym usiadłem obok niego, na brzegu włazu. Kabel łączący hełmofon z rozmównicą pozwalał na takie sztuczki. Oczywiście miałem wyżej, widziałem dalej, no i raczej to ja odpaliłbym w razie czego pierwszy pocisk

zdolny zniszczyć pojazd pancerny. Ceną była niewygodna, możliwość wylądowania obok gąsienicy przy bardziej energicznym skręceniu oraz wystawianie się na ewentualny ostrzał pociskami mniejszego kalibru. – Adam, musimy z nimi pogadać – usłyszałem w słuchawkach niepewny głos Kaśki. – Spróbuj jeszcze raz. Proszę cię.

## Rozdział 28

– Pogadać? Niech pomyślę, czy jest o czym.

Marnie go słyszałem: znów w użyciu był nadajnik z odcepioną anteną. Chyba doręczny radmor. Gdyby rozmawiał przez hełmofon i podłączoną do niego radiostację pokładową, w tle nie byłoby aż tak silnego akompaniamentu silnika.

Potem zaczął myśleć i zrobiło się cicho. Uniosłem noktowizor, poszukałem śladów kurzu na północy. Bo byli już tam: na północ od nas, dokładnie na trawersie. Gdybym postawił na prostacki wyścig ku rzece, startowalibyśmy z równorzędnych pozycji, bez metra przewagi. I raczej bez szans na zwycięstwo: mieli lepszego kierowcę, a w odwodzie, kawałek z prawej, całkiem przyzwoitą drogę.

Nie dostrzegłem chmury kurzu. Może już teraz sięgnęli po odwód i gnali właśnie na zachód odległym o kilometr czy dwa szlakiem. Wystarczy wyprzedzić ściganego, potem skrócić, ustawić się na jego przewidywanym kursie i poczekać: zwierzyna, oglądająca się i celująca za siebie, czyli praktycznie bezbronna, sama wlezie łowcy na widelec.

Wątpiłem jednak, by Student na to poszedł. Kara-Kum to kawał piaskownicy. Póki jechaliśmy po bezdrożu, trudno było mówić o jakimś racjonalnym, a więc przewidywalnym kursie. Wystarczy, że skręcimy o kilkanaście stopni – i nici nie tylko z zasadzki, ale też z całego polowania. Dopóki nie wiało i piach nie zasypywał śladów, nie sposób było raz na zawsze zgubić niedoszłą ofiarę, obaj jednak wiedzieliśmy, że nie na tym polega przegrana. Musieli nas zabić na odludziu, zanim dotrzemy w zasięg stacji nasłuchowych. Optymalnym sposobem wydawało się trzymanie możliwie blisko i wypatrywanie sposobnej chwili.

„Optymalny” nie znaczy „dobry”. Czekałem spokojnie, mając niemal pewność, że Student odezwie się ponownie. Jechaliśmy tylko trochę wolniej: Kaśka, chyba pozbawiona mojej pewności, większą część uwagi skupiła na nasłuchiowaniu.

– Dobra, Kulanowicz – zaskrzeczały w końcu słuchawki. – Ale nie przez pokładową. Weź radmora i wysiądź.

– „Weź i”?

Połączenie było kiepskie, wyczuł jednak ironię.

– To propozycja – zmienił ton na bardziej polubowny. – Nikomu nie zależy, by ktoś nas nagrał. Ani nam, ani wam.

– To o radiu – zaakceptowałem argument. – A wysiadanie?

– Ledwie cię słyszę. Też wychodzę. – Faktycznie, w mechanicznym akompaniamentcie dały się wyczuć zmiany; zabrzączał też o krawędź włazu czymś metalowym. – To żaden podstęp; jak chcesz, po prostu wyłącz silnik. Ale osobiście odradzam. Możecie mieć kłopoty z zapłonem.

– Dzięki za troskę.

Kaśka, nie pytając o nic, zatrzymała wóz. Silnika, póki co, nie zastopowała. Cóż, miała na głowie hełmofon dowódcy i słyszała każde słowo.

– To nic osobistego. – Oddalał się od swojego bewupa i ten ruch było wyraźnie słychać. – Po prostu z dwojga złego wolę, jak jesteście na chodzie. Czort wie, co zrobicie, jak wam wóz zdechnie. Może coś całkiem głupiego.

Fakt: mogliśmy sklecić najdłuższą możliwą antenę i zacząć wzywać pomocy.

– Fajnie, że zaczynasz się wzuwać w naszą sytuację.

– Cały czas się wzuwałem. Adam, nie żartuj z tym radmorem. Nastaw go na trzeci kodowany. A pokładową wyłącz.

Wyłączyłem. Ale jeszcze nie zdejmowałem hełmofonu.

– Kasia?

– Tak?

– Wyjdiesz ze mną?

– Nawet za ciebie – zażartowała. Tak nieoczekiwanie, że w pierwszej chwili nawet nie zrozumiałem. – Ty tu wydajesz rozkazy.

W tym akurat momencie nie miała racji. Nawet mówić nie mogłem. Siedziałem, lekko znokautowany jej słowami i miałem na okrągło jedną myśl: że Ilona nigdy nie pozwoliła sobie na taki żart. Nigdy.

Wygramoliłem się na pancerz z kompletną pustką w głowie. Prawie zapomniałem, po co właściwie. Zdarzały mi się takie chwile, kiedy świat walił się z hukiem, a zza ruin szczyrzyła zęby najokrutniejsza z prawd.

NIGDY TWOJA.

To była właśnie taka chwila.

Nienawiści do Studenta, że nie okazał się sprytniejszy i nie wpakował nam rakiety.

Nienawiści do Boga, że nie wysłuchał jedynej w moim życiu modlitwy i nie dał mi jedynej kobiety, o którą prosiłem.

Żalu do Ilony. Że jest taka delikatna, nie wymachuje solniczką w pobliżu otwartej rany, nie daje mi cienia szansy na to, bym i ją choć trochę znienawidził.

– Adam?

Dość tego. Nie myśleć. Nie o rzeczach ważnych. Zająć głowę głupstwami. Wojną.

Workiem pieniędzy. Ludźmi, którzy chcą mnie zabić, i tymi, którzy tylko spróbują wpakować mnie do więzienia. Głupstwami.

Nie myśleć o niej.

Wyjąłem z kieszeni zestaw nagłówny, wetknąłem końcówkę kabla w gniazdko radmora.

Uniosłem palec do ust, nakazując Kaśce milczenie, potem rozgiąłem obejmę i podałem

dziewczynie jedną ze słuchawek.

– Mamy dwa strzały na jeden wasz – przystąpiłem do licytacji. Chyba nie takiego wstępu oczekiwał. Musiałem trochę poczekać na odpowiedź. – Nie żartowałem z tymi przeciwpancernymi. Naprawdę zwinąłem kilka ze stara.

– Powiedzmy, że wierzę – rzucił chłodno. – To i tak dwa dwa. Tamta Malutka nie była ostatnia.

– Nie wierz. Podjedź i sprawdź. A jeśli liczyć pepeki, to trzy dwa. Nadal prowadzimy.

– Nie pieprz. Z tego trzeba umieć strzelać.

– Też się bawiłem komputerem.

W części stołówki pełniącej funkcję świetlicy mieliśmy jeden ogólnie dostępny. Chłopcy grali na nim, zabijając nudę, ale oficjalnie służył do szkolenia. Między innymi celowniczych bewupów. Specjalny program pozwalał operatorom strzelać wirtualnymi raketami do wirtualnych czołgów, a całość opisana była cyrylicą i tak toporna od strony graficznej, że aż budząca szacunek. Z daleka pachniało toto jakąś protezą opracowaną przez fachowców na potrzeby armii rosyjskiej, która Malutkich miała w poradzieckich arsenałach od groma, natomiast porządnych trenerów mało. Przeszkoleni na profesjonalnym sprzęcie celowniczym bewupów twierdzili, że program jest niezły i całkiem realistycznie oddaje zachowanie jeśli nie prawdziwych pocisków, to przynajmniej ich elektronicznych odwzorowań.

– No to wiesz, jak często się trafia. – Student zaskoczył mnie pobrzmiwającym w głosie zadowoleniem. – Ale może nie wiesz, że tylko na stojąco. Jak wóz jedzie, to za cholerę. A wy musicie jechać, prawda? Ja wybieram moment, więc pierwszy się zatrzymuję, strzelam i trafiam.

Tak to się skończy.

– Rozejrzyj się – zaproponowałem. – Widzisz te wydmy?

– Przecież nie mówię, że tutaj. Ale bliżej Murgabu robi się płasko. Mam tu mapę, wiesz?

Dokładną. I znalazłem parę miejsc, gdzie widoczność powinna sięgać dwóch kilometrów. Po prostu poczekam, aż wyskoczycie na taką patelnię.

Kaśka zmarszczyła brwi, posłała mi pytające, podszyte niepokojem spojrzenie. Kleiła się do mnie ramieniem chyba nie bardziej, niż to wymuszał odstęp między słuchawkami, ale dopiero teraz poczułem słaby odór wymiocin. Tam, w bazie, kiedy BWP rozjechał na jej oczach człowieka, rzygnęła sobie całkiem zdrowo. Usta jakoś zdołała oczyścić – ktoś pewnie poratował manierką lub gumą – widocznie jednak i sukience się dostało. Aż dziwne, że do tej pory...

Kochaliśmy się przecież. Tak to chyba można nazwać. Ale fakt: nie zawędrowałem w tej miłości wyżej jej pępka.

Jasny szlag. A jeśli pomyślała, że to dlatego...?

„Nie przelecę cię porządnie, bo śmierdzisz”? Mogła podejrzewać coś takiego? Że robię to tak, jak robię, by wykręcić się od całowania jej w usta?

Bolało ją to? Przedtem, zanim do głosu doszła cielesność i zaczęła pojękiwać z rozkoszy?

Albo potem, gdy szyderczy głos w słuchawkach zafundował nam zimny prysznic, oderwał od siebie? Kobiety chcą być piękne w męskich oczach. Doskonałe. Chyba nie lubią kojarzyć się z kimś, kto klęczy i puszcza pawia.

– Hej, zasnąłeś?

Znów Student. Widocznie za długo milczałem.

I dobrze. Niech czeka. Myślami byłem teraz u boku Ilony. Szła obok, nie pamiętam już którą ulicą, w słońcu czy w deszczu, opowiadała o pierwszych miesiącach swej ciąży, a ja zazdrościłem jej mężowi – tamtemu, sprzed lat. Nie świeżo upieczonej żony z brzuchem, który był jeszcze płaski, a już wypełniony najmocniejszym z dowodów pełnej, dojrzałej kobiecości; nie tego, że miał ją co noc w łóżku i mógł się nią cieszyć bez oglądania na zabezpieczenia. Rzygała na okrągło, a ja, po latach, zazdrościłem facetowi, który ją do tego doprowadził – nie seksu, uniesień w zmiętej pościeli, tylko tych chwil między drzwiami ubikacji a drzwiami łazienki, kiedy mógł stać, czekać cierpliwie, aż skończy, i całować ją, taką bladą i udręczoną, nim dorwie się do szczoteczki i pasty.

Chwil, których być może nigdy nie było. Może jej nie znał i nie wiedział, że prędzej umrze, niż podsunie usta, a nie tylko policzek; może się bał tych dwudziestu pierwszych prób, przy których nazwałaby go idiotą, i to w paru dobitnych, żołnierskich słowach.

– Adam...

Tym razem to Kaśka. Nie była Iloną, nie była ze mną w ciąży, ale przynajmniej pośrednio puszczała tego pawia z mojego powodu. Coś jej byłem winien. Jej, Lechowskiemu, Czarkowi.

Swojej rodzinie.

Koniec marzeń. Wracamy na ziemię.

– Dogadajmy się – rzuciłem do mikrofonu.

– Dogadujemy się – mruknął Student. – We dwóch, jak rozumiem? Ktoś nas słucha?

– Niby jak? – posłałem Kaśce wymowne spojrzenie. Niepotrzebnie chyba, bo od początku było jasne, że jej tu nie ma. – Tamci siedzą w wozie i się rozglądają. Nie kombinowałbym niczego na twoim miejscu.

– Nie kombinuję. – Odczekał chwilę. – No dobra. Moja propozycja jest taka: dostaliśmy mniej gotówki, a ubył tylko jeden do podziału. Więc dzielimy między tych, którzy od początku byli w drużynie. I tak jesteśmy stratni.

Zwolnił przycisk. Moja kolej.

– A co z resztą? – Strasznie nie chciało mi się zadawać tego pytania. Bo znałem odpowiedź. Jedno co dobre, to że Kaśka jest obok, słucha wszystkiego na żywo. Nie będę musiał łamać sobie głowy nad doborem odpowiednich słów.

– No wiesz: nie stać nas na korumpowanie świadków. Niby to tylko trójka, ale... No i to



tylko trójka – podkreślił słowo „tylko”. – Mały problem od strony technicznej.

Nie patrzyłem na Kaškę. Nie, żebym się bał znaleźć w jej oczach pytanie, cień wątpliwości. To akurat byłoby nawet fajne: móc odpowiedzieć „nigdy w życiu, głuptasie”. Ale na rozczarowanie nie miałem gotowego lekarstwa.

– Chcesz ich sprzątnąć? – Ja rozczarowany nie byłem; podtrzymanie spokojnego tonu przyszło mi bez trudu.

– No. Ja, Patrycja... Nie bój się. Nie musisz podpalać następnego lontu. Zajmiemy się wszystkim.

Miły gest. Ostatecznie mógł mi przydzielić Młodego: skoro już zacząłem, wtedy, bagnetem...

– Ten wariant nas nie interesuje. Masz inny?

Musiał to przemyśleć.

– O nią ci chodzi? O tłustą dupę przed czterdziestką? – zapytał ze zdziwieniem, które brzmiało jak autentyczne.

– Po trzydziestce – sprostowałem beznamiętnie. – I nie jest taka... – Ciut za późno ugryzłem się w język, ale jakoś udało mi się utrzymać w spokojnej tonacji. – Zresztą nie chodzi tylko o nią. Ma być bez zabijania.

– Będziemy stratni.

Nie zdążyłem użyć przełącznika: Kaška chwyciła mnie za rękę.

– Zaproponuj mu forszę. – Chyba na zasadzie konspiracyjnego odruchu mówiła szeptem. – Mamy dwie setki. Jest z czego schodzić.

– Setkę – przypomniałem. – Druga jest Czarka.

– Też by go najchętniej zabili. Nie bój się, nie pozwie cię, jak oddasz część jego doli.

Zdjąłem delikatnie jej dłoń z przełącznika.

– A co z Szamockim? – rzuciłem pytanie w eter. Chyba trudne pytanie. Na odpowiedź przyszło mi poczekać.

– No wiesz... To głowa. Może się wygadać. Wolałbym... rozumiesz. Ale od początku jest z nami, więc już nie naciskam. To twój kumpel. Ale lepiej by było... rozumiesz.

Cholernie subtelny się zrobił.

Kaška nie była taka subtelna.

– Widzisz? – rzuciła triumfalnie. – Jego też sprzątną przy pierwszej okazji. Jeszcze ci podziękuję, że wydałeś część jego forsy. Ma dom, rodzinę, posadę... Na cholere mu tyle pieniędzy?

– Nie bądź dzieckiem. Każdy potrzebuje forsy. Ile wlezie.

– Ty też? – spytała zaczepnym tonem. Zupełnie jakby odpowiedź „tak” nie wchodziła w rachubę.

– Nie, robię ten skok z nudów i sympatii do sprawy muzułmańskiej.

– Pytam poważnie.

– Cicho. – Posłusznie zasznurowała usta. Mogłem uruchomić nadajnik. – Ile chcesz za swoje Malutkie?

– Co?

– Nie czarujmy się, Student. Ty nie ufasz nam, my tobie. Jakoś nie mam lepszego pomysłu na skuteczne gwarancje. Najlepiej niech zostanie tak, jak jest: równowaga sił. Jak za zimnej wojny. Przejeżdżałem parę razy wzdłuż rzeki. Fakt, płasko tam. Może cię kusić, by nam wsadzić rakietę w tyłek. Więc powiedz, za ile sprzedasz mi swój komplet. Ustalimy szczegóły zeznań i się rozjedziemy.

Mógłbym mówić dalej, ale zwolniłem przycisk. Lepiej sprawdzić, czy nie umiera ze śmiechu.

– Jaja sobie robisz? – Nie umierał. – Słuchaj no, o chłopakach możemy pogadać.

Ostatecznie podpalali te lonty. Ale ta twoja kurewka nie może trafić do prokuratora. Nie może, rozumiesz? Bo nas wszystkich udupi.

Posłałem Kaśce uśmiech. Spokojny, typu „nie przejmuj się”.

– Nie bierze za to. Za seks. – Ze swego głosu też mogłem być dumny. Negocjator jak się patrzy, zero emocji. Tylko przycisk niepotrzebnie zwalniałem. Trzeba było mówić dalej, spychając temat do roli dygresji. Bo też i był dygresją. Po głosie Studenta poznałem, że nie tędy zamierzał atakować. Chyba zaskoczył go mój komentarz.

– Nie? No, może nie w gotówce. Ale w posadach? Wiesz, jak się załapała do tej gazety?

Bo ja akurat tak. Chudzyński ją sprawdził. Dupą się załapała. Dupą.

Już się nie uśmiechałem. Udało mi się utrzymać spojrzenie na twarzy Kaśki, to wszystko.

Też niewiele, bo względnie łatwo nie odwracać wzroku od kogoś, kto zrobił to wcześniej. I tak zdecydowanie. Niczego nie ryzykowałem. Widać było, że nie spojrzy mi w oczy przez jakiś czas.

Rok, może dwa. To znaczy: pierwsza, z własnej woli.

Przypomniał mi się jej gest. „Jak trafiłaś do «Jagienki»?” – i palce rozpostarte na podobieństwo litery „V”. „Victory”. Symbol opozycji. Wujek solidarnościowiec, znajomości, zasługi. Kurwa mać. Próbowала mi powiedzieć. Sama. Jedno pytanie więcej, chwila refleksji nad goryczą w jej uśmiechu – i wyciągnąłbym to z niej. Chciała tego. Próbowала powiedzieć. A ja jej nie pomogłem i teraz...

To musiało boleć dziesięć razy mocniej. Z mojej winy.

– Dawała byłemu facetowi swojej naczelnej – ciągnął Student. – Żadna tam miłość. Wiem od Patrycji. Na sto procent. Doktorek wynajął jakiegoś detektywa, a Kasia ma gadatliwą kumpele. I też potrzebowską, jeśli chodzi o szmal. Wszystko wyśpiewała. Gość ani trochę nie kręcił Kaśki. Rzygała, ale targowała się i mu dawała. Daj sobie z nią spokój, Adam. I nie wciskaj nam, że coś

dla ciebie... Jak pociąłeś to przeszło, zastanawialiśmy się, czy cię nie skasować. I doszliśmy do wniosku, że nie trzeba. Bo nie zakablujesz. A wiesz dlaczego? Bo się bujasz w tej swojej redaktorce. Tej prawdziwej. Prawdziwa dziennikarka, prawdziwa miłość. Nie zaryzykujesz życia jej i chłopca. Dobra kalkulacja?

Szum w słuchawce. Puścił przycisk, czekał. Nie miałem ochoty odpowiadać. Nie miałem ochoty w ogóle z nim gadać. Już nie.

– Kaśkę tylko dmuchasz, prawda? – Korzystał bez litości z wolnego kanału. – Pastyłka przeciwbólowa? Też tego próbowałem, jak mnie Anka w trąbę puściła. Nie powiem, nawet fajna pastylka. Ale w każdej aptece znajdziesz lepsze. Byle mieć forszę na zapłatę. A ty będziesz miał.

Więc daj sobie z nią spokój. Niedługo wracamy. Błyśniesz kasą przed Iloną, rzuci ci się w ramiona i Kaśka nie będzie do niczego potrzebna. Właściwie to z nas wszystkich ty powinieneś być najbardziej zainteresowany... Wiesz, odtrącone baby są mściwe. Sama pobiegnie do prokuratora, nikt nie będzie musiał jej dociskać. I rozpieprzy ci szczęśliwe życie. Tego chcesz?

Znów dał mi szansę na odpowiedź. Szum w słuchawce był wyraźniejszy. Bo miałem ją bliżej ucha. Ta druga, naciągająca pałąk, wysunęła się Kaśce z dłoni.

– Chcę kupić twoje rakiety – powiedziałem cicho. – Podaj rozsądną cenę.

– Zostały trzy. – Odczekał sekundę. – Po jednym trupie sztuka. Lechowski, Młody, Sosnowska. Wystarczy.

Słyszała go. Przechyliłem głowę, zadbałem o to, by słuchawka nie oddaliła się za bardzo od czerwonego ucha. Było za ciemno, by w ogóle mówić o kolorach, wiedziałem jednak, że jest czerwone. Mogłaby pozować do obrazu „Wina i wstyd”. Przemknęło mi przez myśl, że gdyby miała broń, być może musiałbym wyszarpywać teraz lufę z jej ust. Pewnie nie, ale nie zdziwiłbym się, gdyby jednak.

– Rozsądną, Student – rzuciłem przez zęby. – Znasz warunki brzegowe. Koniec zabijania.

Długo nie odpowiadał. Zacząłem już podejrzewać, że dał sobie spokój, odwiesił radmora i szuka na mapie stosownych miejsc. Między nami a cywilizacją było parę takich, gdzie Malutkie na ludzkie trupy da się wymienić po korzystniejszym kursie.

Zapomniałem, że kalkulacja uwzględnia tylko ludzi i rakiety. Czyli, prawdę mówiąc, coś, co go mało obchodzi.

– Dobra, Adam, ale to tylko między nami. Słyszysz? – Pytanie było na miejscu, bo, podobnie jak przedtem Kaśka, zaczął nagle przemawiać konspiracyjnym półgłosem. – Jak komuś piśniesz słowo... Możemy ubić interes, ale tylko my dwaj. I od razu uprzedzam, że kiepski.

Widać, że wylali go z psychologii, nie marketingu.

– Słucham.

– Macie dwie stowy. Zostaw mi połowę, a ja zostawię was w spokoju.

– Aha. – Trawiłem to przez chwilę, nie zwalniając przełącznika. – A technicznie jak to sobie wyobrażasz?

– Nie wiem – wyznał z rozbijającą szczerością. – Przez myśl mi nie przeszło, że jesteś taki pojębany. Dla podstarzałej kurewki... Nie przygotowałem się. Daj mi trochę czasu. I sobie. – Pomilczał parę sekund. – Wiesz co? Przejedźmy się. Na razie w stronę bazy. Pomyślimy obaj i za parę minut pogadamy. Może być?

– Może być. Bez odbioru na razie.

Wetknąłem słuchawki do kieszeni na udzie. Grzebałem się z tym, ale nic nie pomogło: skończyłem i nadal staliśmy tam gdzie przedtem, oboje. Kaśka nie skorzystała z okazji, nie pomknęła, by zanurkować we włazie kierowcy jak zestresowana mysz w norce.

– Chodź – powiedziałem cicho. Chciałem normalnie, ale nie wyszło.

– Po co? – Jej wyszło, tylko głowy jakoś nie potrafiła podnieść.

– Co: „po co”? Słyszałaś: jedziemy i myślimy.

– Po co ci jakaś kurwa?

– Nie jesteś – mruknąłem. Dokładnie tyle chciałem powiedzieć, nie było żadnego zająknięcia się.

– Dokończ. – Wciąż nie podnosiła głowy i chyba dlatego zaczęła kreślić jakieś wzory czubkiem sandała. Niezły pretekst, szkoda tylko, że było tak ciemno i sam sandał nie bardzo dało się dostrzec, nie mówiąc o jego dziele.

– Kaśka...

– Powiedz to. Jedno łatwe, krótkie słowo.

Uśmiechnąłem się blado.

– prostytutka.

W końcu uniosła twarz. Wiele mi z tego nie przyszło: księżyc miała za plecami.

– To cię śmieszy? – Była chyba bardziej zdumiona niż boleśnie dotknięta taką postawą. To znaczy: w tej chwili.

– Nie.

– To przestań się głupio szczerzyć. I powiedz to.

– Unikam stosowania wulgaryzmów. Zwłaszcza przy damach.

– Damach?! Ogłuchłeś?! Nie zrozumiałeś czegoś?! Ma ci to powtórzyć?! – Szarpnęła zawieszoną na kamizelce radiostacją. – Mówił coś o damach?!

– Mówił – podtrzymałem uśmiech. Łatwo przyszło: miałem dziwną pewność, że nie zedrze mi go pazurami razem z połową twarzy. Niezależnie od tego, ile bólu jej zadał. – Tylko że ten kutas nie potrafi rozpoznać prawdziwej damy.

– A ty potrafisz, tak?

– No. To taka, co rzyga, dając komuś dupy dla zdobycia posady. A daje, żeby nie stracić

dziecka. Tylko dlatego.

– Gównu wiesz, kiedy i komu daję! Chyba że mówimy o Ilonie!

Omam mnie nie poniosło i nie powiedziałem o tej historii z byłym naczelnym Ilony. O tym, że inna samotna matka, też walcząca o to, by jakoś utrzymać się na powierzchni życia, potrafiła powiedzieć „nie” i wylądować na bruku.

Powstrzymałem się w porę. Z szacunku dla Ilony właśnie. Była damą. Taką z mojej definicji. Prawdziwą. Wierzyłem, że dla syna zrobiłaby wszystko, i wiedziałem, że tego, o czym rozmawiamy, nie zrobi nigdy z żadnego innego powodu. Na tym polega bycie damą. Nie na obnoszeniu się w spryskanych Chanel numer taki to a taki norkach. Zwłaszcza kupionych za forszę faceta, przed którym nogi rozkłada się z bolesnym westchnieniem.

– Mówimy o tobie.

– No to zmieńmy temat! Bo ten jest gówniany!

– Dobra, zmieniamy. Masz jakiś pomysł na...?

– Adam, nie jestem damą – rzuciła przez zęby, ale dużo ciszej. – Więc po prostu daj sobie spokój.

– To znaczy? – W końcu przestałem się uśmiechać.

– Ze mną. Daj sobie spokój ze mną. Nie warto... dla byle zdziry... W dodatku starej. I tłustej...

Mówiła coraz ciszej. Pomyślałem, że zaraz zacznie płakać i chyba dlatego podniosłem rękę, splotłem palce na jej karku. Znieruchomiła.

– Nie warto – przyznałem. – Ale rozmawiamy o tobie. Nie jesteś licealistka, nie jesteś chudzielec, znam jedną ładniejszą. Nawet kocham. I co z tego? Nie sprzedam cię za żadną forszę.

Słyszysz? Za żadną. I nie jesteś zdzirą.

W końcu zobaczyłem jej oczy. Oczywiście były mokre.

– No to mamy inne definicje – powiedziała, pociągając płaczliwie nosem. Nie płakała jednak.

– No to mamy. I musisz z tym żyć, bo ja swojej nie zmienię.

## Rozdział 29

Jechaliśmy na północ, z leciutkim odchyleniem ku zachodowi. Na większe nie mogłem sobie pozwolić: wóz Studenta znalazł się teraz na naszym przeciwnym, lewym trawersie i chcąc skręcić w kierunku kanału, musiałbym zmniejszać dystans. Może na to właśnie liczył. Początek negocjacji, kiedy nikt jeszcze nie powiedział „nie”, to dobry moment na wykręcenie rozmówcy jakiegoś numeru. Niby wystarczyło uruchomić radio i zażądać, by odbili bardziej w lewo, wolałem jednak nie odzywać się pierwszy. Choćby dlatego, że musiałem najpierw ustalić, na co mnie stać.

– Słyszałaś. – Do Kaśki też odezwałem się dopiero ze dwa kilometry od miejsca ostatniego postoju. Chciałem, by trochę ochłonęła. – Żąda połowy pieniędzy.

– Dasz mu? – zapytała bardzo cicho. Dwa kilometry to mało jak na szybkiego bewupa i ani trochę nie szybką dziewczynę, którą właśnie zdekonspirowano jako dziwkę.

– Właśnie o tym musimy pogadać.

– Ze mną? To twoje pieniądze. No i Czarka, ale on...

– Nasze. I wspólnie podejmiemy decyzję.

– Nie ma żadnych „nas”. Jesteś ty i Czarek, jeśli chodzi o forszę.

– Jedziemy na jednym wózku. We czwórkę. I tak dzielimy.

– Chcesz się dzielić ze mną i Lechowskim? – Wciąż mówiła za cicho, bym mógł pokusić się o odczytywanie intonacji.

– A niby jak to sobie wyobrażasz?

– Zabijał z wami, więc nie pobiegnie z donosem. A ja... Wiesz, że cię nie zakabluję.

Nigdy. Po cholereę płacić komuś, kto i tak będzie trzymał gębę na kłódkę?

– Kasia... – Też musiałem zniżyć głos. Nie chciałem uchodzić za ckliwego mięczaka. Nie teraz. – Co czwarty z tych docłów jest twój.

Milczała przez chwilę.

– Właściwie czemu nie? – mruknęła, niby to do siebie. – I tak jestem kurwa.

– Przestań, dobrze?

– No co? Przecież lubisz kurwy. Żaliłeś się, że Ilona nie... – urwała. – Cholera.

Przepraszam.

– Po prostu przestań. Zrobiłaś, co trzeba.

– Słucham?! – Ze słuchawek aż chlusnęło sarkazmem.

– Gdyby mnie ktoś próbował odebrać dziecko... Kochasz ją, prawda? I wystarczy. Miłość to dobry powód, by zabijać, a co dopiero... Zapomnij o tym.

– Adam, o tym się nie da zapomnieć.

– To pamiętaj. Tylko sobie nie wmawiaj, że zrobiłaś coś złego.

– Złego też: facet ma żonę, dzieci, więc trochę bardziej rozbiłam rodzinę. To dziwkarz, ale ta jedna kurwa więcej może przechylić szalę, nie? Tylko że to akurat nikogo nie obchodzi. Liczy się, że jestem ku...

– Kaśka! – Zabrzmiało wystarczająco ostro, by przeciąć słowo w połowie. – Jeszcze raz to usłyszę i przestajemy się lubić. Mówię serio.

Przez jakiś czas panowała cisza. W miarę naturalna zresztą: pokonywaliśmy właśnie w poprzek stromy stok, wóz ześlizgiwał się na bok, prowadzenie miało prawo pochłaniać całą uwagę kierowcy. Kiedy byliśmy w najwyższym punkcie, wychyliłem się z wieży i uniosłem noktowizor do oczu.

Przez parę sekund przyglądaliśmy się sobie ze Studentem. Z odległości najwyżej trzystu metrów. 0313 pojawił się na tyle blisko, że całkiem mimochodem, nie zastanawiając się nad tym, dostrzegłem brak lufy. To znaczy: owszem, była, nie zgubili jej. Tyle że nie rzucała się w oczy.

Armata oglądana od frontu wygląda najbardziej niepozornie.

Negocjacje negocjacjami, ale ewentualnej okazji nie zamierzali zmarnować. I chyba nie zmarnowali. Widziałem wieżę Studenta, więc on pewnie widział moją, oś optyczna celownika znajdowała się jednak niżej i wcale nie było pewne, że da się ją naprowadzić na coś więcej niż sylwetkę dowódcy wrogiego pojazdu. A nawet jeśli, to trafienie wydawało się mało prawdopodobne: oba wozy w ruchu, mało czasu, maleńka wieżyczka w charakterze celu. Student chyba nawet zaczął zsuwać się do wnętrza, wyhamował jednak w porę.

Potem nasz bewup zanurkował między wydmy i straciliśmy się z oczu.

Na wszelki wypadek też obróciłem armatę. To granatnik był naszym atutem i zabezpieczeniem przed nagłym atakiem, ale skłamię się w duchu za niedopatrzenie. Dwie lufy to zawsze więcej niż jedna, a w razie chybienia łatwiej wystrzelić z działka, niż załadować RPG kolejnym nabojem.

– Tomek też mi to powtarzał – rozległ się ni z tego, ni z owego smętny głos Kaśki. – Że jestem wulgarna i chamstwo ze mnie wyłazi.

– Co? – zdziwiłem się i odruchowo rzuciłem: – Nie jesteś wulgarna.

– Wiem, wiem: mamy inne definicje. Ale to moja jest ta obowiązująca. Zapytaj Ilonę.

Dziennikarka, więc się trochę zna na polszczyźnie.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– No, na tej wyjątkowo dobrze...

– To znaczy?

– Wykorzystuje bogactwo i piękno naszego języka w całej jego rozciągłości.

– Znaczy... czasem bluźnie? – upewniła się.

– Właściwie to nie. Ludzie klną, kiedy są źli, i to jest w porządku, albo z bezmyślności, i to

jest wulgarne. A ona... U niej to jak sól i pieprz w potrawie. Dodaje smaku. Słuchasz jej i dziękujesz w duchu, że tak to powiedziała, z taką fajną, czupurną ekspresją. – Czułem, że to ani czas, ani miejsce na takie wywody, ale nie potrafiłem się powstrzymać. – Chyba nigdy w życiu nie użyła żadnej „kurwy” jako znaku przestankowego. Mnóstwo ludzi tak robi i to są chamy.

Prostacy ze zbyt ubogim słownictwem. Lezie taki ulicą, ani zły, ani podniecony i pełnym głosem, nie patrząc na to, że dookoła dzieci i staruszki... U Ilony na usłyszenie „kurwy” musisz sobie zasłużyć. W pozytywnym sensie. Musi cię lubić, ufać, musisz być jej kumplem. Jest inteligentna, czytana, potrafi godzinami opowiadać w interesujący sposób tak, że zakonnica się do jednego słowa nie przyczepi. Co najwyżej zapyta o znaczenie, bo takie mądre. Ale jak w redakcji zaczyna sypać świeżymi kawałami, to Monika zatyka uszy i jęczy.

– Mają zakonnice na etacie? – zażartowała Kaśka.

– Szefową. Strasznie fajną. Po bułki im biega, jak są głodni. I cierpi w milczeniu przy Ilonie.

– Aż tyle tych świeżych kawałów?

– No nie... Tylko że Ilona to nałogowa internautka. Wlezie na Gadu Gadu i wołami ją trzeba odciągać, by coś do gazety napisała. – Powoli wygaszałem uśmiech, który sam, nie wiadomo kiedy, rozlał mi się po gębie. – Cholera, nigdy jej nie zrozumieję. Tak naprawdę to po prostu przesiaduje dłużej w pracy. Ma kupę znajomych, paru przyjaciół, jest sympatyczna, bez problemu nawiązuje kontakt praktycznie z każdym, a tkwi w tej durnej sieci, zamiast z realnymi ludźmi... Wiesz, to najbardziej pokręcona osoba, jaką znam.

– I dlatego ją kochasz? – zapytała cicho. Chociaż właściwie trudno to było nazwać pytaniem. Może dlatego odpowiedź przyszła mi tak łatwo.

– No. Chyba tak. Jest piękna, ale pięknych kobiet się głównie pragnie. Do kochania trzeba znaleźć niezwykłą. I ona taka jest. Inna jak cholera. – Znów uśmiechnąłem się na moment, może trochę smutniej niż poprzednio. – Kończyła polonistykę, więc miała praktyki w szkole. Wiesz, jaki numer wycięła? Zastraszona, spocona z przejścia praktykantka? Stała przed klasą i wyjaśniła dzieciakom, że słowa „chuj” nie wypada i nie wolno pisać na murach, ale jeśli już któreś musi, to niech to robi porządnie, przez „ch”.

– Może nie planowała kariery w szkolnictwie.

Jechaliśmy po płaskim. Z lewej też robiło się bardziej płasko i Kaśka sama, bez pytania, skręciła w prawo. Dość wyraźnie: przez chwilę wóz sunął bardziej ku wschodowi niż ku północy.

Powróciła na poprzedni kurs dopiero po przeciwnej stronie czegoś, co w mniej wyschniętych okolicach nazwano by działem wodnym.

Tylko przez chwilę, i to dość daleko, widziałem chmurę kurzu, poderwaną przez wóz Studenta. Chyba też skręcili, dla odmiany na zachód. Całkiem niegłupio: gdybyśmy nagle znaleźli się blisko siebie bez bufora w postaci przesłaniających widok wzniesień, komuś pewnie puściłyby nerwy.



– Zostanie sto tysięcy dolarów – rozległ się rzeczowy i może dlatego brzmiący donośniej głos Kaśki. – Czyli, z grubsza, po setce złotych na głowę. O ile Szamocki zgodzi się na równy podział.

– Szamocki, jak już mu wyleczą głowę w szpitalu, trafi tam z powrotem z dobrze kopniętą dupą – rzuciłem mściwie.

– Masz żal, że cię nie wtajemniczył? – Nie czekała na odpowiedź. – Adam, tak między nami... Gdybym się nie zjawiała... Też próbowałbyś się z tego wycofać?

Tym razem czekała. Cierpliwie.

– Potrzebuję tej forsy – westchnąłem.

– Rozumiem.

Miękko to powiedziała, nie było powodu do złości. Ale nie na nią byłem zły.

– Nie, nie rozumiesz. Człowiek chce mieć dom i rodzinę. Tak jest stworzony. Ba, tak się go wychowuje. Kościół i prawica na okrągło powtarzają: „rodzina ponad wszystko, stwórz rodzinę”. A wywalczyli nam solidarnie taki gówniany ustrój, że bez pieniędzy już się nie da.

Może w Afryce, ale nie w Polsce. Żadna kobieta nie zwiąże się z kompletnym gołodupcem. Nie urodzi mu dzieci. No dobrze: może jakaś poczwara, której nikt inny nie chce, albo kretynka bez wyobraźni. Tylko że mnie nie kręcą poczwary i kretynki.

– Ciebie żadne nie kręcą – przypomniała cicho. – Tylko Ilona.

– Ale kiedyś kręciły. Myślisz, że czemu nie mam żony? Bo wygodniej, weselej? Po prostu nigdy nie było mnie stać na rodzinę. Gdybym był gruboskórnym skurwysynem, to znalazłbym jakąś naiwną, nakłamał jej, naobiecywał, zrobił dziecko, żeby już nie miała wyjścia, a potem niech się durna głowi, czym szczeniaka nakarmić. Tak się to robi. Potem warczycie na siebie, lejesz żonę, lejesz dzieciaki, zdradzasz, rozwodzisz się, odchodzisz z inną... To nie dla mnie, Kasia. Rodzina jest do kochania. Żeby jej dawać szczęście i z tego czerpać własne. W takiej kolejności. Nie żeby sobie za darmo podymać. I jeśli bez forsy nie mogę mieć takiej rodziny, to albo nie mam żadnej, albo zdobywam forszę. Choćby i po trupach. Choćbym miał sprzedawać amunicję jakimś porąbanym partyzantom, zdradzać kraj i strzelać do polskich żołnierzy. Bo w imię czego mam być solidarny z jakąś tam Polską? Z Peerelem mogłem być. Dał pracę, dach nad głową i miliony dziewczyn, które nie zaglądały ci w kieszeń, bo wszyscy mieli z grubsza po równo.

– Jak byłem smarkata, ślinałam się do jednego chłopaka. Nosił dzinsy z Peweksu. Żadne tam BMW. Na portki leciałam. Nigdy nie miałam takich z Peweksu.

– Słuchaj, nie mówię, że to był raj. Tylko tyle, że ludzie nie bali się zakładać rodziny i mieć dzieci. Taki mały drobiazg. A teraz się, kurwa, boją. Albo nie mają z kim. Jasne, nie wszyscy. Ale wystarczająco wielu, żeby uskładać taką drużynę jak nasza i obrobić skład z amunicją.

– Adam, nie musisz mi tłumaczyć, że pieniądze są potrzebne. Już nie wiem, kiedy ostatnio

poszłam do łóżka dla przyjemności, nie pamiętając, że istnieje coś takiego jak forsa.

– Wielkie dzięki – uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że wyczuje żart, ale wiedziałem też, co odpowie. I może właśnie dlatego się uśmiechałem.

– O Jezu, przepraszam... Przecież nie o tobie...

– Żartowałem.

– Nic jeszcze nie wiedziałam o waszym skoku!

– Kasia, ja żartowałem.

– Może i jestem kurwa, ale z tobą...

– Ogłuchłaś? To był żart. Głupi. Przepraszam.

Milczeliśmy jakiś czas. Dział wodny przeszedł w pasmo spłaszczonych, ale wysokich na kilka metrów barchanów. Daleko, chyba ponad pół kilometra od nas, wypływały zza nich kolejne smużki poderwanego gąsienicami kurzu. Student też widział nasz kurz i trzymał się z grubsza na trawersie, ani nie wyprzedzając, ani nie zostając wyraźnie w tyle. Czekał. W negocjacjach pierwszy odzywa się ten, któremu bardziej zależy. To nam się spieszyło i to my z każdą minutą oddalaliśmy się od drogi. Też bym czekał.

– Zostanie po sto tysięcy. – Kaśka znów była rzeczowa i opanowana. – Mieszkanie, nic więcej. W Stargardzie owszem, ale nie wiem, czy warto szukać pracy w Stargardzie. Cholerne bezrobocie. Tyle że małą miałabym z kim zostawiać. Babcia na miejscu to skarb. – Przerwała na chwilę. Potem usłyszałem jej westchnienie. – Kurczę, drogo sobie liczy. Przydałoby się coś utargować. A u ciebie jak?

– U mnie?

– Ile możesz zapłacić za spokój sumienia? – Złagodziła pytanie żartobliwym tonem.

– Ja nie mam sumienia. – Też się uśmiechnąłem. – Do kościoła nie chodzę.

– No to jak ci wyjdzie, będziesz musiał zacząć. Chyba parę razy widziałam tę twoją królowę na mszy.

– Jak mi wyjdzie, będę musiał – zgodziłem się. – Wiesz, dałem mu szansę. Bogu. Jeśli podaruje mi Ilonę... To od początku ocierało się o granice cudu. Nie widziałem dla siebie szans.

Była z kimś, kochała go, ja nie byłem w jej typie... Beznadzieja. No to popatrzyłem w sufit i mówię: „Jeśli naprawdę jesteś, jeśli jesteś w porządku, chcesz dla ludzi dobrze i chcesz mieć więcej wyznawców, to daj mi tę dziewczynę. Bo wszyscy ją krzywdzą, a ja nigdy, za żadne skarby. To dobry interes. Jednego samobójcy mniej, jednej nieszczęśliwej mniej, jedna rodzina więcej, no i namiastka ojca dla Olafa. Na miejscu dobrego Boga bym na to poszedł”.

– Samobójcy?

– Nie wiem, Kasia. Pewnie nie. Mam rodzinę. Trudno zrobić bliskim takie świństwo. Ale gdybym był sam, to już dawno... Ciężko bez niej żyć. Naprawdę ciężko. Nie ma po co.

– Spotykacie się? To znaczy: zanim tutaj...

– No. Co parę dni. Taki durny układ, nie wiadomo co. Prosiłem, zebrałem, więc się zgadzała. Odebrać z redakcji, spacer, kawiarnia, odprowadzić pod dom. To wszystko. I rozmowy.

Prawie za każdym razem mówiła coś takiego... Niby nic, jakieś przemyślenie, epizod z jej życia...

Ale za każdym razem poznawałem ją trochę lepiej i robiła się trochę piękniejsza, bardziej niezwykła.

– Jej to nie przeszkadza? No wiesz: plotki...

– Chyba nie. Jest taka... kocia. Chadza własnymi drogami. Niezależna jak kot, piękna jak kot i tak samo nie da się wziąć na kolana.

– Nie powinna cię tak... no nie wiem... zwodzić.

– Kasia, to ja za nią łączę, nie ona za mną. Sto razy mi wyjaśniała, że nic z tego nie będzie, bo mnie po prostu nie kocha. Że się przyjaźnimy i tyle.

– A przyjaźnicie się?

– Nie wiem, czy to dobre słowo. No i nigdy go nie użyła. Lubi moje towarzystwo, jest szczerą, otwartą... Ma cholerne wyrzuty sumienia z mojego powodu. Nic nie zrobiła, nigdy nie dawała nadziei, ale i tak ją to dołuje. Wiesz, to porządna dziewczyna. Wrażliwa, mądra. Też jej ciężko w takim układzie. Był taki okres, że próbowałem trzymać się od niej z dala. Uszanowała to; jak mnie zobaczyła na ulicy, dyskretnie przechodziła na drugą stronę. Żeby nie sprawiać bólu.

Co jakiś czas pyta, czy nie powinna się odsunąć. Więc chyba jest moją przyjaciółką. Nie wiem.

Znów problem definicji. Miłość, przyjaźń... Co to właściwie jest? Pomilczeliśmy sobie przez chwilę.

– To miało być pół miliona – westchnąłem.

– Słucham? – Nie takiego dalszego ciągu oczekiwała.

– Zaczęłaś mówić o pieniądzach. Kiedy w to wchodziłem, była mowa o jakichś pięciuset tysiącach na głowę. Jeśli przyjmiemy warunki Studenta, zostanie raptem sto. To i tak więcej, niż kiedykolwiek na oczy widziałem, ale masz rację: z drugiej strony to tylko przeciętne mieszkanie w większym mieście. Zero rezerwy na falstart. Jeśli nie znajdę roboty, to nie opłacę rachunków i po paru miesiącach komornik nas z niego wywali. No i na konia nie starczy.

– Na konia? – Znów udało mi się ją zaskoczyć.

– Ilona kocha konie. Kiedyś jeździła.

– Chcesz ją poderwać na konia? – zapytała z niedowierzaniem.

– Na coś trzeba – uśmiechnąłem się, trochę gorzko, trochę z rozbawieniem. – Samochód też miałem w planach, bo ona generalnie lubi jeździć, a nie ma czym. Ale koń jest bardziej romantyczny, nie uważasz?

Nie odpowiedziała od razu. I nic dziwnego: kiedy się w końcu odezwała, słychać było, że

wolałaby w ogóle nie otwierać ust.

– Adam... ty chcesz ją sobie kupić?

Nie wierzyła. Nie chciała wierzyć. A ja nie zamierzałem odpowiadać wprost.

– Udziela się jako juror w „Kominkaliach”. To taki konkurs literacki dla młodych talentów, stargardzki MDK organizuje. Kiedyś, pamiętam, wpadam do redakcji, a Ilona mówi:

„Słuchaj, przeczytałam wiersz i po prostu rozjechało mnie na pół”. I zaczyna mi recytować.

Nie powtórzę może dokładnie, ale z grubsza szło to tak:

*Stoimy po przeciwnych stronach*

*Wielkiego Kanionu*

*Ja nie mam helikoptera*

*Ty nie masz helikoptera*

*Nie stać nas widać na siebie*

*(wiersz Aleksandry Gul)*

Czekałem na komentarz. Bez skutku. Kaśka milczała.

– Jak to usłyszałem, to mnie też rozjechało na pół.

– Dobrze – przyznała. – Nawet bardziej niż dobrze.

– Tak. Ale nie w tym rzecz. To jest... o mnie. I jak wtedy patrzyłem na Ilonę, przyszło mi do głowy, że o niej też. Małżeństwo jej się sypnęło, kiedy mąż pojechał do Niemiec, a pojechał wiadomo po co: zarabiać. Z tym drugim facetem też tak trochę... No, mówiąc w skrócie, pieniądze też się liczyły. Nie było ich. Musiał szukać roboty w Gorzowie, ona nie mogła z nim wyjechać, bo tu dziadkowie, darmowy dom, darmowa opieka nad Olafem, a tam... Nie wyrobiliby finansowo. Rzadziej się spotykali, no i w końcu ją zdradził z inną. Właściwie to prawie się ożenił. Datę ślubu już uzgodnili, dziewczyna suknię kupiła... Lepsza partia od Ilony: młodsza, absolwentka prawa, bezdzietna, a też ładna. To wszystko oczywiście nie jest takie proste, cholernie spłycam, ale gdyby Ilona miała forszę, pewnie byłaby teraz szczęśliwa. A nie jest. Tak jak ja.

Jechaliśmy na północ. Nie za szybko, po względnie równym terenie. Silnik bewupa pomrukiwał dyskretnie po drugiej stronie hełmofonu.

– Nie wiem, Adam... Może naiwna jestem, ale... Nie warto kupować sobie kobiety. A taka, która daje się kupić, też nie jest wiele warta.

– Pewnie tak.

– No to... czemu próbujesz?

– Ilony nie da się kupić. Ale można próbować kupić czas u jej boku. Zainteresowanie.

Szansę na to, by cię polubiła, potem zaczęła trochę potrzebować, potem trochę bardziej,

i może kiedyś...

– Co: kiedyś? – zapytała po paru sekundach daremnego wyczekiwania.

– Dla mnie to bogini. Nieziemskie zjawisko. Ale przecież jest normalna, nie? Zwyczajna kobieta. Człowiek. A ludzie się zmieniają. Dojrzewają, inaczej widzą świat, hierarchia wartości im się przestawia. Kiedy ją poznałem, była szczęśliwie zakochana. Wkurzała się, gdy pytałem, czy to na pewno to, czy już zawsze będą razem, czy jest pewna jego uczuć. Nawet numer mi dała, żebym zadzwonił i sam zapytał.

– I co? Zadzwoń! – Wyczułem leciutką kpinę w głosie Kaśki. – Niech zgadnę, co powiedział: kocha jak cholera. Faceci zawsze tak mówią.

– No właśnie: nie było o czym gadać. Zresztą jak się widzi Ilonę moimi oczami, to trudno uwierzyć, że ktoś mógłby dla niej totalnie nie zgłupieć. A przynajmniej puścić w trąbę, jeśli już ją zdobył. Nie wiem, co gościowi odbiło. To znaczy niby się domyślam: ona bywa trudna w pożyciu. Nieobliczalna, taka kocia właśnie. Potrafi drapnąć, zwykle nieświadomie, i wtedy boli jak cholera. Tylko że jak ci ktoś taki potnie głowę pazurami, to ją oklejasz plastrem i potulnie czekasz, aż kotce przejdzie zły humor. A nie kopiesz. Nie kopie się kotów. Za delikatne są.

Widziałem, jak ją poharatała ta zdrada. Wyglądało na to, że nigdy mu nie wybaczy. Że jest sama.

No i znów zacząłem za nią łązić.

– I wylądowałaś tutaj – podsumowała.

– Jeśli chcesz zdobyć dziewczynę, musisz ją czasem zaprosić do kawiarni. A to kosztuje.

– Zakochaj się w bezinteresownej romantycze.

– Romantycze też trzeba kupić kwiaty. I świece. Kasia, nie czarujmy się. Za darmo to można jakąś puszczalską przelecieć. Na wartościową dziewczynę trzeba wydać trochę forsy. Nie mówię, że majątek. Jeśli potrzebujesz majątku, to znaczy, że podrywasz dziwkę. Ale trochę trzeba mieć. Ja nie miałem, więc przyjechałem tutaj.

– Jasne. – Milczała przez chwilę, zaabsorbowana omijaniem jakiejś wydmy. – A majątek zaczyna się od?

– Słucham?

– Ile możesz zarobić, żeby ci się Ilona nie zaczęła mylić z dziwką?

Zesztywniałem na chwilę. O ile można zeszywnieć w jadącym po bezdrożu bewupie.

– O co ci chodzi?

– Mnie? – zdziwiła się nieszczerze. – O nic.

– Trochę złośliwie to zabrzmiało.

– Brzydule bywają złośliwe, mówiąc o pięknych. A cóż dopiero o boginiach.

– Czekaj no... Mówiłem, jak ja ją widzę. Nie że ona... Jezu, tylko nie myśl, że to jakaś narcystyczna idiotka! Na okrągło powtarza, że się starzeje, że fatalnie wygląda, że jakaś tam

nadwaga... Nie uważa siebie za żadne bóstwo. Nawet za szczególnie ładną chyba nie.

– Czyli jeszcze i skromna? – Nie próbowała kryć sarkazmu. – Wiesz, ten co ją rzucił, to faktycznie debil.

– Mnie się czepiaj – powiedziałem cicho. – Nie jej. Źle to wszystko opowiadam, wyszła jakaś... A to fajna dziewczyna. Naprawdę fajna. Tylko układ nam się trafił taki gówniany. Dwoje nieszczęśliwie zakochanych nie w sobie.

– Ona dalej w debilu?

– No.

– Kocha go? – upewniła się. – Wiesz na pewno?

– Wiem. Mówiła mi.

Zamilkła na jakiś czas. Właściwie trudno o lepszy komentarz.

– Adam... przepraszam, że pytam. Ale na co ty właściwie liczysz? Że zrobicie licytację i ty wygrasz?

– Jej się nie kupi – rzuciłem przez zęby. – Ile razy mam ci to powtarzać?

– To tym bardziej. Forsa się nie liczy. Dobrze. Więc jak to sobie wyobrażasz?

– Nie wiem.

– Odkocha się? I zakocha w tobie?

– Nie wiem – powtórzyłem z mieszaniną gniewu i bezradności. – Właśnie tak. Odkocha się. Kaśka, on ją zdradził. Nie to że raz, po pijaku, przypadkiem. Żenić się chciał. Skrzywdził Ilonę tak, że chyba bardziej nie można. Związałaś się z kimś takim? Urodziła mu dziecko?

Dobra, nie mów – nie dopuściłem jej do głosu. – Ona to nie ty, każdy przypadek jest inny, nie ma reguł. Wiem. Ale to mądra, dojrzała kobieta. Dostała w kość od życia. No i matka. Musi być odpowiedzialna za dwoje, a że bardzo chce mieć jeszcze jedno dziecko, to w perspektywie co najmniej za troje. Więc chyba nie jestem ostatni kretyń, zakładając, że może jednak nie wyjdzie za takiego faceta i nie wyjedzie do Gorzowa. A może jestem? Co?

Jeszcze nigdy w życiu nie zależało mi tak na dementi w sprawie mego kretyństwa. Ale nie dlatego milczenie Kaśki wydało mi się tak długie. Po prostu długo milczała.

– No nie – mruknęła w końcu. – Tylko, Adam... Jeśli jest taka, jak mówisz... nie do kupienia... Kurczę, sam chyba taki jesteś. Więc wiesz, że najpierw idą emocje, a dopiero potem cała reszta. Jeśli go mocno kocha, to wszystko inne... no wiesz: nie ma znaczenia. Żal, rozsądek, obawy... Wybacz mu i pójdzie na największe ryzyko.

BWP przetoczył się przez kępę saksaulów, gąsienice zadudniły o twardą jak kamień gładź wyschniętego solniska. Nagle przestało nami rzucać. Z lewej zagony piasku zapuszczały się jeszcze na dobrą setkę metrów w głąb oświetlonej księżycowym blaskiem równiny, lecz Kaśka sama, nie pytając, zdjęła nogę z pedału gazu.

– Wiem – uśmiechnąłem się krzywo. – Ale na wypadek gdyby nie kochała dostatecznie

mocno... Oddam Studentowi pięć dych ze swoich dwóch stów. I ani grosza więcej. Cholera wie, ile kosztuje dobry koń.

- Zamienisz życie dwóch ludzi na konia? – zapytała spokojnie.
- Na konia? Nie. Ale na widok Ilony podskakującej z radości...

## Rozdział 30

– Chyba nie zrozumiałeś – upomniał mnie łagodnie Student. – Połowa forsy. Całej.

– Połowa forsy rannych. – Staralem się mówić równie łagodnie. – Po ćwiartce mojej i Kaśki. Razem 75 tysięcy zielonych. Równy rachunek: dostaniesz po 25 za raketę. Nikt chyba nigdy tyle nie wyciągnął za Malutką.

Staliśmy z Kaśką kilka metrów od wozu, dzieląc się słuchawkami radmora. Silnik pracował, słyhać go było w tle, podobnie zresztą jak silnik bewupa trzeciej drużyny. Niezależnie od tego, jak bardzo jedna strona wkurzy drugą, negocjacji nie dało się zakończyć nagłą, zaskakującą szarżą.

– Zapomnij. Patrycja coś podejrzewa. Będę musiał się dzielić. Stowa ładniej się dzieli na dwa.

– A siedemdziesiąt pięć na trzy. Nie zapomniałeś o czymś? Wychodzi za męża. Czyli musisz doliczyć doktorka.

– Adam, tracimy czas. Odlicz trzydzieści trzy kawałki i zostaw tam, gdzie stoicie. Ja odpalę raketę. Do wschodniego końca tego takyru masz jakieś trzy kilometry. Podziel to na dwa skoki, zostawiaj pieniądze, a ja będę strzelał następnymi Malutkami. Potem po prostu przejedziesz na drugą stronę i skreślisz na zachód. Będziemy za daleko na celny strzał z armaty.

Nie miałem mapy, ale widoczność była na tyle dobra, że zgodziłem się w duchu z sensownością jego planu. W momencie, kiedy pozbędzie się ostatniego, trzeciego ppk, wozy znajdą się przeszło kilometr od siebie. Nawet gdybym zdecydował się na przeskok środkiem solniska, stanowilibyśmy trudny cel. A przecież nie musiałem jechać w poprzek takyru.

Wystarczyło okrążyć wypełnioną zaschniętym błotem nieckę, trzymając się jej obrzeży i pilnując, by to tamci nie zaryzykowali jazdy na skrót. Równy, odkryty teren, po którym BWP pomknie jak po autostradzie, ciągnął się na zachód aż po horyzont, co oznaczało, że oderwiemy się od potencjalnego pościgu co najmniej na kilka kilometrów. Potem oczywiście mogli pognać za nami, mogli też ruszyć od razu równoległym kursem, skryci za wydmami na południu, ale tak czy inaczej zyskiwalibyśmy kilka tysięcy metrów przewagi, co przy jednakowych wozach było dystansem trudnym do odrobienia. Niby mieli lepszego kierowcę, z drugiej jednak strony nie mogli pozwolić sobie na wariacki pościg z pełną szybkością: zbyt łatwo wpaść wtedy w pułapkę.

Musieliby też, w przeciwieństwie do nas, omijać wszelkie odsłonięte miejsca: umowa nie przewidywała, że i my pozbędziemy się raket.

Krótko mówiąc: propozycja wyglądała na uczciwą.

Zbyt uczciwą jak na Studenta.

– Ostatni pocisk... Kiedy go odpalisz?



Nie zakończyłem kwestii hasłem „odbiór”; miał prawo poczekać jeszcze chwilę i upewnić się, czy to jego kolej. Ale od razu wyczułem, że strzał był celny. Inna sprawa, że trudno tu mówić o jakimś błysku geniuszu. Najskuteczniejsze przekręty są zwykle proste jak budowa cepa.

– Przeliczę forszę i odpalę – powiedział bez zapału. Zrozumiał, że wywęszyłem smród.

– Albo i nie. – Odczekałem chwilę. – Student, to główniana kolejność. Trzeba ją zmienić.

Najpierw rakietą, potem my zostawiamy worek. I nie mówię o trzeciej Malutkiej. Od pierwszej ma tak być. Strzał, pieniądze.

– Nie ufasz mi?

– A ty mi ufasz? – zakpiłem. – No to w czym problem?

Kaśka upewniła się, że zwołałem przycisk nadawania.

– Nie przeginaj – mruknęła, nie odrywając ucha od słuchawki. Pomyślałem, że jest jej niewygodnie. Poprzednio kleiła się do mnie ramieniem. Teraz nie. Staliśmy blisko, nawet dotykaliśmy się, ale dokładnie w takim stopniu, w jakim wymuszała to ograniczona długość pałąka. Duch Ilony unosił się między nami, odpychając ciało od ciała.

– Dasz setkę i będzie po twojemu – usłyszałem pozbawiony entuzjazmu głos Studenta. – To moje ostatnie słowo.

– Stoi. – Też nie siliłem się na udawanie zadowolonego.

– Dobra. Wracaj do wozu i zaczniacie liczyć forszę. Aha, i włącz pokładową. Patrycja powie, co macie zeznawać.

\*

Legenda, ułożona na potrzeby zandarmów, też kojarzyła się z budową cepa: prostota i niezawodność w jednym. Zeznając, mieliśmy posadzić zamaskowanych terrorystów na swoich miejscach, dodać po jednym na każdy wóz, ulokować go z peemem na przednim końcu ławki bewupa i opowiadać z grubsza samą prawdę. Wpadli, wzięli na muszkę, zagnali pod pancierz, wywieźli. Nie wiązali, bo i po co, skoro dookoła pustynia, a z przodu ten z peemem. Potem walczyli z Francuzami, Szamocki został ranny, Łobana powlekli gdzieś nie wiadomo po co.

Jeszcze później terroryści spotkali się z czekającymi gdzieś na pustyni towarzyszami, wygonili nas z wozów, zostawili pośród wydm i znikli. Bez wyjaśnienia. Błąkaliśmy się, znaleźliśmy porzucone bewupy. Na chodzie, więc wróciliśmy. Anteny ktoś zabrał, nie było jak nawiązać łączności. Student nie chciał jechać, mówił, że mamy robić za wabik dla natowskiego lotnictwa i odciągać uwagę od zbiegów, ale przegłosowano go, no i oto jesteśmy.

Brzmiało to dokładnie tak, jak nie powinien brzmieć scenariusz filmu sensacyjnego – i właśnie dlatego spełniało rolę dobrego alibi. Może nie idealnego, ale wystarczająco dobrego, by przetrwać nawet w krzyżowym ogniu pytań. Hasło „Front Demokratyczny” powinno gasić w zarodku wszelkie wątpliwości: właśnie tak przeprowadzona operacja byłaby marzeniem jego przywódców. Potężny cios w prestiż okupanta, zastrzyk cennej broni, uznanie turkmeńskich

patriotów, a jednocześnie minimum ofiar i ugruntowanie opinii terrorystów-dżentelmenów w mediach Zachodu. Same korzyści.

Podobała mi się ta bajeczka. Była krótka, nieskomplikowana i wygodna dla wszystkich, z oficerami śledczymi włącznie. Nawet politycy kupiliby ją, nie krzywiąc się zbytnio. Niby nie ma się czym chwalić, ale z drugiej strony... „Nie jest przypadkiem, że udało nam się doprowadzić do uwolnienia niemal wszystkich zakładników i odzyskania sprzętu. Nie mogę mówić o szczegółach, pani redaktor, ale to chyba oczywiste, że bez udziału profesjonalnie działających służb specjalnych i umiejętnie prowadzonej polityki zagranicznej taki bezprecedensowy sukces nie byłby możliwy.” I tak dalej, ble, ble, ble. Medali by nam nie dali, zdziwiłbym się jednak, gdyby prawda wyszła na jaw. Była po prostu zbyt kłopotliwa, i to dla wszystkich zainteresowanych.

Cały problem sprowadzał się do pieniędzy. Nie mogli ich przy nas znaleźć. Przed powrotem zdobycz należało ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu i głównie z myślą o tym Student raz po raz upominał się o szybsze liczenie.

Kaśka chciała mi przy tym pomagać, kazałem jej jednak zająć się prowadzeniem wozu i wkuwaniem powtarzanej przez Patrycję historii. Co prawda przypadła jej łatwiejsza rola zszokowanego cywila, który niewiele zapamiętał, ale sama jazda wymagała koncentracji.

Piaszczyste cyple wcinały się na dziesiątki, a nawet setki metrów w głąb płaskiego jak stół takuru, nie były jednak na tyle wysokie, by w każdym miejscu gwarantować bezpieczeństwo.

Kierowca musiał nieźle się napocić, kryjąc wóz między niewielkimi wzniesieniami.

Napełniłem pierwszy foliowy worek i kazałem zatrzymać oba wozy. Student, nie pytając, wystrzelił Malutką. Nie widziałem miejsca startu – Kaśka spisała się jak należy – ale trudno było pomylić sunącą na północ iskierkę z czymkolwiek innym. Pocisk przeleciał w złudnie leniwym tempie nad dwukilometrową taflą wyschniętego na kamień błota i eksplodował na stoku któregoś z barchanów.

– Dobra – rzuciłem do mikrofonu. – Zostawiam pierwszą ratę. Trzydzieści trzy kawałki.

– Przy okazji wyrzuć beczki. Ciężko będzie się z nich wytłumaczyć.

Miał rację: kradzież paliwa mieściła się w logice partyzanckiego skoku na magazyn, ale za dużo tego było, no i w nieodpowiednim gatunku. Rozsądni terroryści wybraliby olej napędowy i blaszane kanistry. Mogli się wprawdzie pomylić w pośpiechu i brać, co popadnie, jednak nie na taką skalę.

– Nie tu. Bliżej rzeki. Lepiej, by nikt nie miał pewności, że to nasze.

Nie dyskutował. Ja też miałem rację. Wzdłuż Murgabu ciągną się i szlaki komunikacyjne, i osiedla, a ślady naszych gąsienic skrzyżują się nieuchronnie z tropem niejednej ciężarówki.

Ktoś, kto zadałby sobie fatygę śledzenia trasy bewupa o numerze taktycznym 0312, znalazłby wprawdzie pojemniki, nie miałby jednak pewności, kto, kiedy i z czego powrzucał je

do jakiegoś piaszczystego dołu.

Na razie zostawiłem jedną beczkę. Na wszelki wypadek, w charakterze punktu orientacyjnego. Ciemny foliowy worek na śmieci nie rzuca się w oczy, a ja chciałem oszczędzić Studentowi nerwowego rozglądania się i snucia ponurych wizji.

To znaczy: między innymi.

Nie skomentował obecności beczki. Jeśli z miejsca zabrał się do liczenia pieniędzy, też tego nie skomentował. Po prostu poczekał na moje kolejne „stop!” i wystrzelił drugą raketę.

Położyłem worek parę kroków od beczki numer dwa, wspiąłem się na bewupa i odjechaliśmy. Tym razem nie wróciłem pod pancierz. Siedziałem na wieży z noktowizorem w rękę i próbowałem wypatrzeć sunący za nami wóz.

Udało się: raz i drugi mignął mi zza piaszczystych jeziorów. Za daleko na strzał z armaty, zbyt blisko, by próbować szczęścia z Malutką. Byli równie ostrożni jak my. W okolicach beczki nawet czubek wieży znikł mi z oczu. Nie miałem pewności, czy rozciągają tę ostrożność także na moment podejmowania łupu. Jedynym wskaźnikiem mógł być czas.

Kiedy BWP stanął, kurz opadł. Pojawił się w większych ilościach, kiedy Patrycja ruszyła w dalszą trasę. Zrobiła to z ułańską fantazją, więc łatwo było wychwycić właściwy moment.

Gorzej z oceną czasu. Trochę to trwało. Ale z drugiej strony – nie tak znowu długo.

Nie potrafiłem samodzielnie zdecydować. Powiniennem – ale po tym wyniesieniu Ilony na ołtarze nie miałem odwagi. Zapomniałem powiedzieć Kaśce, że nie jest brzydula, zapomniałem, że przemawiam do kobiety, która z ufnością rozchyłała przede mną uda, i teraz, kiedy przyszła pora zaciągnięcia kredytu, poczułem się niewypłacalny.

Jedna błędna decyzja – i stracę ją.

– Nie liczysz?

Prowadziła z odkrytym włazem, zerknęła do tyłu, no i wypatrzyła mnie. Nie szkodzi.

Nawet lepiej: los zdejmował ze mnie brzemię wybierania.

– Nie. – Jeszcze się wahałem.

– To się pośpiesz. Równie nam się kończy.

Brawo: zapamiętała lekcję. Wóz Studenta był mniej groźny tu, na południowym obrzeżu takyru, niż gdyby – chcąc nie chcąc – zajechał naszym śladem na obrzeże wschodnie. I kął strzału większy, i odległość. Jasne, że po podjęciu worka z pieniędzmi mogli z miejsca ruszyć w pościg, ale najgroźniejszy był pierwszy, oddany z postoju strzał i to z myślą o nim należało wybrać miejsce.

– Dobra. Za tamtą górką stajemy. Na piachu, jak się da.

Stanęliśmy. Zeskoczyłem na ziemię, otworzyłem prawe drzwi, wyciągnąłem następną beczkę. Z łopatką w jednej i kanistrem w drugiej ręce wróciłem w pole widzenia wychylonej z włazu Kaśki.

Nie od razu się połapała. Musiałem przerzucić saperką jakieś wiadro piasku, nim znieruchomiła na moment.

Ja też znieruchomiałem. Kanister nie był wielki, dziesiątka najwyżej, a podłoże miękkie.

Zdążę. Jeśli da mi szansę, to zdążę.

Patrzyłem, jak się gramoli na pancierz. Nawet ciemność nie była w stanie zatuszować ogromu zmęczenia.

– Co robisz?

Odczepiłem od kamizelki odebrany Młodemu granat, bez słowa położyłem na ziemi, tuż obok załączka wykopanego dołu.

Przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Sobie właśnie: na granat jedynie zerknęła.

– Worek przytrzyma dźwignię – zacząłem, już wtedy czując, że mówię nie na temat. – Dopóki ktoś go nie podniesie. Pod spód kanister, obok jeden pocisk odłamkowy. Jak dobrze pójdzie, rozwali też beczkę i może uda się zapalić ich bewupa. Pewnie staną tuż...

– Spali się – przerwała mi. Przez chwilę szukałem odpowiednich słów. Nie zdążyłem znaleźć. – Żywcem.

– Kasia...

– A jeśli pošlą Młodego? Nie ufają nam.

Chciałem jej powiedzieć, że za krótko to trwało, że ranny w udo chłopak nie zabrałby drugiego worka tak szybko. Nie odezwałem się jednak. Drugi worek to nie trzeci. Kto jak kto, ale ja o tym wiedziałem. Koniec wymiany rządzi się innymi prawami niż początek.

– Prawie na pewno wyskoczy Student – spróbowałem po raz ostatni. – Bez niego nic nam już nie zrobią.

– A jeśli pošlą Młodego? – powtórzyła. – Zresztą jaka to różnica? Mówimy o paleniu żywego człowieka.

Wepchnąłem granat z powrotem w uchwyt kamizelki. Wstałem i nie siląc się na zasypywanie dziury, ruszyłem w stronę wozu. Kanister i foliowa torba zostały tam, gdzie je rzuciłem. Kaśka popatrzyła w ich stronę, nic jednak nie powiedziała. Wspiąłem się na wieżę.

Założyłem hełmofon i dosłownie w kilka sekund później odezwał się Student.

– Wyłożyłeś pieniądze?

Wsunąłem nogi do wnętrza wjazdu. Patrzyłem, jak głowa Kaśki znika pod pancierzem.

Miałem nadzieję, że odwróci się, a nasze spojrzenia jeszcze raz skrzyżują się z sobą. Nagle, bez żadnych racjonalnych powodów, nasza mnie myśl, że to może ostatnia taka okazja. I zdziwienie, bo najpierw pomyślałem o niej, a dopiero potem o Ilonie.

– Czeka ją – mruknąłem.

– Drogowskaz też?

Nie od razu zrozumiałem. Myślni byłem parę tysięcy kilometrów stąd. Przy właścicielce

pary najpiękniejszych szarych oczu świata.

– Beczka? – upewniłem się. – Jest. Trafisz.

Dopiero zwalniając przycisk, zdałem sobie sprawę, że coś mi się nie spodobało w jego tonie.

– Mam nadzieję, Adam – rzucił, tym razem już nie próbując maskować ani szyderstwa, ani mściwej satysfakcji. – Mam nadzieję, że trafię.

Niczego nie usłyszałem. Trudno też powiedzieć, że zrozumiałem, na co się zanoszą – choćby w ogólnych zarysach – i że mój ślizg do wnętrza wieży miał coś wspólnego z unikami.

Chyba przypomniałem sobie o którymś z podstawowych elementów naszego systemu obrony.

Oba, i noktowizor, i granatnik, zostały w środku, więc prawdopodobnie próbowałem wyciągnąć je możliwie szybko. Tu, na zewnątrz, skąd spojrzenie sięgało dalej, a pocisk mógł bez trudu wyprzedzić wszystko, co wystrzelał w naszym kierunku. Gdyby dano mi dostatecznie dużo czasu, wróciłbym na strop bewupa.

Po prostu nie zdążyłem. Ostatnie słowo Studenta zlało się z głośnym trzaskiem w słuchawkach, a w niecałe dwie sekundy potem nad moją głową eksplodował armatni pocisk.

Kaśka musiała trzymać stopę na pedale sprzęgła, więc nigdy nie dowiedziałem się, czy dostaliśmy takiego kopa od samego silnika, czy także od fali podmuchu. W każdym razie zatrzęsło mnie. Może zresztą bardziej od środka: skok ciśnienia był jak cios pięścią, tyle że zadany z głębi gardła, prosto w mózg i wnętrze uszu. Nie miałem pewności, czy światełka przed oczami to iskierki rykoszetów, czy sławne gwiazdy znokautowanego.

Wiedziałem jedno: z tych kruszyn w każdej chwili może zrodzić się ogniste piekło. Jeśli dopadną beczki...

– Jedź!!!

Pojechała. Tam, gdzie gąsienice poniosły, bez żadnego planu. Domyśliłem się tego, kiedy kolejny pocisk rozpryskowy rozerwał się nad bewupem. Pierwszy strzał okazał się ciut za krótki, potem wóz przetoczył się parę metrów na wschód, licząc od strzelającego, i oto skierowane do przodu i na prawo peryskopy błysnęły mi w oczy bielą kolejnej eksplozji. Student musiał dodać co najmniej dziesięć metrów do nastawy zapalnika i to mieściło się jeszcze w regulach strzelania na oślep – ale żadną miarą nie mógł przypadkiem wprowadzić tak idealnej poprawki poprzecznej.

– Widzą nas! – Przełamałem instynktowny opór, stanąłem na nogach. Wychylony z bezpiecznej, pancernej nory rozglądałem się przez kilka sekund. – W prawo, Kaśka!

Przy tak sformułowanej komendzie mogłem sobie w zasadzie darować wystawianie łba na zewnątrz. Równie dobrze mogła skrócić o kilkanaście stopni, co zawrócić o sto kilkadziesiąt.

Potraktowała rozkaz dosłownie i skrzyła dokładnie w prawo – pod kątem prostym.

Bardziej z obawy przed kolejnym deszczem odłamków niż z chęci brania odwetu zacząłem

obracać wieżę. W skrajnym peryskopie pojawiła się jasna plama beczki. Może podmuch, może odłamki przewróciły ją na bok, nigdzie nie było jednak widać śladów ognia. Wredna, plastikowa suka. Najpierw pchnęła mnie w objęcia paniki, wyгнаła z za bezpiecznej osłony, a teraz nie raczyła się zapalić. Gdyby raczyła, dużo lepiej widziałbym piaszczyste wzniesienia na zachodzie i moglibyśmy uciekać bardziej sensownie.

Póki co, byłem praktycznie ślepy. Nie potrafiłem odróżnić wysokich wydm od niskich, nie mogłem podpowiedzieć Kaśce, w którym momencie powinna odbić w lewo i wiać na wschód pod osłoną dostatecznie dużego barchanu. Te naprawdę wysokie znajdowały się na południu, poza obszarem solniska, i z braku lepszego wyjścia w tamtą stronę umykaliśmy.

Wszystko to trwało stosunkowo krótko, ale zanim obracająca się w żółtym tempie wieża spojrzała we właściwą stronę i mogłem skorzystać z celownika, daliśmy Studentowi okazję do dwóch kolejnych strzałów.

Tym razem polował na pojazd, nie ludzi. Całkiem słusznie założył, że nie zaryzykuje jazdy w otwartym włazie – nie po tym wolframowym prysznicu, jaki nam zafundowały wypieszczone zabawki Szamockiego. Inna sprawa, że oboje z Kaśką zbyt się pogubiliśmy, by pomyśleć o zamknięciu włazów, i dobrze ulokowany pocisk rozpryskowy wciąż mógłby nas całkiem skutecznie załatwić.

Przeciwpancernym się nie udało. Nie zabrakło wiele – ale oba rozminęły się z sunącym w poprzek, to pojawiającym się, to znikającym za pagórkami bewupem. Trzeci nie miał okazji opuścić lufy, choć chyba zdążył do niej trafić.

Znalazłem w noktowizyjnym celowniku najpierw sylwetkę wrogiej wieży, a zaraz potem – dostatecznie wysoki barchan.

– W lewo, ale już!

Kaśce nie wyszło „już”, następne wzniesienie było jednak jeszcze wyższe i kiedy skręciliśmy, 0313 na dobre znikł mi z oczu.

\*

– Ty gnoju – w głosie Studenta było odrobinę więcej mrocznej satysfakcji niż złości. – Chciałeś mnie wykiwać!

Nie skomentowałem. Milczałem tak długo i konsekwentnie, że w słuchawkach rozległo się ciche chrząknięcie.

– Adam... chyba ktoś do ciebie.

Nie wiem, co sobie wyobrażała: że zasnęłam? Bo chyba nie zamierzała chrząkać na kogoś, kto zdjął hełmofon. Jechaliśmy powoli, starając się nie kurzyć i trzymać możliwie głębokich dolin, ale silnik wcale nie hałasował przez to dużo mniej.

– Słyszę. – Włączyłem nadajnik. – Chcesz czegoś?

– Oszukałeś nas. – Chyba się uśmiechał. – A ja, cholera, miałem wyrzuty sumienia. Ty

łobuzie.

– No to już nie musisz mieć.

– Pewnie że nie. Wisisz mi trzydzieści trzy tysiące. Ładnie to tak: maska pegaz zamiast dolarów?

Nie wspomniał o rowku, w którym zostawiłem ostatnią ratę. Ani o beczkach. Może faktycznie wziął je za drogowaskazy. Raz uzyskana opinia naiwnego frajera trzyma się człowieka całkiem mocno. Inna sprawa, że faktycznie okazałem się frajerem. Mało brakowało, a wpadłbym we własne sieci. Gdyby beczka eksplodowała... BWP raczej by przetrwał, ale my, siedząc w otwartych włazach, mielibyśmy skwarki zamiast twarzy.

– Nie zostawiłeś mu pieniędzy? – upewniła się Kaśka. – Adam, umawialiśmy się!

– Nie na ostrzał szwedami. – Odczekałem parę sekund. – Bierz kurs na bazę.

– Co?

– I gaz do dechy.

– Zgłupiałeś?! Po tych wertepach? Ranni nie wytrzymają!

– Właśnie dlatego.

– Mieliśmy jechać przez most! Prosto na zachód!

– Zmiana planów.

– Bo co? – rzuciła buntowniczym tonem.

– Bo na równym wpakują nam Malutką w dupę. A na krzywym będą walić na przemian rozpryskowymi i pepancami. Dostaną albo mnie, albo wóz. Mają kupę amunicji. My nie.

Nie byłem pewien, czy ją przekonałem. Objężdżaliśmy takyr, z chwilowego kierunku jazdy nic nie wynikało.

– Oddaj resztę forsy i jedź za nami – przypomniał o sobie Student.

– Spadaj – warknęła Kaśka. Chyba przeszkadzał jej w ważniejszej kłótni.

– Bo jak nie? – zapytałem. Z dwojga złego wolałem się użerać z nim niż z nią.

– O siebie pytasz? Już poniedziałek. Za parę godzin szkoła. Nie wiem, czy nasi ludzie wyrobią się na ósmą, więc pewnie mamusia zdąży odprowadzić Eryka. Ale z odbiorem może mieć kłopoty. Rozumiemy się?

– Olafa. – Sam się zdziwiłem, że tak spokojnie to zabrzmiało. – Ma na imię Olaf.

– Aha. No to Eryka będziesz jej musiał zrobić na pocieszenie. O ile ci da. W co wątpię.

Mamy nie lubią facetów, którzy posłali do piachu ich dzieciaki.

Miał rację. Ilona jest drobna, delikatna. I zabiłaby mnie gołymi rękami, gdyby z mojego powodu... Flaki latałyby w powietrzu.

– Student... – Szukałem odpowiednich słów. – Jedź daleko z tyłu, dobrze? Bo nie wytrzymam. Zawrócę i cię zajebię. Nie chcę, nie powinienem, ale mogę nie wytrzymać. Jedź z tyłu, a obaj nacieszymy się tą forszą.

– Cholernie się boję – rzucił szyderczo.

Na tym powinniśmy skończyć. Ale z Iloną też powinienem skończyć po pierwszym spotkaniu w pierwszej kawiarni. I gówno: nie potrafiłem.

– Nie masz się bać. Masz myśleć. Chudzyński o jednym ci chyba nie powiedział: że Ilona od dwóch lat, odkąd się znamy, pieprzy się z innym facetem. – Zwolniłem na chwilę przycisk, lecz nikt nie skorzystał z okazji, nie wyrwał się z komentarzem czy pytaniami. Mogłem wziąć głęboki oddech i mówić dalej. – Jak to ją rąbniecie, prawdę mówiąc zrobicie mi przysługę. I tak nie mam szans, a wycięty wrzód w końcu przestaje boleć. Ale jeśli zastrzelicie chłopaka i powiecie jej, dlaczego... Przecież z miejsca wykrzyczy to na cały świat. Tym chcesz mnie szantażować? Aresztowaniem? A nie przyszło ci do głowy, że jak tylko mnie wsadzą, z miejsca zacznę sypać? Choćby dla złagodzenia wyroku?

Nie odpowiedział od razu.

– Niby czemu mam ci wierzyć?

– Że jej nie dymam? I teraz nie osłaniam? – Zastanawiałem się, jak najlepiej wytłumaczyć taką oczywistość. – Bo tu jestem.

– No i? – upomniał się po paru sekundach bezskutecznego czekania na ciąg dalszy.

– Jedź do Stargardu, zobacz ją w naturze, pogadaj. A potem wyobraź sobie, że powiedziała ci „tak”. – Musiałem zrobić kolejny głęboki wdech. – W życiu nie zostawiłbym takiej dziewczyny, gdyby była moja. Może na parę dni. Chłabym, wył i jakoś bym przetrwał. Dni, ale nie miesiące. Nie wytrzymałbym tu bez niej, gdyby była moja.

Wdech za wiele nie pomógł: głos drżał mi jak zadek kolarza jadącego po bruku.

– Bez forsy nie ma baby. – Starał się ironizować, wyczułem jednak nutkę niepewności w jego głosie. – Nie wciskaj kitu. Przyjechałeś, żeby Ilona miała na lepsze perfumy.

– Ona prawie nie używa perfum.

Najśmieszniejsze, że formalnie to święta prawda: nie używa, bo na drodze jej nie stać, a tanich nie trawi. „Mogę zreć suche kartofle, jeśli trzeba. Ale nic nie poradzę: wolę kawior.” Może niedosłownie tak to powiedziała, taki jednak był sens. Była jak zubożała księżniczka, a mnie, prostaka od urodzenia, trochę to irytowało, lecz trochę bardziej fascynowało.

Na szczęście Student nie miał okazji podyskutować z nią o perfumach.

– Mniejsza z nią – burknął. – Jak będziesz podskakiwał, nie dożyjesz Ilony w żałobie.

Strażnicy cię załatwią.

– Jacy strażnicy?

Bewupem podrzuciło porządnie. Pierwszy raz od jakiegoś czasu. Równiny solniska nie było już widać, wjeżdżaliśmy między łańcuchy wydm. Spoglądałem głównie w okular celownika, do tyłu, nie miałem więc pewności, chyba jednak zmierzaliśmy na północny zachód.

Czyli ku bazie.



– A myślisz, że co: zostawiliśmy tych w Piątce samych? Żeby się rozleźli, uruchomili radio i podnieśli alarm? Strach strachem, ale ktoś ich musi przypilnować.

– Niby kto? – Przesadziłem z tym szyderczym „niby”. Siedmioro minus Chudzyński minus Sławek daje pięcioro spiskowców. Od początku jednego brakowało. Ale jednego właśnie.

On użył liczby mnogiej.

– Nie twój interes. Załatwią was, gdybyście jakimś cudem dojechali pierwsi.

Na zębatym, nakreślonym łukami barchanów horyzoncie mignęła mi sylwetka ich wozu.

Coś sterczało nad wieżyczką: może tylko uniesiona pokrywa wjazdu, a może i ludzkie popiersie.

Nieważne. Nie mieliśmy szwedów. Teoretycznie mogłem popróbować szczęścia, strzelając z kaemu, ale wiedziałem, że na widok rozbłysku Student zanurkuje do środka. Byli na tyle daleko, że pewnie zdążyłby zejść z drogi nawet pierwszej kuli.

Wolałem go nie prowokować. Znów rozmawialiśmy, no i dopóki jechał z głową na zewnątrz, nie trzymał jej przy celowniku, więc nie mogłem strzelać. Dobre i to.

– Kto mówi, że wybieramy się do bazy?

– A nie? – podchwycił. – To zrób w prawo zwrot i puść nas przodem.

Kaśka nie wyciskała chyba wszystkiego z silnika naszego bewupa, ale musiałem już uważać na język: w każdej chwili mogłem go sobie odgryźć. No i jadąc przodem, wybierała najlepszą trasę. Tamci mogli dotrzymywać nam kroku, ale wyprzedzenie to inna para kaloszy.

– Spadaj.

– Zejdę z ceną do siedemdziesięciu pięciu, tak jak chciałeś. No i nie zrobię ci tego, co Młynarczykowi.

– Młynarczykowi? – Zaskoczył mnie.

– Ten rozjechany gość... pamiętasz. Taki cwaniaczek, a poszedł na tatara. Kurwa – niemal widziałem, jak z podziwem kręci głową. – To musiało boleć. Trzynaście ton rozjeżdża ci jaja. U-uch.

Milczałem jakiś czas. Jeśli chciał zrobić na mnie wrażenie, to chyba mu się udało.

– Jeśli dostaniesz pieniądze... – Kaśka skorzystała z wolnego kanału. – Dacie nam sprowadzić pomoc? Dla rannych?

Z ochotą wymierzyłbym jej klapsa. Za dużo gadała. No i, prawdę mówiąc, miała fajny tyłek. Nie aż tak fajny jak Ilona, ale przyjemnie by było.

– Czyli jednak baza? – roześmiał się Student. – Nie dojedziecie nawet do mostu. Zresztą nie wiem, czy jakiś będzie. Ostatecznie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wywołać chłopaków i kazać go zniszczyć. Raz z armaty i nie ma tego twojego gówna, Adam.

– Na zdrowie. Nie potrzebuję mostu.

– Potrzebujesz, potrzebujesz. Jak chcesz wezwać kogoś przez radio, musisz wejść w zasięg.

Czyli nawet nie baza, a kilkanaście kilometrów dalej na zachód. Za kanałem, krótko mówiąc. A nigdzie indziej go nie sforsujesz.

Nic dodać, nic ująć. To znaczy: jeśli mowa o planach charakteryzujących się wysokim prawdopodobieństwem sukcesu.

– Spróbować zawsze można. Najwyżej utkniemy.

– I ranni strzelą w kalendarz.

– Tak czy tak strzelą.

Kiedy się odezwał ponownie, jego ton był mniej pogodny.

– Nie zadzieraj ze mną. I ty, Kaśka, też nie. Znajdziemy twoją małą.

Przez chwilę myślałem, że przejedziemy najbliższy barchan: statystycznej matce po takich słowach drętwieją mięśnie, o mózgu nie mówiąc. Okazało się jednak, że mam za wolantem jedną z tych, które przeczą statystykom. Troszkę za późno, ale skręciliśmy.

Tak naprawdę jednak zaimponowała mi w chwilę potem.

– No właśnie – warknęła przez zęby. – Znajdziecie. Bo trzeba szukać. Nie mów, że ten wasz detektyw uwinie się do rana. A rano będzie po wszystkim. Może i nas wykończycie, ale tak czy tak będzie po wszystkim. Więc mnie nie strasz Zosią. Nie ma jej w tej grze.

– Jest. – Dał jej trochę czasu, by pogodziła się z tą myślą. – I dlatego nie piśniesz słowa.

Adam chyba też nie. Mogą zamknąć nas wszystkich, nawet Chudzyńskiego, ale póki mamy tę forszę, zawsze znajdzie się ktoś, kto zrobi kuku Zosi i Olafowi. Jeden gryps przez adwokata i...

Więc będziecie milczeć.

BWP zagarnął pod brzuch wysoką na dwa metry kępę suchorostów. Potem omal nie rozjechał czegoś, co wyglądało jak czmychający spod kół kot, ale, sądząc po miejscu, kotem raczej nie było. Jechaliśmy na północny zachód. Ku bazie. Z pełną szybkością, jaką dało się rozwinąć. Wyglądało na to, że Kaśka wyzbyła się złudzeń.

– Lechowski też powinien milczeć – odezwał się po dłuższej przerwie Student. – Więc niech będzie, moja strata: zaryzykuję. Ale z Szamockim nie zamierzam ryzykować. Facet ma żelazo w mózgu. Cholera wie, co i komu powie. Albo go oddacie, albo zaczynamy polowanie. Ja od tyłu, strażnicy od przodu. Nie ma cudów, byście się przebili. W każdym razie z żywym Watmanem. Możecie kluczyć, ale to na jedno wyjdzie: umrze wam po drodze. I Lechowski pewnie też. – Znów dał nam chwilę na przemyślenia. – To prosty wybór. W duchu przyznałem mu rację.

– A co z forszą? – zapytałem spokojnie.

– Z forszą? – Wyraźnie go zaskoczyłem.

– Chciałeś stówę za obu. Teraz jednego mamy ci oddać do rozwałki. Wychodzi na to, że wisisz nam szesnaście tysięcy z tych sześćdziesięciu sześciu.

To technicznie niemożliwe, ale byłem pewien, że słyszę głośnie sapnięcie Kaśki.

Bewupem w każdym razie zakolebało. Niby na wyboju, czułem jednak, że ominęłaby go bez trudu, gdybym nie zaaplikował jej takiego tekstu.

Żegnaj, szalupo. Trudno.

– Jaja sobie robisz? – W głosie Studenta brzmiało niedowierzenie tak głębokie, że aż ocierające się o skargę.

– To po pół niezłej bryki. Albo dwa pokoje więcej. Niby dlaczego mielibyśmy ci robić prezent?

Milczał jakiś czas. Nie ponaglałem. Facetowi wychowanemu w nowej, słusznej rzeczywistości zdrowego kapitalizmu faktycznie trudno odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

Od dziecka uczono go, że forsa jest po to, by ją wyszarpywać bliźnim, a nie rozdawać w prezencie.

– Zajebię cię – wykrztusił w końcu. – Słyszysz? Ciebie i tę twoją cipę.

– Którą? – To nie była ironia; naprawdę nie wiedziałem.

– Obie.

– Ilonę też?

To dziwne, ale nie czułem gniewu. Nie w tym momencie. Kiedyś, na którymś z festynów, które Ilona zaliczała służbowo z aparatem i notatnikiem, a ja w charakterze smętnego ogona snującego się za panią redaktor, kobieta rozlewająca grochówkę do plastikowych miseczek zapytała z uśmiechem: „dla żony też?”. Łaziliśmy razem w różne miejsca, czasem nawet z Olafem, i pewnie parę innych osób tak nas zaklasyfikowało, ale ten jeden jedyny raz oficjalnie stałem się w czyichś oczach jej facetem. Posiadaczem najdoskonalszego tworu, jaki natura zrodziła na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia. Osobliwe uczucie. Niezwykłe.

Teraz poczułem się trochę podobnie. Nie było mowy o żonie, ale nazwał ją moją – i mniejsza o ciąg dalszy.

– I to z błogosławieństwem Chudzyńskiego. Na koszt firmy. Czort wie, co jej nagadałeś.

Faceci lubią się chwalić przed swoimi panienkami przyszłą kasą. Po co mamy ryzykować? – Odczekał, aż dotrze do mnie gatunkowy ciężar pogrożki. – Tego chcesz? Żebyśmy rąbnęli cię, a potem i ją?

– Chcę moich szesnastu kawalków.

– Spierdalaj.

Nie była moja. I chyba nigdy nie będzie. To dlatego tak łatwo przychodziły mi ostatnio podobne decyzje.

– No to chociaż to potwór – uśmiechnąłem się.

– Co?

– Że jest cipą. Powtórz, Student. Proszę.

Oczywiście zamilkł na ładne parę sekund. A Kaśka, przysłuchująca się naszemu dialogowi,

lekko zdjęła nogę z gazu.

– Kulanowicz... pojebany jesteś, wiesz?

– Wiem. To co, zrobisz mi tę przysługę?

– Proszę bardzo: Ilona to głupia cipa. Zadowolony? – On zadowolony na pewno nie był.

Nie rozumiał, do czego zmierzam, i irytowało go to. – Co to ma być? Próba wmówienia nam, że ci na niej nie zależy?

– Wmawiać psychologowi? – Mój głos ociekał szyderstwem. – No coś ty. Po prostu zbieram atuty. Baby są próżne, wiesz. Jak jej powiem, że zabiłem faceta, bo się o niej brzydko wyraził, może trochę bardziej mnie polubi.

Nie skomentował. W minutę później system ostrzegający o opromieniowaniu wozu wiązką lasera zabrzączał i zamrugał lampkami, a po kolejnych paru sekundach pierwszy pocisk rozpryskowy rozerwał się nad naszymi głowami.

Wojna, tym razem chyba totalna, do ostatecznego zwycięstwa, została wypowiedziana.

## Rozdział 31

Jednostka ognia BWP-1 to czterdzieści naboju do armaty plus amunicja do kaemu, no i rakiety Malutka. Kaem się za bardzo nie liczył, Malutką Student miał już tylko jedną. Nie wierzyłem, by zaryzykował zmarnowanie ostatniego ppk: jego posiadanie wymuszało na nas jazdę w określonym kierunku i tylko głupiec pozbywałby się takiego atutu. Na zachodzie ciągnęły się otwarte przestrzenie, na otwartej przestrzeni ten jeden pocisk załatwiłby nas z prawdopodobieństwem bliższym jedności niż połowie, nie skręciliśmy więc na zachód – i na tym kończyła się rola Malutki. Była jak broń jądrowa w epoce zimnej wojny: do straszenia, a nie strzelania.

Strzelała armata. Po starciu z legionistami Student uzupełnił amunicję i brakowało mu teraz raptem paru sztuk. Sześciu chyba. Strzał Młodego przy rozstaniu, potem poprawka po Malutkiej na pobojowisku, no i cztery próby wykończenia nas przy trzeciej beczce-drogowskazie. Może należało odliczyć także kilka klasycznych granatów odłamkowych – nie na wiele się przydają, jeśli ofiara ucieka pojazdem opancerzonym – ale równie dobrze mogli w ogóle ich nie zabrać. Nie sprawdziłem, nie miałem pewności.

Wyglądało na to, że nie muszą przesadnie oszczędzać. Jechaliśmy na północny zachód, w stronę bazy, a Student walił do nas za każdym razem, kiedy nadarzyła się okazja.

Pociski kumulacyjne, wymierzone w wóz, nadlatywały na przemian z posyłanymi nad wieżę szwedami. Pierwszych było więcej – i pośród wystrzelonych, i chyba także w magazynie amunicyjnym 0313 – ale, podobnie jak w przypadku Malutki, Studentowi wystarczył sam fakt posiadania tych drugich, by wymusić na nas określone zachowanie. Trafienie w szybko jadący wóz z pozbawionej stabilizatora armaty innego wozu to nie lada sztuka. Ułożenie zaopatrzonego w precyzyjny zapalnik pocisku nad celem – to reguła. Nie musieli nawet zwalniać.

W najgorszym razie, jeśli celowniczy źle dobrał moment, eksplozja następowała wyżej i trochę mniej odłamków smagało pancierz bewupa. Zawsze jednak, za każdym razem było ich na tyle dużo, iż podróżowanie z odkrytym włazem ocierało się stopniem ryzyka o grę w rosyjską ruletkę.

Niby miałem na sobie kamizelkę, a gdzieś po dnie wozu telepał się mój hełm, wołałem jednak nie sprawdzać, jak ma się ich jakość w stosunku do jakości naszpikowanych wzmocnionym materiałem wybuchowym i prefabrykowanymi odłamkami produktów WAT-u. Tym bardziej że zastępując hełmofon hełmem, pozbawiłbym się łączności z Kašką. No i kwestia noktowizora: on nie miał ani kamizelki, ani hełmu. Jeden odłamek, a stracę coś, co mogło się przydać w przyszłości.

Spasowałem. Dałem się zapędzić do wnętrza wieży, co z miejsca wykreśliło RPG z listy

liczących się środków rażenia. Skazany na celownik, miałem też od tej pory mniejsze pole widzenia. Na szczęście przez większość czasu Student miał je z grubsza podobne. Ciągący się za nami kurz przeszkadzał i jemu, a z przywileju przesiadywania na stropie wieży korzystał coraz rzadziej: trochę z obawy przed moim kaemem, a trochę dlatego, że kolidowało to z wychwytywaniem okazji do strzału.

Teren był na tyle urozmaicony, że na całe minuty znikaliśmy sobie z oczu i że właśnie minuty, nie ich ułamki, dzieliły kolejne wystrzały. Dwadzieścia kilka przeciwpancernych pocisków to bardzo dużo z punktu widzenia ostrzeliwanego, ale zarazem przygnębiająco niewiele w odczuciu strzelającego. My też mieliśmy amunicję przeciwpancerną – niewiele, lecz jednak – co zmuszało ścigających do trzymania się w przyzwoitej odległości. Czyli takiej, przy której właściwie nie ma się prawa trafić za pierwszym czy drugim razem. Chybianie było od początku wpisane w taktykę naszych prześladowców, co więcej: stanowiło jej fundament – ale właśnie dlatego musieli uważać, by nie przedobrzyć i nie wystawić samym sobie zbyt słonego rachunku.

Może zresztą nie obawiali się naszego działa, lecz po prostu nie byli w stanie skrócić dystansu: ktoś, kto zwalnia z myślą o oddaniu strzału, musi mieć problemy z dogonieniem zbiega.

Student całkiem nieźle poradził sobie z tym problemem. Strzelał tylko przy naprawdę dobrych okazjach, dzięki czemu bałem się rzadziej, za to mocniej.

Nie próbowałem się odgryzać. Za każdym razem, gdy sylwetka 0313 rozrastała się ze ściętego stożka wieżyczki do przysadzistej bryły widzianego od przodu wozu, darłem się do mikrofonu, a Kaśka zaczynała zygzakować. Łączenie uników ze strzelaniem byłoby ewidentnym marnowaniem amunicji. Student, który w takich razach zwalniał, a nawet zatrzymywał się całkowicie, chybiał regularnie – i to pozwalało mi trzymać łapy z dala od spustu. Ciężko było, nie dałem się jednak ponieść emocjom i po półgodzinnej ucieczce nadal mieliśmy do dyspozycji cztery kumulacyjne.

Dziewięć zero. Taki był wynik. Strzelali do nas dziewięć razy, z tego trzykrotnie rozpryskowymi. Przejechaliśmy ze dwadzieścia kilka kilometrów – Kaśka praktycznie nie zdejmowała nogi z gazu. Niby dobrze. Niby byle tak dalej. Ale z tych sześciu pepanców aż dwa przeszły centymetry obok. Centymetry. Mniej niż metr. Chyba. Celownik armatni wypacza perspektywę, kiedy człowiek spogląda w oczy nadlatującej śmierci.

Nie byłem pewien, czy się boję. Chwilami na pewno nie: myślałem o Ilonie, o tym dniu, kiedy zobaczę ją wtuloną w ramię innego faceta, pchającą wózek z jego dzieckiem, i wizja oberwania między oczy przeciwpancernym pociskiem kalibru 73 wydawała się nawet całkiem miła. Potem BWP Studenta wyłaniał się zza falistego horyzontu lub zza zakrętu, zwalniał, i instynkt samozachowawczy robił swoje. Wołałem: „unik!”, pociłem się trzy razy szybciej i czekałem. Zwykle na widok podrywającego się do następnej kilkusetmetrowki bewupa, rzadziej

na całkowity bezruch i rozbłysk ognia z jego lufy.

– Płasko się robi.

Kaśka. Zdałem sobie sprawę, że milczała przez cały ten czas. Robiła swoje i nie odzywała się.

– Trudno – rzuciłem przez zęby. I po chwili: – Dobrze.

Nie pytała o nic. Student miał tendencję do strzelania raczej za wysoko niż za nisko, więc widziała większość spośród tych sześciu posłanych nam pepanców. Miała prawo do lekkiego szczękościsku.

Matka. Z forszą na nowe życie, więc i uzasadnioną nadzieją odzyskania córki. Komuś takiemu ani przez myśl nie przejdzie, że pocisk kalibru 73 mm może nieść wybawienie. Bała się.

Pewnie umierała ze strachu. I nic nie mówiła.

– Co się... dzieje?

W pierwszej chwili pomyślałem, że to ona. Idiotyzm. Głos Lechowskiego, nawet zniekształcony brakiem sił i cierpieniem, brzmiał zupełnie inaczej. Zerknąłem w dół. Sądząc po układzie widocznych fragmentów ciała, na pół siedział, na pół leżał w fotelu dowódcy. Nogi zostały z tyłu, od strony przedziału desantowego. Niby dobrze, skoro wroga mieliśmy za sobą, wątpiłem jednak, by kierował się chęcią prowadzenia obserwacji. Podpełził dokładnie tak daleko, by sięgnąć hełmofonu, i na tym poprzestał.

– Drobne kłopoty. – Korzystając z faktu, że już i tak patrzę w dół, wyciągnąłem spod siedziska pulpit sterowania rakieta.

– Jak... drobne?

– Rozwałę nas. Albo my ich. – Trochę mi było głupio mówić takie rzeczy komuś, kto być może umierał, a już na pewno nie miał jak walczyć o przetrwanie, ale z drugiej strony sprawiało mi dziwną frajdę tak swobodne, bezstresowe ocieranie się o śmierć. Bo jednak się nie bałem: to było raczej jak gra, w trakcie której człowiek poci się i wykrzykuje z podniecenia, nie czując jednak strachu.

Wielkie dzięki, panno Roman. Chociaż raz będzie z ciebie trochę pożytku. Żywe trupy nie trzęsą się z przejęcia, stając do pojedynku. I trudniej im spieprzyć strzał.

– Gaz do dechy, Kasia. Musimy odskoczyć jak najdalej. A potem, jak powiem, ostro hamuj. Możesz na jakimś stoku, szybciej pójdzie.

Rozbłysk. Przyspieszany raketowym silnikiem pocisk pomknął prościutko w moją stronę, rósł, rósł – i znikł w ostatniej chwili, z pozoru tuż przed przedziurawieniem celownika.

Serce postukało mi chyba trochę szybciej – i tyle.

– Kasia – powiedziałem całkiem spokojnie – stop.

Zatrzymała wóz. Tak jak poradziłem: skręcając na najbliższe wzniesienie. Nie było strome, zbyt wiele pędu nam nie ujęło, ale sekundę pewnie zyskaliśmy.

Bujało nami jeszcze, kiedy wystrzeliłem rakieta.

Bujało nami nadal, kiedy eksplodowała.

Potem zabujało jeszcze mocniej. Gdy trochę ochłoniłem z wrażenia, dotarło do mnie, że oznacza to cholernie bliski wybuch. Może nawet nad stropem przedziału desantowego.

Praktycznie tuż po starcie.

Gdyby nie ten pocisk sprzed paru zaledwie sekund, byłbym pewien, że to Student nas dostał. Huk był potężny, wozem zatrzęsło, a przez dziury po francuskim podkalibrowym wdmuchało do środka tyle kurzu, że na moment zrobiło się wyraźnie ciemniej.

– Adam?!

Przestraszyła się. Trudno wnioskować z krótkiego okrzyku, ale miałem wrażenie, że o mnie.

– Wszystko w porządku. – Wstrząs nie przeniósł się na szczęście na brzmienie mego głosu. – Jedź.

Silnik nie zgasł – dopiero gdy ruszyliśmy, przyszło mi do głowy, że przecież mógł. Ale poza tym było kiepsko. Nic nie widziałem. To znaczy owszem: stanowisko działonowego poza celownikiem wyposażone jest w cztery peryskopy i nawet w tych spoglądających na boki pulsowało białe światło płonącego paliwa raketowego. Sam celownik jednak kompletnie oślepl.

A dokładniej mówiąc: palił się.

Wepchnąłem pulpit sterowania pod fotel, złapałem gaśnicę i otworzyłem właz. Głupio, ale głupcom często dopisuje szczęście: żaden z placków ognia nie spłynął mi na biodra, nie wpakowałem łokcia w ani jedno jeziorko żaru. Tu, na stropie wieży, nie było ich zresztą wiele.

Znacznie bardziej dostało się pokrywom nad przedziałem desantu, a najbardziej pustyni za wozem. Wbrew pozorom, Malutka opuściła wyrzutnię i przeleciała parę metrów, nim trafił ją szlag. Inna sprawa, że spustoszeń i tak narobiła.

Szyna wyrzutni wyglądała jakoś dziwnie. Nie potrafiłem określić, na czym polega różnica, ale od razu zrozumiałem, że próba instalowania na niej kolejnej rakiety będzie stratą cennego czasu. Może później, gdyby trafiła się dłuższa przerwa. Teraz zdecydowanie powinienem to sobie odpuścić.

Naprawdę ważny był celownik. Soczewki obu kanałów optycznych – dziennego i nocnego – osłaniała gruba tafla szkła pancernego. To po niej hulały płomienie.

Siknąłem na nią proszkiem z gaśnicy, kiedy Student posłał nam następny pocisk.

Coś mocno kojarzącego się z pociągiem pospiesznym przemknęło mi tuż obok ucha.

Odruchowo zapadłem się w głąb wozu. Gramoliłem się z powrotem, kiedy nasz BWP przetoczył się przez wyostrzony wiatrem grzbiet barchanu i runął w dół. Przywaliłem łopatkami o krawędź otworu, a potem, gdy zjeżdżaliśmy pod kątem 45 stopni – jeszcze brodą o pokrywę.

– Adam, palimy się!

Jakbym sam nie wiedział. Hełmofon, jak na złość, przetrzymał całą tę młockę, nie spadł i nie



zwolnić mnie z obowiązku martwienia się także za innych. Musiałem obrócić się i zerknąć na przedni pancierz.

– Spokojnie! To blacha; wytrzyma! Zaraz zgaśnie!

Tak do końca nie byłem tego pewien: co jak co, ale paliwa rakietowe wydzielają ogromną ilość energii i chyba byłyby w stanie, odpowiednio długo pozostawione same sobie, przepalić cienki w tym miejscu pancierz. A właśnie tym nas obrzygało, kiedy Malutka rozpadła się na setki kawałków: jej materiałem pędnym.

– Tu jest chyba gaśnica! Mogę...

– Jedź!

Pojechała. I to dobrze, adekwatnie do okoliczności. Wydmy były tu wyraźnie niższe, tylko sporadycznie górujące nad dwumetrowym wozem, więc większość z nich pokonywała w poprzek, zygzakując bez żadnego związku z ukształtowaniem terenu. Student widział nas przez większą część czasu, ale nie dziwiłem się zbytnio, oglądając na południu mrok i tylko mrok. Cel miotał mu się przed oczyma jak zwariowane jo-jo i wprowadzenie sensownej poprawki na jego ruch wydawało się dość beznadziejne. W dodatku skaczący po piaskowych falach BWP kurzył dwa razy mocniej niż poprzednio, co też nie ułatwiało strzelania.

Przede wszystkim jednak sprawialiśmy wrażenie bezbronnych. Z perspektywy Studenta to, co się stało, wyglądało pewnie jak detonacja pocisku w lufie lub coś równie morderczego.

Przez sześciokrotnie powiększający celownik widział wprawdzie, że przeżyłem, no i że sam wóz nadal jest na chodzie, miał jednak święte prawo zakładać, że naszemu systemowi ogniowemu zdrowo się dostało. Dał sobie spokój z ostrożnością i pognął do szarży.

Dopiero teraz, miotając się z jednej strony wjazdu na drugą, próbując nie wylecieć za burtę lub na odwrót, nie wylądować na dnie wozu, zrozumiałem, o ile lepszego mieli kierowcę.

Patrycja prowadziła bewupa po niewiele równiejszym terenie, prowadziła na tyle gładko, że Student strzelał z kaemu i prawie trafiał – a mimo to paciorki smugowych pocisków kalibru 7,62 potrzebowały coraz mniej czasu, by dotrzeć nad mą głowę lub zabębnić o tylne drzwi.

Zbliżali się, nadrabiali stracony dystans.

– Płasko! – usłyszałem nagle ocierający się o panikę okrzyk Kaśki. – Adam, następny takyr!

Nagle zrozumiałem, dlaczego nie strzelają. Mieli mapy, wiedzieli, że pakujemy się w pułapkę. To znaczy: teraz, kiedy ewidentnie odpadła nam możliwość odpalania rakiet. Płaska i gładka równina to doskonałe miejsce, by dokonać egzekucji: można strzelać w pełnym biegu albo, w ostateczności, zatrzymać się i spokojnie naprowadzić Malutką na umykający cel.

Zdałem sobie sprawę, że nawet przywrócenie sprawności armacie nie za wiele nam pomoże. Niskie barchany nie ukryją bewupa, będziemy skazani na wymianę ognia z daleka, a taka taktyka preferuje bogatszych w amunicję.

– Co jest?

Lechowski. Jakimś cudem nie zemdlął, choć musiało grzmotnąć nim parę razy o burty, a może nawet i strop.

– Nic! Leż!

Przejechałem dłonią po oczyszczonej z płomienia tafli pancernego szkła. Gorące. Parzyło, musiałem raz po raz cofać palce. Resztki środka gaszącego odpadły, ale wyczułem coś, co mi się nie spodobało. Rysy? Nacisnąłem mocniej i tętno podskoczyło mi o połowę: palec wszedł ze chrzęstem w coś, co powinno zastopować karabinowy pocisk.

Osunałem się na fotel. Twarz do celownika. Gówno. Widok jak z dna drinka, dobrze przyprawionego lodem. Kalejdoskop czerni i świetlnych refleksów, ani kawałka kształtu.

Poderwałem się z powrotem i zacząłem wydłubywać odłamki pokruszonej osłony z blaszanej obejmy. Raz i drugi musiałem kucać, schodząc z drogi nadlatującym seriom. Zwykle była to ostrożność na wyrost, ale zanim dotarło do mnie, że gołe palce nie poradzą sobie z przeszkodą, osłaniająca mnie pokrywa zainkasowała dwa uderzenia. Student i z kaemu strzelał wstrzemięźliwie, najwyraźniej jednak trafiał od czasu do czasu.

Kulom wolałem się kłaniać. To nie pociski armatnie. Nie zabijają szybko, bólu byłoby na pewno więcej. Wciąż nie zanadto bałem się śmierci, ale umierania – już tak.

Nie miałem bagnetu, scyzoryka, młotka – niczego poręcznego, czym można by się zmierzyć z opornym szkłem. Czasu na poszukiwania też nie miałem. Wyszarpnąłem stary, niezawodny granat made in USA i trochę wałąc korpusem, a trochę podważając dźwigienką mechanizmu spustowego, zacząłem przywracać wzrok naszemu bewupowi.

Ktoś krzyknął. Z bólu. Lechowski. Dopiero teraz.

– Adam! Mam skręcać?!

Obejrzałem się, za siebie, a przed wóz. Tu i ówdzie po blachach pełzały płomyki, zakłócając widzenie, ale równina przed nami była wystarczająco wielka i płaska, bym wypatrył ją w pogłębionym ogniem mroku. No i, przede wszystkim, była blisko.

Jeszcze chwila – i żegnajcie, wydmy.

– Zatrzymaj! Za jakąś górką!

Następna seria. Rykoszet od lewego błotnika. Kurtyna pyłu, podniesiona przez kule, które nie doleciały. I dużo więcej pyłu za nami. Jakim cudem ten cholernik w ogóle nas wypatrył? A może po prostu walił tam, gdzie się najbardziej kurzy?

Skręciliśmy. Potem znów. I jeszcze raz. BWP toczył się coraz wolniej. Kątem oka dostrzegłem obracający się włącz i głowę Kaśki, wyłaniającą się spod pancerza. Wóz miał lusterka, może nawet wciąż całe, ale nawet dobry kierowca wybrałby w nocy taką metodę parkowania. Niby nie było obok żadnych sąsiadów z podatnym na zadrapanie lakierem, graliśmy jednak o dużo większą stawkę niż szofer, manewrujący świeżo malowanym mercedesem w gąszczu jeszcze droższych limuzyn. W grę nie wchodziło ewentualne odszkodowanie: każda

niedokładność to większa sylwetka i większe pole do popisu dla nadlatujących z głębi pustyni pocisków.

Próbowała ukryć, ile się dało, i nie miałem prawa jej tego zabraniać.

Tłukłem granatem w zaklinowany kawał pancernego szkła, krzywiłem się, słysząc jęki rykoszetów, i starałem się nie myśleć o tym, że któryś może zahaczyć o wychyloną z wjazdu, kobiecą twarz.

– Gonią? – To znów Lechowski. Przestałem tłuc i wróciłem do podważania. – Daj... granatnik. I więcej. Spróbuję... zatrzymać.

Zastygłem na moment. Wóz też. To znaczy: wóz na dobre. Nie byłem pewien, czy miało to coś wspólnego z pojękiwaniem w hełmofonie. Może po prostu Kaśka uznała, że lepiej się nie ustawi. Wydma była nieduża i prawdę mówiąc, nie dawała kierowcy wielkiego pola do popisu.

– I tak dłużej... Boli jak... Wolę tu poczekać. Wróćcie. Albo ktoś... Nie wytrzymam.

Rzuca jak...

Coś mi chrupnęło pod palcami. Pomacałem z niedowierzaniem. Ustąpiła. Wysypała się, suka, chyba nawet nie kalecząc palców. Górą przemknęła następna seria z kaemu, za wysoka o dobre dwa metry. Wydało mi się, że widzę mruganie płomienia wylotowego.

– Daj spokój! – Krzyk Kaśki, pełen złości. – Leż! Ranny jesteś! Zamknij się i leż!

Ta złość ją zdradziła. Obnażyła strach i rozpaczliwą walkę o to, by nie powiedzieć „tak!”.

Pomysł nie był zły. Był może nawet najlepszy z możliwych. Tylko skurwysyński.

Opadłem na siedzisko, przywarłem twarzą do okładziny okularu. Jest! Jest światło, kształty!

– Widzę ich! – Wciąż się nie bałem, po prostu zaraziła mnie swym krzykiem. – Z wozu, Kaśka! Schowaj się gdzieś!

– Nie!

– Spierdalaj! Łeb nisko i zacieraj ślady! Jak się zapalimy, nie sprawdzą, ilu było w środku!

– Nie!

– I weź forsę! Jakby co, połowa mojej doli dla Ilony, połowa dla rodziny! Jasne?

– Głuchy jesteś?! Nie!

Nie było czasu na klótnie. Nie było też sensu proponować czegoś takiego Lechowskiemu: nawet ona, w pełni zdrowa, miała niewielkie szanse. Nasz wóz musiałby się porządnie rozpalić, by nie dało się zerknąć w otwarty wjazd. No i zbyt pusto tu dookoła: wszystkiego parę niskich garbów, kilka kęp roślinności o gabarytach pióropusza indiańskiego wodza. Potrzeba małego cudu i prześladowców bez wyobraźni, by się skutecznie ukryć.

Dałem sobie spokój. Ze wszystkimi. Nawet o Ilonie tylko pomyślałem, że gdzieś tam jest.

W tej chwili liczył się celownik i to, co w celowniku.

A było tego sporo. Dokładnie: dwa wrogie bewupy. Odłamek rakiety, który pokiereszował osłonę z pancernego szkła, dopadł też układu optycznego. Nie zniszczył soczewki, uderzył

jednak wystarczająco mocno, by pękła. Obraz świata zewnętrznego rozpadł się na dwie części, podobnie jak nitki celownicze. Akurat w samym środku, w najważniejszym punkcie, zewnętrzna warstwa szkła uległa skruszeniu, rozmazując szczegóły i przyprawiając mnie o szybsze bicie serca.

Niby widziałem co trzeba, ale...

Siedziałbym pewnie, pocił się i wmawiał sobie, sensownie skądinąd, że skoro dwa zachodzące na siebie bewupy Studenta znalazły się na skrzyżowaniu dwóch zachodzących na siebie znaczków celowniczych, to trzeba po prostu wciskać spust i cieszyć się dwoma bliźniaczymi trafieniami. Na szczęście oglądana od frontu armata-dwururka bluznęła dwiema plamami ognia i wyleczyła mnie z wątpliwości.

Posłałem im pocisk, zanim ten ich doleciał w sąsiedztwo naszego wozu.

Student strzelił w biegu. Miał przed sobą niewysoką górkę i pewnie zaczynający się stok sprawił, że pocisk poszybował za wysoko. Wiele chyba nie brakło, ale strzał okazał się za długi, więc eksplozja nastąpiła gdzieś daleko z tyłu i nic nie przesłoniło mi widoku.

Widziałem wyraźnie – choć podwójnie – jak słup ognia i kurzu wyrasta z ziemi, pochłaniając nadjeżdżający wóz i odrzucając go o kilkadziesiąt stopni z poprzedniego kursu.

Patrycja szarpnęła wolantem natychmiast, niemal w chwili eksplozji. Odruch paniki. A nie panikuje się na widok pocisku eksplodującego daleko przed pojazdem.

Cholera. Prawie ich miałem. Ociupina wyżej i dostaliby w podbrzusze.

Zamiast tego oberwali w odwagę. Chyba oboje. Przez następne pół minuty Patrycja prowadziła wóz chaotycznym zygzakiem, a Student po raz pierwszy tracił bez sensu amunicję.

Widziałem jedynie górną część kadłuba, nie próbowałem więc strzelać, ale oni i owszem – walili ile wlezie. Zmarnowali trzy pociski, z których najlepiej wymierzony nie trafiłby w stodołę, gdybym to w stodole zaparkował.

Potem 0313 znikł niemal w całości. Z przodu łagodne wzniesienie, z tyłu chyba jakaś niecka – i zmałał do rozmiarów górnej, węższej połówki wieży. Widziałem ją jeszcze, była jednak tak mała, że zniekształcenia układu optycznego praktycznie wykluczały jej ostrzeliwanie. W końcu bym trafił, tyle że „w końcu” jest dobre dla kogoś z pełnym magazynem amunicji, nie trzema kumulacyjnymi sierotkami, trzymanymi na czarną godzinę.

Nawet Student miał wątpliwości. Stali i stali, myśleli i myśleli, nim ich armata w końcu przemówiła.

Pocisk poderwał chmurę pyłu kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów przed nami – i na jakiś czas znów zrobiło się spokojnie.

Próbowałem liczyć. Wychodziło mi, że strzelali do nas dwadzieścia jeden razy. Może źle wychodziło, ale większa dokładność była wręcz niewskazana. Przenosili amunicję w skrzynkach i nadwyżka z tej ostatniej mogła jechać w przedziale desantu. Nie było sensu zakładać, że kiedy

Młody odpalał pierwszy pocisk, tam, na miejscu wymiany z Turkmenami, mieli ich równo 40.

Tak skrupulatne rachunki mogły prowadzić na manowce. No i, prawdę mówiąc, nie miały sensu.

Połowę już wystrzelali, ale połowa została i, gdyby strzelali równie sensownie jak dotąd, powinni nas dostać, nim skończą im się naboje. To, że do tej pory żyliśmy, to bardziej kwestia szczęścia niż błędów Studenta. Był jak gracz, który rzucił sześciokrotnie kostką i nie trafił szóstki. Los miał u niego dług, a z losu jest honorowy facet, który może nie od razu, ale spłaca tego typu długi.

Pozostawało pytanie, czy sytuacja dojrzała do rzucania kostką.

Tkwiałem przy celowniku i patrzyłem, jak Student zмага się z tym problemem. Zaczął od pomiaru odległości: nie kryjąc się z tym, usiadł na obramowaniu wjazdu i przez chwilę manipulował przy dalmierzu. Chyba dalmierzu – pewności nie miałem. Czujniki naszego bewupa zamocowane były do kadłuba, kadłub skryty za górką, więc aparatura ostrzegająca przed laserem nie zareagowała. Inna sprawa, że Student też musiał mieć z tym kłopoty. Wydma o łagodnym spadku kiepsko odbija promienie, a widoczny kawałek wieży był zbyt mały. Pewnie dlatego tak długo walczył o precyzyjny pomiar.

Potem schował się w wozie i spróbował szczęścia.

Pocisk przeniósł. Nie wiem o ile, ale przeniósł.

Następny też.

Trzeci okazał się za krótki, wybuchł między nami a strzelającym i na jakąś minutę przekreślił sens strzelania. Czwarty przeleciał bokiem – diabli wiedzą: za wysoko, za nisko czy może idealnie. Znajdowaliśmy się daleko jedni od drugich i naturalny rozrzut armaty dawał o sobie znać.

Nie zdziwiłem się zbytnio, widząc, jak pokrywa w stropie wieżyczki unosi się, a na prowadnicę wjeżdża Malutka.

– Kasia.

– Tak? – Odpowiedziała błyskawicznie. Jeśli zastanawiałem się, jak bardzo jest zdenerwowana, mogłem to sobie darować. Była. Bardzo.

– Wsiądźcie. Oboje – dorzuciłem szybko, obawiając się protestów. – Może odpalą raketę. Ja też wsiadam. Za chwilę. Pomóż Lechowskiemu.

Tym razem usłuchała. Skorzystałem z faktu, że lufa działa jest pusta, załadowałem odłamkowym i – nie przykładając się zanadto – posłałem pocisk w stronę wozu Studenta.

Eksplodował tam, gdzie chciałem: między nami, na tyle blisko kryjówki przeciwnika, by na jakiś czas zasłonić mu widok. Bałem się ryzykować przestrzelenia, więc świadomie zaniżyłem nastawę odległości i gwizdzące nad wieżą odłamki raczej nie postraszyły Studenta. Nie dałem tym samym żadnemu szansy rozprawienia się z mocowaną na wyrzutni raketą, ale cóż – niczego

nie dostaje się za darmo. Kupowałem czas, a to był najskuteczniejszy sposób.

Złapałem RPG razem z nosidłem na amunicję, zabrałem noktowizor, precyzyjnie nacisnąłem przycisk na zwolnione miejsce kierowcy. Rozglądałem się przez chwilę, wysilałem pamięć, po czym uruchomiłem aparaturę dymotwórczą i wygramoliłem się z wozu, by sprawdzić, czy działa.

Działała. Rozgrzany silnik błyskawicznie odparowywał doprowadzane przez specjalną instalację paliwo. Patrząc na gęstą chmurę, rosnącą w oczach do imponujących rozmiarów, skłamałem w duchu za bezmyślność. Kiedy jak kiedy, ale w trakcie ucieczki ten stary patent mógł się okazać naprawdę użyteczny. Powiniennem dużo wcześniej...

– To pomoże? – W głosie Kaśki brakowało optymizmu. Może tłumiała go zadyszka.

Lechowski sprawiał wrażenie przytomnego, ale chyba bardziej wyniosła go z wozu, niż pomogła wysiąść. Teraz klęczała obok drzwi, przy nogach Szamockiego.

– Celownik powinno oślepić. – Rozejrzałem się. – Zasuwaszcie za tamtą górkę.

– A ty?

– Nie będzie strzelał. Potrzebuje tej rakiety.

– To zostanę.

Nie chciało mi się kłócić. Może zresztą miała rację: beze mnie raczej nie przeżyją. A szybka śmierć od eksplozji jest łatwiejsza niż bezsilne wyczekiwanie na nieuchronne obok wraku wozu i mojego trupa.

– To wracaj do środka. Może próbować rozpryskownikami.

Uniosłem się i sprawdziłem, jak noktowizor radzi sobie z coraz gęściejszą chmurą dymu.

Wyglądało na to, że nie bardzo. Chyba dostrzegłem górkę, za którą krył się wóz Studenta, ale tylko chyba.

Rakieta w każdym razie nie nadlatywała.

Zamiast niej przyleciała fala elektromagnetyczna.

– Dobra, Adam – zaszemrał wiszący przy kamizelce radmor. – Szybciej będzie, jak się dogadamy.

## Rozdział 32

Nie rozmawialiśmy długo – Studentowi chyba naprawdę się spieszyło – ale chmura spowijająca wóz zdążyła zgęstnieć na tyle, że najpierw trafiłem butem w stopę Kaśki, a dopiero potem zauważyłem ją, siedzącą obok haka holowniczego.

– Przepraszam.

– I co? – Zignorowała i przeprosiny, i kostkę, prawdopodobnie otartą uderzeniem żołnierskiego kamasza.

– Nic. Musimy jechać. Dasz radę?

– Czego chciał? – Dźwignęła się, lecz tylko na kolana.

– Niczego sensownego. Chodź. Zmywamy się.

– Będą strzelać? – Nie wstawiała.

– Ale nie trafią – uśmiechnąłem się jak ktoś, kto prosi, by nie brać jego słów śmiertelnie serio.

– Coś ci musiał proponować. To nie idiota.

– No nie wiem. Chciał, byśmy się wami wymienili.

– Nami?

– Panienkami – zażartowałem. – Ty za Patrycję.

– No to faktycznie idiota. Młodsza, ładniejsza i na pewno lepiej obciąga. Lepiej, co?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć ot tak, z marszu.

– Nie... to znaczy... skąd mam wiedzieć?

– No tak – zgodziła się. – Ja nie zdążyłam.

– Kaśka...

– Tak szczerze: spałeś z nią?

– Nie. Przecież ci mówiłem.

– To nic złego.

– Nie mówię, że złego. Mówię, że nie spałem.

– U niej to zawód, u ciebie fizjologia. – Sprawiała wrażenia kogoś, kto ciągnie zaplanowany monolog, nie zwracając uwagi na rozmówcę. – Czysty, uczciwy układ.

– Kasia, musimy jechać. Poprosiłem o czas do namysłu, ale to raptem minuta, dwie. Jak się nie doczeka odpowiedzi, zaczniesz strzelać. Przynajmniej wejdź do środka.

Dźwignęła się. Wsiedliśmy do wozu. Zamknęła nawet pokrywę. Ale pierwsze słowa, jakie usłyszałem w hełmofonie, nie przypominały klasycznego meldunku kierowcy.

– Ze mną to też fizjologia. Rozumiem. Tylko szkoda, że nie powiedziałeś.

Miałem ochotę warknąć, że to nie pora na rozmowy o głupotach. Pewnie by wystarczyło.

– Z tobą nie – rzuciłem sucho zamiast tego. – Jedź.

Nie pojechała.

– Wymiana i co dalej? Wracamy razem do bazy?

– Na wschodzie są trochę wyższe góry. – Trzymałem się poprzedniego tonu. – Rozpędź się w tej chmurze. Powinniśmy przeskoczyć bezpiecznie.

– Ona z tobą, ja ze Studentem? – Zignorowała moje słowa dokładnie tak samo, jak ja jej. – Przyjdzie bez broni? Żebyś mógł ją zabić, jeśli on mnie zabije?

– Kasia, on naprawdę mówił o dwóch minutach. Rusz dupę.

– Tłustą mam, ciężko ruszyć. – Nie zdążyłem wymyślić stosownego komentarza. – Powiedz mu, że się zgadzam.

Dałem sobie spokój z komentarzami.

– Nie.

– Tak.

– Zabije cię.

– To najwyżej. Ty zabijesz Patrycję i wszyscy będą szczęśliwi. Więcej forsy do podziału, żadnej laski, o którą Ilona mogłaby być zazdrosna. Dwie konkurentki z głowy.

– Jedna.

– A tak, przepraszam. Patrycja. Z takim tyłkiem żadna ze mnie konkurentka.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Zabijała nas, ale przynajmniej śmierć będę miał fajniejszą, niż myślałem.

– Też tak mówi. Że ma za gruby tyłek.

– Patrycja?

Coś jej zachrząściło w głosie. Nie zauważyłem u siebie zdolności telepatycznych, ale czułem, co jej chodzi po głowie. „Nie opowiada się takich rzeczy obcym facetom.”

– Ilona.

Milczała. Żałowałem, że tak daleko ode mnie. Chciałbym jej dotknąć. Choćby dłonią, jeśli nie da się ustami.

– Dwie głupie idiotki – powiedziałem miękko. – Bardzo ładne je macie. Obie.

Myślałem, że teraz ruszy. I może nawet nie myliłem się tak bardzo. Ale połowa komplementu – bo tyle na nią przypadło – to trochę za mało na taką dziewczynę.

– Adam, ja mówię serio. Zróbmy tak. Przecież nie zaryzykuje jej życia.

– Student? Nie doceniasz go.

– Wiem: to wredny kutas. Ale jest jeszcze Chudzyński. I ty. – Zawahała się chyba, dokończyła jednak zdecydowanym tonem. – Dwóch facetów, którzy by się za nas mścili.

– Naprawdę go nie doceniasz. Studiował psychologię. Wie, że co innego bronić, a co innego mścić.



– Aha. Dzięki.

– Pewnie bym go zabił – powiedziałem spokojnie. – To znaczy: próbował. Ale problem w tym, co on sobie myśli. A jego zdaniem skreślę cię lekko dla szansy na Iłonę.

Milczała kilka sekund.

– No to się chyba nie myli.

– Szczerze? Gdybym miał pewność, że to mi ją da, może bym się zastanawiał. Kocham ją, wiesz. To robi z człowieka niezłego sukinsyna. Miliard ludzi byś poświęcił dla tej jednej. Ale nikt mi nie da pewności.

– Szansa nie wystarczy? – zapytała cicho. – Przy takiej nagrodzie...

– Nagroda zajebista – przyznałem. – Tylko że szansa prawie żadna. Nie oddam cię na odstrzał, czarnulo. Miliard ludzi tak, ale nie ciebie. Chyba mi się przydasz.

– Na otarcie łez? – Nie odpowiedziałem. – Myślisz, że bym mogła? Po tym wszystkim, co mi o niej opowiadałeś? Myślisz, że jakakolwiek normalna kobieta by mogła?

– Normalna? – zastanowiłem się. – Chyba nie.

– Przecież ty z niej jakieś bóstwo... Nawet próbować nie warto. Jakbyś się z lokomotywą przepychała. Masz jej pełną głowę i jeszcze ci się uszami wylewa.

– Ty nie jesteś normalna.

– Wielkie dzięki.

– W normalnych się nie kocham. Musi być niezwykła.

Zrobiło się jakoś cicho. Silnik warczał, chyba nawet na wyższych obrotach. Ale było cicho. Wiedziałem, że tak będzie. Magiczne słowa potrafią wyczarować ciszę nawet w środku szykującego się do drogi bewupa.

– Jedź, Kasia – powiedziałem miękko.

\*

– I co? – Pytanie Studenta zlało się z odgłosem przechodzenia na trzeci bieg. – Zastanowiłeś się?

Uniosłem dłoń do przełącznika, ale nie użyłem go jeszcze. Czerń wokół rozpędzającego się wozu ulegała rozrzedzeniu, wciąż jednak było jej wystarczająco dużo, by grać na zwłokę.

Stawką były raptem sekundy, tyle że z tych sekund mógł uskładać się jeden strzał więcej.

Patrzyłem w peryskop. Chyba dopatrzyłem się zarysu spłaszczonego pagórka – ale wieży jeszcze nie widziałem.

Rozbłysków ognia też nie.

– Adam? Jesteś tam?

Na razie pytał o miejsce w eterze, nie przestrzeni. Za mało podniecenia w głosie. Jeszcze niczego nie zauważył.

Czekałem. Z kciukiem na przełączniku. Kiedy zrozumie, powinno trochę nim szarpnąć.

Jeśli dołożę do tego odpowiednio mocną kpinę, może szarpnie na tyle porządnie, że spieprzy pierwszy strzał. Byle wyczuć ten moment. Bo raczej nie wścieknie się aż tak, by uprzedzić mnie wrzaskiem. Już teraz mówił głośno i...

Olśnienie dopadło mnie skandalicznie późno.

– Zygzak, Kasia – warknąłem. – Już wiedzą.

Kluczący wóz jest trudniejszym celem, ale też porusza się wolniej i dłużej pozostaje pod ogniem. Nauczyła się już, by jeździć po prostej jak długo się da i właśnie tak, prościutko jak strzelił, wyjeżdżała z rozległej na jakiś hektar strefy zadymienia.

– Widzisz ich?

Do niczego nie potrzebowała tej informacji. Mojego głosu w słuchawkach – widocznie tak.

– Nie. Odjechali stamtąd. Słyszę, że jadą. Sukinsyn.

Byłem zły na siebie. Powinienem przewidzieć, że Student skorzysta z obustronnej niewidzialności. Miał za mało czasu, by odjechać daleko i dotrzeć w miejsce, skąd widać odsłonięty bok naszego wozu. Pagórek, za którym stanęliśmy, był na to zbyt szeroki. Ale chyba nie o to chodziło. Trafnie przewidział, że możemy próbować ucieczki pod osłoną dymu. Gdyby tkwił w swoim komfortowym skądinąd okopie, mógłbym uciec wzdłuż łączącej nas prostej, pozostając niewidocznym aż do momentu opadnięcia dymu. Czyli praktycznie już na zawsze, bo chmura powinna utrzymać się dłużej, niż trwałby przeskok na drugą stronę takuru.

Po prostu musiał zmienić kąt widzenia. Byłem kretyńcem, nie biorąc tego pod uwagę. I drugim kretyńcem, wstrzymując się z zagadywaniem go przez radio, a równocześnie pozostając głuchym na akompaniament towarzyszący jego słowom. Bałem się, że usłyszy, iż ruszyliśmy – a sam przegapiłem odgłos zmagającego się z bezdrożem silnika.

Drugi raz to samo, jak wtedy, przy becze. Ile razy planowałem jakiś numer, to on mi go wykręcał.

Cholera. Jeśli odbili w prawo, jak my...

Szukałem gorączkowo, obracając wieżę o całe dziesiątki stopni poza godny uwagi sektor.

Musieliby dysponować śmigłowcem, by w tak krótkim czasie dotrzeć tak daleko.

Nie było ruchu, kurzu, rozbłysków.

Zostawiliśmy z tyłu najdłuższe macki nieruchomego dymu. Powinni strzelać. Nasz BWP wciąż stawiał zasłonę z rozdrobnionego na aerozol paliwa i dla kogoś patrzącego z boku musiał być najlepiej widocznym obiektem w okolicy.

Jeśli Student chce użyć armaty, to dawno powinien...

Nie strzelał.

I nie widziałem go. Gdyby czekał z palcem na spuście Malutkiej, stanąłby chyba gdzieś wyżej, prawda? Nie ryzykuje się bez potrzeby, mając ostatnią szansę. Ruch celu i najgwałtowniejsze uniki nie stanowią przeszkody dla pepeka, ale już jakieś wzniesienie, które

nie w porę znajdzie się między operatorem a celem... Nie strzelałby z żadnej nory. Ustawiłby wóz najwyżej jak się da. Zobaczyłbym go.

A nie zobaczyłem.

Nie było ich tutaj. Skręcili w niewłaściwą stronę.

Mieliśmy jedną szansę na dwie i los uśmiechnął się do nas. Ja też się uśmiechnąłem, kiedy pierwszy pocisk wypadł z ciągnącego się za wozem dymu i mijając nas o dobre kilkanaście metrów, poszybował w głąb pustyni.

Udało nam się. Jeszcze raz się udało.

\*

– Trzydziesty pierwszy – powiedziałem, patrząc na eksplodujący daleko z tyłu pocisk. – Według moich obliczeń.

Kaśka, która też zauważyła rozbłysk, poruszyła wolantem, wracając na wyznaczony kurs.

Gładki, ładny manewr.

– Dobra jesteś – uśmiechnąłem się. – Jako kierowca.

– W czymś trzeba. – Gorzko to brzmiało. Milczałem, łudząc się, że na tym poprzestanie. – Z nią też jeździłeś?

Nie poprzestała.

– Raz. – Darowałem sobie pytanie, czy ma na myśli Patrycję. Była zbyt ważna na takie gierki. No i uratowała mi życie. Z tych trzydziestu jeden pocisków kilka pewnie zahaczyłoby o nas, gdyby spanikowała, doprowadziła do zgaśnięcia silnika, zgubiła gaśnicę czy po prostu prowadziła równo i bez fantazji. – Na kursie prawa jazdy.

– Aż tak źle? – W jej głosie nie było satysfakcji, raczej apatia.

– Mało nie skasowała autobusu. Na Szczecińskiej – dodałem z naciskiem. W okolicach Stargardu tylko pas startowy poradzieckiego lotniska w Kluczewie zapewnia kierowcy więcej przestrzeni i czasu, by się rozglądać.

– Jezu. To faktycznie lepiej kup jej konia. Ma dziewczyna talent.

– Pan Czesio, jej instruktor, powiedział, że etap działania wyraźnie wyprzedza u niej etap myślenia.

Nie dodałem, że to nie wtedy. Ze sama mi opowiadała o tamtej, wcześniejszej wpadce, z przekornymi błyskami w oczach robiąc z siebie blondynkę za kierownicą i bawiąc się anegdotą nie gorzej od słuchaczy.

– Albo volvo. Podobno najbezpieczniejszy wóz. Szkoda by było takiej księżniczki.

Wysokie wzniesienie przegrodziło nam drogę. Skręciła. Wóz Studenta, już przedtem widoczny jedynie w postaci obłoczka kurzu na horyzoncie, znikł na dobre. Od jakiegoś czasu nie ciągnęliśmy za sobą zasłony dymnej. BWP i bez tego żarł paliwo jak smok, ale nie dlatego kazałem Kaśce wyłączyć agregat. Byliśmy coraz bliżej cywilizacji i tego typu ogon mógł nas

zdekonspirować. Wołałem też wiedzieć, gdzie znajduje się nasz prześladowca, choćby i kosztem wystawiania się na mierzony strzał. Mając do dyspozycji drogowskaz w postaci chmury dymu, mogli zaryzykować odskok w bok i wyścig równoległy. Gdyby zyskali przewagę, wystarczyło skręcić i zająć nam drogę.

– Nie lubisz jej, prawda?

– Adam, ja jej nawet nie znam.

– Jasne. Cofam pytanie.

– Dobra. Nie lubię. Troje w łóżku to dla mnie za dużo.

Milczałem jakiś czas.

– Wtedy, w łóżku... Nie było jej. Naprawdę. Tylko my.

Skręt, potem drugi. Pół kilometra prostej. W celowniku znów pojawił się słupek kurzu.

Wóz Studenta przyspieszał, nie zanosilo się na strzelanie.

– Jak ty to sobie, kurwa, wyobrażasz? Że powie „nie”, a ja przylecę cię pocieszać? Po tym wszystkim, czego się o niej nasłuchiwałam?

– No.

– Słucham?!

– Wiem – wymruczałem. – Skończy się pewnie na wódzie i podcinaniu żył. Albo może się jakoś pozbieram. Sam. Ale wolno chyba pomarzyć, nie?

– Znajdziesz kogoś – powiedziała ciszej.

– Nie sądzę.

– Znajdziesz. Tylko nie opowiadaj jej o Ilonie.

– No właśnie.

– Co: „właśnie”?

– Ty mówisz o jakimś materacu. Ja o Kochaniu i szczerości. Nie chcę takiej, której umiałbym kłamać.

Nic więcej nie miała do powiedzenia.

\*

– Mamy bazę w zasięgu radia – oznajmił ponuro Student. – Już nawiązałem kontakt.

– Brawo – rzuciłem kpiąco.

– Ale jeszcze nie powiedziałem, że mają was załatwić.

– I tak trzymaj.

– Wkurzasz mnie. Też tak trzymaj, a naprawdę skończysz jak Młynarczyk.

Zerknąłem przez noktowizor. Na lewo od wozu znów ciągnęły się pagórki, może tylko częściej przyozdobione kępami roślinności. Kanał znikł. Ale był tam. Niedaleko. Już raz udało mi się go wypatrzeć. Wąska, płaska dolina, co jakiś czas rozdymana zapadliskami takyrów.

Właśnie przecinając skraj jednego z nich, dostrzegłem kreseczkę nasypów.

Wóz Studenta skręcił w taki prześwit. Kosztowało ich to z minutę i – w praktyce – rezygnację z szans na udany strzał, ale teraz musieli być dużo bliżej. Albo nawet i dalej – licząc na północ, w kierunku bazy. Wzdłuż kanału biegła podła bo podła, lecz jednak droga, a każda droga jest z definicji lepsza od sąsiadującego z nią bezdroża. Mogli jechać szybciej i prawdopodobnie w końcu nas wyprzedzą.

– Ostatnia propozycja, Adam. Odbij na wschód i jedź na północ, do następnego mostu.

Słyszysz? Powiesz, że zabłądziłeś. Tylko musisz skręcić już teraz. Znow dmucha. Zasypie ślady.

Powolutku, ale zasypie. Te oddalone. Jak się przejedziesz przed bazą, ktoś może zdążyć je wypatrzeć.

Mówił spokojnie, rzeczowo, jak sumienny nauczyciel do ucznia, za którym nie przepada, ale któremu mimo to stara się wyjaśnić problem.

– Następny most jest cholernie daleko – przypomniałem.

– Wolę wrócić do bazy pieszo. A to wymaga czasu.

– Już uzgodniliśmy zeznania. Zapomniałeś?

– Wolę plan A. Rozbiegamy się dookoła bazy, przeczekujemy noc, rano wracamy.

Bardziej naturalne.

Miał rację. Gdyby komuś przyszło do głowy zbyt dociekliwe dochodzenie, stosowne czynniki pewnie i tak ukręcą mu łeb – dochodzeniu, nie ciekawskiemu – ale najlepsza metoda to po prostu nie prowokować. Przyklaskiwałbym Studentowi rękoma i nogami, gdyby nie jeden drobiazg.

– Z rannymi już jest kiepsko. Każdy kwadrans może się liczyć.

– Może. Dobre słowo: może. Ale mogą też przeżyć bez chirurga następne pół dnia.

Chcesz ginąć dla trochę mniejszego ryzyka? I Adam, ja nie żartuję. Pewnie się sfajczysz, jakby co, ale jeśli zdążysz wyskoczyć, to daję ci słowo: rozjadę na naleśnik. Jak Młynarczyka. Też był wielki kozak i patrz, jak skończył. W desce surfingowej go pochowają. Aha, no i jak chcesz wojny, to na całego. Mamy w bazie radiolinię, pamiętasz. Za minutę do kraju może polecieć wyrok na Olafa. Żaden problem. O tej porze łączą się wolne.

– Zwolnij – warknąłem do interkomu. Kaśka posłusznie zdjęła nogę z gazu. Wdech, wydech. I jeszcze raz. Dopiero potem przełączyłem hełmofon na radio. – Jest problem, Student.

Forsa. Muszę ją schować. Gdzieś, gdzie potem znajdę. A nie mamy GPS-a. – Znow pstryknąłem przełącznikiem. – Stop, Kasia. Zobacz, co z Szamockim.

– Chcesz...? – nie dokończyła. Wóz stanął.

– Jak myślisz, że ci dam swój, to zapomnij – oświadczył Student. – Też nie mam zamiaru melinować tego w szafce.

Przynajmniej wiedział, o czym mówię. Że w tym bezmiarze przestrzeni jest rozpaczliwie

mało miejsc, które moglibyśmy wykorzystać. Rzeźba terenu? Parę dni wiatru i przechodzi do historii. Roślinność? Tubylcy wytną na opał.

Zlustrowałem zachodni horyzont. Nic. Sporo drobnych chmurek kurzu, żadnej dużej chmury. Wiatr i nic więcej. Chyba że zwolnili i skradali się do nas na jedyńce.

– Obejdzie się. Mam miejsce. Ale niedaleko bazy. Mogę się zgodzić na ten północny most, tylko najpierw daj spokojnie podjechać i zakopać pieniądze.

– Jak niedaleko? – Warkot w tle jego głosu niewiele mi mówił. Był monotony, co równie dobrze mogło oznaczać szybką jazdę drogą albo wolną po bezdrożu.

– Kilometr. Niecały – dodałem uczciwie. – Ale to już poza zasięgiem wzroku. Nikt nas nie wypatrzy.

– Zapomnij.

– No to po rozmowie. Nie zakopię pieniędzy byle gdzie.

– Schowaj nad kanałem. Kanał znajdziesz.

– Nie ma sprawy. Wystrzel Malutką, tak żebym widział, i jadę nad kanał. – Odczekałem chwilę. – Masz mnie za idiotę? Tam wszędzie jest płasko. Dopóki macie pepeka, nie wystawię nosa zza wzgórz.

Teraz on milczał przez parę sekund. Zerknąłem w dół, ale nie udało mi się stwierdzić, co robi Kaśka. Wóz stał, więc chyba jednak przelazła na tył, do rannych.

– Dobra. Idę na to.

Zaskoczył mnie. Nie pomyślałem, że może się zgodzić.

– Skręć w lewo i wypuść serię smugowych – dorzucił. – Nie wiem, jak daleko zajechaliście.

O tym też nie pomyślałem. Wiatr wypełnił całą okolicę setkami obłoczków kurzu, niby nie tak wielkich, ale zdolnych zdezorientować. Wątpliwe, by wiedzieli dokładnie, gdzie się znajdujemy. Nie mogli być daleko, skoro rozmawialiśmy przez nadajniki z drastycznie skróconymi antenami, jednak od momentu, gdy zaczęło wiać, definicje dużej i małej odległości mocno się zmieniły.

Zastanawiałem się gorączkowo. Jeśli jedzie, za chwilę usłyszy, jak pogarsza się łączność, i zyska pewność, że zostaliśmy w tyle. A wówczas zrobi w prawo zwrot i przyczai się gdzieś na trasie naszego przemarszu. W dodatku nie byłem pewien, jak daleko od bazy jesteśmy. Jeśli blisko, mógł wybrać miejsce odległe o strzał armatni od mostu i zablokować nas tym samym na amen.

Trudno. Z dwojga złego lepiej ściągnąć go nad kanał. Jeśli faktycznie poświęci rakiety, szanse się wyrównają.

– Kaśka! – krzyknąłem w głąb wozu. – Jedziemy!

Coś usłyszała. Chyba za mało, bo nagle poczułem, że wciska się na stanowisko celowniczego.

– Co?

Gdyby poszła dalej, usiadła przy wolancie i założyła hełmofon, dowiedziałaby się wszystkiego ciut później, ale w sumie, biorąc pod uwagę ciasnotę wnętrza, trwałoby to krócej.

Inna sprawa, że pomyślałem o tym po fakcie. Trochę wcześniej moja ręka sama, bez podpierania się hipotezami opartymi o te przemyślenia, opasała jej talię.

– Kierunek kanał. – Wystarczyło podnieść głos, wybrałem jednak wariant ust ocierających się o jej ucho.

– Dlaczego? – Jej ręka też powędrowała gdzieś za moje plecy, ale tylko tyle wiedziałem.

Kamizelka zatrzymująca kule potrafi też zastopować niektóre informacje. Nie byłem pewien, czy jestem obejmowany i czy cokolwiek to znaczy. W tej ciasnocie nawet Student rozmawiałby ze mną podobnie.

Wyjaśniłem jej dlaczego.

– Chcesz tam schować pieniądze? To spory kanał.

Święta prawda. Wracając tu za parę miesięcy – a taki był najbardziej realny termin – miałbym problemy z odróżnieniem jednego odcinka od drugiego.

– Chcę ich załatwić – powiedziałem. I nie siląc się już na udawanie czegośkolwiek, pocałowałem ją w policzek.

Znieruchomiała. Przesunąłem usta bliżej jej ust. Jeszcze jeden delikatny pocałunek. Nic.

Więc jeszcze bliżej... Niespiesznie odwróciła twarz.

– Daj spokój.

Dałem. W nagrodę mogłem poprzytulać się do niej jeszcze przez chwilę. Nie próbowała się uwalniać, nawet z twarzą nie uciekała od mojej. Tylko usta odmawiały ustom.

– To nie dla niej. – Wolałbym mówić to innym tonem, ale mając pracujący silnik tuż za cienką ścianką, trzeba ocierać się o pokrzykiwanie. – Nie narażałbym cię.

– Nie ma sprawy.

– Możemy jechać przez ten północny most.

– Nie. Zabij skurwiela. – Cofnęła się z bladym uśmiechem na twarzy. – Albo zabijesz Czarka. Marnie z nim.

Patrzyłem, jak znika za przegrodą, oddzielającą przestrzeń pod wieżą od reszty wozu.

Potem, odruchowo, zerknąłem w celownik i peryskopy. A potem znów poczułem na sobie jej dłonie. Tym razem obie.

Wepchnęła się między siedzisko a skrzynki z oprzyrządowaniem, wykorzystując moją nogę w charakterze poręczy.

– Poczekaj...

Czekałem. Była tak blisko, że mimo wszechobecnej woni pojazdu czułem jej zapach.

Kwaśny, nieprzyjemny. Kobieta z klasą nie podejdzie do mężczyzny w takim stanie. Chyba

że musi. Ona nie musiała. Nie tym razem. A była tu.

– To idiotyzm. Kochasz ją. Nie rób tego. Nie narażaj jej dziecka. Bo się kiedyś wygadasz, frajerze, i nigdy ci tego nie wybaczy. Nigdy. Wszystko spieprzysz.

Uśmiechnąłem się smętnie. Musnąłem palcem jej policzek.

– Chyba nie ma czego.

– No to czemu...?

– Bo mi nadzieja nie chce zdechnąć.

Milczała przez chwilę.

– Nie lubię jej – powiedziała. – Ale też mam dziecko. Jedziemy na północ, Adam. To nie jej wina, że nie jesteś w jej typie. Nie masz prawa narażać Olafa.

– Nie rozumiesz? Albo ja zabiję ich, albo oni ciebie. Wbili sobie do łbów, że musisz umrzeć.

– Nic nikomu nie powiem. I wezmę forszę.

– Kasia... – przez chwilę szukałem właściwych słów. – Za późno. Mnie Student też wykończy.

– Pogadam z nim.

– Przy tej ostatniej beczce poświęcił trzydzieści trzy tysiące. Tylko po to, by nas załatwić.

To już nie kwestia bezpieczeństwa. Taki ma teraz cel w życiu: zabić nas.

– Jedźmy na północ.

– Pojedziesz – obiecałem. – Jak mi nie wyjdzie. Masz mi obiecać, że pojedziesz. Słyszysz?

Dasz słowo honoru. Gaz do dechy i wzdłuż kanału. Do pierwszego mostu. Jak go zobaczysz, wyskakuj i machaj czymś białym. – Zastanawiałem się przez chwilę. – Zdejmij majtki. Serio.

Chłopcy mogą być nerwowi. Wsiądź daleko od zasieków i machaj, ile wlezie.



## Rozdział 33

– Jeśli nie powiem inaczej – kończyłem pośpieszny instruktaż, wypychając nogą ostatnią beczkę – wiejesz na północ, równe dwadzieścia kilometrów za drogą skręcasz nad kanał i chowasz forsę. Koniecznie zakop gdzieś obok pocisk. Metal znajdziemy, papieru za cholere. I zadzwoń do Ilony jak najszybciej. Z pierwszego telefonu. Niech bierze małego i znika. Nic nie tłumacz. Powołaj się na mnie. Nastrasż. Ją cholernie łatwo nastraszyć, jeśli chodzi o Olafa. Ma kompletnego szmergla na jego punkcie.

Rozmawialiśmy przez radio: to jedyny skuteczny sposób, by nie tracić kontaktu, kiedy jeden z członków załogi postanawia połączyć po pędzącym wozie.

– Adam, a może...

– Nie – warknąłem. – Ja i Student. Nie mieszaj się.

Beczka wypadła. Nie zamykając drzwi, uniosłem przedni właz dachowy. Spięty pasem pakiet, złożony z RPG i zasobnika z parą zapasowych naboji, został na podłodze, a ja wygramoliłem się na pancierz.

– Nie mogę cię zostawić – usłyszałem, włączając na wieżę. – Dla mnie to robisz. Byłabym ostatnią kurwą.

Udało mi się nie spaść, choć na razie traktowała rozkazy poważnie i zasuwiała ile pary w silniku. Bewupem rzucało jak cholera, a mną jeszcze bardziej. Do wieży nie tyle wsiadłem, ile zostałem wkopany przez jakiś wybój.

– Kurwą to będziesz, jak zostawisz Zosię dla faceta.

Dobry tekst. Byłem z siebie dumny. Zamilkła. Minęliśmy główne pasmo wzniesień. Zza opadającego horyzontu wyrzała kreska nasypów, wysepki roślinności porastającej brzegi kanału.

Wóz zaczął zwalniać.

– Jeśli cię zabiją, będę się czuła jak szmata.

Patrzyłem przez noktowizor, wychylony z włazu. Strzał rozpryskowym powinien poprzedzić impuls lasera, zdążę się schować. Przy trafieniu pepancem nie miało znaczenia, po której stronie pancierza trzymam głowę.

– Nie zabiją mnie.

– To po co mam odjeżdżać?

Świat rozszerzał się jak rozkładany wachlarz. Wzrok stopniowo sięgał coraz dalej na północ i południe. Bo i na południe zerknąłem raz czy drugi. 0313 powinien być przed nami, na kierunku bazy, ale na wszelki wypadek...

Nie wypatrzyłem go. Co było do przewidzenia: tak jak my, czaił się gdzieś na styku wzgórz z doliną, jeszcze pod osłoną wzniesień, a już z widokiem na otwartą przestrzeń.

- Choćby po to, by ratować rannych. Słyszałaś: przez bazę nie przejedziemy.
- To nie walcz. Zero zysku. Uciekajmy.
- Jak ucieknę, to ich nie kropnę. A to dobra okazja.
- Nie musisz.
- Kasia, daj już spokój.
- To wariactwo. Zabiją cię.
- Mój problem.

Nasz BWP już nie tyle jechał, ile pełzył. Ręka trzymająca noktowizor zaczynała mi się pocić.

Nic, ani śladu.

- Mój też. Coś mi jesteś winien.
- Przecież forsa jedzie...
- Pieprzyć forszę. Orgazm. Obiecałeś, Adam.

Mało nie zgubiłem noktowizora. Wariatka. Porąbana jak pień na zapalki.

- Za taką kasę kupisz sobie całą męską agencję towarzyską. – Nie było czasu na subtelności.
- Kretyn.
- I pamiętaj: gdyby co, pół mojej doli jest dla Ilony.

Wredne, ale wiedziałem, że tym ją dobiję. Zamilkła, a ja zmieniłem częstotliwość.

- Jesteśmy, Student. Strzelisz racę? – Cóż szkodzi spróbować.
- Nawet rakiety. Ale najpierw ty serię.

Raz kozie śmierć.

Nacisnąłem spust kaemu. Krótka seria nad kanał i od razu lufą w prawo. Wyprzedzili nas.

Muszą być na północy. Blokować drogę do bazy. Nie poświęca się takiego atutu.

Wierzyłem w to – i już na starcie znalazłem się o dwa pociski do tyłu. Pierwszy, wystrzelony z południa, gdzie nawet nie próbowałem patrzeć, okazał się za krótki. Postawił słup kurzu między nami a 0313 i zanim obróciłem armatę, Student poprawił następnym. Na oślep, ale z wyczuciem.

Gdyby Kaśka nie ruszyła rakiem sekundę wcześniej, oberwalibyśmy w wieżę.

Dopałem twarzą celownika i nie zważając na coraz szybszy ruch wozu, naprowadziłem nitki na monstrualnie wielką sylwetkę. Pół kilometra, najwyżej. Mieli cholerne szczęście albo wrózkę na pokładzie, chowając się akurat tam. Gdyby nie pośpiech przy pierwszym wystrzale...

Ja też się pospieszyłem. Patrzyłem z niedowierzaniem, jak doskonale widoczny ogon raketowego przyspieszacza przelatuje nad doskonale widocznym zadem bewupa.

– Gazu, Kasia! – Najpierw się wydarłem, a dopiero potem przypomniałem sobie o konieczności zmiany kanału. Ze Studentem nie było już o czym gadać. Znow jego kolej. Jeśli nie odskoczymy w martwe pole, za najbliższy barchan...

Nie zdążyliśmy. BWP jest szybki, ale przyspieszenie ma dalekie od motocykla żużlowego. Byłoby po nas, gdyby Student nie popisał się lepszym.

Zareagował błyskawicznie, zanim jeszcze mój pocisk doleciał w sąsiedztwo celu. Granaty dymne pękły zaraz potem. Tylko dwa, ale to w zupełności wystarczyło. Trzeci pocisk 0313 wypadł już zza czarnej zasłony, minął nas o metry.

– Zwrot!

Chwila nerwów – i jechaliśmy przodem. Kaśka nie zgubiła gaśienicy, a ja zdołałem utrzymać więź zwróconą we właściwą stronę. Gdyby Student pomknął naszym śladem, może nawet bym go trafił.

– Co robimy?

– To co w planie! Jedź, a jak powiem, hamuj!

Zadymiania nie było w planie, ale uruchomiła agregat, a ja nie protestowałem. Zanim przebiliśmy się przez pas wzniesień i skręciliśmy na północ, wóz ciągnął już za sobą ładny, czarny ogon. Inna sprawa, że dostaliśmy właśnie wtedy: kiedy teoretycznie staliśmy się niewidoczni.

Pocisk nadleciał nie wiadomo skąd i rozwalił nam tylną część lewego błotnika. To znaczy: próbował rozwalić burtę, tyle że mu się nie udało. Mieliśmy szczęście w nieszczęściu i oberwaliśmy odłamkowym.

Właz miałem już zamknięty, ale i tak serce podskoczyło mi do gardła. Huk był dość przerażający, coś tam się zapaliło, nie ognia jednak się bałem, lecz nagłego zwrotu. Jeśli zerwało gaśienicę, tak to się skończy: bezradnym piruetem w miejscu i równie bezradnym czekaniem na zagładę. Nie zdążę niczego zrobić. Zanim w ogóle zorientuję się w kierunkach świata, Student poprawi i...

Wóz mknął, podskakiwał na nierównościach – i nie zamierzał skręcać.

Mijały sekundy. Wiele. Dziesiątki.

Czerń z tyłu i żadnych rozbłysków.

Dostrzegłem przemykającą obok beczkę. Czort wie którą. Wcześniej żadnej nie zauważyłem.

Kaśka zaczęła zwalniać.

– Szykuj się! – krzyknęła.

O jasna cholera... Już? W panice omal nie skoczyłem w dół, w stronę lewej, zajętej przez rannych części przedziału desantowego. Byłoby szybciej, tyle że wylądowałbym na piasku z gołymi rękoma.

– Jedź! – zawołałem. – Dodaj gazu!

Rzykowałem połamanie paru kości więcej, ale uznałem, że warto. Student nie powinien wypatrzeć wozu. Z myślą o takim czarnym wariancie powyrzucałem beczki – miały podsunąć mu odpowiedź na pytanie, dlaczego uciekamy z otwartymi drzwiami – wołałbym jednak nie sprawdzać skuteczności pomysłu. Raz obudzona podejrzliwość może nie poprzestać na wizji beczek-pułapek, które jakoś tam eksplodują, gdy 0313 na nie najedzie. Drzwiami wysiadają

zwykle ludzie i gdyby skojarzenia poszły w tę stronę, mój plan mógłby wziąć w łeb. Każda dodatkowa sekunda wolnej jazdy mogła też skutkować strzałem. Musiałem podjąć ryzyko.

Zjechałem z wieży, chwyciłem się uniesionej pokrywy. Dobrze. Ślizg na ławkę, zamknąć właz, głowa w dół, chwyt za granatnik, bieg na tył wozu. Dopiero wypychając rękę w asekuracji przed rozkołysanymi drzwiami, zauważyłem, że płoną. Wewnątrz miały zbiornik, wypełniony już tylko oparami, ale nadal gościnnie dla ognia.

– Hamuj!

Nie pomyślałem, że to rozhuśtane cholerstwo zareaguje dokładnie tak jak moje ciało i niesione siłą bezwładu rzuci się na zwalniający wóz. Na szczęście o własnym ciele pomyślałem.

Zaparłem się solidnie i kiedy runąłem głową do przodu w malejący otwór, impetu wystarczyło i na mnie, i na blaszanego zawalidrogę. Próbował przydusić mnie do tylnej ścianki i podpalić, nogi miałem już jednak za progiem i grawitacja opowiedziała się po mojej stronie.

Grzmotnąłem o ziemię, najpierw lewym kolaniem, potem lewym barkiem, plecami, biodrem – czort wie którym – znów jakąś nogą, brzuchem, znów ręką, plecami... Nie wiem, ile razy mnie przeturlało. Kiedy świat w końcu znieruchomiał, nie udało mi się wypatrzeć granatnika. Kurz, dym, mrok, słabnący ryk silnika – i nic więcej. Dźwigałem się z trudem, próbując wypędzić z głowy paniczną myśl o pozostawionej w przedziale desantowym broni.

Miałem ją w ręku, ani przez ułamek sekundy o niej nie zapomniałem – prawdę mówiąc, nie myślałem o niczym innym, jak o kończynach połamanych tym żelastwem – a jednak niemal udało mi się uwierzyć, że odjeżdża bewupem.

Zerwałem się, przebiegłem parę kroków i wyrznąłem jak długi, gdy stopa trafiła na coś okrągłego, co umknęło spod niej jak lód spod łyżwy nowicjusza.

Widoczność wciąż była żadna, ale na szczęście pospiesznie sklecony pakiet rozpadł się dopiero pod koniec twardego lądowania i wszystko leżało obok siebie. Ładunek miotający, na którym wywinąłem orła, torba z resztą amunicji, sam granatnik. W ramach zbierania poobijanych kości wymacałem je i podniosłem się z ziemi już jako pełnosprawny wojownik.

O ile ślepeca można określić tym mianem.

Dopiero biegnąc w prawo, w stronę wydm, zdałem sobie sprawę, że nie mam noktowizora. Ot tak, po prostu: nie mam. Może spadł, kiedy wyskakiwałem, może zostawiłem go w wozie, odrzucając nieświadomie, gdy Student zaczął strzelać, albo zahaczając o coś.

Cholerstwo ważyło z kilogram – a ja nawet nie zauważyłem, kiedy przepadło.

Zdołowałyby mnie to – gdybym miał czas się martwić. No i gdyby nie odkrycie, że w środku zasłony dymnej wzmacniacz światła i tak niewiele by mi pomógł.

Inna sprawa, że ta pocieszająca myśl pojawiła się później: kiedy rozpedzone nogi przeniosły mnie przez pierwsze wysokie na pół metra wzniesienie, kolana ugięły się same, a ręce wydźwignęły na ramię rurę granatnika. Musiałem spojrzeć w celownik i zobaczyć zielonkawą

nicość.

Odbiegłem kilkanaście metrów od śladu gąsienic, ale okazało się, że to za mało. Po prawej noktowizor wychwytywał mętne zarysy krzewów i piaszczystego stoku, jednak reszta świata przesłonięta była gęstą chmurą dymu. Południe też. A właśnie od południa narastał warkot silnika.

Kłęczałem za płaskim pagórkiem, zastanawiając się gorączkowo, czy nie pobiec z powrotem. Oczami wyobraźni widziałem bewupa Studenta mknącego po naszych koleinach – gdybym stanął na tak wytyczonej trasie, sam najechałby mi na lufę. Żadnego kombinowania, żadnych poprawek. Jeden ruch palca i po kłopotcie.

Kuszące.

Ale jeśli chybię albo po prostu zauważą mnie pierwsi... Żadnych szans na poprawkę. Tu, za wzniesieniem, w sąsiedztwie wyższych wydym, miałem je, przynajmniej teoretycznie. Nie musiałem stawiać wszystkiego na jedną kartę.

Spudłuję i jak Młynarczyk: w desce surfingowej...

A potem Kaśka. Może nawet Ilona. Za wiele było tych rozmów, listów. Będą podejrzewać, że coś jej wygadałem. Więc dla świętego spokoju i ją...

Łoskot narastał. Już nie tylko silnik: słyszałem także grzechot układu jezdnego. Albo tylko mi się wydawało. Strach robi dziwne rzeczy ze zmysłami, a ja się bałem. Nie wiem, czy bardziej rozjeżdżania żywcem, czy pozostawienia dziewczyn samym sobie, wydania na rzeź – ale fakt faktem: bałem się jak nigdy dotąd.

Biec? Zostać?

Wciąż nic nie widziałem.

Strzelać na wycucie, kierując się słuchem?

Byli blisko, a ja nie potrafiłem ocenić, którędy jadą. Mogli faktycznie po śladach, maksymalnie oślepieni dymem i kurzem. I narażeni na niespodzianki w postaci porzuconych pocisków. Nawet odłamkowy mógł rozstrzygnąć walkę, trafiając pod gąsienicę, zrywając ją i unieruchamiając 0313. Aha, no i te nieszczęsne beczki. Więc raczej trasa z boku, gdzie dymu było mniej i nic nie leżało. Raczej na lewo od naszych śladów – bo na prawo były podnóża wydym.

Ja też byłem na prawo.

Bezmózgi kretyn, który chyba właśnie zabił dwie najważniejsze w swoim życiu kobiety.

Zerwałem się na nogi. Ryk silnika przestał narastać – i zaczął się przemieszczać. Wciąż był gdzieś na południe ode mnie, ale kiedy wskoczyłem w chmurę dymu, aż nadto dobrze usłyszałem, jak przesuwa się z prawej w lewą.

Gnałem sprintem. Zasobnik z zapasową amunicją, źle przerzucony przez ramię, walił mnie po udzie, a zaraz potem, odepchnięty ruchem nogi, po tylnej krawędzi hełmu. Hełm zjeżdżał mi

na oczy, co niewiele zmieniało, bo i tak nic nie widziałem. Dym był wciąż tak gęsty, że przestałem widzieć koniec pocisku. Ale może to dlatego, że już w biegu zarzuciłem RPG na ramię. Wiedziałem, że jeśli zdążę, to w ostatniej chwili. Nie mogłem zmarnować ani kawałka sekundy.

No i nie zmarnowałem.

BWP Studenta był już wyraźnie z lewej, gdy go wypatrzyłem. Minął mnie, odjeżdżał.

Nacisnąłem spust, zanim nogi wyhamowały. Nie miałem wyjścia: w celowniku właśnie rozmywały się ostatnie ostre linie, wykrawające zad maszyny z wirującego tumanu.

Wziąłem poprawkę na ruch. I nawet trafiłem: pocisk pomknął ochoczo śladem znikającego wozu i rozerwał się gdzieś na poziomie moich oczu, a więc na pewno nie od uderzenia w ziemię. Tyle że w chwilę potem silnik bewupa ryknął wściekle, uwolniony na kilka sekund z obowiązku napędzania kół, Patrycja zmieniła biegi i oddalający się hałas, zamiast słabnąć, zaczął przemieszczać się z lewej w prawą.

Obcierka. Nie ucierpieli. I zawracali.

Zacząłem składać następny nabój. Pocisk, ładunek miotający, skręcić. Kiedy wpychałem go do lufy, Student zaczął strzelać. Na dwie sekundy rozszczękał się karabin maszynowy. Skręt wozu uciął serię – wieża nie nadążyła za kadłubem – ale tych dwudziestu pocisków wystarczyło.

Północną stronę świata zalał rudy blask.

Beczka z benzyną. Może wypatrzyli wszystkie poprzednie, teraz jednak ktoś do nich strzelił, więc na wszelki wypadek kaem rozprawił się z jedynym podejrzanym obiektem, dostrzeżonym w chaosie kurzu i dymu. Odruch. To nie zmieniało zasadniczego planu: zatoczyć łuk i dopaść przyczajonego z tyłu wroga. Wiedzieli, gdzie jestem.

Nie zamierzałem na nich czekać.

Kaśka oddalała się z każdą sekundą. Wystarczyło uzbierać tych sekund kilkadziesiąt, by ją ocalić.

Pognałem z powrotem ku wydmom.

Zdążyłem. Patrycja nie próbowała zwalniać, dzięki czemu wóz stanowił znacznie trudniejszy cel, ale też musiał zataczać szerszy łuk. Zyskałem sporo czasu.

Wpadłem między sięgające ud trawy, potem na jakiś stok. Wydawał się wysoki, więc runąłem ślizgiem na kolana, gdy tylko na powrót zaczął opadać.

Błąd. Dymu było tu już mniej i dość szybko się zorientowałem, że górka jest za mała. Nie osłoni kłęczącego człowieka. Lepiej odskoczyć dalej.

Student, jakby odgadując moje myśli, zaczął siać po okolicy wachlarzami kul. Nie widział mnie, ale sektor wybrał właściwy, więc najpierw zrezygnowałem z poruszania się biegiem, a potem w ogóle z robienia czegokolwiek. Miał od cholery amunicji i właśnie czynił z niej dobry użytek.

Leżałem na brzuchu, gratulując sobie wyboru za każdym razem, gdy nad karkiem przelatowała bryłka metalu albo osłaniający mnie pagórek wypluwał fontannę piachu.

Powtarzałem sobie, że to jemu się spieszy. Nie mnie. Jemu. Ale to nie była cała prawda. Jeśli zostanie, nie pogna za Kašką, powinienem rozstrzygnąć walkę, nim dym opadnie.

Wychyliłem się z za wzniesienia. Nic. Słyszałem huk silnika, potem zaterkotał karabin – a sylwetki wozu nie udało mi się wypatrzeć. Ciemno. Musiałbym przez celownik. Zacząłem przekładać RPG na ramię. Coś uderzyło w ziemię, tuż obok. Osunąłem się czym prędzej do tyłu.

Zauważył?

Czekałem. Serce waliło mi w tempie sto dwadzieścia. Kretowisko, nie górka; dłuższa seria rozniesie toto w strzepy, nie trzeba nawet wspomagać się armatą. I to najgorsze: za mało miejsca na unik, gdyby Student dotrzymał słowa i chciał mnie rozjechać jak Młynarczyka.

Ale najpierw będzie strzelał. BWP to nie współczesny czołg, każde trafienie z granatnika jest dla niego śmiertelną próbą. Dostanę ostrzeżenie. Kiedy kule zaczną przelatywać obok nie dwójkami, ale całymi tuzinami, trzeba będzie poderwać się na kolana i spróbować szczęścia.

Student nie strzelał. Nie w moją stronę. To znaczy: nie bardziej niż w inne. Nie żałował sobie i co chwila dostawało się także mojej górcie oraz powietrzu nad nią – ale na zasadzie omiatania ołowianym deszczem całej okolicy.

Zacząłem pełznąć. W lewo, potem do tyłu. Barchan na zachodzie wyglądał przy moim kretowisku jak Mount Everest. Gdybym dostał się na drugą stronę, chyba mógłbym biegać. Skok na jeden koniec, strzał, ucieczka na drugi. Nawet eksplozję armatniego pocisku dałoby się przeżyć przy odrobinie szczęścia.

Przebyłem z pięć metrów, obejrzałem się przez ramię – i zobaczyłem to.

Z północy, wysoko, najmniej dwa piętra nad ziemią, nadleciał pocisk. Wąski, długi ogon raketowego ognia. Siedemdziesiątktrójka. Kumulacyjny. Nie byłem aż takim ekspertem, by go zidentyfikować – po prostu dodałem dwa do dwóch. Ręka sama puściła granatnik, sięgając do radmora.

– Kaška!!! Spadaj stąd!!!

Wydarłem się tak, że przez chwilę prawie wierzyłem, iż wyjazd bewupa z dymu ma z tym coś wspólnego. Ale oczywiście nie miał. 0313 umykał między wzniesienia z linii ognia. Posłał też własny pocisk na północ.

Nie próbowałem sprawdzać, czy trafił. Zerwałem się na równe nogi i strzeliłem.

Następny, trzeci z kolei idiota marnujący deficytową amunicję.

Nie w tym rzecz, że spudłowałem – bo akurat jako jedyny trafiłem. Przynajmniej w obrys celu. Tyle że ciut wcześniej między mną a celem wyrosło drzewko. Uschnięte, karłowate i żałosne. Oraz materialne.

Głowica eksplodowała po mojej stronie cieniutkiego pnia, wyrzuciła chuchro na dwa metry

w górę i długim jęzorem coraz bardziej rozproszonego strumienia kumulacyjnego dopadła burty pojazdu.

Potem BWP zniknął. Za wydmą, do której próbowałem go nie dopuścić.

Zmarnowałem prawie dwie sekundy, stojąc jak osłupiały i gapiąc się z niedowierzaniem na płonące szczątki drzewka. Chyba jedyne po tej stronie wzgórz. Otrzeźwił mnie odgłos przegazowanego silnika. Zmiana biegów. Zbyt nerwowa, ale trudno się nie zdenerwować, prowadząc wóz, który właśnie zainkasował cios pociskiem przeciwpancernym.

Sięgnąłem przez ramię, jak łucznik do kołczanu. Wyciągnąć głowicę, wyrzutnia pod lewą pachę, skok. Biegłem w stronę palących się gałązek i kurzu, który gęstniał w miarę, jak się zbliżałem. Pocisk do lewej ręki, prawa za plecy, ładunek miotający wyskakuje z pokrowca. Nie zgubić granatnika. Nie wywalić się na pysk. Zdążyć.

Nie zdążyłem. Warkot silnika oddalał się, rozmywał w odbiciach od sąsiednich wzgórz, tonął w dymie. Bo nie kurz stanowił problem. Problemem stał się dym.

Oberwali, wystraszyli się i uruchomili agregat. Jak my. Może zresztą Student podjął tę decyzję wcześniej – zadziwiająco szybko wypełnili czernią całą okolicę. Tak czy inaczej kiedy obiegłem wzniesienie, w pośpiechu upychając w lufie ostatni nabój, było już za późno.

0313 pełzał gdzieś na zachód ode mnie, całkiem blisko, walił z kaemu – chyba na oślep – i był kompletnie niewidzialny. Słyszałem go – to wszystko.

Dłoń do przełącznika radiostacji.

– Zjeżdżaj stąd, Kaśka! Słyszysz?! Uciekaj, idiotko!

Naszego bewupa nie słyszałem, lecz to nic nie znaczyło: mógł być nawet o sto metrów ode mnie. Nie obejrzałem się, nie sprawdziłem. A teraz już za późno. Dym. Wszędzie dym. I kule, dziurawiące go rozmytymi igielkami światła. Widziałem tylko co trzecią, smugową, ale i tych było za dużo.

Teoretycznie mogłem strzelać, kierując się ich trajektorią, tyle że Student siał nimi dookoła i w ruchu – za cholerę nie potrafiłem ustalić jego pozycji. No i wzgórz. Niektóre serie coś połykało, czyli między mną a wozem musiały być wzniesienia wysokie na co najmniej dwa metry. Trafiłem w jedyne drzewo, jakie tu wyrosło. Niby dlaczego nie miałbym wpakować granatu w któryś z barchanów?

Nie miałem odwagi ryzykować. Oni też umieli liczyć. Powinni wiedzieć, że został mi ostatni nabój.

Kaśce, nawiasem mówiąc, też został ostatni. Albo Lechowskiemu – nie wiedziałem, które popisało się tym godnym przeciwnika strzałem. Nieważne. Nie liczyli się. Student zrezygnował z pościgu z mojego powodu. To mnie chciał zabić, nim pojedzie dalej. Tamtych dwoje, choćby i z kompletem amunicji, nie stanowiło zagrożenia. Zresztą na pewno zawrócili.

Jeśli umrę za szybko, Patrycja ich dogoni, a Student wykończy. Tak wyglądała prawda.



Jeśli umrę – albo zmarnuję ostatni pocisk.

Nie pomyślałem o trzeciej ewentualności. Na szczęście załoga 0313 też nie. Przynajmniej na początku.

Manewrowali wśród wzniesień, siali dookoła z karabinu maszynowego i próbowali mnie trafić, względnie sprowokować do strzału. Przejechać raczej nie: dość szybko zauważyłem, że wóz trzyma się możliwie daleko. I słusznie. Miażdżony gąsienicami nieszczęśnik zwykle zdąży pociągnąć za spust.

Miałem do wyboru: leżeć za którąś z górtek albo wychylić się z granatnikiem na ramieniu i próbować cokolwiek dostrzec. W pierwszym przypadku uniknąłbym kul. Tyle że i Studentowi w niczym bym nie zaszkodził. Drugi wariant był ryzykowny, niósł jednak szansę ostatecznej wygranej.

Gdyby choć na chwilę pokazali się w celowniku...

Wybrałem kompromis. Trochę leżałem, a trochę klęczałem, wytrzeszczając oczy w ciemność. Żadną zabłąkaną kulą nie dostałem, bewupa nie wypatrzyłem, za to doznałem olśnienia. Mało radosnego: uświadomiłem sobie, co powinien zrobić Student oraz co ja muszę zrobić, zanim i jego olśni.

Uniosłem się i zgięty wpół przebiegłem do następnej wydmy. Prawdę mówiąc – jedynej, którą widziałem.

Udało się. Nikt nie strzelał w tę stronę. Minałem pagórek. Z mroku wyłonił się następny.

Też go zignorowałem. Kaem walił niemal bez przerwy, ale żaden smugowy pocisk nie pojawił się w polu widzenia. Dobrze. Może się uda. Jeśli zdążę się zbliżyć, nim Student obróci wieżę...

Chyba zdążyłem. Musiałem być blisko, skoro tak mocno dostałem po oczach rozbłyskiem i oberwałem aż trzema kawałkami rozpedzonej materii. Ręczny granat nie lata daleko.

Powaliło mnie raczej zaskoczenie niż ból. Udo zapiekło – i tyle. Kamień. Trafienia w korpus były jeszcze mniej dokuczliwe: po prostu poczułem, że coś rąbnęło w kamizelkę, pod pępkiem i obok obojczyka. Leżałem już, kiedy górą przemknęła pierwsza seria. Sypnęło mi po plecach piaskiem. Zatrzeszczało. Znów sypnęło. Znów zatrzeszczało powietrzem, dartym przez szybsze od dźwięku kawałki metalu. Wyzbyłem się złudzeń.

Student wiedział, gdzie jestem.

Młody – bo tylko on mógł rzucać granaty – najwyraźniej nie: następny eksplodował całkiem gdzie indziej. Miałem szczęście. Gdyby przypadkiem nie posłał pierwszego w moim kierunku, wpakowałbym się przed celownik nie jako znikające za wydumą coś, ale spora ludzka sylwetka. Konałbym w tej chwili, wybebeszony precyzyjnie ułożoną serią.

Zabrakło sekundy.

Teraz zabrakło centymetrów – licząc w pionie.

Pocisk kalibru 73 musnął grzbiet osłaniającego mnie wzniesienia i nie eksplodując, doleciał do następnego. Nie było daleko, ale dziesięć metrów to sporo jak na możliwości lekkiej, w dodatku przeciwpancernej głowicy.

Znów dostałem jakimś odłamkiem po kamizelce. Ogłuchłem też i przysmażyło mnie żarem podmuchu – lecz nic poza tym. Czołgałem się w lewo jeszcze szybciej niż przedtem.

BWP walił z kaemu. Trochę w pagórek, trochę ponad nim. To w jeden koniec, to w drugi.

Młody rzucił też granat, który wybuchł po tamtej stronie. Armata nie odezwała się więcej. Żeby przeładować, Student musiałby wyłączyć z akcji karabin, a to byłoby głupotą. Pełzłem z szybkością spanikowanej jaszczurki, ale nie przepuściłbym takiej okazji. Chwila ciszy – i klęczę.

Byli blisko. Zobaczą ich i rozwalę. Zanim pójda po rozum do głowy i zrobią to, co należało zrobić na samym początku. Czyli odjadą.

Zatrzymując się i rozpoczynając polowanie na mnie, Student popełnił największy z dotychczasowych błędów. Powinien pojechać dalej między wzgórza, zatoczyć łuk i dopaść Kaški. Co prawda i tak musiałby potem wrócić, by mnie wykończyć, ale rozsądna kolejność była właśnie taka. Najpierw pojazd, mogący umknąć, a dopiero w drugiej kolejności piechur.

Człowieka, raz straconego z oczu, trudniej znaleźć, więc rozsądnie postąpił, próbując zlikwidować mnie z marszu, potem jednak wdał się w długotrwałą ciuciubabkę i to już nie było rozsądne.

Tyle że teraz go zdrowo nastraszyłem. Odskoczy na zachód, zacznie myśleć. Nic tak nie daje do myślenia, jak chichot kostuchy nad uchem. Omal go nie dopadłem. Wściekła, chaotyczna strzelanina dowodziła, że zdał sobie z tego sprawę.

Dudniło mi w uszach, słyszałem jak przez watę. Umialem jednak określić kierunek, z którego dobiegały trzaski prochowych ładunków i pomruk silnika. Dwie sekundy spokoju i znajdę drani w środku celownika. Dwie sekundy spokoju.

Nie dawali mi ich. Jeden strzelał, drugi miotał granat za granatem. Nie miałem prawa ryzykować, nie tak blisko środka górk. Dotrzeć do jej końca i dopiero wtedy...

Nie zdążyłem. Wóz ruszył. Wystarczyło jedno spojrzenie: ściegi smugowych pocisków kreśliły nad grzbietem pagórka całkiem nieprawdopodobny wzór. Góra, dół, skoki o całe metry, jakaś szalona sinusoida. Tylko jazda po wertepach może wywołać taki rozrzut.

Poderwałem się na kolana. Za mało. Okazało się, że moja osłona jest wyższa. Więc półprzysiad. Trochę to potrwało. Potem usiłowałem przebić wzrokiem zasłonę kurzu.

Bez skutku. Wpakowanie w niewielki kawałek pustyni kilkuset kul daje efekt nie gorszy od burzy piaskowej.

Minęła chwila, nim zorientowałem się, że to nie tylko kwestia zapylenia. Celownik zdechł. Cholera wie dlaczego. Odłamek? Wstrząs? Baterie siadły? Nieważne. Nie działał i to się liczyło.

Pozostała muszka ze szczerbinką.

Kaem umilkł. Tylko na chwilę, ale to mi wystarczyło, pomogło podjąć decyzję. Zresztą jedyną możliwą. Uciekali, a ja mogłem albo ich dogonić, albo usiąść na tyłku i zacząć płakać po ludziach, których skazałem na śmierć.

Pobiegłem. Nie w kierunku hałasu – aż tak mi nie odbiło. Byli na zachód ode mnie, więc wybrałem kierunek północno-zachodni. Na przecięcie trasy ich odwrotu. Kaem obrabiał południowy koniec wzniesienia. Udało się. Dopadłem najbliższej wysokiej wydmy i nikt do mnie nie strzelił. Za sprawą granatów Młodego kurz wisiał także tutaj.

Biegłem. Coraz szybciej. W końcu na przełaj, nie bawiąc się w schyłanie i szukanie osłon. Ale i tak zostawałem w tyle. Bo 0313, choć wciąż bijąc krótkimi seriami, oddalał się w kierunku kanału.

Kurz skończył się wcześniej. Dym trochę dalej. W tym momencie powinienem paść martwy – bo ciemności się nie skończyły i pędziłem, całkiem ślepy oraz w połowie głuchy, na spotkanie wyposażonego w nowoczesny noktowizor wozu. Wystarczy, że ktoś spojrzy we właściwą stronę.

Warkot silnika narastał. Ale trochę bardziej szumiało mi w uszach. Nie byłem pewien odległości. Biegłem z granatnikiem na ramieniu. Na drugim miałem duszę.

Nie dogonię. Uciekną. Zabiją Kaşkę, nie będzie komu ostrzec Ilony, więc ją też zabiją.

Może nie od razu. Może najpierw będą pytać: ile wie, z kim się tą wiedzą podzieliła. Jakież to problem: zgarnąć do furgonetki drobną, niczego nieświadomą dziewczynę, wywieźć do lasu i...

Nie myśleć o tym. Biec.

Biegłem. Gonilem trzynastotonowego smoka, który pędził, by pożreć moją księżniczkę.

Błagałem go, by mnie zauważył i zionął ogniem. Zabił, dając szansę rozprucia mu bebechów.

I smok usłuchał. Zionął ogniem.

Stado świetlików wyleciało z gniazda, pomknęło w moją stronę. Rozbłysk płomieni wylotowych wykroił z mroku ścięty stożek sunącej w poprzek wieżyczki. I nic ponadto. Nie widziałem ani kadłuba, ani, na dobrą sprawę, własnych przyrządów celowniczych. Tylko rój płonących, metalowych owadów i miejsce, z którego wyskakiwały. Głupie, pijane świetliki, mijające mnie bokiem, górą, walące łebkami w piach...

BWP Studenta jechał za szybko. Prawie przeciąłem mu drogę, lecz zabrakło mi kilkunastu sekund i od razu stało się jasne, że ucieknie. Pomknie na północ, zniknie, nim wypatrzę kadłub, złożę się porządnie do strzału, wezmę poprawkę na ruch. Nawet gdybym przeżył. A nie powinienem. Wozem rzucało, kule chybiały, jednak wciąż przelatowały nie dalej niż o metr, półtora. W końcu któraś trafi.

Zatrzymałem się i strzeliłem. Kilka wirtualnych wieżyczek przed tę realną, plującą ogniem. I niżej. Tam, gdzie – na moje wyczucie – znajdzie się środek kadłuba, kiedy trajektoria pocisku przetnie się z kursem wozu.

Potem padłem na kolana. Powinienem na twarz, ale chciałem wiedzieć. Klęska czy triumf? Nie dowiedziałem się.

Kula eksplozji połknęła wieżyczkę. Sam wóz jednak, nagle widoczny, oblepiony plamkami ognia, skręcił płynnie w moją stronę. Patrzyłem z niedowierzaniem, jak wychodzi z łuku i sunie prościutko na mnie.

Dźwignąłem się na nogi. Nawet nie tak szybko. Mogłem szybciej. Zmusiłem się, by tego nie robić. Od samego początku, odkąd tylko zaświtał mi w głowie pomysł tego wariackiego polowania, szykowałem się na tę chwilę. Nie tak miała wyglądać; powinienem teraz uwijać się, ładując RPG kolejnym nabojem – ale czułem, że do tego dojdzie. Do bezpośredniej, fizycznej szarży góry żelastwa, przed którą będę musiał uskakiwać. Jak toreador przed bykiem. Dobry toreador stara się sprawiać wrażenie mniej ruchliwego, czeka z unikiem do końca, więc i ja czekałem. Na szczęście krótko. Nie musiałem rozmyślać o tym, że właśnie zostałem bez szpady i każdy unik to jedynie odroczenie wyroku.

Sunąca trzydziestką klinokształtna morda bewupa była o kilkanaście metrów ode mnie, kiedy skoczyłem w prawo. Tak jak przypuszczałem, Patrycja zareagowała i niemal od razu ściągnęła wolant. Wozem zarzuciło. Przebiegłem ze trzy kroki, wyhamowałem, wbijając piętę w piach, odbiłem się, pognałem w lewo. Udało się. Znow skręciła, ale wywinąłem się gąsienicy.

Zabrakło jej ćwiartki metra.

Gdybym miał amunicję, mógłbym teraz spróbować załadować granatnik. Jakoś go nie zgubiłem. Może właśnie tego bała się Patrycja. Zamiast odjechać, zawrócić i z dystansu kilkudziesięciu metrów wystartować do następnej szarży, wdusiła hamulce. Zorientowałem się w porę, pobiegłem za bewupem.

Pozostać w martwym polu. To jedyny sposób: cały czas być gdzieś, gdzie mnie nie widać albo, przynajmniej, dokąd nie da się szybko dojechać. Z boku, z tyłu, blisko ziemi. Ich wieża płonęła, podobnie jak spore połączenie stropu kadłuba. Nikt stamtąd nie strzeli. Nie widziałem dziury wypalanej przez strumień kumulacyjny, ale ten ogień dowodził, że dostali. Czyli po Studencie. Jeśli nawet nie zginął, na pewno nie nadawał się w tej chwili do niczego.

Wóz na razie nie stanowił zagrożenia. Toczył się wolno, skręcał, dotrzymywałem mu tempa. Nie doganiałem, ale też nie zostawałem w tyle. Przyszło mi do głowy, by spróbować dopaść klamki, otworzyć drzwi. Tylko które? I co dalej?

Mieli broń. Karabiny, pistolety. Młody rzucał granatami. No właśnie: Młody.

Nie widziałem go. Dachowe włazy nad przedziałem desantu były pozamykane. Czy wybuch głowicy mógł spowodować opadnięcie uniesionej pokrywy? Jeśli tak, to miałem z głowy Młodego. Ale mógł schować się do środka wcześniej, gdy stało się jasne, że odjeżdżają. Mógł miotać się teraz po ciasnym wnętrzu, wyglądając przez peryskopy i szukając mnie gorączkowo.

Biegłem za bewupem, wypatrując wpychanej w gniazdo strzeleckie lufy. Wciąż nie rzucałem

swego RPG. Przestał być bronią, ale trudno mierzyć się ze smokiem, mając całkiem puste ręce.

Patrycja zatrzymała wóz, zaczęła go obracać wokół nieruchomej, prawej gašienicy.

Dopałem lewej, umykającej mi strony szerokiego zadu, chwyciłem za klamkę. Szarpnąłem.

Drzwi odskoczyły, zawisły na skośnych zawiasach. W środku było ciemno: albo wyłączyli oświetlenie, albo część elektryczności im siadła. Nie widziałem niczego, BWP wciąż się obracał, próg umknął mi sprzed nosa. Ktoś krzyknął. Potknąłem się, zawisłem jedną ręką na klamce.

Błysk z przodu. Wystrzał. Niecelny: rykoszet sypnął iskrami z ościeży. Patrycja wypaliła drugi raz, znów pudłując. Niełatwo pogodzić strzelanie przez ramię, choćby i z WIST-a, z prowadzeniem wozu. Wypuściłem klamkę, padając na kolana. Prawa gašienica dołączyła do lewej, tylna ścianka kadłuba zaczęła się oddalać. A górą, przez właz wieżyczki, ktoś gramolił się na zewnątrz.

Nie było dymu, kurzu też niewiele. W świetle księżycy kikut urwanego ramienia zdawał się lśnić perłowym różem. To po tym rozpoznałem Studenta: po ręce, której nie było. On jeden mógł oberwać tak paskudnie. Dostali przed chwilą, widocznie nie w wieżę, tylko niżej. Przez piach, jak przedtem, od Francuzów. To osłabiło strumień i pewnie ocaliło pozostałą dwójkę.

Próbowałem dogonić przyspieszającego bewupa. Tym razem prawe drzwi: przez lewe co parę sekund wylatywała kula. Student, chwiejąc się i walcząc z osłabieniem, próbował wyjąć peem z kabury przy udzie. Udało mu się w końcu. Lewa ręka, prawe biodro – ale dokonał tego.

Twardziel.

Dopadałem już klamki, kiedy któraś z kul Patrycji rąbnęła mnie w naramiennik kamizelki. Zabolalo, ale gorzej, że podziałalo jak cios pałką: wypadłem z rytmu, potknąłem się, omal nie zgubiłem granatnika. Bo wciąż ściskałem go w wolnej ręce. Nie wiedziałem po co.

Dowiedziałem się kilka sekund później i kilkanaście susów dalej. Znów doganiałem umykające drzwi, kiedy nagle same skoczyły mi na spotkanie. Oberwałem blachą po wyciągniętej dłoni. Skrzydło pomknęło dalej, ustawiając się w zwisie równoległe do burty.

Chyba omal nie pociągnęło za sobą Młodego. Nie spodziewał się mnie tak blisko. No i nie był w najlepszej kondycji. Jednej ręki potrzebował do otwierania drzwi, druga bardziej zastępowala przebite udo, niż dźwigała karabin. Z nosa płynęła krew: pewnie efekt skoku ciśnienia, wywołanego wybuchem.

Trochę potrwało, nim zdołał odzyskać zachwianą równowagę i chwycić beryla oburącz.

Dostrzegłem unoszącą się lufę, ale byłem już wtedy bliżej, no i też trzymałem rurę granatnika w obu rękach. Wypchnięta do przodu trochę rozpaczliwym wyrzutem, ugodziła Młodego w czoło.

Dostatecznie mocno, by runął na plecy. Karabin pociągnął za sobą, co akurat nie miało wielkiego znaczenia: gdyby wypadł mi pod nogi, pewnie i tak nie zatrzymałbym się, by go podnieść.

Słusznie lub nie, wbiłem sobie do głowy, że jeśli raz odpadnę od wozu, będzie po walce. Zabiją mnie. Zastrzelą z daleka, rozjadą, szarżując z dużą prędkością, rzucą granat. Nie dadzą mi drugiej szansy. Nawet sama Patrycja sobie poradzi. Jeśli tylko pozwolę jej chwilę pomyśleć.

Biegłem więc dalej.

Byłem całkiem blisko, wyciągnięte do przodu palce wyczuły już nawet metal. Chwył, wybicie i wciągnę się do wnętrza. Potem... Nie wiedziałem, co potem: karabin Młodego, jakiś granat czy po prostu gołe pięści. Nie zdążyłem pomyśleć.

Student w końcu doprowadził peem do stanu używalności i strzelił mi w czoło.

## Rozdział 34

Upadłem głównie z wrażenia: hełm nie tylko wyhamował impet pocisku, ale i zredukował wstrząs do czysto psychicznego. Sztywna, osadzona na elastycznej wykładzinie skorupa spisała się dużo lepiej od pozbawionej stalowych wkładów kamizelki. Mogłem się o tym przekonać w chwilę później, gdy próbowałem się zerwać z ziemi i kiedy Student wpakował mi drugą serię.

Tym razem zabolalo. Trzy ciosy kijem, wszystkie po żebrach. Na tyle silne, by rzucić mnie na plecy, oszołomić.

Kiedy przetoczyłem się na bok i odnalazłem wzrokiem bewupa, widziałem ich już z profilu: i wóz, i Studenta. Patrycja zawracała. Gwałtownie. To jej energiczny manewr złamał w pasie wychyloną z wieżyczki jednoręką sylwetkę i chyba dzięki niej nie oberwałem kolejną serią po nogach czy tyłku. Ale Student podnosił się już z mozolnym uporem przydeptanej trawy i od początku wiedziałem, że najpierw zostaną zastrzelony, a dopiero potem rozjechany na miazgę.

Numer z uskokiem toreadora był nie do powtórzenia. Byk nie był już sam: miał na karku strzelca. A nawet gdyby nie, gdyby ten cholernik zachował się w końcu po ludzku i zemdlął z powodu szoku czy utraty krwi... Ile razy można kusić los? Patrycja w końcu skręci we właściwą stronę.

Nie podnosząc się jeszcze z kolan, odrzuciłem RPG. Upuściłem właściwie: nie miałem w sobie dość energii na rzucanie czymkolwiek. Nawet granatem. Palce zacisnęły się na podwieszonym do kamizelki jaju raczej z myślą o mniej bolesnej śmierci niż o stawianiu oporu.

Gdyby to był nasz, polski... Ale pragmatyczni jankesi zaopatrzyli sojuszników w paskudztwo, które raczej okaleczało, niż zabijało. Na pół usmażonego jeńca łatwiej przepytają: za obietnicę zastrzyku z morfiny wyśpiewa wszystko. I żaden trybunał nie przyczepi się do pytającego, nie oskarży o stosowanie tortur.

Z dwojga złego wolałem jednak stać się befsztykiem tatarskim niż klasycznym, upieczonym na ruszcie. Zwłaszcza że ten klasyczny miał jeszcze maleńką szansę w starciu z kucharzem.

Patrycja zatrzymała wóz, obróciła nim w miejscu. Poderwałem się, pobiegłem, z góry wiedząc, że dystans jest zbyt wielki i niewiele zwojuję bez daleko posuniętej życzliwości losu. A ten nie bardzo mi sprzyjał.

Student wciąż wisiał na obramowaniu wjazdu. Ruszał się, próbował wstać, jednak nie wstawał i – wredny do końca – odbierał mi resztki nadziei. Powinien podnieść się, wyprostować i strzelać. Na strzelaniu mi nie zależało, ale na wyprostowanej, wysokiej sylwetce i kawałku otworu między jej brzuchem a krawędzią wjazdu – już bardzo.

Nie wrzucisz piłki do kosza, kiedy tablica jest za niska i w dodatku przykrywa sobą obręcz.

Oczywiście od początku było to niemal beznadziejne. Po prostu – czysto teoretyczna

możliwość. Musiałbym trafić go w dół brzucha, w kawałek wysokości najwyżej kilkunastu centymetrów – nocą, biegnąc, z odległości co najmniej kilkunastu metrów. Podjąłem próbę wyłącznie dlatego, że nic więcej już się nie dało zrobić.

Biegłem. Wóz, płynnie nabierając szybkości, potoczył się w moją stronę. Czterdzieści metrów, trzydzieści...

Student w końcu uniósł tułów. Lufa armaty wciąż spoglądała w bok, dzięki czemu pokrywa wjazdu sterczała w górę obok kikuta urwanej ręki, zamiast osłaniać od przodu działonowego i wjazd. Dobrze. Wystarczy już tylko popisać się mistrzostwem...

Rzuciłem, kiedy glauberyt powędrował na wysokość oczu. Wypełnione fosforem jajo poszybowało płaskim łukiem, znikło na moment w mroku, by pojawić się znów nad pokrytym plackami płomienia przednim pancierzem wozu. Biegłem coraz wolniej, patrząc z niedowierzaniem, jak szybuje w kierunku okrytego kamizelką pępka, uderza Studenta w brzuch, odbija się, uderza o obrzeże wjazdu, podskakuje, znów trafia w człowieka, znów się odbija, toczy po blachach, napędzane już nie siłą rzutu, ale podskokami pędzącego bewupa...

Dokonałem tego. Popisałem się mistrzostwem.

Tyle że okoliczności wymagały rzutu arcy mistrzowskiego.

Granat podskoczył jeszcze raz i eksplodował dokładnie na krawędzi wjazdu dowódcy.

Wybuch był słabszy, niż myślałem. Rozrzucił płomień kilkumetrowym wachlarzem, pokrył nimi niemal całą przednią powierzchnię pojazdu, ale już Studenta nie wypchnął z otworu.

Pozbawił przytomności, zmienił w bezwładną, przewieszoną przez krawędź wjazdu, płonąca kukłę – lecz zarazem w substytut klapy, odcinającej płomieniom drogę do środka wozu. Patrycja wyszła bez szwanku i kiedy skoczyłem w prawo, zareagowała natychmiast.

BWP, kompletnie lekceważąc oblepiający go ogień, szarżował prościutko na mnie.

Optyka działała: kiedy zmieniłem kierunek, i wóz skręcił.

Czyli koniec.

Tak jak poprzednio, wczekałem na stosowny moment i odskoczyłem przed gąsienicy.

Udało się, Patrycja nie wyczuła moich intencji i w ostatniej chwili skręciła nie w tę co trzeba stronę. Ale to było jak rzut monetą, jedna szansa na dwie, i praktycznie wyczerpałem swój limit szczęścia. Odjedzie, zawróci i...

Próbowałem dogonić wóz, wdrzeć się do środka przez któreś z otwartych drzwi, była jednak sprytna i od samego początku szarżowała z nogą na gazie. Nie miałem żadnych szans.

Rozkołysane drzwiczki przeleciały mi przed nosem i umknęły w dal z prędkością cwałującego araba. Zdążyłem jedynie dostrzec, że Młody oprzytomniał i gramoli się niezdarnie na ławkę.

Pomyślałem, że jeśli nie spanikuje na widok ognia i nie zatrzaśnie drzwi, to zastrzeli mnie przy następnym przejeździe. O ile będzie do czego strzelać: zanosilo się na to, że raczej dostanie



po oczach świeżym mięsem pryskającym z gaśienicy.

Wóz zawrócił. Na tyle energicznie, że oblepione ogniem ciało Studenta osunęło się do środka. Nieważne. Nawet jeśli wywoła pożar i to diabelskie bydlę wyleci w końcu w powietrze, stanie się to najwcześniej za całe minuty. Czyli całe minuty po mojej śmierci.

Trochę później, kiedy BWP, nabierając impetu, gnał wprost na mnie, przypomniałem sobie, że wyposażono go w system przeciwpożarowy. Ponoć rewelacyjny.

Czyli nikogo więcej nie pociągnę za sobą do grobu.

Ruszyłem biegiem na spotkanie góry stali. Może trochę łatwiej skręcić, kiedy się tak pędzi, nie o to jednak chodziło. Po prostu nie byłem pewien, czy stać mnie będzie na unik, jeśli poczekam w bezruchu, aż śmierć sama podjedzie bliżej. Nogi miałem jak z waty.

Tym razem nie będzie żadnego zwodu. Skręt i ucieczka. Patrycja jechała za szybko, i tak bym nie zdążył.

Dziesięć metrów. Pięć...

Ryk silnika aż wprawiał w wibrację. Ale może to dlatego, że cały się trząsałem. Nie wiedziałem, że tak można, gnając jak przy stumetrówce.

Jeśli pod gaśienicę trafi korpus czy głowa, to będzie ułamek sekundy, ale jeśli któraś z kończyn czy biodro...

Skręciłem w prawo. Przypadek. Lewa noga niosła akurat ciężar ciała, a moje wyczucie odległości powiedziało mi, że to ostatnia dobra chwila: krok dalej i nie zdążę.

Pysk bewupa obrócił się dokładnie w tę samą stronę. Przegrałem. Rzucając się szczupakiem do przodu, zdążyłem pomyśleć, że tym razem Patrycja wyczuła moje intencje.

Usłyszałem ohydny, szarpiący nerwy zgrzyt blachy – zderzającej się z inną blachą, dartej, pękającej, plującej snopami iskier niczym wściekłymi kłótwami. Kątem oka dostrzegłem lewą gaśienicę 0313 – tę, która powinna właśnie przetaczać się po mojej zostawionej z tyłu nodze.

Może to złudzenie, ale wydało mi się, że wóz uniósł ją triumfalnie, niczym smok łapę, by nie tyle przejechać mi po udzie, ile przyduścić je z góry. Pewności jednak nie miałem, bo najpierw poszorowałem twarzą po piachu, a zaraz potem coś wielkiego i twardego wymierzyło mi klapsa w lewy bok. Na chwilę chyba straciłem przytomność.

Chwila nie mogła być długa. Kierowca, który nie może jechać do przodu, instynktownie próbuje się cofać. Nie sądzę, by Patrycja zwlekała z tym dłużej niż parę sekund. Chociaż, z drugiej strony, mogło to potrwać: jechała bez pasów i zderzenie z przeszkodą, która błyskawicznie zredukowała prędkość wozu do zera, miało prawo zafundować jej nokaut.

Oberwałem po boku i biodrze skrajem gaśienicy, może deklek któregoś z kół nośnych.

BWP nie miał niczego więcej, czym mógłby mi przywalić, nie rozjeżdżając równocześnie na miazgę. Czyli – jakimś cudem – w ostatnim momencie znalazłem się poza jego obrysem. Minął mnie. Skręcił. Ale teraz, unosząc twarz, znów zobaczyłem przed sobą jego klinokształtny pysk.

Cofał się, obracał i ustawiał frontem do mnie. Nie trafił, więc teraz poprawi.

Naprawdę tak to widziałem. Całkiem długo. Skandalicznie długo, biorąc pod uwagę, że niemal od razu zauważyłem też tego drugiego.

Stał na lewo ode mnie, rozhuśtany jeszcze, może od impetu zderzenia, może pod wpływem zrzuconego właśnie balastu. Oba wozy zjechały pewnie z tej samej taśmy fabrycznej i przednią krawędź uformowanego w klin pancerza miały na identycznej wysokości, Kaśka musiała jednak wdusić hamulec tuż przed zderzeniem i to 0312 zanurkował nosem w dół o te decydujące centymetry. Resztę załatwił kształt kadłubów i impet, z jakim na siebie najechały.

Wóz Patrycji nasunął się na zawalidrogę, przyduszając jego przód i wałąc w naturalne dłuto najpierw błotnikiem, a potem prawą gaśienicą. Gaśienicę oczywiście trafił szlag, ale chyba daleko mniej spektakularnie niż koło napędowe – przypominało teraz raczej jakiś fantastyczny kwiat, wykonany przez nowoczesnego artystę metaloplastyka niż element układu jezdnego.

Wszystko to i widziałem, i nawet rozumiałem – tylko na wyciągnięcie wniosków zabrakło zimnej krwi. Gdybym miał jej trochę więcej, pognałbym na czworakach w dokładnie przeciwnym kierunku: ku drzwiom naszego bewupa.

Strach przed zmiążdżeniem odepchnął mnie w prawo, byle dalej od stalowych bestii.

Odbiegłem, najpierw na czworakach, potem już na nogach, zaledwie kilka metrów, ale to w zupełności wystarczyło.

BWP Kaśki ryknął głośniejsz i zaczął się cofać. W tym drugim, wciąż tu i ówdzie pokrytym płomieniami, odskoczył właz kierowcy. Dostrzegłem wstęgę zerwanej gaśienicy, a zaraz potem – ludzką sylwetkę, wytaczającą się zza rozhuśtanych tylnych drzwiczek.

Młody był już za daleko, by na niego szarżować. I za blisko, by mnie przegapić. Zresztą chyba tylko dlatego wysiadł – bo tu byłem.

Zaczął strzelać, nim jeszcze dobrze stanął. Patrycja, zrywając z głowy płonący hełmofon, gramoliła się z włazu.

Trzynabojowa seria z beryla warknęła gdzieś obok mego ucha, a Młodego obaliła na wznak. Dobrze przebite, a potem dobrze opatrzone udo, odcięte zapewne opaską uciskową, zawiodło jako podpora. Zanim pozbiarał się, usiadł i wygarnął następną trzynabojówką, odbiegłem parę kroków i runąłem za najwyższe z pobliskich wzniesień.

Tym razem mnie osłoniło. Poderwałem głowę. Młody, cholernie niezdarnie, podpierając się kolbą, wstawał z ziemi. Patrycja krzyczała. Nasz wóz, oddalony od 0313 o kilkanaście metrów, przestał się cofać, ale też ani o milimetr nie poruszył wieżą. Lufy armaty i sprzężonego z nią kaemu spoglądały gdzieś daleko za prawą burtę staranowanego przeciwnika. Gdyby Lechowski zaczął obracać je już teraz...

Wiedziałem, że nic z tego. Wciąż mieli jeden nabój przeciwpancerny. Użyliby go, gdyby faktycznie w grę wchodziła załoga, a nie samotna dziewczyna przy wolancie.

Młody strzelił, bardziej z biodra niż z ramienia. Znowu wymuszona przez ogranicznik seria trzech pocisków. Poszły górą. Nawet nie schowałem głowy, całkiem jakbym wiedział. Górka, za którą się kryłem, była niziutka, musiałbym przylgnąć twarzą do ziemi... Nie umiałem tak. Leżeć, nasłuchiwać kroków, dotyku lufy na karku? Nie umiałem. Już lepiej tak: z daleka, trochę jak w walce, od kuli w twarz.

Krzyk Patrycji. Beryl wędrujący do góry, bezwładna noga, ciągnięta z uporem na plac kaźni. Strzelił. Zakotłowało piachem, któraś z kul musnęła mój hełm. Młody zrobił parę kroków, zatrzymał się, podniósł karabin, złożył się do strzału, pierwszy raz porządnie, jak na szkoleniu.

Był bez hełmu i kiedy kula przebiła potylicę, impetu wystarczyło jej jeszcze na wypchnięcie z oczodołu lewego oka. Nie widziałem samego rozbryzgu tkanek, ale potem, gdy zadziwiająco powoli obracał się i padał, odblask fosforowego ognia zamajaczył na wypełnionej czerwienią dziurze.

Wieża 0312 zaczęła się obracać. W końcu.

Nie, wróć – nie wieża. Cały wóz. Kaśka w końcu zorientowała się, w czym problem, i nawet zareagowała prawidłowo, ale byliśmy beznadziejnie spóźnieni.

Patrycji nikt nie wbił bagnetu w udo. Nie zważając na pełzające po blachach płomyki, przetoczyła się przez krawędź kadłuba i w kilkunastu długachnych susach znalazła się obok mnie. Miała trochę ułatwioną sprawę, bo wybiegłem jej na spotkanie – ale i tak mi zaimponowała refleksem. Bardziej dla postawienia kropki nad „i” niż z rzeczywistej potrzeby kopnęła w bok karabin Młodego. Od początku miała do niego bliżej, no i to ona, nie ja, zaciskała w dłoni pistolet.

– Żadnych numerów! – warknęła. Jeszcze dwa kroki i miałem ją za plecami. – Zatrzymaj tę sukę! Radio!

Prawda, radio. Chyba świadomie wypchnąłem je z pamięci. Spanikowany głos Kaśki to marny akompaniament do walki o przeżycie. Zresztą gdyby usłuchała mnie i wiała grzecznie gdzie pieprz rośnie, od dawna nie byłoby jej w zasięgu radmora.

Uniosłem dłoń, ale nie musiałem używać przełącznika. Toczący się w naszym kierunku BWP znieruchomiał wcześniej.

Mądra dziewczyna.

– Do wieży! – mimo wszystko użyłem radia. – Strzelaj, Kasia!

Oberwałem rękojęścią WIST-a po łbie, na szczęście przez hełm i raczej ostrzegawczo niż na serio. Upadłem jednak na kolana. Patrycja, przyklejona do moich pleców, wyładowała mi na łydkach. Poczulem ucisk lufy na karku.

– Odwołaj to!

– Spadaj!

– Bo ci łeb odstrzelę!

– Spadaj, dziwko!

Nie spadła, przynajmniej z moich łydek. Mogłem próbować ciosu łokciem, ale wolałem nie ryzykować: lufa pistoletu tkwiła pewnie między kołnierzem kamizelki a okapem hełmu.

Po paru sekundach strąciła mi zresztą z głowy aramidową skorupę. Słusznie. Zakładnik nie powinien być za bardzo kuloodporny.

– Na ziemię. Morda w piach.

Położyłem się posłusznie. Leżąca żywa tarcza jest gorsza od klęczącej. Ciągle miałem nadzieję, że Kaśka usłuchała i za chwilę oboje z Patrycją zajrzemy w otwór karabinowej lufy.

Armata się nie liczyła, ale dobrze ulokowana seria z pokładowego kaemu...

– Ręce za siebie, Adam. Chyba że wolisz kulę w łokciu.

Wolałem pęta na nadgarstkach. Miała w kieszeni samozaciskową taśmę z gotową pętlą, więc robota poszła jej sprawnie i bez stwarzania mi pokus. Nie stawiałem oporu, bo ani przez sekundę żadna z moich kończyn nie miała szansy w wyścigu z kulą. Leżałem na brzuchu i zerkiałem, co robi Kasia.

Wyglądało na to, że nie robi nic. Wóz stał nieruchomo i czekał czort wie na co.

Cholera by ją wzięła, idiotkę jedną.

Patrycja, opierając się lewym łokciem o moje plecy, sięgnęła prawą dłonią po nadajnik.

Pistolet powędrował chyba do kabury. Stać ją było na odrobinę nonszalancji.

– Słyszysz mnie? – pstryknęła przełącznikiem. – Musimy pogadać. Nie ruszaj wieży, a wszyscy przeżyją.

Silnik 0313 zgasł, ale warkotu jednego w zupełności wystarczyło, bym zrezygnował z prób wykrzykiwania poleceń.

– Czego chcesz? – zapytałem, nie siląc się na wykręcanie głowy.

– Uratowałam ci życie.

Prawda. Tej serii Młody by już raczej nie zmarnował.

– Dzięki – burknąłem.

– Teraz ona może uratować. Kaśka, usnęłaś?

Bardziej leżała, niż siedziała na moim karku. Nadajnik znalazł się siłą rzeczy całkiem blisko.

– Czego chcesz? – usłyszałem głos Kaśki. Był podniesiony, jak zwykle, gdy człowiek konkuruje z silnikiem czy inną dyskoteką, i tylko tyle potrafiłem o nim powiedzieć.

– Rozpieprzyłaś mi wóz. Muszę jechać z wami.

– Zapomnij – rzuciłem przez zęby. O dziwo: puściła to w eter. Z pewnym niedowierzaniem dostrzegłem dłoń z radmorem tuż obok mego policzka. Sekundę później spory kawałek widoku przesłoniły mi jasne włosy dziewczyny. Krótsze niż zwykle, wyraźnie nadpalone.

– Wiem, co sobie myślicie. – Mówiła głośno, dzięki czemu nie musiała zbliżać mikrofonu do twarzy. Mieliśmy do niego jednakowy dostęp. I o to chodziło: o stworzenie pozorów

równoprawnej rozmowy we troje. – Ale sytuacja się zmieniła. Ten świr nie żyje.

Chyba miała rację: z wieżowego wjazdu raz po raz wychylały się płomienie. Niewielkie, ale skoro sięgały aż tam, w dole musiało się zdrowo palić.

– Chyba masz przejebane – stwierdziłem nie bez satysfakcji. Wciąż czułem się bardziej martwy niż żywy, więc mroczne zadowolenie z ciągnięcia za sobą do grobu swych prześladowców było jak najbardziej na miejscu. Strach wraca dopiero z nadzieją, a ta jakoś nie nadążała za rozwojem wypadków. – Teraz ty jesteś berek.

Dźgnęła mnie lufą w kark. Pistolet znów miała w ręku.

– Nic do was nie mam! – Mówiła trochę za głośno jak na dystans dzielący usta od nadajnika. – To Student się uparł! Nie rób niczego głupiego, Kaśka! Dogadamy się!

No tak: od ostatniego sprawnego bewupa oddzielało nas ze trzydzieści metrów.

Wystarczająco dużo, by obdarzony dobrym refleksem kierowca zdążył ruszyć i rozpędzić wóz do bezpiecznej szybkości. Czyli takiej, która uniemożliwi skok na pancerz lub otwarcie drzwi.

Pozostawało pytanie, czy Kaśka reaguje dostatecznie szybko. No i czy nie przeciska się w tej chwili w stronę wieży, co, paradoksalnie, uczyniłoby ją bezbronną na kluczowe kilkanaście sekund.

W tej ostatniej kwestii rozwiła nasze wątpliwości. Przemówiła, ledwie kciuk Patrycji zwolnił przycisk. Miała hełmofon na głowie, czyli i fotel kierowcy pod tyłkiem.

– Nikt nikogo nie chce zabijać. A już na pewno ja.

Za dużo błagalnych nutek. Nie zabrzmiało to jak kwestia kogoś, kto trzyma w garści wszystkie sznurki.

– Ja też nie – zapewniła Patrycja. – Wiem, że możesz mi nie wierzyć. Ale wszystko się zmieniło. Potrzebuję was.

– Do czego? – uprzedziłem Kaśkę.

– Potem. – Poczulem, że Patrycja złazi z moich pleców i pociąga mnie za sobą, łapiąc za kołnierz kamizelki. – Kaśka, musimy się odsunąć. I tobie też radzę. To kurestwo może w każdej chwili wybuchnąć. A zostało trochę amunicji.

Przyjrzałem się porzuconemu bewupowi. Rewelacyjny system przeciwpożarowy jakoś nie zadziałał i jęzory ognia wylały już ze środka wszystkimi pozbawionymi osłon otworami – nawet przez tylne drzwi. Trudno powiedzieć dlaczego: wóz, który nie eksplodował, nie powinien tak szybko zmienić się w jeden wielki piec. No ale ten akurat zaliczył dwa trafienia pepancami i zderzenie z trzynastotonowym zawalidrogą. Wyciek paliwa, jakieś nieszczelności między przedziałami, rozpruty odłamkiem nabój... Nieważne. Miałem inne zmartwienia. Patrycja też nie za bardzo przejmowała się możliwością eksplozji. Trochę tak, skoro zabraliśmy się stamtąd, ale chyba bardziej niepokoił ją karabin maszynowy drugiego bewupa: cofała się powoli, rakiem

i przez cały czas schowana za moimi plecami.

Za mądre to nie było, bo Kaśka zastosowała się do rady i odjechała dalej od płonącego sąsiada, co uniemożliwiało jej jakieś kombinacje z uzbrojeniem pokładowym. No, ale z drugiej strony wszystko działo się dość szybko i żadne z nas nie miało czasu na dogłębne analizy.

– Siadaj. – Patrycja pchnęła mnie na piach. Uklękła za mną, opierając o moje ramię swój podbródek i radmora. Z daleka musiało to wyglądać dość poufale; przemknęło mi przez myśl, że na jej miejscu dwa razy bym się zastanowił nad takimi przytulankami. Zazdrość plus brak świadków plus bojowy wóz piechoty to zabójcze połączenie.

– Co mam zrobić? – W pytaniu Kaśki zazdrości się nie doszukałem, ale i tak mi się nie spodobało.

– Zabrać nas stąd. Po prostu.

Nic nie było proste i Patrycja doskonale to rozumiała: najlepszy dowód, że dała mi szansę do polemiki. Kciuk pozostał na wduszonym przełączniku.

– Czekaj, Kasia – rzuciłem sucho. – Nic bez mojej zgody. Pomalowany na czerwono paznokieć uniósł się wymownie, dopuszczając do głosu trzecią stronę.

– Spokojnie. Nie zostawię cię.

To też nie był mój wymarzony tekst. Akurat w tej chwili wolałbym deklarację daleko posuniętej obojętności.

– Kochacie się – skorzystała z podpowiedzi Patrycja. – I macie forszę na start. Szkoda by to było spieprzyć.

– Szkoda – zgodziłem się. – Kasia jest porządna, nie wyjdzie za mordercę. Więc oddaj mi spluwę i wsiadaj. Nic ci nie zrobię. Nie wyszłabyś za brutala strzelającego do dziewczyn, prawda, Kasia?

Patrycja, o dziwo, potraktowała pytanie serio i zwolniła kanał. Niepotrzebnie. Kaśka nie zamierzała komentować.

– Chcecie jechać do bazy, prawda? – Tego z kolei ja nie skomentowałem. – No to na początek uratuję wam życie. – Patrycja zafundowała nam dramatyczną pauzę. – Nie da rady tak po prostu. Zabije was.

– Kto?

– Za dużo chcesz wiedzieć. Strażnik, powiedzmy.

– Jeden?

Nadal nie miałem pewności w kwestii siedmiorga spiskowców. Chudzyński chyba wygadał się niechcący i raczej nie było nas więcej – ale głowy jednak bym za to nie dał.

– Jeden, ale w bewupie. Pełnosprawnym i pełnym amunicji. Nie to co wasz. – Powiedziała to z mieszaniną satysfakcji i goryczy, zbyt nietypową, by doszukiwać się w niej fałszywych nutek. – Załatwi was. Ten kretyn Student mu kazał. Wie, że macie wóz i jedziecie do bazy.

– No widzisz – podchwyciłem bez przesadnej nadziei. – Tylko ty możesz go odwołać.

Czyli masz polisę. Nic ci nie zrobimy. Możesz schować pistolet.

– Gównu mogę. – Konsekwentnie trzymała lufę przy mojej głowie i kciuk na przełączniku nadawania. – Wiesz, co powiedział? Że dzielimy forszę między tych, którzy zostaną. Po równo.

Zgodził się was sprzątnąć, a Student obiecał mu za to jedną czwartą pieniędzy.

Policzyłem szybko. Ona, Student, doktor, no i anonimowy Strażnik. Pasuje. Młodym nikt sobie nie zawracał głowy. – No i?

– Ten palant liczy od miliona. Nie chciał słuchać, kiedy Student tłumaczył, ile dostaliśmy i ile nam zostało po odjęciu forsy dla was. Żąda ćwierci bańki. Koniec, kropka. Mówi, że nie ma powodu nam wierzyć i że umawialiśmy się na milion.

– I ma rację. – Nie potrafiłem sobie odmówić tego komentarza, choć już wtedy czułem, że lufa przy karku osuwa się na dalsze pozycje w kolejce moich kłopotów.

– Nic nie rozumiesz. – Nie pogniewała się, była raczej posepna. – On nas wykończy.

Wszystkich. Tak powiedział: ćwierć miliona zielonych albo grób. Bo go okradliśmy. Nieważne kto. Nie chce rozmawiać. Chce forsy. A jak nie, to świętego spokoju. Powiedział, że skoro ma być gołodupcem, to przynajmniej na wolności. Że nie potrzebuje świadków.

– To tak jak wy – dorzuciłem z rozpędu.

– Bawi cię to?

Nie bawiło. Czułem, że kręci, ale jeszcze wyraźniej czułem, że akurat nie w tej kwestii.

Martwiła się.

– Pogadam z nim.

– To na nic. Nie odezwie się do ciebie.

– Powiem, jak było. Że forsa...

Urwałem, przenosząc spojrzenie na płonący wóz. To dziwne, ale dopiero teraz przypomniało mi się, że poza trójką naszych niedoszłych zabójców jechały nim pieniądze.

Mnóstwo pieniędzy. Dwie trzecie z miliona dolarów. Cholera.

– Daj spokój. Student zaklinał się, że jaja ci wyrwie. Jak teraz oboje zaczniemy przekonywać Strażnika, uzna, że od początku kręciliśmy. To po pierwsze. A po drugie, na ciebie nie ma haka. Nie musisz tam wracać. Wiem: ranni – uprzedziła ewentualny protest. – Ale to nie taki facet. Nie w mówisz mu, że zaryzykujesz życie i pieniądze dla jakichś tam rannych. Wie, że nie musisz jechać przez bazę, więc nie odezwie się do ciebie.

– Dlaczego?

– Bo to, kurwa, jego atut! – Chyba ją w końcu zirytowałem. – Nie rozumiesz? Wy jego albo on was! Dopóki nie wiesz, kto na ciebie poluje, jesteś z góry przegrany!

– Niby dlaczego mam nie wiedzieć? – Nie dałem rady odcedzić całej ironii, choć się starałem. – Przecież mi powiesz.

– Nie powiem ci – warknęła.

– Dlaczego?

– Bo to moja dodatkowa polisa na życie. Jak coś mi się stanie... Rozumiecie.

Liczba mnoga była uzasadniona: nadal trzymała się reguły, że rozmawiamy na fonii.

Nieglupia taktyka, biorąc pod uwagę, że to Kaśka miała kaem, armatę, sprawny wóz i w ogóle wszelkie możliwe atuty.

Aha – i Ilonę w charakterze drzazgi w tyłku. BWP ważył trzynaście ton, mógł nas zabić na parę sposobów i odjechać, unosząc przeszło pół miliona złotych, ale na miejscu Patrycji trochę bardziej bałbym się właśnie tej drzazgi.

– To co właściwie proponujesz? – zapytałem.

– Dużo przeciwpancernych wam zostało?

– Jeden. – Nie była czołgiem, nie widziałem więc potrzeby ukrywania przed nią tej informacji. – Bo co?

Musiałem poczekać chwilę na odpowiedź. Za to okrasila ją uśmiechem.

– Nawet lepiej. Łatwiej mi uwierzycie – wyjaśniła. Po czym, już bez uśmiechu, dodała: – Nie zabiję nikogo. Oboje jesteście mi potrzebni.

– Do czego?

– Kaśka na kierowcę. Jeden nabój to też coś. Może akurat. A ty... ty do granatnika.

– Słucham?

– Nie mam ćwierci miliona. Nawet gdybym wam zabrała wszystko, to i tak... Więc muszę zabić tego głupiego palanta. Wy też musicie go zabić. Proste. Jedziemy na jednym wózku. Znów, jak na początku.

– O ile mówisz prawdę. – Nie skomentowała tego. – Niby dlaczego mamy ci wierzyć?

– Ty? – schłodziła głos. – Bo masz lufę przy głowie.

– Złapał Kozak Tatarzyna... Wiesz, co zrobi Kaśka, jeśli mnie zastrzelisz.

– No. Chyba wiem. Chociaż nie na pewno. – Zdałem sobie sprawę, że mówi do radia. – Nie jest morderczynią. I nie umie obsługiwać wieży. A rozjechać człowieka czołgiem... Brr. Do końca życia by jej się śniło. Ale nie w tym rzecz.

– A w czym? – Coś mi mówiło, że wolałbym nie wiedzieć.

– Nie zabiję cię. Masz biodro, kolana... Dużo miejsc, które bolą. – Oczekwała chwilę. – Przykro mi. Naprawdę cię lubię, Adam. Nie zmuszajcie mnie do tego.

Zwolniła przycisk. Oczekiwałem histerycznych okrzyków Kaśki. Może błagań, może grózb. Zaskoczyła mnie.

– O jakim haku mówiłaś? – zapytała nienaturalnie spokojnym głosem. Patrycja, chyba nie mniej ode mnie zdziwiona, dość późno przypomniała sobie o przełączniku.

– Haku?



– Powiedziałaś, że na Adama ten facet nie ma haka. Zrozumiałam, że na ciebie... O co chodzi?

Patrycja zwlekała z odpowiedzią. Nic dziwnego: negocjowaliśmy o najwyższe z możliwych stawek.

– Mariusz ma być w bazie pierwszy – podjęła w końcu decyzję. – Nocuje u artylerzystów.

To pół godziny jazdy.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Boi się o mnie – powiedziała cicho. Chyba była zakłopotana. Chyba pierwszy raz, odkąd ją znałem. – Mówiłam, że to bez sensu, ryzykowne, ale... Wiesz, ktoś mógł zostać ranny. A to w zasięgu radia. W razie czego...

– Rozumiem.

Naprawdę rozumiałem. Gdybym wpakował Ilonę w taką kabałę jak on Patrycję, sfingowałbym awarię sanitarki metr za szlabanem – i pieprzyć konsekwencje. I tak trzymał się dość daleko. No, ale ostatecznie w grę wchodził strach o pocerowaną dziwkę, a nie najbardziej seksowną kobietę świata.

– Wezwie go, a Mariusz przyjedzie. – Wzięła się w garść, jej głos stwardniał. – Sam, najwyżej z kierowcą. I ten skurwiel go zastrzeli. Jak nie zamelduję się z pieniędzmi, zrobi ze mnie wdowę jeszcze przed ślubem.

Zwolniła przełącznik, jakby przewidując, co usłyszy.

– Kochasz go? – Kaśka też wystarała się o rzeczowy ton.

– A jak myślisz? – rzuciła gorzko Patrycja. – Ilu lekarzy, twoim zdaniem, chciałoby zenić się z kurwą?

Czekałem na ciąg dalszy. Kiedyś bym nie czekał – ale poznałem Ilonę i dowiedziałem się, że życie niekiedy naprawdę przypomina bajkę, a w przyrodzie faktycznie występują dorosłe, rozsądne skądinąd kobiety, które lecą na miłość, a nie obrączkę, pozycję społeczną czy forszę.

Ilona zmarszczyła brwi i powtórzyła pytanie, opatrując je pewnie jakimś pieprzonym i zgryźliwym komentarzem.

Kaśce taka odpowiedź najwyraźniej wystarczyła.

Pomyślałem, że nigdy nie zastąpi mi tamtej, szarookiej. I zabołało tak, że nie próbowałem krzyknąć, kiedy włączył się numer 0312 przesunął się na bok, a ze środka zaczęła gramolić się na pancierz jasna sylwetka w za dużej, czarnej kurtce.

## Rozdział 35

Przenosiły Lechowskiego we dwie: Patrycja popisała się taktem i schowała pistolet do kabury, ale nie zgłupiała do tego stopnia, by rozwiązywać mi ręce. I dobrze. Byłem zły na obie; patrząc, jak się męczą, czułem się troszkę lepiej. Wielkich wyrzutów sumienia nie miałem:

Lechowski konsekwentnie nie odzyskiwał przytomności. Wywlekły go ze stanowiska celowniczego i ułożyły z powrotem na ławce. Leżącemu na podłodze Szamockiemu nie podeptały chyba głowy.

– Musimy schować forszę. Kaśka, prowadzisz.

Patrycja usadziła mnie w fotelu dowódcy, nałożyła hełmofon. Sama zajęła miejsce w wieży. 0313 jakoś nie wybuchł.

Wróciliśmy nad kanał.

– Wysiadaj, Kaśka. A ty, Adam, nic nie kombinuj.

– Zakop obok coś żelaznego – poradziłem, zastanawiając się, czy dobrze robię. – Łatwiej znaleźć.

Wysiadły obie, ale kombinować nie próbowałem. Nie zamierzałem kaleczyć sobie nadgarstków bezowocną szarpaniną. Nawet gdybym się uwolnił, pozostawała Kaśka w roli zakładniczki – a tego już nie przeskoczę.

Na chwilę mignęła mi sylwetka dziewczyny z łopata na ramieniu. Patrycja nie wyglądała na ekscentryczkę, która wybiera się nad kanał, by akurat tam kopać groby dla swych ofiar, ale mimo wszystko przez następne kilka minut podświadomie nasłuchiwałem odgłosu wystrzału.

Naturalnie wróciły obie, całe i zdrowe.

– Teraz prościutko na wschód. Równy kilometr.

Może omówiły to, kopiąc, a może w Kaśce odezwał się zawodowy geograf, mający w małym palcu wszelkie niuanse związane z układami współrzędnych. W każdym razie nie odzywały się więcej. Wóz jechał, potem skręcił i znów jechał, prosto jak po sznurku. W końcu stanął, dokładnie na krawędzi piaszczystej drogi, a Patrycja spisała stan licznika. Przemknęło mi przez myśl, że o jeden raz za mało – powinna o tym pamiętać w momencie, gdy skręcaliśmy – ale nie zamierzałem komentować. Zwłaszcza że Kaśka chyba nie oszukiwała: tysiąc metrów na wschód, reszta na północ. Mieliśmy szczęście, wjeżdżając niemal dokładnie na skalny pagórek, który był tu milion lat temu i będzie jeszcze długo, więc na tym skończyło się zadanie z geometrii.

– Trafimy – podsumowała Patrycja. – No, to do roboty. Jeszcze tylko jeden dobry strzał i jesteśmy bogaci.

– My? – Nie sililem się na krycie sceptycyzmu.

– Zostało akurat cztery razy po trzydzieści trzy tysiące. Ja, ty, Mariusz i Szamocki, jeśli

przeżyje. Z Kaśką się chyba podzielił? – Ona z kolei nie siliła się na maskowanie lekkiej złośliwości. – Wypada się hajtnąć z dziewczyną. Rzykuje dla ciebie.

Czekałem przez chwilę. Niepotrzebnie. Kaśka ani nie rzuciła w interkom kpiącego „obejdz się”, ani nawet nie zerknęła przez ramię.

– Co ryzykuje? – powróciłem do ważniejszych spraw. Tym razem przyszło mi poczekać na drugą z pań. Ale ta przynajmniej odpowiedziała.

– Nic. Zrobisz, co trzeba, prawda? Więc nic.

– A co trzeba?

– W tym schronie, gdzie zgarnęłam karciarzy, został Komar. No wiesz: ten jednorazowy granatnik. Na bewupa jak znalazł.

– Kiedy już się trafi – rzuciłem szyderczo.

– O co ci chodzi?

– To fajna broń, póki jesteś w mieście i strzelasz z bliska. Aha: no i za dnia.

– Niedługo świt – poinformowała mnie chłodno. – Najwyżej trochę poczekaasz.

– Patrycja, on ma pół zasięgu RPG-7. Ćwierć kilometra do nieruchomego celu. A jeśli ten bewup stoi dalej?

– To podejdziesz bliżej.

– Może mi się nie udać.

– Może – zgodziła się. – Ale lepiej się postaraj. Bo jak nie ty, to my będziemy musiały podjechać i strzelać tym ostatnim pociskiem. A raz w życiu to robiłam. Rozwali nas i będziesz miał Kaśkę na sumieniu. Co prawda niedługo – dorzuciła łaskawie. – Bo ciebie też rozwali. Facet jest trochę mściwy, wiesz.

– Kto to jest?

– No wiesz, Adam – zaśmiała się. – Kaśka to fajna dziewczyna, ale ta laska w Stargardzie ponoć całkiem ekstra. Cholera wie, czy nas nie wystawisz. Musimy mieć jakąś polisę, nie, Kaśka? Jeszcze ci się bewupy pomylą...

– Nie pomylą się – warknąłem.

– I słusznie. Bo gdyby jednak, zostaje forsa, ty i facet, którego nie znasz. Ale on cię zna.

Czujesz melodię? Albo go wykończysz teraz, albo po tobie. I będzie bolało, bo oczywiście wypyta cię najpierw o pieniądze. Całe pieniądze. Milion. Jest o co pytać. A ty mu przecież nie oddasz miliona, choćbyś chciał. No i w kawałkach cię pochowają.

– Łatwiej pokonać kogoś, kogo się zna. – Jeszcze nie rezygnowałem. – Gdybym wiedział, który to, może...

– Zero trzy jednaście. Numer ma na burcie, poznasz. Zresztą będzie tylko jeden.

Wyceluj, rozwal i po kłopotcie. Gównu cię obchodzi, kto się usmaży w środku.

Spasowałem. Trudno przekonywać kogoś, kto ma rację.

Kaśka nadal udawała, że jej tu nie ma.

– Rozwalę go. – Mówiłem powoli, by słowa głębiej zapadały w pamięć. – Ale po swojemu.

Ja dowodzę, a wy się nie mieszacie. Biorę radio, od początku do końca słyszę Kaśkę. Jeśli tak powiem, robicie w tył zwrot i wiejecie na północ, do tego drugiego mostu. Bez dyskusji.

– Nie wychodź za niego – zakpiła Patrycja. – Będzie cię rozstawiał po kątach.

– I żeby jedno było jasne – zignorowałem zaczepkę. – Jeśli Kaśce coś się stanie, masz przesrane. Mniejsza z tym, czy ją kocham. Po prostu będę wiedział, że nie wolno ci ufać. To będzie samoobrona, nie zemsta. Czysty pragmatyzm.

Kaśka drgnęła w końcu, omal się nie obejrzała.

– Rozwal ten wóz – rzuciła chłodno Patrycja. – A o resztę się nie martw.

– Ja dowodzę – przypomniałem.

– Nie przeciągaj struny.

– Taki stawiam warunek.

– Warunek? Póki co, sam się nawet nie wysikasz.

– Nie zapomniałaś o czymś? Podobno jesteśmy ci potrzebni. Bądź konsekwentna, złotko.

Potrzebny ma prawo stawiać warunki. I jak się go olewa, może dojść do wniosku, że jednak nie jest taki potrzebny.

Przemyślała to sobie. Albo po prostu tłumiała gniew.

– W porządku – mruknęła bez zapału.

– Dasz mi noktowizor?

– Nie potrzebujesz. Wóz stoi blisko, w zasięgu świateł. Musi tak stać. Żeby go widzieli i nie robili nic głupiego.

– Ale karabin Młodego biorę? – Pamiętałem, co powiedziała o przeciąganiu struny. Stąd znak zapytania.

– Nie bierzesz.

Zabrzmiało stanowczo. Uznałem temat za zamknięty. Nie byliśmy jednak sami.

– Ma tam iść z gołymi rękami? – zaprotestowała Kaśka.

– Lżej się czołgać – rzuciła szyderczo Patrycja. I dodała już serio: – Wszystko, co potrzebne, znajdzie w bunkrze. Chłopaki siedzą w baraku. Strażnik mówi, że grzecznie. Nie strzelali, nie próbowali wyłazić. Na zewnątrz jest tylko on. W bewupie. Karabin do niczego się Adamowi nie przyda. No, chyba że na mnie.

– Też jesteś w bewupie.

– Ale w końcu będę musiała wysiąść. Zresztą jeśli mamy podjechać blisko a dyskretnie, muszę wyglądać przez właz. Chcesz wystawiać Adama na pokusę? – Znów musiała uśmiechnąć się kpiąco. – Taka jesteś pewna jego miłości? A jak strzeli i chybi? Musiałabym cię... no wiesz.

– Jeśli będę chciał was pozabijać, użyję granatnika. – Nie zamierzałem wracać do kwestii

karabinu, po prostu stanąłem w obronie logiki.

– Nie mówię, że możesz chcieć zabić Kaśkę. Ale zaryzykować jej życie? Czemu nie? Ostatecznie od początku ryzykujesz. Chociaż fakt: przedtem stawka była wyższa. Odechciało mi się dalszej dyskusji.

– Jedźmy już – rzuciłem sucho. – Jak mam się czołgać, wolę po ciemku.

\*

Na północny wschód od bazy wzniesienia podchodziły na trzysta metrów do kanału.

0311, o ile nie zmienił stanowiska, warował na południe od baraków i podjeżdżając od tej strony, zahaczaliśmy zapewne o pole widzenia jego celownika, ale, z drugiej strony, nie musiałem nadkładać drogi, by zdobyć granatnik. Pełznący na jedyńce wóz praktycznie nie kurzył, ryzyko wydało się więc Patrycji opłaczalne. Wychylona z wieżyczki, czuwała z noktowizorem w rękę, dbając o to, by widzieć dachy budynków i nic więcej.

Wysiedliśmy we dwoje przed ostatnią wyższą wydumą.

– Kiedy będziesz blisko, daj znać. – Wyjęła WIST-a i machnęła lufą w stronę bazy. – Tak z pięć minut przed strzałem. Podjedziemy. Poprawimy po tobie, jakby co.

Rozcięła mi więzy. Gdyby nie pistolet... Ale trzymała go, elegancko i sprytnie zarazem: lufą w dół. Niby nikomu nie groziła, a w razie czego dostałbym poniżej kamizelki.

– Spróbujmy w innym miejscu – poprosiła wychylona z wjazdu Kaśka. – Po prostu ominie tę cholerną bazę.

– Już ci mówiłam: musimy wykończyć tego gościa.

– Będzie nas czworo, a on sam. Nie odważy się...

– Wóz utknie, i co wtedy?

– To samo, co teraz – nie zamierzała ustąpić. – Nadal masz Adama i ten granatnik.

– A Adam ma nas. Drugi strzał w rezerwie. – Patrycja pokazała mi na migi, bym stanął dalej.

– Taka z ciebie zakochana? Chcesz narzeczonemu zmniejszyć szanse?

– Nie jesteśmy zaręczeni.

Strasznie chłodno to zabrzmiało. Nie wiedziałem, że można przepchnąć tyle chłodu przez hałas silnika.

– Ale ja jestem. I nie pozwolę, żeby mojemu facetowi jakiś cwaniak odstrzeliwał kutasa na dzień dobry.

Zaskoczył mnie poziom gniewu w jej wypowiedzi. Kaśkę chyba także, bo umilkła.

Masując nadgarstki, podszedłem bliżej wozu. Ściągnąłem kamizelkę.

– Zamiana. – Ważyła swoje i posyłając ją na górę niedbałym ruchem jednej ręki, omal nie zdzieliłem Kaśki w twarz. – Czarne mniej kłuje w oczy.

Pospiesznie pozbyła się kurtki. Zdumiało mnie, jak szczupłe stały się jej nagie ramiona.

– Nie wariuj, Adam. – Starła się mówić możliwie cicho. – Jeśli będzie ciężko, po prostu

przywaruj gdzieś i przeczekaj. Może mnie nie kropnie. Na pewno nie – poprawiła się. – Zakładnika się nie... Nie rób nic głupiego.

Jasna cholera. Akurat w tej chwili nie powinno mi się robić ciepłej. Tuż przed świtem temperatura ocierała się o przymrozek. Marzłem już przedtem, w kamizelce.

– Rozbieracie się? Pożegnalny numerek? – Patrycja wyrosła nagle obok nas. – Nic z tego.

Po robocie, Adaś. Nie ma to jak romantyczne dymanko w blasku płonącego bewupa. Zobacysz, jak fajnie będzie.

Chyba po prostu starała się być złośliwa. Ale trafiła. Naciągając na ramiona bluzę, o tym właśnie myślałem: jak fajnie by było. Nie z Iloną, lecz właśnie z dziewczyną, która nagrzała dla mnie ten zajeżdżający stęchlizną drelich ciepłem swych pach i piersi. Unosząc go do ust, poczułbym smak potu, złożonego z wody, soli i strachu – a połowa tego strachu byłaby o mnie.

Zgłosiła się dobrowolnie na zakładniczkę, ona, posiadaczka bewupa i pół miliona złotych w zielonej gotówce. Teraz, choć nie wprost, mówiła: „poświęć mnie, jeśli trzeba”. Nie miała urody Ilony, nie miała jej wdzięku, ale po raz pierwszy chyba musiałbym rzucać monetą, gdyby stanęły przede mną i zażądały: „wybieraj”.

– Idę. – Starałem się nie patrzeć w niczyje oczy. – Jak wrócę, obie macie być żywe. Który kanał?

Patrycja podała częstotliwość. Przystroilem radmora, a ona radiostację pokładową.

Sprawdziliśmy łączność, wszyscy troje. Kaśka ograniczyła się do drętowego „raz dwa trzy”.

Chyba też wołała nie patrzeć mi w twarz.

Ruszyłem na zachód, jeszcze w pełni wyprostowany. Świateł, które przetrwały strzelaninę, nikt nie pogasił i nawet bez noktowizora orientowałem się, gdzie jest baza i jak daleko mogę zawędrować, nie pokazując się w żadnym celowniku.

Patrycja dogoniła mnie trzydzieści metrów od wozu.

– Weź bagnet. – Podała mi go w pochwie i z bezpiecznego dystansu. W prawej ręce ścisnęła pistolet.

– Uważaj – posłałem jej krzywy uśmiech, wpychając bagnet w kieszeń na udzie. – Odjedzie i co wtedy?

– Miała okazję i nie odjechała. Trzymaj się jej. Nie trafisz na drugą taką.

Przez chwilę szedłem wolniej, przyglądając się jej ze zdziwieniem. W końcu mnie oświeciło.

– Boisz się, że...? Spokojnie. Też mi zależy. Zrobię co trzeba. I naprawdę cię załatwię, jeśli coś jej się stanie.

– Hajtniecie się? – zignorowała pogrózkę.

– W swaty cię przysłała?

– Mariusz chce – powiedziała bez cienia entuzjazmu. – Ja nie wiem. Kurde, on jest taki... letni.

Zatrzymałem się. Nad czubkami barchanów pokazały się pierwsze latarnie. Będę je miał za plecami, a przed sobą mrok i stalowego zabójcę, który, w przeciwieństwie do mnie, nie będzie na poły ślepy. To całkiem dobry powód, by postać przez chwilę i pogadać o letnich medykach.

– Po co mi to mówisz?

– Bo po tej aferze to już naprawdę na całe życie. – Pierwszy raz oglądałem ją smutną i refleksyjnie usposobioną. – Jak w kościelnym ślubie: „dopóki śmierć was...” Będą mieli na nas haka. Już zawsze.

– Haka?

– Taki sekret wiąże ludzi. A oni akurat są mniej umoczeni. Nikogo nie zabili. Podpadniesz Kaśce, jakiś skok w bok, i leci z donosem. Świadek koronny, włos jej nie spadnie. Z Mariuszem to samo. Jak mu się znudzę, kopa w dupę i słowem nie będę mogła pisnąć. Niewolnica.

Nie rozumiałem, do czego zmierza. Ta noc dała mi jednak w kość dostatecznie mocno, bym dopuścił najprostsze z wyjaśnień: że w końcu wylazł z niej człowiek. Przestraszony, niepewny słuszności podejmowanych decyzji.

– Myślałem, że cię kocha.

– Tak mówi. Ale jak już przeleci pięćsetny raz... – Uśmiechnęła się, chyba dość gorzko. – Liczyliśmy to sobie ostatnio z kumpelami z klasy. Zjazd koleżeński, wiesz, popiliśmy trochę.

Siedem bab, jest już jakaś statystyka. Pięć lat i po miłości. Tyle im średnio związki wytrzymały. I każda, kurwa, zakochana za męża szła i za zakochanego. A Polak ponoć uprawia seks sto parę razy w roku. Wychodzi na to, że po pięćsetnym zaliczeniu ludzie mają siebie dosyć.

– Jedni tak, inni nie.

– Za pięć lat będę stara – powiedziała tonem kogoś, kto już teraz czuje się starcem. – Towar drugiej kategorii.

– Bez przesady. Trzydziestka to nie...

– Wujek ma firmę – przerwała mi. – Budowlaną. Szuka zaufanego wspólnika. Mój mąż byłby jak znalazł. Nie mów, że cię nie kręcę. Wiem – przeciągnęła dłonią po okaleczonym policzku. – Ale to da się jeszcze poprawić. A resztę mam ekstra. Tyłek, cycki... Widzę, jak na mnie patrzysz. I dobra w tym jestem. Naprawdę. – Stałem, gapiąc się na nią z niewiarą. – Po prostu to lubię. Forsę też, ale nie dlatego... Lubię seks.

– Wujek? – powtórzyłem tępo.

– Miałbyś robotę. I żonę, która cię nie pośle do pudła.

– Niezły powód, by się żenić – mruknąłem.

– Ja nie żartuję.

– Czekaj no... Ty to poważnie? A Chudzyński?

– Zazdrosny jesteś? – uśmiechnęła się posepnie. – Nie ma o co. Nie spałam z nim. Nigdy.

– Co?! – W bazie służyło paru facetów, którzy jej nie zaliczyli, ale tym wyznaniem niemal

mnie znokautowała.

– Trzeba oszczędzać te pięćset razy. Na dłużej męża starczy. No co taki zdziwiony? Nie wiesz, że to najlepszy sposób na faceta? Przeglodzić tak, żeby przylazł na kolanach z obrączką w zębach? – Zamilkła na chwilę. – A on nie naciskał. Chyba go to kręci. Że inni mnie rzną, a on tylko kwiaty... Letni i jeszcze zboczony.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Przyszło mi do głowy, że to dobry moment na wymierzenie jej ciosu w szczękę – szanse, iż nie oberwę kulą w kolano, oceniałem na jakieś pięćdziesiąt procent.

– Zostałam dziwką, bo lubię seks. Mówię serio: to dla mnie ważne. A czuję, że z nim nie byłoby fajnie. Wiesz, jak to jest: ktoś cię rajcuje albo nie. I on jest z tych drugich. – Też byłem z tych drugich, przynajmniej w oczach Ilony, nie czułem się więc na siłach komentować. – Wolę ciebie.

– Aha.

– Nie wierzysz? – Trochę za długo zbierałem się do odpowiedzi. – Już nie pamiętasz?

Chciałam się z tobą przespać.

– Za pensję – przypomniałem.

– Daj spokój. Miałam w perspektywie ten skok. Nie chodziło mi o forszę. Po prostu... chciałam sprawdzić, czy ci zależy. I jak by nam było razem.

– Aha.

– No dobrze – uśmiechnęła się. – Forsa też by się przydała. Mniej problemów.

Przygotowanie takiego skoku kosztuje, Mariusz musiał sporo zainwestować. Wydał całe oszczędności. Niektóre przysługi i informacje kupował na kredyt. Dłużnicy cisnęli, a my nie wiedzieliśmy, który weekend wybiorą partyzanci. Mogli się odezwać i za miesiąc. Nie powiem: przydałby się szybki zastrzyk gotówki. Ale od ciebie – poszerzyła uśmiech – wołałabym inny.

– Pochlebiasz mi.

– Bez przesady. Nie będę ci wstawiać kitu. Nie zakochałam się. Wygodniej by mi było po prostu w życiu i przyjemniej w łóżku. Tyle. No, ale mało kto ma więcej.

– Nie lepiej poczekać na zakochanie? – Naprawdę mi pochlebiała; pewnie dlatego ciągnąłem tę rozmowę. BWP, który najpierw przywalił mi z armaty, a potem rozjedzie to, co zostało, liczył się troszeczkę mniej.

– Wolę czekać przy twoim boku. Choćby dlatego, że w razie czego mogłabym odejść. A od niego nie. On ode mnie tak, ja nie. To gówniany układ. Z tobą jednym będę miała partnerski.

Widzisz? Praktyczna jestem. – Uniosła dłoń, tę wolną od pistoletu, i poklepała mnie przyjacielsko po ramieniu. – No, zasuważ. I przemyśl to. Mogłoby być fajnie. Lecimy na siebie. A nuż coś z tego wyjdzie.

– Jest jeden problem...



– Nie ma – uniosła drugą rękę, demonstrując WIST-a. – Ty w każdym razie nie masz.

– Zastanowię się – powiedziałem powoli.

– I tylko o to chodzi: żebyś się zastanowił.

– Ale póki co... – Popatrzyłem w stronę bewupa. – Włos jej nie może spaść. Jasne?

– Adam, tylko rozważamy możliwości – uśmiechnęła się. – Nikomu nie spadnie.

Mariuszowi też nie. Na razie to numer pierwszy na liście moich potencjalnych facetów. Wiesz, jak jest: póki nie możesz mieć mercedesa, jeździsz fiatem i bronisz go jak lwica. Nie pozwolę mu odstrzelić kutasa, spoko. Masz moje wsparcie. Cała reszta... później. Jeśli uznasz, że warto.

Najpierw załatwimy Strażnika. Pasuje?

Skinąłem głową i zacząłem się odwracać.

– Poczekaj... Jeszcze jedno. Zależy ci na Szamockim, prawda?

Czułem, że nie spodoba mi się to, co usłyszę. I że usłyszę tak czy inaczej. Czekałem więc w milczeniu.

– Jest problem – powiedziała tonem kogoś, kto też wolałby nie otwierać ust. – Bruszcak go widział.

– Co? – Miałem wrażenie, jakby ktoś mi z powrotem narzucił na ramiona kamizelkę, i to w pełni skompletowaną, ze wszystkimi stalowymi wkładami oraz paroma kilogramami amunicji w kieszeniach. Miękkie kolana, brak tchu.

– Ma zakneblowane usta, więc nikt jeszcze nie wie, że jacyś Polacy brali w tym udział.

Ale jak przeżyje...

– Kurwa mać... – Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. Bo pomyśl, by pchnąć ją bagnetem, zabrać bewupa, Kaškę i wiać do Chin, raczej mądrzejszy nie był.

– No właśnie. Nawet gdyby Szamocki umarł albo milczał jak grób, smród się rozejdzie.

Zaczną wszystko sprawdzać pod tym kątem. Odciski palców, mikroślady, zeznania... Nie mogliśmy go sprzątnąć – zmieniła ton na przeproszający. – Jeden człowiek nie upilnowałby tych w baraku. Zakładnik to idealne wyjście. I dla nas, i dla chłopaków w Piątce. Wychodzą z twarzą: nic nie robili, no bo Bruszcak.

– Kurwa mać – powtórzyłem z bezsilną złością.

– Adam... – Jeszcze bardziej złagodziła głos. Nie zdziwiłbym się, gdyby owinęła mi szyję ramionami. – Przepraszam.

– Odczekała chwilę. – Powinieneś to zrobić.

– Zarznąć Bruszczaka? – Klepnąłem wystającą z kieszeni rękojeść bagnetu. – Dlatego mi to dałaś?

– Strażnik miał go zastrzelić. Już na sam koniec, ze zdobyczej broni. Ale jak się uda rozwalić bewupa... Słuchaj, to będą chwile. Chłopaki zorientują się, co i jak, wybiegną z baraku.

Nie zdążę nic zrobić. Słowo honoru, że nie prosiłabym cię o to. Ale jeśli mamy cię z Kaśką asekurować, musimy być na drugim brzegu, w wozie.

– Z kaemu doniesie. – Najpierw to powiedziałem, a dopiero potem zrozumiałem, co mówię. Tak właśnie było. Tyle że gdybym mógł cofnąć czas, powtórzyłbym to jeszcze raz.

Dożywocie będzie gówniane. W więzieniu nie ma Ilony.

– I co potem? – zapytała Patrycja ze smutkiem. – Wracamy odzyskanym bewupem, rozwalamy wóz terrorystów, a na deser pakujemy serię własnemu dowódcy? Adam, jeden znak zapytania i po nas. A Bruszcak nie może zeznawać.

Miała rację.

– Mam go zarznąć? Jak wieprza?

– Pchnąć w plecy. – Sprawiała wrażenie kogoś, kto szczerze mi współczuje. – Tak by to zrobili. W serce: szybka śmierć, mało bólu. Może znajdziesz tam jakiś karabin, ale proszę cię: nie strzelaj. Wiem, że tak łatwiej. Wiem. – Musnęła lewą ręką moją dłoń, tę zwisającą bezsilnie nad rękojęścią. – Ale wszystko spieprzysz w ten sposób. Ktoś może wyskoczyć z baraku. Następny potencjalny świadek do zabicia. Musimy się rozejrzeć, może coś posprzątać, nie wiem... Im dłużej chłopcy siedzą w środku, tym lepiej. A tylko żywy Bruszcak ich tam trzyma.

– Z nożem w plecach nie będzie żywy.

– Siedzi pod tym masztem. Jest ciemno. Z tamtej strony nie ma okien, tylko trochę dziur po kulach. Nie zorientują się. Możesz go odpowiednio usadzić, jakby spał. Jeśli dostanie kulę, może paść na bok i każdy od razu pozna... Musisz do niego podejść, Adam.

– Nie.

Łatwo się przepycha przez gardło takie słowa. Przez chwilę człowiek ma z tego nawet frajdę: patrzcie, jaki jestem wspaniały. Ale zaraz potem mózg zaczyna się gotować od wątpliwości.

Chyba była mądrzejsza, niż mi się wydawało. To w każdym razie rozumiała.

– Idź – uśmiechnęła się łagodnie. – Jak nie dasz rady... Trudno. Zaryzykujemy. Może się uda. Zawsze może się trafić głupi prokurator.

\*

Nad kanał dotarłem bez problemu: tylko pod koniec posuwałem się na czworakach, a i to na zasadzie dmuchania na zimne. Do bazy było stąd jeszcze daleko.

Zsunąłem się po skarpie, ale nie zanurzyłem butów. Do ruin mostu miałem jakieś pół kilometra i nie zamierzałem zaliczać tego dystansu na brzuchu. Czyli marsz korytem kanału.

Inaczej mówiąc: kąpiel. Ściany były zbyt strome, by wykorzystywać je jako dyskretną ścieżkę.

Zanurzyłem dłoń w czarnej jak atrament wodzie. Lód. Trudno uwierzyć, że Kaśka dobrowolnie wlaźła w coś takiego. Ja nie zamierzałem, w każdym razie pochopnie. W ogóle musiałem pomyśleć.

Me wariuj, Adam. Nie rób nic głupiego.

Po prostu martwiła się o mnie. Rozgrzeszała z potencjalnej zdrady. Ale nie chciałem jej zdradzać, czyli musiałem przeżyć, czyli faktycznie moim psim obowiązkiem było zachować trzeźwość umysłu i robić wszystko mądrze.

Pytanie numer jeden: czy przemoczony mundur służy sprawie?

Odpowiedź numer jeden: nie służy. Jakkolwiek by sprawę definiować. Kiedy człowiek dygoce z zimna, bezbolesne podrzywanie gardeł jest utrudnione. Precyzyjne wymierzenie granatnika też. A mlaszcząca w butach woda demaskuje.

Zacząłem się rozbierać. Buty, skarpety, potem spodnie. Było naprawdę zimno, więc górę zostawiłem na koniec. Zdejmując czarną kurtkę-terrorystkę, niczego jeszcze nie wyczułem.

Dopiero potem, kiedy po namyśle – a po prawdzie i pod wpływem wrażenia, jakie na stopie zrobił kontakt z wodą – wciągałem ją z powrotem na goły tors.

Coś było w kieszeni.

Znów bardziej z niechęci do kąpieli niż tknięty jakimś przecuciem, odpiąłem guzik i wyjąłem złożoną na pół kopertę. Tym razem zgięto ją w poprzek, ale ślad po palcach Studenta pozostał. Przedtem była dłuższa a węższa.

To dlatego teraz była trochę mokra na końcu. I jeszcze dlatego, że Kleczko próbował zatłuc łopatą zwyczajną kobietę, a nie jakiegoś Rambo w spódnicy.

Mało się nie zeszczałem ze strachu...

A ja nie mato! Przez ciebie dupa mi się klei do tego zasranego siedzenia!

Naszła mnie absurdalna myśl, że to dlatego została. Bo przy tym moście na północy kazałem jej machać majtkami, a ona miała mokre i po prostu się wstydziła.

Idiotyzm.

No to dlaczego potem schowała to do kieszeni, zamiast...?

Zamiast co: czytać korespondencję między Chudzyńskim a afgańskimi kupcami, którzy okazali się kupcami z Turkmenii? Wepchnęła po prostu list gdzieś, gdzie nie uwierał, i zapomniała o nim. Tak jak ja, Student i wszyscy inni. O niedoszłych odbiorcach już nawet nie pamiętałem, tyle się wydarzyło, a co dopiero...

Włożyłem kopertę z powrotem do kieszeni. Tylko po to, by po paru sekundach wahania wsunąć dłoń jej śladem.

To już nie był zwykły papier. Pomyślałem, że powinienem się go pozbyć i że chyba nigdy tego nie zrobię. Chore. Ale robiło mi się trochę cieplej, kiedy dotykałem palcami czegoś, czego Kaśka dotykała...

Włazłem do wody i na jakiś czas zapomniałem o cieple.

## Rozdział 36

Przy brzegu głębokość nigdzie nie przekroczyła metra, dotarłem więc do resztek mostu w przemoczonych slipach i prawie całkiem suchej kurtce. Nie wywaliłem się, nie upuściłem do wody węzła z ubraniem i butami, nie przetestowałem wodoszczelności radmora. Czort wie, jakim cudem: poniżej pępka byłem na wskroś zmrożony i w połowie sparaliżowany. Zimna już nawet nie czułem: nie da się zmarznąć w dwie nogokształtne bryły lodu i takie skurczone do mikroskopijnych rozmiarów coś pomiędzy nimi.

Ubrałem się pod osłoną przyczółka mostowego, zamocowałem radio do pasa i na czworakach ruszyłem wzdłuż drogi. Nie za daleko. Przy pierwszej wyższej kępie trawy przeczołgałem się na drugą stronę i w ślimaczym tempie dotarłem do kolein, wygniecionych parę godzin temu przez jelicza. Było tego tyle co kot napłakał, bardziej symbol osłony niż realna osłona, ale dalej mogłem ruszyć z podnoszącą na duchu świadomością, że wybrałem najbezpieczniejszą z tras i reszta już nie ode mnie zależy. Jeszcze bardziej pocieszała mnie myśl, że tuż obok ciągnie się kanał i w razie czego wystarczy przebiec kilkanaście metrów.

Oczywiście najprościej byłoby pomaszerować trochę dalej jego korytem i wyjść na brzeg dopiero na wysokości bunkra. Istniały aż trzy powody, dla których tak nie zrobiłem. Nie wytrzymałbym dłużej w wodzie, to po pierwsze. Moje skurczone do rozmiaru niemowlęcych genitalia do końca schowałyby się w brzuchu, pewnie już na zawsze. Po drugie, każdy, kto liczył się z możliwością wtargnięcia napastników do bazy, typował właśnie tę trasę – wzdłuż kanału.

Pchając się tamtędy, natrafiłbym więc najpierw na dodatkowy pas zasieków, a potem na wyeksponowany grzbiet wału i, być może, czyjeś czujne spojrzenie. No i po trzecie, bez nożyc utknąłbym przy głównym ogrodzeniu. Bagnet w połączeniu z pochwą teoretycznie radził sobie z drutami, ale woląłem nie sprawdzać, jak to wygląda w praktyce.

Wybrałem dziurę przygotowaną dla żurawia. Trasa przez pole minowe też miała swoje zalety: gdybym miał pilnować bazy, tu spoglądałbym rzadziej. Na zasadzie nabytego odruchu wyłącznie, ale odruchy mają to do siebie, że ciężko się ich wyzbyć.

Dotarłem do bunkra – i nikt do mnie nie strzelił.

Granatnik leżał tam gdzie zwykle: w skrzyni służącej jako podręczny magazyn amunicji.

Może dlatego nikt go nie zabrał. Przeszukałem po omacku całe wnętrze, lecz nie znalazłem innej broni. Przewiesiłem komara przez plecy i sięgnąłem po radiostację.

– Mam granatnik – zameldowałem. – Kaśka?

– W porządku. Jestem.

Marnie to zabrzmiało. Nawet nie strach: bardziej rezygnacja. Chyba miała już dość.

– U mnie cicho. Facet musiał wyłączyć silnik. Na razie stójcie. Jak dotrę do baraków, dam

wam znać.

Strażnik raczej nie wychyla się z wozu, co znaczy, że to ja wcześniej usłyszę naszego bewupa.

– Jedziemy – oznajmiła Patrycja. – Jeśli cię wypatrzy, będziesz miał jakąś szansę.

– Obejdzie się – rzuciłem ponuro. – Zostańcie, gdzie jesteście. Przy barakach będę wiedział, co facet słyszy.

– My też będziemy miały większą szansę. Spokojnie. Podjeżdżamy powolutku, a wiatr wieje z waszej strony. Zresztą nie spodziewa się nas. Rozmawialiśmy. Myśli, że jesteśmy daleko, a was już wcale nie ma. I na razie nie wychylamy się. Po prostu chcę być blisko.

Dałem za wygraną. Wszystko, co mogłem zrobić, to dotrzeć jak najbliżej stanowiska Strażnika, nim znajdą się w zasięgu słuchu.

Zacząłem pełznąć. Bałem się tylko przez pierwsze pięćdziesiąt metrów. Potem wysiłek przesłonił wszystko inne. Poza tym było ciemno. Kiedy człowiek nie widzi świata, sam ulega miłemu złudzeniu bycia niewidzialnym.

W przeblyskach rozsądku powtarzałem sobie zaczarowaną formułę: „pole widzenia celownika”. Facet siedzący w bewupie i pilnujący baraku numer 5 nie mógł mnie dostrzec bez obracania wieży. Staralem się nie pamiętać, jak mało problemów jest z jej obróceniem.

Przywoływałem wspomnienie wążiutkiego wycinka świata, oglądanego w trakcie naprowadzania armaty na cel. Po kilka stopni w lewo i prawo. Widok prawie jak w dziurce od klucza.

Na wysokości wykopu pod niedoszły podziemny magazyn dałem sobie spokój z autosugestią. Uniosłem się pod osłonę nasypu, po raz pierwszy spojrzałem na południe, nie klejąc nosa do ziemi, no i wyzbyłem się złudzeń.

Patrycja miała rację: stał tam, na tyle blisko, by światło latarni pozwalało wyłuskać go z mroku. Może zresztą pomagała w tym granatowa poświata nad wschodnim horyzontem – forpoczta nadciągającego dnia. Nie widziałem szczegółów, nie miałem pojęcia, w którą stronę spogląda wieża, ale i tak podskoczyło mi tętno.

Skoro widziałem wóz, nie wspomagając niczym oczu, także ukryty w wieży człowiek mógł mnie wypatrzeć, posługując się wyłącznie własnym wzrokiem. A dokładniej: peryskopami.

Otaczały wąż wachlarzem i – w przeciwieństwie do celownika – zapewniały praktycznie nieograniczone pole widzenia.

Strażnik wybrał optymalną pozycję: na przedłużeniu osi podłużnej Piątki. Nie umiałem ocenić, ile metrów dzieliło go od szczytowej ściany baraku. Dwieście? Coś koło tego. Z tego dystansu można już ostrzelać uciekinierów niezależnie od tego, którymi oknami wyskoczą.

Przeliczyłem to. Barak ma osiem metrów szerokości. Jeśli faktycznie wóz ustawił się w osi, to tangens kąta między trajektorią kuli a ścianą podłużną, tą z oknami, wyniesie cztery dwusetne.

Jedną pięćdziesiątą. Czyli, przy trzydziestometrowej długości budynku... nie, zaraz: okna nie dochodzą do szczytów. Więc, powiedzmy, dwadzieścia pięć metrów... Martwego pola, w którym zeskakujący z góry śmiałek mógłby się skryć, będzie równe pół metra.

Nie trzeba nawet kleić się plecami do muru. Pół metra to dużo. Chciałbym mieć nad sobą pół metra bezpiecznego, wolnego od kul powietrza – teraz, kiedy będę się czołgał w stronę stołówki.

Oni mieli. Mogli wyjść bezpiecznie. Jeśli wóz stanął w osi, a któryś z ukrytych w baraku chłopaków miał dość odwagi, by wychylić się i ocenić kąty.

Znalazł się odważny? Na to pewnie tak. Ale żeby zsuwać się na zewnątrz po murze i sprawdzać w praktyce?

Zaraz. Błąd założenia. Ci w środku nie mają mojej wiedzy. Nie mogą opierać kalkulacji na tym, że pilnuje ich jeden człowiek. Oczami wyobraźni widzą snajperów, czających się ze wszystkich stron. No i siedzą cicho.

Właśnie: cisza... Było w niej coś niepokojącego. Cholernie nie chciało mi się wypełzać z za nasypu, więc napędzany instynktem samozachowawczym mózg uchwycił się tej myśli i dość szybko sformułował problem.

Silnik bewupa nie powinien milczeć. Coś tu nie grało.

Wyjaśnienie przyszło dość szybko. Awaria. Sławek miał kłopoty z silnikiem. Niby czemu kierowca pierwszej drużyny miał nie mieć podobnych?

Nie było sensu leżeć i dzielić włosa na czworo.

Zdjąłem z pleców komara, rozłożyłem kolbę. Wątpliwe, bym zdążył się odgryźć, jeśli tamten zauważy mnie i otworzy ogień: celownik ma tak wąskie pole widzenia, bo daje przeszło sześciokrotne powiększenie. Snajper strzelający serią, przy dystansie dwustu kilkudziesięciu metrów? Nie ma cudów – rozwali mnie pierwszą. Ale najpierw musi obrócić wieżę. Tylko o kawałeczek, gdybym jednak usłyszał, może się uda...

Dość. Nie zobaczy mnie. Jeśli jest solidny, gapi się na barak numer 5, jeśli nie, pewnie uciął sobie drzemkę – po tylu godzinach czuwania w napięciu każdego by zmogło. Uda mi się. A jak nie, to też mała strata.

Ilona mnie nie kocha. To całkiem dobry powód, by dać się zabić. Ludzie umierają z głębszych powodów. Dla forsy, ojczyzny, religii.

Powtórzyłem to sobie ze trzy razy. Pomogło. Poczłogałem się w stronę baraków.

Powolutku, żeby nie kurzyć. Radzieccy budowniczowie nie zadali sobie trudu wyrównywania terenu, który z samej natury był dość równy, więc było tu jak to w naturze: niby płasko, a po deszczu woda stała w tych samych co zawsze miejscach. Tu i ówdzie stawałem się niższym celem dla kogoś patrzącego z daleka.

Pełzłem, starając się nie myśleć, że dwumetrowa wysokość bewupa redukuje pewnie w całości ten efekt i tak naprawdę liczą się rzadkie kępy traw oraz pokrywający teren półmrok.

W kiepskim oświetleniu sunący powoli cień nie przyciąga tak uwagi znudzonego oka jak cień, który biegnie. Miałem wielką ochotę poderwać się i pognać sprintem, ale pamiętając o tej zasadzie, konsekwentnie sunąłem na brzuchu.

Znów mi się udało. Dotarłem do niedokończonyj części baraku numer 6, przelazłem przez wysoki na metr załazek ściany i podbiegłem do drzwi kuchennych. Na szczęście Grzywacz wyszabrował je gdzieś, nie miały więc klucza i nie dało się ich zamknąć.

Przeszedłem przez kuchnię, potem przez stołówkę. Raz czy dwa widziałem tu taką pustkę, lecz nigdy nie w zestawieniu z mrokiem nocy. Dziwne wrażenie. W głuchoj ciszy buty chrzęściły jak w filmie grozy, którego bohater przemierza pospelny, wymarły świat, spustoszony przez wojnę jądrową czy innego wirusa. Ostatni żywy człowiek przybył tu, by stoczyć samotną walkę z ostatnią żywą bestią. I przegrać, niezależnie od tego, kto kogo ukatrupi. Staralem się o tym nie myśleć, a jeśli już, to w kategoriach bestii właśnie i roboty do wykonania.

Blasku sączącego się zza okien było akurat tyle, bym nie wpadał na taborety. Zgarnąłem po drodze dwa, ustawiłem jeden na drugim przed przepierzeniem dzielącym jadalnię od kwatery Szamockiego, przelazłem na drugą stronę. Otworzyłem następne nieznające klucza drzwi i wąskim korytarzykiem dotarłem do dyżurki.

Była pusta, jak wszystkie pomieszczenia, ale w przeciwieństwie do poprzednich nie tchnęła martwością. Napastnicy nie zadali sobie trudu wyłączania światła. Lampa pod sufitem, nocna lampka na stole. Monitor z zamrożonym obrazem jakiegoś pustkowiecia: dyżurny pewnie zatrzymał kamerę, by pogapić się na buszujące po nocy gryzonie. Paradoks: wypatrzył myszoscoczka o ćwierć kilometra stąd, a przegapił facetów, którzy weszli drzwiami i dali mu po łbie.

Na pulpicie łączności zarzyła się samotna, zielona dioda. Niepozorne maleństwo, które na dłuższą chwilę przyciągnęło całą moją uwagę.

Nie chciało mi się w to wierzyć, ale wyglądało na to, że nadajnika też nikt nie próbował rozwałać. I że świat, który jeszcze przed chwilą był dla mnie martwy, nagle znalazł się o wyciągnięcie ręki. Calutki świat. O tej porze doby nie będzie problemów z wyjściem poza lokalną sieć wojskową: u nas niedziela przed pobudką, w kraju środek nocy. Zero chętnych do rozmów i blokowania linii.

Wcisnąłem zero.

Podaj numer. Połączenia do sieci komórkowych...

Odruchowo wystukałem 091, kierunkowy do Szczecina i Stargardu. Dopiero przy piątce naszała mnie refleksja.

W „7 dniach” potrafią posiedzieć do późna, ale bez przesady: nie do pierwszej w nocy.

Więc jeśli już, to ósemka z przodu. Domowy numer Ilony.

Odłożyłem słuchawkę. Mieszka u rodziców. Zabiją mnie za pobudkę o tej porze. I będą mieli rację.

Przywołałem do głosu zdrowy rozsądek, przesunąłem stół pod zachodnią ścianę, dodałem taboret, wdrapałem się na tak utworzoną piramidę i wyjrzałem przez okno. Krótkie spojrzenie i głowa w dół: za moimi plecami było zbyt jasno.

Zlazłem na dół. Granatnik leżał na stole, obok pulpitu łączności. Nie był ciężki czy skomplikowany w obsłudze, a mimo to usiadłem na okoliczność szykowania go do strzału.

Dzięki czemu przez całą pierwszą sekundę miałem czyste sumienie.

Potem tyłek kleił mi się do krzesła już bez okoliczności łagodzących. Gdzieś za moimi plecami wóz bojowy numer 0312 lawirował między wydmami, podpełzając skrycie do kanału.

Powinienem wywalić któryś z kawałków dykty, zastępujący od wschodniej strony brakującą szybę, wleźć na górę i słuchać. By móc zawołać „stop!” w odpowiednim momencie. Tu, na dole, byłem o połowę bardziej głuchy niż Strażnik. To znaczy: jeśli zostawił otwarty właz.

Mógłbym spróbować to sprawdzić. Ale to oznaczało tylko inną formę oddalenia się od Ilony. Gapiłem się na końcówkę radiolinii, powtarzałem sobie, że to jedynie pudło wypchane elektroniką – i nie potrafiłem odejść.

Była tam, w środku. Wystarczyło podnieść słuchawkę i kilkanaście razy trafić palcem we właściwy przycisk.

Czułem, że nie powinienem tego robić. Będę przywoływał ducha, a realna dziewczyna, z krwi i kości zaprowadzi bewupa o parę metrów za daleko – i umrze.

Albo inaczej: przywołałam go i usłyszę coś, od czego ja sam umrę. W Ilonie wszystko jest niezwykle, więc i jej głos potrafi tego dokonać: zabić z odległości czterech tysięcy kilometrów.

Nie powinienem ryzykować. Nie teraz.

Podniosłem granatnik. Zacząłem wstawać. I nagle znów byłem na krześle, z komarem przełożonym w poprzek ud i słuchawką przy uchu.

Pikanie tonowego wybierania, potem, znienacka, buczenie sygnału. Gdzieś na drugim końcu świata dzwonił telefon. Nigdy w życiu go nie widziałem, nie zdążyłem zapytać Ilony, gdzie stoi i jak wygląda.

Nieważne. To pewnie i tak nie ten. Zbyt piękne. Zaraz usłyszę poirytowany głos jakiegoś łącznościowca, który poinformuje mnie, że o tej porze to się śpi lub służy ojczyźnie, a nie szturmuje wyłączoną na noc linię.

– Tak, słucham...

Ojciec Ilony. To nie on był w domu od odbierania telefonów, w naturze też zamieniliśmy raptem parę słów, ale od razu go poznałem. Bo było dokładnie jak za pierwszym razem, kiedy otworzyłem notatnik, wstukałem w uliczny automat świeżo zapisany numer i – niedoinformowany kretyn – beztrąsko zapytałem, czy to mieszkanie państwa Malickich. Rzadko się zdarza, by ktoś całkowicie obcy odpowiedział na takie pytanie gniewnym warknięciem.

– Dobry... – ugryzłem się w język. Słowo „wieczór” mogło go sprowokować do ciśnięcia



sluchawką o widelki. – Adam Kulanowicz z tej strony. Przepraszam, że o takiej porze... tak wyszło... Mógłby pan... to znaczy: jest Ilona?

Pytanie retoryczne, jak tamto, wtedy. Sama wpisała mi numer i nie miałem cienia wątpliwości, że mówię z tatą Malickim, ojcem panny z dzieckiem Ilony Malickiej. Ale wtedy padłem przynajmniej ofiarą ignorancji Przemka Bielewicza oraz niesprawności polskich sądów, orzekających o rozwodach tudzież alimentach. Teraz sam sobie byłem winien.

– Nie ma.

Trzeba oddać sprawiedliwość staremu Ilony: żadnej mściwej satysfakcji, żadnego odkładania słuchawki. Długo trwało, nim dotarł do telefonu, więc pewnie zafundowałem mu budzenie i nocny spacer na drugi koniec mieszkania, a mimo to stał tam nadal i czekał cierpliwie.

Naprawdę cierpliwie: zatkało mnie na ładnych parę sekund.

– Nie ma? – Tego nie przewidziałem.

– Nie ma – powtórzył. Albo jakoś łagodniej, albo może akurat ziewał. Trudno ocenić, bo też zrobił sobie dłuższą przerwę, nim dorzucił: – Pojechała do Gorzowa.

Nie miałem pojęcia, czy wie, do kogo i co tak naprawdę mówi. Ilona nie sprawiała wrażenia kogoś, kto zwierza się rodzicom ze wszystkich problemów. No i chyba nie byłem takim znowu wielkim problemem w jej życiu.

Albo na odwrót: byłem i dlatego nic im nie tłumaczyła.

Ale to inteligentny facet. Snułem się wokół jego córki prawie dwa lata, więc pewnie zdążył wyciągnąć wnioski. To dlatego zadałem ostatnie pytanie i dlatego brzmiało akurat tak.

– Ma pan jakiś numer do niej?

Cud, że usłyszał: miałem akurat tyle siły, by utrzymać słuchawkę przy uchu.

– Nie dorobiła się komórki.

Znów nie umiałem ocenić, czy mnie spławia, czy wyraża współczucie.

– To przepraszam.

Rozłączyłem się, zanim stało się jasne, czy zamierza mówić dalej. I co ewentualnie zamierza mówić.

Przykro mi, ale jest u niego. Wie pan...

Mam numer do jej chłopaka, ale przecież nie podam go jakiemuś obcemu facetowi...

Nie chciałem współczucia. Nie chciałem obojętności.

Wmówiłem sobie, że nawet nie chcę rozmawiać z tą wredną suką. Zabijam ludzi dla niej, a ona... Akurat teraz, tej samej nocy...

Sam nie wiem kiedy znalazłem się przy wybitym oknie. Miałem komara w ręku i pewnie wygarnąłbym z niego w kierunku bewupa – gdybym widział coś więcej, nie sam kierunek.

Podniosłem nawet do ramienia składaną kolbę, ale kiedy w celowniku ukazała się jednolita ciemność, oprzytomniałem. Ta lampka przy nadajniku... Za dużo światła w oczy, za mało na

zewnątrz. Odzwyczailem wzrok od widzenia w mroku.

Zlazłem z powrotem na ziemię. Także w przenośni.

Dureń. Gdyby Przemek nie palnął wtedy bezmyślnie o tej pannie, może zdążyłbym wdusić hamulce, unikać Ilony i nie zakochać się. Ale przecież potem, kiedy już się stało, poszliśmy pierwszy raz do kawiarni, ja jej się prawie oświadczyłem, a ona poinformowała mnie, że ma kogoś w Gorzowie. Jeździ do niego, są związani, i to od całych lat, odkąd mąż zostawił ją z maleńkim dzieckiem. Nie powiedziała wtedy wprost „sypiamy ze sobą”, ale przecież nie musiała.

Godziłem się z tym. Już dwa lata. Z przerwą, to prawda, i to ta przerwa sprawiła, że wsiąknę do końca. Zdradził ją, zerwali, wyglądało na to, że na dobre. Że mam otwarty szlaban.

Ale potem zaczęli się spotykać, budowali na gruzach i tego, co im się udało sklecić, było bez porównania więcej niż między mną a Iloną.

Znów z nim sypiała. Ja nie pytałem, ona nie mówiła, ale byłem o tym głęboko przekonany. Więc skąd ta histeria? Nieważne, ile razy i z kim poszła w życiu do łóżka. Że pewnie pod nim teraz leży. Ważne, co będzie w przyszłości.

Usiadłem i sięgnąłem po słuchawkę. Zero, dziewięć, jeden, osiem, trzy... Dobrnąłem niemal do końca i utknąłem na zamykającej numer piątce.

Mają małe mieszkanie. Jej ojciec pewnie zdążył wrócić pod kołdrę. Trudno. Najwyżej go wkurzę. Gorzej, że nie będę umiał przepchnąć przez gardło stosownej prośby. „Przepraszam, ale muszę zdobyć ten numer. Na pewno jakiś zostawiła. Znam ją, wiem. Na wypadek, gdyby coś z Olałem... Tak, teraz, natychmiast. Bo to sprawa życia i śmierci. No, nie wiem czyje. Jakiegoś faceta w bewupie. Albo mojej. Albo takiej jednej pani, która o mało co nie chodziła z Iloną do klasy.”

Bez sensu. Spławi mnie. W środku nocy żaden ojciec nie poda namiarów córki obcemu facetowi. Choćby sprowadzało się to do numeru jakiejś anonimowej komórki.

Zaraz... komórka.

Wtedy też rozmawialiśmy przez telefon. Była zła, bo w liście ośmieliłem się zapytać, czy jest pewna jego uczuć. Mniej więcej w tym czasie przymierzał się do ślubu z inną, ale żadne z nas jeszcze o tym nie wiedziało i, sparaliżowany lejącym się ze słuchawki lodem, posłusznie zapisałem ciąg cyfr, które Ilona podyktowała mi ni z tego, ni z owego. Gdzieś w połowie domyśliłem się, co zapisuję – ale dokończyłem mimo wszystko. A potem nawet zastanawiałem się na serio, czy nie pójść za jej ociekającą gniewem i sarkazmem radą, nie zadzwonić i faktycznie nie zapytać.

Sięgnąłem odruchowo do kieszeni, tej na piersi. Dopiero wyciągając kopertę, przypomniałem sobie, że to nie ta bluza. I że kalendarzyk z numerami telefonów też niekoniecznie noszę we własnej, mundurowej, akurat na sercu. Żołnierz częściej ma przy sobie spodnie.

Odłożyłem kopertę na stół i sprawdziłem kieszeń na udzie. Jest. Trzyletni staruszek, trzymający się w kupie wyłącznie dzięki taśmie i dodatkowym zszywaczom. Pamiątka z błogosławionej epoki przedilonowej.

Komórka. Może ją zgubił, sprzedał, wymienił na nową. Albo po prostu wyłączył. Jeśli miałem rację i była u niego, powinien wyłączyć aparat. Tylko ostatni debil i cham położyłby włączony telefon obok łóżka z Iloną w środku.

– Słucham.

Następny męski głos, tym razem młody. Nie umiałem ocenić, czy zaspany. Chyba nie wierzyłem, że ktoś odbierze.

– Jest Ilona?

Nie odpowiedział. Tam, w innym świecie było całkiem cicho i przez chwilę myślałem, że się wyłączył. W raję odkładają słuchawkę, kiedy ktoś dzwoni z piekła.

A facet właśnie był w raję. Ten drugi głos...

– Tak?

Zdarzało mi się ją budzić za pomocą telefonu. Kiedyś powiedziała, że od urodzenia Olafa nie zdążyła się porządnie wyspać. Nie był łatwy jako dziecko: już u mamy w brzuchu zdążył zwichnąć sobie bark. No i trochę za mocno się w nim zakochała. Wystarczyło, że kichnął, i już miała z głowy dwie nieprzespane noce. Żyła zresztą w ciągłym deficycie czasu: samotna matka, dziwaczna praca, za krótka doba, za dużo obowiązków. Nadrabiała to niekiedy drzemkami w wolne popołudnia i właśnie wtedy witał mnie ten charakterystyczny, lekko nieprzytomny głos balansujący na granicy szeptu.

– To ja. – W tej chwili też nie potrafiłem mówić głośniej. Na szczęście nie musiałem.

Wojsko Polskie wydzierzało na potrzeby tej wojny może niezbyt przepustowe, za to porządne łącze satelitarne.

– Adam? Co się stało?

Zaniepokoiłem ją. Nie wiem który już z kolei raz. Wciąż nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że dzwonię w dziwnych porach bez żadnego konkretnego powodu, bo po prostu poziom tęsknoty osiągnął dopuszczalne maksimum i zwyczajnie musiałem. Inna sprawa, że te dziwne pory nigdy nie zahaczały o prawdziwą noc. Ot, wczesny wieczór, względnie przedpołudnie którejś z tych nielicznych niedziel, gdy nie pracowała.

– Nic. – Następny stały fragment gry. – Nic się nie stało.

Milczała. Może tarła oczy, próbując odczytać godzinę na zegarku. Albo wstawała z łóżka i umykała z komórką do przedpokoju, by nie drażnić tego, który w łóżku pozostał. Albo uspokajała oddech, bym nie usłyszał zadyszki. Tu była czwarta, czyli u nich pierwsza. Późno, ale gdybym to ja otrzymał od losu prezent w postaci Ilony Roman, późno robiłoby się gdzieś w południe następnego dnia. Kochali się jeszcze? Przerwałem im?

– No przecież słyszę... Co się dzieje?

– Krótka przerwa w walkach – uśmiechnąłem się ponuro.

– Czekaj... tam u was jest... po czwartej?

Teraz naprawdę się zaniepokoiła. Chciałbym pomyśleć: „przestraszyła”, ale aż takim optymistą nie byłem.

– Przepraszam. Obudziłem cię, co? Przepraszam.

– Adam, co się dzieje?

Nie, jednak się bała. Tyle że robiła to półgłosem. No i nie wiedziałem: o mnie czy przeze mnie. Nie była sama.

– Nic takiego. – Zbierałem się na odwagę i nie miało to nic wspólnego ze świadomością, że ktoś może wpaść na pomysł sprawdzenia aktywności naszej radiolinii tej nieszczęsnej nocy.

Cholera wie, może gdzieś się to nawet nagrywało. Pamiętałem, że powinienem ważyć słowa, ale to wszystko. Nie bałem się tego, co powiem, lecz tego, co usłyszę. – Ilona...

– Masz okropny głos.

Ona też miała. Zdążyła się zarazić. Obudziłem nie tylko ją: także jej wyrzuty sumienia.

Zawiniła, jak to kiedyś zgodnie ustaliliśmy, samym swym istnieniem. Niczym więcej. Ale dla takiej jak ona, wrażliwej i inteligentnej dziewczyny, był to wystarczający powód, by cierpieć razem z ofiarą.

– Kłopoty – próbowałem się uśmiechać. – Jak to na wojnie. Właśnie dlatego... Na wypadek, gdyby coś się stało, chciałem ci przypomnieć, że cię kocham. – Mówiłem jej to już parę razy, częściej pisałem, ale ostatnio omijaliśmy ten temat, więc troszeczkę mnie wzięło. Musiałem pomilczeć przez chwilę. – Wiesz, stanąłem jakoś na nogi. Trochę tu zarobiłem, no i oszczędności... Wystarczyłoby na mieszkanie. Albo i domek, gdyby za miastem. Zawsze mówiłaś, że chciałabyś mieszkać na wsi. Kupiłbym ci samochód, mogłabyś dojeżdżać do pracy.

– Adam...

Widziałem jej twarz. Gdyby była wojna, gdyby powołali ją na listonoszkę i kazali roznosić rodzinom zawiadomienia o śmierci żołnierzy, robiłaby to z taką właśnie miną. Mimo pozornej kruchości była babskim twardzielem i pewnie tylko dlatego nie rozplakała się teraz.

– Nigdy cię nie zostawię. – Czulem, że to bez sensu, ale musiałem spróbować po raz ostatni.

– Nie zdradzę, nie skrzywdzę, nie potraktuję jak kogoś równego sobie. Zawsze będziesz lepsza. Kocham cię. Bez ciebie to wszystko... O kant to dupy rozbić. Nie ma sensu.

Chwila ciszy. I jej zboląły głos:

– Nie mogę z tobą być.

– Wiem. Nie teraz. Nie o to pytam. Tylko czy... kiedyś. Za rok, dwa, pięć? Czy w ogóle jest szansa... Ja poczekam. Tylko powiedz, że jest chociaż cień szansy.

Nie powiedziała. Nigdy nie udało mi się z niej wydusić słusznego skądinąd stwierdzenia, że

w życiu wszystko się może zdarzyć.

– Adam... nie kocham cię. Kurwa, tak bym chciała... Ale nie. A bez tego... Tylko bym cię skrzywdziła.

– To on cię skrzywdzi.

– Tak... chyba tak. Ale jego... Kurwa mać...

Potem milczeliśmy, czekając na jakiś cud. Długo.

A jeszcze później odłożyłem słuchawkę, wziąłem granatnik i podszedłem do wyjścia.

## Rozdział 37

Dałem mu jakieś pół minuty. Może całą. Nie byłem pewien, ile konkretnie.

Stałem w otwartych na oścież drzwiach i czekałem na kule. Nie jedną: zwisający wzdłuż nogi komar był wystarczająco widoczny, by zapewnić mi długą serię. Miałem nadzieję, że dobrze wymierzona. Że Strażnik nie spanikuje i nie zgruchoce mi nią ud albo kolan – samobójcy nie bólu szukają, lecz ucieczki przed nim. Ale godziłem się i na ból.

Kiedy człowiekowi rozsypie się świat, boli trochę bardziej. I, przede wszystkim, dłużej.

Stałem w wykreślonym framugą prostokącie światła i czekałem. Najbardziej wyzywający cel w całej okolicy. Nie do przegapienia. Nie do zignorowania.

Zignorował mnie.

Powoli podniosłem granatnik. Może mnie rozpoznał i miał wątpliwości co do intencji. No więc proszę: oto moje intencje. Wpakować mu kilogram heksogenu, najpierw w pancierz, za którym się kryje, a potem w bebechy. Nic do niego nie miałem, po prostu oczekiwałem, że zachowa się rozsądnie i wyleczy mnie z Ilony garścią ołowianych tabletek.

Nie zamierzałem strzelać. Dopiero potem, kiedy mnie olał. Po kilkunastu sekundach bezowocnego czekania naprawdę przyłożyłem kolbę jak Bóg przykazał i nawet odnalazłem wzrokiem przyrządy celownicze. Tyle jeszcze dałem radę. Łez w oczach nie było wcale tak dużo, widziałem calutki granatnik i nawet słupy ogrodzenia.

Bewupa już nie. Za ciemno. Za mokro.

Opuściłem komara. Żołnierz nie marnuje ostatniego naboju. Nagle pomyślałem, że tyle mi zostało: umrzeć trochę fajniej. Po żołniersku właśnie. Z sensem.

Może miało to jakiś związek z przyniesionym ze wschodu pomrukiem silnika.

Zawróciłem. Jeszcze bez pośpiechu. Jeszcze dając im szansę: temu w górze i temu w bewupie.

Nie skorzystali. Wszedłem do baraku i zamknąłem za sobą drzwi. A potem odsunąłem się na bok, za mur. Na wypadek, gdyby skandalicznie spóźniony Strażnik wyrobił się na ostatnią chwilę i walnął serią po skrzydle ze sklejki.

Znów chciałem żyć. Troszeczkę. I chyba na krótko. Ale chciałem. Miałem coś do zrobienia.

– Kaśka?

– Jestem – odpowiedziała, kiedy tylko zwolniłem przycisk. Musiała czekać.

– Słuchać was. Dajcie sobie na wstrzymanie.

Okna pokoiku Szamockiego wychodziły na wschód, Strażnik nie mógł ich widzieć.

Zapaliłem światło i przeprowadziłem szybką rewizję. Nie naszukałem się wiele: parę mebli to za mało, by porządnie schować półlitrowkę. Nie mówiąc o trzech. Odpieczętowałem pierwszą

z brzegu i chlapnąłem sobie zdrowo. Potem jeszcze raz. I jeszcze.

Pomogło. Za mało, więc wróciłem do dyżurki i podniosłem kopertę. Nie wiem, czy miała ruszyć moim poczuciem obowiązku czy tym, co sam chowałem w majtkach, ale nosiła ewidentny ślad kontaktu z ciałem Kaśki i to wystarczyło. Wypychałem z głowy Ilonę i próbowałem wyobrazić sobie, jak splacam wiadomy dług innej, czarnowłosej dziewczynie. Jej uda owijają mnie w pasie, pierś wciska się w twarz. Nie ma ich takich świetnych jak Ilona – o tamtych czułem intuicyjnie, że są naj, jak ona cała – ale na pewno wystarczą, by zetrzeć łzy.

Może warto przeżyć.

Nie myśleć o Ilonie. Statek zatonął. Teraz szalupa jest moim statkiem. Ostatnią szansą ocalenia.

Ja też jestem jej ostatnią szansą.

Alkohol dotarł do mózgu, przywrócił zdolność w miarę normalnego funkcjonowania.

Znów potrafiłem się bać. Trochę za mało, ale już o dwoje, więc jakoś wystarczyło na rezygnację z podchodzenia do drzwi i robienia z siebie żywej tarczy. Mogłem też myśleć.

Zacząłem właśnie od tej tarczy.

Baraki stoją blisko siebie. Ktoś, kto obserwuje Piątkę, nie powinien mnie przegapić.

Powinienem leżeć teraz martwy.

Zagadka.

W dyżurce pozostał sprawny nadajnik, przez który jakiś zdesperowany i obdarzony szczęściem uciekinier z Piątki mógł wezwać posiłki.

Następna zagadka.

No, ta akurat do wyjaśnienia: rezerwa na czarną godzinę. Mogliśmy wracać pieszo.

Któreś z nas mogło zostać ranne. Szamocki uwzględnił to i zadbał o możliwość wezwania pomocy. Co prawda była radiostacja w bewupie Strażnika, ale...

...ale jak dotąd 0311 faktycznie się nie popisał. Silnik zgasł, celownik chyba wysiadł, skoro nie zostałem zauważony. Rzęch?

Za dużo tych nieszczęść. Więc raczej to co zwykle: zawiódł człowiek, nie technika. Ktoś tu zasnął. Albo – kto wie? – może pękł i po prostu uciekł?

Gdybym wiedział, który to jest...

Siedziałem i wyobrażałem ich sobie, jednego po drugim. Strata czasu. Za słabo ich znałem. Teoretycznie każdy mógł zapisać się do drużyny Chudzyńskiego. Nie tędy droga.

Więc inaczej: Patrycja chyba była ze mną szczerą. Przynajmniej w kwestii likwidacji Strażnika. Chciała go zabić. To pewne, bo chciała zabić nas. Zrezygnowała tylko dlatego, że byłem jej potrzebny – właśnie jako zabójca. I nie chodziło raczej o usunięcie zbyt kosztownego współnika. Za dużo ryzykowała. Mogłem przecież postawić krzyżyk na Kaśce, zerwać się ze smyczy i narobić znacznie większych kłopotów. Czyli bała się go. Naprawdę.

Który z chłopaków Bruszcza mógł napędzić jej takiego stracha? Komu mogło odbić tak, by zarzynał złotonośną kurę? Tylko dlatego, że okazała się gołębiem i jaja będą mniejsze? A najwyraźniej Strażnikowi odbiło. Dowód jest banalnie prosty: mieliśmy go zabijać z dwoma nabojami w garści. Przy czym Patrycja nie umiała strzelać, a ja mogłem w ogóle nie dotrzeć do swojego.

Musiała być zdesperowana, skoro na to poszła. Musiała wierzyć, że facet faktycznie wykończy ją natychmiast, tu i teraz. A on musiał mówić śmiertelnie serio.

No, chyba że z Patrycji jest lepszy psycholog, niż myślałem. I wie, że nie poświęcę Kaśki.

Tylko że byłaby dupą, nie psychologiem: odrobina niepewności w głosie Ilony i bez wahania poświęciłbym całą ludzkość. Kaškę, choć z wahaniem, też. Jedno niezobowiązujące „może kiedyś”, a myślałbym teraz wyłącznie o forsie na wiejski domek dla swej boginki.

Siedziałem przy stole, machinalnie obracałem w dłoniach pomarszczoną od wilgoci kopertę i zastanawiałem się nad tym wszystkim. Czułem, że w gruncie rzeczy do niczego nie dojdę, a jeśli nawet, to będzie to czysto akademicki sukces, bo koniec końców i tak wezmę komara, wyjdę przed barak i strzelę – nieważne do kogo i z jakich powodów. Ale wolałem rozgryzać zagadki, niż dawać mózgowi wolne. Zbyt łatwo wracał do Ilony.

Uwielbia kwiaty, świeczniki, jakieś półeczki z ozdóbkami. W wiejskim domu, mając ogródek, ściany, w które da się wbić gwóźdź, i przede wszystkim nieznaną jej dotąd swobodę stuprocentowego właściciela, byłaby szczęśliwa.

Dobra, dość. Ze mną by nie była. A Kaśka może potrafi. To mokre na kopercie to nie tylko mocz. Chciała mnie i gdybym miał pod ręką laboratorium, mógłbym to udowodnić bez uciekania się do intuicji.

Nie miałem próbek, o wiedzy nie mówiąc, więc tarłem w palcach rozmiękczony wilgocią róg koperty. Tarłem, tarłem, no i przetarłem.

Wewnątrz był papier. Tak naprawdę wcale nie zamierzałem zaglądać – o liście zdążyłem pomyśleć, że trzeba go będzie zniszczyć – ale skoro już zacząłem...

Następny punkt zaczepienia dla umysłu, ześlizgującego się w stronę marzeń o szarookiej gwiazdce z nieba.

Rozdarłem kopertę. Oczekiwałem listu albo czegoś w tym rodzaju – liter, krótko mówiąc.

Znalazłem fotografię. Dokładniej: jej kserokopię. A jeszcze dokładniej: produkt komputerowej drukarki, pracującej w trybie czarno-białym.

Zdjęcie przedstawiało młodego mężczyznę rasy żółtej. Na pierwszy rzut oka: patrzącego w obiektyw.

Coś z nim było nie tak, ale głowę miałem zaprzątniętą czym innym i drugi rzut oka też nie wystarczył. Dopiero po całkiem długiej chwili zrozumiałem, skąd te wątpliwości. Facet miał nijaki wyraz twarzy i dość tępe spojrzenie, to jednak przytrafia się niejednemu ustawionemu



przed obiektywem. Nie w mimice problem. Raczej w jej braku.

Trudno ładnie pozować, kończąc się parę centymetrów poniżej podbródka. Autor zdjęcia zadał sobie trochę trudu i chyba uniósł powieki, ale już nie dolną krawędź fotografii. Trochę dziwne, biorąc pod uwagę, że pracował na cyfrówce, a efekt swej pracy, chcąc nie chcąc, przepuszczał przez komputer. Nie potępiałem jednak Szamockiego. Spieszył się, a ten skrawek czerni w dole kadru powinien umknąć uwadze każdego, kto nie zetknął się z całkiem świeżym w Wojsku Polskim zwyczajem obcinania ludziom głów.

Na policzku martwego partyzanta też było widać skrzepy krwi. Wyglądały jak brud.

Pewnie dlatego Czarek zrezygnował z koloru: kikut szyi dało się wykadrować, ale podrapanej twarzy już nie. Czerwień krwi podziałałaby na wyobraźnię naszych afgańskich kontrahentów.

Zamiast uspokajać się myślą, że znamy ich kumpla, zaczęliby się zastanawiać, co mu zrobiliśmy – i żegnaj milionie dolarów. Wersja czarno-biała też pewnie skłoniłaby ich do myślenia i dlatego wylądowała w majtkach Kaśki, nie w dłoni Okrągłej Twarzy. Ale mogła się przydać i nie widziałem niczego niepokojącego w fakcie, że najpierw Szamocki, a potem Student chcieli ją mieć w odwodzie na wszelki wypadek. Łatwiej wytłumaczyć się z fotografii trupa niż z braku jakichkolwiek referencji. Nie to mnie martwiło.

Martwił mnie zbieg okoliczności.

Chudzyński nie jechał z nami i bez tych czterech, którzy dali się przyłapać beerdeemowi w wersji Rudy, a potem pozabijając, nie mieliśmy namacalnych upoważnień do przeprowadzenia transakcji. Znajomość miejsca to za mało: partyzantów mógł wypatrzeć jakiś satelita, mogli zostać zdradzeni. Oczywiście pozostawały wyjaśnienia, wiedza, której podstawieni w nasze miejsce uczestnicy jakiejś chytrej pułapki nie powinni posiadać, ale z góry było wiadomo, że wymiana odbędzie się z palcami na spustach i każdy drobiazg zwiększający zaufanie mógł ocalić nam życie.

Ta twarz na zdjęciu, twarz kogoś, kto miał nas przyprowadzić, spadła nam jak z nieba.

Nie wykorzystaliśmy jej, ale była – jak fotel katapultowy w myśliwcu. Broń Boże używać tego cholerstwa i broń Boże nie zaopatrzyć się w nie, jeśli tylko jest dostępne.

Nagle zrozumiałem, po co Szamocki zabrał Kaśkę na przejażdżkę poprzedniej nocy.

Czemu tak naprawdę służyło praktyczne testowanie skuteczności szwedów.

Potrzebował ciała i aparatu fotograficznego – w jednym miejscu i choć na krótko. Już wtedy. Lepszy byłby żywy partyzant, ale obława ruszyła, szanse na żywego zmały drastycznie, więc próbował uratować, co się da.

Nie wyszło: śmigłowiec z waźniakami z wywiadu zjawił się parę minut za wcześnie.

Niepowtarzalna okazja przepadła. I oto kilkanaście godzin później los się do nas uśmiecha.

Młynarczykowi odbija, a my dostajemy prezent w postaci właściwej głowy. Twarzy, którą

można sfotografować.

Zbyt piękne.

Wpatrywałem się w oblicze martwego Azjaty. Nie wiedziałem po co. Może potrzebował tego mój ciężko poturbowany instynkt przetrwania. Widok ludzkich szczątków i upokorzenia, jakie niesie ze sobą śmierć, to niezła odtrutka na samobójcze myśli. Nie wiem, czy podziałała w moim przypadku. Ale parę kłapek w mózgu pootwierala.

Na początek wyłączyłem lampkę. Cholernie późno, ale usprawiedliwiał mnie fakt, że miałem tu jeszcze trochę posiedzieć. A góry i tak nie mogę ruszyć: zbyt łatwo zauważyć całkowite zaciemnienie. Mogłem co prawda wyciągnąć się na którymś z oficerskich łóżek i połączyć myślenie z przyzwyczajaniem oczu do mroku, ale ani u Szamockiego, ani u Bruszcza nie wisiał na ścianie szkic bazy.

Siedziałem, gapiałem się na przygnębiająco pusty arkusz papieru i układałem strategię. Bo taktyka nie wystarczała. Tu, na przedpolu realnego świata, już nie. Prawdopodobnie dostanę kulą w łeb zaraz po tym, jak go wychylę z baraku, miałem jednak obowiązek zakładać, że w realnym świecie nic nie jest proste, i zatroszczyć się o dalszą przyszłość.

Wisiałem Kaśce jeden orgazm i jedno życie.

Oczywiście to nie ona pierwsza upomniała się o swoje.

– Adam? – Stłumiony głos w radmorze pasował do wywoływania faceta, który właśnie podkrada się do ofiary z bronią w ręku. – Co się dzieje? Nie widzę cię.

Aha. Dzięki za podpowiedź. Nie była aż taką idiotką, by podjeżdżać całkiem blisko, w miejsce, skąd da się ogarnąć spojrzeniem cały teren bazy, ale i tak dzięki. Prawie zapomniałem w swych kalkulacjach o niej i jej noktowizorze.

– I niech tak zostanie – rzuciłem sucho. – Wiesz już, gdzie stoi jedenastka? No to łeb za wydmę i czekaj, aż powiem. Bo cię jeszcze zobaczy.

– Rozwidnia się – warknęła.

– I dobrze. Łatwiej trafię. – Odczekałem chwilę. – Nie odezwał się?

– Nie. O czym tu mówić? Chce ćwierć miliona. Nie wie, że Student nie żyje. Dzieli przez czworo.

– Kaśka? – Nie zamierzałem bawić się w Wersal. – Nie gadała z nim?

– Nie. – Skorzystała z okazji i dodała: – Uważaj na siebie.

Mądra dziewczyna. Właśnie na siebie powinienem uważać. Nie na tych dwoje, tylko na siebie. Nadal kusilo mnie, by powtórzyć numer z ustawianiem się w progę.

– Muszę podejść bliżej. Nie słyhać was tu, więc nie wyłączajcie silnika i czekajcie. Dasz radę przejechać przez most, Kasia?

– Po co? – Nie byłem pewien, czy wyczuwam podejrzliwość w głosie Patrycji. Niepokój na pewno, ale trudno się nie niepokoić przed walką. – Stąd też go widać. Jadę dwadzieścia metrów

i mogę walić.

– Pytam na wszelki wypadek. Wiesz, to wóz. Może odjechać. Chciałem po prostu wiedzieć, czy w razie czego... Ale masz rację: zostańcie tam. – Uśmiechnąłem się krzywo i tak, żeby było słychać. – Wolę, żebyś wróciła pieszo.

– Bierz się do roboty – mruknęła. – Aha, Adam... I pamiętaj o wujku. Serio mówiłam.

Rozłączyła się. Pomyślałem jeszcze przez chwilę, po czym zajrzałem do ofoliowanej instrukcji, podniosłem słuchawkę telefonu i wystukałem numer.

– Dawaj doktora Chudzyńskiego – nie dopuściłem do głosu dyżurnego bazy artyleryjskiej.

– Ale już.

Mogłem trafić na jakiegoś służbistę, który zażąda kryptonimów, upoważnień itede. No i, przede wszystkim, mogło go tam nie być. Ale wierzyłem Patrycji. Idiota łatwiej uwierzy w istnienie innych idiotów.

Czekał, i to właśnie tam, przy odbiorniku. Nie wiem, jaką bajkę wymyślił na tę okoliczność. Rozumiałem, dlaczego dyżurny bez zwracania mi głowy przekazał mu słuchawkę.

Byliśmy na wojnie, a Wojsko Polskie naprawdę nade wszystko ceniło sobie życie własnych ludzi. Wojsko służy politykom, a politycy nienawidzą tracić żołnierzy na nikomu niepotrzebnych wojnach w drugim końcu świata. To psuje notowania. Służby medyczne miały więc w kontyngencie wszelkie możliwe priorytety i nikt od generała w dół nie śmiał wejść w drogę lekarzowi. Oczywiście miałem szczęście, było to jednak szczęście wygrywającego w kości, nie w totolotka.

– Co się dzieje? – Pewnie siedział tam jak na szpilkach i pewnie dlatego zapomniał się przedstawić. – Kto mówi?

– Kulanowicz. Mieliśmy problemy. Patrycja cię potrzebuje. Pośpiesz się. Trochę dostała.

Muszę kończyć.

Rozłączyłem się. Oczywiście parę sekund później telefon rozbrzęczał się nachalnie, zignorowałem go jednak. Im więcej powiem, tym więcej zasieję wątpliwości. Zakochanym kretynom też zdarza się myśleć.

Wstałem, schowałem kopertę do kieszeni, wziąłem granatnik i skierowałem się w stronę kuchni. Wolałbym pokój Bruszcza czy Szamockiego, ale żaden z nich nie palił. Kucharz chyba też nie, szansa znalezienia zapalniczki obok pieców gazowych wydała mi się jednak większa.

Znalazłem zapalki. Też dobrze. Poświęciłem jedną, by upewnić się, że nie zamokły, po czym wyszedłem przed barak.

Dopóki kierowałem się lekko na prawo od Trójki, osłaniał mnie od strony bewupa.

Mogłem spokojnie przemaszerować te sześćdziesiąt metrów w poprzek placu plus trzydzieści wzdłuż ściany magazynu, a dopiero potem położyć się na brzuchu i wpełznąć w pole widzenia celownika. Może nawet wcale nie musiałem pełzać: jeśli wóz stał dalej niż o te przyjęte

szacunkowo dwieście metrów, oba baraki zlewały się celownicemu w jedną bryłę. Sprawdziłem to na planie.

Mimo to od początku poruszałem się na brzuchu. Nie tak ostrożnie jak poprzednio – oczy, których się obawiałem, nie mogły znajdować się wysoko, więc i martwych pól miałem więcej – ale jednak na brzuchu.

Na wysokości masztu zatrzymałem się na chwilę. Tu, z dala od baraków, było najciemniej, ale do Bruszcza miałem raptem trzydzieści metrów, więc widziałem nie tylko siedzącą przy słupie sylwetkę, lecz nawet refleksy światła na taśmie klejącej. Owinęli mu nią pół głowy. Oczy też. Miałem nadzieję, że nie zapomnieli o pozostawieniu w spokoju przynajmniej nosa, nie zadałem sobie jednak trudu podczołgania się bliżej i sprawdzenia. Jeśli się udusił, to dawno temu. Nic nie poradzę. W kwestii egzekucji, której miał na nim dokonać Strażnik, już mogłem. Ba, miałem nawet ekstremalnie szeroki wachlarz wyborów. Bagnet w kieszeni czynił mnie panem jego życia i śmierci.

Jeszcze parę minut temu zastanawiałbym się poważnie, czy nie posłuchać Patrycji i nie wsadzić mu go między zebra. Miałem dobry powód, by zabijać: Ilonę Roman. Swoim „nigdy” ocaliła właśnie ludzkie życie. Może nie odważyłbym się ryzykować, gdyby to ona była nagrodą w tej grze. Nie była jednak, więc z ulgą dopuściłem do głosu wątpliwości i zostawiłem Bruszcza w spokoju.

Może Patrycja mówiła prawdę, a ja wyląduję za kratami na podstawie jego zeznań. Ale tylko „może”. Bardziej niż w jej szczerość wierzyłem w inteligencję Szamockiego.

Nie spałałby wszystkiego już na wstępie, wpadając do Szóstki z bronią w rękę i odsłoniętą twarzą. Bruszcza mógł mu teoretycznie zedrzyć kominiarkę, tyle że wtedy raczej by nie dożył przywiązywania do masztu. Ten partyzant upolowany szwedem raczej nie podciął sobie gardła scyzorykiem. Czarek poszedł do niego sam. Jeszcze bez aparatu, czyli nie po zdjęcie.

Facet mógł przeżyć, zeznawać i rozłożyć całe przedsięwzięcie – więc musiał umrzeć. Teraz Bruszcza by musiał.

Poza tym sam Szamocki może nie przeżyć. Ślad się urwie; martwi nie zeznają i nie wsypują współników.

Poza tym ja mogę nie przeżyć. Wtedy, nawiasem mówiąc, Strażnik pewnie załatwi Bruszcza i odejdę z tego świata w glorii bohatera, który zginął za Polskę, wolność waszą, naszą i handlu kaspijskim gazem.

Poza tym miałem już Bruszcza na swej liście osób do uratowania. Z tyłu, ale tam był.

Gdybym podczołgał się teraz, zaapelował do wdzięczności i rozciął mu więzy, na pierwszą pozycję awansowałby kosztem kobiet i dzieci. Lubilem go, był w porządku – pomijając tego kurewskiego pecha – założyłem więc, że pochwaliby mój wybór, po czym zostawiłem go własnemu losowi i poczołgałem się dalej.

Znów nikt do mnie nie strzelał. Dostałem się do Trójki przez północne wrota, te, którymi wyjechał star. Szybko znalazłem to, czego potrzebowałem. Nie miałem dużych potrzeb: kawałek lontu wolnotłącego, kawałek prochowego, trzy saperskie spłonki, dwie lekkie laski i jedna cięższa kostka trotylu. Wziąłbym więcej lasek – złączone taśmą są poręczniejsze jako namiastka granatu – ale taśmy tu nie było, a ja nie miałem czasu szukać w innych barakach.

Niebo na wschodzie robiło się coraz mniej czarne, nabierając barwy mrocznego granatu.

Wszyscy moi wrogowie mieli noktowizory, więc teoretycznie słońce powinno być moim sojusznikiem – ale Chudzyński już tu jechał i musiałem się spieszyć.

Powtórzyłem sobie raz jeszcze wszystkie argumenty i wypełzłem z baraku. Tym razem niedaleko: tylko za rozwarte wrota. W momencie, gdy osłoniły mnie od wschodu, od strony kanału, podniosłem się i przebiegłem pod ścianę Dwójki. Na bezczelnego. Przez całą prawą połówkę celownika 0311.

Argumenty argumentami, a jednak byłem mile zaskoczony brakiem nadlatujących kul.

W tym samym stylu, sprintem, pokonałem przestrzeń dzielącą Dwójkę od Jedyńki. Lewa połówka obrazu w celowniku. I nic.

Wzdłuż zachodniej ściany baraku numer 1 przeszedłem już spacerkiem. Tu nikt mnie nie mógł zobaczyć, ani z bewupa, ani znad kanału. W kierunku rozpoczynającej południowy szereg Czwórki też pęłłem spokojnie. Patrycja znajdowała się dość wysoko i mogła mnie teoretycznie wypatrzeć, ale wątpię, by posunęła się choćby do podejrzliwych pytań. Nie była naiwna, wiedziała, że rozejrzę się za bronią, miałem więc prawo pokazać się jej w dowolnym miejscu bazy. Zresztą myśliwy podchodzący ofiarę od czoła to kiepski myśliwy.

Naprawdę nieprzyjemnie zrobiło się dopiero na południe od baraków, kiedy musiałem porzucić ostatni narożnik i jak najgorszy myśliwy świata poczołgać się niemal wprost w paszczę wypatrującego mnie żelaznego smoka. Im bardziej się do niego zbliżałem, tym częściej nachodziła mnie myśl o kocie bawiącym się myszą.

Mogłem się mylić, a dowód w postaci życia nie był żadnym dowodem. Ot, po prostu zasnął, zamyślił się, nie patrzy. Więc i nie strzela. Zaraz zerknie w celownik i wyleczy mnie ze złudzeń. Jeśli faktycznie ma kocią naturę, to nie od razu. Nie musi. Wystarczy zapanować nad pierwszym odruchem, by dojść do wniosku, że taki jak ja, zmordowany słabeusz, nie stanowi wielkiego zagrożenia i potrzebuje wielu sekund, by złożyć się do strzału.

Jeśli mnie widzi, zdąży zabić. Bez pośpiechu. Więc czemu się trochę nie zabawić?

Starłem się o tym nie myśleć. Wierzyć w słuszość własnego rozumowania.

Zasięki pokonałem, wykorzystując wyszarpaną przez bewupa dziurę. Miał ją teraz prawie na wprost lufy, ale zaryzykowałem. Im krócej to trwa, tym lepiej. Inna sprawa, że za ogrodzeniem odbiłem ostro w prawo. Nie tyle z uwagi na celownik 0311 i jego wąski sektor widzenia. Bałem się raczej Patrycji. Mogła obserwować wóz Strażnika i mogła się zdziwić, gdyby wypatrzyła

mnie pełznącego prosto na jego lufę.

Zatoczyłem szeroki łuk, cały czas na brzuchu. Gdzieś za kanałem wschodziło słońce, ale ja widziałem coraz więcej gwiazd. Mdlilo mnie z wysiłku. Kiedy w końcu dowlokłem się do bewupa, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było obrzyganie mu lewej gąsienicy.

Leżałem potem diabli wiedzą jak długo, dysząc z wysiłku i nasłuchując z nadzieją, czy ten w środku nie ocknął się wreszcie i nie wyłazi, by strzelić mi w łeb. Chciałem tego.

Zdychałem ze zmęczenia. Gdyby naga Ilona pojawiła się w tej chwili obok mnie i zaproponowała szybki numerek, musiałbym poprosić, by poczekała.

Nikt się nie zjawił. Żadnego seksu, żadnego strzelania. Pozbierałem się jakoś, otworzyłem lewe drzwi przedziału desantowego i zajrzałem do środka.

Ciemno. Ale w fotelu kierowcy nikogo chyba nie było. Cóż, nie tam powinienem szukać Strażnika. Wieża i tylko wieża. Objając się o próg kolanami i zapalnikiem komara, wlałem do środka. Cholera wie po co: musiałyby spać jak zabity, by przegapić cały hałas, jakiego narobiłem.

Oczywiście nie było go i przy armacie.

Czyli, jak mówią amerykańscy towarzysze: bingo. Byłem kretynem, ale przynajmniej obdarzonym zdolnością logicznego myślenia. I intuicją.

Jakoś mnie to nie ucieszyło. Miałem rację, czyli będę musiał pełznąć dalej. Następne trzysta metrów. Tyle stąd było do kanału. I to w linii prostej.

Zerknąłem w peryskop. Na wschodzie granat już wyraźnie górował nad czernią. Cholera.

Za długo to trwa. Chudzyński jedzie gąsienicówką, nie karetką, ale po drodze może zasuwac sześćdziesiątką. Niedługo tu będzie.

Wyciągnąłem trotyl, zacząłem składać ładunki i wpychać je między osadzone w karuzelowym magazynku pociski. Nie szło mi za dobrze. Ręce drżały z wysiłku. Włączyłem oświetlenie, lecz i tak omal nie pomyliłem lontów. Myślami byłem już przy ich długości.

Ten właściwy spalał się w tempie centymetra na minutę. Łatwy rachunek – wystarczy wiedzieć, kiedy się chce zrobić bum. Kłopot w tym, że nie potrafiłem ocenić, jak szybko dotrę na miejsce. Kwadrans? Dwadzieścia minut?

Najbezpieczniej byłoby dać sobie godzinę. Będę bardziej zmęczony i tym razem naprawdę przyjdzie mi się skradać. Godzina to wcale nie tak wiele, jeśli się podchodzi czujnego, uzbrojonego i niebezpiecznego faceta.

Ale nie miałem godziny.

Odciałem dwa rozpaczliwie krótkie kawałki lontu. Wyjąłem zapalki, ale nie użyłem ich jeszcze. Obróciłem wieżę. W jedną stronę, w drugą. Na koniec sięgnąłem po radmora.

– Patrycja... Słyszysz mnie?

Drzwi zostawiłem uchylone, fala jakoś znalazła drogę.

– Co jest? Już?

– No właśnie nie. Poczekam trochę. Facet się rozgląda. Ruszał wieżą.

Jeśli nie patrzyła wcześniej, teraz się nie powstrzyma. I dobrze. Zafundowałem jej kolejny obrót, już pełen, o 360 stopni, po czym wcisnąłem przycisk nadawania.

– Nie wychylaj się teraz. Gapi się w waszą stronę. Pewnie mu wyszło, że już jesteście blisko. Kaśka, słyszysz mnie? Jak powiem „padnij”, kleisz się do podłogi. Jasne?

Bąłem się, że usłyszę ociekające podejrzliwością pytanie Patrycji. Kierowca to nie piechur, nawet gdyby chciał, nie bardzo ma gdzie padać plackiem. Chyba właśnie wydałem najgłupszy rozkaz w całej historii wojsk pancernych i miała święte prawo mnie o niego zapytać.

Ulżyło mi, kiedy usłyszałem głos Kaśki.

– Jasne. Będziemy uważać. Ale ty też uważaj, dobrze? Nie szalej, Adam. Proszę.

– Spokojnie – powiedziałem. – Nie zrobię nic głupiego.

Wątpię, by mi uwierzyła, widząc, jak siedzę na dwustu kilogramach amunicji i podpalam dwa lonty naraz.

## Rozdział 38

Pod koniec komar ważył tyle co haubica. Parę metrów więcej, a dałbym sobie spokój, wstał i pomaszerował. Inna sprawa, że z chodzeniem też miałem problemy: kiedy dotarłem nad kanał, po paru pierwszych krokach wylądowałem na czworakach. Organizm najwyraźniej się dostosował.

Zafundowałem sobie krótki odpoczynek. Żeby nie tracić czasu zupełnie bez pożytku, na przemian chleptałem wodę z kanału – żaden Żywiec się nie umywa – i dałem komputerowy wydruk obciętej głowy. Próbowałem razem z kopertą, ale za ciężko szło, więc kopercie się upiekło.

Jak wszystko spieprzę – wszystko, a więc i szansę na elegancką śmierć – zostanie mi pamiątka po Kaście.

W końcu jakoś się pozbierałem. Brzeg kanału był suchy, ale za stromy dla takiego jak ja zdechlaka, po kilkunastu metrach spasowałem więc i wszedłem do wody. Kanał to nie rzeka, zaraz po wykopaniu dna ma z reguły płaskie, ale ten na szczęście wykopano byle jak albo może nie uwzględniono osypywania się skarp i burz piaskowych. Na granicy wody i lądu było więc płycej. Zyskałem możliwość poruszania się po względnie równym podłożu kosztem zamoczenia nóg i tylko nóg. Dzięki temu mniej bolało, woda stawiała mniejszy opór, no i nie robiłem aż takiego hałasu.

Ruszyłem na północ, w stronę bazy i dalej mostu. Już po kilkunastu metrach byłem równie zmrożony z dołu, co zlany potem u góry. Po kilkunastu następnych podjąłem próbę marszu wzdłuż skarpy. Była udana o tyle, że kiedy buty zjechały nagle w dół w tempie Małyszowych nart, wylądowałem tyłkiem w błocie, nie głową pośrodku kanału.

Ta jedna lekcja wystarczyła. Przeprosiłem się z wodnym szlakiem. Wbrew pozorom zapewniał szybsze tempo, no i kontrolowany poziom hałasu. Wałąc się ze skarpy w najmniej stosownym momencie, wywołałbym lokalne tsunami. A potem ołowiane gradobicie. Było cicho, nawet jeśli uwzględnić pomruk silnika gdzieś w oddali. Usłyszałyby mnie, popatrzyłyby za siebie – i po zabawie.

Jeśli tam jest. Jeśli prawidłowo oceniłem sytuację. I jeśli w ogóle musi się oglądać.

Nagle przyszło mi do głowy, że co najmniej połowę uwagi powinien poświęcać zachodniemu brzegowi. Ten nadajnik w Szóstce... Jeden przegapiony uciekinier i...

Nie. To już nie ten etap. Jeżeli postanowił sprzątnąć nierzetelnych współników, to pierwotne priorytety poszły w odstawkę. Nie obchodzi go, czy ktoś ściągnie kawalerię. Wkurwił się, chce zabić Patrycję i Studenta. Gdyby negocjowali, może alternatywą byłoby wydobycie od nich jakiejś zmniejszonej doli. Ale Kaśka powiedziała, że nie było żadnych rozmów. To po pierwsze.



A po drugie, nadal żyłem.

Gdyby nie polował na bewupa, tylko pilnował bazy, już bym nie żył. Siedzi gdzieś tu, w korycie kanału. I pewnie nawet nie wystawia głowy powyżej korony wałów. Niby po co? Trudno przegapić warkot nadjeżdżającego wozu. Zwłaszcza kiedy się czeka tuż przy trasie przejazdu.

Szedłem najszybciej jak się da, walcząc z bólem drętwiejących od zimna stawów i przekonaniem, że hałasuję jak wieloryb na płyciźnie. Nie jest aż tak źle. I dopóki jestem daleko, mogę sobie na to pozwolić. Musiałem w to wierzyć. W bewupie dopalały się lonty. Dla pewności dwa, więc nie ma cudów, żeby 0311 przetrwał dłużej niż pięć minut. Idąc jak Winnetou, nie zdążę, i tyle. Może pod koniec. Ale jeszcze nie teraz. Nie muszę. Nie ma go tutaj.

Nie zobaczył mnie, bo nie wystawia głowy ponad obwałowania. Nie wystawia, bo to niebezpieczne, a przede wszystkim zbędne. A dobry żołnierz nie ryzykuje bez potrzeby.

Redukuje to ryzyko do minimum.

Skąd najlepiej strzelać do pojazdu pancernego?

Proste: z bliska. No i z kierunku, gdzie pancierz jest najsłabszy.

I jeszcze skąd?

Też proste: z miejsca, które najlepiej chroni i czyni najbardziej niewidocznym.

Znałem takie. Wszyscy znaleźliśmy.

Plaża. Nigdy nie zastanawiałem się, czemu akurat w tym miejscu zachodnia skarpa skręcała lekko w głąb lądu. Pewnie budowniczym drogi zabrakło urobku na mostowy przyczółek i wzięli go stamtąd. Może jakiś ambitny radziecki planista zamarzył sobie żeglugę po kanale i kazał przygotować mijankę? Może trafiła się soczewka piasku w gliniastym podłożu? Albo pijany operator koparki, którego trochę poniosło?

Nieważne. Ważne, że powstała jedyna w promieniu kilkuset metrów nisza mogąca wygodnie skryć człowieka przed kimś, kto spojrzał z mostu wzdłuż koryta. Kanał stanowił rozpoczęty i nigdy nieskończony półprodukt z mocno nierównymi skarpami, więc zagłębień było tu więcej, ale żadne inne nie stwarzało takiego komfortu.

Dobry żołnierz wybrałby plażę. A on był dobry.

Za dobry jak na mnie. Trzysta metrów od baraków terkot ukrytego gdzieś na wschodzie wozu zagłuszał już sporo, ale mniej więcej pięćdziesiąt metrów przed bunkrem, z którego zabrałem granatnik, porzuciłem wodny szlak i zacząłem posuwać się wzdłuż skarpy. „Posuwać się” to odpowiednie słowo: kiedy do przemieszczania się człowiek używa obu stóp, niekiedy kolana lewej nogi i niekiedy lewej dłoni, a nawet łokcia, żadne inne nie wchodzi w grę.

Nie wiem, czy robiłem znacząco mniej hałasu. Ale przynajmniej nie obwieszczałem o swym nadejściu, produkując fale na przygnębiająco nieruchomej wodzie. No i nie miałem jej w tle. Dla noktowizora żadna różnica, lecz jeśli ktoś zerka mimochodem przez ramię, trochę później

wypatrzy sylwetkę mającą ziemię za plecami.

Ja go na przykład nie wypatrzyłem.

Byłem trochę za daleko, kiedy 0311 wyleciał w powietrze. Huknęło potężnie, błysnęło też, a podmuch eksplozji dotarł aż nad kanał, marszcząc taflę wody mżawką poderwanego piasku. Odruchowo zwałem się na brzuch.

– Adam?!

Słabiotkie brzęczenie w słuchawkach. Miałem je na uszach, a mimo to ściszyłem dźwięk do absolutnego minimum. Głupia ostrożność nieszczęśnika, który nie może zrobić nic więcej dla podniesienia swych szans.

– Adam?! Co się dzieje?!

Bała się. O mnie. O wiele bardziej niż ja o nią.

Cholera. Muszę to dobrze rozegrać. Uratować ją.

Co oznaczało, że na początek muszę przystawić jej pistolet do karku.

Leżałem, trochę bardziej nasłuchując odgłosu wystrzału gdzieś w oddali, niż wypatrując ludzkiej głowy na tle resztek mostu. Głupota. Żeby przedostać się z wieży na fotel dowódcy i strzelić Kaśce w potylicę, Patrycja potrzebowałaby więcej czasu. I dużo mniej mózgu w głowie.

Strzał – tak. Ale jeszcze nie teraz.

Póki nie jest pewna, co ze mną, nie zaryzykuje. Po pierwsze, zakładnik. Po drugie, kierowca. Potrzebowała Kaśki w obu tych rolach. Nie odważy się.

– Adam? – Też się bała, lecz był to strach z całkiem innej półki. – Żyjesz?

Powinienem powiedzieć „tak” i zabrać tę wirtualną spluwę od głowy Kaśki. Ale nie miałem odwagi.

Metal zabrzęczał o metal tak blisko, że przez chwilę podejrzewałem samego siebie. A potem przestałem oddychać.

Nie da się rozmawiać przez radio, nie oddychając.

Nie widziałem go – tak blisko siebie byliśmy. Musiałbym odrobinę obrócić głowę, oderwać policzek od ziemi – a wtedy zaskrzypiałyby kręgi szyjne, jakieś ziarnko piasku odkleiłoby się od skóry. I bum!

Usłyszysz, a ja przegram. Komar leży jak Bóg nakazał, z kolbą pod łokciem, rękojeścią w dłoni i głowicą z przodu. Zdam strzelić, a przy takim pocisku precyzyjne trafienie nie jest konieczne. Byle nie za wysoko, a będzie po Strażniku. Tylko co potem?

Nawet hollywoodzcy scenarzyści nie podali jeszcze recepty na odbijanie zakładniczki z pojazdu pancernego. W każdym razie ja nie oglądałem stosownego filmu. Jeśli teraz strzelę, to pewnie przeżyję. Patrycja będzie zbyt zdezorientowana, choćby ilością wybuchów. Raz rozdwojony komar zacznie jej się mnożyć w wyobraźni, więc raczej nie odważy się na mnie polować. W każdym razie nie wozem. A ktoś, kto nie potrzebuje wozu, nie potrzebuje też

kierowcy.

No to może wypuści Kaškę? Spasuje? Dogadamy się?

Była taka możliwość.

Nie. Nie było. Dogadują się ludzie poważni. Nie takie świry jak my. Gotów byłem umierać za Kaškę. Mniejsza o to, że tak naprawdę więcej w tym było ucieczki przed życiem bez Ilony. Liczą się fakty. Kaška dobrowolnie zgłosiła się na tę zakładniczkę – to też fakt. A Chudzyński oświadczył się dziwce i okradał dla niej Wojsko Polskie.

Wiara w nasz rozsądek dowodziła braku rozsądku.

Leżałem i nic nie robiłem. No, może poza tym, że znów zacząłem oddychać. Już mogłem: zrywający się do gwałtownej szarży BWP robi wystarczająco dużo hałasu.

Szybko ruszyły. To znaczy, że nadal są tam obie. Za mało czasu, by zastrzelić kierowcę, wywlec ciało i jechać samemu. A grzecznie poprosić, by wysiadł i dopiero potem...?

Nie wolno tak myśleć. Kaška żyje. I przeżyje. Wystarczy, że niczego nie spieprzę. A nie spieprzę. Stawka nie jest taka wysoka, by z nerwów dzwoniły mi zęby i dygotały ręce. Ilona powiedziała „nigdy” i przynajmniej na razie w moim życiu skończyły się wysokie stawki. Kiedy człowiek się nie boi, łatwo o zimną krew.

Wóz był coraz bliżej. Nie musiałem wyglądać znad obwałowań, by wiedzieć. Zwalniał.

Był tylko jeden powód, dla którego ktoś, komu tak spieszo, mógł tu zwalniać. Most. A dokładniej: jego żałosna podróba marki Kulanowicz. Nie powinno się jeździć szybko i od niechcenia po czymś takim.

Jeszcze jeden argument za wyborem miejsca na zasadzkę: powolny cel to łatwy cel. Niby nie ma to znaczenia, kiedy się strzela z bliska, z karabinu, nie granatnika, a przed lufą zamiast szerokiego na ćwierć metra człowieka defiluje prawie siedmiometrowy pojazd. Ale leżący przede mną facet nie miał wbrew pozorom łatwego zadania i na pewno potrafił docenić ten atut.

Miałem nadzieję, że sobie poradzi.

Miałem nadzieję, że wiem, co robię.

Jeszcze tylko chwila. Sekundy. Nagle zdałem sobie sprawę, że jest wyraźnie jaśniej i choć to najważniejsze, czyli koryto kanału tonie w czerni, widzę przęsło prowizorycznego mostu. Ba, nawet jak gdyby pojedyncze elementy kratownicy.

Zanim upewniłem się, że to nie wyobraźnia, na tle nieba pojawił się spiczasty pysk bewupa.

Jezu... Już?!

Nie byłem gotowy. W gardle miałem wielką, lepłą kulę.

Podniosłem się. Do bliższej krawędzi zagłębienia, które ochrzciliśmy plażą, było ze dwadzieścia metrów, do dalszej tylko trochę dalej. Ostry kąt. Mógłbym spudłować, gdybym nie wstał. Ale nie o to chodziło.

W ostatniej chwili zwątpiłem w prawidłowość swych kalkulacji. W taką a nie inną kolejność

strzałów. Wstałem więc. Energicznie, żeby choć ruchem ściągnąć na siebie uwagę Patrycji, skoro nie mogłem okrzykami w radiu czy błyskaniem zapalek.

Jeszcze zanim ujrzałem sylwetkę wozu, wiedziałem, że wieża będzie zwrócona w lewo skos. Bardziej w kierunku resztek płonącego bewupa niż baraków. Z 0311 pewnie mało co zostało i nikt normalny nie rozglądałby się za jego cudem ocaloną jednoosobową załogą – nawet cuda mają swe fizyczne granice – ale przecież w tej grze nie tylko o Strażnika chodziło. Nie ufałem Patrycji. I nie zawiodłem się na niej.

Wjechała na most z lufami wymierzonymi dokładnie tam, gdzie trzeba: w sąsiedztwo rozerwanego eksplozją bewupa. Komar ma prościutki, mechaniczny celownik i strzelając z niego po ciemku, lepiej być blisko. Powinienem znajdować się teraz gdzieś tam, na południe od baraków i to tam, możliwie szybko, powinna mnie dopaść seria z kaemu. Czas był o tyle istotny, że mogłem jednak zaryzykować strzał z większej odległości, a teraz zniknąć między budynkami.

Wypatrywała mnie na południowym zachodzie, o jakieś czterdzieści stopni od osi kanału, o dwa metry wyżej i pół kilometra dalej, niż faktycznie byłem. Jeśli robiła to od początku konsekwentnie, używając celownika ustawionego na powiększenie, to nie miało znaczenia, czy leżę, czy podskakuję obwieszony lampkami choinkowymi, starając się przyciągnąć jej uwagę.

Prawa optyki są nieubłagane. Ale celownik mógł też pracować w trybie neutralnego, jeśli chodzi o powiększenie noktowizora, no i były jeszcze prymitywne, niewspomagane noktowizją peryskopy. Przejeżdżała przez most, który w każdej chwili mógł runąć i z którego nawet doświadczony kierowca, nie mówiąc o Kaście, miał święte prawo spaść. W takiej sytuacji człowiek odruchowo rozgląda się na boki, sprawdza, czy to już i czy zamiast celować nie powinien raczej łapać się czegoś.

Jechały powolutku, lecz i tak zdumiewające, że zdążyłem o tym pomyśleć. Może to efekt całych kwadransów wcześniejszych rozważań na temat optyki zmodernizowanego BWP-1.

Czołgając się wzdłuż i w poprzek bazy, miałem dokładnie odwrotne marzenie – nie zostać zauważonym – ale od strony technicznej problem był ten sam: co i kiedy widać z bewupa?

Zdecydowałem się za późno i pewnie tylko dlatego nie pociągnąłem dalej skojarzenia z choinką – gdybym od początku planował to w ten sposób, na serio zastanawiałbym się, czy nie użyć zapalek i nie mignąć Patrycji otwartym ogniem tuż przed oczyma. Dałoby się to nawet sensownie rozegrać. Przypalając lont i zamierzając się na most kostką trotylu, mieściłbym się w logice całej rozgrywki na tyle, by zaczęła strzelać zamiast osłupieć lub umrzeć ze śmiechu.

Teraz nie było już czasu na takie numery. Mogłem tylko poderwać granatnik do ramienia i strzelać. W wieżę, licząc na to, że uda mi się jak w przypadku Studenta, załatwić celowniczego, a nie skrzywdzę kierowcy. W koło albo w ogóle obok – by nikogo nie skrzywdzić i tylko pokazać, że tu jestem. Wreszcie w tego faceta przede mną.

Oczywiście w nic nie strzeliłem. Nerwy puściły, zacząłem zmieniać pierwotny plan, ale nie

aż tak. Jego fundament ocalał. Nie przestraszyłem się o Kaškę na tyle mocno, by zapomnieć, że nie do mnie należy pierwszeństwo naciśnięcia spustu. Cokolwiek by się działo, nie miałem prawa strzelić pierwszy.

Odezwać się też nie miałem prawa. Ale ten zakaz był świeższej daty, zrodził się już tu, w korycie kanału. Więc złamałem go. Też zresztą nie od razu.

Najpierw wieża bewupa zaczęła obracać się w lewo i w dół. Chyba. Było ciemno, nie miałem pewności.

– Kaška – powiedziałem cicho – padnij.

Łatwiej byłoby zaśpiewać arię w operze. Stanąć pod murami Jerycha i rozwalić je krzykiem. Jeszcze nigdy nie musiałem tak bardzo się starać, by zapanować nad strunami głosowymi. Nie chodziło o połączenie mówienia cichego z szybkim i dobitnym. W duchu wywrzeszczałem to. Nielatwo nałożyć tłumik na taki przepojony strachem wrzask.

Ale musiałem. Silnik pracował głośniej, lecz ja byłem bliżej. I dokładnie z drugiej strony.

Jeden podejrzany dźwięk...

Zrobiłem, co mogłem, a i tak go wydałem. Tylko tak dało się wytłumaczyć nagły ruch z przodu. Najpierw co prawda, jak w moich marzeniach i koszmarach zarazem, karabin kalibru 12,7 mm przemówił wątlým rozbłyskiem i potężnym hukiem, a na burcie wozu rozkwitł iskrowy kwiatusek. Ale zaraz potem strzelec zaczął się obracać.

Zrozumiałem, że wszystko przepadło. Wciąż mogłem go zabić – stałem z kolbą przy ramieniu, a półcalówka zakotwiczona dwójnogiem w ziemi to ostatnia broń do szybkiego strzelania – ale sparaliżowała mnie świadomość klęski. Ten błysk...

Zignorował okoliczności i strzelił tak, jakby nie było tu mostu: w kierowcę. Lewa burta BWP-1 to optymalne miejsce do ostrzeliwania. Jeśli posługujesz się karabinem 12,7 i jeśli już miałeś szczęście znaleźć się pod kątem prostym do niej, właśnie od kierowcy powinieneś zacząć, bo tylko kierowca może skręcić, obrócić ten pas blachy i uczynić wóz niewrażliwym na pociski – ale z mostu przecież nie da się zjechać! Nie mógł zacząć od Kaški! Nie był idiotą, był najlepszym snajperem, jakiego znałem! Tak naprawdę jedynym żołnierzem z krwi i kości w tej zasranej bazie!

Okazał się lepszy, niż myślałem. Wiedział o półcalowych karabinach więcej niż ja i – wbrew temu, co mi się zdawało – nawet nie próbował podrywać z ziemi tego swojego. Nie po to, by załatwić kogoś, kto znienacka pojawił się za jego plecami.

Gdzieś obok – na ziemi, nie w kaburze – musiał mieć pistolet. To z niego strzelił. Dwie kule. Posłałby jeszcze parę, gdybym nie runął na wznak już po pierwszym wystrzale, a Patrycja nie wdusiła spustu.

Smugowe pociski kreśliły żeberka wachlarza, otwierającego się w naszą stronę. W lewo i w dół, w tempie kilkunastu stopni na sekundę. Zaczęła za wcześnie, skotłowała serią brzeg i chyba

pole minowe – ten wybuch tuż za wałem nie mógł być wystrzałem z armaty – ale kiedy się dokładnie nie widzi napastników, a czasu brakuje, takie walenie na postrach ma sporo sensu.

Można na przykład uratować życie swemu zabójcy.

Dostałbym tą trzecią kulą, już dobrze, w głowę lub środek piersi, gdyby nie nagły deficyt czasu. Karabin kalibru 12,7 wciąż mógł zatriumfować, ale należało go użyć już, natychmiast.

O dziwo, usłyszałem wystrzał mimo akompaniamentu rozjazgotanego histerycznie kaemu. Cóż, różnica kalibrów. Coś, co dziurawi blachy wozów bojowych, ma prawo ryknąć głośniej.

A kaem walił dalej.

Zacząłem się dźwigać. Dziwne, nawet nie bolało. To znaczy owszem: jak po smgnięciu sztachetą w poprzek brzucha. Trochę. Wcale nie tak mocno.

Usiadłem. Bardziej dzięki skarpie z jej spadkiem niż własnym wysiłkom. Półcalówka huknęła ponownie. Następny rozbłysk iskier na blasze. Tam gdzie trzeba, pod wieżą. I cisza.

Nagły brak rozmigotanej plamy ognia odrobinę wyżej, przed lufą karabinu maszynowego.

Wóz przetoczył się jeszcze kawałek i nagle z okropnym, metalicznym chrzęstem zapadł, siadł okrakiem na dźwigarze. Tuż przed końcem przesła, więc choć zadem zakolebało, przód prawej gaśienicy trafił na krawędź przyczółka, nie pustkę, i BWP, lekko przechylony, znieruchomiał.

Silnik zgasł. Jeśli się zdejmie nogę z pedału gazu, a pojazd trafi na przeszkodę, nawet dobrze wyregulowany silnik może zgasnąć. A kiedy kierowcę wypatroszy kawał rozpędzonej stali, noga na pedale liczy się za zdjętą.

Zabiłem ją. Oberwałem tą myślą gorzej niż kulą. Zabiłem Kaškę. Ja. Swoją błędną kalkulacją. Ten przede mną, do końca czarny jak noc i nierozpoznawalny, był tylko narzędziem.

Nic do niego nie miałem. Nie w tej chwili. Po prostu nadal trzymałem granatnik na kolanach i kiedy odwrócił się, by strzelić do mnie po raz trzeci, bezmyślnie podniosłem komara, naciskając spust. Gdybym pomyślał, pewnie bym odstąpił mu pierwszeństwo.

Granat trafił gdzieś w górną część piersi. Nie dałbym za to własnej głowy, ale wydawało mi się, że przez moment widzę tę jego – odrywającą się od tułowia i szybującą w stronę martwego bewupa.

Ale może po prostu uwierzyłem w jakąś idiotyczną sprawiedliwość losu. I w jego zamiłowanie do symboliki.

Nigdy się nie dowiedziałem, jak z tą głową było. Wstałem, to prawda. Podeszedłem do miejsca, gdzie umarł, bo nie wyrzuciło go aż tak daleko poza karabin. Ale nie zapamiętałem wyglądu ciała. Było ciemno, tu, na dole, wciąż jeszcze cholernie ciemno.

Wziąłem półcalówkę za lufę – nie za bardzo wiedziałem, co robię, ale kołatało mi się po głowie, że jeśli spróbuję podnosić, to sam padnę obok – i zawlokłem na górę. Tylko na wał.

Wałek, prawdę mówiąc. Górowało toto nad okolicą może o metr. Cholerny Everest. Trzy

razy zjeżdżałem na kolanach, raz aż do wody. Czwarty raz nie dałbym rady się podnieść i spróbować, ale ten czwarty raz upadłem już na koronie nasypu. Obok karabinu.

Miał klasyczny, czterotaktowy zamek – tyle zapamiętałem. Nic więcej. Magazynek? Też musiał mieć. Nie sprawdziłem. Czekałem potem długo, cholernie długo, całą wieczność – może nawet minutę – a nie przyszło mi jakoś na myśl upewnić się, czy po wykonaniu tych rozdierających trzewia czterech ruchów posłałem do komory naboju coś więcej niż powietrze. Olaf powinien mnie zabić. O Ilonie nie mówiąc.

Naprawdę gówniany kandydat na męża i ojczyma.

Dobrze chociaż, że spojrzałem w celownik.

Twarz w oknie Piątki. Jedna, przez moment. Ale będzie więcej. Nabiorą odwagi, będą patrzeć dłużej, potem wyjdą. Nieważne. Nie doczekam. Zdjąłem kamizelkę. To w dole brzucha to dziura, nie siniec po zastopowanej kevlarem kuli. Oberwałem. Porządnie. Dlatego tak boli.

Ktoś coś mówił. Albo wołał? Kobięcy głos.

Nieważne.

W wizjerze celownika zamigotała znajoma sylwetka. To się liczyło. Tylko to. Ostatnia rzecz do zrobienia.

MTLB zasuwiał pełnym gazem. Nawet nie zwolnił przed szlabanem. Rozjechał go po prostu, razem z dźwigającym przeciwwagę słupkiem. To wtedy zyskałem pewność. Kierowca, jeśli już, nie wpakowałby się na słup.

To Chudzyński. Zobaczył eksplozję. Urządaliśmy tę jatkę prawie dokładnie na przedłużeniu drogi, którą nadjechał. Trudno przegapić. I trudno gnać dalej nieuzbrojonym transporterem wprost w miejsce, gdzie latają kule, wybuchają pociski komarów i przypadkowo trafione miny.

Chyba że ktoś myśli jajami, nie głową.

Tak jak ja.

Podniosłem kolbę. Udało się. A skrzyżowanie nitek w celowniku prawie nie drżało – tylko od czasu do czasu zjeżdżało mi z prostokąta okienka przed fotelem kierowcy. Podniósł stalową osłonę. Frajer. Chciał więcej widzieć i szybciej do niej dojechać. Do dziwki. Lekarz.

Jedyny w okolicy.

Iłona nie miała w sobie nic z dziwki, ale też byłem frajerem. Nie mierzyłem w doktora Mariusza Chudzyńskiego; tak naprawdę celowałem w swoją ostatnią szansę.

Jeśli naciśnie spust, wykrwawię się, nim ci z baraku dojrzeją do decyzji wystawienia nosa na zewnątrz. Nie będzie komu pociągnąć ich za sobą, pokazać na własnym przykładzie, że już można. Nikt mnie nie opatrzy. Nie wezwie śmigłowca sanitarnego.

Ale też nie wywiezie Ilony do lasu. Nie skrzywdzi tylko dlatego, że mogłem wypaplać za dużo.

Jezu. Jaki prosty wybór...





## Rozdział 39

Musiałem zasnąć. Ostatnio często mi się to przytrafiało. We śnie ich nie było. Żadnej. A przynajmniej nie pamiętałem, by były. W szpitalach nie dają piwa, więc organizm bronił się, jak umiał. Inna sprawa, że raczej popołudniami i w łóżku.

Tym razem zmorzyło mnie na dworze, w samym środku dnia. Karłowata akacja prawie nie chroniła przed letnim skwarem, ale przynajmniej stała z dala od ławek okupowanych przez innych pacjentów. Było gorąco, za to cicho. Przerdzewiały kosz na śmieci rozwiązywał problem pestek. Jadłem śliwki, czytałem i w którymś momencie film mi się urwał. Inwalidzkie fotele na kółkach mają nad parkowymi ławkami także tę przewagę, że są wygodne i łatwiej w nich spać.

Obudziła mnie przyjemnym chłodem rzucanym na spoconą twarz. Albo może zapachem, też przyjemnym, choć nieco przyciężkim jak na tę porę roku i doby. Perfumy. Sporo.

Wyglądała na zmęczoną. Raczej nie od dźwigania ciężarów. Przewieszona przez ramię mała torba turystyczna służyła głównie za wieszak dla swetra.

– Cześć, Adam.

Była w długich spodniach i tenisówkach; tylko bluzka z krótkimi rękawkami stanowiła ukłon w stronę wiszącego nad Warszawą skwaru. No tak: jeśli wierzyć telewizji, na zachodzie wiało i padało. Gdyby sugerować się bladością jej cery – od początku wakacji.

– Cześć, Kasia.

Próbowała się uśmiechać, lecz wzrok raz po raz ześlizgiwał jej się za nisko: z mojej twarzy na wózek. Miała sporo czasu, by coś z tym zrobić: ostatecznie nie wpadliśmy na siebie znienacka. I chyba zrobiła. Po prostu była marną aktorką. Stała, gapiała się na mnie i nie potrafiła wykrztusić słowa komentarza.

– Spokojnie. – Zlitowałem się nad nią już po kilkunastu sekundach. Skromny odwet: jedna sekunda za każdy tydzień milczenia. Klepnąłem poręcz fotela. – Zamiast ławki. Może jeszcze nie biegam, ale chodzę. Złego diabli nie biorą.

Ulgę też próbowała ukryć i też jej nie wyszło.

– Nie musisz na tym jeździć? – upewniła się. I poczerwieniała, nim skończyłem kręcić głową. – Przepraszam.

– Za co? – Nie musiałem pytać.

– Powinam wcześniej... przepraszam.

– W porządku.

Mój głos, twarz, nawet kołysząca się na kolanie książka – wszystko pewnie aż warczało „guzik prawda!”.

– Dowiadywałam się. – Utknęła na chwilę. – U niej. Bo nie wiem nawet, gdzie mieszkasz.

Powiedziała, że wracasz do zdrowia i wszystko w porządku. No więc nie przyjechałam.

Przyjeżdżałam – poprawiła się.

Nigdy u mnie nie była? Nie pamiętałem. Ale możliwe. Ilona też nie była.

– W porządku – powtórzyłem.

Stała, omijała spojrzeniem moje oczy, gniotła w dłoni przewieszony przez torbę sweter.

– A ona? – zapytała cicho. – Odwiedza cię?

– Była raz. Chciała więcej, ale... Wiesz, dla niej to ćwierć pensji, taki bilet do Warszawy.

A ostatnio może i połowa. Mają kłopoty w redakcji.

– No tak – powiedziała jeszcze ciszej.

– Powiedziałem, żeby nie przyjeżdżała.

Dopiero teraz tak naprawdę na mnie popatrzyła. Oczy miała brązowe, nie szare; całkiem inne brwi, rzęsy, wszystko. Tylko ten podszyty zmęczeniem smutek je łączył.

– Nie chcesz, żeby...?

Nie dokończyła.

– Żebyśmy się nawzajem kaleczyli? – Dźwignąłem się z fotela. – Chcę. Ale to dobra okazja, żeby spróbować z tym skończyć. Forsa czyni cuda, a jej brak jeszcze większe. Nie stać nas teraz na siebie. Bardziej niż kiedykolwiek.

– I to jest problem? Pieniądze?

Oglądana z góry zrobiła się nagle drobna, jakaś taka krucha. A zarazem silniejsza.

– Ilona od zawsze ma problemy z forszą – poinformowałem ją. – I nigdy nie patrzy facetowi w portfel. Głupia, niepraktyczna romantyczka.

– Ciągłe ją kochasz – uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Z tego się tak łatwo nie wychodzi.

– Nie powiedziałeś jej, że jesteś... no, bogatszy?

– Nie wiem, czy jestem. I nie, nie powiedziałem. Po co? To nie taka dziewczyna.

Ruszyliśmy wzdłuż alejki.

– Zamknęli śledztwo. – Ten ton był inny, rzeczowy. – Prokurator właśnie dzwonił. Trochę dlatego przyjechałam.

– Dzwonił? Do ciebie?

– No wiesz: próbuję trzymać rękę na pulsie. Niby jako dziennikarka. Chwilowo bezrobotna, ale... To fajny materiał na reportaż. Parę razy rozmawialiśmy. Raz nawet w kawiarni.

Chyba trochę wpadłam mu w oko. Nic takiego – dorzuciła szybko. – Takie tam... Przyjemniej mu pogadać z kobietą, skoro już musi uprawiać tę biurokrację.

– Biurokrację?

Uśmiechnęła się bez radości.

– Od początku mówił, że to formalność. Miałeś rację: nikomu nie zależy na grzebaniu

w brudach. Robota terrorystów plus pech. Koniec, kropka. Nawet z Młynarczyka zrobili niewinną ofiarę.

Nie znokautowała mnie tą nowiną. Posłałem jej po prostu zdziwione spojrzenie. Pech, że akurat przed zakrętem i że potknąłem się o krawężnik. Ale i tak bym nie upadł. Mogła sobie darować pospieszny chwyt za łokieć.

Cholera. Dziwne uczucie.

– Przecież...

– Wiem, wiem: przyznałeś się. – Nie zabierała palców z mojej ręki. Zamiast tego poprowadziła mnie w stronę najbliższej ławki. – Na szczęście od razu. Mogli to podciągnąć pod majaczenie ciężko rannego.

– Podciągnąć?

– Adam, naprawdę nikomu nie zależy... To już trzy miesiące, prawda? A ile razy rozmawiałeś z prokuratorem? W ogóle z kimkolwiek?

– Wstrząs pourazowy – uśmiechnąłem się kpiąco. – Jak u wszystkich, z tego co wiem.

Szamocki, Lechowski... Leżeliśmy razem i...

– No właśnie. – Trochę na siłę usadziła mnie na ławce. Usiadła obok i dopiero wtedy zabrała rękę. – W Turkmenii, potem w Niemczech. Wiem: to rutynowa procedura w przypadku ciężkich ran. Wspólny dla NATO system ewakuacji. Ale podejrzanych nie trzyma się razem. A was jeszcze i w Polsce leczyli jakiś czas w jednym szpitalu.

– Oni nie byli podejrzani. Ranni w walce zakładnicy. Nieprzytomni od początku do końca, zero wspomnień. – Zmarszczyłem brwi. – Też tak zeznałaś?

– Zeznałam prawdę. – Wytrzymała moje spojrzenie, a ja raz na zawsze zrewidowałem poglądy na temat jej aktorskich talentów. – Terrorysty złapali nas, wozili, walczyli z kimś. Mnie wykorzystali jako tłumaczkę. Potem zostawili naszą piątkę na pustyni, niedaleko porzuconego bewupa. Co z innymi, nie wiemy. Patrycja podejrzewała, że ten wóz to dla odwrócenia uwagi.

Oni uciekają ciężarówką, a nas bombarduje natowskie lotnictwo. Albo głupiej i nie bombarduje nikogo. Zastanawialiśmy się nawet, czy jechać, no ale z rannymi musieliśmy. Znaleźliśmy w bewupie granatnik, pistolet i kostkę dynamitu. Wróciliśmy. Na moście ktoś nas ostrzelał. Ty wyskoczyłeś z granatnikiem i dynamitem. Podpałeś, rzuciłeś, ale nie trafiłeś. Ten facet cię postrzelił. Potem znów strzelał z tego wielkiego karabinu, do transportera medyków. Widziałam to. W końcu uciekł. Wskoczyłam, znalazłam cię. Zdążyłeś dowlec się do karabinu. Zaczęłam cię odciągać. Ktoś nas ostrzelał z baraku żołnierskiego. A zaraz potem nie wiadomo skąd wyskoczył mężczyzna w kominiarce. Młynarczyk – wyjaśniła beznamiętnie, widząc, że moje niedowierzanie przeszło w całkowity brak zrozumienia. – Coś krzyknął. To po tym go poznałeś i dlatego potem bredziłeś w szpitalu o zabijaniu. Ale ja myślałam, że to terrorysta, a granatnik leżał obok. Więc strzeliłam. Próbowałeś mnie powstrzymać. Nie dałeś rady. To

pewnie stąd wyrzuty sumienia i to bredzenie o zabijaniu kolegi. – Co?!

– Wybuch – zaczęła wyliczać na palcach. – Potem długa przerwa. I dwa strzały do tej pancерnej sanitarki.

– Dwa? – Tego drugiego już nie pamiętałem.

– Chudzyński dostał raz. W ramię. Ale wystarczyło. Ten z baraku przestał strzelać, gdy tylko do ciebie podbiegłam. – Umilkła na chwilę, może dając mi czas, a może raz jeszcze wspominając tamtą chwilę. – Wiesz dlaczego?

– Sukienka – mruknąłem. – Poznał cię.

Mrużąc oczy, wpatrywała się w czubki swych tenisówek. Nie porażały nowością, ale chyba nie o to chodziło.

– Myślałam, że cię zajebię.

Uwierzyłem. Nawet teraz była zła. No, może trochę bardziej rozgoryczona. Ale zła także.

Po trzech miesiącach. Nie musiałem pytać dlaczego.

– Trzeba było – powiedziałem cicho.

– Trzeba to było jakoś wytłumaczyć, dlaczego akurat nas widzieli ostatnich przy tym karabinie. – Mówiła spokojnie i dałbym się pewnie zwieść, gdyby uparcie nie kierowała słów do swych butów. – Jak ci zatykałam dziurę w brzuchu, znalazłam ten dynamit...

– Trotyl.

– Jeden pies. Ważne, że wybuchł. Pomyślałam, że jeśli coś jeszcze wybuchnie, to uznają, że nadal tu ktoś walczy. Czyli nie jesteśmy sami. I może nie nas będą podejrzewać.

Zastanawiałem się tylko parę sekund. Potem przestałem myśleć i zacząłem się pocić.

– Zaraz... Zeznałaś, że to ty Młynarczyka...? Widzieli nas przy karabinie, a potem ty...?

– A co miałam robić? – Nadal oglądała swe stopy.

– Co?! Nic! Trzymać gębę na kłódkę! – Zauważyłem zdziwione spojrzenie któregoś z opalających się pacjentów. Pomogło. Już dużo ciszej dodałem: – Nie rozumiesz? Teraz jak nas wsadzą, to razem. Muszą, choćby nie chcieli.

– Jeśli powiem, że wtedy myślałam, to skłamię – wzruszyła lekko ramionami. Dopiero teraz dostrzegłem bandaż na jej ręce. Może dlatego, że wiele się go spod rękawka nie wychylało.

Długie miała te rękawy jak na bluzkę z krótkimi.

Przypadek?

– Co ci jest?

Popatrzyła na mnie zdziwiona. A potem, równocześnie, zaczerwieniła się i zakryła bandaż prawą dłonią.

– Nic – rzuciła pośpiesznie.

Oczywiście znalazłem wyjaśnienie. Siła stereotypów.

– Twój mąż? – Tylko formalnie było to pytanie. Nie dałem jej nawet szansy na odpowiedź.

– To jego robota?

– Niby co? – próbowała iść w zaparte.

– Dobra. Nie było pytania. Przepraszam, nie mój biznes.

– Myślisz, że dałabym mu się bić?

– Mówiłem: nie mój...

– To nie siniak – przerwała mi. Cicho, z rezygnacją. Milczała potem przez chwilę. – Kaliber dwanaście przecinek siedem. Lekarze mówią, że mam cholerne szczęście. Trochę niżej i byłoby po ręce. Albo w ogóle... To jak mała armata.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Oboje studiowaliśmy pilnie wygląd ścieżki. Kaśka nie cofnęła prawej dłoni: siedziała otulona ramionami jak ktoś, kto zmarł.

– Musiałam przyjechać.

– Ciągłe nosisz bandaż? – Sam siebie ledwo słyszałem. Wyobraziłem sobie ten widok: strzęp mięsa i kości wyrastający z jej ciała w miejscu, gdzie kiedyś była ręka. – Coś... Jest tak źle?

– No, piękniejsza się nie zrobiłam – wypuściła ze środka trochę goryczy. Ale chyba nie złości. Była smutna, nie zła, i to zdołowało mnie do reszty.

– Możesz... ruszać palcami? Normalnie? – Dałem spokój ścieżce i gapiłem się na jej lewą dłoń. Nie za wiele było widać: utknęła gdzieś w fałdach swetra. – Kasia?

Też uniosła głowę. Zerknęła na mnie z ukosa.

– Musiałam przyjechać – powtórzyła. – Tam na moście... Myślałam o tym tysiąc razy. I dalej nie wiem, co się właściwie stało. To znaczy... co chciałeś zrobić. I dlaczego akurat tak.

– Co z ręką? – Oberwałem jej pytaniem jak dobrym sierpowym w szczękę, ale wcześniej kopnęła mnie w jaja i uniewrażliwiła na sierpowe. – Możesz nią...?

– Nie mogę na nią podrywać facetów – burknęła. – To wszystko, czego nie mogę.

Drobiazg. I tak...

– Boli?

Dotknąłem tylko zaciśniętej na bandażu dłoni, a i to opuszkami palców. Drgnęła jednak.

Ale to bardziej ja cofnąłem rękę niż ona ramię.

– Nic mi nie jest – rzuciła przez zęby.

– Przecież widzę...

– Dawno się zagoiło. – Odwróciła się ode mnie. – Po prostu blizna wyszła mało twarzowa. Jak chcę być piękna, zakładam bandaż.

Trzy miesiące. To, co ukrywała pod opatrunkiem, nie będzie już lepiej wyglądać.

– Przepraszam. – Odsunąłem się o parę centymetrów dalej. Wątpię, by któremuś z nas na tym zależało, ale czasem samo słowo „przepraszam” to za mało. – Nie miałem pojęcia... Jeśli uda się odzyskać te pieniądze, wydam z mojej części ile trzeba. Wiem, że to nie to samo...

– Mogę wiedzieć, o czym mówisz?

– No... Są przeszczepy, zabiegi...

– Adam, co ty pieprzysz? – Nie oczekiwała, że odpowiem. – Nie przyjechałam tu po forszę na chirurgów plastycznych. Nie jestem Patrycja. A może jestem? – posłała mi nieoczekiwane krzywy uśmiech. – No właśnie... Może za mało się dla ciebie różniłyśmy, co? I dlatego...?

– Masz żal. – Nie pytałem, stawiałem diagnozę i pewnie dlatego nie siliła się na więcej sarkazmu, tylko po prostu czekała, patrząc mi w oczy. – W porządku. Też bym miał.

– Nawet nie próbowałeś krzyknąć – powiedziała z goryczą. – „Padnij, Kasia” i już.

Spokojnie, od niechcenia. – Odwróciła twarz. Łatwiej było jej patrzeć w słońce niż na mnie. Cóż, słońce lepiej wysusza zalążki łez. – Jeden raz. Mało brakowało, a... Dobra, wiem: uprzedzałeś mnie. No a ja jednak padłam. Z grubsza – pogładziła się po obandażowanym ramieniu. – Więc nie ma o czym gadać.

– Gdybym wtedy krzyknął, już by nas nie było.

Znów widziałem jej oczy. Wciąż wilgotne. Wpatrywała się we mnie zbyt zachłannie, by zawracać sobie tym głowę.

– Nie mogłeś?

Jeszcze przed chwilą była rozżalona. Teraz górę wzięła nadzieja. Zdałem sobie sprawę, że i dla niej tamte parę chwil przy moście to jeden z najważniejszych kawałków życia. Wcale nie dlatego, że omal nie ostatni.

– Nie mogłem. Młynarczyk strzelałby do mnie, nie do bewupa. Jaśniej uprzedzić też nie mogłem. Patrycja nie była głupia.

Pokiwała głową. Nie miałem pojęcia, czy mi wierzy. Delikatny sarkazm w jej głosie o niczym nie świadczył.

– Rozumiem. Chłodno skalkulowane ryzyko. No cóż, udało się. Dzięki.

– Zabiłaby cię – powiedziałem spokojnie.

– Możliwe.

– Nas wszystkich próbowała zabić. Młynarczyka, mnie... Nawet swojego Mariusza. To znaczy: ich obu miałem się pozbyć ja, a mnie ona. Ale na jedno wychodzi.

Zaskoczyłem ją.

– Co ty pieprzysz? Przecież... – urwała, a oczy zrobiły jej się jeszcze szersze. – Zaraz... To dlatego...?

– Nie. Nie dlatego. Już nie żyła, zapomniałaś? Strzelałem do Chudzyńskiego prywatnie.

Bo groził waszym dzieciom.

Odczekała chwilę, nim to powiedziała.

– Olafowi. To o nim myślałeś, prawda? O Ilonie – poprawiła się.

– Szczerze? Wtedy tak. Tylko o Ilonie. – Odetchnąłem głęboko. – Kasia, myślałem, że ty już... Byłem pewien, że Młynarczyk zacznie od celowniczego. Cały mój plan... To był aksjomat:

najpierw Patrycja. Mogła mu zagrozić, ty nie. I miał czas to przemyśleć. A potrafił myśleć.

Dobry snajper pracuje głównie głową. Powinien zacząć od wieży. I jak zobaczyłem, że strzelił tam, gdzie kierowca...

– Myślałeś, że nie żyję?

Znów ten przeskok od rozżalenia do nadziei.

– Był naprawdę dobry. Gdybyś siedziała jak trzeba...

– Przecież miałam leżeć. – Może i chciała widzieć mnie w lepszym świetle, ale nie kosztem zamykania oczu na fakty.

– To taka... ostatnia deska ratunku. Chyba dlatego nie próbowałem ci wbijać do głowy, że masz padać. Nie wierzyłem, że to coś da. No i nie od ciebie miał zacząć. Pierwszy strzał pod wieżę i... – pociągnąłem palcem po gardle. – Jeden strzał. A potem ja. Wiedziałem, że trafi.

Żałatwi Patrycję i będę miał rozwiązane ręce. Kiedyś rozmawialiśmy o tamtej historii przy moście, wiesz, kiedy Sławek... Też w gruncie rzeczy snajper nas tak urządził. Młynarczyka to interesowało, cały wieczór mnie wypytywał. Pamiętam, jak krytykował tamtego gościa. – Zawahałem się, ale dokończyłem odważnie: – Za kolejność właśnie.

– To znaczy? – Wyczuła, że mówię coś ważnego.

– Powiedział, że on zacząłby od Sławka. Od kierowcy, znaczy. Bo jeśli najpierw zabić kierowcę, wóz nie skręci i można go spokojnie rozstrzelać z całą załogą. – Przyglądała mi się nieruchomym spojrzeniem, wyraźnie sparaliżowana wnioskami. – Nie patrz tak. Tam była droga.

Tu most Dokładna odwrotność priorytetów. Z mostu nie można skręcić. Najgroźniejszy staje się celowniczy. Przy okazji można trafić w amunicję, co żałatwia cały wóz. Mówię ci to, żebyś zrozumiała, jaki to był facet. Myślący, krótko mówiąc.

Jeszcze przez chwilę w jej wzroku dominowało rozżalone zdziwienie. Na szczęście też należała do myślących.

– Rozumiem – powiedziała cicho.

– Ale widocznie uznał, że w wieży nikogo nie ma. Jak znam życie, chciał pogadać z innymi, zanim zaczną zabijać. No i nie pogadał. Z nikim, tylko z nią. Miał prawo podejrzewać, że pozbyła się reszty. Czyli jest sama. Czyli to ona prowadzi wóz. I jak zaczną strzelać pod wieżę, Patrycja wciśnie gaz do dechy i zwieje.

– Logiczne – przyznała.

– Szkoda tylko, że wcześniej na to nie wpadłem? – podsunąłem. Nie skorzystała z podpowiedzi.

– Powiedz lepiej, skąd wiedziałeś, że to Młynarczyk.

Unik? Chyba tak. Nie sprawiała wrażenia szczerze zainteresowanej. Wyjaśniłem jej, co znalazłem w kopercie. Nadal nie sprawiała wrażenia zainteresowanej.

– I się domyśliłeś – podsumowała roztargnionym tonem.

– No, nie całkiem. Za mało danych, a Student wbił mi do głowy, że Młynarczyk nie żyje. Chyba na wypadek, gdyby coś nie wyszło i to dopiero on, w bazie, musiał nas sprzątać.

– No tak – mruknęła.

– Z uciętą głową to mógł być zbieg okoliczności. – Wołałem ciągnąć tę kwestię, niż pytać, co tak naprawdę chce usłyszeć. Bałem się, że zapyta o pociągi do Stargardu. – Młynarczyk był porąbany; mógł to zrobić całkiem bezinteresownie, a Szamocki po prostu wykorzystać okazję.

Wtedy, jak strzelaliśmy szwedem i posłał Młynarczyka na dach, nie wyglądali zresztą na kumpli.

Nie wiem: może Czarek też nie znał jeszcze wtedy wszystkich, tak jak ja.

– Totalna konspiracja?

– Polisa Chudzyńskiego. Taki tajny wspólnik, którym można straszyć niepewnych, to niezła gwarancja lojalności. Ale nie wiem. Może po prostu chodziło o to, by wóz wrócił ochraniać Młynarczyka, a Szamocki mógł zostać sam przy tym partyzancie. Przeszukać go, dobić w razie czego...

– Fajnemu facetowi ratowaliśmy życie – uśmiechnęła się z goryczą.

– Daj spokój. On nam ratował wcześniej. Załatwiliby nas już przy moście, gdyby nie Czarek.

– Niby tak – przyznała. Łatwa zgoda. Zrozumiałem, że Szamocki, zły czy dobry, nie bardzo ją interesuje. Odczekałem chwilę i powróciłem do zasadniczego tematu.

– Tak naprawdę to... Patrycja się wygadała.

– Słucham?

Problem w tym, że właśnie nie bardzo słuchała. Starła się, lecz marnie jej wychodziło.

Widać było wyraźnie, że błądzi myślami gdzie indziej.

– Powiedziała, i to dwa razy, o odstrzeliwaniu kutasa jej facetowi. Na dzień dobry. Że nie dopuści do tego.

– A tak. Pamiętam. Chociaż dwóch razy chyba nie.

– Bo powtórzyła to, kiedy odchodziłem. Niemal dosłownie. I dlatego w którymś momencie pomyślałem, że po prostu cytuje Strażnika. No i to „na dzień dobry”. Właśnie ten kawałek pachniał cytatem.

Zmarszczyła brwi, pomyślała przez chwilę.

– Fakt. Gdyby ktoś mi groził zabiciem faceta, trochę inaczej bym to ujęła.

– No właśnie. A skoro cytat... Zadałem sobie pytanie, kto mógłby coś takiego mówić. Że na początek. – Tym razem brwi uniosła. – No wiesz: z armaty bewupa strzela się raz i zbiera na szufelkę to, co zostało. Jasne: można grozić komuś odstrzeleniem dupy czy jaj i to nic nie znaczy.

Ale jeśli się doda, że to na początek... To pachnie konkretem. I naprawdę dobrym strzelcem.

– Musiałeś być dobry z polaka – uśmiechnęła się lekko.

– No – przyznałem. – Niezły. Ale by się zdziwiła profesor Szczepaniukowa. Różnie nam



reklamowała konieczność wkuwania, ale że logiczny rozbiór zdania któremuś życie uratuje... Na to nie wpadła.

– Marnowałeś się w wojsku. Wstąp do policji, Sherlocku. Mniej strzelania, więcej myślenia.

– Nie dało się bez myślenia. W którymś momencie zorientowałem się, że w tym bewupie nikogo nie ma. – Wolałem jej nie tłumaczyć, w jaki sposób: że wylazłem przed barak i nikt mi nie chciał wpakować serii. – To akurat dało się wyjaśnić. Strażnik był sam, a jednoosobowa załoga ma mizerne szanse w pojedynku z kompletną. Co prawda nie mieliśmy amunicji, ale o tym nie wiedział. Tylko... Znów zacząłem się zastanawiać, który z chłopaków miałby dość zimnej krwi, by zostawić armatę i pójść pieszo na bewupa. No i z czym? W bazie mieliśmy trzy porządne granatniki. Jeden odjechał z nami, pozostałe były w Piątce, w dodatku podziurawione.

– Ty jakoś znalazłeś granatnik.

– Nie wiem, czy mamy gdzieś w magazynie chociaż jednego komara więcej. Wycofali je z Turkmenistanu. Partyzanci nie mają czołgów. Cały pożytek z komarów był taki, że mogły wpaść im w ręce i posłużyć do rozwalania naszych. Był taki przypadek, no i ktoś kazał wycofać wszystkie do kraju. Do RPG-7 jest sporo amunicji specjalnej, no i to etatowa broń drużyny.

Łatwiej upilnować, trudniej stracić albo sprzedać. Sprawdzała się. Komary nie bardzo. Ten z bunkra został przez jakieś przeoczenie. Zresztą nie o to chodzi. Po prostu zacząłem się nad tym zastanawiać. Kto i jak.

– Rozumiem. Impuls do myślenia.

Ona też potrzebowała impulsów. Znałem to spojrzenie. Rozpaczliwe chwytywanie się tematów, które tak naprawdę nie obchodzą, by uciec przed tymi, które boją. Dwa lata to przerabiałem.

– Próbowałem podejść do tego od innej strony. Miejsce. Strażnik nie czekał na Patrycję w wozie, nie mógł też między barakami. Za dużo potencjalnych świadków, no i to już zachodni brzeg. Mogła skrócić i odjechać w siną dal. Idealny był most. Jedyna droga; Patrycja musiała się tam pojawić. Pomyślałem o minie. No ale to za proste: wystarczy wysiąść i sprawdzić. Nie miałem pomysłu na skuteczną broń. Granatników nie ma, ładunki wybuchowe mało skuteczne... I wtedy przypomniało mi się, że jest jeszcze jeden problem. Okolice mostu to najlepsze miejsce, tylko jak utrzymać w ryzach tych z Piątki? Potrzebny jest dobry karabin z nocnym celownikiem.

Najlepiej snajperski.

– I pomyślałeś o Młynarczyku.

– Bardziej o jego karabinie. Ale coś mi się przypomniało. Pamiętasz tego wartownika przy bramie? Od alarmu? Kurzewskiego? – Kiwnęła głową. – Spanikował wtedy, bo wcześniej widział kogoś na północ od bazy. A potem wrócił Młynarczyk.

– No i?

– Miał swój SWD i nic więcej. Żadnego łupu. Snajper nie strzela do bezbronnych. Nawet zwykły szwejk nie ma formalnie prawa, ale na takich patrzy się przez palce. Snajper to całkiem

inna para kaloszy. Wymaga się od niego, by najpierw popatrzył, potem pomyślał, a na koniec ewentualnie strzelił. Ewentualnie.

– Ale... to przecież był terrorysta.

– Bez broni? To tym bardziej żywcem brać. Nie mówię o pieszczaniu się: strzał proszę bardzo, ale w kolano, ramię. Tak ich tu uczą. Jeniec jest sto razy cenniejszy od trupa. Nawiasem mówiąc, snajper powinien brać żywcem i tych uzbrojonych, o ile tylko nie zagraża to postronnym. No, ale powiedzmy, że Młynarczyk nie chciał nadstawiać własnej głowy. Ludzkie.

Tyle że jakąś broń powinien przy trupie znaleźć. Zwłaszcza on. Facet z tak zapapraną opinią. I znalazł. Ale za dobrą, by się nią nie chwalić.

– Ten karabin? – Odruchowo dotknęła obandażowanego ramienia.

– Pamiętasz, jak się starli z Szamockim o twój wyjazd?

– „Snajper z jajami starczy na bewupa”? – pokiwała z uznaniem głową. – Pamiętam.

– Z jajami i półcalówką – uzupełniłem. – Nie wiem, czy specjalnie po nią poszedł. Ale to właśnie wtedy przydźwigał karabin w poblizze bazy. Jak najbliżej, żeby potem szybko zabrać. No i go Kurzewski wypatrzył. Może zresztą dlatego nie żyje. Nikt mu wtedy nie wierzył, ale Młynarczyk mógł się bać, że chłopak widział za dużo i w razie dochodzenia naprowadzi żandarmów na właściwy trop. Więc zamiast obezwładnić, poderżnął mu gardło. Albo inaczej: wyszedł, otwarcie wrócił z karabinem i wtedy poderżnął. Po prostu dla wygody, żeby nie przemycać broni przed nosem wartowników.

Milczeliśmy jakiś czas.

– Ale z nas... – Kaśka przez chwilę szukała stosownego słowa. Nie dokończyła jednak.

– Odkreśliłbym to – mruknąłem. – Gdyby tylko się dało... Ale się nie da.

– Nie da się.

Znów milczeliśmy. Siedziała ze zwieszoną głową, skubiąc w roztargnieniu rękaw swetra.

Wyglądała na nieszczęśliwą. Uświadomiłem sobie, że tylko dwie kobiety obdarzyły mnie łaską siadania obok i zaglądania w twarz, z której nie próbowały usuwać śladów cierpienia. Wszystkie inne grały, chowały się za maskami, jakie ludzie noszą całe życie, bo tak bezpieczniej lub tak wypada. Tylko dwie. I jedna była niedostępna, stracona chyba raz na zawsze.

– Kasia...

– Musiałam przyjechać – weszła mi w słowo. – Ja... nie wiem, co robić.

– Tak źle? – zapytałem cicho.

– Całkiem chujowo.

Ilona powiedziałaaby to dokładnie tak samo. Nie były wulgarne. Żadna z nich. Potrafiły mówić pięknie i mądrze. Stosownie do okoliczności. Tak jak teraz. Właściwe słowo we właściwym momencie.

– Zosia?

– Też. Nie mam pracy, domu, a we wrześniu pierwszy termin sprawy rozwodowej. Tomek będzie o nią walczył.

– Przegra – uśmiechnąłem się. – W polskich sądach rodzinnych facet jest bez szans. Co w todzie, to baba.

– Ja bym mu dała ze trzydzieści procent – też zdobyła się na uśmiech. – Ma rzeczowe argumenty po swojej stronie. I cholernie dużo uroku. – Kąciki ust opadły jej powoli, uśmiech zsunął się z nich, spadł gdzieś na przytulone jedno do drugiego kolana. Pomyślałem, że wygląda strasznie żałośnie. – Przystojniak i w ogóle. – Przyglądała mi się przez chwilę smutnym spojrzeniem chorego dziecka. – Kocham go, wiesz? Nawet teraz.

– Aha.

Miałem nadzieję, że moja twarz wyraża akurat tyle, co ten błyskotliwy komentarz. Dość wątlą nadzieję. Za długo na nią czekałem. Za wiele myśli się uzbierało. No i teraz wylewały się na zewnątrz.

– Co? – Mogła być, cytując Ilonę, przybita jak papa na dachu, ale ślepa nie była.

– Nic. – Chrząknąłem, próbując chociaż głos przywołać do jakiegoś porządku. – Nie łam się. Trochę forsy wpadnie mi z ubezpieczenia, no i sporo zaoszczędziłem. Pożyczę ci.

Wynajmiesz coś, pracę też podłapiesz, jak będzie z czego dopłacać i zgodzisz się na minimalną stawkę. Sądowi to wystarczy. Wiesz: byle mieli podkładkę, papierek. Resztę załatwi babska solidarność. No i to on cię zdradza, prawda? Mieszka z tą rudą. To jest argument.

– Chcesz mi pożyczyć pieniądze?

– Wyplacalna jesteś – próbowałem żartować. – Sto tysięcy żywej gotówki. Wystarczy trochę odczekać, kupić bilet do Aszhabadu i jakiś przechodzony wykrywacz min.

– Dlaczego?

Zrozumiałem, że zignorowała wszystko, co właśnie powiedziałem. Nie miała domu, nie miała pracy, żyła w kraju, który zabiera dzieci biednym – i olewała trzydzieści trzy tysiące wolnych od podatku dolarów.

Idiotka?

Naprawdę miałem tyle szczęścia?

– No bo... – Jezu, co mam jej powiedzieć? Prawdę? Miała klasę, urodę, dumę i rozum. Los nie obdarował jej pewnie dziesięcioma punktami na dziesięć możliwych w każdej z tych kategorii, ale gdyby podsumować, wychodziła średnia, której długo szukać. W każdym razie pośród kobiet do wzięcia.

– Tamtej nocy wyrównaliśmy rachunki – powiedziała z naciskiem. – Nikt nikomu z niczym nie zalega. Zgadza się?

– No... chyba tak.

– Więc nie ma powodu, byś mi pożyczał forszę.

Bardzo się postarała, by w końcu nie zadźwięczał najmniejszy nawet znaczek zapytania. I udało jej się. Tyle że starań nie zdołała już ukryć.

Albo po prostu słyszałem to, co wołałem słyszeć.

Ale niektórych rzeczy na pewno sobie nie wmówiłem.

– Dlaczego musiałaś przyjechać?

Odetchnęła głęboko, jak przed trudnym nurkowaniem. Zrozumiałem, że czekała na to pytanie. Co nie znaczy, że łatwo i ochoczo zabrała się do odpowiadania.

Na początek usiadła bokiem na ławce. Musiała podwinąć nogę pod nogę. Ubyło jej powagi, upodobniła się do Ilony, specjalistki od niegodnych trzydziestoparoletniej damy metod dosiadania krzeseł oraz ławek, a przede wszystkim mogła wpatrywać się w moją twarz, nie nadwerężając karku.

– Zrobiłeś się dla mnie ważny – powiedziała ze smutkiem. – Myślałam, że to minie, ale... no, nie mija. – Też zacząłem siadać bokiem, zamarłem jednak w połowie obrotu. – To takie głupie... Kochasz ją. Wiem, że raz zagwizdże, a do niej popędzisz. Co ja mówię: popędzisz... Na kolanach pójdziesz...

Urwała. Powiniennem milczeć, bo ewidentnie nie oczekiwała ode mnie słów. Jeszcze nie teraz.

– Tylko że ona nie zagwizdże.

Uśmiechnęła się gorzko.

– No to mnie pocieszylesz.

– Kasia...

– Nie mów tak do mnie. Kaśka, Katarzyna; Kasiénka, jak chcesz żartować. – Nie odrywała ode mnie wzroku, widziała, kiedy nie rozumiem, i miała odwagę wyjaśniać. – Kasia lepiej nie.

Milion ludzi tak mnie nazywa. Pani Kasia, Kasia... Ale ty... Zaczęlesz, kiedy poszliśmy do łóżka.

Nic nie poradzę, tak mi się kojarzy. W twoim wydaniu to takie... ciepłe. A nie chcę... No, po prostu nie chcę. Rozumiesz? Skinąłem leciutko głową.

– Mam szlaban na Kasię. Jasne. – Chciała coś powiedzieć, byłem jednak szybszy. – Na zawsze?

– Co?

– Pytam, czy nic się nie da zrobić.

– Nie wiem.

Aha. No to byliśmy w tym samym miejscu.

– Dlaczego musiałaś przyjechać? – Czasem dobrze jest zacząć od nowa. Albo po prostu od tego, co najważniejsze. A to było ważne. Trzy razy powtórzyła to słowo. „Musiałam”.

– Choćby po to...

– Kasia... przepraszam... Kaśka – uśmiechnąłem się, by nie brała śmiertelnie serio tych przeprosin. – Wydałaś pewnie ostatnie grosze na pociąg. Nie rozmawiajmy o pierdołach, dobrze?

– Dobrze. – Przygryzła wargę. – Tylko... to takie... kurczę... żałosne.

– Całe życie jest żałosne.

– Muszę cię o coś zapytać.

Ładnie siedziała na tej ławce. Nie aż tak jak Ilona, ale miło było popatrzeć. Trochę treningu i może dorówna mistrzyni.

– Poczekaj – dotknąłem dłonią jej kolana. To też było miłe. Że miałem odwagę, a w jej oczach nie pojawiło się ani zdziwienie, ani konsternacja. – Może najpierw ja.

– Nie ma sprawy – uśmiechnęła się blado.

Jak powiedzieć coś takiego takiej dziewczynie?

Ale innej w ogóle by się nie dało. A jeśli to ma mieć jakiś sens, będę musiał.

– Nie wiem, czy to miłość. Wiem, że chciałbym z tobą być. Spróbować. Może... Zrobię wszystko, żeby się nam udało. I wszystko, żeby o niej zapomnieć. Aha, i gdyby coś nam zaczęło wychodzić, chociaż trochę... Nie zostawię cię. Choćby się Ilona na śmierć zagwizdała. Polskę mogę zdradzać – posłałem jej smętny uśmiech – ale swoich kobiet nie. No więc chciałem zapytać, czy dasz mi szansę.

Przyglądała mi się z nieruchomą twarzą. Ja jej nie bardzo. Nie miałem odwagi.

– Chcesz... być ze mną? Dlaczego?

Zastanawiałem się, jak to wyrazić. I znalazłem odpowiednie słowa. Ilona po prostu ich wysłuchała. Nie pamiętałem, czy był jakiś komentarz. Nieważne. Lepiej nie umiałem tego wyrazić.

– Lubię na ciebie patrzeć.

Teraz już po prostu wypadało spojrzeć.

Oczy znów miała wilgotne.

– Nie słyszałeś? Powiedziałam, że ciągle go kocham.

– Słyszałem.

– I nic nie mam. Tylko cudze dziecko. Najpierw do wywalczenia w sądzie, potem do utrzymywania. Po co ci to?

– Kasia... dlaczego musiałaś przyjechać?

– Ja to co innego – rzuciła prawie wrogo. – Zabijałeś dla mnie i chciałeś umrzeć. Kobieta ma po prostu biologiczny obowiązek zapytać takiego faceta... Jak już jej się trafił ten jeden porządy na stu... W dodatku taki frajer...

– O co zapytać?

– O to samo. Czybyś się nie zgodził... spróbować. – Pociągnęła nosem, nie wiem: bardziej żałośnie czy ze złością. – Kurwa, pewnie nam nie wyjdzie. To głupie. Ty jesteś chory na Ilonę, ja

na Tomka... Beznadzieja.

– Beznadzieja to jest teraz. – Ostrożnie ująłem jej dłoń. Za same koniuszki palców. Były spocone, jak moje. Gdyby się wysliznęły, wyglądałoby to całkiem naturalnie. – Nie wiem jak u ciebie, ale u mnie gorzej być nie może.

– U mnie chyba też – powiedziała cicho. I jakby trochę szorstko. Ale jej palce...

Też były szorstkie.

Pozostały w mej dłoni.

– No to może być tylko tak samo.

To było tak banalne, że aż sztuczne i chociaż tęskniłem do niej od kilkunastu tygodni, teraz musiałem prawie zmuszać się do przechylenia głowy i szukania ustami jej ust. A ona chyba zaraziła się moim brakiem przekonania.

Wyszedł nam zupełnie gówniany pocałunek.

Za to potem uśmiechnęła się. Dokładnie tak blado, jak powinna to robić mądra dziewczyna, świadoma bycia substytutem Ilony Roman. Nieważne. Ważne, co powiedziała.

– Jest troszeczkę lepiej.

Mnie też było. Troszeczkę.